

Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



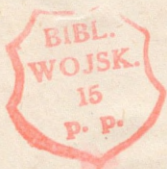
WACŁAW I PIŃSKI
(S O C H A)
SZLAKIEM
I. BRYGADY



WAGAWŁPIŃSKI
(S O C H A)

SZAKIEM
I. BRYGADY

14996/II



WACŁAW ILPIŃSKI
(S O C H A)

SZŁAKIEM I. BRYGADY



GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA · WARSZAWA 1927.

SZLAKIEM I BRYGADY

WACŁAW LIPIŃSKI
(S O C H A)



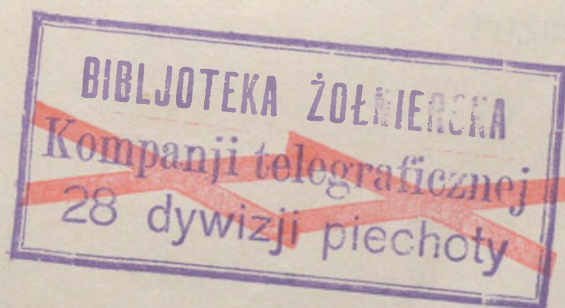
SZLAKIEM I BRYGADY

DZIENNIK ŻOŁNIERSKI



olp/k

1097



WARSZAWA 1927
GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA

WACŁAW LIPiŃSKI

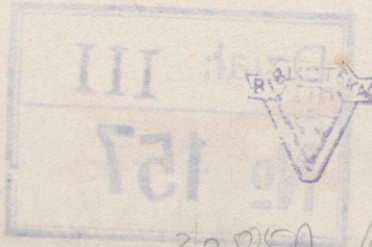
12 0 11 11

SZLAKIEM
I BRYGADY

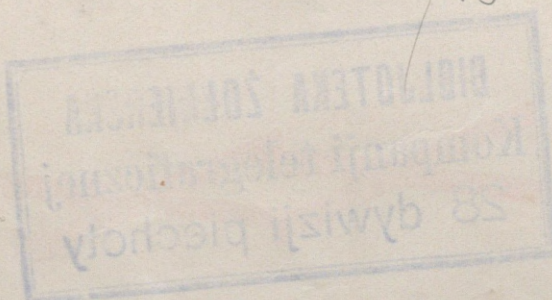
DZIENNIK LIPiŃSKI

L. 78

OKŁADKA WEDŁUG RZEŻBY PROJEKTOWANEJ NA POMNIK WYMARSZU LEGJONISTÓW
Z KRAKOWSKICH „OLEANDRÓW” P. T. „CZWÓRKA” — DŁUTA PROF. JANA RASZKI
DYREKTORA PAŃSTWOWEJ SZKOŁY PRZEMYSŁU ARTYSTYCZNEGO W KRAKOWIE.



33852/2



WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE

Drukarnia M. S. Wojsk. Przejazd 10.

WODZOWI
I TOWARZYSZOM BRONI
POŚWIĘCA
AUTOR

WODZOWI
I TOWARZYSTWOM
POŚWIĘCA
AUTOR

SPIS RZECZY.

	str.
Pierwsze błyskawice	1
Wymarsz	8
Pierwsza bitwa	14
Włóczęga na Podhalu	17
Las pod Łowczówkiem	22
Nad wierną rzeką	30
Wiosna 1915 roku	40
W jarach Konar i Koprzywianki	55
W pościgu	73
Reduta tarłowska	80
Przez zgliszcza i popioły	88
Marsz na Lublin	113
Przez ziemię łez i krzyży	118
Za Bug	123
Z czarnej Rusi na Wołyń	129
Ramię w ramię z czwartakami	155
Pierwszy urlop	171
Rok 1916	172
Wśród rozlewisk i błot Wiesiołuchy	178
Wiosna roku 1916 nad Styrem	203
W okopach Polskiej Góry	221
Wielka bitwa pod Kostjuchnowką	242
Znów nad Stochodem	262
Okopy a polityka	282
Ostatnie dni I Brygady	292
Złamana szpada	321

SPIS REČENY

46	Príloha k výročnej správe
47	W. H. H. H.
48	W. H. H. H.
49	W. H. H. H.
50	W. H. H. H.
51	W. H. H. H.
52	W. H. H. H.
53	W. H. H. H.
54	W. H. H. H.
55	W. H. H. H.
56	W. H. H. H.
57	W. H. H. H.
58	W. H. H. H.
59	W. H. H. H.
60	W. H. H. H.
61	W. H. H. H.
62	W. H. H. H.
63	W. H. H. H.
64	W. H. H. H.
65	W. H. H. H.
66	W. H. H. H.
67	W. H. H. H.
68	W. H. H. H.
69	W. H. H. H.
70	W. H. H. H.
71	W. H. H. H.
72	W. H. H. H.
73	W. H. H. H.
74	W. H. H. H.
75	W. H. H. H.
76	W. H. H. H.
77	W. H. H. H.
78	W. H. H. H.
79	W. H. H. H.
80	W. H. H. H.
81	W. H. H. H.
82	W. H. H. H.
83	W. H. H. H.
84	W. H. H. H.
85	W. H. H. H.
86	W. H. H. H.
87	W. H. H. H.
88	W. H. H. H.
89	W. H. H. H.
90	W. H. H. H.
91	W. H. H. H.
92	W. H. H. H.
93	W. H. H. H.
94	W. H. H. H.
95	W. H. H. H.
96	W. H. H. H.
97	W. H. H. H.
98	W. H. H. H.
99	W. H. H. H.
100	W. H. H. H.

ZAMIAST PRZEDMOWY.

Pamiętnik ten, który w dniu 6 sierpnia, w trzynastą rocznicę wymarszu Kadrówki z Krakowa — oddaję w ręce czytelników — jest dziennikiem żołnierskim. Jak łatwo z kolejności dat i miejscowości można się przekonać, pisany jest z dnia na dzień, natychmiast po marszu czy bitwie, nieraz pisany wprost w okopie.

Stanowi to, śmiem sądzić, jego zaletę ale też i wadę. Zaletę — bowiem zachowana została bezpośredniość wrażeń, bezpośredniość opisu. Wadę — gdyż pisząc podczas walk, czy też wkrótce po ich zakończeniu — mogłem oddać tylko to, co bezpośrednio w polu mego widzenia się działo, co bezpośrednio tyczyło się oddziału, w którym pełniłem służbę. Stąd płynie brak wielu wiadomości, stąd wypływa brak opisu tych działań, które inne części I Brygady przeprowadzały.

Tę jednak wadę — pocieszam się — zawierają w sobie wszystkie dzienniki czy notatki żołnierskie. Żołnierz bowiem jest skromnym aktorem wielkich chwil, nigdy nie może wzrokiem swym ogarnąć tego, co ogarnąć może niższy czy wyższy oficer, ów czy inny dowódca, mający możność zbierania wrażeń czy wiadomości z wielu naraz stron. Natomiast żołnierz, piszący swój dziennik, może nieraz — zwłaszcza gdy przeżycia jego odnoszą się do chwil wielkich i świętych — dać w swych notatkach bardzo wiele. Może ułatwić poznanie, może ułatwić zgłębienie najbardziej istotnego zjawiska wojny, jakim jest w pierwszym rzędzie dusza żołnierza.

Nie do mnie należy sąd, czy ten dziennik odpowie pod tym względem wymaganiom. Chciałbym zaznaczyć tylko, że jeśli — zwłaszcza w początkowych okresach — zbyt pobieżnie traktuję w swym dzienniku przeżywane chwile, to przyczyna tego nie trudna jest do odgadnięcia. W wielkie tryby wojny wyszedłem wprost ze szkolnej ławki, nieomal jako dziecko i to nie z wielkiem do wojny przygotowaniem. Nie rozumiałem jej wtedy jeszcze, nie zdawałem sobie sprawy w dostatecznej mierze z tych olbrzymich przemian i zjawisk, jakie się wokół w blaskach wojny dokonywały. Dopiero długa, nieprzerwana ani na jeden dzień służba w Brygadzie, służba pod okiem i ręką Wodza, przepa-

lając świętym płomieniem młode dusze żołnierskie i niezmazany na nich kładąc stygmat — pozwoliła i mnie głębiej wnikać w to, co w brygadowym świecie i w ówczesnej Polsce się działo. Rozszerzy się naówczas owo żołnierskie „pole widzenia”, nabiorą żywszych, pełniejszych barw i wyrazu przeżywane chwile — i to odbija się na kartkach tego dziennika.

Czy przyczyni się on do rozszerzenia wiadomości o legjonowym trudzie i ciężkim nieraz znoju, w jakim wraz z Wodzem szukaliśmy dróg do Polski — tego nie wiem. Wiem tylko, że niejeden z towarzyszków broni, przerzucając kartki tej książki, przemierzając z niemi niezapomniany szlak I Brygady, odczuje raz jeszcze tę wielką i radosną dumę, iż miał szczęście i zaszczyt niezmierny służyć w I Brygadzie.

Mjr. dr. WACŁAW LIPIŃSKI.

Warszawa, 24 VII 1927 r.

PIERWSZE BŁYSKAWICE

26 lipiec roku 1914-20 — *na wsi*. Od kilku dni jesteśmy pod silnym wrażeniem ostatnich wypadków, które spadły na cichą wieś jak grom. Sytuacja w polityce Europy poczyną się zatrważająco groźnie zachmurzać. Od chwili zabójstwa arcyksięcia austriackiego zawrzało w starej Europie jak w ulu. Codziennie spadają nowe wiadomości, zwiastujące bliskie uderzenie pioruna z atmosfery przepełnionej elektrycznością.

27 lipiec. — Mam przedsmak wielkich wypadków, i mimo gwałtownego podniecenia szykuję się powoli i spokojnie.

Nad Europą zawisł kataklizm powszechnej wojny, jakiej od czasów „małego kaprała” jeszcze nie było. Serbja odmówiła żądaniom Austrii. Wojna nieunikniona. Poseł austriacki wyjechał z Białogrodu. Obydwa państwa, Serbja i Austria już mobilizują. W starej monarchji Habsburgów stan wyjątkowy. Na teren wojny powołano 9 korpusów, galicyjski jednak został na miejscu. Na giełdach niebywały popłoch i panika...

28 lipiec. — Dzisiaj sytuacja nie uspakaja się, lecz zaostrza. Flota niemiecka i angielska, skoncentrowana w portach, zupełnie gotowa. Marynarze na pierwszy wystrzał armatni mają wracać na pokłady. Poincaré pędzi do Paryża, Wilhelm do Berlina. Rosja stanowczo ma interwenjować w sprawie Serbji. W Paryżu i w Petersburgu demonstracje uliczne przeciwko Niemcom, w Berlinie i Wiedniu przeciwko Francji i Rosji. Włochy spokojne.

29 lipiec. — Rano przed 10-tą wrócił brat z Koluszek i przywiózł alarmujące wiadomości: w Koluszkach nadzwyczajny ruch, wojsko przejeżdża z Warszawy do granicy austriackiej i pruskiej. Mosty i wiadukty obsadzone. Przy wiadukcie 1-szym 14 żołnierzy. Poza tem chłopcy widzieli rano na wiedeńskiej przewożoną piechotę i artylerję. Jednem słowem wojna...

Poruszony jestem temi wiadomościami nadzwyczajnie. Po gazety wybrałem się do Kuluszek o 11-ej. Na dworcu mnóstwo oficerów rosyjskich, pysznych, butnych, srogich jak lwy. Pociągami ciągle przejeżdża wojsko, kuchnie polowe, tabory, artylerja. Gazety przyszły dopiero o 1.30. Cokolwiek spokojniej. Anglja i Włochy mają interwenjować.

30 lipiec. — Coraz gorzej! Niemcy odmówiły udziału w interwencji pokojowej, a więc chcą wojny. Belgja podobno powysadzała mosty na granicy Niemiec.

31 lipiec. — Sytuacja pogorszona. Mobilizacja w Łodzi. Wszystkie pociągi na wiedeńskiej¹⁾ wstrzymane, od rana ani jeden pociąg nie przyszedł. Tor kolejowy głuchy i pusty, tylko od czasu do czasu z hukiem przemknie pojedyncza lokomotywa lub z kilkoma zaledwie wagonami. — Wojna!... Szykuję się zwolna i spokojnie. Do obiadu spakowałem wszystko: plecak, kompas, bieliznę, drobiazgi konieczne w polu. Po południu dostaliśmy dzienniki. Mobilizacja w Łodzi i w Królestwie.

Wieczorem, stojąc przed furtą ogrodową, spostrzegłem idącego z Żakowic w pelerynie jakiegoś człowieka, gwiżdżącego pobudkę. Za chwilę stanął wyprostowany na baczność skaut Witzak²⁾, zaszalutował i krótko zameldował, bym z rozkazu Komendy natychmiast jechał do Łodzi z pełnym rynsztunkiem. W pół godziny odjechalismy bryczką ostrym kłusem...

W przeciągu dwu godzin zameldowałem się w Komendzie i otrzymałem rozkaz natychmiastowej jazdy do Warszawy po rozkazy. Pociąg miał odejść 12.15 w nocy. Jurek Szletyński, komendant łódzkiego skautingu, odprowadził mnie na stację, informując o usposobieniu łódzian, głównie robotników. Obydwaj byliśmy podnieceni i rozgorączkowani. Mimo całkowitego duchowego przygotowania do wojny i powstania, wszystko to nam zdawało się okrutnie groźne i straszne...

Do Kuluszek wyjechałem po północy i ledwie zdążyłem kupić bilet do Warszawy — pociąg ruszył. Przez całą drogę stałem na platformie w ogromnej ciasnocie. O 5.35 byłem w Warszawie, o 6-tej w Skautowej Komendzie warszawskiej, gdzie przedstawiłem sprawę, prosząc o rozkazy. Odpowiedź będę miał wieczorem i wieczorem też odjadę.

W Warszawie spotkałem skautów, a wśród nich Miłobędzkiego³⁾, którzy wracali z kursu ze Skolego. Granica już zniesiona, mosty wysadzone, lada godzina wojna zostanie wypowiedziana.

O 11-tej wieczorem po otrzymaniu rozkazów, by narazie robić wywiad wojska rosyjskiego i czekać na rozkaz ostateczny — poszedłem

¹⁾ Linja wiedeńska, łącząca Warszawę przez Kuluszki i Granicę z Austrią.

²⁾ Zginął w Legjonach.

³⁾ Obecnie por. rez.

na dworzec Wiedeński. Tam istny obóz. Całe stosy walizek, pościeli i rzeczy na platformach, w salach, wszędzie, gdzie tylko trochę miejsca, gromady ludzi śpią, czekając na pociągi. Kuracjusze, letnicy, inteligencja, robotnicy, wszystko to siedzi zbite na dworcu, po wszystkich kątach, leży na stosach pakunków, oczekując niecierpliwie swych pociągów. Wojna!... Odczuwa się jej złowrogie tchnienie, w pociągu, na ulicy, na dworcu, wszędzie, gdziekolwiek spojrzeć... Warszawa przedstawia jeden wielki obóz... Samochody przelatują z hukiem i wrzaskiem syren, na rozprażonych słońcem ulicach gromadzą się tłumy wokół ogromnych ogłoszeń, rezerwiści setkami przechodzą przez ulicę z tłumokami i torbami na plecach. Za nimi krzyk, płacz, szlochanie!..

Wśród tego krzyku i gwaru stoją mi w oczach szumiące, senne, spokojne fale zawsze tej samej, na tyle wojen patrzącej Wisły... Fale szumią monotonnie, szelestnie i gwarzą między sobą, pluszcząc o brzeg ciągle, ciągle! To statek z turkotem, ciężkiem stękanieć śruby i wielkich kół wznieca burzę wśród fal, jasną za sobą wlokąc smugę, to srebrne rybitwy przenikliwie krzycząc migają białymi skrzydłami nad wodą.

Pociąg odjeżdża o 12-tej. Zająłem jakieś miejsce, ulokowałem się dość wygodnie. Wokół hałas, krzyk. Obok jakaś gromadka austriackich poddanych, z humorem i wesołością jedzie do c. k. armji. Pociąg wreszcie ruszył. Głowa chyli się na ramiona, oczy przymykają się, sen i zmęczenie ogarniają coraz silniej. Od czasu do czasu budzi mnie gwar w wagonie, głuszący monotonny turkot kół...

1 sierpień. — Dzisiaj ogłoszono wojnę. Pierwszy krok rozpoczęły Niemcy. A więc stało się...

7 sierpień. Łódź. — Co dzień budzi nas wieść o nowej wojnie. Już rano o 6-tej słyszeć na ulicach wywrzaskujących z uciechą chłopaków z depeszami i dodatkami nadzwyczajnymi. Anglja wypowiedziała wojnę Niemcom. Bitwa morska podobno już się rozpoczęła na wodach morza Północnego.

A tymczasem Niemcy rzucili całą swą potężną armję na nieszczęśliwą Belgję i niezmordowanie, zaciekle bombardują jej twierdze. Belgowie bronią się dzielnie i z brawurą. Tak donoszą telegramy rosyjskie, wrogie Niemcom. Nie może być jednak tak dobrze z Belgami, gdyż mimo świetnej obrony Niemcy zdobyli forty skrzydłowe Leodjum.

A tymczasem, nawet nad nasze spodziewanie, jak na krwawą ironję — mobilizacja udaje się świetnie...

8 sierpień. — Porządnie jestem zmęczony tem ciąglem politykowaniem — i czekaniem, a tymczasem warszawski rozkaz każe siedzieć na miejscu... Raz by wreszcie wyjść już w pole i rozewrzeć szeroko ramiona...

9 sierpień. — Zaczynamy wreszcie cośnieceś robić, aby dać znać żandarmom, że żyjemy i jesteśmy.

Dzisiaj dostałem rozkaz, by zgromadzić chłopców w południe w kościele. Mielismy zaryczeć. Zrobiłem, co mogłem, lecz chłopców mało się zebrało. Wreszcie po Baranku Bożym zaczęliśmy i to odrazu jak najgłośniej. W kościele uczynił się nagły rumor. Setki twarzy obróciły się ku nam i publiczność z groźnym przestachem poczęła tłumnie zbijać się w stronę wyjścia. Organista uderzył z całych sił w organy, chcąc nas zagłuszyć. Przede mną wyskakiwał jakiś stary jegomość, chcąc mię widocznie wstrzymać, lecz ja mu w samą twarz ryczałem, niby tur w litewskim borze... Prześpiewaliśmy tylko jedną strofkę, bowiem kościół za chwilę opustoszał.

Wychodziliśmy z kościoła wśród groźnych szeptów o prowokacji niemieckiej i żydowskiej...

10 sierpień. — Znow huraganowe wieści... Niemców (wedle depesz petersburskich) piorą Francuzi, Belgowie i Anglicy na lądzie i na morzu. Naodwrot Austriacy prą na Królestwo, zajęli Jędrzejów. Prusacy spalili Kalisz... Jaroński w Dumie wygłosił poddańczą, ohydą mowę. Głosił ten poseł „narodu” iż dzięki orężowi rosyjskiemu Polska się zjednoczy.

14 sierpień. — Wiadomości o armji rosyjskiej są narazie doskonałe. Anarchja całkowita. W Mińsku Mazowieckim kilka tysięcy ludzi zebranych do wojska nie wie co ze sobą robić. W Warszawie lekki ruch. Dostaliśmy znow rozkaz, by czekać i zbroić się!

W Łodzi dzieją się okropne sceny, choć miasto na oko spokojne. Dzisiaj wysyłają wszystkich poddanych austriackich i pruskich w głąb Rosji. Dzieci, kobiety, starców — ślą wszystkich. Cała ulica idąca do dworca zatłoczona taborem obozujących ludzi. Poza tem „car batiuszka” kokietuje nas! Naczelný Wódz wydał odezwę, że armja rosyjska bierze pod opiekę wszystkich Polaków — a ich krzywdzicieli — rozstrzeliwać mają, w myśl onych cudnych rozkazów, z miejsca.

Rosja z tej, Prusak z tamtej strony starają nam się przypodobać i pozyskać.

16 sierpień. — Car wydał odezwę do Polaków. — „Wydobądźcie swój miecz i brońcie Słowiańszczyzny. Chwila Waszego odrodzenia się zbliża”. Ściskaliśmy pięści czytając ją. Ordynarne, całkiem nie skautowe klątwy cisnęły się na usta...

17 sierpień. — Dostaliśmy wreszcie znak życia w postaci kilku odezw, które wśród entuzjazmu, rozgorączkowanemi oczyma czytaliśmy na zbiórce. Odezwa Komendy Związku Strzeleckiego Okręgu Kujawskiego i Zjednoczonych Stronnictw Niepodległościowych... Na-

reszcie jakiś znak niepodległego życia z pośród tej spodlonej, nędznej, niewolniczej atmosfery, jaka nas wokół otacza...

O 4-ej po południu przysłała wiadomość, że Niemcy w Lutomiersku. Wyszedłem na miasto! Ruch spory. Galopem przeciąga podjazd kozacki, pędzą dorożki napełnione uciekającą policją. Moskale wyrrywają co tchu!... Niemcy jakoś nie przyszli, choć w mieście ni psa moskiewskiego nie ujrzysz...

Pod wieczór mieliśmy dwie godziny ostrej musztry karabinowej... Władamy bronią już dość dobrze! Na strzelców czekamy z godziny na godzinę...

18 sierpień. — Dzień cichy, spokojny... Wydaje się jakgdyby ciągle było jakieś święto! Ulice spokojne, ruch mały! Nie widać mas robotniczych, nie słychać syren fabrycznych, i łoskotu maszyn, tego nieustannego szumu fabrycznego miasta!

20 sierpień. — Z dnia na dzień coraz więcej wrażeń!... Tłoczą się one ze wszystkich stron, co godzina spadają, wieściami nieprawdopodobnymi, niezwyklejmi nowinami...

W dniu dzisiejszym skończył Związek Niepodległościowy druk odezw, które należało rozlepić. Rozlepiliśmy je w ciągu wieczora, napastowani srodze przez lojalną milicję miejską.

22 sierpień. — Do południa ćwiczenia. Po południu przymaszerowali Prusacy. Na głównej ulicy miasta stoi pułk trzybataljonowy. Żołnierze, przeważnie Polacy — w szarym mundurze, w długich spodniach, wyglądają na okrutnie pomordowanych. Jakiś stary landszturm... W pewnej chwili na rynku zaigrano pobudkę. Żołnierze szybko zaczęli kłaść ciężkie, duże, kwadratowe tornistry, cielecą powleczone skórą; na każdym tornistrze płaszcz, płótno namiotowe, łopatka, para trzech wików zapasowych. Ciężki strój uzupełnia hełm, okryty pokrowcem.

Zabrzmiała krótka, chrapliwa komenda dowódcy bataljonu, zupełnie niezrozumiała, podana, jak urywane szczekanie brytana. Wmieg zaskoczyli czwórkami, równo jak uciał trzasnęła broń...

Za chwilę ruszyli, a głuchy tupot tysięcy nóg zamierał powoli w cichej ulicy, zapełnionej ciekawym tłumem ludzkich głów...

23 sierpień. — Dzisiaj wysyłamy Władka Łeckiego¹⁾ i Grabowskiego²⁾ do Krakowa po wiadomości i rozkazy. Konkretnego nic nie wiemy, a bez szczegółowych wiadomości nie uda nam się zabrać więcej chłopaków w pole.

25 sierpień. — Do południa zwykle ćwiczenia w lokalu na ulicy Nawrot, w którym pomieszciliśmy jakoś musztrę całej kompanji. Po-

¹⁾ Obecnie kapitan piech.

²⁾ Obecnie por. rez.

wyjściu z lokalu natknąłem się na szwadrony kawalerji rosyjskiej, idącej na zachód. Żołnierze okurzeni, śnać dużą drogę zrobili, lecz w dobrym humorze. Miasto, ulica wita ich życzliwie, nawet radośnie. Poza tem tłumy stoją godzinami w nadziei, że między wojskiem znajdą swych bliskich i żołdatom rzucają kwiaty, papierosy, chleb, kiełbasę w ogromnej obfitości. Przez pół godziny przeciągała kawalerja, baterje artylerji, tabory.

27 sierpień. — O strzelcach i o Piłsudskim przychodzą rzadkie wiadomości i to przeważnie złe, napastliwe. Natrząsa się z nich plotka, że obdarowała ich Austrija jakiemiś starymi skałkowemi karabinami, jednostrzałowemi. Poza tem na odmianę biją Moskale Austriaków, co jeszcze pogarsza sytuację.

31 sierpień. — „Nasza” policja dzisiaj powróciła. Skończyła się „milicyjna niepodległość”... Szpicli moc.

1 wrzesień. — Z Warszawy nadchodzą hiobowe wieści! Wszyscy objęci rusofilskim szałem, zapatrzeni w Rcsję, wypierają się strzelców.

Przegadałem dzisiaj z chłopcami kilka godzin, głównie o polityce, wojnie, strzelcach, drużynach idących z pieśnią powstańczą na ustach! Chłopcy rwą się!...

Moskale znów zwiali — Łódź bezpańska!...

3 wrzesień. — Nowe wiadomości! Żuławski, Daniłowski, Sieroszewski ze strzelcami; Sieroszewski podobno już zabity, Daniłowski w niewoli. Poza tem uporczywe plotki o samobójstwie Tetmajera...

Ponoć kto żyw, ruszył za Piłsudskim: profesorowie, doktorzy, akademicy, wszyscy, wszyscy poszli w pole, sądząc, że tutaj przyjmie ich Królestwo, jako wybawców. Zrucili podobno czarno-żółte opaski, które im Austrija narzuciła. Już staje z jednej strony Moskal — z drugiej Austriak!

4 wrzesień. — Lwów padł.

10 wrzesień. — Dostaliśmy dzisiaj dwa numery „Wiadomości Wojskowych” ulotnego pisemka niepodległościowego.

W armji moskiewskiej dzieją się straszne rzeczy. To samo, co podczas kampanji japońskiej. Bezład, dezorganizacja, złodziejstwo.

Dowiedziałem się wreszcie szczegółów bitwy pod Kielcami — 10 strzelców zabitych, 30 rannych — 200 kozuniów sprzątnięto.

24 wrzesień. — Dzisiaj rozpoczynamy t. zw. Kurs Szkoły Podchorążych Związku Strzeleckiego, do którego cały nasz łódzki skauting ostatecznie wcielono.

7 październik. — Dnie mijają bez zmiany; codziennie, po kilka godzin ćwiczymy w Szkole Podchorążych; oczekujemy momentu zbliżenia się strzelców.

8 *październik*. — Gruchnęła wieść, że Prusacy i Austriacy w mieście, a może nareszcie i strzelcy...

Na Piotrkowskiej ulicy ogromny ruch. Jak okiem sięgnąć bieleją płótna wojskowych taborów, piechota, ułani, rowerzyści...

Gwar, ścisk. Milicja pracuje w pocie czoła, rozpędzając niezbyt grzecznie tłum! Tabory pruskie zaprzężone w świetne, ogromne konie. Żołnierze przeważnie starzy, widocznie landszturm, w pikielhaubach okrągłych, wysokich. Konnica świetna. Ułani w pełnych mundurach, z pysznymi karabinami. Rozkwaterowało się ich około 12-tu tysięcy, w tem bardzo dużo Polaków.

12 *październik*. — W południe gruchnęła wieść, iż strzelcy są w Łodzi. Wypadłem natychmiast i na Piotrkowskiej spotkałem pierwszych trzech strzelców, doskonale prezentujących się w swych szaroniebieskich mundurach z maciejówkami. Pognałem do naszego lokalu, gdzie zastałem wszystkich prawie chłopców samorzutnie zebranych, czekających na rozkazy.

Wieczorem byliśmy już wszyscy zameldowani w wojsku polskiem.

W domu „coniebądź” piekło! Ojciec klnie, schował mi plecak — lecz matka i siostry taką uczyniły awanturę, że mój plecak dostał.

Dzisiaj w nocy mam pełnić wartę pod kwaterą, która się mieści w gmachu pogimnazjalnym przy ul. Mikołajewskiej 44. O 9-tej miała być zbiórka. Chłopcy się zeszli i poszedłem pełnić wartę. Mielśmy do rozporządzenia jeden mundur i karabin.

W nocy przyjechał komendant Boerner¹⁾ i dwu oficerów.

25 *październik*. — Dzisiaj po południu P. O. N. (Polska Organizacja Niepodległościowa), która wnet ze strzelcami zjechała, zwołała wiec, na którym mówili Daniłowski, Kaden-Bandrowski, Żuławski, prof. Tokarz, i to pono z dużym powodzeniem. Cóż to jednak nas obchodzi? Dostałem dzisiaj karabin i gwizdź na wszystko!!!

26 *październik*. — Noc, 12 godzina. — Siedzę w kwaterze wart, jako komendant warty. Od rana dzień się zapowiadał spokojnie, pracowaliśmy w intendenturze, pakując wszystko na wozy. To nas jednak uderzyło i poczęliśmy mówić o odwrocie. Ciągła a bliska kanonada, wysadzenie mostów na łódzkiej stacji dopełniały swego. Po obiedzie byliśmy już pewni, że wyruszymy. Nareszcie o siódmej Jurek Szelepiński kazał się szykować i znosić broń. Jest nas w oddziale przy Ryszardzie Trojanowskim²⁾ 16-tu. Mamy 4 manlichery i 12 werndli. Ja dostałem pyszny, krótki manlicher. Jutro wychodzimy jako straż przednia i prawdopodobnie zetkniemy się z Moskalami. W domu wyprawiają mnie i ekwipują gorączkowo. Ojciec już się z losem po-

¹⁾ Obecnie ppłk. saperów.

²⁾ Obecnie gen. brygady.

godził, a matula i tak by mnie wypchnęła w pole, choćbym nie chciał iść...

27 *październik*. — Przedostatni dzień w Łodzi!... Bataljon strzelców, który przed kilkoma dniami przemaszerował, wyruszył już do Częstochowy. Choć przeciągała moc Prusaków (przeważnie artylerja) w stronę Warszawy, pesymistycznie jesteśmy nastroszeni! Z radością Łódź byśmy opuszczali, lecz nigdy uciekali! Co chwila przerywa ciszę miasta przeraźliwy huk wysadzanych mostów kolejowych...

WYMARZ

28 *październik*. Łódź — Pabjanice. — Dzisiaj wyruszamy! Wpadłem do Banku Państwa, gdzie była główna kwatera strzelców. Wszystko spakowane i gotowe do drogi. Cieszymy się, że nareszcie wyruszamy, lecz i martwimy się, że uciekamy. A uciekamy na pewno! — Po południu już nie wychodziłem. Wreszcie o 4-tej naznaczono zbiórke. Po odśpiewaniu „Roty”, ruszyliśmy. Tabory naprzód, my ostatni. Wyruszyliśmy o 4-ej 45 po południu. Nikt nas nie odprowadzał, nikt nam do bram miasta nie towarzyszył, prócz kilkunastu skau-tek i najbliższych rodzin...

Zaraz po wyruszeniu poznałem trud wojskowego marszu. Karabin niemożliwie mię uciskał, futro pod płaszczem strasznie grzało. Gdy wychodziliśmy z miasta, nastał zmierzch, powoli zapadała cicha, jesienna noc. Do Pabjanic szliśmy przeszło godzinę. Ja ledwo zaszedłem, strasznie wyczerpany. Ciężki plecak, karabin i futro dobijały mię. Mimo żeśmy szli wesoło, bywały chwile, iż bałem się, że padnę. Pierwszy wojenny marsz okrutnie dał mi się we znaki...

29 *październik*. Pabjanice — Łask — Sieradz. — Wesoło jedziemy po błotnistej drodze na trzęsącej furze. W Łasku krótki postój i obiad. Pełno wszędzie Niemców. Nami nawet pies kulawy się nie interesuje. Jak narazie, dobry początek, z żołnierką polską...

Z Łasku szosą do Zduńskiej Woli, a stamtąd o zmierzchu, ciągle z wesołą pieśnią, ruszyliśmy dalej. Wiatr dmie silny, poowijaliśmy się więc w koce. Jedziemy szybko. Już Warta głucho szumiąca, została za nami, późno w nocy wjeżdżamy do Sieradza. Długi postój na rynku, gdzie opędzać się musimy przed natrętą ciekawością Niemców, którzy się pytają, czy z „ruskiem”, czy z nimi idziemy, i pakuja nam do werndli swe paluchy, dziwiąc się, że lufy takie szerokie...

30 *październik*. Sieradz — Złoczów — Wieluń. — Po śniadaniu ruszyliśmy na Złoczów ku Wieluniowi. Szliśmy kilkanaście kilometrów pieszo, lecz bez plecaków. W Złoczowie postój. Wyruszyliśmy z miasta o 5-ej. Wicher okropny. Siedzimy na wozach, otuleni w koce, drze-

miąc. Obudziliśmy się dopiero, gdyśmy wjechali do Wielunia. Miasto ciche, spokojne. Dostojnie wygląda rynek, z wysoko strzelającymi wieżycami kościołów.

31 październik. — *Wieluń—Krzepiec—Częstochowa*. — O dziewiątej rano ruszamy dalej. Kilka pierwszych kilometrów szliśmy piechotą, potem jak zwykle, siedliśmy na zarekwirowane podwozy i jazda dalej.

Przed Kłobuckiem napotkaliśmy linię kolejki, którą tu Niemcy układają. Wzdłuż szosy, wysadzonej wysokimi topolami, ciągnie się długi, żółty tor kolejowy. Wszędzie szwargot niemiecki, szeregi robotników pracują łopatami obok toru.

Wśród śpiewu dojechalismy do Częstochowy.

1 listopad. *Częstochowa*. — Śliczny, słoneczny dzień. Po jesiennych dniach wichru i chłodu słońce wyjrzało z za chmur. Ciepło rozkoszne! W Częstochowie ruch ogromny. Samochody uwijają się po ulicach, mnóstwo wszędzie żołnierzy, pruskich, austriackich i naszych strzelców. Wróciliśmy wieczorem do koszar.

Nastrój dla nas naogół obojętny, miejscami przyjazny. Jednakowoż w tej przyjaźni odczuwać się daje nuta politowania, z jaką starsi, spokojniejsi, tchórzliwsi spoglądają na nas. Widać, że nas wcale nie rozumieją, że dalecy są od nas o całe mile.

2 listopad. — W Częstochowie stoją dwa bataljony strzelców — razem z łódzkim, który zaraz za nami przemaszerował. Dzisiaj nastąpić ma rozdział na kompanje i zaraz też wymarsz do pułku, do Komendanta Piłsudskiego. Nas, skautów, wcielono do 4-tej kompanji obywatela Narbutta¹⁾. Jur Szletyński²⁾, jako „Młocki” został podoficerem za frontem, reszta nas, a więc Adek Goldenberg³⁾ jako „Burski”, Władek Łęcki, obydwaj Chabowscy⁴⁾ ⁵⁾, Edek Pfeiffer⁶⁾, Tosiek Berlach⁷⁾, Romek Gertner⁸⁾, Maniek⁹⁾ i Hirek, Pacholski¹⁰⁾, Tadek Plackowski¹¹⁾, Kasprzak¹²⁾, Kubiak¹³⁾, Antek Gruszczyński¹⁴⁾ —

¹⁾ Narbutt-Łuczyński, obecnie gen. brygady.

²⁾ Jerzy Młocki-Szletyński, zginął w Legjonach, pod Konarami.

³⁾ Arkadiusz Burski-Goldenberg, zginął w Legjonach, pod Kostjuchnowką.

⁴⁾ Zdzisław Chabowski, zginął w Legjonach.

⁵⁾ Zygmunt Chabowski, obecnie kapitan piechoty.

⁶⁾ Obecnie kapitan piechoty.

⁷⁾ Obecnie porucznik.

⁸⁾ Obecnie porucznik rezerwy.

⁹⁾ Marjan Pacholski, obecnie kapitan piechoty.

¹⁰⁾ Hieronim Pacholski, obecnie porucznik rezerwy.

¹¹⁾ Obecnie porucznik.

¹²⁾ Kasprzak-Kasprzycki, zginął w czasie wojny polsko-rosyjskiej, jako podporucznik.

¹³⁾ Obecnie porucznik rezerwy.

¹⁴⁾ Antoni Gruszczyński, zginął w Legjonach.

wbrew górnym marzeniom — w funkcji i stopniu szeregowców piechoty.

4 listopad. Częstochowa — Olsztyn. — Męczący dzisiaj dzień. Spaliśmy tylko cztery godziny. O 8 rano zbiórka w pełnym rynsztunku i przegląd. Obywatel Narbutt, nasz komendant kompanji, miał do nas krótką przemowę. „Komu łydki drżą — rzekł do kompanji — może się cofnąć”. Jakoś nikt się nie cofnął, choć niejednemu pewnie łydki dobrze drżały. Po długim śniadaniu — zbiórka bataljonu. Sztab z Trojanowskim na przedzie.

Długimi dwurzędami stanęły kompanje, wyprężone na baczność. Komendanci kompanij zdają raport.

O 12-tej ruszyliśmy przy dźwiękach „Strzelca”, którego echo daleko roznosiło się po polach. Przedofilowaliśmy przez Częstochowę, z zaciekawieniem oglądani przez ludność — lecz i tutaj prócz rodzin wyruszających w pole strzelców — nikt nas nie odprowadzał...

Całe popołudnie maszerowaliśmy do Olsztyna szeroką, piaszczystą znojną drogą. Obładowani ciężkimi plecakami, wypełnionymi zapasami do świąt Bożego Narodzenia, jako, że wojna ma się do tego czasu skończyć, odczuwamy dotkliwie powolny, z niewprawionemi rekrutami marsz. Narazie obojętnem wydaje się nam pytanie dokąd i poco idziemy. Myśl wyteżona pracuje w jednym, jedynym tylko kierunku: jak jeszcze daleko do ruin Olsztyna i czy staniemy tam na kwaterach?

5 listopad. Olsztyn — Janów — Złoty Potok — Żarki. — Ciężki męczący marsz... Ani sposób z nim porównać owych wycieczkowych marszów, jakie się do tej pory robiło. Ze schyloną głową, przegiętym do ostatniego bólu karkiem, z niemiłosiernie ciężkim plecakiem, z ciężkim werndlem, odparzającym rany, wlecze się człek z zaciśniętymi ustami, kpiąc w duszy z owych „pięknych” marzeń o wojnie...

W rzeczywistości jakoś ciężiej!...

O 6-tej rano zerwała nas pobudka — i marsz. Na obiad w Janowie, pustem, wylęknionem żydowskiem miasteczku, czekaliśmy trzy czy cztery godziny. — Nim zajechały wozy, nim zwalono z nich na ziemię jakieś przedpotopowe kotły, rozpalono ogień i zagotowano grochówkę — wył w nas głód do szału...

Widzieliśmy w przemarszach prześliczne, czyste, ogromne kuchnie polowe niemieckie, w których obiad gotował się podczas marszu. Patrząc na nasze kotły z epoki jaskiniowej, pocieszałyśmy się, że nie „odrazu Kraków zbudowano” i pracowicie, z własnej ochoty, przynosiliśmy deski, wydzierane z płotów, byle tylko ten obiad się wreszcie zgotował...

Po raporcie muzyka wyróżnęła marsza i w tej chwili — na rozkaz przerwała. Po chwili rozkaz, by wyjąć zatyczki z karabinów. Zaraz

też rozwinęliśmy się w szyk ubezpieczeniowy. Nasz pluton utworzył straż tylną. Po chwili bataljon ruszył.

Posuwamy się ostro po dobrej szosie wśród pysznych lasów i skał Złotego Potoku. Ściemnia się coraz więcej. Idziemy prawie bez przestanku, szybko, w natężeniu nerwów, spodziewając się na pewno przeprawy z Moskalami. Lecz marsz przeszedł spokojnie. O 8-ej byliśmy już w Żarkach i rozkwaterowaliśmy się w jakichś żydowskich chałupinach.

6 listopad. Żarki — Włodowice — Kromołów — Ogrodzieniec. — Marsz znów mieliśmy srodze uciążliwy. Z Żarek wyszliśmy o 9-tej forsownym krokiem za Włodowice i jednym tchem doszliśmy do Kromołowa. Miła drogi po górach i dołach odbiła się na naszych humorach. W Kromołowie nieco odetchnęliśmy.

Jesteśmy zaintrygowani mocno, dokąd pójdziemy. Jedni z oficerów mówią, że na „linię“, inni, że na Kraków, sami zdaje się, niewiele wiedzą. Wogóle cały ten marsz wygląda dziwnie konspiracyjnie. Idąc jednak tak, jak dotąd — z równym skutkiem możemy wleźć na Kraków, jak na Miechów, t. j. do pułku.

Wieczorem, po przymaszerowaniu do Kromołowa, żydowskiej, brudnej mieściny, jak zresztą wszystkie te, któreśmy po drodze naszej minęli, zacząłem przeprowadzać gruntowną rewizję mego plecaka, by mu cokolwiek ulżyć. Wyjąłem na początek dwie pary ciepłej bielizny, którą dałem jednemu z częstochowskich rekrutów, który był bodajże całkiem „sans“ koszuli.

7 listopad. Ogrodzieniec — Pilica — Ryczów. — Rano wyszliśmy z Ogrodzienia tylko po cienkiej herbatce bez chleba, którego nam dzisiaj nie wydano. Mocno głodni, bośmy w miasteczku nic kupić nie mogli, na 12-tą weszliśmy do Pilicy.

Marsz mieliśmy pyszny, przy nadzwyczajnej pogodzie. Po prawej stronie jasnej, kamienistej drogi, rozciągały się szerokie wzgórza, otulone w siwe mgły. Przechodziliśmy obok strupieszalnych ruin zamku ogrodzienieckiego, drogą zawaloną taborami austriackimi. W samej Pilicy moc Austriaków, taborów, kuchni, kawalerji. Zbiedzone to, zniszczone odwrotem. Kpimy z nich, weselimy się na całego wśród pytań: skąd uciekli, dokąd uciekają i dokąd uciekną? Kupujemy poza tem masami prześliczne, nowe manlichery od przerażonych austriackich taborytów, którzy wyzbywają się „gwerów“ za dwa papierosy — sztuka. Nic też dziwnego, że w pół godziny werndle¹⁾, oraz 90-ki¹⁾ poszły z humorem za płot oczekiwać drugiej wojny europej-

¹⁾ Stare karabiny, jednostrzałowe.

²⁾ Karabiny systemu Mannlichera, typu z roku 1890, cięższe od typu z r. 1895.

skiej i drugiego wojska polskiego, a cały bataljon uzbroił się w nowe manlichery.

Po dwu obiadach, gdyż jeden zdołaliśmy zdobyć za 60 kopiejek w jakiejś nędznej, podejrzanej restauracji i po drugim urzędowym z kotła, ruszyliśmy przez wielkie, szerokie piaski na Olkusz. O 6-ej zmordowani marszem po kieleckich wzgórzach, po drogach wytkniętych przez lasy jeszcze przez nieboszczyka Chrobrego i od jego czasów nieuporządkowanych, zaszliśmy do wsi o romantyczne nazwie — Ryczów...

Już na miejscu ponownie począłem rewidować swój plecak. Jednemu z kamratów podarowałem kurtkę zapasową, innemu znowu coś z bielizny — a brać skautowa — nawet najsilniejsi, czynią to samo. Zygmunt Chabowski doszedł do przekonania, że wielka, acetylenowa lampa od roweru właściwie na wojnie jest mu niepotrzebna, więc smyrgnął ją za płot, inni wyrzucają mnóstwo gratów, które dźwigali z uporem godnym podziwu. Termosy, pudełka, pudełeczka, kołnierzyki, mankiety, mydełka — wszystko to podzieliło los acetylenowej lampy Zygmunta....

8 listopad. Ryczów — Ogrodzieniec — Ryczówek — Klucze. — Marszerowaliśmy cały dzień, od 4.30 rano. Nie mam sił pisać. Jeżeli cała wojna ma polegać na tych straszliwych marszach, to niech ją djabli wezmą. Mam już jej dość...

9 listopad. Klucze — Chechło — Osień. — O 11-ej ruszamy uciążliwym marszem na Chechło — Niegonowicze — Osień. Zupełnie się nie orjentujemy dokąd i w jakim celu trwają od kilku dni te marsze i kontrmarsze w słotne jesienne dni, po bagnistych i ciężkich drogach kieleckich.

Komendant dwu bataljonów — Satyr — (właściwe nazwisko Fle-szar¹⁾) nikomu nic nie mówi, tak, że nawet komendant naszego plutonu ob. Kmicic nic a nic nie wie...

Mieliśmy dzisiaj ciężką chwilę. Podczas wymarszu z Chechła natknęliśmy się na jakiś sztab generalski. Mamy defilować. Orkiestra uderza w trąby, zaczęła grać mazurka Dąbrowskiego, ruszamy mocnym krokiem. Nagle przy pierwszych dźwiękach mazurka w generalskim sztabie rozpoczyna się krzyk. Generał gwałtownie macha ręką i z pośród świty wypada na koniu jakiś oficer w stronę orkiestry, która nagle zamilkła...

Chwilowe zamieszanie, po chwili zaczyna grać „Strzelca”. Bataljon maszeruje i w defiladzie spogląda na ów austriacki sztab z tak

¹⁾ Zmarł w r. 1916.

straszna nienawiścią, jakby za chwilę miał go roznieść na ostrzach bagnatów.

Gdyśmy wyszli ze wsi — nikt słowem się nie odezwał, tylko niejednemu w oczach paliły się łzy bezsilnego gniewu...

Późnym wieczorem zaszliśmy do zrujnowanej wsi, pełnej Austriaków i rozkwaterowaliśmy się w jakiejś szopie razem z końmi...

10 listopad. Osień — Sławków. — Choć spaliśmy w szopie, dość mocno przewietrzanej, dobrze jednak wypoczęliśmy. Wstaliśmy o 7-mej i po barszczu — (na odmianę) — marsz na zbiórkę. Tutaj jak zwykle czekamy cierpliwie z pół godziny, wreszcie wyruszamy w stronę Sławkowa. Skręcamy cokolwiek w bok i idziemy jakąś dziwną drogą, wolną od taborów i kolumn austriackich. Gdzieś tylko daleko słysząc co chwila głuchoe echo strzałów armatnich. Odwrot widocznie z całego Królestwa...

W południe dochodzimy do Sławkowa w humorach nawet niezłych. Trzyma się naszej paki skautowej jakiś szelmowski, łobuzerski śmiech, który każe drwić i śmiać się z owego odwrotu, choć w głębi duszy ciężko i źle... Jednak się jakoś nie dajemy, nadrabiając humorem...

11 listopad. Sławków — Chechło. — Nocowaliśmy w Sławkowie, o 4 km odległym zaledwie od granicy. O 10-ej wyruszyliśmy dalej. Sądziłem, że idziemy na Kraków, tymczasem wzięliśmy kierunek wręcz przeciwny, na północ. Znów wracamy do Chechła, gdzie po męczącym marszu przez rozległe, białe piaski rozkwaterowaliśmy się dość wygodnie.

13 listopad. Chechło. — Kwaterujemy w Chechle trzeci dzień. Ciągłe ćwiczenia. Widocznie, że prędko połączymy się z pułkiem, z Komendantem Piłsudskim, co oby się stało jak najprędzej, bo już zbrzydło i „nadojadło” owo włączenie się po tych okropnych kieleckich drogach, bez celu i kierunku.

14 listopad. Chechło. — Na dworze już zmierzcha. Cicho i spokojnie w okolicy. Podobno linja jest od nas oddalona o 20 km lecz huk dział nie słysząc.

Nie wiemy nic, jesteśmy zupełnie odcięci od świata! Podobno Ameryka kategorycznie żąda pokoju, podobno Szwecja wydała wojnę Rosji a Włochy Francji, podobno na zimę ma być zawieszenie broni... podobno, podobno... — wszystko podobno!

Nasz pluton objął podpor. Podolski¹⁾.

15 listopad. Chechło — Krzywopłoty — Załęże. — Przed południem mieliśmy ćwiczenia na „pustyni chłędowskiej”, a później nabo-

¹⁾ Obecnie kapitan rezerwy.

żeństwo z racji niedzieli. O drugiej wymarsz. Idziemy na Kwaśniów i Krzywopłoty przez błota i rozlane wody, potoki... Wieczorem o 8-ej stajemy za wsią Krzywopłoty, na zboczu jakiejś góry zamkowej, obok młyna, po kostki zanurzeni w wodę rozlanego szeroko stawu... Czekamy, marznąc, godzinę jedną, drugą.... Wodę pod nogami ścina mróz, wokół tworzy się szklisty lód i czepia się nóg. Zimno straszliwe, niesłychane... O 10-tej wreszcie jazda spać na strych młyna, na ostre grochowiny.

PIERWSZA BITWA

16 listopad. Krzywopłoty. — Spaliśmy na strychu. Rano wśród pysznego wschodu słońca, rzucającego różane blaski na biały, zmarznięty staw — usłyszeliśmy pierwsze strzały karabinowe.... O niecały kilometr za młynem, w którym stoimy, ciągną się pozycje.

Do młyna przyłażą z okopów żołnierze z VI i IV bataljonu, które już tu stoją od dwóch dni. Patrzymy na nich z zazdrością. Brudni okropnie, zamorusani w glinie i błocie, zmęczeni, ale pokpiwający z nas, ze świeżych rekrutów, w nowych niebieskich płaszczach.

Przez cały dzień pękały szrapnele i grały baterje!...

Od rana dzisiaj nic w ustach nie mieliśmy prócz kawałka chleba i dopiero wieczorem zagnano nas o kilometr w tył do taboru na kolację.

17 listopad. Krzywopłoty. — O 6-ej zbiórka i z połówką chleba marsz na górę zamkową. Wilgotno, świeżo. Na górze zamkowej wśród wysokich sosen spędziliśmy cały dzień jako rezerwa.

Już od samego rana armaty poczęły grać, a około południa usłyszeliśmy pierwszy świst karabinowych kul. Po południu trzask ognia karabinowego poczynął gęstnieć, huk armat raz za razem rozrywał powietrze. Wywiązywała się bitwa. Od zmierzchu nieprzerwany trzask ognia karabinowego potężniał, krwawą łuną zabłysła palona wieś Załęże... Zbiórka!

Obok nas biegiem przeleciała kompanja Słomki¹⁾, idąca w bój! Czekamy w radosnem podnieceniu... Ochota i zapal przebijają przez szereg, radość nas poprostu rozpiera. Zapomnieliśmy natychmiast o wszystkich trudach, o całym zmęczeniu, o chłódzie i głodzie... Obok nas stoi Narbutt. Kpimy wszyscy „na grandę” ze świstu kul, które co chwila przelatują ze śpiewem i świegotem...

Lecz w ogień jakoś nie poszliśmy! Po godzinie kompanja Słomki wróciła z Załęża, straciwszy ośmiu ludzi. Idziemy więc spać do swych nor, żłobionych na zboczu góry, by trząść się z zimna przez całą noc.

¹⁾ Por. Słomka, zginął w Legionach pod Łowczówkiem.

18 listopad. *Krzywopłoty*. — Siedzimy w okopach w lasku. Jesteśmy 3-cią linią rezerwy pułkowej. Karabiny maszynowe monotonnie trajkoczą, grzechot karabinowy coraz to potężnieje. Co chwila zawar-kocze szrapnel lub gwizdnie kula. Rosyjska artylerja milczy, zato nasze malutkie, górskie armatki i austriackie baterje co chwila posy-lają swych ognistych gońców. Prawdopodobnie będziemy się tłuc. Ciekawym ogromnie wrażenia, gdy będę łupił z manlichera nawprost do Moskali, gdy będę brał ich na muszkę. Wreszcie około 3-ej ruszy-liśmy. Dwa plutony pod komendą Narbutta, jeden w rezerwie. Prze-latujemy biegiem z góry zamkowej ku laskowi. W lasku odebrał Nar-butt rozkazy od bataljonowego Wyrwy¹⁾ który z trzcinką w rękę, w okrutnie podartych butach, stał w ogniu na okopie i wydawał dyspozycje.

Rozwinęliśmy się na brzegu lasku i wśród gradu moskiewskich kul, wśród krzyku Narbutta i Ulrycha: naprzód, naprzód, — pod ogniem karabina maszynowego, przelecieliśmy tyraljerką na jakieś wzgórze do gotowych okopów. Dolecieliśmy w kilkanaście minut, pozostawia-jąc kilku rannych, wtem i obywatela Ulrycha²⁾, komendanta 3 plu-tonu. Zabitych niema.

W głębokich okopach siedzieliśmy z pół godziny, a później gdy zapadł zmierzch, zpowrotem marsz do lasku.

19 listopad. *Krzywopłoty* — *Kwaśniów*. — Rano wstajemy z na-szych nor okryci śniegiem i rzucamy się łapczywie na gorącą, słodką kawę, którą nam podwieszono z Krzywopłotów w kuchni polowej. Od dwóch dni dostajemy po pół bochenka chleba na „twarz“, i dziwimy się nieustannie, że tak dużo. Podobno mamy stale już dostawać tyle, więc może skończy się już czas żywienia się karpiełami i „fasowa-nia“ dwu bochenków chleba na cały pluton...

Wieczorem, po zbiórce posuwamy się do wsi Kwaśniowa.

20 listopad. *Kwaśniów*. — Spaliśmy w nocy na strychu wśród nad-zwyczajnego zimna. Nocleg ten niczem się nie różnił od poprzednich na zamkowej górze, to też prawie oka nie zmrużyłem. Rano obudziłem się zmarznięty, osłabiony docna. Idziemy podobno na Śląsk. Ba-taljony VI i IV, do którego mamy być przydzieleni wycofały się już z walki.

21 listopad. *Kwaśniów* — *Klucze* — *Bogucin*. — O 10-ej zbiórka i bez śniadania marsz przez Klucze na Olkusz. Szliśmy dość dobrze. Pogoda wspaniała, pod nogami zmarznięta gruda. Za Kluczami, na równym polu mieliśmy defiladę i uroczystość wręczenia medali. Sta-liśmy w szyku rozwiniętym — dwa bataljony. Brzoza³⁾, dowódca

¹⁾ Wyrwa-Furgalski, zginął w Legionach.

²⁾ Obecnie pułkownik Szt. Gen.

³⁾ Obecnie pułkownik rezerwy.

naszej artylerji wystąpił i donośnym głosem pochwalił nas za męstwo pod Krzywopłotami, a potem wręczył trzy medale.

Chwila była uroczysta, to też na okrzyk Brzozy — Niech żyje Niepodległa Polska — odpowiedział tysięczny, ogromny głos: Niech żyje!! Później defilada w prawo przed trzema udekorowanymi wiarusami z VI-go bataljonu. Z jaką radością salutowaliśmy tym trzem mowcom!

Stanęliśmy we wsi Bogucin, odległej o 3 km od Olkusza, w dość dobrej kwaterze. Szukam starych strzelców z VI-go bataljonu, by się od nich cośnieco dowiedzieć o walce w Załężu, na którego pożar myśmy z góry zamkowej patrzyli. Okazuje się, że było tam morowe pranie i prawie walka na bagnety. Straty duże. Nasza kompanja gnała wówczas na górę, aby ściągnąć na siebie ogień rosyjski i żeby w ten sposób VI-ty bataljon mógł się wycofać z Załęża.

Teraz już wszystko rozumiem...

22 listopad. Bogucin — Stoimy dzisiaj w Bogucinie cały dzień. Wiadomości są dobre, Austriacy idą podobno naprzód. Prusacy rozbili Moskali pod Kutnem, zajęli Piotrków i zbliżają się do Łodzi. Kompanja nasza wcielona została do IV bataljonu obywatela Wyrwy.

23 listopad. Bogucin. — Szalenie zimny, wietrzny dzień. Niebo bez chmurki ciche i spokojne, zato na ziemi istne piekło! Hula wiatr po zmartwiałych drzewach, po chałupach przewala się i huczy. Mroźny zimowy dzień. Stoimy w Bogucinie w pogotowiu alarmowym. Lada chwila możemy wyruszyć, lecz kiedy — niewiadomo. Prześpiwaliśmy cały dzień na głodno!...

Podobno Austriacy chcieli nas zpowrotem cofnąć na linię, lecz im się to nie udało. Sami zaś precz „forikują”. Cały dzień ciągną tabory za taborami, bataljony za bataljonami.

25 listopad. Bogucin — Sławków — Strzemieszyce. — Znowuż stanęliśmy we wsi Strzemieszyce i czekamy zmiłowania Boskiego, a może pociągu, którym pono mamy gdzieś pojechać. — Dzień mroźny, lecz spokojny. Niemcy podobno wciąż atakują, — idą na Warszawę.

26 listopad. Strzemieszyce — Sucha. — Dzisiaj wyjeżdżamy ze Strzemieszyc, dokąd nie wiemy, lecz prawdopodobnie do Krakowa na połączenie się z Komendantem Piłsudskim. O 4-ej przy zapadającej nocy wyruszyliśmy na dworzec. Kilka godzin czekania w wagonach, a potem jazda.

WŁÓCZĘGA NA PODHALU

27 listopada. Sucha. — Noc przeszła szybko. Obudziłem się na stacji w Krakowie. Wokół czytano przy świetle świeczek gazety krakowskie.

Powoli zaczyna się wyjaśniać, więc oblepiliśmy okna, gdy pociąg ruszył i przypatrujemy się cudnym wzgórzom. Podhale. Jesteśmy w Galicji. Nawet nie wiem, kiedy przekroczyliśmy granicę Kongresówki.

O 11-ej stanęliśmy w Suchej. Po krótkim śniadaniu — a jeść teraz dają jakoś obficie — maszerujemy do zamku Branickiego, gdzie nocleg na gołych deskach. Nawet nam hrabia słomy nie dał...

Krążą tu złe wieści! Piłsudski jest podobno na linii, maszeruje z pozostałymi bataljonami. Nie tracimy jednak nadziei!... Dopóki Komendant jest z nami, nie wezmą nas w pacht ni „awstrijcy“ ni niemiaszki...

28 listopada. Sucha. — Przed obiadem mieliśmy ćwiczenia, o 2-giej zbiórka i wyruszamy w marszu na „baczość“ przy dźwiękach orkiestry — na dworzec. Zmierzchało się, gdyśmy wyjeżdżali, jakoby na linię. Po 6-ciu jednak godzinach tłuczenia się w wagonie przy cudnej, księżycowej nocy wysiedliśmy w... Suchej i marsz zpowrotem na zamek.

30 listopada. Sucha. — Nowy Targ. — Cudny rozkoszny dzień! W siwych, lekkich oparach kąpią się słońcem oblane szczyty podhalańskich wzgórz. Stoimy w szerokich, drewnianych szopach dworcowych, czekając na pociąg. Wokół gwar, orkiestra wesoło przygrywa. Jakaś tęskna zaduma chwyta za serce przy piosence: „Być żołnierzem rzecz cacana“.

Mamy jechać do Nowego Targu na dwutygodniowy pobyt na linii. Wyruszamy z ochotą, choć coraz częściej mówią o tem, że stajemy się austrijackimi żołnierzami, choć niezadowolenie wzrasta, choć głuche szmery chodzą po kompanji. Nasza paczka nie zważa na to! Wierzmy Piłsudskiemu! Obowiązek swój spełnić musimy, wytrwać do ostatka! Kto wie jeszcze jaka burza się szykuje, jakie losów koleje będziemy przechodzić, jaki obrót weźmie sprawa. P. O. N. podobno rozwiązane, a jesteśmy pod komendą N. K. N. — Głupstwo!

A Moskali wciąż podobno Prusacy piorą i piorą! A niechże, niech piorą i otworzą nam drogę do Warszawy. Już tam pewnie Komendant dobrze kręci, żeby się dostać do Warszawki, choć podobno (takie chodzą wieści) Prusacy nas nie tolerują! Tymczasem z przyjemnością słuchamy orkiestry i śpiewamy: „Może wróćę zdrów i zobaczę wkrótce Łódź“... a ja sobie siadłem na wózku traagarza i na „chybcika“ tymczasem piszę...

Wyjechaliśmy o 2 po poł. i jedziemy na Maków, Jordanów, Chabówkę do Nowego Targu. W wagonie pełno, gwarno i wesoło. Jedziemy doliną obok szosy i wartko płynącej Skawy. Wokół wzgórze i wzgórze, a my wyczekujemy Tatr, lecz szczytów ciągle nie widać. O 8-ej wieczór zajechaliśmy do Nowego Targu. Wieczór mroźny, lecz jasno jest jak za dnia. Błady i poważny księżyc nieci swemi promieniami miliony iskier na śniegu. Mróz siarczysty...

Po kilku minutach, przy dźwiękach naszej orkiestry ruszyliśmy do miasta, po zmarzniętej, oślizgłej drodze. Góralska ludność wita nas z ogromną radością, wszędzie śmiechy i wesele. Czujemy się wreszcie wśród swoich, na polskiej ziemi...

2 grudzień. Nowy Targ. — Stoimy tu już drugi dzień. Boski odpoczynek.

3 grudzień. Nowy Targ — Waksmund — Maniowy. — Spaliśmy dzisiaj na łóżku na nowej kwaterze! Pierwszy raz od wyruszenia z domu! To też z rozkoszą przeciągaliśmy się na wygodnych materacach.

Rano ćwiczenia do 12-ej, które prowadzimy na polu w śniegu po kostki. Po południu — ledwieśmy obiad zjedli, zbiórka alarmowa i o 2-giej wyruszyliśmy. Mieliśmy stanąć w pierwszej wsi za Nowym Targiem t. j. w Waksmundzie, a tymczasem wsie za wsią mijamy, godzina za godziną uchodzi, a my wciąż z przegiętymi karkami dźwigamy się w marszu. Wieczór już zapadł, noc nadchodziła chłodna i mroźna, gdyśmy stanęli na nocleg we wsi Maniowy.

4 grudzień. Maniowy — Krościenko — Szczawnica. — Ruszamy po herbatce, nasz pluton jako tylna straż. Fleszar prowadzi marsz, to też pędzimy wściekle po doskonałej zresztą szosie, zaganiając częstych maruderów.

Wokół dolina Dunajca. Wspaniałe wapienne skały Pienin, nagie iglice, przepaściste zbocza stoją ciche, przykryte lekkim płaszczem śniegu, zda się śnią... Za chwilę wznosi się przed nami potężna skała Czorsztynu. — A Dunajec mieni się srebrnymi barwami, toczy się wartko po zboczach skał, szumi ochoczo i wesoło...

Dochodzimy do Szczawnicy, gdzie w jednej chwili obydwa bataliony wsiąkły w wille, domki, chałupy. Kto żyw w Szczawnicy, młotka czy starsza, chłopak czy gazda wybiegli z jadłem, z pełnemi rękoma, ciągnąc na kwaterę. Kobiety starsze pochlipują, młode zęby szczerzą — to też spustoszenie w kolumnie następuje straszne. Nasza paczka pakuje się do pysznej willi, gdzie nas ze wzruszeniem przyjmują gospodarze i co ważniejsza — trzy panienki... Spędzamy tam wieczór i noc na pysznych łózkach, z prawdziwymi śnieżnymi poduszkami i materacami...

5 *grudzień. Szczawnica.* — Z ciężkiem sercem wstawaliśmy rano z miękkich łóżek. Po śniadaniu szukanie reszty plutonu, a po komiśnym obiedzie, który został w kotłach, zbiórka po naboje. Dostaliśmy po 200 sztuk. Narbutt zapowiedział, by je cenić, gdyż w tych górach o naboje trudno. Patrole stoją tuż tuż za wsią i włóczą się gęsto po okolicy, wyszukując kozaczków, którzy się tu i ówdzie pokazują.

7 *grudzień. Szczawnica — Niżne Łapsy.* — O 5-ej rano wpadł Zygmunt Chabowski z okrzykiem: „zbiórka w pełnym runsztunku!” — Wymarsz! Z prawdziwą wściekłością zaczęliśmy się zbierać. W willi zawrzał ruch, gospodarze za chwilę poprosili na śniadanie. Ogólna konsternacja i żal. Panienki mają smutne minki, załamują ręce...

Po wzruszającym pożegnaniu machnęliśmy na zbiórkę.

O 8-ej, gdy już kolumna ruszała, goni nas zdyszana panienka z naszej willi. Przebrana w mundur, uzbrojona. Mimo naszych perswazyj i protestów, „rekrut” pakuje się do pierwszej czwórki. Nie pomogły żadne namowy, prośby i groźby. Została jako obywatel Adam — i już...

Tymczasem marsz otwierał przed nami najcudowniejszy zakątek polski, wspaniały przełom Dunajca. Szliśmy w milczeniu przez wąską gardziel białych skał, przyczepieni do zboczy, po wąziutkiej drodze, na węgierski Spiż. W zachwycających skrętach, dzikich węzowiskach rwał pod nogami zielony Dunajec. Na nocleg stanęliśmy we wsi spiskiej, Niżne Łapsy.

8 *grudzień. Niżne Łapsy — Czarna Góra — Bukowina.* — Hej ciężkie marsze po górach, dolinach! Plecak ciągnie ku ziemi, głowa chyli się wdół od zdrewniałego karku, uda z ostatnim wysiłkiem podnoszą ciało wysoko, wysoko, ciągle w górę...

Idziemy po szerokich wzgórzach, stopniowo się wspinając, to znagła wdół lecąc chybikiem! Ciężkie marsze, ciężkie, od których dzika pasja w człowieku zbiera na własną niemoc, pot oczy zalewa, a odkrytą pierś górski wiatr chłodzi...

Z Niżnich Łapsów idziemy wciąż górami, z częstymi odpoczynkami. Już Tatry czernią się przed nami zboczami skał, sypkimi piargami. Potężnie i władnie spozierają ośnieżone turnie i jakby tuż tuż, objąć byś je chciał, tylko siwa mgła rozwleczone szeroko u stóp mówi, że daleka do nich jeszcze droga...

O 4-tej stanęliśmy we wsi Bukowinie o kilka kilometrów od Poronina i Zakopanego. Stoimy w czystej chałupie, gdzie młoda góralka gościnnie nas przyjmuje mlekiem, kartoflami, a stary gazda, z poornem czołem, dopytuje się ciekawie o tę bliską wojnę.

9 *grudzień. Bukowina — Poronin.* — Hej! Co za cudy natury mamy przed sobą! Nocą gwiazdne niebo a takie gwiazdne, że oczy mrużyć

trzeba, patrząc na promienne migotanie miliona gwiazd. Rankami krwawe, przepyszne jutrzeńki, na których tle potężne szczyty Tatr jeszcze się ogromniejsze i potężniejsze zdają, świąty różane na śniegach, na które patrzysz z cichym zachwytem, dziwujesz się i krzychałbyś z radości, że świat tak piękny, tak wspaniały...

O 10-tej wymaszerowaliśmy z Bukowiny i wciąż wdół serpentykami schodząc, zaszliśmy w południe do Poronina, gdzieśmy stanęli na noc.

10 grudzień. Poronin. — Godzina 5-ta po południu. Na dworze ciemno, niebo chmurne, halny wiatr świszcz w opłotkach, gra na smukłych smerekach, gna siwe, głębokie chmury, tłucze je po wyniosłych szczytach Tatr. Ciepły, halny wiatr pozganiał śniegi do rowów i dziur, rozkuł bystre potoki i zrudziałym płaszczem pokrył cyrle, hale i szerokie zbocza...

11 grudzień. Poronin. — Mamy w Poroninie „garę”. Dzisiaj przy zbiórce śniadaniowej Narbutt odczytał rozkaz o odpoczynku i odpowiednie do tego rozkazy. Będziemy mieli gimnastykę (a jakże!), poza tem wykłady i trochę ćwiczeń.

Pogoda wstrętna, chmury tłuką się po niebie, od gór ciągnie ciepły, wiosenny prawie wiatr, rozmiękła ziemia i błoto ślizga się pod nogami.

12 grudzień. Poronin. — Niewesołe nadeszły dzisiaj wiadomości. Ponoć Moskale coraz bardziej prą w Galicji, w Królestwie również źle. Nastroiły nas te wieści pesymistycznie, więc znów rozpoczęły się te długie, wieczorne gawędy, o tem co zrobimy w razie przegranej, gdzie się na emigrację udamy. Ciężkie, smutne myśli wloką się za starym szlakiem emigracyjnym, staremi polskimi drogami żołnierzy — tułaczy...

13 grudzień. Poronin — Szaflary — Nowy Targ — Ostrowsko. — O 5-tej rano pobudka i po śniadaniu marsz na Nowy Targ. Idziemy ponoć na linję.

Nad Tatrami wiszą chmury i mgły się czepiają nagich turni. W dolinach wilgoć i ciepło. Orkiestra przygrywa, idziemy szybkim marszem. O 10-tej stanęliśmy w Szaflarach na godzinny postój, a o 1-szej wkraczamy zpowrotem do Nowego Targu. Rozradowane twarze patrzą na nas wokół, gospodarze rozpoznają niedawnych swych gości, witając nas serdecznie. Radość jednak była krótka. Po godzinnym postoju pomaszerowaliśmy dalej...

14 grudzień. Ostrowsko — Łopuszna — Ochotnica. — Ciężki mieliśmy dzisiaj marsz. Choć częste były odpoczynki — solidnie zmachani weszliśmy o 4-ej po południu do Ochotnicy.

Rano ruszyliśmy z Ostrowska i z Łopuszna skręciliśmy na wschód w stronę Limanowej. Idziemy do Kamienicy Dolnej, prawdopodobnie



na linię, choć nie wszyscy tak sądzą. Coprawda ludzie są przemęczeni. Od Krzywopłotów wieczne marsze i kontrmarsze, najwyżej jedno, dwudniowe odpoczynki. Połowa ludzi w bataljonie choruje. Podobno Komendant ma na celu trzymanie nas jak najdalej od linii, by zaoszczędzić nasz IV i VI bataljon. A z drugiej strony znowu twierdzą, że idziemy na pewniaka na linię, że pierwszy, trzeci, piąty bataljon są w ogniu i, że my idziemy ich zmienić. Nie wiadomo co sądzić. Lecz faktem jest, że z przyjemnością poszlibyśmy już na linię, byle tylko prędzej póki jeszcze zapasy są w plecaku, a na dworze jako tako ciepło i mróz jeszcze nie ścisnął.

15 grudzień. Ochotnica — Łącko — Kadcza. — Do południa ponoć mamy stać w Ochotnicy, do której wczoraj po całodziennym marszu przywlekliśmy się, lecz już o 12-tej wpada dyżurny z okrzykiem: alarm! W kilka minut stanęliśmy przy Narbucie. Nadjechał porucznik Rokita¹⁾ z okrzykiem: Komendant i pułk w Nowym Sączu — maszerować! Odpowiedział mu ogromny krzyk radości i w doskonałych, przepysznym humorach ruszyliśmy. Marsz był ciężki, gdyż rwaliśmy mocnym krokiem. O 4-tej postój i obiad na szosie, poczem znów dalej. Noc zapada, godzina za godziną upływa, a my wciąż kilometry za kilometrami zostawiamy za sobą. Stanęliśmy we wsi Kadcza.

16 grudzień. Kadcza — Gołkowice — Podegrodzie. — Dzisiaj przed wymarszem, gdyśmy stali na szosie, od przechodzącego dziadka, niosącego opłatki, dostaliśmy po całej paczce, jednej na pluton. — „Niech tam panom Matka Boska da święta spędzić spokojnie” — życzył nam dziaduś bezzębniemi usty.

W południe stanęliśmy we wsi Podegrodziu.

17 grudzień. Podegrodzie — Nowy Sącz. — Ruszyliśmy po obiedzie do Nowego Sącza i przestrzeń dwunastu km przeszliśmy szparko. Do miasta wchodzimy przy hucznych dźwiękach orkiestry, która rżnie potężnie. Wszystkie balkony wypełnione widzami, witają nas ludziska serdecznie, radośnie! A wiara wycina mocny, równy krok z głową do góry podniesioną, zwysoka, dumnie patrząc na wałęsających się Austriaków.

18 grudzień. Nowy Sącz. — W Sączu ruch ogromny. Zebrały się tu wszystkie bataljony pułku, to też strzelców moc. Miasto uroczyście się przygotowuje do urządzenia nam wilji i świąt.

Sytuacja podobno doskonała. Prusacy piorą „rusków” strasznie, w Galicji Moskale cofnęły się ponoć za Tarnów i Rzeszów. Oby to była prawda!

¹⁾ Rokita-Maksymowicz, obecnie płk. piechoty.

Dzisiaj z byłego pułku 1 stworzono teraz dwa, a z nich I Brygadę. 1 pułk pod komendą Śmigłego¹⁾, a 2²⁾ — Norwida³⁾. Obecnie jesteśmy 1 kompanią I bataljonu 2-go (5-go) pułku! Każdy pułk składa się z trzech bataljonów, bataljon z trzech kompanij, te zaś z trzech plutonów.

20 grudzień. Nowy Sącz — Zbyszyce. — Do obiadu pyszny mieliśmy dzień. Słonecznie, jasno, ciepło! Tłumy strzelców i ułanów spacerują po ulicach Sącza, flirt i romanse z nadobnymi sączankami niby wiosną. Nastrój doskonały. Krążą pogłoski, że mamy iść do Królestwa i t.d.

Dostaliśmy „Wiadomości Polskie” z Cieszyna i opis bitwy pod Krzywopłotami. Moskale dostają strasznie w skórę, ofensywa ich jest zupełnie złamana. Mieliśmy tutaj zostać podobno na święta, na które uroczyste się Sącz szykował, lecz niedługo trwały nadzieje. O 4-tej zbiórka alarmowa, wydanie żelaznych porcyj i gwałtowny marsz na linię, do późnej nocy w kierunku Tarnowa. Droga trudna do przebycia, gnałimy jednak prawie bez odpoczynku. Stanęliśmy wreszcie we wsi Zbyszyce — cały pluton w trzech izbach na słomie. Zmęczeni jesteśmy, jednocześnie zaś uradowani, że mamy choć takie kwatery.

21 grudzień. Zbyszyce — Zakliczyn. — Chłodny wiatr na dworze, a rozkiszłe błoto chłapie pod nogami... Całe dwa pułki naszej brygady maszerują siwą, głęboką kolumną, rozwleczoną na kilka kilometrów. Gdy od czasu do czasu wzbija się szosa ku górze wśród ciemnej ramy lasów, z jakąż rozkoszą spoglądamy z wyniosłości na siwego, błękitnego węża, na kolumny wojska polskiego ciągnące się przed nami, ciągnące za nami...

Linia nas ponoć czeka w dużych lasach. Około południa spotkałimy Austriaków, prowadzących kilkuset Moskali. Jeńcy wyglądają okrutnie nędznie. Na kawałek chleba lub suchara rzucają się jak zgłodniałe wilki, to też nie czujemy jakoś do nich nienawiści, widząc ich bez broni, zgłodniałych, wynędzniałych...

Orkiestra gra. Około 5-tej stajemy w jakiejś wsi, na obiedzie, a potem długi postój na cmentarzu kościelnym. Chłodno, wiatr — a wiara zbiera się grupkami i śpiewa kolędy. Wieczorem stanęliśmy w Zakliczynie.

LAS POD ŁOWCZÓWKIEM

22 grudzień Zakliczyn — Lichwin. — Wczesny marsz szosą w kierunku na Tarnów. Gnamy jak wściekli, bezustanku. Ludzie szalenie

¹⁾ Śmigły-Rydz, obecnie generał dywizji.

²⁾ 2-gi pułk a właściwie 5-y, gdyż taką cyfrę otrzymał on w ogólnej numeracji pułków legionowych.

³⁾ Norwid-Neugebauer, obecnie generał dywizji.

przemęczeni. Stanęliśmy wreszcie obydwoma pułkami i z szosy, zawałonej austriacką artylerją i konnicą, skrociliśmy na prawo, na pagórkowate poszarpane wzgórzami pola i lasy. Koło południa usłyszeliśmy daleki stukot karabinów maszynowych.

Idziemy teraz powoli z częstymi przystankami, a o 3-ej po południu — już podzieleni — doszliśmy do brzegu lasu, gdzie stanęliśmy jako rezerwa. I pułk poszedł natychmiast w las, do okopów, w ogień...



Kpt. Pękrzyc-Grudziński.

Pod wieczór cofnęliśmy się do wsi, zdaje się że Lichwina, w dolinkę pod lasiem, na kwatery. Szrapnele poczęły nas już macać a granaty z chichotem ryły potężne wyrwy w czarnej, ciężkiej ziemi. Stanęliśmy w ciasnej izbie, w której razem z góralską rodziną mieści się krowina z cielęciem, lecz ściska się jako tako cały pluton, Bóg wie jak i gdzie rozmieszczony. Wieczorem przyszedł Narbutt i Grudziński¹⁾, który objął nasz bataljon i zjadali z nami morowe pyrki z konserwami. Grudziński ma niesłychanie dobre, pocziwe oczy, które gdy mówi o czemś niemiłym, przykrem — nabierają stalowego, chłodnego wyrazu, tak przejmującego, jakiego u nikogo jeszcze nie spotykałem ..

23 grudzień. Łowczówek. — O 6-ej rano poderwano nas na nogi i po wypiciu gorącej kawy, okrutnie błotnistą drogą leśną, doszliśmy na przeciwną stronę młodego, dębowego lasu. Karabiny maszynowe już tu tłuką, trask ognia karabinowego to słabnie, to potężnieje. Po drodze napotkaliśmy wziętych do niewoli przez 1 pułk około stu Moskali w tem kilku oficerów. To Śmigły już w nocy atakował.

Nastrój doskonały, idziemy w humorach nadzwyczajnych. W lasu czekamy kilka godzin, bawiąc się rozbijaniem moskiewskich karabi-

¹⁾ Zginął w Legionach.

nów, wreszcie około 10-ej poszliśmy naprzód, by przedłużyć lewe skrzydło II bataljonu. Po zajęciu grupkami wyrytych już okopów, zostałem natychmiast przez Narbutta wysłany jako podoficer dyżurny z meldunkiem do Grudzińskiego o obsadzeniu przez nas linii. Odchodząc z meldunkiem, stanąłem w pewnym miejscu, gdzie wyrąb lasu tworzył niby okno, przez które było widać szeroką dolinę, przetrziętą białą wstęgą rzeki i porytą krętymi linjami okopów. Ze wszystkich stron rwał tam ogień karabinowy, niby nieustanne bębnienie deszczu po szybach... W dole, w odległości 800 — 1000 kroków widać pierwszą, jasną linię okopów, gdzie są Moskale. Stąd mają nas, zdaje się, atakować. Nie wytrzymałem i oparłszy manlicher o drzewo wyrzuciłem pięć naboii...

Grudzińskiego znalazłem o kilkaset kroków w tyle z rezerwową kompanją. Wypytał mnie swym dobrym głosem o rozkład pozycji i natychmiast wysłał mnie dalej z meldunkiem, na drugi koniec lasu do chałupy, gdzie stał Fleszar. Zaszedłem tam po dwugodzinnej coś wędrowce bo całkiem straciłem orjantację w tych niezliczonych jarach i parowach leśnych. Zalażłem aż całkiem w prawo do 1-go pułku, skąd mnie dopiero skierowano we właściwe miejsce.

Fleszar, skorom mu znękany i spocony, do izby chłopskiej, pełnej ordynansów naszych i austriackich, przyniósł meldunek, kazał mi na mapie pokazać dokładnie naszą pozycję i zatrzymał jako łącznika do Grudzińskiego.

Przez całą noc kilka coś razy z najwyższym zmęczeniem i z wściekłością przenosiłem rozkazy przez ten obłądny, okropny, trzaskający ekrazytówkami lasek, aż nad ranem wyrwałem się wreszcie do kompanji, która stała już w rezerwie w małym jarze, tuż za wczorajszymi okopami.

24 grudzień. Łowczówek. — W lasku nieustanny, przenikliwy trzask pękających nad głowami ekrazytówek. Dowiaduję się po drodze od łącznika, że Zdzich Chabowski zabity został zaraz pod wieczór, w pierwszych godzinach. Oprócz Zdzicha zabitych jest jeszcze trzech: podoficer, zafrontowiec Brzeski (Wysznacki), Kubik i Kapuścik z II plutonu.

W rezerwie chłopcy rozłożeni na mokrej, szeleszczącej zeschłemi liśćmi ziemi — opowiadają o szczegółach wczorajszego dnia. Zdzich Chabowski zginął, wyrwawszy się na ochotnika, by ratować wracającego z patrolu Kapuścika. Rozszarpany został kulami, gdyż Moskale podsunęli się pod same okopy. Wysznacki dostał w serce, gdy w ciasnym okopie siedział na kolanach Narbutta...

Godzina za godziną mija, powoli się zmierzcha, krwawe blaski wieczornej zorzy zalewają, czerwienią młody las. Wieczór wigilijny.

Łamiąc się sucharami, bo nie dla wszystkich starczyło opłatków, składamy sobie życzenia, siłąc się na humor i beztroskę. Pierwsza wigilja spędzona w polu, daleko od rodzinnego domu...

Zapada wieczór i biały księżyc osrebrza las. O 5-ej nasz pluton wychodzi do okopów. Po godzinie wycofują nas i cicho, tajemniczo z bagnetami na broni wychodzimy z lasu. Cisza — tylko coraz zaśpiewa kulka i trzaśnie o drzewo.

W głuchej ciszy doszliśmy do kwatery Fleszara, gdzie za chwilę rozkaz zmieniono. Wracamy do okopów. Błądząc trochę po pagórkach lasu, dochodzimy wreszcie na dawne miejsce. Ledwieśmy stanęli, by zająć rozpoznawane okopy, gdy nagle migotliwa koronka ognia trzasnęła nam w twarz. Salwa Moskali, którzy po chwilowym wycofaniu się naszym — doszli już do okopów i zajęli je.

Zawahała się wiara w pierwszej chwili i zachwiała, ale krzykiem Narbutta poderwana — ruszyła gwałtownie naprzód, wprost na błysk karabinów, bijących w nas o kilkanaście kroków. Z krzykiem zajęliśmy okopy, już opróżnione...

Całą noc bez zmrużenia powiek tkwiliśmy w nieustannym prawie ogniu. Co chwila szmery podnosiły się przed nami i trzeba było krocić co sił...

W okopie bije obok mnie Weze¹⁾ z III plutonu, a między nami całkiem spokojnie leżał se trup moskiewski... Zemocjowani, czujni, z natężoną uwagą słuchający przedpola, aniśmy go spostrzegli, dopiero nad ranem w sinym blasku ujrzał go pierwszy Weze, poczem chwalebne wysiłkami wyrzuciliśmy go z okopu wdół do Moskali.

Przez caluteńki dzień uwaga napięta, naprężona. Moskale leżą pod nami na równi pochyłej, o jakie 30 do 40 kroków. Co chwila zrywa się stamtąd gwałtowny trzask ognia, na który my natychmiast odpowiadamy grzechotem manlicherów... W przerwach polujemy na ich siwe, baranie czapy, co nam o tyle łatwiej przychodzi, że jesteśmy na górze, a oni na dole...

Obchodzimy dziś pierwsze święto Bożego Narodzenia. Co jakiś czas, w gruchocie ognia, przy nieco dysharmonijnym okrzyku rannych, których sypie się coraz więcej, śpiewamy kolędy...

Zawodzimy staropolskie „Lulajże Jezuniu, lulajże, lulaj“... składając się z karabinów, na których błyszczące zamki od czasu do czasu kapnie sentymentalna łezka...

Poza tem trzyma się nas dziki upór i gotowiśmy na pazury drzeć się z sybircami, choćby za to, że nam tak piękne święto w kochanym Sączu na nic popsuli...

¹⁾ Zginął w Legionach.

Piszę te słowa w okopie, opierając się o żółtą, trochę grób świeży przypominającą ścianę, gdy tymczasem mój towarzysz uważnie penetruje krzaki przed sobą czy nie wysuwa się stamtąd jaka czapa... Wiara poza tem na zmianę strzela, śpiewa i czyta. Bowiem w Podogrodziu obrabowaliśmy doszczętnie jakąś bibliotekę szkolną i każdy napchał se do tornistrów lektury od powiastek Teresy Jadwigi począwszy na Słowackim i Wyspiańskim skończywszy. Gdy który ranny i zabity zostawi tornister, wyjmują stamtąd inni książki. Jest tego tak wiele, że wiatr się bawi białymi kartkami i przerzuca je do Moskali. Co te jełopy se pomyśla, gdy im Sienkiewicza czy Słowackiego „kawałek” wiatr zanieśie?...

O 4-ej chyłkiem, tajemniczo, już o zmroku wycofaliśmy się zupełnie z lasku ژیگی Austriakom, którzy zwiali na skrzydłach i samych nas w lasku zostawili. Natychmiast po opuszczeniu przez nas okopów Moskale ruszyli na laszek z okropnym „urra”!

Do późnej nocy błakaliśmy się po różnych dziurach, aż wreszcie stanęliśmy we wsi Wróblewicach.

26 *grudzień. Wróblewice — Zakliczyn.* — Zbudziła nas baba rano że kartofle i woda się warzą. Szybkośmy się ubrali i zjedli po kociołku kartofli z konserwami, popijanemi kubkiem słodkiej, gorącej kawy. Odetchnęliśmy z ulgą, bo już nam wczoraj wieczór głód poczytnał kiszki skręcać. Po obiedzie, o 4-ej alarmowa zbiórka i marsz nadół po wertepach na kwatery całym bataljonem. Na dole, we wsi Narbutt miał krótką do nas przemowę, kilka serdecznych słów. Zdjęciem czapek i wzruszeniem głębokiem uczciliśmy poległych pod Łowczówkiem...

Lecz wrażenia na wojnie szybko się zmieniają... Za chwilę rozdano nam gwiazdkę. Pudełko z łakociami na czterech. Radość i śmiech wokół. Idziemy na kwatery do stodół. Ledwieśmy się rozkwaterowali, znowu zbiórka i wymarsz. Bataljon stał z godzinę na górze, czekając widocznie na rozkazy, a nasz pluton miał wyżej placówkę i wedetę. O 8-ej ruszyliśmy naprzód i po dość uciążliwym marszu doszliśmy o 11-ej nocą do Zakliczyna, gdzie po kolacji na rynku — marsz spać na 5 godzin do jakichś niesłychanie brudnych, żydowskich kwater, w których od kilku tygodni stali na zmianę Moskale i Austriacy.

27 *grudzień. Zakliczyn — Lipnica — Górna.* — O piątej rano niewyspani, zmęczeni, zarzuciliśmy tornistry i jazda na rynek po herbatę. Do 8-ej staliśmy na rynku, podśpiewując grupkami, gwarząc o bitwie i o dalszych przypuszczalnych losach. Wieści krążą, że idziemy do Krakowa i Królestwa. Może do „niebieskiego” jeżeli na linję pójdziemy, ale zawsze do Królestwa. Wreszcie ruszyliśmy.

Droga podła, błoto po kostki. Tabory austriackie ciągną naprzeciw, więc co chwila stajemy. Gdy orkiestra zaczyna smętnie wyciągać, grać naszą 8-kę¹⁾, wzruszenie nas ogarnia potężne. Żal, tak serdecznie żal tych młodych serc, które bić przestały tam, pod Łowczówkiem, w szumiącym, dębowym lasku.

Tymczasem błoto, sięgające do kostek, czepiające się nóg, gęste, przepaściste — doprowadza nas do prawdziwej rozpacz. O 4-ej doszliśmy do Lipnicy i znowu pod górę, to znów wąwozem do wsi. Co chwila odpada maruder, siada na ziemi zrozpaczony, klnie, nie mogąc iść dalej. Wreszcie stanęliśmy w Lipnicy Górnej.



Leon Berbecki, komendant II pułku (5 p.p. Leg.)

28 grudzień.—Lipnica Górna.—Odpoczynek, i to podobno tygodniowy!! Dzisiaj po 12-godzinach snu, czujemy się tak rozbici, że ledwo się trzymamy na nogach! Myślimy tylko o jedzeniu, by się cokolwiek podreperować. Może czekają nas żmudne marsze po błotach Królestwa — trzeba więc sił nieco nabrać.

Dzisiaj objął komendę nad naszym pułkiem kapitan Berbecki (Lech²⁾), były oficer rosyjski, który ma za sobą kampanię japońską.

¹⁾ 8-ka nazwa utworu muzycznego — od Łowczówka stał się ulubioną melodią 1 i 5 p. Do jej melodii dostosowano w 2 lata później słowa, z których powstała pieśń „My pierwsza brygada”.

²⁾ Obecnie generał dywizji.

30 grudzień. *Lipnica Górna*. — Godzina 3-cia po południu. Skończyłem właśnie służbę gońca w bataljonie i wróciłem na naszą kwaterę. Spodziewany napewno wczoraj wymarsz nie doszedł do skutku, gdyż przyjechał Komendant z wymuszonym na Austriakach odpoczynkiem dla Brygady

Dzień nam przeszedł na ciągłym fasunku. Poza tem zaszedł ważny fakt: zmieniliśmy komendanta bataljonu. Porucznik Grudziński oddał komendę nad bataljonem kapitanowi Sławowi Zwierzyńskiemu, młodziutkiemu, prawie dziecinnemu oficerowi.



Kpt. Sław-Zwierzyński.

31 grudzień. Kończy się dzisiaj rok 1914, a tymczasem wojnie ani nie sni się kończyć, choć wszyscy wybieraliśmy się przecie na nią najwyżej do świąt... Nikt nikogo do szczytu nie rozbił, ani Niemiaszki rady Moskałom dać nie mogą, ani Francuzy „Germińcom”...

Ano zobaczymy co nam da przyszły rok — a tymczasem na Sylwestra będziemy se życzyli, aby w Niepodległej...

Mam teraz wrażenie, jakbym niepodległość stokroć lepiej rozumiał i odczuł, przez to, że mogłem się o nią bić. Żem widział krew „ich” i żem widział blade twarze naszych chłopców, zasnute śmiercią pod Krzywopełotami i Łowczówkiem...

25 luty 1915 roku. *Kęty*. — Siedzieliśmy w Kętach połowę stycznia i prawie cały luty. Z Lipnicy Murowanej kilkudniowym marszem dociągnęliśmy do tej podgórskiej, małej miejsciny i bataljonami rozlokowaliśmy się po okolicznych wsiach.

Nie pisałem w tym czasie, jak zwykle, z dnia na dzień swego pamiętnika. Wlokły się dnie jedne do drugich podobne, jednakie. Ćwiczenia, ćwiczenia i jeszcze raz ćwiczenia — „bawienie się w wojsko”.

służba wewnętrzna, regulaminy, warty... Po zaśnieżonych polach tłukło się godzinami musztrę formalną i bojową, a w długie wieczory, przy nieświatłej lampie pisało się listy. Konie poczty polowej padały ze znużenia, bowiem „leguny” rozpisywały się za wszystkie czasy... Za jesienne chłody, błota, za Laski, Krzywopłoty, Limanowę, Łowczówek, za swoje złe i dobre czasy. Gdy zapadał wieczór, odbywały się okropnie długie „romanse”, jak je nazywaliśmy i każdy jak umiał i mógł, opisywał atramentem czy ołówkiem kopiowym żołnierskie swe przeżycia. A że to wszyscy młodzi chłopcy, niektórzy dzieci poprostu, więc wypłakiwała się dusza za matczyną pieśczętą, za ciepłem domowych rozkoszy, do których jednak żaden, za żadne skarby by jeszcze nie wrócił... Wojna nie skończona do „Niepodległej” droga jeszcze przed nami długa.

Monotonję zimowych wieczorów przerywała poczta, która nad podziw regularnie przychodziła i spijanie herbat wraz z niezliczoną ilością paczków, jakich w „herbaciarni legjonowej” za śmieszne hale-rze można było się najeść za wszystkie niedojedzone czasy... To zacne „ligawki”, kochana opieka kobieca, pamiętała o postoju Brygady w prześwietnych Kętach...

Siedziałem raz z naszą paką skautową przy owych paczkach. Kurzyło się z herbat, z papierosów, biło ciepło z rozpalonego pieca. Śmiech, pogawędka, ruch i gwar...

Rumor się nagle uczynił i scichła sala. Wśród wyprężonych, szarych mundurów przeszedł Komendant i siadł z adjutantem przy stoliku.

Cisza trwała dalej — na chwilę roztrącona suwaniem i stukiem krzeseł. Przerywał ją tylko niski, kochany głos, przekomarzający się ze spłonioną i wniebowziętą „ligawką”, a leguny wpiły chciwie swe oczy w twarz Komendanta, zamieniły się całe w słuch, w natężenie, by nie uronić ani jednego słowa, gestu, spojrzenia...

Tygodnie „gary” w Kętach zleciały jak piorun. Pod koniec coraz częściej i głośniejsze zaczęto mówić o wymarszu, który nastąpić ma wreszcie jutro, 26 lutego.

Wracam więc do pamiętnika, by znów drobnym maczkiem zostawić za sobą historję tego, co już było, co przechodzi...

Zapomniałem zapisać. Po Łowczówku Jurek Szletyński został mianowany sierżantem, Tosiek Berlach kapralem, Adek Goldenberg i ja starszymi żołnierzami. Nasz 1-szy pluton objął podporucznik Stefan Rowecki¹⁾, piotrkowianin.

¹⁾ Obecnie podpułkownik Szt. Gen.

NAD WIERNĄ RZEKĄ

26 luty. Kęty — Szczakowa. — Pobudka, choć spodziewaliśmy się jej wcześniej, odbyła się jak zwykle o 7-ej. Wymarsz o 2-ej. I znowu najrozmaitsze przypuszczenia. Jedni twierdzą, że dopiero z Bielska wyjazd pociągiem, inni, że wprost z Kęt. A dokąd — czy do Dukli, gdzie sroży się ofensywa rosyjska, czy na Bukowinę, czy pod Tarnów lub Warszawę — tego nikt nie wie. Podobno pod Warszawę, do Piotrkowa — tak część z uporem zatwardziałym głosi, zaś inni, że nieodwołalnie pod Tarnów, starym szlakiem na Łowczówek.

Przy komendzie pułku postój i krótka przemowa Narbutta do nas. Mówił spokojnie lecz ostro. „W bojach, które nas czekają, zachwujcie się jak polscy żołnierze! Miejcie pogardę śmierci, którą mają nasi wrogowie, Niemcy! Niechaj nikt z was nie myśli o śmierci, gdy idzie w bój. Powinien tylko każdy z was o obowiązku pamiętać, o tem, by cel osiągnąć”.

Zebrał się bataljon i pomaszerowaliśmy na Bielsk. Przed karczmą stanęliśmy, by uzupełnić amunicję, gdy wtem gruchnęła wieść, że jedziemy wprost do Piotrkowa na organizację i, że to tylko nasz bataljon rusza. Radość niesłychana!

O 5-ej byliśmy w Bielsku. Marsz przez miasto wypadł doskonale. Muzyka rżnęła, wiara szła aż ziemia się trzęsła.

Dopiero na peronie dworcowym rozeszła się wiadomość, lecz już na serjo powtarzana, że jedziemy pod Jędrzejów, na linię. I rzeczywiście wiadomość okazała się prawdziwa.

Komendant wpadł na chwilę, przeglądnął wyprężone szeregi, zarządził wymarsz i zniknął.

27 luty. Szczakowa — Jędrzejów — Opatkowice Drewniane nad Nidą. — Rano obudziłem się w Szczakowej. Jeszcze tylko kilka kilometrów do granicy. Zniknęły już śniegi Karpat, równiny szerokie, kochane równiny, do których takżeśmy się stęsknili, roztaczają się naokół. Pociąg powoli przechodzi przez most granicznej rzeki, tu już kraj „carski” — Królestwo!

Na stacji w Olkuszu niema już napisów moskiewskich, tam gdzie sześć miesięcy temu był napis tylko rosyjski, obecnie już tylko polski.

Coraz to więcej zbliżamy się do Jędrzejowa. Tam zburzona, spalona stacja, tabory ogromne i wielkie, trajkoczące, ciężarowe samochody naokół.

Po obiedzie wymarsz. Bataljon w czwórkach rusza do miasta, wiara w pysznym nastroju. Nareszcie będziemy się bić w tem kochanem Królestwie, na szerokich równinach, u siebie. Muzyka różnie, mieszańcy witają nas ze zdziwieniem, chwilami z radością.

Do 9-ej wieczorem trwał marsz. Przepyszna, jasna noc otoczyła nas swemi skrzydłami. Wiara idzie zcicha, gwarząc, zatapiając wzrok w szerokie, kochane dale. Stanęliśmy we wsi Opatkowicach Drewnianych, na kwaterę dostaliśmy izdebkę małą, ciemną, lecz jakże nam miłą...

Przyszedł rozkaz: „Nie wolno nic rekwirować! Z ludnością obchodzić się jak najgrzeczniej, jak najłagodniej!”

28 lutego. *Opatkowice Drewniane*. — Powitał nas prawdziwy polski poranek, pcranek pół szerokich, osmętniałych dziwnie w szare dni, a radosny, jasny gdy złote, dobre słońce blask roztoczy na ugory, niwy, łąny bogate.

Przywitał nas jeden z tych cudnych wiosennych poranków, kiedy to słońce srebrzy oszroniałe ugory, łamiąc się w tysiącznych iskrach na drobnych kryształach szronu. Powietrze rzeźwe, chłodne, tak czyste, że mógłbyś świat objąć jednym spojrzeniem.

Wychodzą strzelcy jeden po drugim z chałup, zda się wyciągają ramiona do tych pół szerokich, miedz siwych i cichych drzemiących grusz! Porzuciliśmy wreszcie te góry przekłete, te góry tak pyszne w swym majestacie śnieżnych grani, błyszczących w słońcu szczytów a tak niemiłosiernych, męczących, gdy z plecakiem ciężkim i „gwerem” w garści wspinałeś się wyżej i wyżej..-

Pod słońcem sinieją wdali zamglone wzgórza pozycij moskiewskich, po szarych ugorach wiją się pręgami żółte okopy. Ciekawa pozycja! Od 10-ciu tygodni Moskale i Austrjacy siedzą naprzeciwko siebie po obu stronach Nidy, nie czyniąc sobie żadnej szkody.

W powietrzu cicho. Nie dochodzi ni stłumiony zdaleka, ni bliski, ostry, huk dział, nie słysząc przejmującego chichotu granatów i gwizdu szrapneli...

Wiesz zaś prawdziwie polska! Po obu stronach drogi rozsiadły się bielone chaty, zasobne w lata pokoju, karmione urodzajną ziemią pińczowską!

1 marzec. *Opatkowice Drewniane*. — Brygada nasza zajmuje stanowiska od wsi Chojny do Brylczyzna, nad Nidą. Szeroko się tu rozsiadły błotniste łąki, tworząc o tej porze zaporę dla ataków niepowszednią. W niektórych miejscach okopy moskiewskie oddalone są od nas o 4 tylko km, a przestrzeń między niemi — to błota i łąki, wśród których leniwie toczy się Nida. Nasz bataljon będzie zajmował skrajne, prawe skrzydło w sąsiedztwie z Austrjakami.

2 marzec. *Opatkowice Drewniane*. — Cała l'nja naszych okopów obwiedziona jest tutaj drutem kolczastym, a walk prawdopodobnie większych nie będzie, gdyż i Moskale i Austrjacy znają obustronne swoje stanowiska, tak, że mogą granatami poniszczyć najlepsze okopy i powybić moc ludzi. Unikają tedy strat starannie.

Jutro o 4-ej po południu wymarsz na pozycję. Mamy przemaszerować 10 km do wsi Pawłowic lub Brylczyzna.

3 marzec. *Opatkowice Dr. — Mierzwin — Grudzyń — Tur — Pawłowice.* — Wczesna i szybka wiosna zawiodła, mści się natomiast zima i odrabia nagwałt to, czego nie odrobiła w styczniu i lutym. Mieliliśmy w Lipnicy i Kętach dni pięknej wiosny, dni budzącej się natury. Cieszyliśmy się, że najzimniejszą porę przetrwaliśmy na odpoczynku, a teraz zima powróciła w całej swej srogości, siepie ostrym śniegiem po twarzy, mrozi wszystko zimnym swym podmuchem.

O 4.40 zbiórka, kompanja stanęła w dwurzędzie. Wiara ciepło ubrana, w kominiarkach, szalikach, wesóło gwarzy. Nagwałt dziela fasunek, rozdają chleb, kawę, kakao, cukier. Droga we wsi ciągną kompanje piechoty, jedna za drugą, z cichą piosnką... Witają się znajomi, wołania, pokrzyki wesole, gwar... Wreszcie „kolumną czwórkową w prawo — maszerować” — rozlega się głos Sława i ruszamy na Mierzwin, Grudzyń, Tur do Pawłowic.

Powoli zapada zmrok i obejmuje nas cicha, bezgwiezdna noc, tajemniczo milcząca. Z Dolnego Tura idziemy w kompletnej ciszy i milczeniu. Cicho, bez chrzęstu posuwa się czarny wąż. Jęknę od czasu do czasu nad głowami zabłąkana kula, wokół czernią się okopy, wiją druty kolczaste. Cicho tak, że słyszałbyś bicie serc...

Gdzieś woddali, wysoko z Pińczowa zamigotał reflektor... Zielone, błyskotliwe, mieniające się promienie, jak oczy bazyliuszka, macać i ślizgać się poczęły po cichych, porzniętych polach... Zamigotał drugi... Gdzieś tam błysnął nagle snop światła.

Zajmujemy wreszcie okopy. Ziemianki i chałupy tuż przed okopami.

Linja jest ubezpieczona w ten sposób, że żołnierze stoją na kwaterach w chałupach i ziemiankach, w nocy rozstawiane są placówki na połowie drogi między rzeką a okopami, przed okopami zaś stoją posterunki alarmowe.

4 marzec. *Okopy w Pawłowicach.* — Linja prawie że spokojna, tylko od czasu do czasu łupią Moskale. Po południu poszedł patrol z zadaniem dotarcia do Nidy i zbadania jaki jest do niej dostęp. Szedł początkowo równolegle do rzeczki Mierzawy, następnie w lewo i ukazał się nagle Moskalom niczem od nich nie osłonięty. Gruchnął strzał jeden, drugi...

Patrol szybko zbadał dostęp i rwie już prosto do chałup... A za nim trzaskają strzały karabinowe, co chwila gwizdnie kula... Dopadli wreszcie chałup cali i zdrowi.

Za chwilę zagrało rozgłośnie powietrze i pękł szrapnel za chałupami. Bzzzz — bum — drugi, wreszcie trzeci, czwarty. Pękały wszystkie z 500 m za chałupami, nie czyniąc szkody nikomu.

Wieczorem ruch zapanował w kompanji. Dojrzano przez szkła, że Moskałe coś zanadto po brzegu się wałęsają, kręcą się podejrzenie. Zgłosiłem się na patrol, dostaję więc Edka Pfeiffera i Antka Gruszczyńskiego, z którymi mam dojść nocą na brzeg Nidy, okopać się i cały dzień następny obserwować Moskali, by zebrać dane co do dostępu nad rzeką z naszej i moskiewskiej strony. Narbutt spokojnie, szczegółowo wyjaśnił jak mamy zachowywać się, poza tem resztę zostawił naszemu sprytowi.

5 marzec. Okopy w Pawłowicach. — O 1-ej po północy poczęliśmy się zbierać, o 2-ej wychodzimy. Odprowadza nas Jur Szletyński, szepcząc swe uwagi... Noc cicha, dość jasna. Przechodzimy posterunki alarmowe, następnie placówki, na połowie drogi żegnamy się. Jur będzie z chłopcami czekał na lewym brzegu Mierzawy, by w razie czego skoczyć ku nam... Krótkie pożegnanie, uścisk dłoni. Rozchodzimy się w przeciwnie strony i po chwili znikamy. Przez wątlą kładkę kierujemy się wprost do domku, gdzie kwateruje komenda bataljonu austriackiego. Zebraliśmy tam potrzebne informacje i pod osłoną plutonu austriackiego posuwamy się cicho, ostrożnie naprzód. Idziemy na przedzie, za nami o jakieś 30 m posuwa się czarna linja plutonu.

Nida... Posępne, dziwne wrażenie otchłani ciągnącej ku sobie. Na przeciwnym brzegu o jakieś 20 kroków czernieje pasmo wiklin, gdzie stoją wedety moskiewskie...

Ostrożnie, stąpając jak koty, szukamy miejsca i w wiklinie przy ujściu Mierzawy, szybko, gorączkowo poczynamy kopać.

Zostajemy sami. Jeden zostaje na warcie, ukryty w wiklinach, pozostali dwaj kopią. Robota idzie szybko. Łopatki pracują cicho, bezszelestnie. Ziemia mokra, kamieni niema, więc najmniejszego odgłosu kopania nie słysząc. Po półgodzinie ściągamy wartę i cicho, bez oddechu prawie lokujemy się w „dekungu”.

Noc coraz bardziej jaśnieje. Cisza — aż w uszach dzwoni, z rosyjskiego brzegu nie słysząc nic, cisza zupełna...

Świta... Kuropatwy zaczynają się odzywać to tu, to tam, z wrzaskiem zerwała się kaczka z wiklin, ściągając na to miejsce nasz baczny, ostry wzrok. Dnieje... Wpół do 6-ej.

Do 9-ej rano siedzieliśmy prawie bez ruchu. Wreszcie wzgórze, pozycje rosyjskie zaczęły się wyraziściej, ostrzej rysować. Padł jeden strzał, drugi — gwizdnęła kulka nad okopem. Nie do nas! Gdyby nas tylko spostrzegli, zostalibyśmy w przeciągu kilku minut poprostu rozstrzelani...

Moskale dość gęsto pukają i kule to dalej, to bliżej, to wyżej, to niżej bzykają nad okopem.

Okazuje się, że nasz okop jest doskonały. Zaszyty zupełnie w wiklinach nie rzuca się w oczy, my natomiast widzimy doskonale pozycje rosyjskie.

Godzina za godziną upływa — zaczynamy robotę. Edek i Antek przez lornetki stale obserwują pozycje na brzegu przeciwnym, ja zaś pomieszczam obserwacje w szkicach perspektywicznym i topograficznym. Moskale kręcą się po pozycjach, umacniają je solidnie.

Przekąśliśmy chlebem i odpoczęliśmy w południe. Dzień bez wiatru. Na linii ruch. Goręcej niż zwykle trzaskają karabiny, artylerja pracuje na całym froncie. Nad naszym okopem nieustannie grają kule.

Skończyliśmy robotę, czekamy z upragnieniem zmierzchu. Godziny płyną powoli, poczyną nami trząść zimno. Wreszcie mija 5-ta, 6-ta, zmierzch poczyną zapadać, cisza śmiertelna wokół. Umilkła artylerja i karabiny. Znowu jak rano poczynają się odzywać kuropatwy, znów ta sama kaczką zrywa się z wiklin. Podskakuje zwolna zajęć, staje tuż nad okopem, śmiesznie ruszając mordką. Zapadł zmierzch... Z bijącym sercem, lisiemi krokami wycofujemy się z nad wikliny. Uszliśmy już nad Mierzawę ze 60 kroków, gdy naraz zatrzymuje nas głos: Stój, kto idzie?... Strzelcy — Jur? Dobra jest — wszystko w porządku!...

Wracamy szybko na pozycję, opowiadając o wywiadzie, poza tem uradowani jesteśmy nadzwyczajnie, że wywiad się udał. Z jaką radością meldowałem Narbuttowi: „Obywatelu poruczniku, melduje posłusznie — rozkaz spełniony!”

6 marzec. Okopy w Pawłowicach. — Nie wiem, jak minął dzień, gdyż po patrolu wczorajszym spałem zdaje się, całą dobę...

7 marzec. Okopy w Pawłowicach. — Suchy śnieg zacina od czasu do czasu, mroźny wiatr hula po polach. Gruda skrzypi pod nogami — zima w całej swej srogości.

Edek Pfeiffer dostał nadzwyczajną misję i jeżeli uda mu się, to okryje siebie i cały nasz pluton skautowski niebyszącą chwałą. Mianowicie ma się przedostać do Pińczowa na drugi brzeg i porobić odpowiednie wywiady. Nie wiadomo czy mu się uda, gdyż wyprawa szalenie ryzykowna.

O 8-ej wymarsz na sąsiedni odcinek. W cichości zbierają się plutony. Noc ciemna, bezgwiezdna. Czarny wąż posuwa się naprzód, tajemniczo, ostrożnie. Rozkazy podaje się z ust do ust.

9 marzec. Okopy w Pawłowicach. — Dziwnie na pozycji cicho, ani jeden strzał armatni rozgłośnym hukiem nie dzwoni w powietrzu, nie słychać monotonnego popukiwania karabinów...

Po całonocnej służbie śpimy jak zabici...

Wreszcie się wiara wyspała i ciemna ziemianka rozbłyskać zaczyna migotliwym światłem piecyka... Ciepło miłe, chłopcy wesoło odwalają kawały.

Sław ze sztabem bataljonu ciągle się włóczy po okopach, zachodzi aż do placówki, wypatruje pozycje moskiewskie, gdyż dziwnem mu się wydaje ta cisza po drugiej stronie Nidy..



Okopy nad Nidą.

Coś trochę po 3-ej wpadł dyżurny z rozkazem, bym natychmiast w rynsztunku polowym zjawił się u komendanta kompanji. W kilka minut byłem gotów — dziwiąc się, co za zadanie mogę mieć za dnia. U Narbutta dowiedziałem się o co chodzi. Jest mianowicie możliwość, że Moskale opuścili swe stanowiska, więc aby się o tem przekonać, mam pójść na brzeg, zobaczyć czy Nida wylała, następnie ściągnąć na siebie uwagę, a więc i strzały moskiewskie...

Ruszamy. Pogoda wspaniała, lekki mroziak szczypie w uszy, słońce rzuca fioletowe cienie.

Ruszyliśmy nawprost placówki Nr. 3. Edek, Pasierbowicz i ja... Posuwamy się naprzód zupełnie pewnie, dochodzimy do samej rzeki i posuwamy się wzdłuż koryta. Nida rozlała szeroko i rozlewiska zamrożone skrzypią rozgłośnie pod stopami, nurt główny płynie wartko. Edek zawzięcie lornetuje, jesteśmy najzupełniej pewni, że Moskale pozycję opuścili. Stoimy właśnie nad samym brzegiem, na

zakręcie, odlegli o 30 kroków od wiklin przeciwległych, gdy naraz buchnął strzał i zjadliwym świstem rozpruł powietrze pomiędzy naszymi głowami. Rozpadliśmy się piorunującym ruchem i rzuciliśmy się wtył z palcem na cynglu. Buchnął drugi, trzeci strzał... Ze świstem trzasnęła kula w łód, druga gwizdnęła nad uchem.

Cofamy się szybko, coraz to padając w grudy. Nikogo jednak nie widać...

Znowu dwa strzały, cofamy się szybciej i już bez strzału ze strony Moskali dochodzimy do wsi.

Obok kuchni stoi grupa oficerów, śledząca nas dotąd przez szkła. Zdaję meldunek Sławowi. Berbecki śmiejąc się, powiada, iż Pińczowa nie będziemy dzisiaj oglądali. Cała kompanja zaalarmowana strzałami, wszyscy wylegli na okopy patrzeć na nasz wywiad. Ja się ciągle dziwię, że jeszcze się ruszam, że jeszcze żyję — nie mogę sobie zdać sprawy, z jakiej racji nas nie ranili nawet z tak bliskiej strzelając odległości...

11 marzec. Okopy w Pawłowicach. — Mamy dzisiaj placówkę, cały pluton. Noc zimna i śnieżna, ogromny wiatr. O 10-tej wyszedłem z Kozaczyńskim i po długich tarapatach, zmarznięci jak licho dotarliśmy do por. Rybarskiego¹⁾ komendanta 2 kompanji. U nich spokojnie — u nas również. Powróciłem zadowolony, że będę mógł się prześpać, lecz krótka nadzieja. Po godzinie Jurek Szletyński budzi mnie, że z rozkazu Roweckiego ciągniemy na patrol. Zły jestem, jak sto djabłów — poprostu przeraża mnie to wściekłe zimno na dworze. Włóczyliśmy się w piątkę ze dwie godziny. Rowecki, Tosiek, Poraj-Pstrokoński²⁾, Grabałowski³⁾ i ja.

Na wybrzeżu cisza...

12 marzec. Okopy w Pawłowicach. — Powoli zbliża się noc — około 8-ej zbiera Jurek ośmiu ludzi na patrol — idzie z nami Sław. Z placówki Nr. 3, wprost przed siebie posuwamy się dwuszeręgiem. Na czele idzie Sław, Styk-Stachiewicz podporucznik⁴⁾ oraz Edek Pfeiffer i ja... Noc, niezbyt ciemna, szara, dość mglista.

Zaczyna sypać mokry śnieg. Dochodzimy do rzeki, trzech ludzi z Jurkiem idzie w lewo spatrolować krzaki. Sław, Styk i Edek w prawo. Mija kilka minut — nad rzeką zupełna cisza, mgła tylko coraz większa się podnosi, tak, że reflektor moskiewski z trudem przebijająćmę nocną...

Wracamy. Nie uszliśmy nawet 50 kroków, gdy huknęły strzały od

¹⁾ Poległ w Legionach pod Urzędowem.

²⁾ Obecnie kapitan piechoty.

³⁾ Poległ w wojnie polsko-rosyjskiej w r. 1920.

⁴⁾ Obecnie pułkownik Szt. Gen.

naszych pozycji i kule sycząc przeleciały nad głowami... Padliśmy momentalnie i przyrośliśmy do ziemi. Strzały nie milkły jednak, kule świszczą tuż, tuż nad głowami. Cóż u diabła?...

W pierwszej chwili myślałem, że to Moskale, lecz zaczynam się orjentować, że to chyba 2 kompanja. Gdy tylko strzały milkną, posuwamy się naprzód, lecz co chwila świst kul rzuca nas na ziemię. Kołując tak, doszliśmy do placówki Nr. 2 i weszliśmy na pozycję. Strzały okazały się kompanji 2.

Dziwny świst mają nasze kule, wręcz odmienny od kul moskiewskich. Moskiewskie — ostro zakończone — wydają złowrogi, przerażający świst, nasze zaś bardziej buczący brzęk.

14 marzec. Okopyw Pawłowicach. — Pięć miesięcy już bezmała mija od tej ostatniej nocy przed wyjazdem z Łodzi, kiedy byłem komendantem warty. I jak wtenczas, tak i teraz wielka cisza mnie ogarnia i jak wówczas piszę pamiętnik... Jakież to dawne czasy.

Od połowy nocy rozprawdzam posterunki alarmowe, a noc cicha, ciepła przyszła tak nagle, jak nagle zima się dziś skończyła. Wczoraj powiał ciepły wiatr, zwał śniegi z pól, napoił wilgocią ziemię, a dzisiaj już usłyszałem pierwszego skowronka, jak świergotał nad siwą, szarą ziemię, pod siwem, szarem niebem.

15 marzec. Pawłowice — Mierzwin. — Przeszliśmy dzisiaj do rezerwy, odpoczynek „co cud”...

16 — 23 marzec. Mierzwin. — Przez cały tydzień siedzieliśmy w Mierzwinie w rezerwie. Nie bardzo jednak odpoczywaliśmy, jako że ustawicznie nas ganimano do przenoszenia kozłów z drutami na pozycje. Noc w noc mieliśmy ciężką robotę... 19-go poza tem był wielki fest i wielka radość z racji imienin Komendanta. Z każdej kompanji poszły winszować Dziadkowi delegacje...

24 marzec. Mierzwin — Imielnica. — Dzisiaj przed wymarszem do Imielnicy, wydzielono nas z kompanji Narbutta do specjalnego plutonu wywiadowczego, który ma objąć Rowecki. Z żalem się rozstajemy z Narbuttem, z 1 kompanją, lecz czujemy, że obowiązkiem naszym jest być w tym właśnie plutonie.

Przemysł wzięty, padł podobno z głodu. Wściekamy się na to bydlę austriackie i spodziewamy się, że w związku z tem zajdzie możliwość opuszczenia linii Nidy. To byłoby okropne!...

25 marzec. Imielnica. — Poszliśmy dzisiaj na „spacer”. Pogoda taka przepyszna, słońce tak wspaniale grzeje, że śmiało na spacer można iść. Zaszliśmy do lasu na wzgórzu, skąd Austriacy walą ze swych baterij. Potężne armaty 12 cm waliły całą baterją, gdyśmy podeszli. Huk piekielny...

Z góry widać doskonale całe Skowronno, ogromną toń błot i srebrną wstęgę Nidy... Stoimy w Imielnicy, przy komendzie bataljonu, w rezerwie.

26 marzec. Imielnica. — Po wczorajszym cudnym dniu wróciła znów zima. Wiatr przegania chmury, czasem zacina śnieg. Jurek Szletyński, Adek Goldenberg i ja dostaliśmy dzisiaj nominację: — Ju na starszego sierżanta, my dwaj na kaprali.

Wieczór nam przeszedł na gwarzeniu o Łowczówku. Gospodarz, u któregośmy stali, z głębokiem przejęciem słuchał opowiadań, po-



Imieniny Komendanta nad Nidą.

kpiwał razem z nami z Moskali i z prawdziwą sympatją częstował nas kartoflami z barszczem.

1 kwiecień. Imielnica. — Wiosna wciąż w całej pełni. W dzień szkicowaliśmy dla Sława trzecią linię okopów — pod wieczór wzięliśmy się łąpczywie do gazet. Nic, tylko Przemyśl, Przemyśl i Przemyśl. Rozpisują się pismaki o bohaterskiej jego obronie, o głodzie, o załodze — ale naprawdę to musiał tam być z tem poddaniem jakiś niezgorszy skandal...

Poza tem wieści chodzą o spodziewanym ataku Moskali, o jakimś wielkim ich „angryfie”. Na święta spodziewamy się gorętszych dni — gdyż front gotuje się od ognia co chwila. Coprawda na odcinkach austriackich — u nas jakoś spokojnie. Rowecki twierdzi, że

jeżeli ataku dziś w nocy nie będzie — to wogóle będzie już spokój, a poza tem artylerji jest tak sporo, że niełatwo pod jej ogniem będą mogli Moskale co zrobić.

3 *kwiecień. Imielnica.*—Jakoś na froncie cisza. Nie myślimy o nim— bo ważniejszy jest dla nas świąteczny „fasunek”. Otrzymaliśmy już dzisiaj „na twarz” po dwufuntowej strucli, pomarańcze, figi, orzechy i tym podobne cywilne „delikatesy”, które energję naszą pochłonęły w zupełności, w kierunku jak najbardziej niszczyielskim...

4 *kwiecień. Imielnica.* — O 4.30 rano zbudził nas gospodarz — mieliśmy pójść do kościoła. Za oknem gaśł już blade księżyc, majaczył ledwie, ledwie szary świt. Wiara jednak po innych kwaterach pospała się tak, że tylko alarm mógłby ją do przytomności doprowadzić — więc z kościoła trzeba było zrezygnować.

Do świątecznego śniadania szykujemy się uroczyście. Przybraliśmy stół, rozłożyliśmy wszelakie zapasy, by jak najbardziej zimitować „domową” Wielkanoc. O 11-ej z rumorem wpadliśmy do chorego na malarję Adka — a później wyrwaliśmy na murawę, by zagrać w „nożną”. Nie zaczęliśmy jeszcze, gdy z chrzęstem i tętentem wpadła na koniach cała oficerska banda bataljonu, by grać w „lisa”. Pierwszy gnał na swym siwku wysmukły Narbutt, za nim w galopadzie, w podskokach i lansadach adjutant bataljonu zadzierzysty Trapszo¹⁾, zatoczył koło zawsze roześmiany Rokita, za nim Rybarski z pocieszną miną wiejskiego bakałarza, Styk, Borek²⁾ i lekarz na swym komicznym Rossynancie, wreszcie ostrym kłusem, na wysokiej szkapie zajechał kapitan Sław.

Rozpoczęła się szalona gonitwa. Na krańcu murawy stanął Narbutt z chusteczką na ramieniu i na dany znak wypadła nań hurma koni. Zakręcił koniem raz i drugi, tocząc szerokie koła, rozpuścił siwka i gnał, raz wraz na miejscu zawracając, a bokiem przelatywali z tętentem inni, wyciągając drapieżne ręce. Zatoczyli wreszcie wspólnie koło i wraz wszyscy ścisnęli go końmi, że musiał Rokicie chustkę oddać. Porwał ją zaraz Trapszo i hasał z nią długo, wykręcając się, jak piskorz z rąk, aż dojechał go Sław i zdarł chustkę. Znow Trapszo ją porwał a reszta gnała za nim rozhukanemi końmi, przypierając go do stodół i płotów, lecz wymykał się ciągle, by za chwilę znow błysnął gdzieś na innym koncu.

Wokół murawy zebrała się cała prawie wiara żołnierska. Oni się bawili dobrze, lecz my jeszcze lepiej, a każda kompanja stawiała na swego komendanta, wśród krzyków radości i wesela.

¹⁾ Obecnie major Szt. Gen.

²⁾ Obecnie major rez.

Wreszcie skończyli, a Sław zaproponował z nami mecz. Już Narbutt rozstawia partję, obok żołnierzy stają oficerowie, kapitaństwo drużyny obejmuje Maniś Pacholski, biorąc pod komendę prawdziwego kapitana z trzema gwiazdkami. Zaczęła się gra wesoła, namiętna i zażarta, w której „manszaft” kopsał się z oficerami, wzajem się wszyscy rozbijali, jedno się zrobiło wrzeszczące rojowisko, bawiące się spolem, jak dzieci radośnie i wesoło, do późnego zmierzchu...

5 *kwiecień. Imielnica.* — Rano zwały się paczki z domów. Całe tego stosy do bataljonu przywiozły wozy prowiantowe. Od skautek łódzkich dostaliśmy przepyszne mazurki z lukrowanemi lilijkami, które sprofanowaliśmy natychmiast, uczciwie dzieląc mazurkami pluton. Dopiero teraz w całej pełni żołądkowej odczuwaliśmy świąteczny nastrój, którym zresztą nadęci jesteśmy do nieprzyzwoitości. Ani nam w głowie wojna, front, okopy, Nida — wszystko to przybladło, prawie znikło z naszej świadomości. Moskale nasz nastrój snadź szanują, bo od trzech dni nie pada ani jeden strzał z żadnej strony. Jesteśmy im zobowiązani, oni nam zapewne także — i tak nam święta na froncie przechodzą...

WIOSNA 1915 ROKU

6 *kwiecień. Imielnica.* — Nasz pluton szumnie nazwany „wywiadowczym”, został przydzielony jako I-szy pluton do nowoutworzonej 4 kompanji, którą objął podporucznik Styk-Stachiewicz. Wściekli jesteśmy, gdyż kompanja marna, złożona przeważnie z byłych taborytów — pociesza nas jednak Rowecki, że i tak to samo będziemy pracowali jako wywiadowcy. W kompanji oprócz Styka i Roweckiego, jest jeszcze podporucznik Pandor-Furgalski¹⁾ — brat Wyrwy, a sierżantów jest trzech: Jurek Szletyński, Flojar-Rajchman²⁾ i Rusin³⁾.

Masę miałem dziś roboty i sporo przytem wrażeń. O jedenastej wyszliśmy z Mańkiem, Władkiem i Zygmuntem do lasu Sobowice-Kwasków, by uzupełnić specjalkę i wykonać wywiad drugiej i trzeciej linii okopów. Jutro przechodzimy na odcinek drugiego bataljonu i już zawczasu mamy wykonać tę robotę. Adek ma prawy punkt, Tosiek Berlach środkowy, ja skrajny, lewy.

Specjalka okazała się zupełnie zła i musiałem nową mapę robić. Szliśmy odkrytem wzgórzem, szeroką tyraljerą, notując teren. Idę spokojnie z teczka w rękę, gdy wtem gwizdnęła tuż, tuż moskiew-

¹⁾ Obecnie ppłk. Szt. Gen.

²⁾ Obecnie kpt. Szt. Gen.

³⁾ Obecnie mjr. piechoty, zastępca komendanta miasta w Warszawie.

ska kula. Klęknąłem szybko i zawołałem na Chabeusza, by wlaź do okopów. Ledwieśmy weszli — druga kula. Biec poczęliśmy do domku wdół, a już kule siepią za nami w chałupę. Cofamy się za chałupami lecz ledwieśmy za nie weszli — znów gwizd nad głowami. Padliśmy do rowu przydrożnego, lecz i tu nas spostrzegli, więc chyłkiem drogą wdół za wzgórek, gdzie już byliśmy bezpieczni.

7 kwiecień. Imielnica — Kwasków. — Dzisiaj wymarsz na odcinek II bataljonu. Do południa robiłem szkice z wczorajszych wywiadów wraz z Tośkiem i Adkiem. Wyruszyliśmy o 7-mej z Imielnicy i na 8-mą byliśmy w chałupie przy lasku...

8 kwiecień. Okopy w Kwaskowie. — Obudziłem się o 12-ej w południe, wyspany świetnie. Izba zawalona żołnierzami. Śpią jeden na drugim i obok drugiego z nogami na głowie, z głową na nogach, różnie, jak się kto w nocy położył. Obok mnie wciśnięty leży Hirek Pacholski, Grabałowski rozłożył ręce szeroko i mruczy przez sen, wiara śpi...

Około 1-szej zaczęliśmy się ubierać — obiad skromny, kartofle i herbata. O 6-ej poszliśmy budować ziemiankę. Zmierzch szybko zapadł, gdyż dzień był dżdżysty i chłodny. VI bataljon wysłał silne patrole nad Nidę, wobec czego 4 kompanja ma zachowywać jak najgłębszą ciszę...

Wieczorem zajaśniał reflektor i snopem zimnego światła zalał okopy. Za chwilę mignęły dwa błyski nad naszym laskiem, dwa krótkie huki przerwały ciszę wieczoru i wnet dwa błyski pękających szrapneli łysnęły tuż przy reflektorze. Zgasł. Za chwilę jednak znów błyszczącym okiem szukać ciekawie poczał przedpola, lecz nowe dwa błyski szrapneli ukazały się przy nim, więc cofnął swą ciekawość do kamery. To „turki” macają reflektora. „Turkami” nazywamy dwie baterje armat tureckich, z których ciągle Austriacy walą.

10 kwiecień. Okopy w Kwaskowie. — O 4-ej rano zbudził mnie Papierski, starszy żołnierz, mój zastępca w sekcji. Posterunki należało ściągnąć bowiem już świt jasną pręgą wciskał się między szpary okien, zasłoniętych czarnymi płachtami.

Dzień wstawał jasny, słoneczny, chłodne powietrze biło w twarz, młoda ruń zielonych wzgórz jaskrawiła się na zboczu góry Skowronno. Zielone płyty pól jaśniały na brązowym tle góry, żółte i białe pręgi okopów moskiewskich wiły się węzłem, oślepiającym blaskiem lśniła się Nida w promieniach wschodzącego słońca... Szliśmy do Sobowic okopami. Pocięta żółtymi rowami zielona ruń, zdeptane bujne życiodajne pędy bezwzględny obcasem żołnierza. Wdali, u stóp falistego wzgórza, ciągnęły chłopskie konie pług, a obok, nieco dalej, dwóch „legunów” orze artyleryjskimi końmi rolę chłopa, któremu

dobytek zabrała wojna.. Ta wiosenna orka w obliczu srogiej wojny, wśród pękających szrapneli i świstu kul, sprawia dziwnie radosne i przejmujące wrażenie...



Orka wśród okopów.

14 kwiecień. Okopy w Kwaskowie. — Spaliśmy w ziemiance. Noc przeszła względnie spokojnie, tylko około północy wedety waliły gęsto, prawdopodobnie do krzaków. Na dworze wichura, deszcz i ciemność kompletna. Moskale walili również i to przeważnie ekrażytkami, które co chwila pękały rozgłośnie na przedpiersiach okopów.

Obudziliśmy się koło szóstej przerażeni. Deszcz nam kapał przez dach ziemianki, pomógł nam kocie i dopiero, gdy woda doszła do bielizny, zaczęliśmy nagwałt uciekać z ziemianki do chałupy, gdzie stała 1 i 3 sekcja. Okopy zalane wodą, w ziemiankach mokro, kapie na nosy. W pierwszej sekcji na noc pozawieszali chłopcy menażki pod dziurami, a rano budząc się uderzali o nie głowami i całą zawartość wylewali sobie za koszule...

Dzień chmurny, chłodny, deszcz mży...

Jurek przyszedł z bataljonu z przepysznymi wieściami. Podobno Durski¹⁾ przyjeżdża do nas na przegląd. Dostaje potem „dymę” a Komendant zabiera pozostałe dwa pułki II Brygady i tworzy dywizję...

16 kwiecień. Okopy w Kwaskowie. — Noc cicha, gwiazdzista, zachodzą się stosunki „towarzyskie” w walce pozycyjnej. Szeroko roz-

¹⁾ Gen. Trzaska-Durski, naówczas komendant Legionów.

lane fale Nidy doskonale przenoszą głos, więc wiara rozmawia z Moskalami na odległość.

Stoimy na brzegu. Roziskrzzone gwiazdy odbijają się w spokojnych blaskach wody. Zdaleka hen, czernieją okopy przeciwnego brzegu. Ta przedziwna cisza wieczoru i rozlewny szept nocy, przzerwany zostaje nagle rubasznym, dalekim głosem, wyraźnie odbijającym się od wody.



Komendant nad Nidą.

— Z katoroj guberniji! — woła donośny głos wedety moskiewskiej. — Odpowiadają nasi, zapytując również — po chwili zjawia się propozycja zaśpiewania i cisza wieczorna podaje hen, po wodach, po ugorach, po nocnych cieniach, spokojną, rycerską, poważną pieśń:— „Jak umrzeć nam przyjdzie w polu, nie w tajgach Sybiru nam zgnić, z trudu naszego i znoju, Polska powstanie by żyć”...

Zcichła pieśń a z drugiej strony zrywa się wołanie: — Pojtie pa ruski, pojtie...

Za chwilę powstaje ugoda między dwoma brzegami.

— Zawtra nie budiem strelat! — krzyczą Moskale, na co z całą aprobatą zgadzamy się, obiecując, że i my strzelać nie będziemy. Za-

wiera się wspólny kontrakt między żołnierzami, przedziwny, bo oparty na honorze żołnierza...

Miałem w nocy alarmy. Błota wiosenne mają swoją nocną kapełę rodzinną, mają swoje nieuchwytne westchnienia głębokie, mają swe szmery niepokojące, trwożne... Dzikie kaczki niespokojnie trzepoczą się po wodzie, to czajka zawoła rozgłośnie, to bąk zajęczy głucho...

Wedety zdenerwowane wytężają słuch, ściskają kurczowo karabin gotowy do strzału i gdy kaczka wrzaśnie, dziwnie ludzkim głosem, załopocze skrzydłami po wodzie — stój! kto idzie, — zawoła wedeta i z bezpiecznikiem otwartym, posuwa się naprzód, słysząc chlupanie coraz głośniejsze i wyraźne człapanie nóg...

Błysk i huk... Wedeta nie wytrzymała...

Miałem dzisiaj właśnie ten wypadek. Wystawiłem pojedyncze wedety, lecz coraz to któraś waliła w kaczki, dopiero po wystawieniu podwójnych wedet — nieco się uspokoiło.

17 *kwiecień. Kwasków — Mierzwin.* — Dzień przeszedł spokojnie — według nocnej umowy, ani jeden nie padł strzał — oblana blaskami słońca lśni Nida, lekki wiosenny wiatr przynosi z nad rzeki wesoły gwar ptactwa.

Żołnierze spokojnie chodzą po okopach, poprawiają blindaż, naprawiają ziemianki. Nie słychać złośliwego wizgu kul — cisza zupełna.

O 10-ej wymarsz do rezerwy. Noc ciemna, choć gwiazdami roziskrzone niebo. O 12-ej w nocy przyszliśmy do Mierzwina.

18 — 26 *kwiecień. Mierzwin — Opatkowice Drewniane.* — Znow kilka dni przesiedzieliśmy w rezerwie, początkowo w Mierzwinie a od przedwczoraj tam, gdzie najpierw przymaszerowaliśmy, t. j. w Opatkowicach Drewnianych. Dnie przeszły dość monotennie. Wygrzewaliśmy się na słońcu i pisaliśmy sążniste listy do domów...

27 *kwiecień. Opatkowice Drewniane — Sobowice.* — Szaloną noc mieliśmy dzisiaj... Już kładąc się spać słyszeliśmy delikatne szmery, daleką grzechotanie karabinów, tak daleką, że zlewała się w cichym wieczorze w delikatny szmer.

O 3-ej w nocy obudziliśmy się naraz wszyscy...

Przez szpary w stodole widać było jasną, księżycową noc, rozmiętą bladymi gwiazdami...

Belkowania stodoły lekko drżały, z dachów, z poszycia sypał się pył...

Wszystkie baterje na naszym odcinku biły. Przewalały się potężne huki, jakby tysiące wozów dudniło po bruku, trzęsło się powietrze, coraz przeraźliwszym, mocniejszym hukiem przerywane...

To baterje bliższe... Raz... dwa... trzy... cztery — sześć ostrych trzasków przerwało dudnienie, to znow głębsze, dalsze gromy baterji

i znów sześć bliskich z Imielnicy... Bum, bum, bum, bum... cztery razy... To haubice z Imielnicy, a te sześć — to forteczne krakowskie... Przez chwilę bliższe baterje umilkły, słysząc jeno ciągłe dudnienie dalszych, a z tego oddalonego łomotu wyłaniał się co chwila szmer, monotonny grzechot karabinów, zlewający się w jeden beznamiętny, nieustanny szmer deszczu po szybach...

Nagle karabin maszynowy zatrajkotał i znów bum, bum huczały baterje. Rozpętał się wreszcie jeden nieopisany, namiętny łomot. W powietrzu jakby się piekło zmagalo...

Siedzimy na swych słomianych posłaniach, rozmawiając szeptem, lada chwila gotowi na alarm gnać w tę jasną noc, ku rozbłyskującym wstęgami ognia okopom.

Dywersja, czy też atak?... Niepokoiśmy się o Adka i Hirka, którzy wyszli wieczorem wezwani przez komendę bataljonu. A łoskot coraz to potężnieje, szaleje coraz bardziej.

Nasuwamy koce na głowę, by jeszcze chwilę przespać przed przypuszczalnym alarmem, lecz próżne wysiłki.

Tak przeszła noc, gdy z gromów ognia doleciał nas radosny, spokojny śpiew skowronka, wzbijającego się ponad łany, wśród blednącej nocy...

Spailiśmy długo i mocno. Rzeźwy poranny chłód nas obudził, więc wyszliśmy na zalane światłem słońca podwórze...

Wiosenny, przepyszny, radosny dzień zakłócony został przez Jurka, który przyniósł nam wiadomości jakoby pułki karpackie — drugi i trzeci — zostały rozwiązane i wcielone plutonami do armji niemieckiej jako wywiadowcze. Nie może się to nam pomieścić w głowie, to nie może być, tam by się działy straszne rzeczy. Tam są wszak ludzie, którzy wycierpieli całą zimę w Karpatach, którzy się bili na Węgrzech, którzy tyle rozczarowań przenieśli, ci ludzie nie pozwoliliby się rozbić, nie cofnęliby się przed najrozpaczliwszym czynem. Odsuwam od siebie tę straszną myśl i wierzyć mi się nie chce i myśleć o tem nie mogę...

Adek z Hirkiem Pacholskim byli wczoraj jako przewodnicy na drugiej stronie mostu dla kompanji V bataljonu. Walili do nich potężnie. Komendant V bataljonu Olszyna - Wilczyński¹⁾ przeszedł na drugą stronę Nidy i dał się na cały głos: „Bataljon w schody, pluton w tylerjery, — strzelać — ogień pojedynczy... To też w jego stronę zwrócili Moskale straszny ogień, a Olszyna miał ze sobą wszystkiego 15 ludzi. Prawdopodobnie ukaże się rosyjski biuletyn o odparciu szalonych ataków z ogromnymi stratami dla wroga.

¹⁾ Obecnie generał brygady.

Bądź co bądź dywersja się udała, bo cała nasza linja waliła, baterje miały wybić każda po czterysta pocisków, więc tam moskalikom porządnie było ciepło.

Przydzielili do naszego oddziału trzech ludzi z konnego oddziału wywiadowczego Świętopełka¹⁾. Byli oni tam przed czterema dniami i twierdzą na pewne, że drugi pułk II Brygady jest już w Piotrkowie, a trzeci zjedzie wkrótce. A więc to jest bajka, co mówili o nich. Chwała Bogu...

O 7-ej wymarsz bataljonu na pozycję. Przymaszerowaliśmy do Sobowic. 4 i 2 kompanja do ckopów, 3 i 2 do Imielnicy.

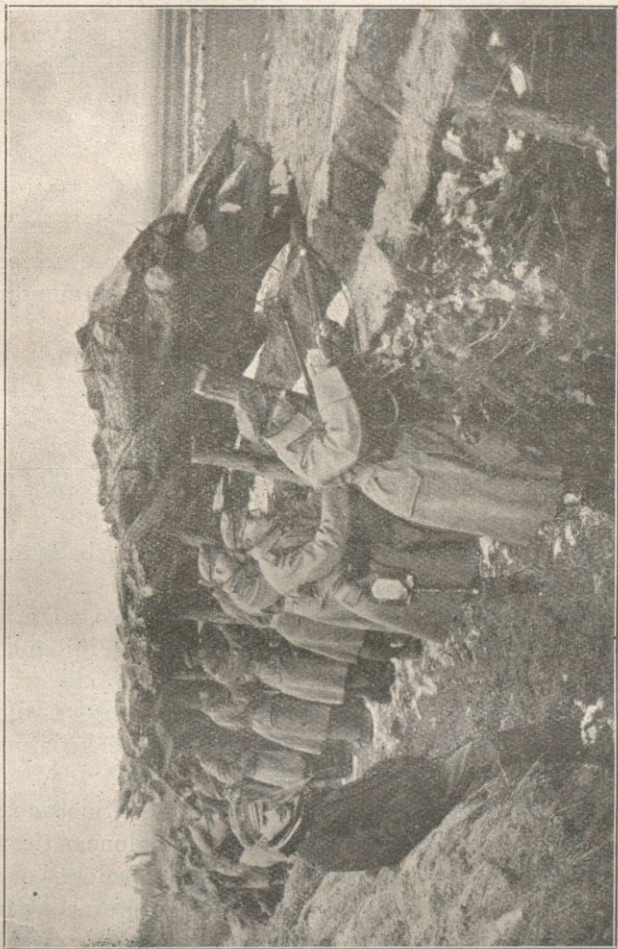


Kapitan Olszyna-Wilczyński.

28 kwiecień. Okopy w Sobowicach. — Pluton nasz zajął wieczorem odcinek zajmowany zwykle przez całą kompanję. Z tego powodu wedety i ciągłe patrole. Moja sekcja jest dziś służbowa, więc wystawiam wedety. Noc jasna, lecz dość chłodna. Księżyc w pełni rzuca swe srebrne blaski na cichą, pogrążoną we śnie wieś... Adek z Hirkiem na noc mają znów robotę. W nocy badali bród i brodzili po Nidzie w wodzie po pas. To samo miał robić Tosiek, lecz nie zba-dał Nidy samej a jeden z jej rękawów...

Godzina 10. Do kwatery naszej zaszedł Ostoja, sierż. 1 kompanji, by rozpakować plecak. Od niego się dowiadujemy, że 1 kompanję wrócono już z samej Imielnicy, więc prawdopodobnie w nocy będzie dość wesoło, gdyż i kompanji 2 nie pozwolono zająć kwater, lecz przez całą noc musi być w okopach.

¹⁾ Komendant oddziału wywiadowczego I Brygady Świętopełk-Jaworowski, obecnie poseł na Sejm.



W okopach nad Nidą,

O 12-ej ściągnąłem posterunki — zbiórka całego plutonu. Noc szalenie jasna, księżyc w pełni, widno jak w dzień. Na drodze oświetlonej księżycem, zebrał się pluton z karabinami na plecach, z kijami w rękę do przechodzenia brodu. Rowecki biega od plutonu do bataljonu i zpowrotem, idzie z nami kapitan Berbecki, kapitan Sław, podporucznicy Iwanicki, Polkowski¹⁾ z dwiema sekcjami i Rowecki.

Za chwilę przechodzimy przez kolczaste druty, następnie łakami do łachy. Łacha szeroka, jasna. Pierwsza dwójka z głośnym pluskiem wpiera się w wodę, za nią wchodzi reszta. Momentalnie woda dostała się do butów, choć w łasze była tylko po kolana.

Spojrzałem w pewnej chwili w bok. Księżyc bajecznie w tysiącach iskier odbijał się w wodzie...

Za łachą przechodzimy jakieś 600 metrów mokrą łaką, następnie zanurzamy się w Nidę. Nie szersza od łachy, lecz głębsza—do pasa. Wspaniale wygląda ta przeprawa. Do pasa zanurzane szeregi z pluskiem wpierają się do wody. Karabiny w górze, szare mundury lekko się odbijają na tafli wody.

Na drugim brzegu padamy w tyraljerce. Sekcje Polkowskiego zostały między Nidą a łachą — jako rezerwa. Hirek i Adek poszli dalej. Leżymy tak na wilgotnej, mokrej łące. Na lewo ginie łąka w nocnej pomroce — na prawo oświetlone księżycem bagna. Leniwo się podnoszą tumany mgieł — w migotliwych, iskrzących się wstęgach wody przegląda się księżyc.

Leżeliśmy tak z godzinę, wreszcie po dokładnem zbadaniu wszystkich przejść brodu — wracamy.

3 maj. *Okopy w Sobowicach.* — Mamy dzisiaj 3-go maja. Całą noc zmieniam posterunki alarmowe i wedety. Na dworze zimny wiatr, niemiłosiernie gnie i targa gałęziami topól, bezlitośnie zrywa białe okiście kwiatnych drzew i gna je wdal. Wicher porywa młodziutki kwiaty i gna je na zieloną dolinę Nidy, by wdusić kwiaty w błoto, pod cuchnącą pokrywę mdłych bajorów...

Wieczór. Słońce zaczyna gorzeć — na drodze w Sobowicach mały ruch, czasem jakieś czako ułańskie błysnie na zielonem tle żywopłotów. Wiara przeważnie leży na kocach i gwarzy wesoło, swobodnie. Ze wzgórza 260 — Imielnica co chwila polatują rozgłośnie, jędrne huki i przedziwna muzyka lecących nad głowami pocisków rozdziera przenikliwym świstem powietrze.

Spodziewamy się wreszcie ataku. Prusacy zajęli Szawle i na froncie zachodnio-galicyskim prą naprzód. Ujście Dunajca, Gręboszów—wolne. Ta ciągła, wzmożona walka artyleryjska u nas daje dużo do myślenia. Przedtem tego nie było.

¹⁾ Obecnie ppłk. lekarz.

Tymczasem dzień 3-go maja mamy uczcić wypadem. 1 pułk ma uderzyć na Kopernię, my od Sobowic mamy zagarnąć placówkę na grobli od Skowronna. Jurek Szletyński otrzymuje rozkaz, by pluton był w pogotowiu. Sekcja moja, miał iść do ziemianki, zostaje w chałupie. W komendzie bataljonu gorączkowy ruch — szykują się do nocnej wyprawy.

O g. 8-ej po zachodzie słońca, zbiórka na drodze. Pluton w rynsztunku patrolowym, humory doskonałe, ochota na patrol zawadjacka...

Nadciąga 2 kompanja Rybarskiego i ruszamy. Noc już zapadła gwiaździsta, ciemne kleksy chmur wałęsają się po niebie. Przecho-dzimy przez łąkę, łąkę przed rzeką i następnie przez samą Nidę. Za rzeką długie, mozolne oczekiwanie.

Powoli zaczyna nas rozbierać zimno. Nasz pluton i drugi kompanji naszej leży na łące najzupełniej mokrej, gęstą, wysoką trawą poros-łej, a że noc chłodna i że przy przejściu brodem po szyję zanurza-liśmy się — marzniemy tedy i srodze kłapiemy zębami z przenikli-wego zimna.

Moskałe co chwila puszczają rakiety, lecz w bok, nas jakoś omi-ajając. Zaczynamy szcząkać coraz silniej zębami i z trudnością łapać oddechy. Zimno przejmujące, wilgotne zimno przenika nas do ko-ści — czekamy z niecierpliwością, kiedyż wreszcie ruszymy naprzód...

Na prawem skrzydle słychać daleki szmer ognia karabinowego. Co pewien czas to na lewo, to na prawo od nas zaczyna rwać gęsty ogień. Podchodzę do Roweckiego, pytam się go, jaki cel wyprawy i czy bataljon 1 pułku atakował już Kopernię. Odpowiada mi, że już atakował i poprostu bez wystrzału wziął moc jeńców. To rwanie ognia karabinowego, które jak nagle powstało, tak nagle ucichło, to właśnie ich robota.

Nadchodzi wreszcie 12-ta i ruszamy. Wpieramy się znów w jakąś odnogę o gęstem, lepkiem dnie. Przechodzimy ją z bulgoczącym szu-mem wody i posuwamy się tyralerką wprzód. Pluton drugi ze Sty-kiem idzie na lewo od nas, pluton trzeci rozszedł się na łączników.

W pewnej chwili padamy. Rowecki nasłuchuje — cisza — wtem na -odgłos kroków po mokrej łące słyszemy na lewo w tyle od nas prze-ciągłe, lekko zaniepokojone: „Stoj, kto idjot"... Rozlega się zaraz drugie, głośniejsze, zaniepokojone już i odpowiada mu spokojny głos „swai, swai, nie bojsia brat"... Wszystkie zmysły naprężyły się w oczekiwaniu trzeciego zapytania i nagłego strzału. Tymczasem cisza. Tylko głos rozmowy dochodzi donośny i wyraźny. Zdumiewające! Wedeta zamiast pytać się o hasło, rozmawia dalej. Dziwnie w tej naprężonej, bijącej tętnami niespokojnych serc ciszy, rozlega się ta rozmowa...

— A komandir, komandir kakoj — pyta wedeta dalej...

Nagle rozlega się jędrny, silny głos Styka: — Na bagnety chłopcy!

Wściekłe „hura!” rozdarło ciszę nocną. Buchnął strzał i w tej chwili z naszej strony zatrzaszkały karabiny. Wnet siepać poczęły ekrazytówki w powietrzu, z przenikliwym trzaskiem pękając nad głowami. Dusząca cisza nocy zamieniła się w jednej chwili w piekielny trzask, krzyki komendy, wołanie na pomoc rosyjskich wedet, a pośród tego ciągłego huk, trzasku i gwizdu — przedziera się z trudem głos Rowec-kiego: wtył zwrot — atak na okopy placówki!...

Rozgłośny szum wody otoczył nas, gdyśmy pełnym biegiem przez bagna po kolana biec poczęli, lecz rozgłośniej jeszcze, przeraźliwiej przedzierają się przez gęsty i gwałtowny trzask karabinów i ekrazytówek długie gwizdy Styka, wołającego do odwrotu...

Cofamy się więc, co chwila starając się doprowadzić tyraljerę do porządku i z mokrych łąk rzucamy się w wodę. Za chwilę już się wdała artylerja. Gdyśmy przeszli Nidę i cofając się, puścili kilka salw z tyraljerki, poczęli w nas prać szrapnelami. Nerwowym ruchem przejechał po łące reflektor i gorączkowo myszkował po grobli.

A Moskale otworzyli ogień piekielny. Co kilka sekund z łoskotem nadlatywały i pękały nad głowami szrapnele. Z przepysznym błyskiem rozlatywały się bucząc okrągłe, szrapnelowe kule. Zaraz też i austriacka bateria odezwała się swym jędrnym hukiem. Przedziwny szum żelaznego ptactwa przechodził nad głowami i tryskał słupami ognia granatów, oślepiał błyskami szrapneli, wżerał się w okopy moskiewskie, siepał je, rył górę białego Skowronna...

Rozrzuciliśmy się szeroko sekcjami pod ogniem szrapnelowym i dopiero na zbiorce dowiadujemy się o efekcie wypadu. Mamy dwu jeńców. Humory morowe. Zadowoleni jesteśmy ogromnie, klniemy tylko III pluton, który nam zepsuł całą robotę. Gdyby nie on — zafasowalibyśmy całą placówkę moskiewską...

Takeśmy się bawili w wojnę, tak uświęciliśmy uroczysty dzień 3-maja.

4 maj. Okopy w Sobowicach. — Po wczorajszej wyprawie spaliliśmy przepyszenie do południa. Dzień cały przeszedł na komentowaniu wyprawy, opowiadaniu swych wrażeń i t. d. Klniemy przedewszystkiem II i III pluton naszej kompanji. Gdyby nie ten mdły atak i strzelanina bez rozkazu, najpewniej byśmy zafasowali placówkę na grobli. O Moskalach rozprawiamy urągliwie; okazało się z zeznań jeńca, że był on czujką, a gdy usłyszał odgłosy naszego podkradania się, zameldował przez drugiego placówce podoficerskiej. Styk w tym momencie natknął się na nich, kiedy podoficer przyszedł sprawdzić mel-dunek. Suma-sumarum dwóch wziętych a podoficer został zakłuty.

1 pułk natomiast pysznie się sprawił. Zaszli Moskalom z tyłu przez lukę między okopami i zafasowali 80 ludzi.

Z komendy bataljonu wyszły nadzwyczajne rozkazy. Amunicję uzupełniają do 180 ładunków, wszystkie rzeczy zbyteczne należy oddać, fasujemy podwójne, żelazne porcje. Jednem słowem rozkazy do pójścia naprzód, do ofensywy. Radość ogromna, gdyż ujście Dunajca wolne, front moskiewski w Zachodniej Galicji przełamany. Prusacy zajęli Tarnów, 30 tysięcy Moskali zagarnęli do niewoli, na północy zajęli Szawle i gnają ich do Mitawy. Zdaje się, że Hindenburg zaczyna kombinować.

Grunt, że idziemy naprzód. Jużemy się stęsknili do tamtej strony wody, do tamtych tak bliskich a tak niedościgłych pól i łąk lewego brzegu Nidy...

Wieczór. Za chwilę wychodzę z ziemianki z sekcją na pogotowie. Po południu, po morowym obiedzie, robiłem szkice nawprost Sobowic, szkice tylko kultur bez rzeźby, potrzebne Sławowi do opracowania ataku na Skowronno.

Sierżant Ostoja był dzisiaj z morowami wiadomościami. Tarnów, Dukla, Jasło zajęte — armja Radko-Dmitrjewa najzupełniej rozbita — austriackie dwie armje i jedna pruska idą naprzód terenem poprostu ogołoconym z Moskali i dochodzą już do Wisłoki. Jednem słowem morowo.

Berbecki, Sław i Rowecki obserwowali przed chwilą przez lornety Skowronno i hen za nim dostrzegli jakieś podejrzone dymy i jak wnioskują, to Moskale wysadzają mosty. Dałby Bóg! Nie chciałbym zdobywać tej góry, wolałbym walić na nich z góry i bić, gnać ciągle...

10 maj. *Okopy w Sobowicach.* — O 9-ej byłem już w okopach, a o 1-szej zmieniłem placówkę na moście. Zły jestem jak sto djabłów. Placówka ta zwykle liczy 18 ludzi i to dwa razy się zmienia w ciągu nocy, a Rowecki pchnął mie z 9-ma. Chłód dotkliwy — gwiazdziste niebo jarzy się nad głowami. Cicho szemrze Nida, długimi, drgającymi blaskami przeświecają gwiazdy w wodzie. Cisza — ani jednego strzału nie słyhać. Wystawiłem pięć wedet, sam z czterema ludźmi siedzę pod blindażem, hałaśliwie naprawianym przez saperów.

O 11-ej Jurek Szletyński poszedł z patrolem na poszukiwanie przejścia przez błota po stronie moskiewskiej, lecz po pewnym czasie cofnął się i rozpoczął poszukiwania na prawo od mostu.

Zmieniam wedety. Gdzieś na prawo poczynają pukać, kilka kul dźwięknęło obok — dalekie! Chyba z Koperni wałą. Po chwili padliśmy, gdyż kule coraz gęściej i ostrzej poczynają gwizdać.

Już o 1-ej, na północno-wschodniej stronie gwiazdy poczęły blednąć — chłód coraz większy, kłapiemy zębami, jak wilki — od czasu

do czasu Moskale pukają, lecz i to milknie coraz bardziej. W ciszy zamierającej nocy wyraźnie słysząc warkot aut na pińczowskiej szosie.

Derkacze poczynają grać coraz gorliwiej na łąkach, czajki kwilą tęsknie, z łąk z wolna podnoszą się białe opary, w których rozlega się zawzięte rechotanie żab. O świcie wracamy do ziemianek.

11 maj. Sobowice — Skowrono — Podłęże — Stawiany. — Spa-
liśmy świetnie do 9-ej, gdy nas zbudził krzyk dyżurnego: wstawać, sz-
kować się do odmarszu, Moskali niema w Skowronnie!...

Nie może być! Porwaliśmy się migiem i wysypaliśmy na okopy. Jak
okiem spojrzeć błękitniały one żołnierzami, wypatrującymi za Nidę,
na Skowronno, na Pińczów!...

Tam już posuwał się nasz patrol. Sześć niebieskich punktów nu-
rzało się w zieleni łąk, ostrożnie zbliżając się do linii moskiewskich
okopów. Niespokojnie patrzymy za nimi, rychło w nich gruchnie salwa.
Lecz nic — cisza. Znikają w ruinach, za chwilę wynurzają się i roz-
dzielają się na dwie strony. Jedna posuwa się na Skowronno, druga
w górę na białą linię okopów. Gorączka, natężenie wzrasta.

I tam cisza. Wchodzą na okopy i spokojnie w nich znikają.

Za chwilę już plutony przechodzą bród i po raz pierwszy, w biały
dzień, w blasku słonecznym przechodzą rzekę, błota, zajmują ruiny...

O 10-ej wziąłem sekcję i przez narzucone już mostki, groble, prze-
prawiam się do Skowronna.

Wchodzimy do wsi. Przed chałupami ciekawe grupki chłopów, któ-
rych przyjaźnie witamy. Za chwilę wracam. Zbadałem czy można
dojść sucho do Skowronna, a najprzyjemniejszy wywiad, to świetne
mleko w Skowronnie.

W południe przeszły już wszystkie kompanie i bataljony, dźwigając
się na wschód. Goniłem je z sekcją, gdyż musiałem zostać przy bro-
dzie, Jurek czekał na nas w ruinach. Tu biwakowała też 1 Narbutta
kompanja.

W ruinach leżał trup strzelca, którego dwa dni temu wzięli Mo-
skale. Miał roztrzaskaną czaszkę, ze dwadzieścia kul w piersiach,
rozpruty brzuch, wyrżnięte genitalja i przebitą bagnetem twarz...

Kompanję dogналиśmy w Stawianach. Pogoda pyszna, ciepło roz-
koszne. W Stawianach gwar, ruch, wesele... Wiara rozkupuje mleko,
jajka i inne cywilne smakołyki.

Wieś rozrzucona w parowach. chałupy tułają się do zielonych ścian,
placówki wysunięte wprzód na Chmielnik.

O 6-ej marsz wtył do Podłęża, wspólnie ze szwadronem kawalerji.
Mielliśmy tylko za zadanie wykonać wywiad i zabezpieczyć przejście
Brygady.

Noc spokojna, gwiazdzista. Na północy od czasu do czasu toczą się głucho, oddalone grzmoty dział. Jest jednak zimno, siedzimy poowijani w koce.

12 maj. *Podłęże — Chomentówek — Szlasków Duży.* — Dzień znów pogodny. Wstaliśmy o 7-ej dość wypoczęci, gdyż o 12-ej zmienił mnie Tosiek Berlach i resztę nocy chrapnęliśmy w chałupie.

Kompanja już się zbiera, ruch naokoło gwarny, ułani śmigają z mel-dunkami, prowiantowcy nagwałt wydają faszunek, dymiące kuchnie gnają do oddziałów.



Szef sztabu I Brygady Kazimierz Sosnkowski.

Stoimy w cieniu olszynek, w świeżym aromacie pól.

O 8-ej marsz na Chomentówek.

Beliniacy ruszyli daleko wprzód, 1 Narbutta i 3 Rokity nurzają się już w białym pyłe na drodze do Szlaskowa. W Chomentówku postój. Czysta, bielona wieś, kompanje rozłożone na drodze grzeją się w skwarze słońca, jest już komenda pułku, podciągają bojowe tabory.

Sanitarjusze mają robotę z nogami piechoty, gdyż chłopcy odzwyczajeni od marszów, puchną na potęgę. Coś koło czwartej ledwieśmy zdążyli uciąć se krótką kąpiel w pysznym stawie, zbiórka i wymarsz do Szlaskowa. Za nami już ciągnie 1 pułk.

Gdy wysforowałem się naprzód z kwatermistrzami, minął nas ostrym kłusem Komendant, szef Sosnkowski i sztabowa zgraja. Co chwila pędem galopują ordynansi.

W Szladkowie spędziliśmy śliczny wieczór. Kwatery morowe, chłopcy nas doskonale przyjmują, znają nas strzelców...

Gdy zapadł wieczór, po szerokiej drodze wiejskiej, wśród zapadającego powoli zmroku, snuje się wiara, rozkoszując się letnim wieczorem.



Beliniacy w przedniej straży.

13 maj. Szladków Duży — Balice — Bossowice — Sieczków. — O 6-ej wymarsz. Idziemy na Suskrajowice, 2 km za Szladkowem. Stańliśmy w rozgwarzonym lesie. Mamy przeczekać aż 3 pułk naszej brygady, t. j. V i VI bataljon przejdą.

Na brzegu lasu rozmieścił się barwny sztab: Trojanowski na ogromnym karym koniu, Sław, Wyrwa, Berbecki przejeżdża jak zwykle poważny sztab Brygady. Komendant na swej kasztance, szef Sosnkowski, jakieś austriackie ryby i ordynansi. Powoli skryli się za wzgórek.

Zdyszałem gazetę z 11-go. Morowe wiadomości. Szczucin, Dębica zajęte. Mackensen przeszedł już Wiśłok. Moskale prawdopodobnie oprą się na Wiśle.

14 maj. Sieczków — Grzybów — Niemścice. — Poranek bajeczny — rzeźwy, świeży. W gęstwinach ogrodów zanoszą się słowiki.

Ruszamy wesoło. Marsz trwał do 1-ej w południe, to też zmachaliśmy się setnie, gdyż gorąco ogromne. Kurz wciska się wszystkimi porami, słońce praży, plecak niemiłosiernie gnie kark. Stanęliśmy we wsi Niemścice o 2 km od Staszowa.

15 maj. *Niemścice — Bogorja — Grzybów.* — I znowu jak codziennie gwałtowny wymarsz o 4.30. Wiatr ogromny, tak, że jest dość chłodno. Przeszliśmy rzeczkę Czarną, następnie ślicznym laskiem na szosę do Bogorji. Stajemy dość często — to artylerja Brzozy nas mija, to ułani Beliny migają wśród wąwozów, niecąc tumany kurzu. O 4-ej byliśmy w Bogorji, a z Bogorji śliczną doliną wśród olszynek i brzoź doszliśmy do Grzybowa.

W JARACH KONAR I KOPRZYWIANKI

16 maj. *Grzybów — Konary — Płaczkowice — Garbowice.* — Wczesny wymarsz. Szybko spijamy kawę z kuchni, zwijamy płótna, rynsztunek na siebie i marsz naprzód. Kompanja za kompanją wychodzi z Grzybowa, maszerujemy na wschód.

Ze dwa kilometry za wsią stanęliśmy. Słysząc huk armat przed nami a nawet widać dymki szrapneli. Pytam się Roweckiego — mówi mi, iż to potyczka z kozakami, a po odparciu ich maszerować mamy dalej wprzód.

Tymczasem ogień artyleryjski nie słabnie. Mamy ochotę pójść i przegnać tę chołotę, gdyż kwatery mamy naznaczone w Lipniku, a przed nami Moskale. Ano, będziemy musieli je zdobywać!...

Postój się przedłuża, więc wysyłamy do pobliskiej wsi Papierskiego, Ostalskiego i Chabeusza po zakupno prowiantów. Ledwie poszli i zniknęli nam z oczu — marsz i to nie zwyczajny. Gnamy tak szybko, że pot nam zaczyna zalewać oczy, piersiom oddechu brak. Dźwigamy nadto podwójne rynsztunki, tych mianowicie, którzy poszli po prowiant. A kurz wciska się do oczu niemiłosiernie, słońce pali.

Przychodzimy wreszcie do wsi Konar i tu na chwilę się zatrzymujemy, aby za moment znowu się poderwać i wzdłuż spadzistego, stromego jaru gnać do Płaczkowic...

Szeroka dolina Koprzywianki. Przed nami na zboczu prawem wznosi się las, w którym nikną nasze niebieskie kolumny. Na lewo przed wzgórkami ustawiła się już baterja i działa piorą mocno, jędrnie, jedno przez drugie.

Wchodzimy do wysokopiennego lasu płaczkowickiego. Wokół obraz bitwy. Na brzegu lasu kilkunastu ułanów, ordynansi uwijają się na koniach, piechota milcząc szybko śpieszy naprzód, a za nami bije już rozgłośnie jedna baterja za drugą.

Przeszliśmy tak połowę lasu i padamy w rozwiniętym. Przed nami kompanja Rybarskiego. Przez drogę leśną pełnym galopem przejeżdżają nasi oficerowie artylerji. Konie walą kopytami po twardej ziemi, oficerowie z tętentem, chrzęstem migają przed nami.

A Moskale zaczynają już nas macać. Dźwięknęło powietrze i rzucił nas silny podmuch. Słupem rozdartej darni prysnął granat o jakieś 30 kroków.



W marszu pod Konarami.

Za chwilę podrywamy się i biegiem wpadamy do wsi Płaczkowic. Chwila wytchnienia. Siadamy w uliczce w wąwozie. Pierwsza i druga kompanja już się rozwinęła — nasza w rezerwie.

Wnet z za ogrodów i chałup rozniosło się syczące pacanie manlicherów...

Leżymy w ogrodzie godzinę jedną, drugą, już kuchnia podwiozła obiad. Przed nami wzbija się czarny, ciężki słup dymu. To ogień pożera wieś Beradź, którą nasze dwie kompanje i bataljon II atakują, jak również Garbowice i Przepiórów.

O 2-ej porwano nas na nogi. Sekcjami przebiegamy drogę do Garbowic, ścigani ogniem. Granaty biją wzdłuż drogi, ostre poświsty kul gonią każdą sekcję. Z Garbowic rozwijamy się w tyraljerę — kierunek na Kaczyce. Po pierwszym „padnij” — zrywa się wołanie od prawego: kapral Socha do kapitana Berbeckiego. Klnę, zostawiam sekcję i pochylony wyrrywam wtył do wsi, skąd Berbecki ogląda pole bitwy. Mam zrobić natychmiast szkic...

Rozkładałam płaszcz, szkicownik i szybko powiększam specjalkę¹⁾. Berbecki tymczasem wydaje dyspozycję. Wyraźnie spokojnie, ważąc każde słowo dyktuje: o 8-mej wieczorem wszystkie rezerwy ściągnąć do jaru, na południe od Swojkowa i przypuścić szturm na samą wieś...

A więc tak kieruje się bitwą... Tak dyspozycjami skraca się życie setkom ludzi.

Tymczasem skończyłem szkic i gnam do wsi Kaczyce, do kompanji. Idę naprzelaj wprost na północ. Na lewo widać, jak kompanja nasza przebiega sekcjami, jak raz po razu ryją tam ziemię granaty, jak rypią czarnymi słupami. Skonany dopadam do dolinki, gdzie rozłożeni w tyraljerze, wysapują chłopcy zmęczenie... Gdzie spojrzeć, wszędzie powoli posuwają się linje tyraljerskie, zewsząd rwie ogień karabinowy...

Zaledwie wpadłem—porwał Sław kompanję i wąską dolinką, ciasną tyraljerą z chrzęstem biegniemy naprzód ku pierwszej linii. Padamy przed nagle rozwartym wąwozem i wnet Sław przypada, zdaleka wołając radosnym głosem: dwa karabiny maszynowe wzięte, kupa jeńców...

Styk skacze jak dziecko z radości. Lecimy naprzód i dobiegamy do 1 kompanji, skąd już odprowadzają burą gęstwę jeńców. Szybko wymijamy kompanję z której dochodzą radosne głosy zwycięzców i jęki rannych. Z tłumu głosów słyszę: Ostoja ciężko ranny w głowę!

Idziemy dwójkami w lewo, w wąwóz. Tam pluton rozsiada się pod ścianą, a ja z sekcją wychodzę na szczyt obserwować pierwszą linię. Austriacka rezerwa postępowała tuż przed nami i Moskale zaczęli gęsto kropić szrapnelami, tak, że byliśmy przez kilka minut w potężnym ogniu.

Po jakiejś godzinie (była już chyba 5-ta po południu) zeszła się cała kompanja wdół do wąwozu. Za chwilę nadeszła kompanja 1 i 3. Gorączkowo dopytujemy się o nowe szczegóły z ich szturm. Chrzaszcz ranny i to dość ciężko.

Karabin maszynowy wziął II pluton podporucznika Wąsika. Austriacy darli się jak opętani „Vivat Legionary”, patrząc na ich atak.

Czekamy do zmierzchu i nad wąwozem w górze rozrzucamy się w szeroką tyraljerę. Mamy posunąć się do pierwszej austriackiej linii, porwać ją za sobą i wykonać szturm na Swojków.

Zmierzch gęsty ogarnął już ziemię, wokół płoną wieś. by wszystkich strach kulami chcieli wygarnąć. Za chwilę podrywamy by wszystkich strach kulami chcieli wygarnąć. Za chwilę podrywamy za sobą ich linię i zaczynamy już szybciej posuwać się naprzód.

¹⁾ Austriacka mapa sztabowa 1:75.000 zwana „specjalną”.

Za nami cztery wydłużone linje rezerw, groźnie się posuwające w krwawych blaskach płonącej wsi. Raptem lewe skrzydło austriackie zaczyna grzmieć ogniem — odpowiada mu ogień ze wsi, od której jesteśmy oddaleni o 300 — 400 kroków i nagle poprzez szalony ogień dochodzi głos komendy: szturm! Zakołysały się tyraljery, pochyliły się bagnety i ogromny straszliwy rozległ się krzyk. Dopadliśmy jednym pędem do parowu przed wsią, w mgnieniu oka przesadziliśmy go i jedną czarną, groźną masą rzuciliśmy się na wieś...

Moskale zwiali...

Za wsią oficerowie nagwałt porządkują tyraljery. Za chwilę już czarny, dyszący rozgorączkowaniem płót tyraljerski szedł naprzód...

Kilkaset kroków za wsią zaczęliśmy się okopywać, a po godzinie wycofaliśmy się, zostawiając wieś Austriakom.

Noc przeszła w mordędzie okrutnej. Od 11-ej wieczór do 2-ej rano tułaliśmy się całym bataljonem po jakimś zda się nieskończonym parowie. Nackoło nas górą we wszystkich kierunkach, rwał ogień karabinowy. Zbłądziliśmy... Wiara senna i wyczerpana i gdzie tylko złoży się na murawie — chrapie natychmiast.

Jak się później okazało, krążyliśmy w wąwozie, który był w posiadaniu Moskali. Przez całą noc byliśmy między nimi i na ich tyłach...

17 maj. Bitwa pod Włostowem, Kozinkiem i Konarami. — Szarżyć zaczęło, gdyśmy się wydostali z wąwozu i przeszli do następnego — tuż koło wsi Kaczyce. Krótki postój, podczas którego wiara kładzie się pokotem na trawę. Gdyśmy się podnieśli, rozwidniło się zupełnie.

Byliśmy najzupełniej pewni, że idziemy do wsi. Ale gdzie tam! Przeszliśmy kilkaset kroków — w tyraljerę! i okopywać się.

Moskale wyparli w nocy Austriaków ze Swojkowa i bitwa na nowo związana.

Okopujemy się szybko, gdyż dzień robi się coraz większy. O kilka kroków leżą dwa trupy austriackie, do których Grabałowski i Ostalski zaraz skoczyli, by upewnić się, czy nie znajdą czego do jedzenia w ich tornistrach. A jeść nam się chce djabelnie, gdyż od wczoraj od południa nic w ustach nie mieliśmy. Koło 10-ej Kosior, nasz prowiantowy sierżant, przyniósł nam w konewce nieco herbaty.

Próżnujemy dość — tylko od czasu do czasu kropimy w lewo na Swojków. Posuwała się tam na widnokręgu tyraljera, lecz szybko rozbiegła się w rozsypce, skoro tylko granaty austriackie szarpać poczęły jej linję.

Moskale odpowiadają dość gęsto. Gdy my zaczniemy bić — wnet świsty nam nad głowami przelatują.

W pewnej chwili, coś około południa, rozległo się z prawego skrzydła wołanie: sanitarjusz, sanitarjusz! Wyciągnęliśmy go z rezerwy i gorączkowe pytania szły w prawo. Rowecki ranny! — Psiakrew, że też лихо nadało! Na cały pluton akurat w niego trafili... Dostał podcibno w nogę, czy też wyżej, w udo.

Za chwilę go wynieśli, a o 1-ej w południe zaczęliśmy się po trzech wycofywać. Zbiórka, zajmujemy znów inny wawóz. Bajeczne te wawozy! Można mil kilka zrobić, nie wychyliwszy głowy na widnokrąg...

Rowecki leżał tam na noszach, uśmiechał się słabo, choć dość dobrze wyglądał...

W Garbowicach pakujemy się do stodoły, zjadamy szybko obiad i marsz spać na słomę. Przeszkadzały nam trochę szrapnele i granaty, gdyż bili na wieś morowo... Tabory skupiły się pod chałupami, konie niespokojnie strzygły uszami, lecz strat taboryci nie ponieśli, padło zaledwie kilka koni.

O 6-ej zbiórka — marsz do Płackowic drogą, na której walili w nas tak ogniem artyleryjskim, że zdawało się, iż nikt z życiem nie ujdzie, a później ów bajeczny powrót przez las...

Cofamy się! Austriacy nie wytrzymali na swych pozycjach, 8 pułk „pepików” zwiął, więc i my musimy się cofać. Do lasu ściąga nas cały bataljon i karabiny maszynowe, a ledwieśmy weń weszli już przeraźliwy trzask gałęzi i tysiąckrotnie powtórzony huk! Zmacali nas! Za chwilę z chichotem trzaska granat, drugi, trzeci, dwa szrapnele, granat i tak ciągle. To ciężki „kuferek”, granaty, to szczekające, szumiące szrapnele padały w las. Cofamy się schodami i wreszcie za lasem, gdy prać już przestali—kolumny czwórkowe do Konar i na północ od Konar zaczęliśmy się okopywać...

Zmierzchało już, gdy mnie Styk do Sława posłał z meldunkiem. Nie było go w Konarach, a że meldunki były ważne—siadłem na konia Narbutta i pogalopowałem do Domaradzie. Na połowie drogi spotkałem Sława i wróciłem na pozycję.

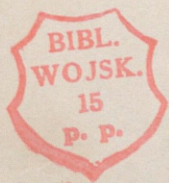
Pluton nasz wysuwa się cokolwiek naprzód, mając z prawej strony dwór z ogromnym parkiem, a przed sobą wawóz ze wsią Kujawy. Dość długo wodził nas Sierosławski, który dostał nasz pluton po Roweckim, nim zaczęliśmy się okopywać. Chłopcy źli, wściekli... Nic dziwnego. Od wczoraj nic w ustach, pomęczeni ogromnie, niewyspani, nerwy potargane.

Noc cicha, ciepła przeszła nam na kopaniu okopów. Lekkie chmurki zakrywają gwiazdy, z parku odzywa się ciągle słowik.

18 maj. Okopy pod Konarami. — Przespałem się trochę nad ranem. Banaszczak ugotował w chałupie kawy, kupił trochę jaj, tak, żeśmy się cokolwiek pożywili.



W rezerwie pod Konarami.



Słońce praży. Wystawiamy na sekcję jednego obserwatora, poza tem okopani jesteście na stoku dość szerokiej dolinki. W dole w głębi, wije się sennie strumień i tonie w zieleni wieś.

Po południu artylerja zaczęła solidniej pracować, a na prawem skrzydle zerwał się ogień karabinowy i trwał bez przerwy do wieczora. U nas Moskale zaczęli się podsuwać dopiero pod wieczór. Artylerja ich gwałtownie ostrzeliwuje przeciwległy brzeg lasu, do którego podchodziły linje. Bili dość gęsto, lecz w krzaki i w drzewa, a psa kulawego tam nie było...

Wieczorem idziemy do rezerwy.

19 maj. Konary. — Przebudziłem się cokolwiek wypoczęty, lecz osłabiony. A osłabiony jestem tak, że mi nawet nie chce dźwigać się z barłogu i leżę cały dzień. Niepokoję się tylko tem, że wieczorem możemy pójść na pozycję, a ja będę niewyspany. Spałem tylko 6 godzin, a na 3 doby to za mało. W dzień nie mogę usnąć ani na minutę, a w nocy znowu służba. Pożywiam się tylko jajkami, które mi Banaszczak skupuje. Poza tem wiara wypoczywa w cudownym wąwozie, obok złożonej w kozły broni, chroniąc się przed słońcem pod stromym zboczem. Pitraszą, warzą i swarzą się, nie bacząc, że lada chwila ostre słowo alarmu — poderwie wszystkich na nogi i pogna w ostry jazgót kul...

20 maj. Konary. — Poszedłem przed południem z Zygmuntem po jajka i mleko. Gorąco ogromne. Ledwie wróciliśmy, a tu zbiórka. Idziemy na wywiad całym plutonem do lasu kamienieckiego. Cztery sekcje — każda ma swój kierunek. W razie ognia mamy się natychmiast cofać.

Z wąwozu wyszliśmy na pagórkowate pole obsiane żytem i posuwamy się w tyraljerze równo i spokojnie. O jakie 400 m przed domkami, do których mieliśmy dojść, staje i chce wydać rozkaz zbadań tych domków — gdy wtem pada strzał i kurz podniósł się przed nami. Ledwie Ostalski poleciał z meldunkiem, pada drugi strzał i słyszę spokojny głos Bronka Grabałowskiego: „Jestem ranny, wycofuję się”.

Kładę wobec tego sekcję w żytku, czekając aż się Bronek za małą górkę wycofa, a tymczasem piorą do nas gęsto i celnie. Aż kurzy się wokół piach, tak kule nas macają. Wycofaliśmy się wreszcie pojedynczo i to dość szczęśliwie.

Wieczorem idziemy do okopów. W nocy ciąga pukanina, miejscami dość silna. Wieczorem 8 austriacki pułk „pepiczków” znów zwiął z lasu pod Kozinkiem, częścią oddał się do niewoli. W nocy natychmiast zajęli ich miejsce honwedzi.

21 maj. *Okopy pod Konarami.* — O 3-ej nad ranem usnąłem w okopie i obudziłem się o 10-ej. Dzień dość chłodny, wiatr przewiewa, sekcja moja ma bardzo ładne okopy na brzegu brzoźowego lasku. Po południu poszedłem do bataljonu, by narysować szkic sytuacyjny. Codziennie mam robić taki szkic, jako załącznik do dziennika bataljonowego. Dowiaduję się w bataljonie przy tej okazji ciekawych i nieciekawych rzeczy.

Dzisiaj powróciłem dość późno z bataljonu — już dwie sekcje wystawiły placówkę, w tem i moja. Jurek pozwolił mi spać, lecz zaledwie godzinę się zdrzemnąłem musiałem pójść na patrol z Rembilansem i Hoffmanem.

22 maj. *Okopy pod Konarami.* — Za okopami naszymi wystrzela niewielki laszek. Są tam trzy chałupki, a jedną z nich zajmuje Styk z telefonistami. Kwatera zwykła, jak na wojnie. Słomy moc, na niej porozkładani telefonści i dyżurni.

23 maj. *Zielone Świątki. — Atak od wsi Kamieniec.* — Gorący upalny dzień. Wiara się porozchodziła po łąkach, po cieniastych ogrodach. O 12-ej zbiórka w pełnym rynsztunku: marsz do wsi Kujawy.

Podobno Moskale się cofnęli, czy też ma być atak, dość, że idziemy do wsi Kujawy, gdzie będziemy prawdopodobnie rezerwą. Tymczasem minęła nas kompanja 1 z Narbuttem i ruszyliśmy wąwozem w lewo. Mamy atakować las nawprost Kamieńca.

Przeszliśmy 2 km wąwozem, później w prawo front, rząd wprzód i tyraljerka...

Nasz pluton ma na lewo laszek i w nim 99 pułk Austriaków — na prawo drugi pluton i laszek z kompanją Narbutta. Posuwamy się więc gołym polem, nieco falistem z małemi ukryciami. 500 m przeszliśmy w tyraljerce, gdy pierwsze kule zaczęły świstać. Do pozycji moskiewskiej mamy jeszcze gołego pola 2 km. Dziwne mi się wydaje, że w biały dzień na takiej przestrzeni robimy atak z jednym plutonem w rezerwie, lecz biegnę dalej. Przebiegamy to do prawego to od lewego sekcjami i to dość wesoło.

Zaczęli nas macać granatami i szrapnelami. Co chwilę, huk piekielny nad głowami, szum szrapneli i trąbienie cylindrów.

Otwieramy wreszcie ogień z celownikiem 800 i zaczynamy śpiewać „Strzelca”. Znów granie pocisków, kurz ziemi i piasku zasypuje nam oczy. Samemi granatami w nas kropią, a co nam rypną, to im wyuzdanie śpiewamy „Do lampy gadaj, do lampy”! Dalej „Strzelca”, „Marsyljanke”, a tu kule gwizdzą na wszystkie strony, charatają orne pole i srebrne kłosa żyta. Wśród tego ognia chodzi spokojnie Styk ze szpicrutą w ręku i lornetą.

Za chwilę znów nowy transport kuferków z gwizdem szatańskim kropnął nam w pysk. Granat łupnął tuż przede mną, Chabeuszem i Mańkiem Pacholskim. Słup ziemi i ognia rypnął nam w twarz. Oślepiiony i ogłuszony — szalenie szybko myślą, skonstatowałem, że otrzymałem dwa silne jak kamieniem uderzenia w lewą rękę: ranny! Zdrętwiała mi łapa, lecz w tej chwili usłyszałem krzyk za sobą. To Sierosławski, nasz chwilowy komendant plutonu, dostał szrapnelem w nogi i krwawi mocno.

Zaczęli się wnet sypać ranni: Papierski, Wojtarowicz, Michałkiewicz....

Robi się ciepło. Poderwaliśmy się jeszcze raz, dopadliśmy młodego żytki i w tej chwili podawanie doniosło, że Styk ranny i że ppor. Świerszcz obejmuje komendę nad kompanją. Oj źle! pomyślałem...

Leżymy w tym żytku trochę za długo, co chwila odzywa się jęk rannego, a z prawej strony podają ciągle, że Świerszcz objął komendę i na tem koniec, żadnego rozkazu. Tosiek z lewego skrzydła wciąż gorączkowo podaje, że tam mu Moskale obchodzą skrzydło, co robić... Nic, żadnego rozkazu, a tu kule piorą jak sto djabłów. Istne fale kul brzęczących, jazgoczących, świegocących kul!!

W pewnej chwili słyszę na prawo głos Zygmunta: „Słuchaj no Wacek, Jurek zdaje się ranny, czy zabity, zobacz”... Skoczyłem w prawo i zmartwiałem...

Jurek leżał nawznak, z głową we krwi... — Jurek, Jur... począłem wołać, co tobie zrobili! Tak nielitościwie rozbili twą głowę, tyle krwi, tyle krwi!!

A on oczy miał otwarte, lecz już nieprzytomne, z jakąś dziwną mądrością patrzące w niebo. Nie poznawał mię. Głuche mamrotanie, miamlenie wyrazów wychodziło mu z ust, na których wnet pojawiła się żółta piana. Umiera!... pomyślałem z rozpaczą...

Począłem ściągać mu z palca jego skautowy pierścionek, o który zawsze prosił, by posłać do domu i podając pierścionek Chabeuszowi ze słowami: „Jurek zabity” — odgarnąłem mu czapkę. Pełna krwi... Czoło miał czyste i spokojne, tylko przeraźliwie białe... Ostatnia nadzieja błysnęła mi do głowy, że może jest tylko ranny, może się da uratować! Krzyknąłem do Zygmunta, by został przy Jurku, a sam pobiegłem wtył kilkadziesiąt kroków, po sanitariusza. Wnet jazgotliwy świst kul ścigać mię począł. Dopadłem Kostronia: „Kostroni ratuj — Jurek ranny w głowę, trzeba go za wszelką cenę przenieść”! Ale gdzie tam! Ledwieśmy skoczyli naprzód kilka kroków, już nasza linja szła do nas — bezładna, potargana, rozbita...

Świerszcz nakazał odwrót. Za chwilę, gdy zpowrotem uszykowaliśmy się w tyraljerę, komendę nad kompanją objął przysłany przez Sława podporucznik Tunguz...

24 maj. Konary. — Nad ranem, po całonocnej walce w okopach, schodzimy z pozycji. Ciągą żołnierze grupkami, niesłychanie zmordowani wczorajszym atakiem i nocnym ogniem. Moskale widocznie podsunęli duże rezerwy, gdyż ogień był straszny. Bili tylko ekrazytówkami. Ten fosforyczny blask ognia, który szalał nad głowami piekielnym trzaskiem pękających ekrazytówek, żołnierzy regularnej armii dawnoby już zdemoralizował. Poprostu ziemia jęczała od tego strasznego trzasku.



Jerzy Młocki-Szletyński.

Powoli ściągamy do Konar. Dzień cały przeszedł nam na leżeniu w stodole. Wieczorem bierzemy nosze z sanitariuszem i paczką, w dziesięciu, idziemy po Jurka. Droga do wsi Kujawy dość daleka. Idziemy z miejsca, gdzieśmy się rozwinęli w tyraljery. Linja naszych okopów jest o wiele dalej od wczorajszej, lasek, któryśmy mieli wziąć jest w naszych rękach. Idziemy szeroko. Dochodzimy do żyta, gdzie padł Jurek. Widać szybko, gorączkowo kopane wnętrza.

Jest!! Zachwiałem się, gdy zobaczyłem skurczone ciało Jurka, gdy wtę Władek Łęcki nawpół radosnym, nawpół rozpaczliwym głosem zawołał: żyje!...

Szybko złożyliśmy go na nosze. Edek poleciał naprzód do wsi przygotować lekarza. Serce nam biło młotem. Tysiące nadziei przelatywało przez głowę...

W Kujawach już czekał lekarz 1 pułku, dr. Medyński. Natychmiast zaczął mu golić głowę, a Jurek twarz miał czarną, unurzana we krwi. Jęczał cicho. Lekarz nie robił najmniejszej nadziei. Może, może...

Słuchaliśmy z zapartym oddechem jego słów...

Zatelefonowałem do Sława, żeśmy Jurka znaleźli. Kazał nam przywieźć wozem, lecz lekarz poradził, byśmy go zanieśli — mniej wytrzęsiemy.

Noc cicha, księżycowa. Niesiemy go po żółtej, wapiennej drodze do Konar. Idziemy w ciszy, powoli, ostrożnie. Jurek oddycha równo, głośno. Nadzieja, nadzieja nam wciąż świta...

25 maj Konary. — Jurek zmarł o 10 rano. Kapiemy mu grób obok grobu dwu sierżantów z 1 pułku. Białe, proste, brzozy krzyż, na nim tablica z deski od ładunków, darnią obłożono grób.

Styk i Sierosławski odjechali już wczoraj do szpitala — obaj na szczęście niezbyt ciężko ranni. Straty w tym nieszczęsnym ataku poniósł nasz pluton, najbardziej wysunięty naprzód — wprost okropne; oprócz Jurka — rannych dwudziestu na ogólną liczbę 44. Z mojej sekcji zostałem ja i Banaszcak. Adeł Goldenberg został z trzema...



Okopy w Konarach. Na prawo las płaczkowski.

Dziś pluton nasz objął podporucznik Długosz-Tetera, a na miejsce Jurka zafrontowcem został Ojczulek-Czachowski¹⁾, stary wyga strzelecki, III zaś pluton objął sierżant z 2 kompanji Busse-Guzowski, wrocławianin.

28 maj. Konary. — Od trzech dni zajmujemy linię okopów na brzegu starego, wspaniałego parku. Przed nami nawprost rozciąga się prześliczna dolinka, osłonięta na lewo lasem płaczkowskim, a na prawo biegnąca wąwozem ku wsi Kujawy. Tuż za nami stoi komenda 5 pułku i komenda bataljonu w białym starym dworze, do zeszłej jesieni dziedzicznym rodziny Reklewskich, a od jesieni Majkowskich.

¹⁾ Obecnie major w st. nieczynnym — starosta w Kamieniu Koszyrskim.

Dworek stary z końca XVIII w. Wysoki portal, taras i kolumny obrosnięte dzikim bluszczem i winem, od wejścia — wprost oszklonych drzwi — ogromna sala. W sali tej lat temu sto w pamiętnym roku 1809-ym, gdy jeden z panów Reklewskich był kapitanem piechoty w dywizji Sokolnickiego ciągnącej na Sandomierz — był tutaj bal oficerski. Dzisiaj po stu latach rozkwaterowali się nowi ludzie — lecz zawsze ci sami. Patrzą na nich ze szczyrniałych ram stare konterfekty....



Oficerowie 5 p. p. Leg. przed dworkiem w Konarach. Licząc od lewej strony ku górze: ppor. Podolski, por. Dunin, ppor. Mazur-Sekara, por. Rokita-Maksymowicz, ppor. Wąsik, kpt. Narbutt-Łuczyński, ppor. Śmiłowski, kpt. Ludwik Piskor, kpt. Sław-Zwierzynski, ppor. Świerszcz, por. Borek, ppor. Trapszo, ppor. lekarz Paczesny, kpt. Berbecki, ppor. Styczyński, por. Tunguz-Zawiślak, ppor. Wierzbicki, por. Toporczyk-Błęszyński, ppor. Mirski. Siedzą na stopniach, licząc od dołu: por. Hojec, ppor. Jagmin-Sadowski, ppor. Długosz, ppor. Czerny-Szwarcenberg.

Za jasną plamą gazonów i okrągłych klombów rozwiera się nagle wysoka, pyszna aleja. Wokół starodrzew, klony, graby, buki, popiersia, satyry i boginki, fontanny i stare zwaliska, modnych pod koniec XVIII wieku ruin...

Gdy zapadnie noc i blady, cichy księżyc wypłynie z za chmur szepcą cienie w pomrocznych głębiach parku i w majową, rozpachnioną noc odzywa się słowik...

Gwarzyłem dzisiaj długo z kapralem Gorzeckim¹⁾, krakowianinem, historykiem. Od kilku dni jest w komendzie bataljonu i prowadzi jego historję.

¹⁾ Zmarł w r. 1922.

30 maj. Konary. — Zapowiadał się dzisiejszy dzień spokojnie i cicho jak szereg dotąd spędzonych tu dni w okopach, w pozycyjnych walkach.

Słońce chyliło się już na zachód — godzina 7-ma. Zaszedłem do parku i z porucznikiem Borkiem i Trapszą obserwujemy przez szkła ogromny *captiv*¹⁾), który właśnie ściągano.

Nie minęło kilkanaście sekund, gdy skądś od Klimontowa, cicho szeleszcząc, pruć zaczął powietrze ciężki granat. Głęboki, szumny warkot potężniał, rósł, zaskowyczał wreszcie tuż nad głowami i rypnął strasliwym słupem w drogę za park. Za chwilę drugi „kufer”, trzeci, czwarty...

Wchodzimy do środkowej sali. Na oko wszyscy sobie głośno z kuferków kpią, choć lekki niepokój krąży po twarzach, tem bardziej, że coraz to nowy granat wali w klomby, figury, pod same okna dworu.

Siedziałem na ganku z Gottliebem²⁾), urzędowym malarzem pułku, gdy nowy kufer rypnął w klomb, tuż pod sam taras. Trzasnęło nami w drzwi, zewsząd sypie się gruz i szkło. Za chwilę drugi z lewej, trzeci w prawo.

Towarzystwo sztabowe zaczyna się nerwowo kręcić po sali. Gorzecki siada do fortepianu i gra jakąś fanfarę. Macają widocznie we dwór, bo co kilka sekund dziwnie złowrogo pruje powietrze nowy granat, — bez uprzedniego huku, bez urwanego łopotu i gwizdu lekkich granatów. Słysząc go, jak powoli się zbliża, jak coraz szybciej gna potężny gwizd — szum, gwizd — jęk powietrza i nagle pęd, brak tchu, zawrót głowy i przeraźliwy, strasliwy trzask rozłupanego na dwoje świata.

Wózki amunicyjne artylerji pakuja się gorączkowo. Ordynansi wyprowadzają z krzykiem chrapiące, spłoszone konie, nagwałt wytańczają działa...

Po długich kluczeniach raz w tę raz w inną stronę, by mię gdzie kufer nie dopadł, wymanewrowałem się w stronę okopów naszej kompanji i już z wylotu długiej alei ujrzałem w pewnej chwili jak dwór zatrzęsł się od strasliwego ciosu. Wśród przeraźliwego łoskotu rozległ się charakterystyczny, suchy, cierpki trzask rozrywanych desek...

Skoczyłem zpowrotem w tamtą stronę. Nie upłynęło kilka sekund, jak buchnął z drzwi Sław, Rokita, Borek, telefoniści i ordynansi. Twarze zbieleły, pokryci kurzem od stóp do głów. Sław okrwawiony, z porozdzieraną bluzą...

¹⁾ Balon obserwacyjny na uwięzi.

²⁾ Artysta-malarz.

Dwór już się palił. Nagwałt wynoszono kancelarię i rzeczy. Nikt szczęściem nie zginął. Granat wyrznął nad pokojem Sława, wybuchł na strychu, zwałił mu sufit na głowę, tak, że kapitan zaledwie skoczył w okno i na murawie klombów zemdlał. Chłop ma szczęście, jak mało kto.

1 czerwiec. Konary. — Przesunęliśmy się dzisiaj trochę w prawo, lecz ciągle za nami głęboko szumi park. Nawprost ta sama dolinka i wawóz, ta sama osypana kwieciami łąka.



Okopy pod Konarami, w dole dolinka i droga do wsi Kujaw.

Napisałem dzisiaj długi list do Stefana Szletyńskiego, brata Jurka o naszym ataku na Kamieniec i śmierci Jura. Już wiedział, że zginie, że nie minie go śmierć. Pamiątnik jego kończy się wieczorem 22-go maja strasznym zdaniem: „Straty coraz większe. Chrząszcz¹⁾ zginął. Kolej na mnie“...

3 czerwiec. Konary. — Przemysł wzięty! Wieść się rozeszła błyskawicą. Dziś przyszedł z pułku fonogram. Prócz tego wzięto Stryj, więc radość ogromna. Poza tem zmiany w 4 kompanji: pluton nasz objął podporucznik Długosz-Tetera, a kompanję ppor. Tunguz-Zawiślak²⁾.

9 czerwiec. Konary. — Sześć dni nie pisałem dziennika, bowiem nic nie przerywało codziennej monotonii okopowego siedzenia. Odkła-

¹⁾ Łódzianin, padł pod Konarami, w 1 pułku.

²⁾ Obecnie ppłk. piechoty.

dałem pisanie do rezerwy, lecz, że coraz dłużej czekać na nią przychodzi — więc smaruję.

W okopach mam ziemiankę razem z Antkiem Gruszczyńskim. Ziemianka — to poprostu głębszy i szerszy nieco dół, celtą¹⁾ namiotu przykryty zwierzcchu.

Gorące, upalne dni przechodzą nam jednostajnie. Albo śpimy, albo jemy, albo włóczymy się po wedetach. Piszę śpimy, lecz chrapie właściwie tylko Antek, gdyż ja się nie mogę ze snem uporać. Służba nie ciężka, co drugą noc placówka.

Jak kucharz powiada, zaprowadzony ma być w brygadzie żelazny krzyż zasługi. Dostaną go ci najsroźsi — oni stworzą kapitułę, która stanowić będzie o dalszem nadawaniu.

5-go oddawał cały pułk salwami z okopów pożegnanie dla Grudzińskiego. Zginął na patrolu pod Żernikami, na lewo od nas.

Dziś w okopach spokój stały od kilku dni. Zapada cichy letni wieczór. Słońce już zaszło, krwawiąc zachodem. Z jarów podnosił się to głośniejszy, to ciszej swarliwy żabi gwar, a z głębokiego mrocznego parku szedł klask, śpiew, pogwizd słowiczy.

10 czerwiec. Konary. — Wczoraj wieczorem wyszliśmy z okopów do wsi Konar, do rezerwy. Kolejka okopowa wypadnie na nas dopiero za 18 dni, a to w sposób następujący: 6 dni w Konarach, 6 dni w małej rezerwie w Kolonji Konarskiej, 6 na pozycji parkowej i dopiero wtedy okopy nad wsią Kujawami.

Mam wrażenie, że już do nich nie wrócimy. Jeśli atak „awstryj-ców“ będzie szedł dalej w tem tempie, to lada chwila ruszymy naprzód.

Tunguz, który objął naszą kompanję po zranieniu Styka — dostał dzisiaj nominację na porucznika. Poszedłem z Ojczulkiem-Czachowskim złożyć mu gratulację, co miło i z radością przyjął.

Wieczorem — że to szalona okazja — robimy u Tunguza seans spirytystyczny, ściślej-spiytusowy. Siedział Długosz, Flojar, Busse i Ojczulek. Ściągnęliśmy po pijanemu Katarzynę Wielką i naciągamy ją na proroctwa. Powiada babsztyl, że mamy być tu jeszcze trzy tygodnie, a później w głębokiej rezerwie w Kieleckiem. 29 lipca Warszawa padnie, nasz bataljon wkracza do niej, przedtem zlekka potłukłszy się z Moskalami pod Żyrardowem. Dwuch ludzi zginie, trzech będzie rannych. Wprowadzi bataljon do Warszawy Narbutt.

Tunguz, Długosz i Flojar jako warszawiacy zapijali długo w noc tę nowinę, zajechawszy w imaginacji daleko poza to miasto stołeczne.

Czytano nam wczoraj rozkaz Komendanta, wydany z okazji ostat-

¹⁾ Płótno namiotowe.

nich walk pod Konarami. Okazuje się, iż dlatego tak nas rozrywano oddziałami, ponieważ Brygada była w rezerwie dywizji. Największe pochwały dostał III bataljon.

Gorzecki czytał mi dzisiaj swój obrazek z bitwy płackowickiej. Bawi się chłop literaturą, nastrojami, poezją. Romantyk najprzedniejszego gatunku. Po południu o 5-ej wywłókł nas Tunguz na ćwiczenia w Konarach był wielki fest, którego niestety nie widziałem. III bataljon otrzymał sztandar od amerykańnek.



Por. Kostek-Aleksandrowicz i ppor. Styczyński na tle alei parkowej w Konarach.

Poza tem Gorzecki znosi z bataljonu wiadomości, że mamy pójść gdzieś pono na północ, pod Warszawę. A wielogębna fama głosi, że główna prowiantura Brygady fasunek ma dostawać od szwabów. Coś w tem jest — twierdzą kucharze — międląc chochlą w brudnej kawie...

11 czerwiec. Konary. — Całe wieczory spędzam w parku z Gorzeckim. Czyta mi swoje utwory, listy, wspomnienia... Słucham, nie przerywam, zatapiając się całkowicie w marzenia. Ten park, wiosna, słowiki, literatura i Gorzecki — każą zapominać o wojnie, okopach, głuszą udrękę niewiadomych losów.

Dzisiaj idziemy całą kompanją na wyprawę do Kamieńca. Moją sekcję wziął Długosz objaśniając dokładnie cały plan. Mamy wyłapać łączników placówek rosyjskich.

O g. 8-ej zbiórka i marsz do lasu kamienieckiego. Tu w domku Grabałowskiego (nazwanego tak od czasu patrolu, w którym był ranny), zebrała się kompanja. Tunguz powydzielał patrole. Adek Goldenberg z dwoma ludźmi wysuwa się wprzód, czyhając na łącznika. W razie gdy łącznik się na niego natknie, ma go silnie, zdecydowanie po rosyjsku zahaltować i — „ruki wwierch!“... Drugi patrol bierze Antek Gruszczyński, który tu już w czasie dnia patrolował. Długosz i ja czaimy się nad wąwozem, by w razie czego do nich skoczyć.

Cisza dzwoni w uszach. Posuwamy się ostrożnie głębokim jarem i wsią Kamieńcem jak duchy. Żadnego znaku życia. Wąwozy do patrolowania świetne, kręte, kryte zaroślami w górze i w dole.

Zerwał się ostry wiatr i wichrząc gałęziami tłumi nasz krok. Obeszliśmy wszystkie patrole dzwoniąc zębami, bo noc zimna, a potem patrolujemy dwór kamieniecki.

Tam jeszcze nie spali. Wąski pas światła jaśniał przez szpary okiennic.

Dwór zakłęty w ciszy, w cieniu potężnych drzew parkowych. Wróciliśmy stamtąd do chałupki. Był tu Berbecki, Sław, z którymi zaszliliśmy do Bussego, który z Rusinem i dwiema sekcjami osłaniał patrol prawoskrzydłowy.

Zasadzka się nie udała. Nie natknęli się na żadnego łącznika, to też o 1-ej koci marsz zpowrotem.

14 czerwiec. Konary. — Sieniawa zdobyta. Przejście przez San z południa i północy wolne. Pod stary Sandomierz, na sławne widły Sanu i Wisły wałą dwa pruskie korpusy.

Dziś znów wyprawa. O 8-ej zbiórka i marsz do chałupki Grabałowskiego. Adek już od południa tam siedzi i węszy gdzie są moskiewskie placówki. Chodzi o porwanie wedety, gdyż brak wiadomości, co u Moskali się dzieje.

Widno zupełnie, choć to już 9-ta wieczór. Za laskiem, za wąwozami byliśmy o 10-ej, gdy patrol już się wysunął. Minęło pół godziny, ciężkich dla mnie jak śmierć, gdyż obawa o Antka dławi mię jak zmore. Tak jeszcze Jurek mi ciągle majaczy, że truchleje na myśl, że który z naszej rodziny skautowej znów może paść. O 11-ej wrócili — w żaden sposób nie da się nic zrobić.

Przez resztę nocy miałem placówkę przy domku Grabałowskiego.



W okopach pod Konarami.

17 czerwiec. Konary. — Nad wieczorem przysłyły świetne wiadomości... Moskale wieją na łeb na szyję do Lwowa. Zajęte Mościska, Sądowa Wisznia, Jaworów... Podjazdy są o 20 km od Lwowa.

Wymarsz, ofensywa, już bliska... Rozdano nam dzisiaj podwójne, żelazne porcje.

21 czerwiec. Konary. — Dzisiaj odmarsz z Kujaw do Kolonji Konarskiej. Czuję się lepiej, nogi już mniej mi dokuczają. Przez ostatnie dwa tygodnie wyłem po nocach z bólu. Reumatyzm wlaź mi w nogi i dał w niesłychany sposób. Dopiero teraz odbiły się wszystkie patrole nad Nidą, brodenie po nocach, moknięcie na zalanych łąkach. To też mimo łykania aspiryny bez miary — nacierpiałem się za wszystkie czasy, szczególnie gdy szara płachta chmur wisiała nad ziemią. Dziś słońce; upał, pogoda, więc bóle jakoś przechodzą.

Austrjacy podchodzą już do samego Lwowa. Gródek, Niemirów, Cieszanów zajęte. Wielki dzień oswobodzenia Lwowa tuż, tuż. Prawdopodobnie Moskale lada godzina stąd zwieją — klin od Sandomierza już się zwija.

22 czerwiec. Konary. — Lwów wzięty! Przygotowywano nas powoli nim wiadomość ta dzisiaj nadeszła. O 4-ej fonogram głosił, że padła Rawa Ruska i Żółkiew, a w dwie godziny później telefonował Sław z brygady, że Lwów wzięty!

Radość niesłychana!

Lwowiacy odżyli, ciskają się sobie na szyję, wyją z radości...

Austrjacy na prawo tak bić z radości poczęli do mochów, aż ci, sądząc, że to idzie atak, otworzyli piekielny ogień i linie trzęsły się od ognia, jak w najgorętszej bitwie.

Zapada cichy letni wieczór. Wracam z Antkiem z Konar. Doliny, jary przed nami spowija lekka mgła, w którą wsiąkają nieznacznie kontury drzew. Cała dolina Pokrzywianki nuża się w mgłach, w siwych o fioletowym tonie oparach, a co chwila z tego sinawego mroku wystrzela w górę rakietą, siejąc migotliwe, zielonkawe światło. To chłopcy biją na wiwat!

W POŚCIGU

23 czerwiec. Wymarsz z Konar. Konary — Kaczyce — Grocholice — Włostów — Niekisiałki Duże. — Gruchnęła rano wiadomość, że okopy puste, że Moskale zwiali. Na linii cisza — ani jednego strzału. Pod białym murem Przepiórowa ukazują się już siwe patrole. Przez okopy od prawego, podają rozkaz do pakowania.

Piorunem się zwija wiara. Gwar, radość, krzyki — znów naprzód, znów dalej kawałami zbierać polską ziemię...

O 9-ej rano u Sława odprawa oficerów. W parę minut później zbiórka i marsz w dół do wsi Kujaw, gdzie już rozśpiewane ściągają kompanje.

W dolinie ruch. Wzdłuż rozłożonych kolumn piechoty przebiegają konni ordynansi, szwadrony kawalerji ostrym kłusem giną w tumanach kurzu za wsią. Co chwilę przeciąga jakiś sztab, to pułku, to artylerji, to kawalerji. Za chwilę już zajeżdża Berbecki z Toporczykiem-Błęszyńskim¹⁾, adjutantem swym i „Otyż obywatele!” rozlega się co chwilę.

Leżymy w cieniu przydrożnych drzew. Słońce jarzy złotem na osłoniętych miejscach, granaty cieniów kładą się na drodze. Rozłożyliśmy się wzdłuż płotków wiejskich, czekając na marsz. Obok leży Sław na krótkiej murawie i na ogromnej mapie wskazuje oficerom kierunek marszu.

O 10-ej wymarsz i przez Kujawy nad Pokrzywianką, przez Kaczyce, okrutnie porujnowane Grocholice dosiegamy Włostowa. Chłopcy z ożywieniem wypatrują swych starych okopów, z ciekawością oglądamy Swojków, widziany za dnia dopiero teraz i ze zdumieniem stwierdzamy, jak daleko naprzód posunęliśmy się po owym swojkowskim szturmie. Znajdujemy nasze okopki, wonczas wśród ciemnej nocy i pożarnych łun ryte naprędce łopatkami o niecały kilometr od Włostowa.

Włostów. Szeroka, duża wieś, cmentarz murem otoczony, a w nim powybijane gęsto strzelnice. Ludność wyległa tłumnie, gościnnie wynosząc co było pod ręką. Jakaś gospoia w dyrdy biegnie do chałupy i wynosi wielki garniec mleka dla tych „młodziuszych żołmieży“! Najbardziej się roztkliwiają kobiety, patrząc na młode twarze. Od chłopów bije twarda niechęć — na szczęście — do Moskali. Nie mylą nas z Austrjakami i świetnie wiedzą cośmy zacz.

Za Włostowem, za bielą pałacu Karskich, w zieleni drzew tonącym, krętymi drogami wciśniętymi w jary, w ramiona wąwozów, przez Karwów i Niekisiałki Małe, wśród wesołych pieśni ściągamy do wsi Niekisiałki Duże. Tu nocleg i zasłużony sen.

24 czerwiec. Niekisiałki Duże — Stodoły — Kunice. — O 5-ej rano pobudka i kawa... Znów przez wąwozy, jary, jasne, rozświetlone pola dźwigamy się w kurzu i śpiekocie, zalani słońcem i złani potem.

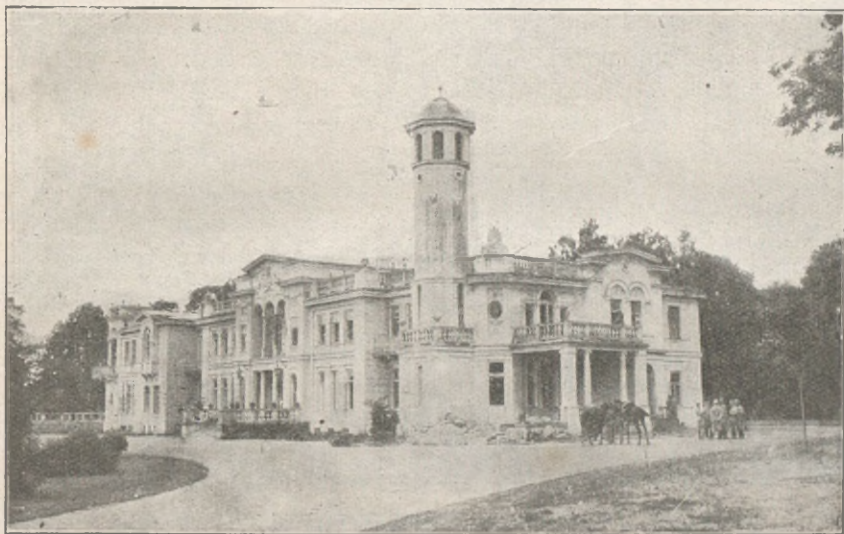
Postój. Zrzucamy rynsztunki z rozbolałych ramion, bez ducha walimy się na zieloną ruń.

Mija 11, 12, południe wreszcie przechodzi — my ciągle stoimy. Deszcz spadł krótki i rześisty, odświeżając nieco powietrze. Bataljon rozłożył się wzdłuż drogi — grupkami wiara zwarła się i gwarzy...

¹⁾ Obecnie pułkownik Szt. Gen.

Wiozą rannego. Na chłopskim, prostym wozie leży ułan, podporucznik Dudzieniec. Na żółtem podścielisku słomy bieli się jak opłatek blada twarz, ujęta bandażami głowa.

Skupiła się wnet wokół wozu grupka nowin ciekawa. Pytamy por. Borka, co słyszeć? — Ano patrol ułański — 15-tu beliniaków — wpadło wczoraj w zasadzkę: 4-ch zabitych, reszta ranni, dostali się do niewoli, lecz już dzisiaj Austriacy ich odbili.



Włostów, pałac Karskich.

Jesteśmy w głębokiej rezerwie, przed nami jest 3 pułk, I bataljon 1 pułku a na odcinku III bataljon ze Śmigłym. Postój się przedłuża. Zafasowaliśmy po kubku mleka i po kawałku wiejskiego chleba. To Sław nam robi 2-gie śniadanie. Idziemy kilka kilometrów. Stajemy obok drogi, przy wsi Kunice.

Przed nami na widnokręgu widać kościół Bidzin. Wykwitają tam dymki szrapnelowe, za chwilę mija nas artylerja.

I znowu długi postój, przychodzi poczta i gazety. W pewnej chwili przejeżdża Komendant autem. Gromkimi okrzykami wita go nasz pułk. Dziadek był w „Armee Oberkommando“. Spodziewamy się, iż sporo ważnych rzeczy stamtąd przywozi.

Około 6-ej skręcamy w bok i rozkwaterujemy się we wsi Kunice.

25 czerwiec. Kunice — Bidziny. — Kwatera komendy bataljonu. Obszerna, szeroka, czysta izba chłopska. Kilka krzeseł, dwa stoły. Kapitan Sław rysuje przy stole jakiś szkic, odbiera meldunki.

Na dworze cichy, czerwcowy wieczór. Poprzez koronki drzew czerwienieje po zachodzie niebo. Cisza ogromna i spokój. Narysowałem swój codzienny szkic dla Sława, lecz czekam jeszcze, aż kapitan pójdzie na odprawę i wróci z niej.

Przed godziną weszliśmy do Bidzin, po krótkim wesołym marszu z Kunic.



Artylerja w marszu na pozycje.

Dziwnie przykre wrażenie uczyniła na nas ta wieś. Ogromna, bogata, wspaniale zagospodarowana, lecz cicha i głucha. Moskale zabrali z sobą całą ludność z żywym dobytkiem. Zostało kilka rodzin i to co najbiedniejszych komorników.

Ziemia, którą już uprzętać ze zbóż należy, została bez opieki, bez opieki zostały zamożne gospodarstwa. Moskale tę przymusową ewakuację zaprowadzili dopiero teraz, przy tym odwrocie. W Kunicach jeszcze tego nie robili. Co będzie, jeśli tak ze wszystkich wsi ludność będą uprowadzali?...

Przez otwarte okna dolatuje śpiew. To wiara zebrała się, by po rosie, w ciszy wieczornej zanucić jak to „mała kulka świni w skroń”...

Późnym wieczorem odmarsz do Bidzin.

26 czerwiec. *Bidziny — Julianów — Stróże.* — Po upalnych marszach śpimy na kwaterach jak zabici. Z Bidzin odmarsz o 8-ej. Oddałem plecak na wóz sanitarny, więc idzie mi się doskonale. I dzisiaj jesteśmy rezerwą, lecz już drugą. Z Bidzin maszerujemy w odstępach kompanjami, gdyż dosięgnąć nas może ogień artyleryjski.

Przeszliśmy ze dwa kilometry, stajemy obok Wyszmontowa. O 11-ej ma być atak naszej Brygady i 8 pułku austriackiego, który uzupełniono innemi narodowościami i wzięto powtórna przysięgę. Dzisiaj ma on zmasać swe grzechy z pod Konar.

Artylerja już rozpoczęła swą pracę. Sporo jej jest, grzmia działa ostro, rozgłośnie.

Zbliża się 11-a. Przesuwamy się w lewo i obok wsi Julianowa, ujętej wokół ramami ogromnych lasów — stajemy. Rozkładamy się w ogromnym, ślicznym, cienistym lesie. Obok na brzegu lśnią złotemi lufami 15-cm haubice, które walą bez przerwy. Jest tu cała tyraljera armat i to ciężkich, a nad lasem wznosi się dumnie „captiv”. Rozpoczyna się ogień karabinowy, lecz słaby, takie sobie pukanie. Nie wygląda na szturm.

Około 2-ej maszerujemy tuż do wsi Julianów. Atak podobno nie był wcale przeprowadzany.

Rozkwaterujemy się we wsi. Ludność tu jest, oparli się Moskalom — nie poszli. Żalą się chłopci na Moskali, którzy grabili a nawet gwałcili kobiety.

O 8-ej wymarsz. Maszerujemy przez wysokopienny las, później przez czworobok pola, zamkniętego ścianą boru. Księżyc majestatycznie wypłynął na jasne niebo gdy weszliśmy na drogę, obok której tai się rozrzuconych kilkanaście chałup. To wieś Stróże.

Zajmujemy pozycję, I i II pluton na ubezpieczenia. Posuwamy się kilkaset kroków żytem i zmieniamy placówki VI bataljonu. Cisza ani jednego strzału... Wzdłuż drogi zaczynamy się okopywać śpiesznie, szybko, wśród uciekającej z każdą chwilą, krótkiej letniej nocy. Błady księżyc rozświeca drogę i sine, trupie pola. Rozlega się tylko zgrzyt sypekigo żwiru i dźwiękliwy szczęk łopatek...

27 czerwiec. Stróże. W płytkim okopie, wykopanym wespół z Antkiem Gruszczyńskim, nakrytym z wierzchu celtą spałem kamiennym snem, aż póki straszliwy upał nie zlał nas potem jak wodą. Zrzuciliśmy celtę.

Moskale biją zbliżka i dobrze. Co chwila gdy ruszy się kto na okopkach gwizdnie kula, zmiatając kłosa żyta. Dzień przeszedł nam na spokojnem leżeniu w okopach. Po południu ranił śmiertelnie jednego ze strzelców naszego III plutonu. Rana śmiertelna. Moskale jakoś mniej walą, więc coraz któryś wybiega ze wsi po wodę, lub po słomę. Okopy gwarzą. W plutonie rozmowa przechodzi z okopu do okopu. Wszyscy mówią o sanitetach, którzy się bali pójść po rannego. Wzięli go wreszcie i nieśli w płótnie namiotowem. Ranny wyglądał strasznie, twarz mu już zupełnie zszarzała — nie wróżyłem mu nic dobrego. Jakoż w godzinę później umarł.

Zmieniła nas dzisiaj 1 kompanja, myśmy przeszli do rezerwy.

28 czerwiec. Stróże. — Jesteśmy w rezerwie. Wieś nieduża. Przy drodze, pod wysoką ścianą lasu stoją posterunki przy chałupach i studni pilnując, by wiara się nie kręciła.

Droga jeszcze nie zamaskowana i Moskale łupią. Wczoraj ranili dwu z 3 kompanji. Wieś ewakuowana. Niema żywej duszy z ludności. Kozacy odchodząc grabili mocno, a resztę dopełnił VI bataljon, który pomordował wszystkich drób, na co wiara w naszym bataljonie mocno się oburzała, jako, że dla niej nic nie zostało.



Ranni...

29 czerwiec. Stróże. — Dwa plutony naszej kompanji rozlokowano w stodole. Rozmawialiśmy dzisiaj z Flojarem dużo o Sławie. Gorzecki mi mówił, że Sław wczoraj był strasznie zły na Trapszę o to, że kuchnia za późno rano nadjechała i moja sekcja śniadania nie wzięła. Jak mówi Gorzecki kapitan Sław za żołnierza linowego dałby się zabić.

Gruchnęła wieść, że podobno Rumunja wypowiedziała wojnę Rosji. Jest to możliwe, choć ja w to nie wierzę. Linja moskiewska znów przełamana. Jednem słowem dobrze jest!..

Noc z 29 na 30 czerwca. — Przez dwa dni staliśmy w rezerwie we wsi, a dzisiaj zmieniamy I kompanję.

Strzelanina spora, gdyż noc dość jasna. Księżyc wypłynął, placówki pukają do siebie a od czasu do czasu zrywa się ostrzejsza strzelanina i gwizd kul rozlega się nad okopami. Mam wrażenie, że Moskale zwieją, gdyż coś za gęsto strzelają.

Usnąłem o 11-ej, a o 1-ej budzi mnie Chabeusz. Wrócili w tej chwili z roboty saperskiej. Ubieramy się w rynsztunek patrolowy i mamy pójść sprawdzić czy Moskale są jeszcze, gdyż podobno zwiali

Świta już. Na wschodzie różowy pas wznosi się coraz wyżej, w szarej ciszy poranku poczyną dzwonić skowronek, z pól nadciąga ostry, rzeźwy zapach.



Zakładanie telefonu polowego.

Długosz poszedł ściągnąć placówkę a tymczasem w chałupie u Tunguza pracuje telefon. Sław nie chce pozwolić na wysłanie patrolu, gdyż już poszła tam 2 kompanja. Za chwilę telefonuje, że Moskali niema, że 2 kompanja jest już w ich okopach. My wobec tego nie idziemy.

Adek Goldenberg wraca z placówki i szeroko opowiada o swych podejrzeniach, że Moskali niema. Meldował o tem o 1-ej. Do 12-ej waliła do jego wedet placówka, a o 12-ej nagle przestała, choć się on umyślnie prowokująco zachowywał. Wedeta jego paliła papierosy, ziewała głośno, a Moskale nic.

Dzień robi się coraz jaśniejszy. Wylegliśmy na okopy gwarząc. 1. pułk Śmigłego już wyruszył naprzód i wpadł na karki Moskalom. Ciekawe gdzie się oni teraz zatrzymają?..

Nadjeżdża kuchnia z kawą. Dzień się już zrobił jasny lecz my ciągle zostajemy w okopach. Bataljon widocznie dość późno ruszył, prawdopodobnie nasza kompanja jest w rezerwie.

REDUTA TARŁOWSKA

30 czerwiec. Stróże — Karsy — Bronisławów — Lipowa Wólka — Wola Tarłowska. — Zbiórka na drodze, plutony w rozwiniętym. Czekamy na pozostałe kompanje, tymczasem po „rozejść się“, oblegamy dwu Moskali wziętych do niewoli, których Długosz zasypuje pytaniami. Dorodne, rosłe chłopcy, przytomnie odpowiadają i śmiało. Przedstawiają sytuację rosyjską jako doskonałą, mówią o minimalnych stratach od artylerji austriackiej, a wogóle sprawiają wrażenie jakby umyślnie ich tu zostawiono.

Ruszamy. Upał czerwcowy. Mijamy Karsy, docna spalone przez Moskali, mijamy ich wspaniałe, obronne pozycje. Do południa trwa marsz przez Bronisławów do Lipowej Wólki w potężnym upale.

Postój w Lipowej Wólce, gdzie ustawione obok drogi już pracują nasze legionowe ósemki. Na stodole siedzi obserwator połączony z baterją łącznikami, którzy głośno podają cyfry.

Co chwila rozlega się krzyk komendy: „kąt 27 lub 30 — szrapnelem, bateria od prawego ognia“! Podnoszą się ręce kanonierów na znak „gotowe“ i jędrny, gromki huk rozdziera powietrze, za nim drugi i trzeci. Pocisk wylatując z lufy syczy jak wypuszczona gwałtownie para z lokomotywy, później w dźwiękliwy wpada jęk—pęka wreszcie gdzieś woddali i powraca stłumionym, niskim hukiem...

Spadł rześisty deszcz. Przez wieś przejeżdżają szwadrony kawalerji, baterje, kolumny amunicyjne, tabory. Po obiedzie, mocno spóźnionym, ruszamy. W powietrzu po burzy rzeźwy chłód. Chmury jeszcze włączą się po niebie rozlażle i powolne a promień słońca wymykający się chwilami, budzi tysiące blasków w ciężkich kroplach deszczu, na chyboliwie drgających liściach drzew...

Ruszamy przez ścieżynę wydeptaną w zytach. Posuwamy się w lewo a potem w las przez Wolę Tarłowską. Deszcz ustał po godzinie — w powietrzu rozchodzi się krzepka, leśna woń czerwonych, śmigłych sosen. Ciepło wieczorne ogarnia i tuli ziemię, powoli zapada zmrok, szrapnele, które dotąd białym puchem i rdzawymi plamami wykwiwały na niebie, poczynają już tylko błyskać, a błysków tych jest coraz więcej, — coraz więcej...



Wokół, zewsząd baterje. Jedna przez drugą bije, jedna drugą wspomaga. Obok polowych 8-centymetrówek warczą pociskami 10-ki, 12-ki i 15-ki, smagając straszliwymi ciosami grający echami las...

Od czasu do czasu Moskale odpowiadają salwami armatniami, lecz te giną całkowicie i bezgłośnie w ciągłym, szarpanym huku dział i błysków naszych szrapneli.



Obserwatorzy artylerji.

Postój. Siadamy na brzegu lasu. Zmordowane leguny drzemią, oparłszy głowy o tornistry i plecaki, kołysankę dział chcąc gwałtem przespać. Wiatr kołysze wierzchołkami sosen, a w ciszy wieczornej, która się gdzieś tam po równinach kłóśnych zbóż, szemrze delikatna, oddalona pukanina karabinów tak cicho jak oddalony bełkot górskiej wody w potoku.

Od czasu do czasu z ostrym świstem przetnie powietrze rosyjski granat lub dźwięknie nad lasem szrapnel.

Powoli scicha las i cichną działa — zapada noc. Monotonne pukanie, to głuchy warkot karabinów jednak nie ustaje. Zasypiam i już prawie przez sen słyszę głos Tunguza, który wróciwszy przed chwilą z odprawy opowiada swym tubalnym głosem nadzwyczajne historie. Ponoć dla brygady niema miejsca, gdyż korpus się ścieśnił coś na trzy kilometry, że front gęstnieje nad zwijanymi linjami Moskali. Możliwe jest wobec tego, że nas pchną gdzie indziej...

1 lipiec. Tarłów. — Spałem świetnie z Antkiem na słomie pod namiotem. Nad ranem kawa i znów drzemka, aż przebudziło nas palące słońce przedpołudniowe, złoćące sosnowy las.

Zacząłem się krzątać koło kawy, lecz nie zdążyłem jej przyrządzić, gdy zbiórka i odmarsz.

Marsz na linię. Długosz i Tunguz opatrują „sztajery”¹⁾, przez kompanię przechodzi zgrzytliwy trzask otwieranych, przepatrywanych zamków.

Ruszamy. Z pół kilometra przez las, a potem dalej, do Wólki Tarłowskiej. Słońce praży, a wiara klnie, że znów bitwa wypadnie w południe... Atakować mamy kotę 209, na prawo od pozycji Moskali, którzy tu ponoć zażarty mają stawiać opór.

Kolumna posuwa się wolnym krokiem, później odstępy plutonami. Co chwila siadamy, widocznie przesuwanie nie idzie łatwo. Od czasu do czasu zajęczy rzewnie zabłakana, daleka kula.

Artylerja bije ciągle wytrwale i niezmordowanie.

Tak minęły ze dwie godziny. Minęliśmy Tarłowską Wólkę i posuwamy się zgarbieni wzdłuż drogi i okopów, w których rozłożony w rezerwie spoczywa I bataljon 1 pułku, który pod Śmigłym główny ma na pozycję moskiewskie przeprowadzić atak i szturm.

Droga słabo kryta, a o kilkadziesiąt kroków na lewo, gdzie złoci się żółty splacheć wydmy rozciąga się pierwsza linja, wśród której rwie i trzaska ogień karabinowy.

Kule poczynają już drzeć ostro i zjadliwie, coraz gniewniej, coraz złośliwiej. Wpadamy biegiem do lasu. Pierwszej sekcji z Adkiem Goldenbergiem udało się cichcem — lecz w moją już wyrznęła krótka, szarpana salwa. Dźwięknęły naraz kule jak pęknięte, rozpuszczone struny i rozżarte, siepiąc gałęzie drzew, wpadły w las. Każdą już sekcję witała odtąd salwa, lecz jakoś bez szwanku przeprawiła się cała kompanja.

Na brzegu wysokopiennego, sosnowego lasu — żółte, sypkie okopy, spieszenie ryte łopatkami legunów. Tutaj stajemy jako najbliższa rezerwa.

W pierwszych zaraz okopach rozsiadł się sztab bataljonu i pułku. Telefoniści z nabożeństwem zasłuchani w swe aparaty, adjutanci z ołówkami i mapami w rękę.

Zajmujemy okopy, jesteście pierwszą rezerwą Śmigłego. Przed nami dwie kompanje II bataljonu toną w zbożu. Nawprost, na celownik 1800 rozciąga się siny las, na prawo krótka przerwa i strzechy wsi Hermanowa. Od Wisły dzieli nas przestrzeń 3 — 4-ch kilometrów.

¹⁾ „Steyer” — pistolet dużego kalibru.

Okopy pojedyncze, nie połączone, lecz głębokie. Łatwo i bez trudu sypki piach wyrzucały łopatki.

Ogień trwa ciągle. Kule trzaskają po gałęziach sosen ostro i gęsto, a wiara z za drzew i przedpiersi wyciąga ciekawe nosy w stronę, w której bezustanku łomocze ogień.

Głuche, syczące, przytłumione pacanie naszych manlicherów trzęsie linią — czasem na prawo lub na lewo zrywa się znagła ostrzejsza charatanina.



Major Śmigły-Rydz dowódca 1 p. p. Leg.

Wiara spokojna, doskonale usposobiona szykuje się na wieczorną zabawę. Gdzieś koło 6-ej, gdy cienie sosen dłużyły się coraz bardziej — podaje Sław od lewego, że Kraśnik wzięty. Podajemy to wnet pierwszej linii i w tej chwili zrywa się stamtąd ogromne, mocne, pełne radości „hura“ i leci wzdłuż rozrzuconej tyraljery zacięte, brzmiające triumfem.

W jednej sekundzie zrywa się szalony ogień rosyjski. Z wściekłym, jazgotliwym trzaskiem siepią i szarpia kule las.

Wieczorem o 9-ej Śmigły ma przeprowadzić szturm na las, gdzie osadziła się reduta Moskali wśród potężnych, szalowanych

linij a wówczas i my uderzyć mamy na prawe skrzydło lasu, spędzić ich i rozwinąwszy się w prawo — uderzyć na kotę 209, która redutę Tarłowa i przejście Wisły odda w nasze ręce.

Powoli zapada zmrok. Artylerja nasza już od dwóch godzin miazdzy las po przeciwnej stronie.

Ciemny jego pas zsiniał od dymów. Pociski rzną w jego granatową ścianę, szrapnele raz wraz łyskają krwawym płomieniem, granaty wżerają się w redutę, hucząc i grząc tysiącznem echem...

Niżej, od samego tylko ognia karabinowego sinieje na ciemnym tle zbóż i lasu — leciuchny, powłóczysty pas dymku.

Ściemnia się. Wypiliśmy dopiero co przywiezioną kawę, spakowaliśmy tornistry, ściągnęliśmy mocno rzemienie i czekamy. Za chwilę Sław podaje by nałożyć bagnety...

Jakaś złowroga, denerwująca cisza unosi się nad jasnymi płatami zbóż, między dwoma — zmiłkłemi naraz — laskami. Artylerja przestała już bić i w gęstniejącym zmroku powoli podnoszą się i ruszają tyraljery pierwszej, atakującej linii...

Jakby otwały się naraz straszliwe wrota piekła, tak runął z lasu na wieczorną ciszę, zalew ognia. Już nie trzask, nie łomot, nie gruchotanie — ale jeden przeogromny huragan ogniowego trzasku... Nie, nie, tego nie opisze nikt, nie odda żadne słowo, co to był za ogień...

A u nas w lesie cisza. Wparliśmy się w piach, a po sosnach trzaskają, szarpiają, żłą, wściekają się kule... Drą z jakąś dziką, niesamowitą pasją korę drzew, siepią gałęzie, biją w las i grzęzną wreszcie bez tchu i bez siły w jakiejś cicho szumiącej w tym piekle — wysokiej, polskiej sośnie...

Wsluchuję się chciwie w tę karabinową orgię, w ten szalejący pod lasem trzask z coraz większym, silniejszym niepokojem... Nie, 1 pułk nie zdobędzie tego lasu, nie weźmie reduty. W takim ogniu nie przebiegnie nikt tego pola śmierci, falującego srebrnym zbożem.

Ogień słabnie. Patrzę na zegarek i nie mogę pojąć. Atak ruszył o 9-ej a teraz jest trzy na 10-tą. Trzy kwadranse trwał ten szalony ogień, a nam ten czas w naprężonym oczekiwaniu ataku przeleciał w kilka sekund.

Od tyłu znów poczynają rwać i rznąć w las pociski. Artylerja bije — a więc nie doszli... Jakoś okrzyków żadnych nie słysząc, nie dolatuje ten potężny, tak dobrze nam znany, legunowy, warjacki wrzask na „hura”, poprzedzający atak na bagnety. Nie przedziera się przez trzaskanie karabinów krzyk rozżartych piersi. Do szturm nie doszło...

Powoli milknie ogień. Od czasu do czasu szarpnie ciszą salwa — poza tem spokój. Od lewego podaje Sław: „bagnet zdejm”...

W milczeniu przeszła do świtu reszta nocy. Wypłynął w pełni księżyc i zalał sinawem, nieziemskim światłem to pole drżącego kłosami żyta, pole walki i śmierci. Szepty się tylko przenoszą przez okopy... ktoś ziewa, ktoś całkiem ordynarnie chrapie.

Wystawiam posterunki przed lasem. Świt tymczasem bieli już gwiazdy i z lewej, od Śmigłego, zrywa się znów gwałtowne gruchotanie ognia. Za chwilę dźwigamy się z okopów i w równej linii wpieramy się w wysokie, sperlone, rosą, mokre kłosa żyta.

Rozwijamy się na kotę 209.

Bieleją gwiazdy coraz bardziej, budzący się dzień 2 lipca srebrzy łany zbóż. Kompanja nasza atakować ma wprost na róg lasu, na kolczaste druty. Trzecia z prawej, druga i pierwsza w rezerwie.

Posuwamy się tak w ciszy gęstą, ciasną tyraljerą. I zdało mi się w tej chwili, że te mokre, ociekające rosą, niby krwią, żytnie kłosa wyrosłe na tem polu walki — zmywają z nas, polskich żołnierzy, hańbę dawnych niewolnych lat. Że rozgrzesza nas to pole, ten łan ziemi naszej, zroszonej znów żołnierskim trudem i czerwienią krwi...

Za nami czernieje linja rezerw. Sław swym spokojnym krokiem poprzedza pierwszą linję. Na lewo strzały zmiłkły, przed łańcuch tyraljery wysuwa się cicho i szybko patrol z nożycami.

Idziemy coraz szybciej, coraz prędzej. Podrywamy na prawo Austriaków, którzy już wrzask wiwatów podnieśli na naszą cześć, lecz na ostry, zduszony krzyk zakazu — zmiłkli.

Od posuwających się gęstych linii, w silnem, rozpylonem powietrzu budzącego się dnia, od uważnych, skupionych, czających się tyraljer — bije siła, potęga nieodparta... Przez moment na podniesionej ręki znak — stajemy. Serce rozwala piersi...

Wpadły skulone patrole w druty. Wnet chwytają nożyce kolczastą cierń. Nie pada ani jeden moskiewski strzał...

Znagła runęła linja naprzód. W mig odwalamy ogromne konary sosen, które wysuniętemi, nagiemi, rosochatemi chwytami gałęzi dra pieżnie nas obejmują.

Moskali niema. Wycofali się na kilka zaledwie minut przed naszym atakiem.

Wnet zbiórka nad okopami, na które patrzymy rozszerzonemi z podziwu oczyma. Takich pozycyj, takich okopów, ganków, przedpiersi — nikt jeszcze chyba nie zdobył i nie wziął. Okopy wspaniałe, głębokie na trzy metry, schodkowane, umacniane sosną i dębem, świetne szrapnelowe daszki, a przed okopami ogromne, stare sosny

z wysuniętymi wprzód ramionami gałęzi, oplątanymi kolczastym drutem.

Na brzegu lasu przy drodze — w kozły broń. Staliśmy tu ze trzy godziny do 6-ej rano. Dopiero wtedy, wpadli spóźnieni ułani. Galopem sadzą wprzód, z siwkiem Beliny na czele, a wśród nich gromkiem okrzykiem, serdecznym wołaniem piechoty witany, sady na koniu, stary Sirko¹⁾...

Podobno dla nas miejsca niema. Takie chodzą gadki. Pono cały korpus tak się ścieśnił, że zajmuje odcinek jednego kilometra. My zaś, — do głębokiej rezerwy. Tak spekuluje wiara...



Waclaw Sieroszewski.

Tymczasem maszerujemy naprzód i po godzinie stajemy we wsi Julianowie. Dzień śliczny, pogodny. Rozłożyliśmy się w lesie, a obok drogę zajęły tabory, działa i jaszczyki. Od czasu do czasu zdaleka dolatuje granat, — łupie gdzieś w las szukając rezerw i baterji. Moskale są jeszcze przed rzeczką Kamienną, lecz ponoć tylko już tylne straże. Gros ich sił oparło się za Kamienną.

Mijają godziny. Po południu łapie mię Gorzecki i konspiracyjnie się zwierza, że przyszedł w tej chwili fonogram z pułku, że brygada przeprawia się na prawy brzeg Wisły, a armja Dankla idzie do Włoch....

¹⁾ Waclaw Sieroszewski.

Wieczorem, a właściwie w późną noc z 2-go na 3-go odmarsz na Sulejów i dalej uciążliwym, nocnym marszem do Słupi Nadbrzeżnej.

Co chwila, gdy wydzwigaliśmy się na jaką wyniosłość, wyteżałem wzrok, czy nie ujrzę gdzie białej, jasnej wstęgi Wisły. Lecz coraz to obejmowały nas wzgórza, sypkie pagórki i suche, żywiczne lasy. Dopiero rano rozwinął się nagle przed nami szmat cichej doliny i Wisła spowita we mgłach. Na pagórkach, piaszczystych wzgórzach rozrzucone domki Słupi Nadbrzeżnej.

3 lipiec. Słupia — Dębno — Lasocin. — Wypiliśmy tylko kawę wśród białych czystych chałupek i wwaliliśmy się w pełne siasieki stodoł. Spaliśmy do południa.

Dzień do południa pogodny, piaszczysty brzeg Wisły usiany legunami, szorującymi się za wszystkie czasy. Wody dość — wystarczy.

Kochane fale smętny miały dziś wygląd. Z jakąż miłością patrzyłem na ten szary, powolny nurt, na szeroki rozrzut fal, na wyniosłe biejące ściany doliny, na wysokie strzeliste topole.

Smutna Wisła dzisiaj. Ściemniałe, zmroczone fale, jęklawie krzyczą czajki i śnieżne rybitwy.

O 3-ej wymarsz wzdłuż doliny Wisły do Dębna. Tam obiad. Mielśmy się przepawić do Rachowa i stać tam trzy dni, a tymczasem o zmroku maszerujemy w tył — dokąd nikt nie wie. Późno w noc stanęliśmy w Lasocinie.

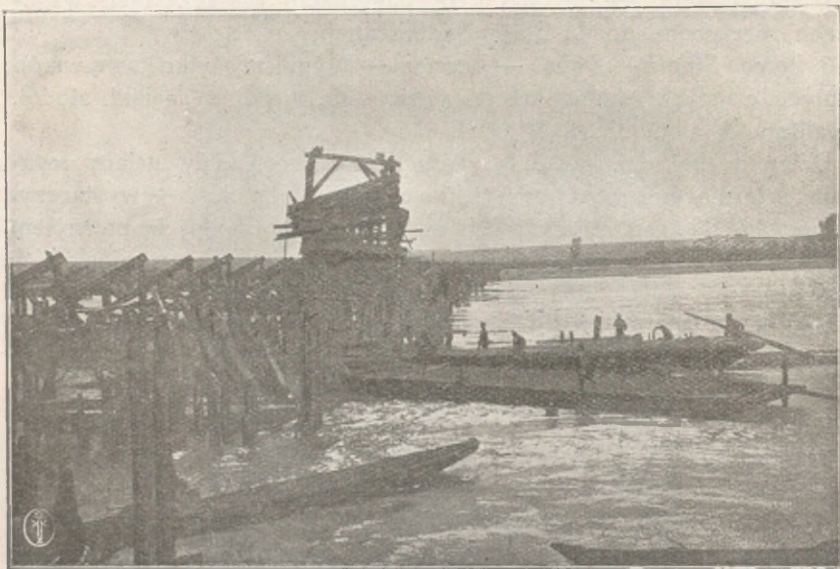
4 lipiec. Lasocin — Rachów — Wymysłów. — Przecudna pogoda. Nad niewielkim czystym, rozrzuconym Lasocinem przepyszne, lipcowe słońce. Wśród chałup kręcą się siwe mundury — przyjaźnie wszędzie witane. Obywatele Lasocina, zamożni gospodarze — witają nas serdecznie i radośnie. Czujemy się tu dobrze — jak żołnierze we własnym kraju. Mleka, czereśni, razowego chleba, jajek i masła — wbród.

W południe znów marsz. Z żalem opuszczamy gościnny Lasocin. W Dębnie, któryśmy wczoraj opuścili, przeprawa przez ogromny most, rzucony już przez Austriaków, tuż nad spalonym, zwęglonym szkieletem dawnego. Wokół stukot młotków, pracowity gwar saperskiej pracy. Obok chwieje się już gotowy pontonowy most. Na chybottliwej desce pakuje się kolumna.

O zmierzchu zmordowani potężnie, rozkwaterowaliśmy się po stodołach i sadach Wymysłowa.

Wieczorem wpadłem do komendy bataljonu na nowinki. Nasza bitwa pod Tarłowem Austriakom zaimponowała 'ponoć nadzwyczajnie. Dzięki ruszeniu tej reduty mógł cały korpus przesunąć się naprzód i zająć przeprawę na Wiśle. Komendant tak manewrował rezerwami, przesuwając je sekcjami przez cały dzień do lasku, że

Moskale mieli wrażenie, jakby atakował ich cały korpus. Artylerji nie mieli, a poza tem Komendant kazał 1 pułkowi od południa, co jakąś godzinę ryczeć „hura“. Wiara wrzeszczała nie wychylając głów z okopów — a Moskale sądzą za każdym razem, że odpierają szturm. To też tak się nerwowo wyczerpali, że nad ranem zwiali... Wyobrażam sobie ile tysięcy ludzi straciłby musieli Austriacy, gdyby normalnie szturmowali tę redutę.



Wiśła pod Rachowem podczas przejścia Brygady.

5 lipiec. Wymysłów. — Cicho i spokojnie przeszedł nam dzień w Wymysławie. Rano po śniadaniu poszedłem z Antkiem Gruszczyńskim pobłądzić po lesie. Zwarło się nad nami przepyszne sklepienie zieleni. Słońce zaledwie przeświecało przez gęstą zasłonę, migotliwie jarząc się wśród drżących liści.

Wieczorem długo w noc gwarzyliśmy z tutejszemi chłopami. Moskale mają oni wszyscy dość, nie bardzo jednak jeszcze wierzą — żeby ta Polska niepodległa mogła być — lecz dobry czas zrobi to sam.

PRZEZ ZGLISZCZA I POPIOŁY

6 lipiec. Wymysłów — Rachów — Świeciechów — Popów. — Rano o 4-ej wymarsz. Niespodziewany trochę, gdyż mieliśmy trzy dni stać w Wymysławie, tymczasem poderwano nas i w skwarne południe maszerujemy przez spalony zupełnie Świeciechów a później przez

Bliskowice do Popowa. Droga nabita artylerją, taborami, kolumnami piechoty — na wszystkim osiadł szary, ciężki pył. Wdali pod Józefowem huczą i grzmia działa.

W zabójczym upale, pół żywi, przez zgliszcza i popioły dotarliśmy do Popowa, rozkładając się w cieniu drzew.

Dzień szybko przeleciał na odwiedzinach w II-gim bataljonie a wieczorem rozłożyliśmy się na słomie, pod pogodnem rozgwieżdżonem niebem.



Dogorywające popioły Wyżnicy.

7 lipiec. Popów — Stefanówka — Dzierzkowice — Wyżnica. — Do południa przeleżeliśmy jeszcze w ogródku, lecz już w pogotowiu do marszu. O 12-ej w sam skwar, wśród palącego słońca — ruszyliśmy uciążliwym marszem na wschód. Pot nam zalewał skronie, tętna waliły jak młotem, tumany kurzu tamowały oddech, rzemienie paliły barki jak rozpalonem żelazem. Wiara skonana, spuchnięta — coraz to wściekle przekleństwo chłostało jak batem ten marsz i upał. O 4-ej po południu wyczerpani, bez tchu stanęliśmy w Stefanówce, skąd po krótkim wypoczynku i obiedzie ruszyliśmy dalej...

Maszerowaliśmy tak przez całe popołudnie, wieczór, przez całą noc, bez przerwy, bez ustanku. Marsz dał nam szkołę niesłychaną, gdyż początkowo gnaliśmy jak warjaci, a później co kilka kroków stawaliśmy — djabli wiedzą dlaczego — by znów gnać bez opamiętania. Przez ogromną, dziewięć km długą dzierzkowicką wieś, docna spa-

loną przelecieliśmy prawie biegiem i wreszcie o świcie dotarliśmy do wsi Wyżnicy.

8 lipiec. *Wyżnica*. — O 3-ej z rana, nieludzko wymęczeni, bez sił poprostu, stanęliśmy w Wyżnicy. Od Dzierzkowic — spalonych zupełnie — weszliśmy znów w długi sznur sterczących jeno kominów. Wszystkie chałupy Wyżnicy z obu stron drogi, wysadzone gęsto drzewami — to kupa gruzów i popiołu. Gdzie przed tygodniem jeszcze śmiała się do życia złotem swych strzech wesoła, bogata wieś — sterczą kominy i ckiwy zapach świeżych popielisk roznosi się wokół.

Wzdłuż rzeczki Wyżnicy, wzdłuż drogi i dawnej wsi — ryją się okopy. Użyto do nich płotów, desek, drzwi, okiennic, stołków i ławek.

Okopy te zaraz zajęły trzy kompanie naszego bataljonu, my zaś maszerujemy w tył, do niewielkiego lasku, na garb wyniosłego wzgórka.

Dzień już był w pełni. Stanałem na brzegu lasu i wzrokiem ogarnąłem szmat polskiej ziemi. Jak daleko oko sięgało, tak śmiesznie pokurczone, popalone sterczały nagie, szczerbiały kominy. Gruz, spaleniżna, ckiwy duszący swąd. Z bolesnych kikutów, sterczących samotnie kominów biła rozpacz rozdeptanego, skatowanego życia, bezsilność niebronionej, wydanej na łup żołdackiego ognia, polskiej wsi...

Poczułem wówczas, jak strasznie nienawidzę, jak nienawidzę krzywd niepomszczonych. I jak dobrze, że jest tych kilka tysięcy mścicieli...

Nie rozumiem absolutnie jaka się wywiązała sytuacja. Byliśmy rezerwą korpusu, a w nocy w czasie marszu, oficerowie coś szeptać tajemniczo poczęli i rozpoczął się ów wściekły marsz dalej...

Tymczasem owijamy się celtami i dopiero koło południa budzi nas kawa. Nad wieczorem poszedłem do okopu Sława, narysować szkic sytuacyjny, gdzie wreszcie cośniecoś się dowiedziałem. Okopy, które zajmujemy nad Wyżnicą zajmowała do wczorajszego dnia czeska dywizja, która w nocy została rozbita kompletnie i wyfasowana na Urzędówce, wobec czego ściągnięto nas nagwałt, abyśmy zajęli linię Wyżnicy i dziurę zatkali.

9 lipiec. *Okopy nad Wyżnicą*. — Wstałem z pod płótna rano, gdy Antek jeszcze spał. Budziłem się ciągle w nocy, gdyż gdzieś na lewo buzował nieustannie karabinowy ogień. Artylerja się przy tem wdała i łomoty takie szły, że trzęsła się ziemia.

Z Łodkiem Janowskim poszedłem do wsi, na kartofle. Ta część Wyżnicy, którą zajmujemy, stosunkowo mało zniszczona. W niewielkim, kilkunastokowym folwarczku nabieramy wody. Wynoszą się stamtąd nagwałt mieszkańcy. Jakiś młody mężczyzna krząta się gorączkowo, pakując na wóz ostatnie graty. Młoda, piętnastoletnia może panienka, pośpiesznie pomagając bratu, żywo coś o świszczących kulach opowiada przestraszonym głosem.

Zmęczonym wzrokiem patrzę na nich. Tak mi ich żal, tak serdecznie żal tych biednych ludzi, którym w godzinie jednej cały dobytek się niszczy. Czuję poprostu fizyczny ból, patrząc na te zwęglone domy, na te porozrzucane statki domowe. Kiedyż się skończy ta ich nędza.

Gdyśmy wracali, tłukli do nas z pod lasu, lecz nieszkodliwie.

Znów dzisiaj płonie wieś. Te ciągłe pożary, te dymy, czarnymi słupami rozpacznie bijące w niebo, te krwawe łuny nocami gorejące — znaczą ciągle ślad cofających się Moskali. Palą i palą.

Przed nami, po drugiej stronie rzeczki rozłożył się biały, niewielki folwarczek, z dworkiem wspartym na kolumnkach. Jakiś trep zidjociał, pułkownik austriacki zameldował do artylerji, że w dworku tym — w którym byłem przed południem z Łodkiem po kartofle — stoi moskiewski karabin maszynowy. Nim wróciliśmy do okopów, rznąć tam poczęły austriackie granaty. W kilka minut z białego dworku były już słupy dymu. Zanim wpadliśmy do bataljonu, zanim połączono się z baterją — dwór już płonął bezlitośnie.

Wieczorem zajmujemy okopy. Odcinek nasz przesuwa się w lewo, aż do Dzierzkowic. Wystawiam placówkę przed drutami po drugiej stronie rzeczki.

10 lipiec. Okopy w Dzierzkowicach. — Wypałem się setnie po nocnej służbie. Dzień przeszedł szybko, mamy trochę gazet, poza tem pitrasimy.

Pod wieczór, gdyśmy siedzieli gwarząc na okopach, wyszedł z za drogi jakiś tutejszy gospodarz, gdzieś w popieliskach siedzący na swej nędzy. Dowlókł się do okopu, pięknie wyłożonego jego stołkami i szafami, postął, popatrzył na swe to nowe gospodarstwo i międląc czapinę w rękę, a przysłuchując się naszej pogwarce, zapytał się Włodka Łęckiego, który na skraju siedział.

— A jakże to tam panie będzie teraz z Polską, czy ona będzie sama^ś w sobie, czy jak?..

Spojrzelśmy po sobie zdumieni, aż zachłyśnięci z tej nagłej radości, co nam objęła serca! Nie mogliśmy w pierwszej chwili pojąć, co, jak dlaczego. Czemu nie pyta o swe stołki i piernaty, czemu ich nie wypłakuje, czemu nie skarży się na swą sobaczą dolę zrujnowanego, w nędzarza obróconego a — zasobnego wczoraj jeszcze — gospodarza! Skąd, dlaczego to dziwne pytanie, ta troska w Polsce o Polskę?!...

Otoczyliśmy go wkoło i, jak nam tylko pozwolił żar rozplomionych serc, tak długo w noc klarowaliśmy, jak to z tych dymów, pożarów i kurzów krwi — powstanie Polska „sama w sobie“...

11 lipiec. Okopy w Dzierzkowicach. — Moskale się cofnęli, umilkły działa, w okopach cisza. Wiara wyległa gęsto, na drogę wysadzoną topolami, lipami, krwawiącymi opalonemi, spiekłemi bokami.

Pogotowie do marszu. Krążą najrozmaitsze pogłoski, lecz nikt nie wie, dokąd się mochy cofnęły. Czy tylko do Urzędowa, czy aż na linię Chodelu. Tymczasem czekamy na wymarsz...



Okopy w Dzierzkowicach.

Przyprowadzono nam dzisiaj świeżych rekrutów z Kielc. Nasz pluton wyfasował trzech: jednego gimnazystę, jednego aptekarza lekarza dr. Kwaśniewskiego¹⁾, który jeszcze kilka tygodni temu — bo w maju — był w Kielcach korpusowym lekarzem rosyjskim. Został w Kielcach, gdy Moskale stamtąd wydarli i dziś jest u nas. I choć go chciano gwałtem zarekwirować do sanitariatu, odmówił twardo. Chce się bić z karabinem w rękę, chce być prostym, szarym żołnierzem. Ma szpakowatą bródkę, jasne, okropnie pocziwe oczy i łat chyba po czterdziestce. W naszym młodym, sztubackim plutonie będzie się czuł jak ojciec wśród dzieci.

Drugi aptekarz z Kielc. Tego musiała wypchnąć na front i na bohatera wyznaczyć pleć słabsza z tak bowiem niesamowitem przeżeniem oglądał nasze brudne gęby, okopy, broń, granaty. Nie zagrzał też ani jednej doby i wsiąkł na lekką służbę do sanitariatu.

Dzisiaj, jak i wczorajszy dzień minął bez zmian w okopach. Dopiero pod wieczór ruszyliśmy naprzód.

¹⁾ Obecnie wojewoda tarnopolski.

15 lipiec. Las pod Urzędowem. — Dzień już się jasny robił, gdyśmy stanęli po ciężkim marszu w wysokim lesie. Po kawie raz dwa wypitej, walimy się na miękkim mech, skręcamy celtami i zasypiamy kamiennym snem.

Obudziłem się o 12-ej, rykiem kucharza poderwany. Obiad. Rozbiliśmy później namioty, które giną w gęstym poszyciu lasu, tonąc w zieleni.

Wieczorem wysłano do Urzędowa kwatermistrzów, więc widocznie spać będziemy pod dachem — i wkrótce wymarsz. Na prawo znów krwawi niebo olbrzymia luna. To palą się Popkowice.

Marsz krótki i wesoły. Pod koniec zabroniono palić i rozmawiać. Natychmiast cisza głęboka objęła kolumnę.

Spowaźniała, zmieniała się wiara. Pamiętam jak to dawniej, jeszcze zeszłego roku, nad Nidą, gdy był rozkaz aby nie rozmawiać, to wiara gadała jak najęta. A teraz cisza aż głaszcze serce, najmniejszy szept nie przerywa milczenia.

Zajęliśmy w Urzędowie ogromną, pyszną stodołę.

16 lipiec. Bitwa pod Urzędowem. — O 1-ej w nocy słyszę przez sen szybki, zciszony głos dyżurnego, by Czachowski zaraz zebrał pluton. Zbieramy się ociężali, gdyż stodoła rozkoszna była nad miarę. Od dwu tygodni pierwszy raz pod dachem.

Zbiórka. Oczulek wyznacza mię na patrol z całą sekcją, lecz nie wiem jeszcze dokąd. Tymczasem spijamy kawę.

Moskale biją i to gęsto. Kule ostro siepią po chałupach, czasem zabuczy jak bąk berdanka. Łotry biją z nich nocami.

Wypiliśmy szybko kawę. Z patrolem nie idę, natomiast wyrusza Rybak¹⁾ z trzema ludźmi, by zbadać, czy po moście na Urzędówce może przejść bataljon w kolumnie czwórkowej. Oczulek rozdaje naboje i nożyce do przycinania drutów, ręczne granaty. Chłopcy w humorach świetnych, choć wszyscy ciekawi kto się dzisiaj zgłosi do św. Piotra... Antek Gruszczyński wesoły jak szczygieł, kpi, dowcipkuje — wysyłając wszystkich pokolei na niebieską łączkę.

Ruszamy. Zadanie nasze polega na ubezpieczeniu bataljonu przy przeprawie. Sław, wyprawiając Długosza, ze swym miłym uśmiechem życzy nam powodzenia.

— Marsz wnet śpieszny, koci, przyciszony. Za mostkiem rozwijamy się w lewo wśród popalonych chałup i w głuchej ciszy nocnej okopujemy się na drodze, przed niewielkim, łagodnym wzgórkim falującego zboża. Moskale są tuż, tuż — biją ciągle, lecz okopy ich giną w zbożu.

¹⁾ Rybak-Fordey zginął na froncie włoskim w r. 1918.

O 4-ej gdy już szarzał świt 16 lipca wróciliśmy do niespalonej części Urzędowa.

Jesteśmy w rezerwie jak również i kompanja pierwsza. Druga i trzecia rozwinęły się za chałupami i posuwają się naprzód, lecz w dość słabym ogniu.

Siedzimy wzdłuż drogi za chałupami, pod staremi, rosochatemi wierzbami, gdy naraz z ogłuszającym trzaskiem pękł tuż za nami szrapnel jeden i drugi...

Gdzieś tam któryś jęknął, gdzieś zerwał się bolesny krzyk...

Tunguz rozpędził natychmiast kompanję pod chałupy, powpychał w ogrody. Jeszcześmy nie zdążyli tam skoczyć, gdy nowe dwa pękają i grad kul wściekłym miotem uderza w liście drzew...

Jakgdyby wyrznął piorun!... Tunguz się chwycił za pierś, Długosz zbladł, trzaśnięty w ramię, Lodek gorączkowo obmacuje kolano... Na szczęście wszyscy trzej dostali zewnętrznym promieniem rozrzutu, więc tylko ich posiniaczyło. Rannych ciężiej natomiast dwu, a z 1-ej zabity sekcyjny Sokół...

Lokujemy się szybko w ogródku, pod samemi ścianami domków zamożnych mieszczuchów, którzy nas z rozczuleniem częstują mlekiem, głównie na intencję wypędzenia Moskali. Antek zobaczywszy nieco ładnych dziewcząt rozdokazywał się jak małpa, Chabeusz z Władkiem Łeckim nastawiają wyciągnięty z chałupy gramofon na jakąś skoczną nutę tak, że nowej serji szrapneli, ukryta już za chałupami wiara dośpiewuje cynicznie: do lampy, gadaj do lampy...

Wszystko się to działo do 8-ej rano. Wtedy dopiero poderwano nas i szybkim marszem poszliśmy do wąwozu na lewe skrzydło, gdzie walał się pod nogami wszelaki rynsztunek Austriaków, wybijanych tu przed tygodniem.

W wąwozie ogień piekielny. Ekrazytówki napętniają powietrze jęklwym, ogłuszającym trzaskiem, jazgot kul nie ustaje ani na chwilę.

Dostaję rozkaz zajęcia z sekcją okopów na szczycie ściany wąwozu i ledwieśmy je zajęli i zapadli w piach, gdy nagle, niespodziewanie rozległ się bolesny, rozpaczliwy krzyk Antka Gruszczyńskiego: sanitariusz, sanita...

Nie skończył...

Skoczyłem do niego, a Antek zwiesił już głowę na krzak głogu i twarz mu zszarzała na popiół. Porwali go sanitariusze z doktorem Kwaśniewskim i znieśli w dół. Dostał w bok i za chwilę skończył.

Patrzyłem osłupiały, oniemiały, poprostu nie pojmując co się stało.

Po godzinie wycofaliśmy się z wąwozu i ruszyliśmy na skrzydło prawe, znów za te same chałupy. Przez resztę dnia padał ulewny deszcz, tak, że dopiero po południu, na drodze pod wierzbą, wykopaliliśmy Antkowi grób.

17 lipiec. *Okopy pod Urzędowem.* — O 2-ej gdy już gwiazdy blakły na niebie, obudził nas Edek Pfeiffer. Zmarzłem w namiocie porządnie, gdyż deszcz padał prawie przez noc całą. Szybko zbiórka i wśród zbóż mokrych od deszczu — idziemy śpiesznie na wzgórze do okopów.

Zmieniamy 2 kompanję. Okopy głębokie, ziemianki już powygrzebywane. Do tego wzgórza najdalej doszła 24 dywizja austriacka. Teraz dopiero naprawialiśmy to, co ona straciła.

Rozlokowaliśmy się. Na lewem skrzydle dość gęsta strzelanina, lecz u nas cisza. Ociężałe mgły podnoszą się z pól, spowita niemi sinieje blade dolina Urzędówki. Tymczasem pierwsza kompanja i nasza wysłały patrole wprzód do drutów moskiewskich. Patrole doszły i wróciły nieostrzelane.

Natychmiast gwar i ruch uczynił się na okopach. Ogólnie sądzono, że Moskale zwiali, Tunguz więc posyła Edka z Banaszczakiem, lecz już widocznie za jasno się zrobiło. Mgła opadła i w tej chwili poczęły świszczec i trzepać kule, a ekrazytówki z ogłuszającym trzaskiem pękać za patrolami. Ano, Moskale nie zwiali...

Ranek chłodny, mnie febra trzęsie z zimna, lecz spać się nie kładę, czekając słońca. Przespałem wreszcie godzinę przed południem, gdy słońce się już wysoko wbiło na jasnym bez chmurki niebie.

W okopach znowu ruch. Moskale przez pewien czas utrzymywali je w ogniu, lecz gdyśmy zaczęli prażyć do nich — umilkli i zrzadka tylko odpowiadają. Celownik mamy 1400.

Po południu waliła nasza artylerja przez godzinę, poza tem spokój.

Nadeszły dwie urzędowe wiadomości, że Prusacy przełamali front moskiewski w Lubelskiem pod Tarnogórą, a w Radomskiem pod Sienem. Wobec tego możliwe, że Moskale wycofają się i stąd.

Wieczorem kopaliśmy ganek. Pierwsza sekcja wystawia posterunek.

18 lipiec. *Okopy pod Urzędowem.* — Kąpaliśmy się w rozprazonem słońcu do południa, aż nam plecy na raka poczerwieniały. Lecz już w południe ochłodziło się i począł mżyć deszczyk.

Dostaliśmy dzisiaj urzędową wiadomość, że Mackensen dotarł do linii Chełm — Lublin i Ciepiałów podobno zajęty. — Dziwię się, że wobec tego Moskale się jeszcze tutaj trzymają.

Wieczorem miałem służbę. Rozstawiłem posterunki przed okopami. Moskale walą gęsto, tak, że posterunki przez cały czas muszą leżeć w okopku. Kule ostro trzaskają, noc ciemna, bezgwiezdna, deszcz ani na chwilę nie przestaje sączyć...

Po północy zmieniła nas 2-ga kompanja.

19 lipiec. Urzędów — Ludwinów — Majdan. — Szary świt. W siwej mgłę leży dolina Urzędówki. Ckliwe opary zmieszane z monotonnym, nieprzerwanie szmerzącym deszczem włóczą się po polach.

Ciężkie kłosa pochyliły się pod srebrnymi kroplami, przepiórka jęklawie nawołuje, gdzieś we wsi zapiał kogut, gdzieś na skrzydle ostro trajkocze karabin maszynowy...

Co chwilę przeszywa powietrze świst kuli, to smętny, mdlejący jęk, gdy już wyzbyta siły kapnie w rozmięktą ziemię, to ostry, wściekły świst i trzask pękającej ekrazytówki, to ordynarne buczenie berdanki.

Interesująca muzyka.

Kompanja 2 zajmuje okopy, a my szybko zdążamy do wsi, ciągle wśród deszczu. Rozbiliśmy namioty, wypiliśmy już gorącą kawę i układamy głowę na plecaki, gdy nagle zrywa się wołanie dyżurnego, by się pakować. Moskale zwiali, 2 kompanja jest już w ich okopach.

Klniemy jak sto djabłów. W taką załapaną, zdechłą pogodę mamy ich gonić, człapać po oślizgłym, lepkiem błocie...

Zwijamy namioty i marsz do Urzędowa, gdzie pakujemy się na kwatery w stodole. Do południa jako tako podespaliśmy nasze okropne zaległości, a sen uleciał do reszty, gdy nam łącznik przeczytał rozkaz do kompanijnych. Brzmiał on: „Dywizja Piłsudskiego z 4 pułkiem w awangardzie maszeruje na Ludwinów”.

Radość wielka. O 4 pułku już od dwu dni słyszeliśmy, że maszeruje do nas, lecz niespodziewaliśmy się, że Komendant dostanie dywizję...

O 3-ej wymarsz szeroką drogą do Ludwinowa. Przed nami, za nami, obok nas ciągną rozwlekłe tabory austriackie. Droga przeszła wesoło, od czasu do czasu mijali nas kawalerzyści 4 pułku w zielonych mundurach i takichże rogatywkach, zawadjacko na bok przekręconych. Wiara już ostrzyła sobie na nich języki, gdyż „szarże” czwartaków noszą austriackie odznaki.

20 lipiec. Majdan — Zakęcie — Białawoda. — Jesteśmy w rezerwie armji, stoimy we wsi Majdanie.

Po deszczu powietrze się przeczyściło i głos się rozchodzi daleko, to też armaty bijące hen gdzieś, zdawały się nam tak bliskie... Z wylotu wsi widać błysk pękających szrapneli na horyzoncie i białoczerwone dymki.

Około 4-ej ogień artyleryjski wzmógł się tak silnie, iż na horyzoncie, nad sinemi lasami widać było jedną nieprzerwaną linię pękających szrapneli i białą linię dymków. Ogień karabinowy bulgotał, niby woda w garnku, a maszynowe karabiny grały bezpamiętnie...

Po godzinie ogień ustał, zrzadka tylko bije artylerja.

Siedzimy w stodole, do której zaszedł Długosz i wśród szemrzącego na dworze deszczu potoczyła się pogwarka o tem co już jest, o tem co będzie, co być musi. Co do 4 pułku to Długosz wątpi, czy go Komendant dostanie pod swą komendę, gdyż Komenda Legionów zbyt pono intryguje a poza tem Austriacy świadomi wpływów Brygady, nie zechcą z nią łączyć 4 pułku.



Por. Tunguz-Zawiślak, ś. p. ppor. Długosz, ś. p. ppor. Styczyński.

Zmierzch już zapadał, gdy gruchnęła wieść, że Radom wzięty i że Austriacy przed nami, w południowym szturmie przełamali front moskiewski i że gnąją Moskali przed sobą. Szturm rozpoczęła tam 40-ka rzeszowska.

Wnet też nadszedł rozkaz pakowania. W plutonie radosny nastrój. Znow więc idziemy naprzód!

O 9-ej wymarsz. Noc ciemna, dżdżysta, błoto pod nogami rośnie jak ciasto na drożdżach. Marsz gwarny, wesoły wśród ciemności, w których się ciągle obijamy; błoto po kostki. Po wyjściu ze wsi droga się nieco polepszyła i poczęliśmy gnać jak szaleni. Sześć km przelecieliśmy jednym tchem i rozkwaterowaliśmy się we wsi Białawoda.

21 lipiec. Białawoda—Kłodnica. — Weszliśmy w strony, w których Moskale nie zdążyli popalić wsi. Ludwinów, Majdan i ostatnia Biała-

woda — ogromne, bogate wsie, pełne ludności i całe. Moskale bądź dostali rozkaz zaprzestania tych strasznych gwałtów, bądź też nie zdążyli ich popełnić. Sądze, że dostali rozkaz, gdyż noce już przestały czerwienić się rozpaczliwemi łunami, a we dnie słupy dymów nie biją w niebo.

Jesteśmy od linii o 10 km w rezerwie armji. Wczorajszy atak był przeprowadzany na odcinku czterech dywizyj armji Ferdynanda. Moskale zostali przełamani — wzięto moc jeńców, dział i maszynek a nawet jakiś sztab dywizji z całą kancelarją. Ponoć Moskale otrzymują tylko po 18 pocisków dziennie na jedno działo.

Po południu wieziono na setkach podwód rannych — przeważnie Moskali. Jest to „opołczenie“, — po raz pierwszy wzięte w ogień. Oficerów brak, kompanje prowadzą „praporszczyki“...

Wieczorem odmaszerowaliśmy do Kłodnicy — 2 km od Borzechowa 4 od linii.

22 lipiec. *Kłodnica Dolna*. — Stoimy w Kłodnicy Dolnej. Brygada rozkwaterowana po przyległych wsiach — Kazimierzowie, Marjanówku i Borzechowie.

Dzisiaj o 3-ej z rana Austriacy znów atakowali i posunęli front naprzód.

We wsi gra orkiestra... Z jakąś dziwną tęsknotą przysłuchuję się starym, znajomym dźwiękom, granym gdzieś w marszach po Szczawnicy, Poroninie, Sączu i Łowczówku... Hej, jakeśmy to wówczas szczęśliwi, radośni przemierzali wszcz i wzdłuż kochaną ziemię naszą gdy żył jeszcze i Zdzych Chabowski i Jur i Antek. Nie wrócą już te czasy, nie wrócą...

Wieczorem odmarsz. Orkiestra ciągle gra — to kawalerja nasza przyjmuje ułanów nadciągających z 4 pułkiem. Jakiś radosny nastrój lśni w powietrzu, jakieś rozradowanie gorące i szerokie... Wszyscy mówią o Lublinie, o spodziewanem wzięciu Warszawy, wiara pobożnie sobie oblicza, że jeżeli Moskale zwięją z ostatniej linii, to w niedzielę ujrzyć nas może Lublin w swych starych, trybunalskich murach.

Maszerujemy wzdłuż linii, znaczonej łukami rakiet, oświetlającemi zielonkawym, migotliwym blaskiem ciemną noc...

Koło północy stanęliśmy na leśnej polanie o jakieś 2 km od linii.

23 lipiec. *Las na drodze Borzechów — Łączki*. — Zmarzłem nieco nad ranem pod celką i dopiero poranne słońce — przeświecające przez ciężki baldachim lasu — rozgrzało kości.

Las stary, gęsty, podszyty — jeszcze zeszłorocznemi zryty okopami. Gdyśmy przetarli oczy i gorąca kawa nieco przytomność nam wróciła, dowiadujemy się, że Moskale zwiali. Świadczy o tem długi korowód

chłopskich wozów z Bełżyc i wsi okolicznych pognanych przez Moskali a wracających teraz do swych chałup.

O 9-ej rano odmarsz i przez Borzechów do Łączek, wśród wijących się okopów rosyjskich i austriackich—przez zadrzewioną drogę ciągnie powoli kolumna. Musiały tu być walki gwałtowne i zacięte, musiało dochodzić do szturmów na bagnety.



Powrót uchodźców.

Tuż za Borzechowem natknęliśmy się na pierwsze, nieuprzątnięte jeszcze ślady walki. Wzdłuż piaszczystej, szerokiej, polskiej drogi — gęsto leżały trupy moskiewskich żołnierzy. Śmierć ich snąć chwyciła nagle, niespodziewanie, gdy ciasną kolumną marszową dźwigali się w znojmym pochodzie. Pod zalewem szrapnelowych kul rozbiegli się widzieć gdzie kto mógł. Ów skulił się w przydrożnym rowie i nim kurczowo ściśniętą łopatką pierwszą skibkę ziemi odrzucił — dostał w głowę i w tej pozycji pozostał. Dwóch innych skryło się za tęgą topolę i tam ich zaskoczyła śmierć przywartych, przyciśniętych dzikiem przerażeniem do drzewa. Inni legli wprost na drodze z rozwartemi ramionami, z białą śmiertelną na twarzy lub pokurczeni, poskręceni, ostatkiem sił żywota czołgali się w bok, w pełne, rosłe żyto, by tam znaleźć ciszę i śmierć...

Zbite, stargane, potrzaskane gałęzie drzew świadczyły rozsyanym liściem o ogniu, który przeszedł nad tą polską drogą...

Kolumna ścichła. Maszerujemy w milczeniu. Ciszę przerywa jeno chrzęst łopatek i szmer żołnierskich butów na piasku.

Stanęliśmy w południe w lesie pod Łączkami. Obok zaraz za polaną kawał starganego lasu, a w nim znów dziesiątki trupów rosyjskich i austriackich, w popłątanych, w powgryzanych w siebie okopach...

24 lipiec. *Las pod Łączkami — Czołna — Wymysłówek.* — Godzina 2-ga w nocy. Łagodnie, cicho szemrze las. Żołnierze śpią otuleni w koce i celty, od czasu do czasu dobiegnie głos rozmowy Tunguza z oficerami.

Nie śpię — przebudził mnie ostry, gwałtowny wiatr, który ustał po chwili i porusza zaledwie gałęziami drzew. Chwilami cisza staje się zupełna, a wówczas słychać tylko głęboki oddech żołnierskich piersi. Nagle tę nocną ciszę blednących gwiazd, bielejących łąk i siwych mgieł przerywa tępy turkot kuchni i tubalny, ordynarny krzyk kucharza: 4 kompanja kawa... kawa...

Wnet po kawie zbiórka. Ruszamy na północny wschód i po dwugodzinnym marszu rozbijamy biwak w lesie obok wsi Czołna. Staliśmy tam cały dzień, aż wieczorem nadeszła wiadomość o wzięciu Chełma. Maszerujemy więc na pozycje, kompanje w pogotowiu rynsztunkowym czekają na odmarsz, który nas rzucił do wsi Wymysłówek.

25 lipiec. *Wymysłówek.* — Rozkwaterowaliśmy się całą kompanją w stodole. Drugi bataljon na linii, nasz w rezerwie. W południe kompanja kopala dla rezerwy okopy, a mnie zawezwano do majora Berbeckiego by narysować szkic wsi Babina która leży na pozycji. Nadszedł w tym czasie fonogram do pułku, że Prusacy zajęli Różany i Ostrolękę, a później jeszcze nadszedł fonogram o wzięciu Grójca.

Noc cała w pełnym pogotowiu. Dopiero nad ranem pozwolono się rozebrać i legnąć spać.

26 lipiec. *Wymysłówek — Babin.* — Drugi dzień stoimy w Wymysłówku.

Chłopcy przemoczeni po wczorajszym noszeniu kozłów, spali do południa jak zabici. Dopiero obiad rozbudził stodołę i napełnił ją wrzaskliwym gwarem. Edek Pfeiffer ma dzisiaj służbę w kompanji i od Długosza, a pośrednio od Żymierskiego przyniósł wiadomość o wzięciu Błoń i Łomży i że Warszawa lada dzień ma paść...

Wieczorem dostaliśmy do plutonu dziesięciu rekrutów z Rawy, w tem i Władka Drymera, łodzianina. Pluton wobec tego został podzielony na cztery sekcje: Adka, moją, Edka i Rybaka i liczy 34 ludzi.

Mży drobny deszcz. Maszerujemy na pozycję, a nasz pluton na jakiś odośobniony odcinek bez związku z resztą kompanji.

Noc przeszła spokojnie. Wystawiałem placówkę na 600 kroków przed okopami w dużej wsi Babinie. Na lewo łączymy z Węgrami, na prawo z 3-cią kompanją.

BIBLIOTEKA ŻOŁNIERSKA
Kompanji telegraficznej
28 dywizji piechoty

27 lipiec. *Babin* — O 5-ej rano nadchodzi Długosz do placówki z całym plutonem. Ściągamy wedety i pakujemy się do wsi. Za dworem Długosz wystawił placówkę dzienną, a z pozostałymi trzema sekcjami zajmujemy wieś, pustą zupełnie, bez mieszkańców. Madziarzy polują z drągami na gdakające kury, do czego i my wnet się zabieramy, by nie pozwolić wszystkiego im wybić.

Dzień ten w *Babinie* przeszedł pod miłym znakiem pełnego żołądka. Moi rekruci — morowcy wielcy — wmię się zakrzętnęli koło zaprowjantowania sekcji i na śniadanie zajadaliśmy przepyszny rosół z bajeczną potrawką z kurcząt.



W *Babinie*.

Długosz siedzi we dworze. Za rzeczką ładny, stary park, nieduży staw, klomby, cienista aleja i biały murowany dworek. Wewnątrz, jak po tatarskim najeździe. Nagwałt stąd się wynoszono, gdyż pokoje zawalone gratami, książkami, papierami...

Na obiad znów delicje: rosółek, pieczone z kurcząt i młode kartofelki. Kapitan Sław z komendą bataljonu przeniósł się na dzień do dworku. Złośliwi twierdzili, że zapachy naszych potraw odegrały niemałą w tem rolę.

28 lipiec. *Babin* — Nastaly chłodne już ranki. O 4-ej jak zwykle zbudzono nas wołaniem: — wstawać, kawa!... Chwyćmy za menażki i biegiem na odcinek 2 kompanji, gdzie stoi kuchnia.

Wieś otulona w siwe, niebieskawe mgły. Blady księżyc srebrzy się i coraz bardziej blednie by za chwilę zniknąć zupełnie, gdy złotawo-różowe blaski wschodzącego słońca zalewać poczęły niebo. Skowronki wydzwaniają już swą poranną pieśń i radosna, rzeźwa świeżość bije z pól niezżętych jeszcze ciężkich od złotej, lubelskiej pszenicy i zczerniałego, matowego już zboża...

O 9-ej zaczynamy łączyć nasze pojedyncze okopy w długi, żółty łańcuch. Chłopcy pracują ospale, gdyż „słońce” praży niemiłosiernie...

O 4-ej pogoda raptownie się zmieniła — zwały się z zachodu gęste, grzywiaste chmury i lunął deszcz jak z cebra, zmoczywszy nas docna. Po trzech dopiero godzinach, pod wieczór już, porozganiał wiatr stada chmur i na czystym błękitie nieba zawisła półkolem wspaniała tęcza a rozedrgane kłosy zbóż mieniły się skrami w zachodzącym słońcu...

Okopy przed wsią mamy pojedyncze, nie połączone jeszcze, a wogóle odcinek cały jest podziurawiony przerwami. Przerwy między kompanjami wynoszą po kilkaset kroków, co wiarę peszy niepomiernie, jako że pierwszy raz się to nam zdarza. Ataków rosyjskich niema się co jednak obawiać, gdyż odwrót ich ogarnia już cały front...

29 lipiec. Babin — W nocy miałem placówkę, lecz już we wsi. Noc przeleciała szybko tem bardziej że mi Talarczyk conieco pomagał. Nad ranem dociągnął do nas pluton, a po chwili cała kompanja.

Moskale podobno znów zwiali a jak powiada Długosz gniecie ich z flanki jakaś dywizja. Jakoż rzeczywiście przez całą noc lewe skrzydło gruchotało ogniem karabinowym...

Kompanja rozkłada się we wsi, lecz koło 9-ej ściągnięto nas do lasu za dworski park, gdzie już rozlegał się łomot i syczące pacanie manlicherów. Moskale odpowiadają gęsto, kule trzaskają po wsi jak wściekle...

Nasza linja rozłożyła się na jakieś 1000 kroków za lasem, na wyniosłym pagórku i kropi gęsto. Przyduszony, głuchy ogień manlicherów przerywa od czasu do czasu ostry trzask rosyjskich karabinów. Szrapnele dość gęsto tłuką na linję lecz wiara z 1, 2 i 3 kompanji (my stoimy w rezerwie) nic sobie z tego nie robi. Boczkciem się zwróci do mochów, plecakiem łeb nakryje i defiluje wzdłuż linji. Berbecki śmiał się radośnie, gdy młodziutki Nawrot-Maksymowicz pporucznik 3 kompanji szedł spokojnie wzdłuż linji, ani na chwilę nawet nie zatrzymując się, gdy nad głową pękały mu szrapnele.

Rozłożoną wzdłuż wału na brzegu lasu naszą kompanję zdejmował jakiś mocno wystraszony młodzieniec. Kręcił kinem ku wielkiej radości chłopców, którzy się wygłupiali jak mogli...

MARSZ NA LUBLIN

30 lipiec. *Babin—Radawczyk—Konopnica—Dąbrowice—Baraki.*— Moskale zwiali — i jak zwykle wtedy kiedy nasza 4 kompanja przechodzi do rezerwy. Lecz dzisiaj radośniej to przyjmujemy, gdyż spodziewamy się, że Moskale opuszczą Lublin.

O 9-ej zbiórka bataljonu przy krzyżu. Udało mi się plecak wpakować na wóz — więc idę lekko i swobodnie. Wszyscy mówią o Lublinie i o opuszczeniu go przez Moskali.



Kapitan Satyr-Fleszar.

Zaraz na początku marszu Ojczulek zapowiedział, że marsz będzie bardzo długi i uciążliwy, gdyż Komendantowi chodzi koniecznie o wejście do Lublina, nim go dogoni dyspozycja dywizyjna. Maszeruje więc wiara rażno, choć upał srogі. Z Radawczyka weszliśmy na trakt do Lublina, w Konopnicy — na szosę Kraśnik — Lublin, skąd już widać białe wieże na horyzoncie...

W Konopnicy postój i obiad. — Ludność nas wita przychylnie, radośnie oczekiwano nas już tutaj od dłuższego czasu. Podobno kawalerja nasza zajęła Lublin, witana z wielkim entuzjazmem.

Po dwugodzinnym postoju, po wyfasowaniu nowych spodni i kurtek marsz... lecz w przeciwną stronę od Lublina. Psiakrew!!!

Zmrok już zapadł, gdyśmy doszli do wsi Dąbrowice, a stamtąd dalej do Baraków pomaszerowała już tylko nasza kompanja. Mijają nas ułani, którzy już wymacali pozycję Rosjan. Podpalone wsie Baraki i Józefów krwawemi łunami znaczą ciemny błękit nieba... Przechodziliśmy obok dogasających już Baraków i wystawiamy placówki.

Ja z kilkoma ludźmi mojej sekcji zostałem, gdyż ostatnio dwa razy miałem placówkę. O 12-ej przyjechała na placówkę kuchnia z gorącą kawą i o 12-ej też objął służbę pluton II, a nasz położył się pokotem na wiązках skoszonego zboża, pod małym laskiem.

31 lipiec. Dąbrowice. — Bładła srebrna, księżycowa noc, gdyśmy ściągnęli placówki i rozłożyli się w lesie. O 8-ej rano mamy maszerować w tył, gdyż na pozycję idzie 3 i 4 pułk.

O 4-ej przemaszerowały zmęczone V i VI, z bladym, nerwowym Fleszarem, a o 5-ej zaczęły ściągać kompanie 4 pułku, najeżone i błyszczące bagnetami.

Strzelanina się już rozpoczęła... Pułk 4 rozwija się w linię od naszego lasu i rusza naprzód tyraljerami, wśród gęstego, bliskiego ognia Moskali. Obok nas stanęły czwartackie rezerwy i karabiny maszynowe.

Podeszliśmy bliżej, chcąc się przypatrzeć gościom. A no — porządki całkiem austriackie. Gwiazdek na kołnierzach mnogość wielka, naszywek srebrnych i złotych również, „obywatelskości” za grosz. „Ja nie mam kamienicy na rynku krakowskim” odpowiada szarża, gdy ją się tytułuje...

Tymczasem bitwa na dobre już rozgorzała. Widocznie czwartacy ostro się posuwają, gdyż ogień staje się coraz gwałtowniejszy. Nasza artylerja milczy, widocznie jeszcze nie wybrała pozycji.

Nas tymczasem przesuwają w tył o jakieś 2 km i okopujemy się jako rezerwa brygady. Do wsi nie idziemy, więc widocznie linja nasza będzie atakowała. Do 10-ej siedzieliśmy w okopach, a potem przesunęliśmy się na lewo do lasu, gdzie stanął również II bataljon.

Wieczorem idziemy na pozycję. Zdaje się, że przygotowuje się jakiś poważniejszy atak.

Zbiórka bataljonu w lesie. Żołnierze w świetnym humorze, rozchwytuja amunicję, wyładowują plecaki i kieszenie — ciesząc się z oczekiwanej ich roboty. Migocze w oczach radość i ochota.

Ruszamy. Kompanje w dwuszeregach na jednej wysokości. Las minęliśmy szybko, wynurzyliśmy się na brzeg i szeregiem, wzdłuż leśnej ściany, ruszamy na prawo. Atak się już widocznie rozpoczął, gdyż ogień od dołu, od Jastkowa rwał ostry, bicząc las bezlitośnie. Przebiegamy trochę otwartej przestrzeni, niewielką polanę i wpadamy w gotowe okopy tuż pod lasem, zasłonięci małą wyniosłością.

Dzika muzyka kul nie ustaje ani na chwilę, sprawiając wrażenie, że Moskale są tuż, tuż...

Przez stukrokową przerwę między okopami a lasem przelatują bezustanku z chrzęstem plutony czwartaków, przebiegają ordynansi z meldunkami. Sław wszędzie zagląda, wszystkiego pilnuje.

Tuż za nami, zamykając polanę werżniętą w las, okopuje się 3 kompanja.



Ranni.

Ogień coraz to potężnieje. Czasem wśród jazgotliwego, wysokiego głosu maszynek rosyjskich, słyszeć spokojne gruchotanie, monotonne dudnienie czwartackich i głucho łopotanie manlicherów. Moskale walą tego, lecz ogień ich góruje i kule przenosząc, biją w nasz las.

Księżyc tymczasem wypłynął i oblał srebrnym światłem polanę, las, ciemne plamy okopów. Czas mija, a nas jakoś nie podrywają. Widocznie atak się nie udał.

1 sierpień. Las nawprost Jastkowa.—Noc mieliśmy spokojną, zato dzień pełen wrażeń. Rano zbudził mnie Siewicz, skaut łódzki, który jest w 4 pułku i koniecznie chce stamtąd zwać do nas. We wczorajszym, nieudanym ataku czwartacy ponieśli kolosalne straty, to też maruderów pełno się włóczy po lesie.

W ciągu dnia zgłosiło się 11 czwartaków do naszej kompanji i wszyscy zostali przez Tunguza przyjęci. Są to ci, którzy złożyli deklarację w Radomsku z prośbą o przydział do I Brygady, a wcielono ich do czwartego.

„Świże” rekruty, nie ostrzelane, ze zgrozą opowiadają o swych wczorajszych stratach. Ponoć podbiegli tyraljerą pod same moskiewskie druty bez strzału — nie było rozkazu — i tam ich strasznie zsiekli maszynkami i ogniem piechoty. Dzisiaj dopiero znoszą rannych, którzy wczoraj zostali na przedpolu.

Niby jesteśmy w rezerwie Brygady, lecz siedzimy w okopach coś o 800 kroków od linii, gdyż czwartacy mają znów atakować. Od nas celownik jest 1200 a okopy czwartaków od moskiewskich o 400 zaledwie kroków. Podsunęli się więc całkiem pięknie.

Wieczorem, gdy pokładliśmy się już do snu w naszych okopach, rozległ się jakiś krzyk i zamieszanie na lewym skrzydle i wreszcie gruchnęło przez okopy, że czwartacy wieją. Natychmiast też zerwał się ostry głos Długosza:

— Ubierać się, bagnety na broń!!!

Wyskoczyliśmy z okopów wzburzeni, gotowi każdej chwili runąć naprzód jak rozżarte psy. Okazało się jednak, że to kilku tchórzliwych rekrutów czwartackich narobiło tak paskudnego alarmu.

2 sierpień. W okopach pod Jastkowem. — Spokojnie nam dzisiaj przeszedł dzień. Na linii cisza prawie zupełna, od czasu do czasu gwizdnie kula. Po okopach włączą się żandarmi czwartego pułku, szukając swych żołnierzy.

Dzisiaj jeszcze czwartaków nie zmieniamy. Gdy rysowałem szkic sytuacyjny u Sława przyszła depesza telefoniczna, iż cztery zachodnie forty Dębłina wzięte.

3 sierpień. Jastków — Majdan Krasieniński. — Moskale zwiali. Któryż to już raz?!

O 4-ej zbudzono nas tą wieścią, a cisza zupełna wokół świadczyła aż nadto dobrze, że zostaliśmy sami.

W dole nad pozycjami unosiła się lekka, sina mgła, dzień otrząsał się z resztek snu i rosą przemywał oczy. Dzień zapowiada się piękny.

O 6-ej marsz w kierunku na Jastków. Przechodzimy obok 1 pułku który zajmował odcinek od nas na lewo. Pozycje miał wspaniałe, ostrzał znakomity. Moskale szybko tak wywiewali, że 1 pułk ogarnął swemi patrolami kilka zaledwie jaszczów z amunicją i nieco jeńca. Maszerujemy powoli, wśród potoków słońca, coraz wyżej się wznośzącego.

Za Piotrowcami weszliśmy w las, który już drżał od pocisków. Szrapnele tu i owdzie ciskały snopy kul.

Rozłożył się tu już sztab: Komendant, Sosnkowski, Belina. Ułani wpadają z meldunkami, z za lasu, z prawej i z lewej rwie pogłos strzelaniny. Przed nami cisza.

Po pewnym czasie zerwał się nagle nawprost przed nami ostry ogień. To Długosz, który z dwiema sekcjami naszego plutonu poszedł na Majdan Krasieniński — startł się przed wsią.

Siedzimy jeszcze pół godziny, gdy Tunguz otrzymuje wprost od Berbeckiego rozkaz zajęcia odcinka na lewo od wsi. Maszerujemy więc na brzeg lasu a stamtąd na zadrzewioną drogę, równoległą do zabudowań Majdanu. Rozwinęliśmy się i już w ostrych poświstach kul gnałiśmy do rowu i cichych olszynek, zapadając tuż przed wsią. Przed nami tłucze się jakaś kompanja i bije na wieś, aż powietrze się trzęsie.

Upał potężny. We wsi bezustanku syczą nasze manlichery.



Szef sztabu Sosnkowski i dca 5 p. p. Leg. Berbecki na biwaku.

W samo południe podsuwamy się jeszcze bardziej wprzód, między wieś a drogę, do głębokiego rowu, któremi tu porżnięto wokół łąki. Na lewo po żółtym ściernisku posuwa się tyraljera austriacka w którą rzną szrapnele jak w bęben. Za chwilę poczęli bić i na naszą łąkę, gdy II-gi pluton poderwał się od drogi i z chrzęstem rynsztunków biegł do naszego rowu. Z prawego podają, że Drózek z Adka sekcji zabity, a za chwilę, że z 3-ej podporucznik Jagmin-Sadowski ranny, a zabity Nawrot-Maksymowicz.

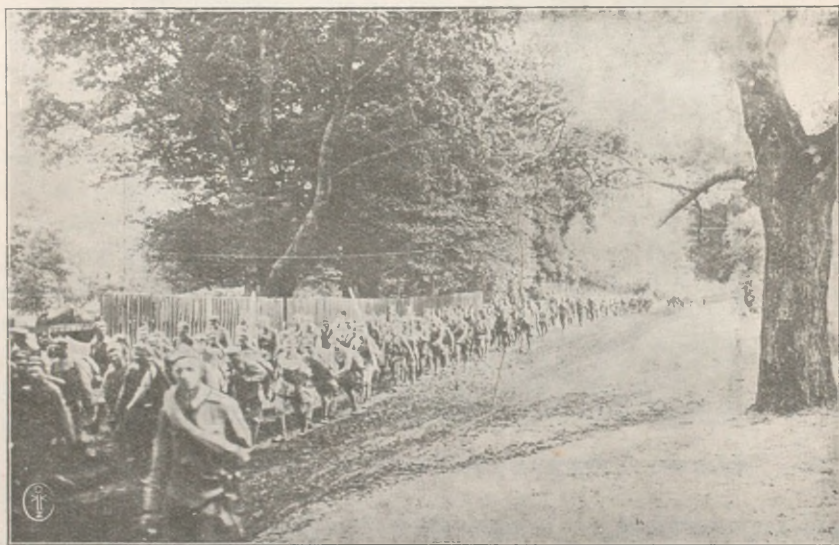
Siedziałem z pół plutonem beczynnie przez kilka godzin w tym rowie, skracając czas pogwarką z Flojarem, prorokującym kogo z nas niedługo szlag trafi, aż dopiero gdzieś koło piątej ścichł ogień i zaczęliśmy się nieostrzeliwani wycofywać wzdłuż wysadzanej ślicznymi czereśniami drogi.

W pół godziny byliśmy w lesie, gdzie czekał na nas już obiad. Kucharze z pieczołowitością rozlewają podwójne porcje, a wiara

mówi tylko o 3 kompanji, która dziś srodze dostała po palcach. Nawrot dostał kulą prosto w serce, a Jagmin postrzał w rękę. Rokita po śmierci brata rozpacza strasznie...

Las nawprost Majdanu obsadza 1 i 2 kompanja zaś nasza i 3-ia w rezerwie. Ledwieśmy uspali nieco, już o trzeciej z rana poderwano nas na nogi. Maszerujemy na pozycję by zmienić Austrjaków.

4 sierpień. Majdan — Wola Krasienińska — Ożarów Lubelski. — O świcie zmieniamy Węgrów; nasz pluton rozbija biwak o sto kroków w tyle, drugi zaś i trzeci obsadza głębokie, przez Węgrów na wysokość chłopu wykopane okopy, łącząc na lewo z 1. a na prawo z 3 kompanją.



W marszu.

Nareszcie się wyśpimy — pociesza się wiara — gdyż po wczorajszych tarapatach chłopcy solidnie pomęczeni. Lecz przysłowie o nadziei sprawdziło się Bóg wie, który znowu raz. Moskale zwiali...

Klniemy jak szewcy. Wnet po kawie zbiórka i na brzegu lasu czekamy na cały bataljon.

Słońce już przeświecało mgły, które się powoli do góry wznosiły siejąc subtelny pył. Wokół za lasem szerniały, niezżęte kłosa ciężko się chyliły w szarym cieniu, jaki szedł jeszcze od lasu.

Po jakiejś godzinie ruszamy. Marsz powolny, ociężały, gdyż maszerujemy w rezerwie, a przodem wyrwał bataljon drugi. Przez Wolę Krasienińską i przez wieś Kawkę przechodzimy marszem ubezpie-

czonym, by znów później zapaść w lasy i krążyć po nich przez cały prawie dzień. O 5-ej dopiero stanęliśmy w Ożarowie.

Przed nami wielkie, dworskie stodoły, olbrzymie kartofliska, na których się szeroko rozwijamy, zostawiając z tyłu za sobą wielkie lśnienia stawów. Od folwarku w stronę Samokłesk prosto jak strzelił wyciągnięta szeroka droga, ujęta staremi topolami. Drogę tę obsadziły 1 i 2 kompanje i zaledwie zaczęliśmy się okopywać w lekkim piachu kartoflisk, gdy na drodze wyrznął w topole jeden i drugi szrapnel. Zegary warcząc przeleciały tuż nad linią, a jeden trzasnął wprost w okop Flojara. Łopatki rozpoczęły żywszą pracę gdyż nowe dwa szrapnele w tej chwili bluznęły prosto w nas. Jeszcze nie przebrzmiał warkot zegarów, gdy skoczyło kilku z wiary chytać gorące, aluminiowe czopy...

5 sierpień. Ożarów — Pozycja pod Kamionką. — Siedzimy pokurczeni w małych wnękach wśród przedpiersi z żółtego piachu, błyszczących złotem na jednolitem tle zieleni dworskiego kartofliska.

Dzień jasny, pogodny. Chłopcy się myją, kąpią w pysznym stawie, warzą, gotują kartofle, mimo szrapneli, które bładzą po drodze, raz wraz warkotem zegarów drąc powietrze. Gdy nieco gęściej w pewnej chwili na drogę łupić poczęli, wgonił nas Długosz do okopów. Ledwieśmy skoczyli, wyrznął trzask piekielny. Jak mgnienie oka krótka chwila przeraźliwego gwizdu połówki i łysk płomienia nad głowami. Lecz myśmy już zdążyli nurknąć do okopów, by za moment ciekawe wysunąć nosy.

Nic — żadnej szkody, tylko namiot trzeciej sekcji, stojący przy okopie poroździerany na strzępy, kamizelka Talarczyka i garnek Wójtowicza — pocharatane wszystko docna — świadczyły jak świetnie temperowany był szrapnel.

Coś koło 5-ej po południu, gdy po krótkim deszczu rozkoszowaliśmy się świeżem, rzeźkiem powietrzem, gdzieś z lewa, zdaleka rozlega się krzyk przez zwiniętą w trąbkę dłoń: Warszawa wzięta!... a z drogi już szło przeciągle, ogromne hura!...

Drgnęliśmy. Nadzieja i niedowierzanie przechodzą po twarzach, lecz krzyk Trapszy z drogi powtarza to samo. Wieść radosna niosła się z ust do ust, witana szalonymi okrzykami radości. Długosz podniecony niezwykle boi się trochę wierzyć, lecz radość mu bije z oczu.

A Moskale jakgdyby w odwet za nasz krzyk radości zemścić się chcieli, bo oto w tej samej chwili doleciał daleki, przytłumiony huk — jakgdyby dech zagnała wyrwany z piersi — i nadjeżdżać począł nielada ciężki kuferek. Zbliżał się z cichem, lekkim szurganiem powietrza, chwiał się i ważył, przysiadł jakby co chwila, powoli

przechodził w groźniejszy, coraz zjadliwszy wąż i runął wreszcie chmurą dymu i słupem wyrzuconej ziemi pod stare, włoskie topole. Ciężki — co najmniej 15-ka.

Za chwilę drugi wąż, lecz bardziej złowrogi i ostrzejszy, bo bliższy. Wyrznął na lewo w łąki i siepnął do góry wysoką rakietą czarnej darni. Po długiej dopiero chwili, jak grad poczęły pluskać w stawie odłamki i grule ziemi.

I macał nas tak, szukając żeru coś z pół godziny coraz to nowy kufer, lecz nikomu jakoś nosa nie urwał ni oka nie zaproszył.

Pod wieczór zbiórka. Czekamy na Tunguza, porozkładani w kartoflisku, gwarząc o Warszawie, o losie naszym, o wielkich naszych nadziejach.

Już dobrze po 9-ej wieczór przychodzi Tunguz. Na linii tęgi ogień, to też szliśmy cicho, bez szmeru. Już w drodze dogania nas Władek Rusin podając wieść usłyszaną od Sława, że Dęblin wzięty!

W okopach okrutna kasza. Zmieniamy Austrjaków, których napchało się tu jak do szturmu, gdyż sekcja Adka i moja zmieniły aż dwa ogromne, austriackie plutony. Wysunięci jesteśmy mocno wprzód a na prawo skrzydło nasze zagina ku VI bataljonowi. Przed nami majaczy w ciemności zarys lasu, o którym nas nic, jak i o pozycjach moskiewskich nie mogą Austriacy poinformować. Tyle tylko, że w dole pod nami Kamionka, i że celownik 600.

Ogień już ustał, po moskiewskiej stronie cisza zupełna. Zato linia nasza kropi z przerwami przez całą prawie noc. Posterunków przed okopami rzecz prosta niema, można se popukać, co z nudów, by nie zaspać, wiara dość często czyni. Naogół jednak głupio się czujemy, nie wiedząc nic co za przedpole i co na nim się kryje. W dzień tu ponoć całkiem było inaczej, gdyż pod wieczór dopiero Austriacy zajęli tę linię wrzucając Moskali do Kamionki.

W czuwaniu pilnem czekamy świtu, by się rozejrzeć nieco w sytuacji.

6 sierpień. — Okopy pod Kamionką. — Strzelanina się wzmagala tem więcej im więcej bladła noc i srebrny świt ogarniał ziemię. Nie wiedzieliśmy czy Moskale są, gdyż strzały nasze głużyły tamte. Adek twierdził, że jednakowoż biją ekrazytówkami.

O 2.30 mam pójść z sekcją na patrol, rozejrzeć się w lasku na lewo, dotrzeć do okopów, które są ponoć o 30 — 40 kroków przed nami i stwierdzić czy są w nich Moskale.

Bladła noc i dzień coraz jaśniejszy wstawał, gdy miałem wychodzić. W tej chwili kuchnia polowa podjechała do okopów i nagwałt, galopem musiała uciekać, gdyż trzaskać poczęły bliskie strzały moskiewskie. Są więc!

Na patrol wobec tego nie idę. Dziwnem mi się tylko wydaje, że oni jeszcze się tu trzymają i wiadomość o wzięciu Dębłina wygląda mi na nieprawdziwą.

Mgły się szeroko rozciągnęły na łąkach przed nami i w ogrodach Kamionki, rozłożyły się na żółtych polach i leniwo się ku górze podnoszą. Dzień już się jasny uczynił, wnet też ustąpić musieliśmy przed Moskalami i głowy wtulić w piach. Bili celnie i dobrze z ogrodów Kamionki, z poza cmentarnego muru.

Owinałem się płaszczem i oparty plecami o żółtą ścianę okopu — usnąłem. Obudziłem się dopiero koło 2-ej po południu. Dzień był chmurny i groził deszczem. Za chwilę rzeczywiście spadł silny, ulewny deszcz i padał ze dwie godziny bez przerwy, przemoczywszy nas do nitki. Gdy ustał, zająłem się reperowaniem kurtki. Nie podnosiłem głowy słysząc dość częste pukanie i trzask ekrazytówek, a szyjąc, dziwiłem się tylko, że tak blisko i uparcie trzaskają. Za chwilę słyszę głos: Długosz ranny...

Cóż u licha! Kiedy? — wołam, na co mi Dobosz odpowiada, że w tej chwili dopiero Długosz przechodził wzdłuż okopów, że bili do niego przez całą drogę, aż przy wejściu do okopu — dostał...

Wychylam głowę i widzę doktora Kwaśniewskiego pochylonego, biegnącego do Długoszowego okopu.

Za chwilę obija się o uszy ciężki, męczący, straszliwie bolesny jęk. Jakieś złe przeczucie targnęło mną. Ten jęk, ten jęk!... Taki jęk ciężki, śmiertelny jęk wydawał Jur i Antek. Czekam — i klnę na czem świat stoi.

Minęło kilka minut szarpiącego serce niepokoju. Pytam się wreszcie 3-ej sekcji coś z Długoszem?

— „Już po nim, skołał” — odpowiada Lodek.

Ciężka nawała żalu napłynęła mi do serca, lecz jeszcze więcej wezbrało wściekłości i bezsilnego gniewu. Boże, jak ja tej wojny nie nawidzę! Jurek Szletyński, Antek Gruszczyński, teraz Długosz. Psiakrew! Czy to się nareszcie nie skończy!...

I to już drugi oficer naszego bataljonu w tym tygodniu. Nawrot, Długosz!

Milczenie ogarnęło okopy. Nawet pluton nie strzela, jak to bywa zwykle w takich razach. Ta krążąca ustawicznie śmierć, śmierć, która zabrała Długosza, onieśmiela chłopców.

Wieczorem Ojczulek prowadzi 2-gą sekcję na placówkę do lasu. Ja wysuwam na 30 m przed okop czujkę. Moskale biją ciągle i to ekrazytówkami. Rano zmienia nas kompanja 3-cia.

7 sierpień. Okopy pod Kamionką. — Noc przeszła mi na czuwaniu i wysyłaniu czujek wprzód. O 3-ej rano wśród gęstej, ciężkiej mgły

wysuwamy się sekcjami wtył, na brzeg lasku, by tam urządzić zbiórkę. We mgle nie widzą nas Moskale, lecz słyszą i w jednej chwili napęłnił powietrze ogłuszający trzask ekrazytówek. Wycofaliśmy się jednak bez strat i dwójkami doszliśmy do wsi Samokłęski.

Długosza na zmianę nieśliśmy na noszach.

We wsi rozkwaterowaliśmy się i natychmiast trzeba się było zająć pogrzebem. — Stolarze kompanji, a znalazło się ich trzech, wzięli się do trumny, pluton zaś poszedł przygotować grób na rozstaju, pod krzyżem, przy skrzyżowaniu dwu dróg.

O 5-ej po poł. pogrzeb. Dzień się zapowiada gorący, upalny. W ciszy stoją zasłuchane drzewa, lekko drgają i szemrzają, gdy wiatr ciepły, wiejący z pól i łąk lubelskich, pociągnie górą.

Kompanja poszła szeroką drogą, na barkach niosąc ukochanego podporucznika. Ja poprowadziłem księdza - kapelana obok ogromnych dworskich stawów.

W cichości i skupieniu odbył się pogrzeb. Kompanja wyprężona na „baczność” salutowała zwłoki. Ksiądz przemówił kilka słów, pokropił zwłoki i ciężkie grudy z łomotem poczęły się sypać na białą, świeżą trumnę. „Baczność! Kompanja w prawo patrz!": pogrzeb skończony.

Głęboki żal objął żołnierzy, oficerów, Tunguza, na którego twarzy mienił się żal.

Takie młode, takie piękne do wczoraj życie polskiego oficera!

Jakieś dziwne przygnębienie nas ogarnęło, gdyśmy wracali z pogrzebu. Rozmawialiśmy o odpoczynku, który nam się należy, o tem zmęczeniu jakie nas ogarnia, o upadku ducha... A bo rzeczywiście wiara już solidnie zmęczona, szczególnie ci starzy, którzy rok temu na wojnę wyruszyli.

Wracamy na kwatery. Wiara, choć zmęczona, zajęła się gotowaniem, sen odkładając na później. I ja choć dwie noce nie spałem, nie kładę się. Mam zamiar po południu odespać zaległości.

Lecz na wojnie na nic nadziei mieć nie można. O 12-ej w południe, gdy wszyscy byli rozpakowani zupełnie, przychodzi nagle rozkaz zbiórki.

Pakujemy się gwałtownie. Marsz szybki do lasku, gdzieśmy rano po wyjściu z okopów mieli zbiórkę i skąd wynosiliśmy Długosza.

Szrapnele rosyjskie dość gęsto tam jeszcze trzaskają, lecz Moskale widocznie już zwiali. Z Kamionki dolatują karabinowe strzały, od czasu do czasu zatrąkocze karabin maszynowy.

Mijamy VI bataljon i z lasku wychodzimy na pole przez druty a stamtąd na cmentarz kościelny, gdzie miją nas jasna grupa rosyjskich jeńców.

Na cmentarzu siadamy i czekamy na rozkazy. Okopy rosyjskie, kryte szrapnelówkami, ciągną się przed samym murem cmentarnym. Zaraz tam kilku skoczyło, przynosząc z sobą całe bochenki rosyjskiego razowca. Moskale zwiali w biały dzień, co nam się widzieć przytrafiło dopiero pierwszy raz. Pod Lubartowem przełamano im nagie front.

Po krótkim postoju pod cmentarnym murem, szeroką drogą wśród palących się jeszcze kilku domów, idziemy na rynek Kamionki, radośnie witani przez ludność. Wiedzą tu już, że to legjoniści nie Austriacy. Jak wszędzie tak i tu Moskale musieli zaleźć mieszkańcom za skórę.



Jeńcy.

Na rynku postój i to dłuższy. Ściągają zewsząd piesze patrole, a na ich miejsce wysuwają się ułani i konnica austriacka.

Spotykam Leona Asta¹⁾, który mi z ożywieniem opowiada o patrolu jaki miał do Kamionki: wpadł pierwszy do miasta, zagarniając po drodze ostrzeliwającą się placówkę jak tylko dostrzegł, że Moskale pojedynczo wieją z okopów. W mieście jeszcze zrobili z „kolana broń” i tłukli do mochów wiejących na łeb na szyję.

Ludność powitała ich nadzwyczajnie. Zaledwie rozległy się strzały na ulicach i patrol wpadł do miasta, z traskiem poczęły się okiennice i okna otwierać i głos: „legjoniści, legjoniści” szedł z ust do

¹⁾ Obecnie kapitan piechoty.

ust. Kilku tęgich parobczaków wyleciało z karabinami w rękę i nuż kropić do mochów. Nastrój jednym słowem wspaniały. Nigdy się nie spodziewałem, że tak będzie dobrze.

W Kamionce na postoju zeszły coś ze 2 godziny. Wreszcie Tunguz nam mówi, że będziemy okrążali Moskali i „fasowali”.

Jakoż ruszamy za chwilę na północ i maszerujemy przeważnie lasami aż do wsi Ciemno. Strzały już mamy tylko z lewej, gdyż z kierunku na północ skręciliśmy nagle na zachód.

W Ciemnie beliniacy ściągają już z pola. Strzały trzaskają zupełnie blisko: rozróżniamy ostry trzask rosyjskich karabinów i pacanie naszych manlicherów. Chłopi wynoszą nam wodę, słoninę, mleko, kielbasę, ciesząc się, żeśmy wypędzili Moskali i nie pozwolili spalić wsi. Przed 15-ma zaledwie minutami byli tu kozacy i oparli się teraz na skraju lasu.

Za chwilę nasza kompanja idzie w linję. Pierwsza już ruszyła i ściera się. Po krótkiem oczekiwaniu, w czasie którego zapijaliśmy się mlekiem i zjadali kielbasą, ruszamy do wylotu wsi. Kule już tu trzaskają po chałupach i rozdzierają gałęzie drzew. Tunguz daje dyspozycje Ojczulkowi-Czachowskiemu i tuż za wsią rozwijamy się plutonem w tyraljerę. II i III pluton zostają w rezerwie.

Przed nami rozciąga się duża łąka, przerżnięta dwoma zarosłemi olszyną rowami. Mamy posunąć się za drugi rów, na mały pagórek tatarak porosły i stamtąd ostrzeliwać las. Kompanja 1-sza leży już na wysokości 1-go rowu i otworzyła ogień.

Ruszamy ze wsi i podrywamy się całym naraz plutonem. Wnet zaświergotały kule. Nim dobiegliśmy do 1-go rowu, zwinął się nagle Edek Pfeiffer i zwałił się na ziemię, a Lodek objął natychmiast komendę nad sekcją 3-cią. Padliśmy w rowie i niespokojnie wypatrujemy czy Edek leży, czy nie? Lecz on się podniósł i z rynsztunkiem na plecach spokojnie szedł do wsi. Chwała Bogu, widocznie nie ciężko ranny!

Do tatarki posuwaliśmy się sekcjami lecz już słabo ostrzeliwani. Natomiast w tatarce, gdyśmy zajęli front prawie prostopadły do frontu 1 kompanji, poczęły siec kule ostro z prawej naszej flanki. Okopujemy się więc, a ja nawiązuję łączność z 1 kompanją i zaraz zaczynamy ostrzeliwać las przed nami.

Dzień się tymczasem już kończył. Lekkie mgły podniosły się z pól, gdzieś z lewego skrzydła i prawie ztyłu trajkotały gorączkowo karabiny maszynowe, co nas nie peszy, gdyż front cały dziwnie połamany i pogięty.

Powoli zapadł wieczór. Nas zmieniają Austriacy, więc powracamy do olszynki i czekamy na kompanję. Z kompanją mamy iść na

zbiórkę bataljonu i całym bataljonem atakować palącą się wieś Stasin.

Tymczasem czekamy, leżąc w rowie i momentalnie zasypiając. Tacyśmy pomęczeni ostatnimi wypadkami, trzema pod rząd bezsen-
nymi nocami, że chłopcy w tyraljerce zasypiali. Ja prawie zupełnie
w tatarce się nie okopywałem, gdyż nie miałem sił by władać łopatką.
Na prawo pluton nasz łączył się z Austriakami i ciekawą widać było
różnicę. Pepiczki — Czechy okopy po pas głębokie powykopywały,
a u nas zaledwie małe wnęki. Trochę ziemi na głowy schronienie
i okop gotów.

Walka tymczasem cichła. Noc rozpostarła swe skrzydła nad ziemią
i jakby godziła walczące strony. Stało się to szybko boć to nie
regularna bitwa, lecz walki patroli, które w nocy cichną.

Już późnym wieczorem kompanja nasza pomaszerowała w kie-
runku na Stasin. Pokładliśmy się jako rezerwa pierwszej linii rzę-
dem i wnet pokotem wiara posnęła, aż dopiero zajeżdżająca kuchnia
nas obudziła. Po obiedzie (o 1-ej w nocy) idziemy całym pułkiem
na południe, gdzie mamy zaatakować wieś Aleksandrówkę, zacho-
dząc Moskalom z tyłu.

Marsz uciążliwy piekielnie. Przy każdym zatrzymaniu kolumny,
wiara kładzie się na ziemi i momentalnie zasypia. Maszerowaliśmy
tak całą noc do Aleksandrówki w ciszy i ostrożności. Gdy gwiazdy
blednąc poczęły i rzeżki, chłodny wiatr pociągnął z pachnących pól,
zblżyliśmy się do wsi, z której jak się okazało, przed 2-ma godzi-
nami zdążyli Moskale wywiać.

Rozkwaterowujemy się więc i śpimy nazabój, nie myśląc ani
o Moskalach, ani o świecie całym — lecz tyle tylko by spać, za
wszelką cenę spać...

8 sierpień. Aleksandrówka — Rudno — Chuda Wola — Elźbiecin. —
W obszernej stodole, na wspaniałej słomie wypaliliśmy się solidnie.
Kosior, nasz prowiantowy sierżant, nakupił przeróżnych wiktuałów
w kantynie, więc najedliśmy się dobrych rzeczy, coniemiarą. Około
południa, gdy jakoś o wymarszu nic słyhać nie było, zaszedłem do
komendy bataljonu narysować sytuację. Wesóło przyjął mię Sław a jak
zauważyłem i jego bardzo to ucieszyło, że Edek tylko ranny. Może
los odwróci od naszego plutonu swą złowrogą twarz i przestanie
prześladować samemi trupami...

Po południu odmarsz do Chudej Woli. Wyszliśmy koło 4-ej, lecz
maszerowaliśmy powoli. Minęliśmy Rudno, przeważnie lasami, leś-
nemi ugorami i traktami idąc, doszliśmy do Chudej Woli.

Lecz tu nas spotkała przykra niespodzianka. Chuda Wola świeciła
ogniami dogorywającego pożaru. Spalona docna. Wobec tego musie-
liśmy pomaszerować dalej, do wsi Elźbiecin. Zmordowani jesteśmy

strasznie, Flojar i ja wzajemnie się pocieszając, ledwie idziemy, marsz prowadzony mocno nieoględnie. Co chwila któryś odłącza się od kolumny i siada obok drogi, klnąc na czem świat stoi!..

Tak siejąc maruderami, doszliśmy wśród deszczu, do Elżbiecina.

9 sierpień. *Elżbiecin*. — Kończy się już już Lubelski. Pyszne wzgórza, porozrzucane lasy, jary i wądoły przechodzą powoli w teren coraz to równiejszy, łagodniejszy.

W Elżbiecinie stoimy cały dzień. Około południa zrobił Sław zbiórkę bataljonu w pełnym rynsztunku, lecz tylko po to, by ogłosić kilka słów o maruderstwie i maruderach. „Jest źle, gdy bataljon ma dużo maruderów” — zakończył. Poza tem kompanja nasza zdejmowała się plutonami, a przy naszym plutonie stanął Sław.

Komenda Brygady stoi obok. Rozmawiałem z Kubiakiem, pytając się o nowiny, lecz on nic nie wie. O wejściu do Warszawy nikt nie marzy, a Komendant ciągle się żre z c. k. Komendą Legionów i całym jej sztabem, który ustawicznie Brygadę szykanuje.

Dzień nam upłynął spokojnie. Odmarszu niema, więc kładziemy się spać do stodoły.

10 sierpień. *Łysobyki — Bystrzyce*. — Niedługo trwało przepyszne wylegiwanie się na słomie. O godzinie 3-ej rano alarmowa zbiórka. Tunguz odjechał do Lublina, więc kompanję objął Rowecki.

Na drodze w Elżbiecinie ścisk: artylerja, tabory i piechota ledwie, postępują obok siebie. Dopiero u wylotu wsi, jak z ciasnego ucisku wypuszczone, ruszyły szparko kolumny naprzód.

Przez wieś Drewniki dochodzimy do Łysobyków nad Wieprz, stąd, przez pontonowy most na rzece, otulonej w misterne mgły.

Łysobyki — nędzna, żydowska miejscina, do połowy spalona. Północna jej część, to jedna ulica dymiących zgliszcz i sterczących kominów z przykrym, wstrętnym odorem spalenizny. Te zgliszcza, te ciągle pożary, duszące odory spalenizny palą mi duszę jak rozpalonem żelazem. Nie mogę poprostu patrzeć na tę straszną, bezgraniczną niemoc biednego, obdzieranego, palonego polskiego chłopca. Zmęczenie fizyczne, widok palonych wiosek i miast, ta ciągła niepewność jutra, ta grożąca ciągle, mściwa polityka Niemców — ogarniają nas coraz większem zwątpieniem. — Nie, źle mówię! Zwątpienia niema!! Jest tylko jakaś dziwna cisza w szeregach naszych, przewija się jakiś dziwny uśmiech gorzki i palący, z którego przebija się bolesne pytanie: czy to się wszystko na co zda?

Lecz jest jeszcze honor, ta nasza ostoja i dźwignia. Idziemy ciągle naprzód, gnamy Moskali bez przerwy, bijemy się bez zarzutu — a jednak... A jednak niema już tego szalonego rozpędu z zeszłego roku, niema tej porywającej wichrowatości i tych palących duszę słów i spojrzeń.

Zanurzyły się w sobie, zamknęły, skupiły duszę legunów, i gdyby tak powiedział nam Komendant: „chłopcy wszystko skończone, gińmy—by raz skończyć!!” — to poszliby wszyscy z pobladłym czołem, ponurem, twardym spojrzeniem na śmierć, bez szemrania, bez jednego słowa...

Tak czuję i tak myślę nie tylko ja...

Zrobiliśmy dziś około 25 km. W południe stanęliśmy na krótko we wsi na obiad. Składał on się z olbrzymiego garnka białej kawy na sekcję i miskę miodu. Wieczorem stanęliśmy w młodym lesie, gęsto podszytym. Moskale oparli się na rzeczce Bystrzycy, pułk 1-szy zajął tam odcinek.



Ochotnicy z Lublina.

Za każdym bataljonem naszej Brygady maszeruje kompanja rekrutów z Lublina. Chłopy na schwał. Lublin już pono dał 2000 ludzi.

11 sierpień. *Las nad Bystrzycą—Hermanów—Stanisławów.*—Z radosnem uczuciem wyspania obudziliśmy się rano o 8-ej, wypoczęci solidnie, zbudzeni okrzykami: „kawa, kawa!!”

Las zawrzał. Z namiotów powyłaziło porozbierane, zaspane bractwo i z menażkami w rękach, szeregami zdąża do kuchni. Do południa staliśmy w tym lasku. Słońce przedarło się już przez lekkie mgły i grać poczęło na ostrzach bagnetów, na zamkach karabinów. Na biwakach gwar... Chłopcy zajęci smarzeniem, gotowaniem. Na obiad dostaliśmy konserwy, więc wszyscy do nich gotują kartofle. Przed samym wymarszem, o 1-ej w południe, rozdano nam lwowskie upominki na 6-go sierpnia tamtejszej Ligi Kobiet. Trochę ciasteczek i papierosów.

Od dzisiaj jesteśmy rezerwą dywizji. Przeszliśmy kilkanaście km, przeważnie lasami i doszliśmy do wsi Hermanów i Stanisławów. Zostajemy tutaj na noc. Przed nami wznoszą się słupy i pióropusze olbrzymie dymów z palących się wiosek, z zapadnięciem nocy zamieniając się na krwawe, ogromne łuny, połowę nieba zajmujące.

Śpimy w ogródku pod celtami.



Biwak.

PRZEZ ZIEMIĘ ŁEZ I KRZYŻY

12 sierpień. Stanisławów — Skrzyszów — Kępki. — Do południa staliśmy w Stanisławowie, gdzie przydzielono do nas kilku lubliniaków. Ja wybrałem sobie do sekcji — skauta Ciechońskiego¹⁾.

Wymarsz ma lada chwila nastąpić, więc jesteśmy w pogotowiu marszowem. W południe spadł nam jak z nieba razem z upominkami od Sosnowca, Tunguz. Przywiózł nam czekoladę, trochę słodczy, a od sosnowiczanki natomiast dużo więcej serca i uczucia w bilecikach.

Rowecki obejmuje nasz pluton. W Lublinie prusacy. Ponoć bardzo porządnie się zachowują. Wogóle z tego frontu zupełnie się Austriacy wycofują, przenosząc się na front włoski. Mimo to, wskutek skró-

¹⁾ Obecnie porucznik piechoty.

cenia linii, wojska jest moc. W tych dniach, wycofuje się 10-ty korpus, o nas jednak nic nie wiadomo. O Warszawie bardzo mało wiadomości, właściwie niema żadnych.

O 2-ej po południu wymaszerowaliśmy. Przeszliśmy już granicę ongi siedleckiej, do dziś dnia lubelskiej i chełmskiej gubernji, lecz znowu potem zawróciliśmy do siedleckiej i stanęliśmy w ogromnej wsi Kępki o 14 km od Międzyrzecza.



Na postoju we wsi Żakowola.

Jak beznadziejny musiał być tu odwrót Moskali, świadczy fakt, że chłopci nie chcą już przyjmować rosyjskich pieniędzy. Do tego stopnia, tu na rubieży Królestwa chłopci nie wierzą w powrót Moskali.

13 sierpień. Kępki — Żakowola. — Jesteśmy już na krańcach Królestwa. Dzisiaj pierwsze spotkane wieśniaczki przeciągać poczęły i śpiewnym mówić akcentem. Jak zwykle od kilku dni, w Kępkach staliśmy do południa. Wczoraj, gdyśmy do wsi się zbliżali, grzechotał przed nami ogień karabinowy, lecz dzisiaj spokój letni i cisza. Moskale się cofnęli, idziemy do wsi Żakowola.

14 sierpień. Żakowola — Szóstka. — Słoneczny nas zbudził poranek. W ogródku znalazł się stół, więc prawie do południa pisałem dziennik.

Maszerujemy dzisiaj do wsi Szóstki o 6 km dalej. Ogromną, o szarych, brudnych strzechach, wieś z kopułą cerkiewną pośrodku, otulały białe mgły, które rozwłóczyły się po niskich tych stronach.

W Szóstce palą się jakieś dwa domy, zapalone granatem rosyjskim. Poza tem we wsi ogromny ruch. Rozkwaterowujemy się tu całą Bry-

gada, prócz tego stoją Austriacy. Wieś ogromna, bogata, doskonale zagospodarowana.

Zmierzch już zapadał, gdy wystraszone kobiety, z przeciągłem, jękliwem wołaniem napędzały krowiny do obór. We wsi, jak nas gosposia objaśniła było 40 katolików i 40 prawosławnych. Wszyscy prawosławni z popem uciekli, a katolicy zostali. Cieszą się ogromnie, że Moskali już niema i żalą się na prześladowania i uciemiężenie. Lecz przedewszystkiem, ponad wszelkie uczucia góruje u nich strach. Ten szeleszczący złowrogo pożar nie daje im spokoju a tymczasem wiara już się dowiedziała od katolików, które chałupy do prawosławnych należą i wnet też wszystkie z tych chlewów świniaki i prosiaki poszły pospolicie pod nóż. Na pluton w całej wsi mniej więcej wypadła spory wieprz, a czasem i więcej.

Wieczorem, gdyśmy już legli w stodole, Moskale przysłali kilka ciężkich kuferków. Jeden z nich z głuchym trzaskiem prasnął w pożar, drugi obok w chałupę i wnet ogień ogromnym blaskiem rozświetlił nocne cienie. Wyszliśmy przed stodołę. Paliło się kilka chałup, tuż obok naszej stodoły. Z szelestem obejmowały języki ognia suche belki i wysoko się wzbijał różowy słup ognia.

Kuferki po jakimś czasie przestały warkotać w powietrzu. Z oddali łuny gromadzą się coraz większe i dolatuje pogłos strzelaniny.

15 sierpień. Szóstka — Żerocin. — Wrócił dziś Styk ze szpitala. W kompanji radość — serca się dzielą między Styka a Tunguza.

W południe, przed samym odmarszem wrócił Sław, Styk i Rowecki z zebrania oficerskiego — wszyscy byli poruszeni, a oburzony Styk rzekł do mnie i Gorzeckiego: „wiecie, wasi oficerowie są niegodni was, podoficerów i szeregowców”. Zdziwieni spojrzeliśmy na niego, lecz nic więcej nie powiedział. Dopiero w drodze do Żerocina dowiedziałem się od Roweckiego, że na zebraniu oficerskiem, niektórzy oficerowie żądali pełnych pensyj austriackich, co na szczęście zostało odrzucone¹⁾.

Maszerujemy do Żerocina, przeważnie lasami. Ogromne lasy młode i stare, sporo sosnowych, lecz przeważnie liściaste. Przepyszenie wyglądają białe pęgi młodych brzoź, na ciemnem tle boru.

Stajemy w Żerocinie całą Brygadą.

Wieczorem przyniósł Sław od Berbeckiego zbiór pieśni II-ej Brygady. Jakże straszna tęsknota tam musi być do nas i jaka niedola tam panuje na obczyźnie, to widać z tych pieśni, nieraz wstrząsająco rozpaczliwych.

¹⁾ W I-szej Brygadzie wszyscy oficerowie, bez względu na stopień pobierali po 100 koron gaży miesięcznej a wszyscy podoficerowie pobierali żołnierski żołd, t. j. 3 kor. 60 hal. na dekadę. Nadwyżka stąd powstała szła do rozporządzenia Komendanta, na akcję polityczną.

Późno już, około 11-ej nadjechał Trapszo. Wczoraj sobie skreślił nogę przy upadku z konia i jedzie na wozie. Spotkał on jadącego do Brygady Michała Sokolnickiego i dowiedział się co słychać w Warszawie. Otóż mosty wszystkie wysadzone, miasto ocalało, zupełnie nie zniszczone. Prusacy się zachowują porządnie, na komendanta miasta naznaczyli Lubomirskiego. Poza tem w mieście moc umundurowanych strzelców.

Piszę to wszystko na kwaterze u Sława, gdzie mam służbę podoficera inspekcyjnego.



Por. Styk-Stachiewicz, dowódca 4 komp. 5 p.p. Leg.

16 sierpień. Żerocin — Sycyna — Worgule. — O 3-ej rano zbudził nas, inspekcyjnych, ordynans pułkowy, który przyszedł z rozkazem. Wymarsz przed 7-mą. Ubrałem się zaraz (wyjątkowo, z powodu ciągłych marszów pozwolono mi zdjąć buty) i poszedłem do taboru, by dać rozkaz przygotowania przed 6-tą śniadania dla bataljonu. Wymarsz wczesny. Służbę skończyłem, więc wracam do plutonu.

Styk obejmuje dzisiaj komendę nad naszą kompanją, a Tunguz nad 1-szą. Dzień chmurny, mglisty; od czasu do czasu spada krótki deszcz. Idziemy płaskimi polami, gęsto porzniętymi lasami. Na drogach pełno krzyży i to nie po jednym, lecz grupkami po pięć, po sześć. Pełno tych krzyży na chełmskiej ziemi.

Jesteśmy już od dwu dni w „chełmskiej gubernji”. Już miast strzelistych wież kościołków, pyszną się jaskrawe, cerkiewne kopuły.

Marsz mamy duży przed sobą, około 20 km; dojść mamy do Witułlicza. Przechodzimy przez błotnistą Krznię, przez szosę i kolej z Siedlec do Brześcia.

Przechodząc przez Krznię, byliśmy świadkami komicznej awantury podporucznika Iwanickiego, oficera broni naszego pułku, z oficerami austriackimi. Poszło im o tabory, gdyż austriacki tabor przy wymijaniu przerwał naszą kolumnę. Iwanicki zwymyślał austriackiego kapitana i dopiero Borek, adjutant Berbeckiego, przygłupował by ich zmitygować. Gdyby był Berbecki — awantura byłaby gorsza, gdyż „Burbaki” nienawidzi „Awstrijców” i zaraz ich płazuje, albo zgola obija. Późnym wieczorem doszliśmy do Worgul, gdzieśmy się rozlokowali.

17 sierpień. Worgule — Konstantynów. — O 9-ej wyruszamy z Worgul mglistym i dżdżystym porankiem. Znów ciche, zadumane lasy. Maszerujemy bez śpiewu, wąskimi, piaszczystymi drogami.

Doszliśmy tak po południu do Konstantynowa, lecz nie wchodzimy do miasta, a rozbijamy biwak obok. W miasteczku natomiast stanęła Komenda Legionów, która od niedawna ciągnie za nami i 4 pułk.

Zapadł wieczór. Gwiazdziste niebo ogarnęło nas swym granatowym stropem, wokół biją łuny rozpalonych ogní, fantastyczne cienie kładąc na jasne ściany namiotów, na sylwetki strzelców. Przy ognisku śpiew ogarnął grupki żołnierzy i szedł w górę wraz z językami płomienia: to skoczny, radosny, jak wystrzelą z trzaskiem płomienie w górę, gdy się suchych a smolistych brew dotkną, to szedł smutny, przeciągły, jak te mgły poranne po polach się włączące.

Obok naszego plutonu rozbił namiot Sław ze Stykiem i Rowecki.

18 sierpień. Konstantynów — Jakówki. — Znowu chłodny i mglisty poranek. Dziwnie chłodne od kilku dni panują wieczory i ranki, a dnie jakieś clikie, mgliste. Jakaś dziwnie smętna ta chełmska ziemia, ziemia łez i krzyżów.

Wczoraj wieczorem, otuleni w płaszcze obsiedliśmy ognisko i oblani krwawem światłem, gwarzyć poczęliśmy o zimie złej, srogiej coraz to bliższej nas, a złowrogiej. Już chłodne oddechy biją w powietrzu, już dreszcz zimny przenika, a przecież to dopiero połowa sierpnia.

Z Konstantynowa po południu maszerujemy do wsi Poredyło. W gazetach, które dzisiaj dostaliśmy jest odezwa Jaworskiego¹⁾ z powodu wzięcia Warszawy. Komentowaliśmy ją obszernie. Jaworski pisze, że Warszawa powinna wydać ze swego łona rząd narodowy.

¹⁾ Prezes Naczelnego Komitetu Narodowego.

Z A B U G !

19 sierpień. *Jakówki — Niemirów.* — Od rana stoimy w pogotowiu marszowem. Wyruszyliśmy wreszcie jakoś koło południa do Niemirowa i doszliśmy do Bugu. Obok mostów pontonowych zebrało się moc taborów i artylerji, przeważnie ciężkiej.

Po prawej stronie Bugu wznoszą się pagórki dość wysokie, natomiast po lewej stronie płaska równina, lasy i łąki. Przy dźwiękach orkiestry, wśród ciągłych okrzyków „hura” przechodzimy przez most pontonowy Bug. Już jakiś inny, jakiś odmienny od naszych wód Wieprzów i Pilic. Most dudni i chwieje się pod setkami nóg. Spoglądam na Bug. Wije się podobnie jak Niemen i ma w sobie już coś z dzikości, coś z surowego wschodu. Kręte brzegi, zieloną ścianą gęsto obstawione.



Przejście Brygady przez Bug.

Weszliśmy na wysoki, prawy brzeg i stanęliśmy w kolumnie bataljonowej. Sław na „baczność” postawił bataljon i z wysokości pagórka i konia, zabrzmiał jego donośny, jędrny głos: „Żołnierze! Królestwo mamy za sobą! Trzykrotnie wzniesmy hura! hura!”. Potężny okrzyk wzniosł się w górę, za nim drugi i trzeci. Tak żegnaliśmy Królestwo, tak przechodziliśmy drugą granicę. Lecz tylko do widzenia!

Któż cię ujrzy Królestwo nasze, wymęczone, krwią zlane—zadajemy sobie pytanie. Kto je ujrzy jeszcze. Jesteśmy już na ziemi kresowej, na ziemi Rusi Czarnej. Szmata kraju przemierzaliśmy nogami własnymi; od śnieżnych szczytów Tatr po cichą, chełmską ziemię, po polskie, sennie dwory.

Z nad rzeki podnoszą się leniwe opary; Królestwo niskie, zalane fioletowymi mgłami, ciemniejsze i coraz bardziej ginie w zapadającym mroku.

Iluz na tamten brzeg nie wróci, iluz ostatnie rzuca tam spojrzenie. Podnieceni jesteście i śpiewem mocnym, silnym głuszymy złe, co jak pazurami wdzierają się w duszę, przecucia...

Obok Niemirowa, wśród pagórków gołych i piaszczystych — Brygada rozbija biwak.

20 sierpień. *Niemirow*. — Biwakowaliśmy. pod Niemirowem cały dzień. Kompanje w kolumnach porozbijały jasne namioty. Jak zwykle na biwakach wiara zajęta gotowaniem.



Biwak pod Niemirowem.

Ranek... Żółte, łagodne światło wnętrza namiotu. Na dworze mży deszcz i monotonnie szurgocze po wyciągniętych płachtach namiotu.

Po południu gruchnęła wiadomość, że Modlin wzięty. Psiakrew Jak ci Prusacy szybko się uwijają z temi fortecami.

21 sierpień. *Niemirow — Kowaliki — Maczuły — Makarowo — Kowaliki*. — Rozpadana deszczem noc już się kończyła, gdy nas zbudzono na kawę. Odmarsz — lecz jakiś niepewny, nikt nie wie dokąd idziemy.

W pogotowiu przeczekaliśmy ze 2 g. pod namiotami, wreszcie i te kazano zwinąć. Maszerujemy lasami. Pogoda chmurna. Skończyły się zaraz pagórki, które ni stąd ni zowąd powyskakiwały nad brzegiem Bugu i maszerujemy przeważnie lasami. Po południu doszliśmy do wsi Kowaliki.

Linja już blisko, w Wysokich Litewskich. Z miasteczka, z za zielonego płotu drzew kłębi się słup dymu.

Rozkwaterowaliśmy się narazie w Kowalikach. Ze wsi rozwijają się powoli rezerwy austriackie.

Mają nam przez 3 dni nie dać fasunku. Dzisiaj już nie dali i głodni jesteście porządnie. Tymczasem wiara myszkuje po wsi, szukając czegoś do zjedzenia. Wieś rosyjska, zdaje się niedawno spalona, bo zupełnie nowa.

22 sierpień. Kowaliki — Wysokie Litewskie. — Piłsudskiego niema w Brygadzie. Oficerowie z tajemniczymi minami mówią że Komendant chory, wiara natomiast, fantazje na ten temat tworzy niemożliwie, a to że Komendant w Warszawie, to znowu, że w Berlinie. Bądź co bądź faktem jest, że Dziadka niema. Ja, zdaje się, że z zupełnie pewnych ust się dowiedziałem, że jest w Warszawie.

Do południa siedzieliśmy w Kowalikach. Koło południa mieli ponoć Moskale wywiać, więc o 2-ej spakowaliśmy się i ciągniemy plutonami w odstępach 200 krokowych do Wysokich Litewskich. Artylerja dość mocno pierze. Drzewa starego, ogromnego parku rzucają wspinały cień na szosę: w głębi parku wznosi się jasny pałac, podobno Radziwiłłowski. Gdy Moskale wywieją, nasz pułk ma ruszyć w awangardzie.

W Wysokich Litewskich—czekamy. Podwiezli nam obiad, zjedliśmy go, lecz jakoś Moskale nie wieją. Zajadając jabłka, czytam „Ludzi bezdomnych”. Czytam tę książkę od kilku dni. Dostałem ją do rąk, gdyśmy przeszli Bug i na wysokim pagórku ustawivszy w kozły broń — spoczywaliśmy. Na książkę poprostu się rzuciłem. Wzerałem się w zdania, w słowa, w cudne chwile spotkania Judyma w Wersalu z paniami Orszeńskimi. Jakże oddychałem inaczej. Jakieś fale nowej, nieznanej radości oblewały mię, gdy czytając, widziałem przed sobą uśmiechy pań Podhorskiej i Orszeńskich. Ta świadomość o istnieniu innego świata, gdzieś daleko za nami pozostawionego, poprostu zamroczyła mię... Wzerałem się w formę słów, których tak dawno się nie wypowiadało...

Wieczorem wróciliśmy do Kowalików. Moskale nie zwiali. Sekcja moja służbowa, wystawiam jeden posterunek.

23 sierpień. Kowaliki — Wysokie Litewskie. — Siedzimy cały dzień w Kowalikach. Gotujemy, pitrasimy, smażyemy. Dzisiaj idziemy na pozycję, zmienić 1 pułk. O 4-ej już wyruszył Adek i Rybak ze swoimi sekcjami na placówkę, a połowa plutonu z kompanją odchodzi o 8-ej.

Wieczór już zapadł, gdyśmy ruszyli. Maszerowaliśmy szosą na północ od Wysokich Litewskich, później przeszliśmy rzeczkę Pulwę i skręciliśmy w prawo do toru kolejowego.

Okopy tuż pod torem, z drugiej strony wznosi się wysoki las. Okopy dziwne, zupełnie bez ostrzału. Za nami, między torem a szosą rozciągnęły się ogromne łąki, dymiące mgłami. Nasyp kolejowy wysoki, z podwójnym torem. Ze swoją sekcją zajmuję lewe skrzydło kompanji, a więc mam ciągłą służbę łączności. Na lewo łączę z II bataljonem, Adek Goldenberg ma placówkę na torze.

Front bardzo dziwny, mocno połamany. Nasyp i tor przechodzi w pewnem miejscu w posiadanie Moskali, którzy wzdłuż niego piorą z karabina maszynowego. Wczoraj na placówce było 5-u rannych, wogóle pułk 1 ma kilku zabitych i sporo pocharatanych. Dzisiaj miał atakować od nas na lewo 14 pułk austriacki, a my mamy poprzec atak ogniem. Tak samo dzisiaj nad ranem, gdyśmy stali jeszcze w Kowalikach, atakował 1 pułk, wziął 200 jeńców oraz dwa karabiny maszynowe.

24 sierpień. Raśna — Czepiele. — Moskale dość ostro bili przez całą noc, lecz gdy świtać zaczęło — przestali. Spałem w okopie, gdy mię o 5-ej obudził Ojczulek, mówiąc, że Moskale zwiali. Zbieramy się więc, czekając na rozkazy.



Marsz z Raśnej na Czepiele.

Za godzinę, gdy cały bataljon się zebrał, ruszyliśmy torem kolejowym ku Raśnej. W Raśnie spokój. Głodna wiara porozbiegała się zaraz do domów, szukając czegoś do zjedzenia, lecz prócz jabłek nie znaleziono nic.

Dość długo już tu stoimy, lecz jakoś się nie ruszamy. Kawalerja wysuwa się naprzód i zaraz też z poza wsi dobiegają strzały karabinowe, a nawet kule gwizdać poczęły między chałupami.

W pewnej chwili na lazurze nieba pojawił się ciemny punkt. Warcząc posuwa się w stronę moskiewską, skręca na lewo i przeryna powietrze wzdłuż frontu. Nie widzimy go już, tak się odsunął, lecz za chwilę z ciekawością poczęliśmy śledzić niebo. Bo oto naraz

osiem białych, śnieżnych chmurek wykwitło w górze i doleciał oddalony huk. To dwie baterje rosyjskie salwami trzepały do aeroplanu. Lecz on widocznie jedzie dalej, bo gdy pierwsze chmurki znieruchomiały w powietrzu — nowych osiem wykwitło, lecz więcej w lewo.

Zaczęła się gonitwa. Aeroplan posuwał się w lewo, a tuż za nim, nad nim, w górze i w dole wykwiwały białe chmurki i tylko przygłuszony stamtąd dolatywał huk. Aeroplan ciągle mimo to się posuwał, już prawie cały w chmurze dymów. Na niebie utworzył się białawy pas rozlazłych dymków szrapnelowych. Już go osiągnąć nie mogą — uciekł im.

Lecz za chwilę nowa sensacja. Bo oto zuchwały lotnik jakby kpił sobie z szrapneli—zawrócił i tą samą drogą pruje powietrze. Znów z tą samą regularnością poczęły pękać szrapnele, a białe chmurki bez przerwy tkwiły w przestworzu. Puścili już około 80 strzałów, lecz wszystko na nic. Czarny punkt posuwał się ciągle naprzód, aż skręcił wtył i powoli zniknął.

Za chwilę odmarsz. Maszerujemy kolumną na drodze do wsi Czepiele. Galopują obok beliniacy, artylerzyści, austriaccy dragoni. Czepiele palą się. Czarny, gryzący dym bucha kłębami, ode wsi dolatuje ostry trzask rosyjskich karabinów.

Na lewo stoi rozrzucona w ławie, szeroką linią, konnica. Wprzód od niej zygzakami stoją jeźdźcy przy koniach. Akcja się ześrodkowała przed nią. Za chwilę minęliśmy patrole ułańskie i już czoło kolumny dochodziło do wsi, gdy wtem poczęły ostro gwizdać kule przed kolumną, i naraz wykwiatają kłębki kurzu na suchej roli. Spojrzałem w lewo i dostrzegłem na widnokręgu pagórka, o jakieś 1000 kroków posuwające się postacie. Sądziłem, że to Austriacy, lecz w tej chwili odezwała się komenda: „padnij”.

Padliśmy, lecz kule trzaskają już wprost w kolumnę. Te sylwetki — to Moskale.

Za chwilę gwałtownie poderwano kolumnę i biegiem, z chrzęstem i krzykiem zdążamy do wsi, wśród ostrego, bliskiego gwizdu kul. Minęliśmy leżącego rannego oraz pochylonego nad nim sanitariusza i dopadliśmy pod zbocze pagórka, gdzieśmy już byli bezpieczni. Strzały poczęły cichnąć, zrzadka odzywał się świst kul.

Stał się skandal, jakiego świadkiem byłem pierwszy raz. Kolumna czwórkowa dostaje się pod ogień karabinowy i to zupełnie bliski. Niesłychane! I to w oczach kawalerji, która nie przegnała tych patroli. Dobrze, że jakoś się szczęśliwie skończyło, bo tylko na jednym rannym. Gdyby to był patrol większy i miał karabin maszynowy, ładniebyśmy wyglądali...

Przed wsią stajemy i padamy. 3 i nasza 4 kompanja zostają w rezerwie, a 1 i 2 poszły naprzód. Artylerja już zatoczyła swe działa we wsi i praży do okopów. Biła bez przerwy aż nam dzwoniło w uszach.

Po południu, gdy zjedliśmy obiad, zrzadka już tylko dolatywały strzały karabinowe. Dwie kompanje naszego bataljonu podsuwają się dopiero i to bardzo powoli.

O 4-ej podrywają nas. Tyraljerką podchodzimy do pierwszej linii i powoli posuwamy się, wspomagani tyraljerskim ogniem. Gdy zapadniemy, Moskale cichną — lecz gdy zaczynamy posuwać się naprzód — świst kul drze natychmiast powietrze. Idziemy jednak równo, spokojnie, strat dotąd niema. O 200 kroków za pierwszą linią okopujemy się.

Powoli zapada wieczór, a z nim chłód staje się coraz większy. Okrywam się celtą i staram się usnąć. Kule od czasu do czasu pacają na rolę, lecz poza tem spokój. Tylko widnokrąg przed nami czerwieni się łunami pożarów.

Spałem do 12-ej. O północy przywieźli nam gorącej, pysznej herbaty i po połowce białej bułki chleba. Rozgrzaliśmy się cokolwiek i okrywając się celtami pakujemy się do okopów. O 5-ej Koper mię obudził, budząc zarazem całą sekcję. Rozkaz spakowania. Odrzuciłem mokrą, wilgotną od rosy celtę i pocynam wdziewać chlebak. Zęby mi kłapią z zimna, trzęsę się jak w febrze.

W okopach widać sylwetki wiary, leniwo się poruszające. Skostniały jestem od zimna i zły jak sto djabłów, że nas zbudzono. O 5-ej, t. j. za jakieś 10 minut ma być atak, by wykorzystać mgły. Lecz jakoś Moskale milczą. Siadam więc na okopie, podpieram brodę rękoma. Niewesołe myśli. Zziębnięty jestem, zmordowany, niewyspany, łeb mi dokucza solidnie. We mgle, w ciszy, w tym dziwnym spokojnym zbieraniu się żołnierzy do ataku, słyszę głos: „poczta”. Nadchodzi Banaszczak i wręcza mi kilka listów. Jest trochę dla Edka, kilka zwróconych i do mnie, z domu.

Ucieszył mię list. W chwilach takich, kiedy zmęczenie przybija wzrok do ziemi i myśli ponure kłębią się pod czaszką, dobrze jest dostać list z domu. Z listu się dowiaduję, że i oni, tak jak my, gdy Warszawa została wzięta, sądzili że nowa era szczęsnych wypadków się otwiera—a tymczasem nic... Warszawa milczy i nas tam niema. Zapytują w liście z tłumioną troską, czyżby krew Jurka i Antka na nic się zdała?...

25 sierpień. Czepiele — Miniewiczze. — Moskale zwiali. Szybko się cofnęli, gdyż jeszcze przed kilkunastu minutami gwizdały ich kule. Lecz potwierdzają nas w tem przekonaniu sylwetki żołnierzy z są-

siednich kompanij, spacerujących swobodnie po pierwszej linii okopów. Strzały zupełnie ścichły, tylko gdzieś daleko monotonnie terkocze karabin maszynowy.

Rozwidniło się zupełnie i z poza szarych mgieł wysuwać się powoli poczęło słońce. Styk zbiera kompanję i ciasną tyraljerą maszerujemy jakie 100 kroków za pierwszą linię tyraljerską w kierunku na okopy moskiewskie. Za chwilę zajęliśmy je. Poskręcane kolczaste druty, mocne i potężne daszki szrapnelowe, głębokie rowy. Kompanja 2-ga została w okopach, my wysuwamy się naprzód.

Na polach cisza. Nie zakłóca jej warkot pocisków, przejasnego błękitu nieba nie mroczą czarne słupy dymów.

Posuwamy się powoli po mokrych koniczynach, po złotych rżyskach...

Doszlśmy wreszcie do koty, którą mieliśmy zająć i czekamy na rozkazy. Głodni jesteśmy potężnie i mocno osłabieni. Wiara pada na ziemię. Słońce wzbija się coraz wyżej i poczyną rozpędzać ciepłemi promieniami chłód poranka. Coraz to któryś z nas zrzuca plecak, wyjmuje płótno namiotowe, okręca się nim i za chwilę chrapie.

Przechodzimy do rezerwy. Tak mówi Styk. I rzeczywiście ukazali się wdali tyraljery austriackie, maszerujące jedna za drugą i do południa bez przerwy nas mijające.

O 12-ej Styk zebrał w kolumnę kompanję i pomaszerowaliśmy do Miniewicz. Biwakował tam już nasz II-gi bataljon.

A więc jesteśmy w rezerwie armji. Różne są z tego powodu przypuszczenia, nie wiadomo jednak zupełnie dokąd pójdziemy, jakie nas losy czekają.

W Marcelinie, malutkiej wsi o kilku chałupkach — stanęliśmy. W mig zniesiono słomę, rozbito namioty. Zapadł cichy wieczór, choć czasami pociągał dołem chłodny, szybki wiatr. Aż ziemię kresową okryła noc i zasnęliśmy.

Z CZARNEJ RUSI NA WOŁYŃ

26 sierpień. *Marcelin — Wojsko — Robianka.* — Dzień nam dość miło przechodzi. To mówią o Lublinie, to o Warszawie i tak czas mija. W południe, gdy w wielkim, płóciennym namiocie komendy pułku odbywała się odprawa, Borek przeniósł wiadomość, że Brześć wzięty!!! Oj dostają Moskaliki w skórę, dostają!!!

Po południu — odmarsz. Maszerujemy obok długich kolumn austriackich, przez wieś Wojsko do Robianki, wszystkiego 16 km. W Robiance stajemy biwakiem. We wsi staje cała Brygada, artylerja i kawalerja.

Od dwu dni mamy błękitne, spokojne niebo i upalne słońce, to też wieczór zapada cichy i nęcący. Orkiestra naszego 5-go pułku, którą dopiero mamy od kilku dni, zaczęła grać. Wnet dziesiątki ognisk poczęły rzucać krwawe światło i długie cienie kłaść na polski obóz i wnet się wzbila w górę żołnierska pieśń.

Śpiewaliśmy. Śpiewaliśmy stojąc i leżąc naokół ogromnego ogniska, trzaskającego wysokimi płomieniami w górę. Wzbija się pieśń, igrza wspólnie z jasnymi językami ognia, kołysze się lekko z dymu podmuchem i echo głębokie budzi w drzemiących lasach.



Pod namiotami.

Pieśń żołnierska, pieśń wieczorna, niezmienną dolę wojenną obejmująca, pieśń o ułanie co końmi strатовany leży...

I długo wiła się pieśń z językami ognia — to górna i strojna, jak dziewczyna wiejska w świąteczny, niedzielny dzień, to szczytna, powłóczysta, to szumna jak halny wiatr w Tatrach...

Ukołysała nas do snu żołnierska, obozowa pieśń...

27 sierpień. Robianka. — Drugim naszym domem stał się teraz namiot. Rzadko śpimy w stodółach, przeważnie biwakujemy. Lubimy ogromnie to żółtawe światło wewnątrz namiotu, które sprawia wrażenie jakby na dworze było ciągle słońce...

Fasunki teraz marnie dochodzą, więc wiara sobie radzi jak może. Dzisiaj w glinianym garnku, podobnym do urny — gotujemy na sekcję supkę kartoflaną. Wieś ogromna, dobrze zagospodarowana, lecz bez jednego człowieka. Warzywa wszelakiego zato moc.

Podobno mamy maszerować w tył. Cała 4-a armja Ferdynanda niema odcinka. Prawdopodobnie jest to kawał Prusaków. Dzisiaj na odprawie była o tem mowa, Styk nam zakomunikował, że sytuacja tak się przedstawia: Mackensen miał iść na południe od puszczy Białowieskiej i błot poleskich i od południa je oskrzydlić, Hindenburg na północy, Ferdynand zaś miał iść nawprost, na wschód. W ten sposób z oskrzydłonych błot mieli Moskale wywiać. Tymczasem Hindenburg i Mackensen wdarli się od swoich skrzydeł w głąb i zamknęli klamrę, tak, że 4-ta armja znalazła się wtyle. Wobec tego mamy się przenieść gdzieś na południe, prawdopodobnie na Sokal, gdyż tam gromadzą się wielkie siły austriackie.

Wieczorem kładziemy się spać, lecz prawie cały pluton idzie do chałup piec chleb. Ziarno i żarna są, należy wymleć i upiec.

28 sierpień. *Robianka — Wojsko — Perkowicze — Szostakowo — Minkowicze — Kustycze — Łyszczycze.* — O 5-ej rano zbudził mię Zygmus Chabowski wręczając mi trzy małe chlebki razowe, w rodzaju placków. Na każdego wypadło po trzy. Ledwie że położyli się, już Rowecki budzi namioty...

Odmarsz! Maszerujemy gdzieś na tyły. Po drodze do wsi Wojska — wypiliśmy herbatę z kuchni. Maszerowaliśmy cały dzień dość mowow. Dopiero w Łyszczycach, koło folwarku stanęliśmy i rozbiliśmy namioty. Dzień cały maszerowaliśmy na głodnego.

29 sierpień. — *Łyszczycze — Szyszki — Łęgi — Krotoszyn — Lechuty.* — Raniutko nas poderwano. Berbecki prowadzi marsz, więc gnamy jak cholera.

Dzień pogodny, gorący. Wśród rozległych, szerokich łąk dochodzimy do Bugu. Szosą ciągną pruskie tabory. Czyste, masywnie zbudowane wozy, taborcy pruscy w porządnym mundurach, doskonale wyglądają. Zazdrość bierze, gdy się porówna tych taborców z naszym biednym, obdartym żołnierzem linjowym.

Nad Bugiem postój — czekamy na przeprawę. Bataljon prowadzi Kostek Aleksandrowicz, gdyż Sław z oficerami pojechał do Brześcia. Za chwilę przechodzimy Bug zalany potokami słońca. Przy mostach pracuje moc rosyjskich jeńców, tak samo i tabory pruskie mają ich mnóstwo! Ci Prusacy wszystko muszą wyzyskać!

Przeszliśmy Bug i maszerujemy obok zewnętrznego obrębu fortów Brześcia. Ogromne nasypy, betony, wspaniałe okopy, kryjówki, tworzą jeden potężny łańcuch. Obok nich leje od granatów pruskich. Brześć Moskale opuścili bez walki.

Lasami i łąkami obszernymi maszerując — nad wieczorem, zmęczeniu okrutnie, doszliśmy do wsi Lechuty.

30 sierpień. *Lechuty — Kobylany — Kopytów.* — Mokry, dżdżysty dzień. Od 4-ej rano maszerujemy dalej na południe. Idziemy ponoć na Chełm, a jak fama głosi — stamtąd do Sokala. Tymczasem maszerujemy... Z zachmurzonego, szaremi chmurami zaciągniętego nieba pada ciągły, nieprzerwany kapuśniaczek. Dźwigamy się w znojmym marszu przez rozległe, kobiercowe łąki, przez ciemne bory i głośnie zagajniki.

Wieczorem rozbijamy biwak w lesie. Zmierzch szybko zapada, ciemną głębię boru rozświetlają płonące ogniska. Po kolacji rozbiega się wieść, że ciągnie do Brygady bataljon umundurowanych strzelców z Warszawy.



W marszu na Wołyń.

Na rozmokłej drodze wśród wysokiej ściany boru czeka Brygada na warszawiaków. Gwarzy wiara spacerując po szosie, oficerowie rozmawiają z kilkoma kwatermistrzami warszawiaków, ubranymi w zielone, jasne mundury. Noc zapada, droga ciemnieje a warszawiaków nie widać. Wracamy więc do namiotów i kładziemy się już, gdy rozniosło się nagle olbrzymie „hura” i rozległ się huk grającej orkiestry. Kopnęliśmy się wnet do drogi, która już zapelniona została biegnącymi zewsząd żołnierzami. Na rozstaju dróg stała orkiestra i różną „Strzelca”, obok niej zbита masa wiary ze świeczkami w rękach do góry podniesionymi, oświecała las. Kolumna już przeszła i jechały tylko tabory, przy których ujrzałem rozjaśnione radością twarze świeżych amatorów wojny.

31 sierpień. *Kopytów — Sławatycze.* — Pobudka nas zrywa o 5-ej rano z namiotów. Płótna przemoknięte do cna, w lesie szmerze deszcz. Niewyspani, zmęczeni jeszcze wczorajszym marszem, zbieramy się powoli. Składam rynsztunek na wozie kompanijnym i na

drodze przyglądam się uważnie kompanii warszawskiej, czy nie znajdę jakiej znajomej twarzy. Właśnie pobierali kawę z wysokiej, rosyjskiej kuchni. Jest! Z pośród zielonych mundurów i dziarskich twarzy, rozróżniam twarz Jurka Wądołkowskiego¹⁾. Jest poza tem skautów cała kupa: Pepcio Olewiński²⁾, Ruszszyc³⁾, Miłobędzki — jednym słowem cała granda znajomych.

Wracam do kompanji. Obok 4-ej — w kolumnie czwórkowej stoi inna kompanja warszawska, przydzielona do naszego bataljonu. Każdy bowiem bataljon Brygady dostał po jednej kompanji. Będą one po-przydzielane do pierwszej bitwy, a później złączone w bataljon i z II bataljonem stworzą pułk warszawski, pod komendą Żymierskiego. Pytam się w kompanji o Staśka Wolskiego⁴⁾. Przy III-im plutonie — odpowiada. Za chwilę już serdecznie go ścisnąłem.

Cały dzień przesiedziałem w kompanji warszawskiej, a właściwie podczas całego marszu do Sławatycz. Opowiadamy sobie wzajemnie koleje losu.

Dzień chmurny, jesień zbliża się szybkimi krokami. Kwaterujemy dzisiaj w Sławatyczach, brudnej małej mieścinie nad Bugiem, docna spalonej. Kilkanaście domów zostało, które zajęliśmy na kwatery.

1 wrzesień. Sławatycze — Hanna — Włodawa — Orchówek. — Ze straszliwą niechęcią podnosimy rano głowy z naszych plecaków. Na dworze szumi wiatr gałęziami drzew i monotonny szmer deszczu bijącego w płótno namiotowe, okręca poprostu zpowrotem w płaszczyznę, by spać, spać jak najdłużej, by nie wychodzić na to mokre, zimne powietrze. A jednak trzeba, bo już Kosior krzyczy, by kawę brać z kuchni i wnet dolatuje rozkaz zwijania namiotów.

Maszerujemy szosą przez wieś Hannę do Włodawy. Tam mamy stanąć. Bataljon nasz maszeruje na przedzie z kompanją warszawską, z orkiestrą przed sobą.

Przechodzimy przez Włodawę przez błotnisty rynek, który jedynie ocalał od pożaru. W miasteczku pełno Niemców. Wylegli na rynek i przyglądają nam się z ciekawością.

Rozgwarzona, głośnie przed chwilą kolumna w jednej chwili milknie. Orkiestra przestaje grać. Uciszył się zwykły w szeregach gwar... Przechodzimy obok nich spokojni, bez zwykłych krzyków i powitań, w zupełnej ciszy, bez słowa...

Zasepiają się twarze i na oczach osiada ponury, chłodny mrok.

Na rynku zapanowała głucha cisza...

¹⁾ Obecnie kapitan Szt. Gen.

²⁾ Obecnie kapitan rezerwy.

³⁾ Obecnie major piechoty.

⁴⁾ Poległ w r. 1919 przy zdobywaniu Dynaburga jako podchorąży.

2 września. Orchówek.—Wstał chłodny, rzeźki poranek nad Bugiem. Dopiero koło 9-ej słońce przedarło siwy tuman chmur i skąpało swe promienie w żywych jak skra, falach rzeki.

Stoimy w Orchówku 2 km od Włodawy. Naprzeciw naszych chałup, trochę na wzgórku, stoi pocharatany kulami biały kościół Boży.

Do przeprawy na Bugu Austriacy budują drogę wykładaną drzewem, posługując się przeważnie jeńcami rosyjskimi.

3 września. Mieliliśmy maszerować na Chełm razem z 17-ym korpusem, tymczasem kierunek zmieniono i maszerujemy na Kowel. Przeszliśmy dzisiaj Bug przez podły most, wybudowany przez naszych saperów. Mamy około 30 km marszu, do jeziora Świteż.

Droga prowadzi przez stare, iglaste bory o piaszczystym podłożu. Od czasu do czasu olbrzymie lasy przerzedzają piaszczyste wydmy, rzadka jałowcem i młodą sosniną porośłe. Koło południa ujrzelśmy na lewo burą, brudną taflę jeziora Pulemieckiego. Dzień był chmurny i posępny — więc jezioro wyglądało jak jedno olbrzymie, równe pole orne, tak, że nie wszyscy mogli poznać, iż to jezioro. Koło 5-ej doszliśmy do dużej cerkiewnej wsi Świtezi. — Mieszkańcy są. Ludzie jacyś dziwnie drobni, karłowaci. Kobiety niskie, brzydkie z czerwonymi zapaskami na głowie o jęczącym, białoruskim tonie mowy.

Gospodarstwa od biedy dość zaopatrzone, choć chaty niskie i nadzwyczaj brudne.

Głodni jesteście solidnie, fasunki niedbale przychodzą.

4 września. Świteż — Kuśniszcze.— Maszerujemy wprost na południe, w kierunku na Lubomlę. Po kilku kilometrach od Świtezi, doszliśmy do szosy, prowadzącej do Lubomli i szosą tą szliśmy już całą drogę. Dzień chłodny, od czasu do czasu zacina ostry deszcz, pędzony wiatrem. Przechodzimy koło jeziora Czarne. Wiatr gna fale przed sobą, które pienia się białymi grzywami i z szumem obijają się o brzegi. Takie sobie małe, polskie morze!

W ogromnej wsi Kuśniszcze dostajemy na pluton stodołę i spiżarnię, w której jest moc owoców poskładanych w wysokie beczki. — Stary „did” białoruski przyszedł nas prosić, byśmy się gdzie indziej zakwaterowali. Przeciągał po swojemu, tak, że z ledwością można go było zrozumieć. We wsi cholera. Prawie połowa ludności na nią powymierała i to w niedawnym czasie. Naprzeciw leży chory na cholere. A więc ostrożność wielka, owoców jeść zupełnie nie wolno. Doktor Kwaśniewski poucza nas, jak mamy się zachowywać. Jabłka wbijamy na patyki i kładziemy w ogień, by się opaliły, gruszki zaś gotujemy w wodzie. Rzeczywiście coraz więcej daje nam się odczuć Rosja. A więc brud, niechlujstwo, choroby wszelkie a z nią cholera, psy żrące ludzi i t. p. przyjemności. Na cmentarzu kuśnieszczowskim

groby porozkopywane. To głodne bezdomne psy, których właściciele albo powymierali, albo pouciekali, rozkopują groby i pożerają trupy. Ładne stosunki! Rosja, Rosja, ze wszystkimi swemi okropnościami!..

Styk kupił na kompanję dwie świnię, które po zakłuciu bagnętami zaraz Warszawski poczał oprawiać. Radzimy sobie jak tylko możemy. Zwykle, gdy przychodzimy teraz do wsi, pierwsza rzecz, to patrol wyszukujący świnię. Coprawda nie zawsze rekwirujemy. Dzisiaj Styk zapłacił staremu „didowi“ nawet dość sporo koron.

5 wrzesień. Kuśniszczce — Podgradno — Ruda — Maciejów — Bilicze.

Jadę dzisiaj konno w stronę Świtezi, by napotkać Grzędę z wózkiem kompanijnym na którym zostawiłem swój plecak. Siadłem tedy na szkapę Styka i przez wieś jakoś z biedą — bo koń narowisty a ze mnie jeździec nie tęgą — przekłusowałem, lecz przy szosie obok stawu, kobyła moja zobaczywszy inne konie, nuż do nich się zwracać. Nie pomogło targanie uzdą i bicie ostrogami. Energicznym wierzganiem i przysiadami, zmusiła mię wreszcie do tego, że zsiadłem i mimo długich pertraktacyj nie pozwoliła mi zpowrotem wsiąść. Zawsze czułem wrodzoną abominację do kawalerji...

Odprowadziłem ją tedy za uzdę na szosę by odwrócić oczy od stawu i koni. Na szosie przejeżdżała szczęściem kawalerja, tabory i artylerja. Z kawaleryjskim zaś taborem jechał Hirek Pacholski i ten mi cośkolwiek dopomógł. Rozpytałem się, czy widział Grzędę. Nie widział go dzisiaj, a jedzie od Świtezi, więc 30 km. Wobec tego zawróciłem i jechałem już spokojnie kilka km w stronę Lubomli. Kobyła szła gładko, bo ją Hirek na kilka minut dosiadł, przegailopował i solidnie zmęczył. Pięć km przed Lubomlą rozstałem się z Hirkiem i wracam do Kuśniszczcy. Upał solidny. Rozprażone słońce rzuca blaski; pola drzemia spokojnie, na wstędze szosy nie widzę zupełnie ruchu. Bez awantury dojechałem do wsi i zdałem sprawę Stykowi.

Po południu nagły wymarsz. Kozacy podobno dostali się przez pińskie błota i atakują Kowel. Jest ich cała brygada i prócz tego dywizja dragonów. Brygada nasza ma tedy wystawić ubezpieczenia od błot poleskich. Czeką więc nas dzisiaj nocny marsz, gdyż mamy około 30 km do zrobienia.

Na pierwszym postoju spadł nagle obfity deszcz i solidnie nas zmoczył. Szybko zapadł mrok. Drogi oślizgłe, ciężkie do marszów. Przechodzimy tor drogi kowelskiej a później przez brudne, straszliwie błotniste miasteczko Maciejów do wsi Biliczy. Marsz solidnie męczący; coś jak marsz z Wymysłowa do Dzierzkowic lub styczniowy Lipnica — Zdonie.

W Biliczach na kwaterę mamy chałupę dość porządną. Styk staje z nami, III-ci pluton dał sporo maruderów, lecz nasz ani jednego. Już tradycyjnie nasz pluton skautowy nie daje nigdy ani jednego marudera. O 1-ej w nocy położyliśmy się spać.

6 września. Bilicze — Konary-Nowe — Moszczona. — O 6-ej zbudzono nas wołaniem na śniadanie. Jemy wczorajszy obiad, doskonały krupnik. Przypominają mi się zeszłoroczne jesienne głodowania podczas włości krzywopłockiej, kiedy to się jadło obiad w nocy i było to pożywieniem na 24 godziny. Zato dzisiaj rano fasunków moc, które przywiózł z Warszawy Orłowski. A więc pysznej marmolady po manierce na „ryło“, kakao, cukru po 32 kawałki, papierosów kupa. Nagwałt trzeba było to rozdać, gdyż już wymarsz.



Czyszczenie broni.

Pierwsze 7 km szliśmy torem kolejowym z Chełma do Kowla. Nasz pułk jest osłoną boczną Brygady i maszeruje na północ od Kowla, zaś Brygada cała z 4-ym pułkiem w awangardzie maszeruje na Kowel. Ubezpiecza nas prócz tego kawalerja.

Po dwu godzinach marszu zeszliśmy z toru i maszerowaliśmy do wsi Moszczona, gdzieśmy się zakwaterowali. Marsz niby bojowy, a szło się z nienabitą bronią. Kozaków pono mamy naprzeciw siebie brygadę a dragonów dywizję. W Moszczonie pluton nasz obejmuje służbę. Wystawiamy dwie placówki 2-ma sekcjami, prócz tego 2 sekcje nocują w chałupach jako osłona taboru. Noc zeszła nam na wypiekaniu chleba, dość morowo.

7 września. Moszczona — Kowel. — O 5-ej rano obudził mnie Chabeusz, dając mi menażkę gorącego kakao. Wstaję już, bo spać

mi się nie chce. Przez noc całą Kowalski i Aksamit piekli chleb, Zygmunt trochę im pomagał. Wiara śpi pomęczona w izbie, na ławach bieleje świeży chleb. Placówki jeszcze nie ściągnięte, od czasu do czasu przychodzi ktoś stamtąd z nowinkami.

O 9-ej ma być wymarsz do Kowla. Ubrałem się cokolwiek i pisząc pamiętnik gadam z Żydem, którego zatrzymała placówka. Żyd powoził furmanką pełną baranów, prawdopodobnie pozbieranych w opuszczonych wsiach. Przebiegłość i złodziejstwo patrzą mu z oczu. Barany zarekwirujemy dla bataljonu.

Na dworze chłodny wiatr wieje z mokrych pól. Po niebie włączają się szare, kłębiaste, jesienne chmury, to w czarny, to w stalowy kolor wpadające. O 9-ej wymarsz. Na błotnistej drodze wsi zbierają się kompanie obładowane chlebem własnego wypieku i wszelakiego rodzaju pożywieniem. Maszerujemy wesoło do Kowla.

Kowel — dość duże miasto — z małemi, parterowymi domkami, brudne, żydowskie, nie przedstawia się zbyt sympatycznie. Przedewszystkiem moc Żydów. Rzadko się trafia jakiś porządniejszy sklep. W mieście wiary pełno. Brygada przymaszerowała tutaj już wczoraj wieczorem.

8 wrzesień. Kowel. — Mamy już odcinek, podobno 24 kilometrowy. Durski ma przydzielony jeszcze jeden pułk austriacki, tak, że ma w tej chwili naszą Brygadę, 4-ty i ten austriacki pułk. Będzie to osłona przed błotami poleskimi i siedzenie tutaj na tej garówce, zapowiada się dość długo.

Siedzimy dzisiaj w Kowlu. Dzień przeszedł nudnie, gdyż przez cały prawie czas padał przykry kapuśniaczek. Gadają, że jutro rano mamy wymaszerować.

10 wrzesień. Kowel. — Cholera!!.. Przyszła do nas coprawda oczekiwana, lecz mimo to nagle i niespodziewanie. W nocy zachorował Drymer. Miał wymioty, lecz nikt na to nie zwracał uwagi. Raptem wracając od fotografa, słyszę dr. Kwaśniewskiego rozmawiającego ze Stykiem o Drymerze, który się przedstawia zupełnie podejrzanie. I nagle wyszło na jaw, co dotąd miano w ukryciu. W bataljonie 7 zasłabnąć podejrzanym, w tem w kompanii jeden śmiertelny (Cieśliński, umarł już) a w Brygadzie pono 4 do 5-ciu dziennie umiera.

Strach!... O niczem już innem niema mowy tylko o cholercie. Wszyscy się zbiegają do dra Kwaśniewskiego, czy to a to można pić, to a to czy można jeść. Wnet się zakłopotano o czystość, bo groza wstrętnej śmierci wstrząsnęła wszystkimi. Brrr... Być na wojnie, nie umrzeć od kuli w polu, a zdechnąć na cholerę i zostać przysypanym wapnem! Wstrętne!!!...

Po południu byliśmy w łaźni i wykąpaliliśmy się solidnie. Wracając z kąpieli spotkaliśmy kondukt pogrzebowy wiodący zabitego beliniaka, Franka Gibalskiego. Szedł ułan, rosły chłop w swym siwym mundurze z krzyżem w rękę i łkał... Broda mu się trzęsła, usta kurczowo ścisnięte drżały jak w febrze i szloch mu się zrywał w piersiach... Za nim orkiestra 1 pułku grała marsza. Cudne, czyste dźwięki... Za orkiestrą ksiądz w komży, za nim wóz z czarną trumną i wystraszonym, rozczochranym chłopem, za wozem koń w pełnym, bojowym rynsztunku, garść sztabowców i ułanów. Reszta na linii, pełni służbę. Przygnębiające na nas wrażenie zrobił ten pogrzeb. Nie dość na tem. Za chwilę przychodzi Trapszo z komendy bataljonu i prosi tych, którzy byli przy śmierci Długosza. Przyjechała jego żona i chce się dowiedzieć o szczegóły śmierci.

Zaszedłem do komendy bataljonu, gdzie ujrzałem żonę Długosza. Siedziała cokolwiek w cieniu, lecz twarz jej była zupełnie oświetlona. Rozmawiała z Romanem Starzyńskim¹⁾. Ciemne, gładko uczesane włosy, z jakąś czarną zarzutką na głowie, blada twarz o regularnych rysach, ciemne głębokie oczy i szalone cierpienie wyryte na twarzy. Była w Samokłeskach i w nocy rozkopywała grób. Wie najdokładniej o wszystkich szczegółach. Zebrała je we wsi. Rozpytywała się pilnie jak był Długosz ułożony, gdyż miała podejrzenie, że umarł dopiero w trumnie. Przypuszczenie to wywołała nienaturalna pozycja Długosza z powodu wąskiej, śpiesznie robionej trumny. Rozpytywała się o najdrobniejsze szczegóły, o pierścionek, szablę, rewolwer, o wszystkie Długosza drobiazgi.

11 wrzesień. Kowel. — Pożyczyłem sobie wczoraj Orzeszkową w obawie przed piekielnymi nudami, lecz dzisiaj jakoś czas tak mi przeleciał, że nawet książki do ręki nie wziąłem. Przed południem doktor Kwaśniewski miał krótką pogadankę dla kompanji o cholerze, jej skutkach i jej zapobieganiu.

W południe poszedłem do Sława narysować sytuację. Otóż z Kowla wysłał każdy pułk jeden bataljon, który operuje na linii wsi Mielnica, Powursk, Czeremoszno, Niesuchoiże, Łyczyny, Sokoliszczce, Wyżwa. Bataljony kompanjami obsadziły te wsie, jako oparcie dla kawalerji, operującej przed piechotą. Poza tem każdy pułk zostawił jeden bataljon w Kowlu, a te bataljony wystawiły po jednej kompanji za miasto, gdzie mają służbę forpocztową.

Ojczulek Czachowski był na rekwizycji i przywiózł 3 olbrzymie prosiaki. Zostaną one oddane do masarza i gdy się doda mięsa wołowego będzie moc wędlin.

¹⁾ Obecnie major Szt. Gen.

12 wrzesień. Kowel — Kołodnia — Krzeczewicze. — Dzisiaj wymarsz z Kowla całego bataljonu i komendy pułku. O 9-ej zbieramy się na zalanej słońcem ulicy Foksalnej. Maszerujemy do Krzeczewicz (Krzyczywicz), 20 km od Kowla. Stoi tam II bataljon, który posuwa się naprzód do Czeremoszna.

Dzień pogodny, słoneczny. Piaszczystymi drogami wśród lasów, lub młodych zagajników, wśród bagnistych łąk, maszerujemy przez Kołodnię i Bilin. W pierwszej dwójce maszeruje ze mną dr. Kwaśniewski, który zastępuje sekcyjnego Rybaka. O 6-ej zajmujemy kwatery w ogromnej wsi Krzeczewicze. Domy dość czyste, porządne, stoją bokiem do drogi. Kwatery wygodne — chałupa na sekcję. Nasza izba względnie czysta, mamy lampę i naftę, tak, że postój zapowiada się przyjemnie. Ludności jest trochę lecz nie wszystka. „A tuteckzi ludy ne słabowały?” pyta doktor Kwaśniewski „dida”. — Ni, ne słabowały — iden z waszych słabował i pomer — odpowiada „did”.

Jutro prawdopodobnie nie wymaszerujemy. Przyjechał wczoraj Komendant, lecz jeszcze nie wiadomo co przywiózł. Podobno Rumunja ma wypowiedzieć wojnę Rosji za cenę Bukowiny i kawałka Węgier.

13 wrzesień. Krzeczewicze. — Mamy dzisiaj drugi Babin. 3-a sekcja zabiła wieprza i za pomoc Zygmunta dostała się nam sporawa część. Gotujemy więc gulasz z kartoflami po śniadaniu, a na obiad rosół z dwóch kurczaków. Cały dzień ogromny, poleski piec bez otworów, z głęboką wnęką, bucha ogniem. Kompanja cała zajęta smażeniem i pieczeniem. Styk z manlicherem w ręku chodzi po wsi, polując na zdziczałe, bezdomne prosiaki. Dopiero co zabił ogromną maciorę wspaniałym strzałem w ucho, i już dla naszej sekcji sprzątnął małego prosiaka, którego Talarczyk ma zamiar upiec w całości.

Siedząc u Styka spisuję notatki. Doktor z Bussem i Flojarem rzną w preferka. Zresztą całe prawie popołudnie zajęci jesteśmy konsumowaniem potraw. Ostrożność przytem wielka, gdyż cholera we wsi.

Wieczorem wezwał mię Sław. Idę ciekaw wiadomości, bo ponoć Moskale scharatali solidnie 4 pułk. Sytuację rysujemy ogromną — tak zajmującej jeszcześmy nie mieli. Na północ od nas operuje 16 brygada piechoty i korpus kawalerji Bissingena, na południe nawprost wsi Hulewicze operuje 4-ty pułk a dalej 1-sza dywizja kawalerji austriackiej.

Czwartaków strzepali porządnie. Roja pchnął jeden bataljon na prawą stronę Stochodu do wsi Hulewicze, choć cała linja jest po lewej i tam opadli ich czerkiesi. Zabrali dwa karabiny maszynowe,

sporo ludzi nafasowali i również sporo natłukli. Roja wobec tego meldował, że ma do czynienia z piechotą, która go niespodziewanie opadła, lecz to zdaje się wykręt. V-y bataljon 3-go p. p. poszedł go wesprzeć. Dzięki wyparciu czwartaków z nad Stochodu, ogromnie błotniste go, wyparli Moskale oddziały kawalerji solidnie na zachód. Wieczorem przemaszerowała z Kowla 5-a kompanja.

14 wrzesień. Krzeczewice. — Stoimy jeszcze przez dzisiejszy dzień w Krzeczewicach, a jutro maszerujemy nad Stochód, przyczem zdaje się 4 i 2 kompanja pójdą dalej, nad samą rzekę.

Godzina 10-a wieczór. Mam placówkę na końcu wsi, lecz słabą, eden posterunek.



Na postoju.

Dzień nam przeszedł na spokojnem spoczywaniu. Miała przyjść poczta i kantyna, lecz ani jedno ani drugie nie nadeszło. Chodziłem coś dwa razy do kompanji warszawskiej, by zobaczyć się ze Staśkiem Wolskim, lecz nie mogłem go zdybać ani razu. Dzisiaj ma stawać u Sława do raportu, w sprawie przeniesienia do naszej kompanji.

15 wrzesień. Krzeczewice — Czeremoszno — Smolary. — Noc spędziłem na placówce z sekcją na końcu wsi, przy taborze, wystawiając jeden posterunek na drodze. Do północy — rozprawdzając posterunki — pisałem dziennik.

Rano o 7-ej wymarsz do Smolar. Idziemy przez Czeremoszno, w którym krótki postój na obiad. Do Smolar miała pójść 2 kompanja

a dwie gdzieś dalej — tymczasem rozkaz zmieniono. Podobno Smolary zaatakowali Moskale — wobec czego idziemy tam całym bataljonem.

Dzień pogodny, słoneczny, choć wiatr targa gałęziami drzew i szybko przesuwa lotne, białe chmurki po niebie. W Smolarach dostaliśmy stodołę na kwaterę. Mamy gęś w sekcji, więc biedy nie będzie.

16 wrzesień. Smolary. — „Co się teraz dzieje w Brygadzie, o tem filozofom się nie śniło“ — powiedział dzisiaj Styk. Postarałem się dowiedzieć bliższych szczegółów i złapałem Ojczulka, który mi co wiedział, — wygadał. A więc: podobno Komenda Legjonów ma zamiar nas rozdzielić i pchnąć po jednym bataljonie lub po dwa w różne strony świata. Wobec tego zrobiło się wielką wojnę. Przyszedł wczoraj meldunek, że Smolary zaatakowali Moskale. Natychmiast więc ściągnięto rezerwy Brygady w jedno miejsce i pułk nasz pomaszzerował do Smolar. Sosnkowski ponoć chory leży w Kowlu, a Komentanta niema. Brygadę objął wobec tego Śmigły.

Dzisiaj przed południem zapalił się dom komendy bataljonu. Piorunem się chałupa zajęła i trzeba było ratować chałupę Styka, by też nie spłonęła. Wieczorem byłem u Styka, gdzie się zakwaterował Sław. Był Narbutt i Ojczulek, a Narbutt — jak zwykle — opowiadał. Rozgadał się o swych przygodach studenckich w Belgji, strzeleckich w Galicji a tak zajmująco, że czas zleciał piorunem.

17 wrzesień. Smolary. — Robi się wielką „wojnę“. Pokpiwamy trochę, lecz rzeczywiście o 7-ej maszerujemy do rzeki. Wiara w mig rozbiera płoty, bo mamy przechodzić w bród. 1 kompanja idzie na czele.

Stochód płynie kilkoma rękawami, wśród mokrych, obszernych łąk. Pierwszy rękaw przeszliśmy po deskach, lecz cztery następne w bród, po kolana w zimnej wodzie. Zaraz po przejściu biorę sekcję i idę na patrol. Mam maszerować na futor (H) na drodze, między wsiami Bereźnicą a Chruszczynem. Sław sądzi, że napotkam pikietę kozacką, więc mam ją wyfasować. Idę ostrożnie cały czas lasem, ubezpieczonym szykiem. Nasz bataljon ubezpiecza przeprawę 1 pułku, który atakuje Czersk. O 2-ej po południu wróciłem do Smolar, psa kulawego w lesie nie spotkawszy.

18 wrzesień. Smolary — Powursk. — Miał być wczesny wymarsz, piorunem kawę zaczęliśmy gotować, gdy tymczasem jakoś kawę się wypilo i zwolna rynsztunki spakowało, a o wymarszu nie słyhać. Okazało się, iż czekamy na 2-gą kompanję, która jest w leśniczówce i ruszymy dopiero wtedy, gdy 2-a przyjdzie i odpocznie. Gotujemy więc obiad i stanęło na grochu (fasoli). Do 2-ej żeśmy gotowali i jedliśmy prawie twardy. Wspaniały ogień buzował z pod pękatego garnka, a groch był na to jakby nieczuły. Dopiero później ktoś

„peritus” w kulinarnych sprawach objaśnił nas, że taki groch to trzeba moczyć przedtem w wodzie cały dzień. Skąd Drymer czy ja mogliśmy o tem wiedzieć?

Przed 3-ą wymarsz. Maszeruje tylko nasz pułk do Powurska, a wogóle marszem trzydniowym gdzieś nad Styr. 4 pułk już tam pomaszerował. Narazie bataljon I-szy i III-ci został w Smolarach nad Stochodem. A propos III bataljonu. Wczoraj zajął Czersk i został w nocy zaatakowany przez Moskali. Coñął się odrazu nad Stochód, straciwszy karabin maszynowy i coś z 15-tu ludzi.



Przejście przez Stochód.

O 5-ej przymaszerowaliśmy do Powurska.

19 wrzesień. Powursk — Wielick — Janówka. — Chłodny wiatr uderzał w szyby okien, gdyśmy o 7-ej wstali, rozbudzeni przez dyżurnego. Idziemy dobrze, choć wiatr bije nam w twarz i rozwiewa płaszcze. Posępne niebo grozi deszczem.

Przechodzimy przez Miryn do Wielicka. Wielick zajęty zupełnie przez Węgrów — kawalerzystów, więc na obiadowy postój stajemy za wsią. Kuchnia nie wydała nam mięsa, więc Styk kombinuje, aby tu urządzić. Stañło na jednej świni na pluton.

Do Janówki zachodzimy jeszcze za dnia.

Do świni wziął się kawalerzysta — Węgier, widocznie z amatorstwa i wspaniale ją oprowił. Mięsa i tłuszczu w bród. Gospodyni po polsku rozumie, więc się nawet na ruski nie wysilamy. Posterunki wystawiam we wsi. Późno w noc położyliśmy się spać.

20 września. Woźnianka — Mylik — Pożarki — Kobcza. — Żmijewski i Talarczyk noc całą piekli i smażyli. O 6-ej rano zrobili nam pobudkę i wnet się gospodarza zaczęła krzątać koło śniadania.

O 8-ej wymarsz. Drugi bataljon na przedzie. Maszerujemy wesoło, wiatru niema, lekkie tylko podmuchy z wilgotnych łąk otrząsają z liści lśniące krople rosy.

Po czystem niebie przesuwają się siwe, skłębione jak stado owiec jesienne chmury. Na lewo o kilka kilometrów wśród lasów widać olbrzymie kłęby siwego dymu, zlewającego się z tłem chmur. Od czasu do czasu zamruczy gdzieś zdala bateria, lub wystrzeli basem bliżej stojące, ciężkie działo.

Po czterech kilometrach — zawracamy. Drogi nam ostrzeliwują Moskale. Musimy ją okrążyć, więc o 15 km marsz solidnie się przedłuża. Maszerujemy teraz przez lasy, lecz dużo więcej przez płaskie pola. Im dalej na południe, tem ziemia suchsza i błota znikają. Do Swobodarki maszerowaliśmy prawie dwie godziny i stajemy tam na obiad.

O 4-ej wyszliśmy ze wsi. Po rozchlapanej i błotnistej drodze przejechało kilku jeźdźców. Nie spostrzegliśmy kto, lecz w tej chwili kompania 1 i 2 stojące twarzą do jeźdźców, wydały ogromne „hura” — Komendant!!

Dziadek przejechał na kasztance z Piskorem i kilkoma ordynansami.

Wieczorem weszliśmy do Kobczy — pozycja tuż za wsią; od czasu do czasu gwizdnie daleka kula.

Zajmujemy ogromną kwaterę. Rybaka sekcja i moja w izbie, Lodek Janowski i Władek Łecki windują się na strych. Kwatera bogata. Garnków sporo, kaszy, jagły — co tylko trzeba. Widocznie mieszkańcy dopiero co zwiali, gdyż znalazłem nawet świeży ser.

21 września. Kobcza. — Siedzimy dzisiaj we wsi, na tej samej kwaterze. Dzień cały smażenie, pieczenie, gotowanie. A więc w drugiej sekcji szynki, pieczone świńskie, kaczki, u nas Talarczyk z Chaubuszem obrabia sporego wieprzaka.

Piszę do domu, do Zochy o całej naszej ofensywie od Nidy. Obecnie całe Legiony mają następujące odcinki: grupa Sosnkowskiego (pułki 1 — 3¹⁾) nad Stochodem, grupa Piłsudskiego (pułki 2 — 4) nad Styrem gdzie również stanęła grupa Grzesickiego czy kogoś — pułk 6.

¹⁾ W I Brygadzie Legionów składającej się z sześciu (I, II, III, IV, V i VI) bataljonów podział wewnętrzny został przeprowadzony na trzy pułki piechoty, a mianowicie: pułk 1 Rydza-Śmigłego składał się z bataljonu I i III, pułk 2 Berbeckiego z bataljonu II i IV, pułk 3 Trojanowskiego z bataljonu V i VI, był to podział wewnętrzny, niejako domowy, gdyż nie uznawała go Komenda Legionów, ani austriackie władze wojskowe, dla których I Brygada składała się tylko z dwu pułków, a mianowicie 1-go (bataljony I, III, VI) i 5-go (bataljony II, IV, V). Czasem numeracja ta się przyjęła, tak, że pod koniec 1915 roku już i w I Brygadzie przyjęto podział na 1 i 5 pułk jak również i pozacierały się powoli dawne numeracje bataljonów, a w każdym pułku przyjęła się kolejność trzybataljonowa.

Szóstaki są już w Kowlu. Mają tu gdzie blisko przemaszerować. W izbie gorąco jak w łaźni, na dworze zimno przenikliwe, to też czuję, że się przeziębilem. Wieczorem już chciałem posłać Dobosza po chininę, gdy wpadł dyżurny, że idziemy do okopów. Sacra!! Zupełnie nie w porę. Żli są wszyscy, jak sto djabłów.

Do okopów kilometr drogi. Okopy marne, ledwie zaczęte, ziemianek zupełnie niema. Jest kilka zaledwie kryjówek. Służba ciężka. 4-y wedety wprzód, 2-ch łączników do Austriaków w lewo; jeden posterunek alarmowy w okopach. Ojculek w ten sposób podzielił robotę, że każda sekcja ma 2 godziny służby.

Leb mię szalenie boli, że z ledwością mogę pełnić służbę. Jestem pewien, że jutro obudzę się chory.

22 *wrzesień. Kobcza*. — Obudziłem się rzeczywiście chory. Mam spieczona usta od gorączki, głowa mi mało nie pęka od szalonego bólu. Leżę w malutkim okopiku okrytym dobrze słomą. Służbę pełni za mnie Talarczyk, choć i on nietęgo się czuje. Na dworze wiatr i chłodno, więc nawet nosa nie wychyłam i tylko sobie pośpiewuję z bólu, gdy mi nogi zaczynają za bardzo dokuczać. Bo i reumatyzm się w tej chwili odczuwać daje i łamie mi kości po kolana. Sanitarjusz nie ma ani chininy, ani aspiryny. Zmierzył mi gorączkę: 38!

Wieczorem mamy już pójść do wsi. Dobrze by to było, bo obawiam się, że mogę się rzeczywiście rozchorować.

Wieczorem wracamy do wsi. Sekcja 2-a zajęła kwaterę a 3 pozostałe do stodoły. Ja zostałem w chałupie, w której jest 3-ch warszawiaków, moc słomy i wszelakiego brudu. Między warszawiakami znajduje się Stasiek Wolski i Filipowicz¹⁾. Przydzieleni zostali do naszego plutonu.

Na noc zażyłem aspiryny.

23 *wrzesień. Kobcza*. — Czuję się po aspirynie o wiele lepiej. Wypociłem się w nocy solidnie i jestem prawie zdrow.

Są gazety. W Warszawie praca prawie że olbrzymia, lecz organiczna. Nie politykują, lecz pracują.

24 *wrzesień. Kobcza*. — Zajęliśmy na starej kwaterze czystą komórkę i ułożyliśmy się całą sekcją. Przyszedł sanitariusz i zmierzył mi gorączkę. Mam 38.7, choć czuję się świetnie. Noc nam przeszła spokojnie, to też rano obudziliśmy się wypoczęci i rześcy.

Prosiłem Ojczulka-Czachowskiego by mi coś wykombinował ciepłego do okrycia, bo inaczej rychło zamaruduję. Nie czekałem długo. Po południu Ojculek przyniósł mi wspaniałą, chłopski kozuch. Ciepły mamy dzień, dzień polskiej jesieni. Wiara powynosiła się z chałup do ogrodów

¹⁾ Zmarł w r. 1918.

i tam łąta się jak może. Wieczorem idziemy do okopów, to też trzeba się jako tako przygotować.

O zmierzchu opuszczamy wieś. Noc ciepłutka, spokojna, księżycowa. Zabieramy się do robienia ziemianek. Ziemianka na 3-ch ludzi. Przyszedł Styk i Sław i radzili byśmy robili na całą sekcję, bo prawdopodobnie będziemy tu dłużej siedzieli.

25 wrzesień. Kobcza. — Pozycje nasze są defensywne. Zajęli je kawalerzyści austriacy, którzy przed kilka dniami wysunęli się daleko na wschód od Styru, dostali tam porządnie w skórę i cofnęli się aż tu nad rzekę. Dawno już nie mieliśmy takich pozycji, gdzie Moskale mogą atakować, to też ostrożność zachowujemy solidną. Na lewo mamy sakramenckich Czechów, którzy zdradzają wielką ochotę do posunięcia się jeszcze dalej na zachód.

Po południu był w okopach Komendant i Berbecki. Do nas ciągle walił jakiś „pukajło”, który się widocznie usadowił na sośnie i kropił bez przerwy dzień cały i to celnie. Próżno go Styk lornetką wyszukiwał i 2-ga sekcja salwami. Bił ciągle prawie że w same przedpiersia, aż do zmierzchu.

Na noc objąłem służbę. Przeniosłem się z sekcją do niezajętych okopów, między naszą kompanją i austriaków i wystawiłem po dwie wedety wprzód. Noc cicha, jasna, księżycowa. Na obsianem gwiazdami niebie ani jednej ciemnej plamy, ani chmurki. Cisza... tylko od czasu do czasu z nad drugiego brzegu Styru z Wiszenki dobieganie szczekanie psów lub pianie kogutów. Ciszę tę przerwie czasem nagły, ostry strzał—moskiewski, i wrzyna się w ciszę nocną wściekłym świstem kuli...

Nad ranem wracamy do wsi.

26 wrzesień. Kobcza. — Zaczyna się robić coraz jaśniej. Z nad Styru podniosły się delikatne, zwiewne mgły, poprzez które lekko się rysują chałupy i błyszcząca kopuła cerkwi w Wiszence. Dzień już był pełny — gdyśmy wyszli z okopów. Dziw, że Moskale nie pukali do nas.

We wsi dostajemy chałupę, a moja sekcja wstrętną, zaśmieconą izbę, która po uprzątnięciu zrobiła się jednak znośną. Gotujemy więc nagwałt kawę, bo chłód poranka jesiennego do kości nas przenika i głodni jesteśmy porządnie. Spróbowaliśmy spać, lecz nie można, bo w izbie gotują ciągle i smarzą. Przed południem byłem u Gorzeckiego a po południu Styk pozwolił zdjąć buty i przespać się, bo będzie duży, nocny marsz.

Leżę na ciemnym strychu, gdzie się rozłożyła 2 sekcja i gwarzę z d-rem Kwaśniewskim i Rybakiem. Na dole w izbie Adek, Dobosz, Maniek i Zygmunt dokazują, śpiewają, jakby Bóg wie ile zdrowia fasowali.

O 9-ej wymarsz. Ja włożyłem na siebie swój barani, biały kozuch, a mimo to chłodny wiatr dokucza mi, co się zowie. Był to jeden z cięższych, uciążliwszych marszów. Mieliśmy zrobić 17 km, a szliśmy caluteńką noc. Na jednym z postojów oglądał naszą kompanję Komendant.

Staliśmy bez tchu, bez ruchu, serce tylko waliło w piersiach. Nogi wrosły w ziemię, dwurząd kompanji znieruchomiał, zastygł.

27 wrzesień. — O świcie zaszliśmy do jakiejś wsi i ulokowaliśmy się w ogromnej stodole. Zmordowani jesteśmy szalenie. Rybak ledwo się dowłókł, a ja przez całą drogę jęczałem, tak mi piekielnie nogi dokuczały. Och, ten straszny reumatyzm, ile on mię zdrowia kosztuje!...

Dzień cały przeleżeliśmy w stodole. O 5-ej jak usnęliśmy, to dopiero o 2-ej zbudziłem się. Wypiliśmy kawę, którą, nam Stasiak zgotował i leżymy dalej. Czuje się trochę lepiej, lecz jeszcze jestem ogromnie osłabiony.

Czwarty pułk gdzieś odmaszerowuje, lecz gdzie niewiadomo. Krążą pogłoski, że na odpoczynek, lecz to bujda. Maszerujemy gdzieś na południe, na pozycję i mamy maszerować jeszcze 2 dni. Grupa Komendanta będzie miała tak samo jak i nad Styrem, swój odcinek.

28 wrzesień. Kopyle. — Przez Aronowicze, Hrusiatyn, Borowicze maszerujemy do Kopyl. Jeszczem nie zupełnie zdrow i czuję się porządnie osłabiony. Po obiedzie w Borowiczach dostałem gorączki i pragnienie miałem szalone. Gdyśmy już dochodzili do Kopyli, marzyłem sobie przez drogę, że może we wsi będę mógł kupić trochę mleka. Lecz jak zwykle mam pecha... Przed samą wsią, gdyśmy spoczywali złożywszy broń w kozły, podjechał na koniu dr. Pieszczyński¹⁾ i zabronił absolutnie kupowania czego bądź we wsi. Cholera panuje ogromna — wołał — i kto chce, może zobaczyć trupy...

Mamy miłą stodółkę z wonnem sianem na noc. Ledwieśmy przyszli, ja natychmiast zająłem się ugotowaniem kawy. Ledwie kawę ugotowałem, zaraz potem spitrasilem herbatę i piłem, piłem ciągle. Wysoką musiałem mieć gorączkę...

2-ga i moja sekcja uradziły dzisiaj, by nie używać więcej słowa „fasunek — celta — dekiel”, a pobranie, płótno namiotowe, pokrywka. Dyskusje trwały do późna, gdyż nie wszyscy na „pobranie” chcieli się zgodzić.

29 wrzesień. Kopyle. — Kołki. — Wczesny wymarsz. We wsi zbiórka, czekamy na II bataljon. Słońce już weszło, oblewając złotem strzechy chat i czerwieniejące już liście drzew. Maszerujemy kilka

¹⁾ Obecnie pułkownik.

kilometrów wzdłuż wysokiego brzegu Styru do wsi Kołki. Wszędzie moc kawalerji i koni. Mijamy spalone Kołki i stajemy kilometr za wsią, czekając na rozkazy. Obok rozłożyły się kolumnami ogromne tabory. Jesteśmy jakąś rezerwą, zdaje się, że korpusu.

Gorący dzień. W małej dolince rozłożyła się kompanja. Kartoflisko obok — więc wnet się zabrano do gotowania. Cały dzień nam przeszedł na oczekiwaniu rozkazów, które jakoś nie nadeszły. Tymczasem znać bliskość taborów austriackich, gdyż wydano nam konserw i sucharków moc.



Przejście przez Styr pod Kołkami.

Linja tu jest stała już i zdaje się, że Austriacy nie mają zamiaru posuwać się naprzód. O jakieś 6—8 km grzmia działa i to mocno. Na linji widocznie ruch. Gdy zmierzch zaczął ogarniać ziemię, na wschodzie rozlała się szeroką wstęgą krwawa łuna. A do żołnierzy, wśród błyskających rażno ogni wojennych zeszła pieśń... żołnierska pieśń. Oblani w krąg ogniem, zbici w gęstwę przy Narbucie, śpiewają żołnierze kompanji 1-ej.

30 września. Kołki. — Stowygoroż. — Kupami od rana prowadzą jeńców, więc wiara jak może, zaopatruje się w kociołki. Co pół godziny, czasem częściej, brunatna grupa jeńców ukazuje się na drodze i wnet wysypują się chłopcy ze stodół. Dzień pogodny, słoneczny, choć przeciąga czasem chłodny wiatr. W stodole i obok ruch. Przywieziono dzisiaj trochę koców i płaszczy, więc gwałt przy dzieleniu, poza tem czyszczą chłopcy karabiny. Rybak robi mi z tornistra austriackiego torebkę na papiery i notatki.

Mamy odmaszerować dziś wieczorem kilka kilometrów, by zmienić II bataljon, który siedzi gdzieś w lesie, w rezerwie. 4 pułk ponoć już jest na linji. O 5-tej zbiórka. Bataljon w kolumnie kompanjami.

Lecz Sław zamiast „kolumna czwórkami w prawo — maszerować” — wydaje komendę na inną formację bataljonu i za chwilę znowu na inną. Po chwili bierze kompanijnych na odprawę. Okazuje się, iż odmarsz odwołany.

Przy zapadającym zmroku odchodzimy na kwatery, a pluton nasz na służbę do Komendy Brygady, która się mieści w prostej, zwykłej stodole. W Brygadzie ledwieśmy zdążyli zagotować trochę kawy — już wołają nas do stodoły. Odmarsz. Godzina 10 w nocy, błądy księżyc wypłynął na spokojne, jasne niebo. Po dwóch czy trzech kilometrach polnej drogi wchodzimy w las, który powoli zamienia się w puszcę. Ogromne kłody zwalonych, omszałych drzew, wysokie paprocie, potężne dęby i buki wśród bladych, księżycowych promieni wspaniale sprawiają wrażenie. Jakbyś patrzył na obraz Grottgera — „Puszcę”. Zda się lada chwila żbik wyskoczy z za ogromnego dębu lub buku...

Już świt bladej obejmował ziemię, gdyśmy na dużej polanie rozbili namioty.

1 październik. Bitwa pod Stowygorem. — Cicha przed chwilą polana zawrzała nagłym gwarem. Oto równo ze świtem wdarł się atak rosyjski w śpiące okopy ułanów i „schützen” dywizji i parł ich ku naszej polanie, wśród ciągłego, gęstego ognia.

Nad polaną wznosiło się już słońce, przepajając mgły złotymi blaskami, gdy sam Sław zrobił nam alarm. Działa stojące tuż przy polanie waliły jak wściekłe i ogień karabinowy zbliżał się z każdą sekundą coraz bardziej, rósł, wreszcie ostrymi świstami kul dotarł do polany.

Kompanja nasza piorunem rozwinęła się w linię, choć niektórzy chłopcy rozebrani byli „do rosołu”. Chwila przerwy. Czekamy na dalsze rozkazy. Z polany nagwałt wieją tabory, wózki amunicyjne, przodki od armat. Austriacy jak oszaleli siodłają konie i wyrrywają wtył. Za chwilę z przeciwnego brzegu polany, z ciemnozielonej, z ceglastemi, krwawemi plamami leśnej ściany — poczęli się gęsto wysypywać wiejący niebiescy huzarzy i siwi ułani. Jakiś „zucksführer” podbiegł do Sława i zdyszany, rozpaczliwym głosem począł opowiadać jak wszyscy spali a Moskale zaatakowali i cały szwadron do niewoli wzięli. I cisnął z rozpaczą karabin maszynowy który trzymał w ręku...

Już 3 kompanja rozwinęła się w spokojną linię i zanurzyła się w szeleszczący skrwawiony jesiennymi barwami las, a nasza zajęła tyraljerą polanę i poczęła się powoli posuwać. Kule już ostro trzaskają po drzewach... Przesuwamy się w lewo i zaczynamy bić brawo jakimś oficerowi austriackiemu, który wśród ogólnego, szalonego popłochu, wśród świstu kul, spokojnie kończył poranne golenie...

Dochodzimy do przeciwległego brzegu polany. Strzały trzaskają dalej, a naraz na lewo w lesie, tam, gdzie rozwinęła się 3 kompanja, zrywa się ogromne, wściekle „hura”, potem szalony, piekielny ogień i znów „hura” i „hura”... które grzmiało, przelewało się po lesie, przedzierało się przez karabinowy ogień i poprzez zapamiętałe trajkotanie karabina maszynowego, głuszac wszystko swym szaleńczym, warjackim brzmieniem...

To kontratakowała 3-a kompanja Kostka-Aleksandrowicza.

My zaś posuwamy się coraz szybciej, coraz żwawiej, łącząc się na prawo z niebieskimi huzarami, którym niesporo szła linja i leniwo...

Słońce już się wysoko na niebie podniosło i ozłociło las, polanki, ogromne dęby szeleszczące spadającymi liśćmi... Padliśmy przed jakimś płotkiem i czekamy. Sytuacja widocznie rażno się rozwija, bo coraz to prowadzą Austriacy lub nasi grupki jeńców. Bądź co bądź atak rosyjski odparty i to przez nas, przez nasz bataljon. Styk czeka na dalsze rozkazy, a tymczasem popędzamy włóczących się Austrjaków, którzy ciągle szukają regimentu...

Godzina za godziną mija... Słońce wysoko na niebie, grzeje solidnie, lecz nam w cieniu ogromnych dębów miło i rozkosznie. Na przedzie, przed nami słychać tylko ogień rosyjski i to bliski, bo kule rzną muzykę wściekłą po gałęziach drzew... Chłopcy obławiają się w rosyjskie kociołki i w rzeczy pogubione przez Austrjaków. Ja zdobyłem kociołek, koc, płachtę namiotową i sporo drobiazgów. Pod płotkiem, o jakieś 300 kroków od okopów przesiedzieliśmy kilka godzin, do 1-ej w południe. Raz już jedna linja austriacka zanurzyła się w las i poszła zająć okopy a wnet i my idziemy zapełnić jakąś lukę.

Jakoż za chwilę posuwamy się i po szybkim przejściu kilkuset kroków lasu — zajmujemy wygodne, głębokie okopy, idące wzdłuż szerokiej drogi, lecz zupełnie bez ostrzału. Trudna pozycja, lecz bądź co bądź można ją utrzymać. Na prawo od nas luka na jakie 500 kroków i tam ciągle grzmia huragany strzałów. To Austrjaków atakują Moskale. Po chwili ucho odróżnia przeciągłe „ura”, które teraz co minuta zrywa się i idzie lasem równo z poszumem wiatru... Lodek i Władek są na skrzydle i gorączkowo nawiązują łączność na prawo z Austrjakami. Są to ułani 1 pułku, których bez przerwy atakują Moskale. Jakoż ogień nie słabnie ani na chwilę i dziwne, bo czasem austriacki, manlicherowski cichnie i po ogromnem „hura” — rozlega się ostry, szarpany ogień moskiewski...

I znowu przeciągłe, ogromne „hura”. Za chwilę kilku Austrjaków prowadzi kupę jeńców. Dowiadujemy się, że Moskale zaatakowali

i atakowali kilka razy, lecz ułani szturmy odparli, zrobili kontratak i nabrali jeńca. Lecz amunicji ponoć nie mają i będą się musieli cofnąć.

I tak na tych atakach i kontratakach w sąsiedztwie przeszło całe popołudnie. Coś około 4-ej przypadł zdyszany Lodek Janowski i melduje że Austriacy wieją na potęgę: że nie wytrzymali szturm, że nie mają amunicji. Jakoż gwar ogromny i strzały bezładne szły od prawego, a za chwilę z lasu poczęły się wynurzać grupy Austriaków, zgnanych, zmęczonych, spoconych, wrzeszczących na wszystkie głosy.

Spokojnie zaginamy skrzydło, nasz pluton I zajmuje polankę na prawo i zaczynamy się okopywać. U Austriaków ciągle gwar, kupą bezładną idą, wrzeszczą wszyscy razem... Jedni chcą iść naprzód, wygnać „Russa“, drudzy się tchórzliwie cofają, a wszystko bezładnie jak żydowska banda, aż Styk ułamał kija i prać ich po grzbietach począł, do porządku, [do „schwarmlinji“ nawołując. Wreszcie się uporządkowali i rozwinęli w prawo od nas, a Styk zaraz puścił patrole wprzód, by sprawdziły jak daleko są Moskale i czy zajęli okopy austriackie. My tymczasem okopujemy się. W lesie cisza, tylko od czasu do czasu gruchnie strzał z manlichera.

Wieczór zapada cichy i ciepły, wśród szumiących starych dębów. Już zmierzchało, gdy wróciły patrole z meldunkami, że okopy austriackie nie zajęte i, że dalej na prawo Austriacy się nie cofnęli.. Ledwie to zameldowali, na lewo w okopach 3 kompanji rozległ się gwałtowny ogień karabinowy i piorunem się przeniósł do naszej. Natychmiast zając dawne okopy — zabrzmiał rozkaz Styka. Biegiem dopadła wiara do okopów i łupić poczęła straszliwie, bo im się zdawało, że Moskale tuż... Po chwili ostre gwizdki na „bezpiecznik“ przedarły się przez gruchotanie ognia i nagle cisza objęła okopy, choć artylerja austriacka, śnać sądząc z ognia naszego, że odpieramy atak — rżnąć zaczęła w las szrapnelami tuż przed nasze okopy a czasami i wprost nad nie. Biła tak nieszczęśliwie, że zraniła dwu z Władka sekcji: Kubackiego i Chabra. Bajecznie silnie biją te ekrazytowe, austriackie szrapnele. Kilka razy silniej od rosyjskich, choć hałasu o wiele mniej robią...

Noc przeszła spokojnie. Wystawiam po dwie czujki przed okopami, poza tem pogotowie jak najsurowsze. Spać pod żadnym pozorem nie wolno, przez noc część plutonu zakładała druty przed okopami.

2 października. Stowygoroż. — Świt. Polana przed nami biała coraz więcej, białeł i szarzał coraz bardziej las, okopy, droga... Świt... Podnosiły się zlekka opary i mgły z nad błot cikliwych i bajorów i mętniały w górze, tonąc w blasku coraz jaśniejszego dnia i jutrzeńki... Nic nie przerywa ciszy... Posterunki cicho jak

duchy schodzą do okopów, po których snują się żołnierze, nasłuchujący, baczni, gotowi wlot do strzelnicy skoczyć i rznąć przed siebie z manlichera. Cisza... i nic jej nie przerywa i zda się spokojnie las słońce powita, aż nagle gruchnął strzał jeden i drugi i wnet jakby za skinieniem ródzki czarodziejskiej huragan ognia z luf się zerwał i zaniebieszczył polanę siwym, posuwistym dymem... Jak nagle się zerwał ogień tak i nagle ucichł. Ni jeden strzał z gęstwiny leśnej mu nie odpowiedział...

A Moskale wywiali. W nocy Prusacy gdzieś na prawo zaszli im tak mocno, że musieli się cofnąć. Wnet zaroili się okopy i ogniska buchnęły wesołe, bo poranny chłód dał się wszystkim we znaki. Bończa¹⁾ z plutonem zagłębia się w las. Idzie na patrol...

Do 10-ej rano spokojnie nam czas przeszedł na gotowaniu kawy, myciu, porządkowaniu. O 10-ej zbiórka bataljonu. 1 i 2 rozwijają się w linję i zagłębiają się w las a nasza 4 i 3 w kolumnie jako rezerwa, maszerują za niemi. Dzień ciepły, słoneczny, prawie że upalny. Wspaniale na polanach wyglądają pożółkłe dęby, zczzerwieniełe rdzą jesieni i bajecznie grają kolorami ściany lasów... Przeszliśmy kilka polan i zagłębiliśmy się znów w prawdziwą puszcę: ogromne zmurzałe kłody drzew, całe pnie powywalane, postręcane, poplątane krzaki wiklin, olszyn, paproci, błota, mokradła i bajory, przez które z ledwością przeszliśmy. Za lasem na ogromnej polanie rozwinęły się dwie kompanje.

Wogóle sytuacja ogromnie powoli się rozwija, Austriacy bardzo leniwo się posuwają — zostali zupełnie wtyle. Sław dostał rozkaz by się też cofnąć, wracamy więc do dawnych okopów. Kompanja 3 i nasza za okopami w rezerwie, a 1 i 2 okopuje się o jakieś 300 kroków przed staremi okopami. Nie rozbijamy namiotów, a tak tylko, na płaszcach i płótnach namiotowych się rozkładamy.

Gasną powoli ogniska jedno za drugim i sen ogarnia żołnierzy.

3 październik. Stowygoroż. — O 4-ej wydano nam kawę, a o 6-ej już bataljon był zebrany na drodze. Dzień jak wszystkie ostatnie — wspaniały. Moc słońca na polanach, które jasnemi, złotemi plamami przedziera się przez leśną gęstwę... Maszerujemy wszystkiego ze dwa kilometry i przyjmujemy front z zachodu na wschód. Kompanja okopuje się na obszernej polance a nasz pluton zagłębia się w mały zagajnik. Do nas ma się dołączyć 1 pułk ułanów, po który poszedł Talarczyk z Mańkiem Pacholskim i Staśkiem Wolskim. Ja z sekcją jestem na skrzydle i wystawiam ubezpieczenia boczne. Na prawo o kilkanaście kroków kończy się zagajnik i wznosi się wysoko-

¹⁾ Podporucznik Bończa-Karwacki zginął pod Kostjuchnowką.

pienny las z dwiema ogromnemi, wspaniałemi sosnami przy drodze. Około 2-ej wrócił Talarczyk. Ułani pozostali na starych pozycjach i nie mają żadnego rozkazu łączyć z nami. Wskutek tego pozostała luka około 2 km zajęta przez 4 placówki.

W lesie przed nami ciągle rozlegają się strzały. To ścierają się obustronne patrole. O jakieś 1600 kroków od okopów naszych, ciągnie się duża droga równoległa do naszego frontu i za tą drogą rozpościera się już sfera panowania moskiewskiego.



Poranna toaleta pod Koszyszczami.

A teraz muszę coś niecoś wspomnieć o naszym ataku pod Stowycorozem, który naszemu bataljonowi ogromnej przyczynił sławy. Otóż poranka tego, 1-go października, wywiewały aż trzy pułki austriackie z okopów. Sław rzucił się na to z jednym bataljonem. Kompanje 3 i nasza miały odeprzeć atak, 1 i 2 w rezerwie. Myśmy już nic nie napotkali na drodze, gdyż 3 kompanja tuż za polaną natknęła się na Moskali i przepędziła ich atakiem na bagnety. Wzięła przytem do niewoli sztabs-kapitana, podporucznika i z górą 70-ciu jeńców. Reszta Moskali, a było ich z bataljon — w popłochu wywiała. 2 kompanja idąc na lewo od nas, w rezerwie, natknęła się na Moskali zabierających już 4 działa austriackie. Z miejsca na nich uderzyła, odbijając armaty i biorąc 30 chłopą. Wszystko to odbyło się w ciągu kilku minut z minimalnemi stratami. 3 kompanja ma 2 zabitych i ciężko rannego komendanta swego, porucznika Kostka-Aleksandrowicza¹⁾.

¹⁾ Zmarł z ran, po półtorarocznem leczeniu w szpitalu

4 październik. Las na wschód od Stowygoroża. — Mają nas dzisiaj zmienić Austriacy. Bataljon II podobno jest w Kołkach i my mamy tam pomaszerować, choć Gorzecki powiada, że idziemy do rezerwy na polanę Stowygoroża.

Do południa czyściliśmy pole ostrzału przed nami i zakładaliśmy druty. Na lewo od nas rozwinęła się kompanja 2. Po południu pluton III zmienili Austriacy. Nas jakoś nie zmieniają, lecz ma to nastąpić w nocy. Tymczasem wedety austriackie, które stały na odcinku III plutonu były bez przestanku i denerwowały nasze. Lecz mimo to ani jedna legjonowa wedeta nie wygarnęła.

Austriacy nas jakoś nie zmieniają, choć to już późna noc.

Sław podobno ma dostać żelazny krzyż, tak samo kilku oficerów. Wogóle ten atak nasz narobił wielkiego krzyku.

5 październik. Stowygoroż — Las pod Kołkami. — Dopiero rano o 6-ej zmienili nas Austriacy. Maszerujemy wzdłuż linii do polanki Stowygoroża, a potem dobrą, wykładaną kłodami drzew drogą do pozycji „grupy Piłsudskiego”. Jesteśmy w kołkowskim lesie i o 12-ej stanęliśmy postojem na drodze obok taborów 4 pułku.

Sław pojechał przodem do pułku, a pluton zaopatrywał się tymczasem w prowiant w taborze czwartaków, którzy okazali się bardzo gościnni. O 2-ej przymaszerowaliśmy do okopów rezerwowych. Są tam dwie kompanje II bataljonu, karabiny maszynowe, komenda pułku. Witają nas wszyscy z aplauzem, a najserdeczniej Berbecki. Rozbijamy namioty, gdyż przez noc prawdopodobnie będziemy tu stali.

Pod wieczór przyszedł Komendant i długo rozmawiał ze Sławem i Berbeckim. Stojąc z boku przysłuchiwałem się trochę. 7 K. T. D.¹⁾, od której dzisiaj odeszliśmy wzywa nas zpowrotem i Komendant kombinuje jakby im się wykiwać. Narazie na noc maszerujemy kikaset kroków wtył do rezerwy i tam rozbijamy namioty.

6 październik. Las pod Kołkami. — Maszerujemy wtył do rezerwy dywizji, lecz nie cały bataljon, a tylko trzy kompanje. Komenda bataljonu i 2 kompanja zostają, 1, 3, 4 maszeruje. Lecz podobno mamy zaraz wracać. Odmaszerowaliśmy jakieś 2 km wtył i rozbiliśmy biwak za drugą linią okopów, w sosnowym lesie.

7 październik. Las pod Kołkami. — Jakoś do pułkowej rezerwy nie wracamy. Żli jesteśmy, boć zawsze przecie milej być w rezerwie swego pułku, niż w rezerwie austriackiej dywizji. Z takiej rezerwy, mogą nas pchnąć Bóg wie dokąd. Jakoż niepokoje sprawdziły się, bo zaraz po południu przygłopował leutnant austriacki i wręczył rozkaz Narbutowski, by bataljon był w pogotowiu marszowem. Żli jesteśmy jak cholera.

¹⁾ Kavallerie Truppen Division.

Do plutonu przyszedł Drożdż ze szpitala polowego i mówi, że słyszał od Berbeckiego, iż 11-go mamy pójść gdzieś 90 km lecz ja w to niebardzo wierzę.

Przywieźli dziś bardzo obfity „fasunek”. Na każdego para butów i po 17 płaszczy na pluton. Ja wziąłem sobie doskonały płaszcz. Śpimy dzisiaj w pogotowiu marszowem. Zupełnie się nawet nie rozpakowujemy, gdyż jesteśmy prawie pewni, że nas w nocy zaalarmują.

Linia ciągle bulgocze ogniem — Moskale atakują.



Kołki.

8 października. *Las pod Kołkami.* — Po śniadaniu przyjechał znowu leutnant i postawił na nogi naszą kompanję.

Maszerujemy na prawe skrzydło 4-go pułku, jako rezerwa. Dochozimy do okopów obok rezerw austriackich i komendy brygady, tam zajmujemy okopy. Nie wolno składać rynsztunku — bałagan jakiś niepotrzebny. Porozbijali na bataljony, a teraz znowu rozbijają na kompanje! Szlag by tr fił takie załapane losu koleje.

W południe przesunęliśmy się w tył, tam, gdzie stoi Sław i 2 kompanja. Linia ciągle grzechocze — Moskale podsuwają się nieprzerwanie.

O tym wymarszu na 11-go ciągle rajcują. Sław mówi, że prawdopodobnie 11-go odmaszerujemy do Kowla na 2-tygodniowy „wipoczynek”.

Podobno w 1 i 3 pułku nastrój okropny. Pod Rafałówką, coś 30 km na północ stąd — dostali porządnie w skórę, V bataljon z Olszyną był prawie zupełnie otoczony i cudem się wykaraskał z tych sakramenckich błot. Zgłodniiali są ponoć i schorowani strasznie, po 4 dni nie pobierali żywności. To też nastrój jest tam fatalny, gorszy niż roku zeszłego po Łowczówku.

Jesienne deszcze, chłody, głody, zmęczenie rodzą zaraz ciężkie nastroje. Gwarzą, żołnierze o tem, że Komendant rekrutację zupełnie wstrzymał i że miał się wyrazić, jakoby rola nasza miała być skończona...

9 październik. *Las pod Kołkami.* — Śpimy dzisiaj w okopach na prawo od Kołkowskiej drogi. Rano, gdym się przebudził dowiedziałem się, iż w nocy Chłopik, zafrontowiec III plutonu, nieostrożnie postrzelił się w rękę. Po południu przenieśliśmy się na lewo od drogi i obok 2 kompanji mamy rozłożyć biwak. [2, 3, 4 sekcje stawiają ziemianki, a moja — namioty. Nie warto budować ziemianek, a w namiotach można jeszcze wytrzymać.

10 październik. *Las pod Kołkami.* — Wczorajszy i dzisiejszy dzień przeszedł spokojnie. Od czasu do czasu gwizdnie ostro kula i uderzywszy w drzewo, z jękiem żalonym wypada z drugiej strony.

W nocy nadzwyczajny ruch. Spodziewamy się odwrotu Austriaków. Na drodze stoją dwa posterunki, które mają natychmiast meldować, jeżeli drogą będą wywiewały tabory lub piechota austriacka. Na linii ciągła strzelanina — od czasu do czasu zagra karabin maszynowy. Za to na prawo o jakieś kilka kilometrów Moskale otworzyli straszliwy ogień artyleryjski. Pierwszy raz słyszałem coś podobnego. — Widocznie mochy tam atakują...

Wczoraj gruchnęła wieść, że 11-go odchodzimy do Kowla na 2 tygodniowy odpoczynek.

RAMIĘ W RAMIĘ Z CZWARTAKAMI

12 październik. *Okopy pod Koszyszczami.* — Dzisiaj zmieniamy II bataljon, który siedzi w okopach. Rozmawiałem z kwatermistrzami o pozycji. Ponoć zupełnie spokojnie, strat nie mają prawie żadnych, kilku zaledwie rannych.

W południe zmieniamy ich. Pierwszy raz na wojnie zdarzyło nam się zmieniać podczas białego dnia. Okopy wygodne, wśród szumiących sosen, w okopach komenda pułku i bataljonu. Zajmujemy odcinek. Moja sekja i Talarczyka jako ochrona karabina maszynowego, który swą brzuchatą rurą wygląda przez strzelnicę.

W okopie jakiś kapral daje mi skrzynkę granatów i poucza jak się z niemi obchodzić. Są trzy rodzaje: uniwersalne — malutkie, żółte — rzuca się ręcznie lub na żelaznym pręcie wystrzeliwuje się z karabina i czarne, ciężkie również na karabin. Wyszedł Wyrwa i począł próbować. Nie wszystkie coprawda wybuchały, lecz te, które pękały — wybuchły doskonale. Poza tem puszkowe, ręczne, ogromnie ciężkie granaty.

Na prawo od nas zajmuje okopy 4 legjonowy pułk, pułkownika Roji. Bataljon II nawiązał już z nimi kontakt i „sitwa” stanęła szybko. Czwartacy do nas ponoć lgną, a wiara na nasze, brygadowe kopyto obrabia ich przy każdej sposobności...

15 październik. Okopy pod Koszyszczami. — Mamy tu jeszcze coś tydzień siedzieć, więc postanowiłem budować ziemiankę na sekcję. Niezbyt się chętnie do roboty biorę, lecz przewyciężyłem niechęć i od samego rana zabieramy się do roboty. Zrobimy porządną ziemiankę na całą sekcję i przestaniemy wreszcie marznąć.

Dzisiaj rok jak włożyliśmy w Łodzi siwe mundury. Pierwszy dzień. Ani mi przez głowę, rok temu, nie przeszło, że ja teraz mogę być gdzieś na krańcu Polski.



W okopach pod Koszyszczami.

Do wieczora wykopaliśmy dół, wbili trzy ciężkie sosny i na nich wsparliśmy długi bal, dla podtrzymywania dachu. W nocy obejmuję służbę. — Noc jasna, chłodna. Na ciemnem niebie migocą jaskrawo gwiazdy. Posterunki ciągle coś węższą podejrzanego, więc pozwalam strzelać. Z okopków wedet widać odbłask ogni placówki rosyjskiej. Usadawiłem się wygodnie w okopku i biłem solidnie. Ze 30 naboii wygarnąłem.

16 październik. Okopy pod Koszyszczami. — Dzień cały mimo nieprzespanej nocy pracujemy nad ziemianką i to tak namiętnie, że dr. Kwaśniewski naderwał sobie coś w krzyżu i chodzi zgięty w precel. Co chwila trzeszcząc złowrogo, z szumem gałęzi wali się ogromna sosna. Boki robimy z dużych sosen, kładzionych jedna na drugą. Sosny potężne, to też osiem naszych ramion z całej sekcji, niezbyt muskularnych z ledwością sobie daje radę. — Ale jakoś pomalenku idzie. Do południa ułożyliśmy ścianę boczną, a po południu nakrywamy dach. 40 małych sosen paść musiało pod siekierami.

Okienko zdobyłem „na lewo” w pułku, tak że ziemianka dość morowo się przedstawia.

W nocy śpimy spokojnie, jak zwykle w butach.

17 październik. *Okopy pod Koszyszczami.* — Kończę już dzisiaj ziemiankę. Do komendy bataljonu nazwozili cegiel, więc coraz to któryś z chłopców „nehmen” robi i przynosi 2 cegły. Koło pieca najwięcej debatów i kłopotów. Chodzi o to, by go tak urządzić żeby i dostatecznie ogrzewał ziemiankę i żeby można, choć 3 kociołki gotować nad ogniem i jeszcze jeden ważny warunek, by piec nie dymił. Tymczasem rozkoszujemy się tem czem jest.

W nocy moja i Władka sekcje mają służbę. Chwała Bogu, dzięki ziemiance, chłopcy na pogotowiu nie będą marznąć. Noc cicha, księżycowa, przechodzi spokojnie. Zimno jest zato sakramencko i chłopcy mimo koców na nogach djabło marzną. O 4-ej strzelanie. Nie wiemy poco i naco, dość, że punkt o 4-ej nad ranem kompanja 2 zaczyna walić na cały regulator.

Dopiero nad ranem dowiedzieliśmy się co to oznacza. Stałem przy telefonie pułkowym i słyszałem fonogram. Berbecki podaje, że o 4-ej rano odparł silny atak rosyjski. Chodzi o ściągnięcie rezerw od austriaków, ponieważ tutaj zupełnie niema.

18 październik. *Okopy pod Koszyszczami.* — Od dzisiaj obejmuję funkcję sierżanta linowego kompanji. Zaraz też objąłem ją od Rusina, który dostaje III pluton i o 3-ej po poł. idę z całym plutonem i ze Stykiem na artyleryjski patrol wprzód. Mamy pójść w las na 1000 kroków.

Pluton rozwija się w tyraljerkę, wysyłając silne ubezpieczenia na lewo. Na prawo mamy łączyć się z kompanją 2. Każda kompanja wysyła jeden pluton wprost na wschód od swych pozycji. W ten sposób zbada się dokładnie przedpole czyli las przed nami.

Ruszamy. Stasiek Wolski z kompasem w ręku pilnuje kierunku, Maniusz Pacholski i ja „garując się” — idziemy w tyle. Ja ze szkicownikiem by zdjąć teren — Maniek dla mojej obrony, gdyż ręce mam zajęte a sztucer na plecach.

Przez dwie polany przeciągnęliśmy w spokoju, na pierwszej już łącząc się z kompanją 2. Na przeciwległym, pysznie krwawiącym się jesienną czerwienią dębów, brzegu polany — stanęliśmy. Przed nami wąski pas lasu prześwietlony jasnym światłem polany następnej.

W tej chwili nadbiegł zdyszany Banaszczak z ubezpieczenia lewego z meldunkiem, iż Moskale tam są...

Wnet trzaskać poczęły strzały. Gwizdu kul nie słysząc gdyż ogień bliski, donośne trzaski biją prosto w twarz — wedety rosyjskie o 150 — 200 kroków...

Za chwilę rozgruchotały się manlichery — to odpowiada boczne ubezpieczenie.

Leżymy w tyraljerze w ciągłym ogniu moskiewskim. Jest mi lekko na duszy — o chłopców się nie boję, gdyż złych przeczuć nie mam, na Styka tylko oglądam się z niepokojem, gdyż defiluje sobie wśród linii jak na A — B w Krakowie. A moskiewskie czujki tłuką coraz gęściej i celniej, bo w tej chwili idący z meldunkiem żołnierz z 2-ej kompanii Tinc — przysiadł nagle gdy wyrznął strzał z pod drzewa... Ma dość — dostał w brzuch.

Zadanie nasze spełnione, wycofujemy się więc a tymczasem patrzę ze zdumieniem jak z tyraljery 2-ej kompanii wyłazi kapitan Sław, major Berbecki i... ksiądz-kapucyn Lenczewski. Poprostu rozpacz!... Oni sobie chadzają na patrole o 150 kroków od Moskali a Sław naturalnie jeszcze się przed tyraljerę wyrывa!...

Wracamy. Tinc umierający, za chwilę na noszach skonał...

W okopach ruch i urwanie głowy, bo przywieźli fasunek intensywny. Na każdego para ciepłej i letniej bielizny, koce i płaszcze, które nagle trzeba rozdzielać, gdyż o 5-ej przyszedł rozkaz by się pakować do odwrotu...

Odwrot o 7-ej. Dość wesoło ruszamy choć niejeden ma speszoną minę, myśląc że Moskale tuż a tymczasem to pepiki gdzieś koło Kulikowa się poddały, więc pozycję musimy opuszczać. Batalion nasz zostawia 2-ą kompanię na osłonę odwrotu, poza tem nasza kompania zostawia dwie sekcje. Pluton I-y służbowy więc zostaje 1 i 4 sekcja z Ojczulkiem-Czachowskim.

Wycofujemy się. Na pozycji Ojczulek puszcza ciągle rakiety a wedety mają rozkaz walić bez przerwy. Odwrot prowadzi Narbutt, gdyż Sław zostaje z osłonową 2 kompanją.

Obawiam się trochę o chłopców, lecz Styk mię pociesza, że Moskale pojęcia nie mają o naszym odwrocie.

Zapadła tymczasem ciemna choć gwiazdzista noc. Maszerujemy powoli, a każdy nasłuchuje odgłosów z linii. Tam spokój. Prócz monotonnego pukania wedet i migotania rakiet żadnego żywszego ruchu nie słychać. Cisza — tylko las poważnie szumi nad głowami. Z żalem myślę o naszych ciepłych ziemiankach, o tych krzyżach z rozłożonymi ramionami nad grobami czwartaków, których Moskale nie uszanują...

O trzy kilometry za pierwszą linią rozciąga się żółtym pasem druga linia niewykończonych jeszcze okopów. Za tą linią rozbijamy namioty i kładziemy się spać.

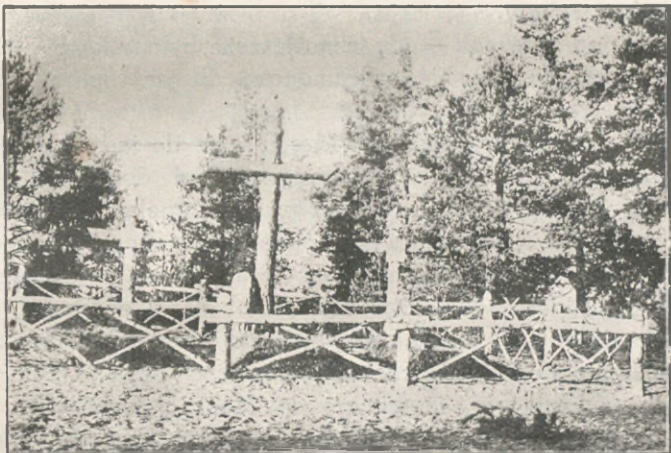
19 październik. Powrót na pozycję I-ej linii. — Spałem z Adkiem w namiocie. O 6-ej rano budzę się i pierwszego lepszego głosu od-

zywającego się z zewnątrz pytam co słyhać, czy nasze dwie sekcje i 2 kompanja wróciły? — Nie, jeszcze nie wróciły...

Jakoż rzeczywiście od strony dawnych okopów polatują ciągle strzały. Ciekawe...

Po śniadaniu sytuacja się wyjaśniła. W nocy połatano dziury powyrywane przez pepików, a więc i my wracamy na pozycję. „Komendant jest na pozycji tak znaczny i ja tam muszę być z pułkiem” — powiada Berbecki.

Wracamy więc. Na czele Narbutt, Styk i świeży nabytek bataljonu ppor. Ordon - Jędrzejewicz, z bataljonu warszawskiego.



Groby czwartaków pod Koszyszczami.

Pozycje zajmujemy te same, choć przesunięte nieco w lewo. Nasz pluton przesunął się zaledwie o 30 kroków, lecz to wystarczyło by I-a sekcja straciła swą morową ziemiankę, którą z takim trudem wykończyła. Ledwieśmy doszli do okopów zdaleka już woła Czachowski: — Oddaj rückzug, oddaj rückzug!...

Wybaczamy im wspaniałomyślnie, gdyż orkę mieli w nocy szaloną a wygląd mają skonany okropnie. Dwie noce zrządu służby: przedostatnia zwykła a ostatnio przez cały czas musieli pełnić służbę w pełnym rynsztunku, bez zmrużenia oka i po 4 godziny stać na wędzie. Tak miała 1-a sekcja, a 4-a od odcinka plutonu do Austriaków — a więc przez długość odcinka całej kompanji — musiała nawiązywać łączność z dragonami, bezustanku strzelać i puszczać rakiety. Prócz tego musieli palić ogniska, więc praca była rzeczywiście szalona. Sław ciągle Ojczulka wizytował, bacząc by wszystko było w porządku. To też kapitanisko minę ma zmęczoną okrutnie...

Przez cały dzień i noc 1-a i 4-a sekcja spały. Dostaliśmy przydział amunicji i granatów — co drugi człowiek ma granat. No, niech teraz mochy atakują!...

20 październik. *Okopy pod Koszyszczami.* — Nic nie wskazywało aby dzień miał być ruchliwy, a tymczasem stało się inaczej. Około 3-ej po południu przyszedł rozkaz o pełnem pogotowiu kompanji: pluton służbowy w strzelnicach, placówka przed drutami na swoim miejscu. A no — komenda spodziewa się snadź ataku. Styk mówi, iż czwartacy schwyтали kilku jeńców, którzy zeznali ponoć o szykującym się na 6 wieczór ataku na odcinek nasz i 4 pułku. Więc pogotowie! Amunicji nasprawdzano huk, wiara się cieszy, spodziewając się porządnej roboty.

Niedługo pod zmierzch — gdy jasno jeszcze było w lesie — placówka nasza poczęła bić i to bić sakramencko. Stojąc, oparci o drzewa, tłuką aż się trzęsie las...

Wiara do strzelnic! Patrzę i widzę jak na tle jasnej przed nami polany przesuwa się pokurczeni, pochyleni do ziemi Moskale. Czarne, zgięte cienie przesuwa się szybko, zupełnie do nas bokiem.

„Celownik 300 — strzelać!” — pada komenda. Walimy jak sto djabłów. Wali też 1 i 3 kompanja i za chwilę cały las trzęsie się od ognia, a już jeden, nieprzerwany łomot szedł przez las, gdy zagrał Rokita-Maksymowicz na swych karabinach maszynowych.

Do zmierzchu z małemi przerwami łupiliśmy tak i to z porządnym skutkiem. Okazuje się, iż bijemy do Moskali flankowym ogniem z powodu zagięcia okopów i jak tylko zaczyna się strzelanina z prawego, z odcinka czwartaków — my w tej chwili łupimy na całego. I tak do wieczora w ciągłej strzelaninie i ogniu staliśmy w okopach.

2 kompanja złapała znów jeńca, który zeznaje, iż dziewięć rot (kompanij) ma nas znów w nocy atakować. Prócz tego, czwartacy przejęli jakiś rozkaz — tak że jesteśmy o wszystkich ruchach moskiewskich doskonale poinformowani.

O 6-ej wieczór, o 1-ej w nocy i o świcie kompanje mają być przy strzelnicach. Widocznie na te godziny spodziewają się ataku.

O 6-ej cisza, natomiast koło 8-ej od prawego zerwała się strzelanina, przeniosła się na 1 kompanję i na nas. Karabiny maszynowe poczęły wściekle grać i ogień karabinowy rwał w las ogromnym, beładnym trzaskiem. Za chwilę błyskać poczęły za nami baterje i z szumem granaty i szrapnele poczęły pracować w las, tak iż łoskot tysiącami ech powtarzany, potężniał jeszcze bardziej. Co chwila wspaniałym łukiem opadała w las rakieta...

W głuchej ciemności nocy okopy migocą wstęgą ognia, co chwila zielonawym, migotliwym blaskiem zrywają się rakiety, las ryja granaty,

z piekielnym trzaskiem pękają szrapnele, a sosny cicho szumią, jakby zdziwione tem piekłem gromów...

Tak wyglądają w komunikacie słowa: „Nad Korminem odparliśmy nowe, silne ataki nieprzyjaciół”.

Z pół godziny trwało to szalone piekło. Na lewo od nas dragoni austriacy zupełnie poprawnie się zachowują. Nie słyszą, nie widzą nic — więc siedzą cicho, nie zarażając się od nas ogniem.

Reszta nocy przeszła w spokoju. Wedęty czujne, ani jeden strzał nie zmąca ciszy nocnej.

21 październik. Wyprawa Wyrwy. — Zbudziła mnie silna strzelanina z lewej i wołanie: „Do strzelnic”. Skoczyłem z ziemianki, a już siwe mundury wypatrywały celów przez wąskie strzelnice. Na lewo, na odcinku dragonów i II plutonu rwał w las silny ogień...

Szron pobielił okopy i sosny cicho, poważnie szumią. Świt osrebrzył las... Od strony Moskali różowa jutrzienka rzuca delikatne refleksy na srebrny szron... Ogień karabinowy grzmiał coraz potężniej, aż po jakichś 20 minutach zcichł.

Moskale się okopali na brzegu lasu o 200 kroków od naszych okopów, za wzgórzem, lecz jakoś nie atakują. Zamiast okopać się, by mieć pole ostrzału — położyli się za martwe pole.

Nagle — cóż u licha!... Okopy ucichły — a ponad przedpiersia zaczynają się wychylać ciekawe głowy. Za chwilę Sław i Berbecki stają na okopach i przez lornetki wypatrują. Lecz nie potrzeba lornetek, bo oto widzimy jak jeden, drugi, trzeci Moskal jasnymi plamami odbija się od ciemnej zieleni lasu. Lecz co to ma znaczyć? — Albo oni nie wiedzą, że są tak blisko od nas, albo chcą się poddać, gdyż chodzą sobie nie skurczeni, nie chyłkiem, a całkiem przyzwoicie wyprostowani. Jakoż oficerowie doszli do tego samego wniosku, gdyż Rybak na rozkaz Sława zabiera 12 ludzi i z naszego odcinka idzie w las. Zajdzie im na tyły i postara się wyfasować co można. I rzeczywiście — w kilka minut widzimy u Moskali ruch. Przesuwają się grupkami, latają w różne strony, zaniepokojeni, strwożeni. Za chwilę z lasu dolatuje krótkie, jędrne, młode „hura!” Kilka strzałów, między jasnymi szynelami gorączka i popłoch. Wyciągamy ciekawie szyje, stojąc na przedpiersiach i wołamy wesoło do Moskali, którzy całą bandą, klusem, lecz bez broni biegną w stronę naszych okopów. Wpadło ich około 50-ciu. To patrol z 2-giej kompanji i Rybak zaszli im z boku, z bagnetem z punktu się na nich rzucili, co taki miało skutek że część skroila dęba w las do siebie, a część wpadła przerażona do naszych okopów.

Okolo godziny 10-ej rano dla dopełnienia triumfów nocy i dnia dzisiejszego Wyrwa wypadł z dwiema kompanjami. Wrócili ze śpie-

wem, rozradowani, gnając przed sobą bezładną kupę jeńca. — Kolumną czwórkową, jak na paradzie, ostrym krokiem i z porywającą pieśnią strzelecką — wynurzyli się z lasu. Na przedzie kolumny z rozwianą peleryną — Wyrwa.

II bataljon spisał się świetnie. Wyrwa wpadł z krzykiem a bez strzału na okopy rosyjskie, w których zastał zmieniające się właśnie rotę moskiewskie, narobił tam wściekłego bigosu, stracił jeden palec, odstrzelony jakimś dłubinoskowi — a sam z dwiema kompanjami nakłuszył i nafałsował coniemiarę Iwanów i Waniek, przyprowadził ich 150. — Jubel i fest w pułku ogromny!...

23 październik. *Las pod Koszyszczami.* — Dzisiaj bataljon nasz przechodzi do rezerwy. Czas na to już największy, gdyż siedzimy 12 dni w okopach i wiara zmordowana solidnie.

O 2-ej po południu zmienił nas II bataljon i odmarsz do rezerwy. Ziemianki widocznie tam są, gdyż poszli kwatermistrze.

24 październik. *Las pod Koszyszczami.* — Wracamy dzisiaj do bataljonu i tam się okaże, co mamy robić — czy kopać nowe ziemianki, czy też stać przy Narbucie. Przy bataljonie staliśmy prawie cały dzień, czekając na decyzję Komendanta, czy nam pozwoli przy drodze odwrotu budować ziemianki.

Po zjedzeniu obiadu wziął mię Sław i poszliśmy we trójkę z Bończą-Karwackim obejrzeć miejsce na ziemianki. Sław mówił, że prawdopodobnie jeszcze raz tu wrócimy, gdyż Komendant chce nam dać odpoczynek na zimę i to dwumiesięczny. Bończa odszedł a wrócił do kompanji Styk, który przez kilka dni był niezdrowy.

25 październik. *Las pod Koszyszczami.* — Pod wieczór zawezwano mię do pułku, do Berbeckiego, by rysować mu mapę. Okazało się jednak że nie byłem potrzebny.

Na linii spokój, tylko od czasu do czasu na lewo, koło dragonów, zatrzeszczy karabin maszynowy, rosyjski. Podobno jest to automatyczny 25-strzałowy karabin.

26 październik. *Las pod Koszyszczami.* — Dzień przeszedł zupełnie spokojnie. Wieczorem w ziemiance rozpaliliśmy wesoły ogień ze szczap suchej brzozy. Ja czytam „Pana Tadeusza” — Zygmunt pisze list. — A potem, gdy już znikł płomień i jeno czerwone, żarzące węgle rzuciły błądy odbłask na ziemiankę, rozgadaliśmy się i gwarzyli do późna. Późno już wieczorem przyszedł Michał Pawelczyk¹⁾ dyżurny dzisiaj i przyniósł mi list z domu.

28 październik. *Las pod Koszyszczami.* — Spadł dzisiaj pierwszy śnieg... Rano gdyśmy wyszli z chłodnej ziemianki, las stał cały

¹⁾ Zginął pod Kostjuchnowką.

w osrebrzonym śnie. Na przedziwnie srebrne, oszroniałe gałązk padają pierwsze, różowe promienie słońca, chłodne już jak blask księżycy...

W południe nadciągnęły chmury ciemne i na szumiący las cicho zaczął opadać pierwszy śnieg... Z jaką radością patrzyło się ongi na pierwsze, leciuchne płatki śniegu... A teraz już po raz drugi patrzymy z niepokojem na kręcące się w powietrzu białe płatki — zwiastuny zimy, ciężkiej i złej dla żołnierskiej doli...

Zeszłego roku spadł pierwszy śnieg w dzień bitwy pod Krzywopłotami, 16-go listopada...

Zygmuntowi Łojce, który jedzie na „hinterland“ dałem listy i notesy z dziennikiem, by oddał w domu. Zakląłem go na wszystkie świętości, by czego nie zgubił...

29 październik. *Las pod Koszyszczami.* — Dzisiaj zmienia nas kompanja 2, a my idziemy w tył dwa kilometry do rezerwy korpusu. Rezerwa bowiem pułku — którą jest nasz bataljon — wysyła jedną kompanję do rezerwy korpusu. Kompanja ta pracuje w drugiej linii okopów. Austriacy tu snadź chcą spędzić zimę, gdyż dwie drugie linje obronne są wspaniale umocnione, a druga jest nawet obsadzona.

Z północy, od samego rana dudnią głucho działa i coraz bardziej pogłos ich zbliża się ku naszemu odcinkowi. Ani sekundy ciszy w powietrzu. Ciągłe, nieprzerwane dudnienie, a od czasu do czasu dolatuje grzechot ognia karabinowego. Sądziliśmy, że to Moskale atakują, lecz to podobno Austriacy i nasz 1 pułk ze Śmigłym, Sosnowskim oraz z V i VI bataljonami, gdzieś tam na północ od Kulikowicz ciężkie prowadzą walki.

Wieczór spędziliśmy przy płonącym ognisku na czytaniu. Zygmunt czyta regulaminy, a ja z rozkoszą zatapiam się w „Panu Tadeuszu“, przenosząc się do cudnego, litewskiego lata. — To lato tak nam szybko na ofensywie zbiegło, że prawie nie odczuliśmy jego rozkoszy. Tłukło się i tłukło, lato ciągle uciekało a teraz już Boże Narodzenie blisko.

30 październik. *Las pod Koszyszczami.* — Mróz osrebrzył szronem las. Okopy zwały się w jeden biały ścieg z drobnem poszyciem, tak, że zupełnie ich nie widać. Z czystego błękitu wstało słońce i bór poweselał...

Kompanja pracuje, a ja poszedłem wzdłuż okopów by je naszkicować. Dzień nam cicho zeszedł i spokojnie.

2 listopad. *Las pod Koszyszczami.* — Roboty dzisiaj huk! Od wczoraj została zaprowadzona gospodarka kompanijna, więc cały dzień latania.

Rano zaprowadziłem pluton na nabożeństwo polowe, a potem po załatwieniu kilku jeszcze spraw — pojechałem furką do komendy bataljonu.

3 listopad. *Okopy pod Koszyszczami.* — Dzisiaj o 10-ej rano kompanja pomaszerowała na pozycję. Odcinek zajęliśmy ten sam, tylko przesunięty cokolwiek w lewo, o jakieś 30 kroków. Wogóle odcinek obsadzony bardzo gęsto.

4 listopad. *Okopy pod Koszyszczami.* — Gospodarka kompanijna odrazu zasmakowała wszystkim. Na obiad był doskonały gularz z kartoflami i kawą. Styk z Kosiorem przez cały wieczór obgadywali sprawy zaprowiantowania.

Wieczorem u Styka gadaliśmy o bitwach, o Swojkowie, Kamieńcu, Konarach. Styk powiada, że cudniejszego ataku jak pod Kamieńcem nie widział jeszcze. Polkowski, który patrzył z lasku na nasze posuwanie się miał Stykowi mówić, że było to coś bajecznego. Linja śpiewając rwała w chmurze dymu szrapnelowego i w chmurze kurzu, jaki wznosiły kule. A Swojków — to atak regulaminowy...

5 listopad. *Okopy pod Koszyszczami.* — Dostaliśmy dzisiaj nominacje: Rybak, Adek i ja na sierżantów, dr. Kwaśniewski, Władek Łęcki i Talarczyk na kaprali, Maniś i Zygmunt na starszych żołnierzy.

U nas w okopach spokój. Od ostatniego z 20 października ataku Moskali — na linii cisza zupełna. Wedety spokojnie stoją przed drutami, pogotowie w ziemiankach. Rano, po ściągnięciu wedet udaje się zwykle patrol z kilku ludzi wprzód i zagłębia się w las na 1500 kroków. Dotąd jeszcze ani razu nie spotkali mochów, którzy bardzo wczesnie schodzą z posterunków. — Lecz na lewo, za Styrem, pod Siennem, Komorowem, Kulikowiczami tłuką się bez przerwy od kilku dni.

Ciemną płachtę nieba raz po raz rozrywają tam błyski armat i wybuchy pocisków. Są chwile, gdy obydwie strony naraz bić poczną ze wszystkich stron. Cisza, tylko w lekkim, delikatnym szmerze ognia karabinowego widać dziesiątki błysków, zlewających się w jeden ogromny błysk — a dopiero po chwili dochodzi do uszu długi, nieprzerwany pomruk dział i głośniejszy grzmot bliższych baterij.

6 listopad. *Okopy pod Koszyszczami.* — Wieczorem przyszła poczta. Gazet sporo, najwcześniejsza z 1 listopada. Prusacy domagają się w Warszawie, by jak najprędzej otwarto polski uniwersytet, obiecują wszystkie kosza wziąć na siebie, chcą widocznie ludność Warszawy sobie zjednać. Poza tem pogłoski o opuszczeniu Warszawy przez

Prusaków i zajęciu jej przez Austriaków mnożą się coraz więcej. Mówią poza tem o otwarciu urlopów...

7 listopad. *Okopy pod Koszyszczami.* — Noce są teraz ciemne djabalnie. Wieczory spędzam albo w ziemiance Styka, albo u Chabeusza i Siewicza. Mam trochę gazet, więc czytujemy je wieczorem przy ognisku.

8 listopad. — Dzisiaj rano po półtorarocznym pobycie na froncie, po 14-u miesiącach walk losowały plutony urlop. Wylosował pluton 2-gi. Narazie bardzo skąpo, gdyż tylko jeden żołnierz na kompanję może wyjechać. Przy rozpatrywaniu, którzy żołnierze są najdłużej i najdawniej w linii okazało się, że najdłużej, bo bez przerwy jest nasza piątka skautowa: Adek, Zygmunt, Maniek, Władek i ja oraz Banaszczyk, Ostalski z Tomaszowa i Szczerbic-Jaworski, który jest jeszcze dłużej od nas, bo bez przerwy od sierpnia 14-go roku.

9 listopad. — Maniek ma służbę w bataljonie i przyniósł sporo wiadomości o grupie Śmigłego i drugiej brygadzie. Przyjechał stamtąd Borek i opowiadał, jaka tam bryndza. A więc pułk 1 ponoć liczy zaledwie 200 ludzi, reszta, t. j. większa część pochorowała się, pozostali — ranni. Bałagan tam okropny. Obok naszej kompanji walczy pruska, dalej rosyjska, bo linja coraz to się wygina, pręży i ciągle stąd wynikające dziury, trzeba natychmiast łątać.

Januszajtis¹⁾ poniósł duże straty, gdyż na skrzydłach jego pułku poddały się pułki 95 i 15. Prusacy natomiast biją się wprost wspólnie, choć bryndza u nich jest większa niż u nas. Takie wiadomości przywiózł porucznik Borek.

10 listopad. *Okopy pod Koszyszczami.* — Dzień dzisiaj śliczny, wiatr z zachodniego zmienił się na wschodni, rozgonił precz ciężkie, smutne chmury i pozwolił wyrzeć na świat jasnemu słońcu.

Poweselały okopy w złotych blaskach... las ponury, ciemny, tajemniczo szumiący zmienił swój tęskny szum — na rażny, wesoły gwar.

Przy drutach ruch. Styk ciągle piłuje plutony, by odcinek swój jak najlepiej drutowały i ubezpieczały. Druty zaciągamy w piłę, w ten sposób że wzdłuż drutu flankować będą kule, z wycelowanych, specjalnie na ten cel przeznaczonych karabinów. W ten sposób dojdziecie do drutów staje się poprostu niemożliwe.

Po południu poszedłem do 4-go pułku, do adjutanta Relidzyńskiego. Długo z nim rozmawiałem o sprawach naszych wewnętrznych, o sprawach, które dla nas, znających doskonale dusze swych pułków są ciekawe i zajmujące. Dowiedziałem się, w jakim my świetle jesteście znani u nich, poznałem stosunki wzajemne...

¹⁾ Komendant 2 p. p. Legionów, obecnie generał brygady.

Ciepły wieczór. Z okopów rozwłóczą się leniwe dymy ognisk i toną w siwych, mętnych mgłach, podnoszących się z błot i polan.

13 listopad. Okopy pod Koszyszczami. — Kończymy dzisiaj pracować ziemiankę. Oszalowaliśmy już wszystkie ściany — tylko narzucić dach i przekopać przejście. Zmartwieniem jedynym jest to, że niema okna i piecyka. Bez tego ziemianka ogromnie traci.

Przyjechał dzisiaj Rowecki od Śmigłego i przywiózł sporo wiadomości. Wczoraj odbył się atak całego korpusu pruskiego, który się udał i Moskale zostali odepchnięci na Styr, to jest na pozycje zimowe. Bataljon Bukackiego¹⁾ i 6-ty pułk brały również w tym ataku udział.

Mnożą się pogłoski o przeniesieniu czwartaków i nas piątaków do tamtych brygad, walczących obok siebie na jednym odcinku. C. k. Komenda chce nas koniecznie tam przenieść. Nie byłoby tam tak spokojnie, jak tutaj, ale i ruchu by wielkiego nie było, gdyż i tam się front ustala. Poza tem nowina paskudna, że c. k. Komenda djabli wiedzą z jakiego powodu wstrzymuje urlopy do miejscowości zajętych przez Prusaków. Lecz dopóki my jesteśmy w 7 K. T. D. (Kavallerie Truppen Division) nie jesteśmy pod jej rozkazami i dlatego rzecz prosta w interesie naszych urlopów, chcemy tu siedzieć jak najdłużej.

14 listopad. Okopy pod Koszyszczami. — Dzisiaj rano idziemy do rezerwy za polanę do wsi Dobra Wola. Kompanja 3 pobudowała już tam ziemianki, młodemi choinami wytyczyła ulice i na tym bezludziu leśnem wybudowała wieś. Na skraju przed pierwszą ziemianką głosi napis na desce, iż jest to wieś Stara Wola, mężczyzn 79, kobiet 1, dymów 18. Ta jedna — to Kazik, który dzisiaj wyjechał na urlop. Ulice we wsi: Kostka Aleksandrowicza, Leona Berbeckiego i Sława-Zwierzyńskiego. Wieś należy do gminy Okopówek, a nad ziemianką Czernego widnieje wielki napis: SOŁTYS.

Puścili dzisiaj plotkę gdzieś od kuchni, że pono co drugą dekadę ma jechać na urlop po czterech żołnierzy z kompanji.

Zakwaterowałem się w ziemiance telefonistów, wprost przemorowej. Bielutka, czysta, ze stolikiem, ławkami i piecykiem i to tylko na nas trzech, Sowę, Kaczmarskiego i mnie.

Dzień chmurny, mży obrzydliwy, nudny, cikliwy kapuśniaczek. Kładziemy się spać dzisiaj dość wcześnie, gdyż niema świec.

15 listopad. Las pod Koszyszczami. — Czytam „Wierną rzekę” — „Ocknęło się znów zimno targające wnętrzości i cierpienie co raz wraz jak toporem rozrąbywało głowę”... Upojony jestem i raz jeszcze

¹⁾ Kapitan Burhardt-Bukacki, obecnie generał brygady.

przejęty podziwem, żeby tak pisać, tak czuć, tak mieć w garści duszę, bijące serce, nerwy, mózg... Skąd on bierze tyle słów, jakże on czuje to czego nie przeżył. Rozumiem wibrować błyskotkami słów jak Kaden, mówić ciepło, porywająco do serc jak Sieroszewski, wspaniale roztaczać obrazy jak Sienkiewicz, lecz żeby tak wczuć się w cierpienie, w mózg, w jaźń człowieka... Aż mi dech zapierało, włosy jeżyły się na głowie, gdy czytałem śmierć Herberta Olbromskiego. Poco, poco! — Zrywało się we mnie, jak burza pytanie Miji, za co oni giną...— i w odpowiedzi stawała mi przed oczyma blada, spokojna twarz Grudzińskiego, jego stalowe oczy, wzniosłe, piękne oblicze Długosza, twarze Jurka i Antka...



Kpt. Sław-Zwierzynski w okopach pod Koszyszczami.

16 listopada. Las pod Koszyszczami. — Dostałem dzisiaj list z domu, poza tem mamy kupę gazet i ilustrowanych tygodników polskich. Z nieszczęsną Serbią już się kończy. Mają jeszcze skrawek gór, lecz ponoć za dwa tygodnie będzie z nią koniec. Ciągłe gadają, że jakiś korpus już jest w Kowlu, że ma nas zmienić, lecz ja w to nie wierzę. Zresztą nie zbieram plotek, jakoś mi wszystko jedno. Prędzej się spodziewam, że pójdziemy na północ, do tamtych brygad, pod Kulikowicze...

17 listopada. Las pod Koszyszczami. — Na dworze sypie śnieg. Siny blask ogarnął ogromny las, a pod stopami bieli się cudny, sytki miękki puch. Pokrył już ziemię na stołę.

18 listopada. Las pod Koszyszczami. — W nocy mieliśmy nadzwyczajne awantury. Śnieg grubą powłoką okrywając ziemiankę, w połowie nocy stała i wszystkim zaczęła skandalicznie kapać woda na głowy. Zmókłem tak, że nad ranem musiałem zmienić bieliznę.

19 listopad. *Las pod Koszyszczami.* — I nagle z robionej, maskowanej obojętności, z lekkiej nadziei, tajonej głęboko na dnie duszy przechodzę do najwyższej radości. Ręka mi się trzęsie, nie mogę więcej pisać...

Jadę na urlop!... Jadę na urlop!...

Następnego dnia. Wczoraj noc całą śnił mi się urlop. A więc powitanie w domu, radość, odpoczynek, zapomnienie...

Wypiłem kawę w ziemiance 1-ej sekcji i zaszedłem do kompanji, chcąc się dowiedzieć co przywiózł Ostalski. Tam mi Styk mówi, że Ojczulek poszedł z losami. Szybko wpadłem do 3-ej sekcji, gdzie Wojtowicz trzymał pięć zapalek. Błyskawicznie nasuwają mi się myśli: „5 zapalek. Buch na środek”. Lu! I wyciągam pierwszą urwaną zapalkę. — Urlop!..



Ganki dobiegowe pod Koszyszczami.

Wieczór cały przeszedł nam na opowiadaniu. Manius i Zygmunt są zadowoleni, że ja jadę, a nie kto inny, choć każdy by z nich wolał, by on był tym szczęśliwcem. Zupełnie naturalne.

Losowali: Zygmunt, Maniek, Adek, Ostalski i ja. Banaszcak i Władek mają odłożone urlopy z powodu gry w karty.

21 listopad. *Okopy pod Koszyszczami.* — Dzień mroźny, suchy. Jakaś świeżość i raźna podnieta bije od oszroniałych drzew i my też raźno, równym krokiem po suchej grudzie maszerujemy wesoło przygwizdując, by zmienić w okopach 3 kompanję.

Odcinek zajmujemy ten sam. Ziemianka nasza już ukończona, tylko niema okna i pieca. Po obiedzie wzięliśmy się do roboty. Z szyldu fryzjera z Kołek ukręciliśmy solidną rurę, blachę na piec

„gwizdnął” z ziemianki Berbeckiego Zygmunt. Piec stanął, lecz straszliwie kopący i dymiący.

Badył znów jedzie po zakupy. W ostatniej chwili gdy już położyłem się spać przyszło mi na myśl, że mógłbym pojechać z nim do Kołek, dać do przerobienia płaszczy. Zeskoczyłem z pryczy i pognałem do Styka. Mogę pójść, tylko mam jeszcze dziś załatwić sprawę z drutami.

Bajeczna jest ta wojna. Tam, gdzieś daleko za linią, rezerwy gotowe są prawdopodobnie do natychmiastowego wymarszu. Nie wolno im butów zdejmować, spać, okrutne słowem pogotowie. A my dzisiaj w okopach robimy się do koszuli, na czystych pryczach wygodnie się rozkładamy. Na pluton jedna sekcja wpogotowiu, dwa posterunki przed drutami.

Cisza na linii — nie słysząc ani jednego strzału — szumi sobie poważnie wysoki las, a przed drutami spokojnie chodzą posterunki, pewne, że noc przejdzie spokojnie.

23 listopad. Okopy pod Koszyszczami. — Cudowny dzisiaj dzień! Mgły nad ranem opadły i zmrożone ostrym powiewem wiatru sperliły się na gałęziach sosen cudnymi, białymi warkoczami. Gałęzie brzoź opuściły się lekko w dół, lśniąc jak sople stalaktytów w płomiennych blaskach słońca.

25 listopad. Okopy pod Koszyszczami. — „Jak kto ma pecha to i w łaźni parowej zamarznie” — powiada Ojczulek. Przyszły dzisiaj marszruty urlopowe dla wszystkich, oprócz mnie i Kaucza. Do Łodzi zajętej przez Niemców nie puszczają. Ano trudno się mówi. Głupio mi trochę jest z tego powodu, żal tych moich marzeń o wypoczynku. Jednakowoż teraz, kiedy dom oddalił się ode mnie. Bóg wie na jaki przeciąg czasu, a może na zawsze, odczuwam większą tęsknotę, większy, silniejszy jej przypływ.

Przeczytaliśmy dzisiaj w N. Reformie o śmierci Mietka Kalusińskiego pod Kuklami. Przy wzmiance o jego śmierci jest przytoczony krótki list Lucka Frakowskiego do rodziców.

27 listopad. Koszyszcze — Stowogoroż — Czernysz. — Opuuszczamy dzisiaj naszą pozycję i przenosimy się do Stowogoroża. Żal nam naszej pozycji, srodze się do niej przyzwyczailiśmy. Dzisiaj mamy być w jakiejś rezerwie, następnie dwa dni na tymczasowych pozycjach, a później na stałych. O 9-ej rano — po zmianie Austrjaków — wyruszyliśmy. Na rzadko przez nas obsadzony odcinek wpakowało się moc „awstrijczków”, dwa razy tyle, co nas. Jest to 3-ci pułk ułanów. Klną jak sto diabłów, patrząc na nasze niskie, porozwalane, zaniedbane okopy. A wiara nabija się z Austrjaków jak tylko może. „Russy daleko! pyta jakiś Czech” — „O blisko bardzo, — odpo-

wiada wiarus, — codzień chodzimy do nich i obrzucamy ich granatami, a jak my nie idziemy, to oni zaraz przychodzą". Niesie jakiś wypasiony Czech czy Rusin kilka łopat i wdaje się w rozmowę z legunem. Idą sobie gwarząc, a legun ciągnie: „A wiecie wy, że teraz będzie „forikung” nasz na całej linii” — Austriak aż przysiadł poczem położył łopaty i stanął — No ja panie odpocznę trochę — mówi, przerażony.

Maszerujemy leśną drogą na Stowygoroż. Droga okropna — głodędz. Zaczyna śniegiem ostry wiatr. Po drodze mijamy pełną wspomnień polanę stowygoroską, białą — jakby większą. Śnieg już zawiął okopki nasze, pracowicie łopatkami poryte.

Okopy zajęliśmy na prawem skrzydle, od słynnej drogi Stowygoroż — Czernysz. Odcinek marny — błota, okopy na wierzchu, budowane z darni. Również ziemianki podle — zimne, paskudne.

Na lewo mamy bataljon II, dalej pułk 1, na prawo 9 pułk dragonów, a jeszcze dalej 15 i Niemcy. O 400 kroków na prawo — wieś Czernysz. Okopy moskiewskie oddalone od nas o 600 — 800 kroków. Austriacy zupełnie nie strzelają, Moskale również. Odcinek spokojny.

28 listopad. *Okopy pod Stowygorożem — Czernyszem.* — Mróz na dworze siarczysty. Czysty błękit nieba zlewa się na widnokręgu z przedziwną białością skrzącego się w promieniach słońca śniegu.

Ziemianka nasza ma trochę światła. Dwa malutkie okienka zrobione z flaszek, dowcipnie zkonstruowane. W ziemiance chłodno. Mamy piec coprawda nie dymiący, ale też zupełnie nie grzejący. Koniecznie muszą nam dać piecyki, bo inaczej będzie marnie. W południe, w jasne, rozkoszne, olśniewające południe mroźnego dnia, poszedłem ze Stykiem obejrzeć tyłową drogę, którą ma dojeżdżać fasunek i kuchnia na pozycję. Austriacka kuchnia tutaj nie dojeżdżała. Brali kotły na drągi i przynosili do okopów. Lecz nasza kuchnia będzie dojeżdżać do samych okopów.

30 listopad. *Okopy pod Stowygorożem — Czernyszem.* — W plutonie zachwycają się „Panną Kazią” Prévosta. Przechodzi z rąk do rąk, śpią z nią, nie rozstają się. Powodzenie ma szalone.

1 grudzień. *Okopy pod Stowygorożem — Czernyszem.* — W ziemiance dzisiaj gwarno nadzwyczajnie. Po obiedzie dano nam herbatę z rumem i trochę ostatniego za wiele, chłopcy co słabsi na takie fasunki — podchmielili sobie. Nastrój też jest nadzwyczaj wesoły.

W ziemiance jest „zugsfürer” austriacki, Rumun z 9-go pułku. Dość morowy jest ten pułk 9-y, sąsiadujący z nami. Składa się przeważnie z Rumunów, z małym procentem Polaków.

3 grudzień. Okopy pod Stowygorozem — Czernyszem. — Mamy na naszym odcinku pruską artylerję, która bije duszącymi gazami. Leci sobie taki „śrapnel” i jak trzepnie zielonawym dymem to aż głuchnie las. Biją chlorem i to wówczas gdy wiatr wieje w stronę Moskali.

4 grudzień. Okopy pod Stowygorozem — Czernyszem. — Jestem w komendzie bataljonu. Ziemianka duża, widna, czysta. W tej chwili kapitan Sław rozmawia przez telefon z majorem Berbeckim.

Korzystam z tego, że Flojara niema i spokojnie piszę. Obok, za przedziałem z desek, w drugim pokoju siedzi Sław, Rowecki, Trapszo.

W ziemiance cisza. Napoleon — warszawianin — ordynans Sława dmie zapamiętałe w piecyk żelazny. Jest cicho, spokojnie, jak w domu. Obok Stebelski, telefonista, czyta Kadenowską „Bitwę pod Konarami”.

Wzięła w łeb nagle przepyszna, mroźna zima. Wiatr dotąd północno-wschodni zmienił się nagle na zachodni i czysty lazur nieba zakłębił rudemi, brudnemi, wilgotnemi chmurami. Wiew ciepły pożera w mig przepyszne śniegi i odsłania rdzawe, zrudziałe błotne rzeki — bajora.

Zakrólowała woda. Nachalnie poczęła się cisnąć najpierw do okopów, a potem do ziemianek, występując nad podłogi z prętów co grubszych i zuchwale zagładając do prycz.

Niebezpieczeństwo z góry i z dołu. Bo oto wnet poczęły kąśliwe, zimne, wielkie jak groch krople sączyć z dachów i bić po nosie, po rękach, wpadać za kołnierz, cierpliwie a nie przerwanie spadać na koce, celty. I wiatr, co jak zły, swawolny chłopak szastał się po bagnach, z hukiem po lesie latał, jęklwym szumem napęlniał ziemianki — zajrzał do pieca. Zajrzał, dmuchnął mocno a złośliwie, wysoko zakręcił pękiem ognia i dymem napęlnił ziemiankę. I tak w ustawicznej walce o suchość i czyste powietrze przeszedł nam dzień...

Woda pozalewała okopy i rowy, powystępowała na wszystkie opadłości gruntu. Zprzodu od strony Moskali okopy wyglądają jak mury twierdzy, jako że wszystkie są narzutowo budowane z drzewa i darni.

PIERWSZY URLOP

11 grudzień. A więc stało się!!! Dostałem dzisiaj dokument podróży i jadę z Wackiem Kauczem z 1 kompani na urlop. Uwierzyłem dopiero, gdy spakowany, pożegnawszy się z chłopcami, Stykiem, Flojarem i całą kompanją, ruszyłem ostrym krokiem do Kołek.

Dokument podróży musiałem zawieźć do Brygady, do podpisu. Zameldował mię jakiś kapral i wszedłem do czystej, wybielonej izby przed oblicze Szefa, trzasnąwszy obcasami. Sosnkowski jeszcze nieubrany, w koszuli, szelkach, ani spojrzał na mnie. Wziął papier, machnął podpis i z tą samą surową, zamkniętą twarzą oddał mi do rąk. Pierwszy raz dokładnie mu się przyjrzałem!...

12 grudzień. Z Maniewicz do Lublina jechaliśmy całą noc. Paskudny, zapchany „manszaftem” wagon wydawał mi się salonką. Na każdej stacji wyglądam ciekawie przez zapocone szyby, chcąc jak najprędzej zobaczyć jakąś „cywilną” osobę, normalną, ludzką twarz — lecz na próżno. Wojsko, wojsko, wojsko — mundury, gwiazdki, komiśniaki.

Po lubelskim, nie nazbyt świetnym bruku chodzimy z uczuciem odświętnem, wzruszającym. Dwanaście miesięcy — od Sącza po Łowczówku — nie czuliśmy pod stopami twardego asfaltu. Po ciężkich, lepkich, błotnistych drogach wołyńskich, po piaszczystych żwirach Podlasia, po różnorakich grudach, wykrotach i bajorach — twardy asfalt kołł nasze stopy jak balsam...

W cukierni każdy z nas zjadł po piętnaście coś ciastek...

13 grudzień. Łódź. — O 8-ej wieczór ostro targnąłem za dzwonek. Byłem spokojny, jakby trochę onieśmielony. Jurek, młodszy mój brat, otworzył mi drzwi, poczerwieniał jak burak i bez słowa buchnął w drzwi jadalni. Tam zaczął coś bełkotać bez związku i ładu, aż wszyscy przerażeni porwali się od stołu. „Sytuacja się wyjaśniła” — gdy stanąłem w drzwiach.

Co było potem, tego nikt nie opisze.

ROK 1916

4 styczeń. Lublin — Chełm. — Stacja w Chełmie. Brudna, zakopcona, odrażająca.

Wieczór. Wodzę trochę nieprzytomnym wzrokiem po sali, gdyż spałem cztery godziny w oczekiwaniu na pociąg, o którym dotąd ani słychem. Wokół różnojęzyczny gwar, dialekty od Bałkańskich gór po kaszubską, ciężką gwarę. Przy bufecie, za którym mizdrzą się do feldfebli żydóweczki, stoją zwartą cizbą butni, głośni Niemcy, za nimi nieśmiało, wstydliwie wpycha się bidny austriacki „manszaft”, który im bliższy frontu, tem bardziej nieszczęśliwy.

Pociągu nie widać — rozkładałam nowy, pięknie w skórę oprawny notatnik i rozpoczynam swój codzienny dziennik...

Trzy tygodnie łódzkiego urlopu zleciały mi jak piorun. Trudno mi uwierzyć, że to już po wszystkim, że znów wracam do okopów, ognia, wojny, do marszów ze zgiętym od plecaka grzbietem, do codziennego szarego, a tak pysznego żywota polskiego żołnierza.

Pierwszego zaraz dnia w Łodzi o mało urlopu djabli nie wzięli.

Zameldowaliśmy się we dwójkę z Wackiem Kauczem w „Platzkommando”. Wysoki, opasły szwab przyjął nas grzecznie, lecz z niedowierzaniem począł oglądać nasze dokumenty podróży. Nie bardzo mógł skombinować co to za wojsko, a jeszcze mniej zrozumiał, gdyśmy

mu straszliwą niemczyzną poczęli — co zacz jesteśmy — tłumaczyć. Zawezwał wreszcie Poznaniaka, z którym my jako tako dogadaliśmy się i rzecz się wyjaśniła. „To zaś ale musicie jechać do Piotrkowa, do „Legionskommandy“ — nieprawda!”

Włosy powstały nam na głowie. Tłumaczyliśmy, dowodziliśmy, że urlopy mamy z frontu wprost do Łodzi, nie do Piotrkowa, że tutaj nasze rodziny i t. d. — „No ja, zaś ale do Piotrkowa zaraz jechać musicie”, — powtarzał tępo Poznaniak, a szwab mu skwapliwie przytakiwał, zniecierpliwiony tą przydługą pertraktacją...

Nie było rady. Tego samego dnia w południe byliśmy już w Piotrkowie, zameldowaliśmy się w legjonowej komendzie placu i czekamy na wynik, znów wątpliwy, bo bładawy porucznik z błyszczącymi gwiazdkami patrzył na nas jak na ostatnie kanaje i długo coś konferował w osobnym pokoju z jakąś wyższą szarżą. Wrócił wreszcie i krótko, węzłowato kazał nam wprost wracać do pułku.

— ...I-a Brygada nie ma prawa wystawiania dokumentów, uczynić to może tylko Komenda Legjonów. Miejcie panowie pretensje do pana Piłsudskiego.

Poczerwienieliśmy słysząc o „panu Piłsudskim”, lecz wyprostowani na baczność, niewątpliwie karni i służbiści, z wyrazem jak największej lojalności na twarzach słuchaliśmy pana „nadporucznika”.

Trzasnąwszy obcasami, szybko wyszliśmy z gmachu, stamtąd wprost na dworzec i to co ducha, by nam nie dodano eskorty, wpadliśmy na pociąg, który właśnie stał pod parą. W półtorej godziny — wracając do pułku — wstąpiliśmy po drodze do Łodzi, gdzie siedzieliśmy pełne nasze trzy tygodnie urlopowe, bez pretensji do „pana Piłsudskiego”.

Raz tylko coniebądź się speszyłem, gdy przed Grandem ujrzałem przed sobą opasłego „platzkomendanta”. Siarczyste machnięcie dwoma palcami od daszka i zadzierżysta mina przekonały snąc niemiaszka, że wszystkie moje papiery urlopowe były w idealnym porządku.

Jakoż i tak było. Urlop z brygady był podpisany przez pułkownika Kazimierza Sosnkowskiego.

Trudno mi pisać o tem wszystkiem, co się przez te trzy tygodnie działo. I za dużo byłoby do pisania i — za mało. Swoimi szaremi mundurami ruch uczyniliśmy w Łodzi za cały pułk. Po tygodniu byłem już znużony potężnie, bo na wszystkich przyjęciach, kolacjach, wieczorkach i podwieczorkach — opowiadać trzeba było wóółko ciągle to samo — a słuchacze ciągle mieli mało. Któraś babinka, słysząc o onych wodach, bagnach poleskich, wyobraziła sobie, że my tam stale po pępek stoimy w wodzie i strzelamy — i to tak całemi tygod-

niami. Inną znów gnębiła troska, czemu nam nie dają kaloszy. Jakis nieśmiały młodzieniec dopytywał się pilnie, czy to prawda, że w czasie ataku na bagnety, trzeba bagnetem pchnąć i zakręcić — i zieleniał na samą myśl o tej okropności.

A troska, ta serdeczna pamięć o nas w polu, którą na każdym kroku spotykaliśmy, jakżeż odmiennym dyktowana była nastrojem. Ta sama Łódź, która 14 miesięcy temu patrzyła na nas jak na warjatorów, szaleńców lub zgoła przekupną zgrają — dziś żyje echami z nad Styru. Odsuwanie przeszłości, gdzieś jak najdalej od siebie, nowe jakieś pragnienia, tak niedawno niecenzuralne, zdrożne i potępione, nieśmiała myśl, a wkońcu pogodzenie się z myślą o niepodległości, uznanie jej i wreszcie praca dla niej — to wszystko zatacza coraz szersze, coraz potężniejsze kręgi. I to jest tak pocieszające, tak głęboko radosne. Śmierć Jurka czy Antka szlifuje nowe ostrza, zapala świeże, gorące serca, gotowe pójść walczyć i ginąć, piękny bogaty wydaje posiew...

Niewolnik poczyną się już kryć po kątach, traci swą dawną pewność siebie — bowiem śmierć wolnych — nowych szeregi szykuje.

Pisano mi o tych zmianach w listach często, dziś mogłem je stwierdzić naocznie. I jakkolwiek wypadnie nam los, jakkolwiek los wojny wypadnie, jedno jest pewną wygraną, wielkiem zwycięstwem naszym: nad marazmami stęchłego bagna niewoli wykwiła w sercach kwiat wolności...

Piszę, piszę, a tu pociąg za chwilę będzie gotów.

5 styczeń. *Chełm — Kowel.* — Z Chełma wyjechaliśmy osobowym pociągiem i drzemiąc zajechaliśmy na 12 do Kowla. Pociąg odchodzi do Maniewicz jutro o 10-ej rano, więc czekamy. W Kowlu zgłosiliśmy się do Komendy Placu i przechodząc przez ulicę, ujrzałem Aksamita. Radość ogromna. Jest on tutaj zawezwany do sądu polowego w sprawie jakiegoś chłopca, który denuncjował legionistę. Jutro jedziemy do Brygady, która stoi w Łeszniewce o 20 km od Maniewicz w rezerwie korpusu. Ma tam ponoć dość długo stać, aż do odwołania.

W kompanji wszystko morowo. Styk już przed pięcioma dniami wspominał, że już powinniśmy wracać, a my prawdopodobnie będziemy dopiero 7-go w kompanji. Wychodząc z cukierni natknęliśmy się na Edka Pfeiffera. Znów radość! Prowadzi nas do kwatery chrześcijańskiej, gdzie mamy nocować. Na urlopie nie mógł być podczas świąt, bo został wysłany do Besarabji przez Rumunję. Był na tyłach rosyjskich 10 dni, w tajnej misji wywiadowczej. Patrząc na niego dopiero widzę, jak się my nadzwyczajnie przywiązujemy do siebie, czuję się tak dobrze, tak radośnie w jego towarzystwie. Jak żywe stoją mi przed oczyma nasze dawne kawały, dawne sprawy. Edek, który dużo wie,

mówi, że wszystko jest przygotowane do defensywy. O ofensywie rosyjskiej ma wiadomości, że napewno wiosną się rozpocznie, o czym można się zresztą tu w Kowlu przekonać z kolosalnych przygotowań, jakie korpusy stojące na froncie, czynią w celach obronnych.

Cały wieczór spędziłem u Edka na długiej pogawędce.

6 stycznia. Kowel — Maniewiczze — Karasin. — Rankiem wyjechaliśmy z Kowla do Maniewicz. Tam na stacji spotkałem wracającego z urlopu kapitana Sława i porucznika Hajeca. Do Karasina wlekliśmy się całe popołudnie i wieczór, przez obrzydliwe błota i bajory. Późnym wieczorem stanęliśmy na kwaterze w Karasinie.

7 stycznia. Karasin — Leszniewka. — Wstaliśmy o 8-ej. Dzień chmurny, dżdżysty, chłodny. Tuż za Karasinem, siedliśmy przy drodze, zając domowe pierniki i czekając na jakąkolwiek furmankę. Plecaki są tak wyładowane, iż mowy niema, abyśmy mogli zająć piechotę. Nadjechał wreszcie jakiś taboryta od trepów, wywindowaliśmy mu więc plecaki i sami gwarząc, cierpliwie nurzaliśmy się w błocie. Po jakichś dwu godzinach zaszliśmy do Leszniewki. Pluton I budował akurat chodnik z okrągłaków, gdy mię ujrzał. Krzyk, radość, piekło i rwetes! Za chwilę meldowałem się już w komendzie kompanji w ogromnej, ciemnej izbie chłopskiej.

Na obiad zafasował mię sztab. Był Sław, Styk, Rowecki, dr. Kwaśniewski, którym referowałem stosunki na hinterlandzie.

Wieczór jeszcze morowszy, gdyż Styk dostał nominację na porucznika. Wnet I pluton zwałił się przed kwaterę z hukiem i wiwatami i za chwilę „To zabawa jakich mało”, tylko trochę krwi się lało... Wódeczność — krwawe wiśniówki. Turski na skrzypcach, Kosier na gitarze, Adek na mandolinie, Drymer mandoli, wszystko to razem i każde z osobna — na różną melodię ciągnęło.

10 stycznia. Leszniewka. — Rano o 7-ej Sław z Roweckim pojechali konno na północ, nad Wiesiołuchę do 3 kompanji. Sytuacja nasza w ten sposób się tutaj przedstawia: front biegnie tak samo jak dawniej, t. j. przez Czernysz, Koszyszcze, Sienki, Nowosiołki, Miedwieżje, Kostjuchnowkę, Optowę, Jezierce. Do Jezierc ciągnie się linja stałych okopów, na północ od nich rozległy się już błota, których pilnują tylko placówki i t. zw. „Jagdkommando”. Dalej od Łobnoje znów ryje się stała linja.

Brygada nasza stoi w Leszniewce i Karasinie, za lewem skrzydłem stałej linii, tworząc jakoby jej ochronę z flanki. Błota są ponoć tak paskudne, iż na niektórych odcinkach Austriaków od Moskali dzieli przestrzeń 10 — 12 km, a gdziekolwiek i wcale kontaktu niema, to też Moskali tam niemożna się doszukać. Każdy z naszych pułków wysyła poza tem przed front 11, 1 i 9 dywizji kawalerji,

(Kavallerie Truppen Division), po jednej kompanji wprzód, dla nawiązania kontaktu z nieprzyjacielem. Są tam prócz tego „Jagdkom-manda” (austriackie oddziały wywiadowcze).

Tam to pojechał Sław, do 3 kompanji Czernego, która odeszła na front 9 dywizji kawalerji, by patrolować nad rzeczką Bezimienną.

Czytam z Flojarem poetów angielskich w przekładzie Kasprowicza i jak na pierwszy dzień po urlopie, jest mi całkiem dobrze.

11 styczeń. Leszniewka.— Wieczorem jesteśmy całą bandą u Styka na koncercie. Jest Sław, Bończa-Karwacki, Pandor-Furgalski, teraz adjutant u swego brata Wyrwy i trochę nas sierżantów. Wieczór przeszedł szybko, gdyż koncert był *prima sort*.

12 styczeń. Leszniewka. O 10-ej mają być ćwiczenia bataljonowe, gdyż dzień mroźny, suchy, choć wietrzny. Wiatr szczypie policzki i od czasu do czasu smaga drobnym, kłującym śniegiem. Bataljon drobnusieńki — daleko mu do tej masy kolumnowej z przed roku z Lipnicy.

15 styczeń. Leszniewka.— Zimno w izbie. Huczący wiatr na dworze coraz to wpada do środka i hula po kątach, niebo ciężkie jak ołów, od czasu do czasu prześwieca blady, omroczony księżyc. W powietrzu wisi jakby stalowa zasłona, odnosi się wrażenie, jakby powietrze stygło i dziwne, że nie widać wiatru szarpiącego te siwe, osiwiałe mgły.

16 styczeń. Leszniewka.— Odbiegła od nas wojna i zda się skryła w mrocznych lasach przed srogą zimą. Pędzimy tryb życia, w którym niezwykłości nikt się nie doszuka. Każdy dzień układa się jednak, te same ciągle chłopskie izby, chłopskie przyźby, kwatery, sprawy kompanijne, fasunki, kuchnie, obiady — że innego życia barwy trudno mi się ryja w pamięci.

Takie to zwykłe, codzienne, takie normalne, jakby od dni dzieciństwa nic innego wokół się nie działo. Myślę, że gdyby przecież tej wojny nie miało być, gdyby nie owiewał nas jej ciężki oddech, to dawne, to nasze cywilne życie byłoby dziwnie puste i jałowe. Wszak cała nasza praca skautowa, strzelecka, wszystkie nasze myśli i pragnienia zbiegały się do niej, jak do tego co musi przyjść nieodwołalnie, Do wojny. I dlatego ona się taką naturalną wydaje i wydawała, gdyśmy ostatni raz opuszczali domowy próg.

17 styczeń. Leszniewka.— Zapełniam maczką stronicę notatnika, lecz tylko o sobie, o ludziach, o sprawach dalekich i bliskich. To mi zapełnia długie godziny — poza tem wszystko to samo, po staremu.

Dziś ruch był większy. Wieczorem, przyszło uzupełnienie do kompanji — 16 ludzi. Wśród nich ranni z pod Konar Bronek Grabowski, Bolek Papierski i Pachonński Kazik. Radość wielka, bo wiara morowa, tak strasznie kochana.

Bronek nie zmienił się prawie zupełnie. W szpitalu przechodził ciężkie zapalenie płuc, z którego ledwie wylazł. Pachoński — o swych dziwnie dziecięcych oczach i andrus jak zwykle Bolek Papierski. Nagadaliśmy się dowoli przez cały wieczór.

W bataljonie biba. Przyjechał podporucznik Żegota-Minnich¹⁾, naprzywoził smakołyków i wódki.

18 styczeń. *Leszniewka*. — Kompanja 3 naszego bataljonu wymaszerowała na północ w kierunku „Neuhofu” i Kachowskiej Woli. Na wysokości tej wsi kończy się stała linja frontu i rozpoczynają się linje przerywanych ubezpieczeń, ciągnących się przez pas błot pińskich, nie nadających się zupełnie do jednolitego obsadzenia.

Linję ubezpieczeń zajmuje tutaj 9 dywizja kawalerji (Kaval. Truppen Divis.), a jedna z kompanij naszego pułku (w tym wypadku 3 komp. 15 p.), została detaszowana, by wespół z austriackimi „Jagdkommando” obsadzać odcinki terenu, względnie suche, i ubezpieczać je. Oprócz naszych oddziałów i austriackich są tam również detaszowane oddziały pruskie. Oddziały te zajmują odpowiednie odcinki patrolami, stwarzając punkty oparcia. Jest to rodzaj małych fortów ubezpieczonych ze wszystkich stron — jakoby zameczki graniczne. Z tych punktów oparcia nadzwyczaj silnie umocnionych (spora ilość karabinów maszynowych), wysyłane zostają patrole wprzód dla nawiązania kontaktu z nieprzyjacielem. Patrole rzadko dochodzą do rzeczki Wiesiołuchy, gdyż dostęp ogromnie trudny. Kontakt z Moskalami dotąd nie udało się nawiązać, gdyż oddaleni są o 10 — 12 km jeżeli wogóle są. Błota nadzwyczajne — patrole po przebyciu 1½ kilometra wracają przeważnie z meldunkami, iż dalej posuwać się nie można.

Austriakom sposób naszego patrolowania ogromnie się podoba i nie chcą od siebie puścić Czernego na zmianę.

19 styczeń. *Leszniewka*. — Godzina 11 wieczór. W komendzie kompanji ruch. Kosior, nasz prowiantowy sierżant, przywiózł z Kowla sprawunki, więc kwatera wygląda jak kramik. Same dobre i drogie rzeczy z pruskiej kantyny kowelskiej.

Dzień dzisiaj śliczny, jasny, słoneczny, mroźny, bez wiatru. Dzień wymarzony na sporty, przechadzki. Powietrze czyste tak, że słysząc dalekie, dźwięczne huki armat.

Większą część czasu przepędziłem w pierwszym plutonie. Zaczyna się już zjeżdżać z urlopów wiara. Odpoczywają, nabierają humoru i werwy — morowieją pod każdym względem. I tak jak roku zeszłego, pluton nasz w kompanji przewodzi. Mamy chór, kwartety, kwintety, sola i pełne, duże chóry, poza tem sport.

¹⁾ Obecnie major Szt. Gen.

20 styczeń. *Leszniewka*. — W tej chwili orkiestra naszej kompanji przestała grać. Miękkie tony gitary, zalotne, finezyjne mandolin — skonały nagle, raptowną śmiercią przerwanej gry...

Siedziałem zasłuchany. Przed oczyma — na tle rozkołysanej muzyką sali — na barwnem tle kobiecych strojów i siwych, błyszczących odznakami oficerskich mundurów — widziałem rozbawione, młode twarze, ów lekki nastrój wieczornego rautu, upajający zapach perfum. I nagle skroś balowy szum — ktoś głosem radosnym, natchnionym krzyknął Komendant!...

Jak rażeni gromem, szczękiem ostróg zmąciwszy ciszę, sprzężeni stanęli oficerowie... Pochyliły się zgnęła postacie niewiast w ukłonie głębokim...

Bo oto, wśród świetnych mundurów adjutantckich, zawadjackich min, pełnych życia skier oczu, pojawił się szary mundur i stalowe oczy Komendanta...

Piłsudski!... Cisza zaległa i stała Mu się pod nogi...

Taki polski, wieczór odrodzenia, polski śnił mi się bal...

Jutro idziemy na północ do 9 dywizji kawalerji do punktu oporu „K” lub „L”.

W kompanji ogromne zmiany. Zostali przydzieleni dwaj podporucznicy: Koc Wacław¹⁾ i Żegota-Minnich Tadeusz. Koc I-y, Żegota II-gi objął pluton, Busse został przy swoim.

WŚRÓD ROZLEWISK I BŁOT WIESIOŁUCHY

22 styczeń. *Wymarsz z Leszniewki*. — Dzisiaj maszerujemy na punkt oporu nad Wiesiołuchą, gdzieś pod Jezierce. Mamy 36 km do zrobień, a będziemy tam siedzieć 10 dni.

O 5-ej rano obudził mię dyżurny. Na dworze jeszcze noc — błądy księżyc oświecł wieś, srebrzył białe śniegi, długie sine cienie rzucał z za chałup i rozchwianych, szemrzących drzew...

O 7-ej wymarsz.

Lekki mróz. Wczoraj była wilgoć, śniegi potajały, jednak niewiele. Na drodze gołoledź.

Z Leszniewki, obok długiej kolumny taborów 9 dywizji kawalerji, maszerujemy przez Griwę, dużą wieś, a potem drogą Hauera, z której Austriacy są niezwykle dumni, maszerowaliśmy do 9 dywizji kawalerji.

Droga Hauera rzeczywiście morowa. Na przestrzeni 17 km jeden wiszący most, solidny, mocny. Na stronach lasy, głębokie śniegi i jeziora — rozlewiska zamarzłe, gdzie nigdzie już przez ciepło roz-

¹⁾ Obecnie podpułkownik Szt. Gen.

pętane. Zawiodły słynne napoleońskie mrozy rosyjskie — ciepłe dnie, morskie wiatry targają lasami, hulają po polach rzadkich i samotnych, pożerają śniegi, kruszą lody. Maszerujemy. Kompanja idzie dość wesoło i dobrym krokiem, choć chłopcy odzwyczajeni od marszów męczą się szybko. Droga wije się wśród błot i kłęci ciągle. Coraz to napotykamy oddziały saperskie. Bośniaków w czarnych mundurach, baby zakutane i poobwijane w chusty, brudnych, obrosłych chłopów, zegnanych do robót — prawdziwe sienkiewiczowskie typy. „Nie znam pana” odpowiadają na pytania, nic nie wiedzą, niczego nie pragną — oprócz końca tej przekłętej wojny...

O 2-ej wchodzimy w pas wzgórz, niedużych coprawda, lecz suchych wysp na tych morzach błota i dochodzimy do zabudowań komendy 9 dywizji kawalerji.

Miejscowość ochrzczona mianem „Neues Palais”. Szereg ziemianek najrozmaitszych systemów, ogromne stajnie, wrota, bramy z ciętych brzoźowych pni, mosty, mostki, klomby. A wszędzie tabliczki z napisami oddziałów 9 K. T. D., wszędzie strzałki i strzałeckizki; zasiadła se wojna wygodnie, z komfortem umeblowała dziką poleską puszcę.

Kompanja je obiad, a Styk zgłosił się do komendy dywizji po rozkazy.

Wrócił zły! Z tego co słyhać, wnosić można, że będziemy długo tu siedzieć, na żaden „Stitzpunkt” nie pójdziemy i kto wie — możemy budować ziemianki lub być ochroną dywizyjnej komendy.

23 styczeń. Nad Wiesiołuchą. — Dzień nam przeszedł szybko. Rano po odprawie — poszliśmy obejrzeć pozycje.

Za lasem rozciąga się dolina rzeczki Wiesiołuchy — przed nami wzgórzka niższe cokolwiek, poryte okopami i ziemiankami — dalej ogromna tafla rozlanej szeroko Wiesiołuchy, siniejące lasy i hen daleko wysokie wzgórzka, od północnej strony błyszczące śniegami. Okopy zakręcają za Jeziercami, których kopuły cerkiewne majaczą zdala, przechodzą dalej w lewo, flankując ogromne bagno. Dalej od drogi „Trzcńskiego” w kierunku „Fröhlichsdorfu” (od majora Fröhlicha) ciągnie się linja gęstych placówek w lesie — mokrym, ciężkim, przesiąkniętym wilgocią. Po dokładnem zorientowaniu się w terenie, zaszliśmy do „beobachtung” — punktu obserwacyjnego artylerji i stamtąd przez 15-krotnelornety rozpatrywaliśmy teren. Artylerja bije na 6000 — 7000 x, mniej więcej tak daleko jest do Moskali.

Dawno już nie widzieliśmy rozległych widoków, to też z przyjemnością wpatrywaliśmy się w dalekie, siniejące wzgórzka, stalowe wody Wiesiołuchy i jasne plamy śniegów.

Styk do tej pory rozkazów żadnych nie dostał, tak że nie wiemy zupełnie, co będziemy mieć do roboty w onej 9 dywizji kawalerji.

24 styczeń. Nad Wiesiołuchą. — O 9-ej rano przyszedł ordynans kapitana, grafa Tyszkiewicza, szefa sztabu dywizji, z rozkazem do Styka.

O 10-ej odprawa. Mamy mieć takie zadania jak stojąca tutaj pruska „Jagdkommando”, to jest wywiady na całym froncie 9 dywizji kawalerji i zasięganie języka, o co próżno się stara od dwóch miesięcy austriacka i pruska „Jagdkommando”... Zaraz po odprawie oficerowie, sierżanci, plutonowi, kaprale z całej kompanji — pomaszerowaliśmy na obejrzenie północnej części odcinka 9 dywizji kawalerji, od lewego skrzydła stałych okopów do „Fröhlichsdorfu”. Następnego dnia mamy obejrzeć środkowy odcinek, a dalej — południowy.

Początkowo idziemy drogą „Trzcińskiego” obok artylerji, a później minawszy okopy pierwszej linii, dochodzimy do placówki Nr. 1. By dojść do niej musimy przejść kilometrowe zamarznęte bagno, grające wszystkimi kolorami stali. Gładki bez skazy lód gdzie nigdzie urozmaicony czubami traw, ogromna sino-biała tafla, wpadająca w coraz to inne tony. Jakaś surowość i chłód bije z tej równej płaszczyzny, tak dziwnie podobnej do surowego chłodnego nieba. Tylko idą stalowe, płowe blaski od lodu, gdzie nigdzie wpadającego w perłowe śnieżne tony, gdzie nigdzie sinością stali aż przerażającą.

Lód złowrogo trzeszczy pod nogami, lecz wyprawa bez szwanku dochodzi do ściany lasu.

Idziemy teraz drogą zarzuconą sianem, które Austriacy z bagien z przed pozycji zwożą do pozycji i dochodzimy do placówki na przeciwległym brzegu lasu, nad drugim obszernym bagnem, również pokrytem lodem. Stąd od placówki Nr. 1 — skręcamy w lewo i kierując się na północo-zachód znowu przez lody, ledwie że zamarznęte bagna, ciągle zapadając się w wodę, gdyż lód nie wytrzymuje — dochodzimy do placówki Nr. 2 i następnie wzdłuż linii drutów do placówki Nr. 4, za linię drutów...

Równolegle do niej idzie kładka w lesie i tylko nią posuwać się można — gdyż las, dziewicza puszcza! Olbrzymie, pozwalane wichrami jesiennymi sosny, gnijące od szeregu lat, całe zwałiska drzew, pni i krzaków, gąszcze nieprzebyte krzewów i to wszystko wśród rozlanych wód, trzęsawisk i błot. Wspaniała, dzika przyroda!

Co kilkadziesiąt kroków na drzewie, na wygodnym balkoniku, wedeta. Wśród błotnistego lasu, długi, wąski na krok most z poręczą, otoczony zasiekami i kolczastymi drutami. To linja ochronna bagien. Posterunki tu w zupełności wystarczają, by się jakowyś patrol nie przedostał, gdyż o maszerowaniu tyraljerki mowy być nie może.

Po obejrzeniu linii placówek, doszliśmy do ślicznych ziemianek i domków leśnych „Fröhlichsdorfu” a stamtąd drogą Trzcińskiego zpowrotem do „Neues Palais”. Przed wieczorem byliśmy u siebie.

26 styczeń. *Nad Wiesiołuchą.* — Wczoraj obejrzelśmy odcinek środkowy dziś przed południem obeszlśmy skrajny południowy, razem z austriackim i pruskim oddziałem.

Dzień chmurny, mokry, przenikliwy kapuśniaczek sący się z brudnych chmur, na brudną, przygniłą ziemię. Maszerujemy dość szybko i po obejrzeniu reduty na południe od Jezierc wzdłuż ogromnego rozlewiska, skutego czerniejącym, siwym lodem — dochodzimy do straszliwie pocharatanej granatami cerkwi w Jeziercach. Poczęliśmy tam udawać świst granatów i karabinowych kul, lecz to było zbędne, gdyż za chwilę w zamglonej ciszy powietrza jędrnie zagrzmiał strzał i autentyczny świst targnął powietrzem. Za chwilę drugi, trzeci.



Nad Wiesiołuchą.

Maszerujemy szeregiem dość wesoło, ironicznie spoglądając na pruskich leutnantów, z których jeden przypadł gwałtownie do ziemi, gdy pierwszy świst kuli rozdarł mgłę.

Za chwilę zatrzepotała salwa — dobrze nas wzięli, bo kule prały w błoto pod same nogi. Pruski leutnant nawoływać począł do „szwarmu” swoją bandę a i Styk rozrzucił nas w zgrabniutką linję.

W południe byliśmy już w ziemiankach. Póki nie nastaną mrozy roboty żadnej nie będzie.

28 styczeń. *Nad Wiesiołuchą.* — Pięć dni już minęło jak tu jesteśmy przy dywizji, bez żadnej narazie awantury. Ranek był dzisiaj mroźny i przejrzysty po wczorajszej burzliwej nocy, lecz w południe słońce spiło mróz ciepłymi promieniami — więc o patrolu mowy niema. Wdrapałem się na wysoki punkt obserwacyjny, umieszczony na sosnie,

i oglądałem siniejące 4 olbrzymie płyty borów, połyskliwe tafle jezior, szeroko rozlane bagna Wiesiołuchy. Wiatr marszczył stalowe fale, porozganiał lodowe tafle, topił je w jaskrawych promieniach słońca. Jest lekki mróz, lecz słońce zwycięża.

Stoi tu w okolicy 4 i 6 pułk dragonów, którego komendantem jest Polak, pułkownik Serda. Jeszcze z nim Styk kontaktu nie nawiązał — lecz ponoć mamy ćwiczyć pod jego okiem. Ciekawym jak się do nas odniesie?!



Tyraljera nad Wiesiołuchą.

30 stycznia. Nad Wiesiołuchą. O 7-ej rano pobudka. Wnet zbiórka przy „Jagdkommando“, skąd maszerujemy z pruskim i austriackim oddziałem. Ochota wielka, humory wspaniałe, ambicja podrażniona by pokazać się trepom „ad oculos“... Maszerujemy na kępę na północ od „Birocksumpf“. Mamy ją spatrolować, nawiązać łączność z lewej strony z Austriakami, ciągnącymi na Tabalaberg.

Lód na bagnach mocny, to też suchą nogą doszliśmy do kępy Birok, którą dokładnie przez 5 godzin patrolowaliśmy. Mapa austriacka okazuje się do luftu, wyspa ma całkiem inną rzeźbę. Musimy ją dobrze poznać, jako że to nasz punkt wypadowy na drugą stronę Wiesiołuchy, gdzie mochów będzie można z okopów za łby wyciągać.

Do Kępy przychodzą Moskale po siano. Dzisiaj ponoć ich było około 30, więc Styk projektuje, by któregoś pięknego dnia zacząć się tu na nich i zagnać z krzykiem wypaść.

Patrolowaliśmy w ciszy i spokoju, dopiero w południe zerwała się na Tabali ostra pukanina, która trwała dobre dwie godziny.

O 3-ej po dokładnem wygimnastykowaniu wszystkich członków, przeskakiwaniem z kępki na kępkę, wróciliśmy na placówkę Nr. 1.

31 styczeń. *Nad Wiesiołuchą.* — W komendzie kompanji ruch, a i w naszej ziemiance-willi pod „Oślą szczęką” — szykowanie i pakowanie, gdyż jutro idziemy na Kępę z zamiarami niemiłemi dla naszych sąsiadów zprzeciwka. Mieliśmy już iść na noc, aby przed świtem dojść na Wołchowską Kępę, lecz trep — Tyszkiewicz nie zgodził się, zarządzając wyprawę w dzień. Styk wściekły, gdyż plan jego w zastosowaniu dziennem, szans ma niewiele. Jednakowoż idziemy.

Mamy gości. Przyjechał dr. Kwaśniewski, gdyż spodziewamy się na jutro strat. Zaczny doktor jest już od miesiąca w bataljonie lekarzem, rezygnując z żołnierskich przygód. Pod Koszyszciami przy budowie ziemianki gdyśmy targali nieco ciężką sosenkę — doktorowi się oberwało i plecy mu przygięło w paskudny sposób. Jest już podporucznikiem, a w kompanji u nas dochrapał się szarzy aż kaprała, więc że to lepsza nasza — duchem należy do nas.

1 luty. *Wyprawa na Wołchowską wyspę.* — O 5-ej rano pobudka. Poranek mroźny, jasny. Firmament lśni się gwiazdami, na wschodzie słabo zaledwie szarzeje.

O 6-ej zbiórka i marsz do „Stitzpunktu” 1 pułku dragonów. Las stoi nieruchomy w ciszy budzącego się dnia — powoli szary brzask wypiera mroki, pełza wśród konarów sosen, przechodząc na spowite we mgłach szerokie bagna i siniejące pasma borów. Lekki mróz — lecz Wiesiołucha nie wszędzie jeszcze zamarzła.

Maszerujemy po twardej grudzie w ciszy i skupieniu, bez zwykłego gwaru i wesołkowania. O 7-ej jesteśmy już na „Stitzpunkcie” i tam czekamy godzinę, aż Styk dostał przewodnika i zebrał wszystkie informacje od Austriaków. Przydzielają nam wreszcie 18 Prusaków i przez rozległe, zamarzniete bagna maszerujemy do Wiesiołuchy, do wysuniętej placówki Nr. 1. Michałki w swych ciemnozielonych mundurach i szarych pikelhaubach ciągną szeregiem za nami.

Na białej powierzchni lodu rozciągnął się ciemny, jaśniejący co chwila sinemi barwami długi wąż żołnierzy. Ponieważ w ostatniej chwili plan został zmieniony, maszerujemy wprost na kępę Birok, gdzie czeka nas z półplutonem Busse-Guzowski, który uprzednio dokładnie wyspę miał spatrolować.

O 10-ej jesteśmy już na wyspie. Chłopcy zostają przy pierwszym, nagim pagórku, a Styk ze mną i z przewodnikiem austriackim idzie do Bussego. Południowy brzeg wyspy obsadzony. Busse melduje, że przez jakąś godzinę na Kępie Wołchowskiej i bagnie obok było z 50 Moskali zbierających siano. Nie otwierał ognia, gdyż według planu myśmy na nich uderzyć mieli od „Stitzpunktu”, a on miał zamknąć Moskalom ogniem drogę odwrotu. To też nie strzelał —

wytrzymał — choć miał mochów najwyżej na 60 kroków, a najdalej na 300. Przed kilkoma dopiero minutami, Moskale rozebrawszy dwie kopice siana — wynieśli się.

Styk zły, cały plan wziął w łeb. Zaczynamy się włączyć jak najostrożniej po brzegu, wypatrując z natężeniem brzeg Wołchowskiej Kępy, którą dzieli od nas przestrzeń najwyżej 100 kroków, przestrzeń przecięta zmarzniętą Wiesiołuchą. Gdy tak się chciwie tam wpatrujemy, przypada cichcem Wiktor, kapral III plutonu i zduszonym szeptem melduje, iż na Kępie Wołchowskiej są Moskale. Słysząc za zakrętem ciche gwizdy i nawoływania. Rzeczywiście — za moment usłyszeliśmy kilka przyciszonych gwizdów i za chwilę wyrwał się z ciszy zdenerwowany głos „w lewo, w lewo”...

Są więc. Zostawiamy ubezpieczenie na brzegu i gnamy do kolumny, czekającej na piaszczystej wydmie, porosłej jałowcami. Styk chce robić krótką odprawę, by wyjaśnić chłopcom kierunek uderzenia, lecz w tej chwili pada kilka strzałów moskiewskich. Widzą nas...

Wnet bić poczęli systematycznie, lecz nie z Wołchowskiej Kępy, a z prawego skraju lasu. Przelatujemy biegiem polanę, lecz snąc nas widzą przez rzadką ścianę lasu, gdyż biją ciągle. W pewnej chwili, bezpośrednio po strzale dojrzałem dwie ciemne sylwetki, wynurzające się na lód ze złożonemi karabinami.

Dopadamy co tchu do wysuniętego cypla Kępy i stąd szybka tyraljera. Pierwszy pluton na przedzie, drugi wtyle i zwawo, coraz zwawiej posuwamy się przez złowrogo trzieszczący lód sami, bez Prusaków, którzy zostali na ubezpieczeniu. Linja posuwa się podle, cienki lód co chwila załamuje się pod nogami. Gdy wleźliśmy w haszcze i zarośla Wiesiołuchy, lód złowrogo zaczął trzaskać i chłopcy jeden po drugim wałą w wodę po pas. Aksamita ledwieśmy wyciągnęli, bo już go woda zalewała.

Wściekli cofamy się zpowrotem, klnąc eskapadę w której nas mogli wybić do nogi, gdyśmy telepali się w tym lodzie. Rzecz zdumiewająca tem bardziej, że denerwująca cisza panowała wokół — chyba, że moch-y zwały ujrzawszy taką grandę wałącą na ich Kępę.

Porządkujemy w lesie tyraljerę, lecz w tej chwili Prusacy meldują i zaraz za nimi Flojar, że od lewego, lodem ku lasowi posuwa się tyraljera.

Skoczyliśmy na brzeg. Rzeczywiście szła szeroka tyraljera. Wpatrujemy się weń chciwie, lecz już Styk zbiera kompanję w kolumnę i rzucamy się w lewo, aby uprzedzić Moskali i z boku kępy wleźć im na skrzydło.

Gnamy co tchu, by dopaść ich jeszcze na lodzie. Pierwsze piaszczyste wzgórze przelecieliśmy tyraljerą, zachodząc frontem na

prawo. Ledwieśmy zaszli i czołowe ubezpieczenia przesuwając się poczęły w lewo, na paskudnym terenie, wśród krzaków i cienkiego lodu bagna, na lewo, prawie z tyłu zerwał się wściekły, gwałtowny ogień. Chycili nas ze skrzydła...

W jednej chwili wtył zwrot i krzyk komendy by na prawo zachodzić. Mentlik się niemały uczynił, gdyż pod gwałtownymi ruchami żołnierzy lód łamać się począł na hura, lecz jakoś dopadliśmy do suchego piachu. Stąd przez żółtą polanę na łeb na szyję gnało do nas ubezpieczenie. Zamigotały za niem żółte plamy moskiewskich mundurów na ciemnym tle lasu. W jednej chwili 30 gardzieli wrzasnęło hura i wiara bez komendy, na warjata, jak rozjuszony, głodne psy rzuciła się z krzykiem przed siebie.

Straciłem poczucie szczegółów. Migają przede mną tylko żółte mundury, piekielny ogień rwał ze wszystkich stron, a nogi podjudzone wrzaskiem niosły przed siebie jak burza. Biegliśmy tak na Moskale ze trzysta kroków, wreszcie zziązani dopadamy do brzegu lasu, w którym Moskale już zniknęli i bić poczęliśmy w las ze wściekłością, bo już sił do biegu nie stało. Za chwilę wpadamy w las, przebiegamy go piorunem i na brzegu tafli lodowej padamy. Po niej, po sieniej powierzchni wieje rozrzuconą linją tyraljera raz po raz waląc się na twarz pod wściekłym ogniem naszych manlicherów.

Moskale wpadają za kopiec siana, lecz w popłochu nie zapominają o rannych. Chwytają za głowy, ręce i ciągną za bezpieczne, ogromne stogi żółtego siana. Przetrzepaliśmy ich okrutnie, to też niewielu cało ukryło się przed ogniem.

Lecz już nadchodzi im odsiecz. Z pośród głuchego łopotania manlicherów wydarł się nagle od prawego szybki, gorączkowy trajkot karabina maszynowego i wnet świstami dopadł do naszej linji.

Po lodzie Moskale ścigać niema celu, więc się cofamy zpowrotem na polanę.

Wracamy. Zmęczeni, zziązani i wściekli, bo straty są (3-ch rannych, w tem Zygmunt Chabowski) a Moskale zwiali nie zostawiwszy jeńca. Lecz los okazał się jednak łaskawy. Przed wracającą tyraljerą wyrósł nagle Moskal jak z pod ziemi. Rzucili się ku niemu rozjuszony chłopcy z bagnietami, że ledwie ich Styk krzykiem pohamował.

A więc po awanturze. Minęła wściekłość, humor wspaniały, bo Moskal z oddziału wywiadowczego („partizankij otriad”), Polak — Józef Pliska — zeznaje poprostu nadzwyczajnie. Ma świetną pamięć, zupełne do nas zaufanie i gdy się przyjrzał nam dokładnie, gęba mu pojaśniała i rozkrochmalił się zupełnie. Podał się sam powiada — usłyszawszy polską komendę — i gdy kamraci wywiewali, on nurknął w krzaki i przeczekał, aż wszystko przeleci, by zgłosić się do zawracania.

jących. Chłop jak dąb, warszawiak, z 17 czernichowskiego pułku huzarów. Wracamy w pysznym nastroju. Zygmunt Chabowski jest ranny lekko w udo w pojedynku z Moskałem. Kula trzasnęła w scyzoryk i przebiła zaledwie mięsień. Mimo to Zygmunt jest wściekły i sobaczy na siebie, że nie trafił, bo jednocześnie z Moskałem złożyli się do siebie. Prowadzimy go pod rękę.

Drugi ranny ciężiej, Babiński z III plutonu. Kula przeszła oba uda, lecz i tu kości szczęśliwie nie naruszyła, lecz że zbliska, dziury jak pięści. Trzeci Łukaszek — trzy kule, wszystkie lekko.

Wracamy ze śpiewem, aż grzmi las, a Michałkom pikielhauby poprzekrzywiały się na łbach z podziwu. Pochód otwiera, ogromny rosty jeniec, dalej ranni wreszcie rozśpiewana kolumna. Twardą grudą maszerujemy obok placówek, gdzie „awstrijcy” gęby porozdziałali ze zdumienia, bowiem takiej wojny „na śpiewanego” jeszcze nie widzieli. Ich Jagdkommando, wespół z Prusakami polowała dwa miesiące i choć dywizja się wściekała, nie mieli ani jednego jeńca. Przyszła „Polenjagdkommando” i po drugim patrolu — naście trepy języka — i to nie byle jakiego, bo z „Russischenjagdkommando”.

Ledwieśmy wrócili, wnet się pojawili austriaccy oficerowie z gratulacjami i ze starannie ukrywaną zawiścią. Rozgłos wielki, w dywizji radość i gwałt, gratulacje i zmieszanie.

I rzeczywiście możemy być z tego zadowoleni, primo — biliśmy się z doskonałym żołnierzem, który wiejąc po gołym lodzie, będąc narażony na wybicie (co właściwie się stało), wolał to, niż poddać się gdyśmy z wrzaskiem na niego wpadli. W dodatku jak się okazuje, z inicjatywy ich plutonowego uderzyli na nas. Morowcy!

Wszyscy mieli karabiny manlicherowskie i naszą amunicję, to też nie było słyszeć tak zwykłych podczas każdej bitwy, przeraźliwych trzasków ekrazytówek.

Dzień nam przeleciał do końca na opowiadaniach najróżnorodniejszych epizodów, których była moc i to nieraz komiczno-tragiczne.

2 luty. *Nad Wiesiołuchą.* — Przyjechał Sław z Roweckim. Kapitan z całej awantury ogromnie zadowolony. W Leszniewce z tego powodu były komiczne sceny. W nocy już przyszły gratulacje do Brygady od Gerocka, a z Brygady do pułku. Berbecki ucieszony chciał już robić zbiórkę i krzyczeć „hura” na cześć 4 kompanji, ledwie że go Cybulka powstrzymał. Dywizja do korpusu, a korpus do Gerocka podał, że „polski oddział wywiadowczy” rozbił rosyjski zadając mu straty liczące 10-ciu zabitych, moc rannych i jeńców, sam mając kilku lekko rannych. Jednem słowem — lepiej być nie może.

Narbutt i Hajec, którzy przedtem nie mieli chęci zluzować nas — dzisiaj sami przyszli do Sława mówiąc, że czas, czas zmienić 4-tą...

Zygmunt jest tak lekko ranny, że zostaje tutaj w szpitalu 9 dywizji kawalerji. Za dwa tygodnie będzie zdrow. Odwiedziliśmy go dzisiaj, był też u niego Sław z naszymi oficerami. Zygmunt czuje się doskonale.

9 luty. *Nad Wiesiołuchą.* — O 10-ej rano zbiórka podoficerów i I plutonu i marsz na górę Tabala w celu dokładnego zorientowania się.

Po kilku dniach paskudnej pogody w czasie której nie ruszaliśmy się z ziemianek, mamy precudowny czas. Jasne, słoneczne powietrze, lekki wiatr, ciągnący z obszarów leśnych, nabrzmiały tchnieniami wiosny, twarda, ścięta lekkim przymrozkiem porannym gruda. Maszerujemy w przepysznych humorach drogą „Trzcńskiego“ na placówkę Nr. 4 i stamtąd wprost na wschód, na górę Tabal.

Od placówki szykiem ubezpieczonym. Na szpicie Styk, Flojar, Adek i przewodnik austriacki i ja, na bokach Turski, Wolski, na prawo Lodek i Siewicz. Maszerujemy w bezzwzględnej ciszy. Boczne ubezpieczenie zakryte przez poszycie leśne, zdaje się płynąć, tak bezszelestnie, z baczny wzrokiem posuwa się, kolumna o 100 kroków maszerująca za nami nie sprawia najmniejszego szelestu. Idziemy jak zakłète duchy. Ciszę przerywa tylko delikatne kucie dziecięcia, radosne świergotanie ptactwa lub nagłe, ostre kwilenie jastrzębia.

Od zachodniego zbocza pierwszych wzgórz Tabala, maszerujemy bokiem ściany, to lasem, to ogromnymi polanami. Kolumna za nami raz w raz zmienia szyk, to rozprężając się w tyraljerę, to skupiając się w dwuszeręgi, zależnie od terenu, a na bokach śmigają ubezpieczenia ciągle w niezmordowanej pracy nóg.

Coś koło 2-ej dochodzimy pod szczyt Tabali. Fantastyczne, piaszczyste wzgórze, porośnięte jałowcami, nagłe, spadziste ściany, to łagodnie podnoszące się zbocza. Teren poszarpany, rzadka zalesiony — pełen niespodzianek. Jakoż i wnet się niespodzianki zaczęły, bo patrol boczny melduje, że na szczycie Tabali są Moskale.

Kolumna ukryta w gąszczach i za pagórkami — my zaś obserwujemy. Rzeczywiście, jest ich czterech i sprawiają wrażenie, jakby nas również obserwowali.

Milcząca obserwacja trwała dość długo, lecz z bajecznym spokojem z obu stron. Mam wrażenie, że mochy chcą nas sprowokować. Przyznam się, że w żadnym razie nie wdawałbym się w awanturę, mając za sobą 30 ludzi, a przed sobą ostre zbocze, za którego zasłoną Bóg wie, ilu jest Moskali. Styk widocznie jest tego samego zdania, gdyż po zorientowaniu się w terenie, nie zdradzając się najzupełniej — wracamy.

Po 5-ej, o zmroku już przyszliśmy do Neues Palais, zmęczeni solidnie, zrobiwszy dziś przeszło 20 km, w tem połowa drogi marszem ubezpieczonym.

Wieczorem odwiedził Styka ppor. Myszkowski¹⁾, który z 4-ą kompanją II bataljonu wracał ze „Stitzpunktu” „L” do Karasina.

11 lutego. Nad Wiesiołuchą. — Dzień przeszedł w wielkiem ożywieniu. Styk z Roweckim kombinowali, kombinowali, aż wykombinowali aby kompanję przenieść na drogę do Biroku, żeby była tuż przy kolumnie bataljonu, który wczoraj przemaszerował. Zaraz więc po obiedzie przenosimy się. Wiara bierze cały majątek na plecy, słomę, siano, okna, piecyki, rury i tak obciążona w przepysznych humorach maszeruje o kilometr od Neues Palais.

Na miejscu roboty huk, ziemianki trzeba przerabiać. Styk wybrał ziemiankę, z której po kilkogodzinnej pracy zrobiliśmy we dwójkę cacko. Dwie prycze z kilimkami, dwa stoliki, ściany obite na biało (z płócien śnieżnych koszul)—jednem słowem ziemianka wygląda jak paniński pokój, tylko że bez panienki. Z piecykami zato mamy kłopot, gdyż wszystkie trzy kompanje i komenda bataljonu odbierają nam wypożyczone piecyki.

Jutro Leonhardi, komendant 9 dywizji kawalerji urządza przegląd bataljonu. Kręcą głowami nasi bidni oficerkowie, żeby jakoś wyglądać. Szable będą mieli tylko kompanijni i Sław, reszta bez szabel. Pożyczają nagwałt płaszczy, bo w kożuszkach nie można — i tak się biedzą...

Pierwszy pluton ma olbrzymią ziemiankę, w której urządza nawet scenę teatralną.

12 lutego. Nad Wiesiołuchą. — Sław zły! Zły jakby go osy pokąsały i trzeba mu przyznać, że ma o co. Wogóle jakiś dziwny bałagan panuje przez dzisiejszy dzień, bałagan, nie pozbawiony humoru. Do kwatery Leonhardiego, dowódcy dywizji, przyszedł jakiś dłubinosek z 1 kompanji pytając czy niema jakich „ruł” do piecyka! Wyobrażam sobie przerażenie i zdumienie, jakie musiało się odbić na twarzy eksceleńcji, gdy z podobnem pytaniem reluton się do niego zwrócił... Szefowi sztabu dywizji, grafowi Tyszkiewiczowi w biały dzień strzelono w szkopek rakieta z pistoletu świetlnego, a kompanja 1 w kilkanaście minut rozebrała stóg siana austriackiemu „Jagdkommando”. Jednem słowem same skandale!...

A dzisiejsza defilada! Jenerał nietylko musztrę formalną chciał zobaczyć ale i również ćwiczenia taktyczne. Zapoznał się nawet zbliska z demokratyzacją naszych stosunków, bo na uwagę, zwróconą 1 kompanji, Warski zaczął z eksceleńcją dysputę!.. Biedny eksceleńcja, który z nas chce zrobić wojsko, z nas „ewige Bande”...

Żeby tak tych byków, całą komendę 9 dywizji kawalerji Moskale

¹⁾ Obecnie podpułkownik S. G.

zafasowali, żeby ich wyćwiczone regimenty powiały, a my żebyśmy ich odbili — dopiero by się nam klaniać zaczęli. A tymczasem sekują, sekują na każdym kroku.

3 pułk który jest przy 11 dywizji kawalerji za bezowocne polowania jednej ze swych kompanij dostał kilka odznaczeń, a Stykowi, gdy poszedł się wymeldowywać z „Jagdkommando” powiedział szef sztabu, ów graf Tyszkiewicz: Sehr gut, sehr gut!

14 luty. Nad Wiesiołuchą. — Austrjackie „Jagdkommando” dostało wczoraj solidnie. Poszli w 50-ciu na Tabalę, zoczyli na górze Moskali (tak jak my swego czasu) złakomili się i dostali potężnie. Dzięki ręcznym granatom zdołali się wydostać z objęć tyraljerek ezerskich i wywali, zostawiając 3-ch zabitych. Przyprowadzili 3-ch rannych, z których jeden dzisiaj zmarł.



Posterunek nad Wiesiołuchą.

Jeszcze ciekawsza rzecz. Oto na tyłach frontu, za Jeziercami schwymano uzbrojony patrol rosyjski. Przekradł się on widocznie przez błota, tłukł się na tyłach dwa dni i błędząc — nie mogąc wrócić — poddał się.

Dywizja w pełnem przerażeniu — wszystkie rezerwy aż do Kowla i Brześcia śpią pewnie w pogotowiu. A Moskale ruszają się mocno. Dzisiaj znowu wypadli na dzienny, stały patrol placówki Nr. 1, poranili dwu.

Mróz jest dość silny, błota pomarzły, więc Moskaliki hulają. Jeżeli my im nie natrzemy skóry i nie odwiedzimy ich placówek, to oni gotowi zajrzeć tu do nas, do rezerwy dywizji.

16 luty. Nad Wiesiołuchą. — W nocy spadł wspianiały śnieg i rano ujrzeliśmy się wśród lasu jak z bajki zaczarowanej. Olbrzymie, grube

okiście na sosnach, przecudna biel, wokoło okiść sypka, w mig się rozsypująca, gdy kto potrąci ciężkimi gałęziami... Niebo wisi szarą, ciężką płachtą, zrzadka podartą niebieskimi skrawkami, a w lesie rozpostarła się majestatyczna cisza bieli... Jeno przejrzysta, śniada mgiełka podnosi się z białych całunów, miękkich i puszystych.

17 luty. *Nad Wiesiołuchą*. — Czytam „Popioły” i zdumiewam się. Wiedziałem, że można być artystą, a intuicją duszy odczuwać ból, zło, piękno — ale nie myślałem, że w takim stopniu. Żeromski jest poprostu genialny. Co za nadzwyczajna psychologia żołnierskiej duszy, co za wspaniałe wczucie się w zwykłe fizyczne zjawiska, jakie nadzwyczajne, subtelne odmalowanie wrażeń...



Rada pułkowników; od lewej: rtm. Kochański, ppłk. Januszajtis, ppłk. Minkiewicz, mjr. Berbecki, mjr. Belina-Prażmowski, ppłk. Norwid Neugebauer, ppłk. Smigły-Rydz, ppłk. Brzoza, mjr. Galica.

Przemawia duszą wielką, duszą, która czuje, żyje, odczuwa fibry całego życia. Co za artysta!... Brak mi słów, zdań, okresów, zdolnych określić to co czuję, czytając tę epopeję legionową, w której tak wspaniale zdołał się Żeromski wczuć w psychikę nas, bezdomnych i bezpańskich żołnierzy.

19 luty. *Nad Wiesiołuchą*. — Przyjechał dzisiaj major Berbecki z nowinami o radzie pułkowników. Po odprawie bataljonowej, dowiedzieliśmy się szczegółów od Styka. Otóż sprawy najważniejsze narazie odroczone do następnego zjazdu, głównie omawiając sprawy ściśle wojskowe. Nasi pułkownicy interes Brygady i naszej ideologii prawie że przeprowadzili. Legjony uznano jako formę przejściową, a jako dalszy ich rozwój uznano konieczność armji polskiej i z tego

tylko punktu, jako na kadre armji narodowej należy według rady patrzeć na Legjony. Zastrzegają się stanowczo przeciwko narzucaniu komendanta Legjonów z wojska austriackiego, komendanta, który nie wyszedł z Legjonów i nic z nimi niema wspólnego. Tezy naszych pułkowników podtrzymywał gorąco Roja¹⁾, który od czasu Koszyszcza jest zupełnie Komendantowi oddany i Galica²⁾. Radę reprezentowali: Śmigły, Januszajtis, Minkiewicz,³⁾ Roja, Berbecki, Galica, i Żymierski. Ostatecznie sprawy tej nie załatwiono, tyle tylko, że przyjęto projekt jednakich odznak, który ma przygotować Śmigły. Na kasę oficerską zgodzono się — choć nie obeszło się bez zarzutów zbytnej demokratyzacji w Brygadzie, na co Berbecki zareplikował, że oni, t. j. II i III Brygada mają system rosyjski i austriacki, a my japoński. Omawiano poza tem sprawy 6-go pułku, który przyłączony ma być do Brygady i uzupełniony naszymi szarżami. Według danych siły pułków przedstawiają się następująco⁴⁾.

	żołnierzy	bagnetów	k. m.
1 p. p.	960	580	2
2 p. p.	1120	720	9
3 p. p.	1380	780	12
4 p. p.	1200	650	7
5 p. p.	1158	725	4
6 p. p.	940	600	4
7 p. p.	1020	640	2
	7778	4695	40

Kawalerji szwadronów 10 — szabel 960, artylerja dział 36 — żołnierzy 3.000. Razem w linii 11.738 żołnierzy.

Jednem słowem w polu mamy około 12.000 żołnierza. Następny zjazd ma się odbyć w najkrótszym czasie. Jest już i nowy komendant Legjonów, jakaś pocziwina austriacka, generał Puchalski.

21 lutego. Nad Wiesiołuchą. — Rano ćwiczenia. Po południu poczta, zaczytywanie się gazetami, a wieczorem w komendzie kompanji lekka popijawa. Zeszli się komendanci plutonów, Flojar, jest nieco wódeczności i dobrych rzeczy, więc bawimy się wspaniale. Szczególnie świetny był Styk, który wynalazł na Kosiorze Himalaje.

Moskale usadowili się na fest na górze Tabala. Był tam dzisiaj patrol austriacki z „Jagdkommando“ i nie wdając się w strzelaninę, doszedł do ubezpieczeń rosyjskich, gdzie ponoć napotkali kilku kon-

¹⁾ Generał dyw. w stan. spoczynku. ²⁾ Obecnie gen. bryg. ³⁾ Obecnie gen. dyw. ⁴⁾ Wykazany w tem zestawieniu 7 p. p. leg. składał się z V i VI bataljonów I Brygady i tę numerację miał tylko wewnątrz I Brygady, gdyż oficjalnie VI bataljon należał do 1 p. leg., a V bataljon do 5 pułku.

nych oficerów. Pono i Orlicz od „Fröhlicha” miał się wdać ze szwadronem w awanturę na prawo, lecz szczegółów jeszcze nie mamy.

22 luty. *Nad Wiesiołuchą.* — Dzień suchy, mróz taki, jak w początkach listopada. Wiesiołucha całkiem zamarzła, lecz na Tabale nie pójdziemy, bo ponoć 9 dywizja kawalerji ma naszej konkurencji dość. Wczoraj znowu poszła austriacka „Jagdkommando”, a od Fröhlicha-Orlicz. Trepy ostrzelani szybko wywiali, a Orlicz podlaży blisko, zrobił szturm i tak się naawantuował, że dzisiaj Haucz znowu gratulował brygadzie. Szczegółów nie mamy, lecz beliniaki musieli się dobrze spisać, gdyż Orlicz to morus niepośledniej miary. Trepom daje to po nosie — drugi raz idą z nami i po raz drugi nic im się nie udaje. Ale bo też oni nadzwyczajnie chodzą na te patrole. Idą jak krowy aż las grzmi, z kichaniem, trzaskiem, pyśkowaniem, tak że Moskale o 3 km ich słyszą i zawsze odpowiednio przyjmą. A u nas — każdy patrol milczący, zasłuchany, skupiony, zebrany do skoku. Na ubezpieczeniach, na patrolach to chłopcy wyglądają jakby mszę świętą odpawali, to też zawsze Moskali zajdziemy, gdy się najmniej tego spodziewają.

23 luty. *Nad Wiesiołuchą.* — Gruchnęła dzisiaj nagle pogłoska, że Rumunja wypowiedziała wojnę państwow centralnym. Okropnieśmy się zdumieli bo te cenzurowane piśmidła głosiły jako że całkiem się ma przeciwnie. Czekamy potwierdzenia, a narazie wiara się cieszy. Ano Polska zyska, a leguny stracą, bo nam skórę spiorą.

Nazwaliśmy dzisiaj nasze ziemianki wsią „Garówka Barania” w gminie Tabala, w powiecie rezerwowym, w województwie Sławskim.

24 luty. *Nad Wiesiołuchą.* — Rano mieliśmy ćwiczenia taktyczne pod okiem pułkownika Serdy, komendanta 4 pułku dragonów. Dwoma kompanjami, 3 i 4, markowaliśmy atak na szanie „Nirwany”. Po ćwiczeniach nastąpiły omówienia, pod koniec których zabrał głos pułkownik Serda. Mówił jako przedstawiciel Polaków, nie mających szczęścia walczyć pod sztandarami legionowemi, lecz czującymi tak samo jak i my. Zaczął od słów: Żołnierze obywatele — czem odrazu wiarę za serce chwycił. — Wogóle od czasu jak tu stoimy bardzo serdecznie się nami zajął — a już dzisiejszem przemówieniem wkupił się do nas całkowicie. Morus musi być, boć gdyby takie przemówienie doszło do jego władzy niebardzo by się dobrze mu działo.

25 luty. *Nad Wiesiołuchą.* — Do południa byliśmy na strzelnicy, gdzie tłukliśmy na hura przy mroźnym, ostrym wietrze. Gdyśmy wrócili, przyszła wiadomość, że komendant „Jagdkommando”,

Leutnant Chattenfroid zginął wczoraj na patrolu. Ambitny Leutnant chciał koniecznie się postawić i co nieco zafasować Moskali na Tabala, wlaźł naturalnie ze swoimi trępami pod same lufy czerkiesów, którzy ich stłukli w niemożliwy sposób.

27 luty. *Nad Wiesiołuchą.* — Na dworze szarpanina wiatru i chłód bijący z lasu. Ćwiczeń dziś niema — snąć kapitańsko silnie wczoraj przemarzło. Przez cały dzień siedział u mnie Flojar z Kocem, więc obgadywaliśmy spraw coniemiarą. Pogłoski o utworzeniu korpusu polskiego mnożą się. Sazonow mówił w Dumie, iż ma wiadomości, jakoby Niemcy za cenę nowych ustępstw i urojonych obietnic chcieli ściągnąć z Królestwa 400 — 500 tysięcy żoł-



Zapory z drutów kolczastych nad Wiesiołuchą.

nierza. Musi coś być w tem, bowiem coraz to śluchy przychodzą o owym korpusie. Będziem się więc targowali, a zdziebko więcej karabinów zawsze się w Polsce przyda.

28 luty. *Nad Wiesiołuchą.* — Wstrzykiwali nam dzisiaj po podwójnej dozie tyfusu, więc wiare cholera z tyfusem ciska, gdyż piersi napuchły jak kandelabry.

Wieczorem jako że kantyna przyszła — zapijanie tyfusu. Flojar został na placu, jako rex bibendi — reszta skończyła marnie.

1 marzec. *Nad Wiesiołuchą.* — Jutro lub pojutrze pójdziemy do Leszniewki. Dzisiaj przyszedł rozkaz o zniesieniu niemieckich pieczętek i druków wysyłanych z Brygady. Papiery nasze ponoć idą w górę. Sazonow w mowie inauguracyjnej obawia się, by Polacy nie dali się wziąć na lep prusko - austriackich obietnic i nie utworzyli potężnej

armji. Coś wisi w powietrzu, coś się robi. To nawet u nas daje się odczuwać. Dziś, na przykład, bataljon wysła kilku oficerów na kursy artyleryjskie w związku z mającym nastąpić wzrostem artylerji.

7 marzec. Nad Wiesiołuchą. — Dnie płyną bez zmiany. Trochę ćwiczeń, nieco gazet i oczekiwania na wiosnę. Pułkownik Serda miał dzisiaj odczyt — referat dla oficerów, w którym mówił o nas, o legunach, jako że jesteśmy romantykami, idealistami w zamiarach, a surowymi realistami w czynie. Przeprowadzał porównanie między nami a 63 rokiem, poza tem mówił o ogniu, o bitwie, o harczie żołnierskim dużo słusznych uwag. „Sztama” między nim a legunami jest zupełna. W naszych tarapatkach z „awstrijcami” bodaj że pierwszy raz ktoś do nas głośno się przyznaje, za „ewige Bande” nie ma i z nami głośno trzyma, karierę austriacką, delikatnie mówiąc, mając w „pięcie”.

13 marzec. Nad Wiesiołuchą. — Ziemianka do południa trzęsła się od chrapania, gdyż wiara po nocnej placówce śpi jak zabita. W nocy mieliśmy niejaki bałagan. Sław, Styk i Rowecki wpadali ustawicznie na rondy do placówek, przyczem II pluton a i nasz coniebaż się wysypały. Poza tem posterunki alarmowe zdwojono i zmieniono hasło, bowiem wczoraj uciekł do Moskali „Zugsführer” z sąsiedztwa. Naturalnie pepik. Skutki okazały się natychmiast, gdyż zaraz z wieczora Moskałe capnęli całą placówkę austriacką, a dziś przez całe przedpołudnie bili do baterji Nr. 2 i to celnie.

14 marzec. Nad Wiesiołuchą. — O 5-ej po południu odprawa podoficerów, komendantów placówek u Koca, a potem marsz. Od tygodnia zamęczają nas placówkami, które w tych błotach nie należą do nazbyt przyjemnych, tem bardziej, że pilnuje się tylko kaczek i chmar wodnego ptactwa.

Objąłem placówkę Nr. D nad Wiesiołuchą. Ziemianka mała, lecz wygodna, wziąłem więc szkice o „Odrodzeniu” Gobineau i przez noc je przewertowałem. Na tak zwanym „froncie” spokój zupełny, zrzadka padnie strzał. Wiatr dmie duży, ciepły — lód trzeszczy i łamie się pod nogami. Jeszcze z tydzień, a Wiesiołucha „puści się”...

18 marzec. Nad Wiesiołuchą. — Znów dnie na ćwiczeniach, noc na placówkach. Przyjechał dzisiaj Berbecki i „trzymał” bardzo długo odprawę w bataljonie, dla wszystkich oficerów. Ponoć „ni z tego, ni z owego ma być Polska na pierwszego” i to już kwietnia. Z ważniejszych wiadomości są te, że Komendant i Puchalski zostali wezwani do Cieszyńska, a Rada Narodowa w Warszawie już się ponoć zebrała i przedstawiła sążnisty memoriał mocarstwu centralnym. Poza tem wszystkie stronnictwa wybierają 10 członków, N. K. N. daje 5 i tych piętnastu, zatwierdzonych przez Niemców i Austrię, ma utworzyć Rząd Narodowy, od której to chwili życie polskie ma wejść w fazę

państwowości. Niemiaszki podobno od kwietnia mają opuścić Królestwo — i stać ta plotka o Polsce na pierwszym...

Bądź co bądź, jakkolwiek nieprawdopodobnie narazie wszystko wygląda, dzieją się rzeczy ważne.

19 marzec. *Nad Wiesiołuchą.* — Mamy dzisiaj imieniny Komendanta, dzień więc uroczysty i świąteczny.



Komendant.

Wieczorem cała nasza kompanja w kolumnie czwórkowej, z płonącymi pochodniami, z biało-czerwonemi lampionami i orkiestrą, z wielkim na przedzie prostokątnym lampionem i napisem: „Niech żyje Komendant Piłsudski” — przemaszerowała ze śpiewem i graniem obok baterji Nr. 2, 2 i 3 kompanji. Później przed komendą kompanji w kole rozświetlonym pochodniami, „diadka” Radwański, ordynans konny Sława, wydziwiał różne tańce ku wielkiej radości tłumnie zebranej wiary.

24 marzec. *Nad Wiesiołuchą.* — Bez zmiany. Tyle tylko, że rozpadały się deszcze. Przed 6-tą wieczór poszedłem na placówkę, gdzie skropił potężnie chłopców deszcz, który naniósł targane wichrem chmury dżdżyste, ciemne, co chwila bluzgające ulewą.

Po północy dopiero porozganiał wiatr chmurzyska i zaiskrzyło się niebo drgającymi gwiazdami i wzeszedł błądy w czerwieni wschodu ogromny księżyc. O 4-ej świta. Trzepocą się w wodzie kaczki i raz wraz parami przelatują, kwacząc rozgłośnie, szepliwymi ruchami skrzydeł przelatując tuż, tuż...

Perłowy świt powstawał z nad rozlanych wód Wiesiołuchy, na wschodzie coraz silniej różowiło niebo. Błądy gwiazdy i w spokojny błękit zapatrzone tafle Wiesiołuchy szemrząc cicho odbijały drgający długi cień księżycy. Szarzała noc coraz bardziej i coraz mocniej błyszczała tafla wód. Ciszę poranka drażno chrapliwe wrzaski kaczek, aż w pewnej chwili rozgwarem ptactwa, pluskaniem wody, łopotaniem skrzydeł napełnił się dzień.

Klangory zórawiane dźwięczały brzękliwie, tęsknie, niby dalekich dzwonów jęk w czystym i jasnym powietrzu i leciał radosny krzyk ciągnących górą gęsi.

Nie spałem przez całą noc ani chwili, zagłębiony w berentowską „Oziminę”.

25 marzec. *Nad Wiesiołuchą.* — Przed południem Pandor Furgalski wykladał o gazach trujących, których mają używać Moskale w ofensywie i objaśniał nam zabezpieczanie. Dwa modele masek — pruski i austriacki. Pruski bez porównania morowszy. Gaz przechodzi z powietrzem przez tubę i na laseczkach amonowych zatrzymuje się, wskutek czego przedostaje się czyste powietrze do płuc.

26 marzec. *Nad Wiesiołuchą.* — Dzisiaj w nocy o 11-ej mieliśmy alarm urządzony przez dywizję. Pluton nasz i kompania pionierów się zwinęła i w 10 minut staliśmy na placu alarmowym przy „reitende Artillerie 2”. Byli już tam austriacy oficerowie i przytoczyła się ekscelencja Leonhardi. Nie brakło naturalnie i skandalu, bo Talarczyk, spuszczaając kurek, wypalił, czem niemało speszył ekscelencję, która kazała go surowo ukarać.

Z placu alarmowego ruszyliśmy mając za zadanie zająć drugą linię okopów, przed „Stitzpunktem” D 1. Koc ruszył jako szpica naszego przedniego patrolu — za nami w głuchej ciszy, dzwoniąc ryszunkiem, posuwała się 4 i 3.

Ćwiczenia trwały do 2-ej.

27 marzec. *Nad Wiesiołuchą.* — Skończyły się nasze placówki i rozpoczął się okres robót. O 5-ej rano pobudka, przed 7-mą zbiórka i marsz do lasu na budowanie drogi mostowej przez bagna. Robota sakramencko podła, bo przez cały czas w wodzie, to też wiara wściekła. Przenudziliśmy czas jakoś do 11-ej, a potem na kwatery, by za 2 godziny zpowrotem przyjść.

Spadł deszcz i tumanami wilgotnych mgieł okrył las. Czepiały się wałęsające mgły gałęzi sosen i świerków jak nuda, szara i monotonna.

28 marzec. *Nad Wiesiołuchą.* — Zalany słońcem, z mokradeł się podnoszący, z błyszczących tafli wód, młody las... Jeszcze brzoźek młode pędy nie pokryły, jeszcze nagimi gałązkami wyciągają swe roztrącone główki ku słońcu... W zasłuchaniu i ciepłe słońca stoi las, ćwierkaniem i donośnym gwizdem ptaków rozebrzmiany... W górze, w czystym, bladym błękitie rozlega się co chwila rozgłośny krzyk dzikich gęsi, ciągnących na północ.



Patrol nad bagnami Wiesiołuchy.

Budujemy w lesie mostową drogę dla rezerwy. Robota idzie dość szybko i żwawo, choć ludzie brną po kostki w wodzie.

Na linii jakiś ruch... W czystym, cudnem powietrzu trzaskają charakterystycznie rosyjskie strzały. Zależnie od temperatury powietrza inny one mają ton. Dzisiejsze przypominają mi strzały wiosennej ofensywy i konarskich bitew.

29 marzec. *Nad Wiesiołuchą.* — Na linii ruch. Dzisiaj w nocy 1 i 2 kompanja zostały zaalarmowane. Gdzieś tam na południu nawet porządnie się awanturowali. Jeżeli tu będziemy dłużej siedzieli, a ruch będzie, Austriacy nam dość często alarmy będą wyczyniali.

30 marzec. *Nad Wiesiołuchą.* — Mamy już dzisiaj trzeci dzień wiosny. Raniutko, gdy różowy brzask odświeży las i tysiącami skier zagra na kropelkach rosy, przed ziemianką zbiórka. Robota szła sporo, gdyż dzień się prawie zrobił upalny i wiara z przyjemnością bro-

dziła po zalanej łące. Jednakowoż są wszyscy obuci, gdyż co chwila ktoś kijem zatłucze czarną, z jasną pręgą na grzbiecie, zmię.

4 kwiecień. Dziś 3 kompanja miała wściekłą awanturę z Oberleutnantem od trepów, który zwymyślał żołnierzy, pomiatając nimi srogo i ich narodowość. Gwałt okropny, oficerowie latają do Austrjaków i zpowrotem. Sław, Warski¹⁾ i Mazur wyzwali draniaszka na pojedynek. W dywizji i u nas wre z tego powodu nadzwyczajnie.

6 kwiecień. *Nad Wiesiołuchą*. — Nie mogę pisać. Dni przechodzą bezmyślnie i jałowo, zajęte tylko sprawami plutonu, tak że niewiele czasu jest na zebranie myśli i na czytanie. Zresztą i tego mi się nie chce. Przyszedł okres paskudnego lenistwa myśli i woli.

7 kwiecień. *Nad Wiesiołuchą*. — Godzina 8 wieczór. W tej chwili skończyłem czytanie na głos „Złotowłosej dziewczyny“ Makuszyńskiego i innych nowel, z czego wiara ryczała do nieprzytomności. Korzystając z ciepłych wieczorów, coraz cięśiej urządzam chłopakom taką frajdę przed ziemianką.

10 kwiecień. *Nad Wiesiołuchą*. — Rano objąłem służbę w bataljonie. Cały dzień prawie przeszedł na jakichś sprawach, związanych z warsztatem szewckim, o który Sław ni stąd ni zowąd wyczynił straszny kryminal. Lataliśmy z Flojarem po wszystkich kompanjach, żeby to galganieństwo jakoś zebrać.

11 kwiecień. *Nad Wiesiołuchą*. — Godzina 9 wieczór. Przy stole Edek Pfeiffer, tak dawno niewidziany wśród naszego grona. Wrócił wczoraj i to wprost z Łodzi, obładowany paczkami i listami.

Zapisujemy zamówienia do kantyny na święta, a zmordowani jesteśmy setnie, bo od 2-ej po południu do 9 wieczór mordował nas jakiś podpułkownik Lempruch, któremu paralityczne drgawki wykrzywiały gębę, aż mu szkopek na głowie podskakiwał. Żli srodze i zmęczeniu wróciliśmy, gdyż durny trep zabierał się do nas jak do rekrutów.

W nocy z Edkiem i Adkiem włóczyliśmy się po placówkach i po sypkich wzgórkach, zalanych miesięczną poświatą, długo gwarząc.

Niech szlag trafi alarmy! W tej chwili ryczą, że znów alarm!...

16 kwiecień. *Nad Wiesiołuchą*. — Placówki, alarmy, ćwiczenia, łażenie po błotach, konkurencja z bocianami, płoszenie żab i wszelakiego tałałajstwa błotnego — to nasze codzienne zajęcia. Kiedyż się od tych durnych trepów austriackich oderwiemy. Koniecznie chcą z nas zrobić wojsko, a co puhacz odezwie się w lesie po nocy — już robią alarm!

Dziś mamy wieczór spokojny. Przerwaliśmy dopiero co wspomnianie przemiłych czasów, awantur i patroli nad Nidą. Ileż wspomnień, ile czaru w tej naszej beztrosce, w tej wojnie traktowanej jak

¹⁾ Podporucznik, poległ pod Kostjuchnowką.

nieprzerwaną hecę, w tych hultajskich kawałach, wyprawianych Moskalom. Nasza wyprawa 3-go maja. Szalony łobuzerski humor, traktowanie wyprawy jak psiego figla. Dobre to jeszcze były czasy!

18 kwiecień. Nad Wiesiołuchą. — Dzisiaj przegląd rezerw przez dywizjonera — generała Leonhardi. O 8-ej marsz dwiema kompanjami na drogę „Trzcńskiego”.

Ranek wstał pochmurny po dżdżystej nocy. Z pól nabrzmiących wilgocią bije cikliwy, mocny zapach. W górze dzwonią skowronki na prześcigi — wiatr czasem przeciągnie duży i ciepły, lecz chmur nie rozpędza. Nie wypogadza się ani trochę.



Patrol nad Wiesiołuchą.

Na szerokiej, piaszczystej, wyżłobionej koleinami wozów projan-towych i amunicyjnych drodze — sfrontował w prawo półbataljon. Wnet przygalopował podpułkownik Lempruch z wieczną drgawką na suchej twarzy, jakgdyby komuś przytakiwał, za nim dzwoniąc i chrzęszcząc łopatkami, z jednakiemi, jasnobronzowemi chlebakami, nadciągnęły 3 szwadrony spiesznej kawalerji. Przy spokojnej, równej komendzie Sława: „półbataljon — do nogi broń!” — rozległ się krzykliwy, koguci głos: „rittmeistra — bei fuss!” Wyrównali „awstrijcy” i my na nich; czekamy na ekscelencję.

Jakoż po niedługim czasie rozległ się wrzask ich komendy: „De-fielierung — rechts schau!” i za chwilę Sław stojący o 30 kroków przed środkiem bataljonu zakomenderował równym głosem: „półba-taljon w prawo patrz!” Trzasnęły wraz ręce wyprężone o szyjki kolb karabinowych i drgnieniem jednym rzuciły się głowy w prawo.

Za chwilę zajaśniał złoty kołnierz generalski, wydęty brzuch, krótkie z szerokim, krasnym lampasem nogi i tłusta, w siwy wąs przybrana twarz poczęła się przesuwać wzdłuż frontu. Dwóch adjutantów, z których jeden miał wygląd sępa i kaprawe oczy, elegancko sunęło za nim.

Siwe maciejówki, orzelki jasne — jak kwiaty do słońca równym ruchem odwracały się za odchodzącym mundurem generalskim.

Spokojne, obojętne były wejrzenia, nie sprzężona rozkochaniem postać żołnierza, nie wbite przysięgłe, wierne oczy. — Hej, żeby tak przed Dziadkiem, przed Komendantem!..

Z pół godziny ekscelencja mordował ćwiczeniami „awstrijców”; myśmy spoczywali, broń w kozły złożywszy. Po pewnej chwili kompanja nasza obsadziła okopy III linji w lasku, którą mają atakować „awstrijcy”. Ćwiczenia przeciągnęły się do 11-ej, aż spadł siarczysty, ulewny deszcz i pognął nas na kwatery. Objąłem zaraz służbę inspekcji w bataljonie i migiem odwalilem wszystkie rozkazy, mając popołudnie spokojne już zupełnie.

20 kwiecień. *Nad Wiesiołuchą.* — Jestem niezdrów. Ta przekłeta poleska wiosna daje mi szkołę. Przeziębionym mocno, bóle mam pod łopatkami i podle się czuję. Jutro nie pójde na ćwiczenia, jak będę się nadal tak marnie czuł!

21 kwiecień. *Nad Wiesiołuchą.* — Do południa mamy wolny czas. Dzień dość pogodny, ale wietrzny i niebo ogromnie ruchliwe. O 2-ej zbiórka i ćwiczenia dwiema kompanjami ze Sławem. Po kilkukilometrowym spacerze coś od „Lager D 1” przeszliśmy las jako oddziały wywiadowcze w kierunku za uchodzącym nieprzyjacielem. A więc linja plutonami, odległość wzrokowa, ubezpieczenia. Doszliśmy tak do polany strzelnicowej, na której rozrzuciliśmy się w tyraljery. Dość pogodne dotąd niebo poczęło się od zachodu pokrywać gęstemi, ciemnymi zwałami chmur, które hucząc głuchemi gromami szły ku nam. Wiatr dał szybki, nagle raptownie się zrywający.

Zajaśniał przed nami piaszczysty wzgórek, na którym miał się znajdować nieprzyjaciel na jakieś 700 kroków od nas. Gdyśmy się rozrzucili w tyraljerkę, chmury już bliżej podeszły i naraz zerwał się szalony orkan. Załopotał, zaszumiał las, tumany piasku, zwiru oddzieliły nas momentalnie od wzgóрка. Jak furja z rozwianemi włosami gnał wiatr grzywy piasku, siekąc nielitościwie w twarz... Ciemny las naokoło, pochylony, darty wichrem szumiał głęboko, a chwilami szum przechodził w grzmot i trzask.

Gdyby tak na wzgóрку wtenczas rzeczywiście siedzieli Moskale, to moglibyśmy pod osłoną wiatru i kurzu momentalnie się podsunąć.

Kropnął wreszcie deszcz, ale niedługo, a i myśmy wrócili na kwatery. Zaziębiony jestem solidnie. Chrypa, ból w piersiach i krzyżach nie opuszcza mię zupełnie, lecz pocieszam się, że gdy słońca trochę przyjdzie wszystkie bóle miną.

Na linii jest „Achtung mit den ganzem Linien”. Moskale biją teraz codziennie z dział i wstrzelani są zupełnie dobrze. Nawet w drugą linię okopów są wstrzelani doskonale. Kompanja 1 i 2 ma pogotowie, a i my ciągle się alarmu spodziewamy, lecz już prawdziwego. Możliwe, że Moskale będą nam chcieli popsuć święta!

23 kwiecień. Wielkanoc. — Nad Wiesiołuchą. Ożywiony dzień. Po smacznem śniadaniu, zajęliśmy się do południa samemi fasunkami. — Obiad wspólny dla całej kompanji, obok ziemianki komendy kompanji rozbito trzy rzędy długich stołów, pokryto je płótnami namiotowemi i wśród sympatycznego nastroju, po podzieleniu się jajkiem, zajął się każdy konsumowaniem potężnej porcji ryżu z cukrem i kluseczek z szynką.

Po południu mieliśmy „matsch” z II i III plutonem. Gra była ogromnie ożywiona. Daliśmy im 6:3 nadspodziewanie, gdyż oni tam mają doskonałych graczy.

24 kwiecień. Wielkanoc. — Przyjechał przed południem Kosior z Lublina z zakupami świątecznemi. Obiad kompanja wydaje dopiero o 4-ej, więc o 1-ej rozpoczęliśmy „matsch” z 3-ą kompanją. Zmęczeniu, lecz rozradowani wygraną wracamy na obiad, który się przeciągnął do 6-ej przy bardzo miłym nastroju. Wieczorem przy najrozmaitszych fasunkach — rozhulały się humory na dobre. Do późnej nocy kąt nasz w ziemiance rozbrzmiewał śmiechem i dowcipami.

25 kwiecień. Nad Wiesiołuchą. — Dzisiaj mieliśmy jeszcze jeden obiad wspólny, kończący święta. Jutro maszerujemy do Leszniewki, czy też do Karasina, a stamtąd całą Brygadą do Wołczecka i zmieniamy na pozycji III Brygadę. Zaczęła się więc wiara pakować, wyrzucać niepotrzebne rzeczy, czyścić się i obchędażać — w staropolskim tego słowa znaczeniu. 9 K. T. D. żegnamy z cynizmem, kradnąc i ładując na nasze wozy co się tylko da z polowego dobytku. Jeśli nas jeszcze i naszej konkurencji dosyć nie mieli — to po tem „pożegnaniu” krew ich zaleje i raporty będą szły aż do Cieszyna. Już widzę jak się poci nad odpowiedzią Nałęcz w Brygadzie i jak sława „ewiğe Bande” rośnie, rośnie coraz bardziej po wszystkich „amtach” austriackich...

26 kwiecień. Wymarsz do Leszniewki. — O 6-ej zbiórka, maszerujemy do Leszniewki. W „Neues Palais” zbiórka całego bataljonu, który już trzy miesiące nie widział się w całości. A b a s neunte! — wołamy, gdyż mamy już dość tej 9-ej dywizji.

O 7-ej marsz. Za „Neues Palais” sosnowy las zaczął jaśnieć wiotkimi brzożami, a piaszczysta gleba przechodzi powoli w przepyszną, rzeźwą zieleń traw...

Brzożki już się pokryły dziewiczym, leciuchnym listkowiec, a ogromne łąki zachwycają oko jedyną, precudną barwą zieloności tak żywej i mocnej, że aż ćmi w oczach... Rozszeptane wokół młode trawy, najmłodsze pierwotne kaczeńce i mgławce, strzeliste, rozsumiane sitowia, u brzegów ciemnych, głębokich wód...

Maszerujemy bez zmęczenia, po drodze wywalonej w lesie, po wbitych palach, po mostach długich z białymi brzożowymi bramami, po wyrzniętym ręką ludzką szlaku, wśród rozbudzonej do życia puszczy. Znała gruchnie wesół śpiew echem w lesie, lub wesół gwizd piosenki w zawody pójdzie z poświstem ptactwa, rozradowanego słońcem. Raz po raz rozcina las łąka zieloności przedziwnej, o rozemglonym, różowym brzegu przeciwnej lasu strony. To równo, mocno przerzyna ciemna linja boru zielonej łąki pas, to pajęczemi, jasnymi promieniami wystrzelają młodziuchne brzozy w różową osnutę mgłę. Z rozmokłych bajorów, cikliwych grzęzawisk podnoszą się często gęsto piaszczyste wydmy. Na jednej z takich rozbijały wydmy piaszczyste, z pośród gromady młodziuchnych sosenek wyrzuciła swe ramiona w górę trzema sępiemi rzutami, spękana stara brzoza. Porytym, spękanym odziomkiem krzywo się podniosła i trzy grube, mocne ramiona rozciągnawszy — rozpuściła wdół ku ziemi wiotkie smugi warkoczy, leciuchnym puchem okryte.

O 12.30 dochodziliśmy do Leszniewki witani przez orkiestrę przed wsią, a w samej wsi przez wszystkich oficerów II bataljonu z Wyrwą na czele, z butelkami w rękach, z wesołemi okrzykami, witających nasz sztab.

Zaraz też rozkwaterowaliśmy się. W Leszniewce II bataljon najrozmaitsze zabawy powymyślał, djabelskie młyny, huśtawki pobudował. Rozdokazywani oficerowie kręcą się na djabelskim młynie. Co chwila, na moment jeden — stanie w górze sylwetka majora Wyrwy i okrągłym ruchem spada wdół, a tuż za nim mkną Sław w powietrznej drodze, to Trapszo, to Bończa, to Pogoń...

28 kwiecień. *Leszniewka — Maniewice*. — O 6-ej rano zbiórka bataljonu. Dzwignęła się kolumna i w takt marszu równo się poczęły kołysać tornistry.

Wkrótce deszcz spadł rzęśisty i trwał już z małymi przerwami do wieczora. W Maniewiczach, na wzgórku — obok cerkwi, po zjedzeniu obiadu, rozkwaterowaliśmy się w długich, ciemnych ziemiankach.

WIOSNA ROKU 1916 NAD STYREM

29 kwiecień. *Maniewicze — Legionowo — Wołczek.* — O 5-ej rano pobudka. Idziemy do Legionowa, a stamtąd na pozycję.

Dzień chmurny, ciepły, lecz bez deszczu. Krajobrazy przepyszne! Las, najwspanialszy las pod słońcem, ogromne świerki, dębina naga jeszcze, brzoźki — delikatną mgłą liści pokryte, buki i wiotkie graby... Co chwila przepyszne zielone polany, na których się ostro wznoszą wysepki, ciasne kępy drzewne. Na tle jasnej, przejrzystej zieleni brzoź, czernią się wyraziście kontury świerków, i znów na ciemnej głębi świerczyny przepyszniemi plamami odbijają się brzozy...

Muzyka gra... Grzmiącemi, radosnemi tonami burzy ciszę leśną tysiące dźwięków, poszumnych tonów oddają drzewa. Czasem rozlewną melodją zasumia, czasem zatrząsie zagnęła echo trąb, rozedrga powietrze, napełni grzmiącemi tonami i znów wróci z wędrowki dalekiej, młodzieńczy, rzeźki ton i cichą melodją do nóg się kładzie...

Około 12-ej przeszliśmy koło baraków Legionowa. Mnóstwo tam sztabowców, z gwiazdkami na kołnierzykach, stało obok ziemianek przypatrując się z ciekawością naszej kolumnie. Ujrzałem Lucka Frakowskiego, Ostryharza i cały szereg łodziń z oddziału skautowego. Pod Legionowem — kolejka przez las prowadzi do Wołczecka. Kolejka dowożą prowiant, ruch na drodze ogromny...

Pod Wołczkiem staliśmy kilka godzin. Oficerowie pojechali na pozycję, wreszcie o 4-ej ruszyliśmy dalej. Za Wołczkiem, w „Lasku Polskim” gdzie stały ziemianki rezerw, Sław ogłosił z wysokości konia — że przez noc kwaterować będziemy razem z 3 pułkiem II-ej Brygady, więc nie dopuszczać mamy do żadnych kłótni, ani scysyj.

Rozkwaterowaliśmy się. Pluton dostał dość wygodną ziemiankę, gdzie mieszka jeszcze 10 trzeciaków, bardzo morowej wiary. W niedalekich okopach cisza, tylko od czasu do czasu ostro trzaśnie strzał rosyjski. Według informacji, odcinki przedstawiają się następująco: celownik tu jest przeważnie normalny. Jedna z placówek stoi w silnej reducie na zboczu wąwozu, po drugiej jego stronie są Moskałe, w linii powietrznej oddaleni o 100 kroków. Placówki ciągle tłuką się z sobą i straty są prawie zawsze. Podobno Moskałe podkopują się pod tę placówkę. Wogóle ruch tu jest znaczny i z powodu małych odległości front jest podobny do zachodniego.

Wieczór spędziłem na pogwarce z wiarą z 3 pułku. Odznak austriackich szczerą wiarą prawie zupełnie nie nosi, gwiazdki noszą przeważnie tyłowcy i banda hinterlandzka.

Tak więc stanęliśmy w „Lasku Polskim” obok „Polskiej Góry”. Taką oficjalną, wojskową nazwę nadali Austriacy niewielkiemu,

sosnowemu laskowi i szerokim wzgórzom, górującym nad wsią Kostjuchnowką i doliną Styru. O laszek ten i o wzgórze jesienią ubiegłą staczał uporczywie boje 2 i 3 pułk i zajął je wreszcie na stałe, górując nad rozległą doliną Styru. W Wołczeczku, który mineliśmy dzisiaj, o 2 km w tyle na starym, wspaniałym cmentarzu bielą się setki krzyżów nad grobami poległych jesienią, karpaciarzy.

30 kwiecień. Lasek Polski. — Stoimy w ziemiankach rezerwy w „Lasku Polskim”, u podnóża „Polskiej Góry”, za którą sterczą ruiny wsi Kostjuchnowki. Tutaj w rezerwie będziemy stali 2 do 4 tygodni. Narazie nie mamy nic do roboty, lecz prawdopodobnie nocami będziemy poprawiać okopy II i III linii i tylko nocami. Redutę, o której wczoraj nas informowała wiara z 3 pułku — zajął pułk 1, który ją nazwał „Redutą Piłsudskiego”.

1 maj. Lasek Polski. — Bawili u nas do południa Ostrycharz i Stasiek Wielkopolan z oddziału skautowego przy Komendzie Legionów i wrócili dopiero po obiedzie. Koniecznie chcą się do nas przenieść. Byłoby morowo — jest ich tam kilku chłopaków silnych i zdolnych do linii. Zamiast garować się przy komendach, wyrobiliby się u nas na solidnych żołnierzy. Trudno będzie coprawda wydostać ich stamtąd, lecz będzie się robiło, co tylko można.

Dzisiaj przesunięto w centralnych państwach czas o godzinę wprzód. Bestje szwabów chcą nawet oszczędności na czasie zrobić.

Po południu na boisku grała w piłkę 1 i 2 kompanja. Moskale łupili trochę szrapnelami na drogę, niedaleko pułku.

Na pozycję przyjechał Dziadek. Komendant zdrowy i dobrze się czuje. Poza tem jakoś nikt tu nie spodziewa się większego ruchu — sądzą ogólnie że my tu długi czas spędzimy, na pozycyjnych walkach.

Mamy już rozkłady zajęć na najbliższe dni. Wieczorami przy kolacji śpiewy przy stole, przed ziemianką.

2 maj. Lasek Polski. — O 5-ej rano 23 ludzi z plutonu poszło do okopów na roboty. Do południa czas nam przeszedł na porządkowaniu ziemianek, dużych i wygodnych.

Na linii dość gęste strzały karabinowe i ożywiona artyleryjska strzelanina. Kompanja schodząca w południe z robót, musiała się wycofywać pod ogniem szrapnelowym, który na szczęście strat nie przyczynił. Poraniły natomiast szrapnele 3-ch austriaków, przechodzących obok. Ci zawsze muszą dostać!

Po południu ożywiona gra w piłkę, przy wtórce pękających o 200—300 kroków szrapneli rosyjskich. Grała 1 i 2 kompanje, a potem nasz pluton z II i III.

Bataljon nasz stoi w rezerwie na zboczach pagórka, zalesionego wysokimi sosnami. Są tu ziemianki naszego bataljonu, rezerwy 3

pułku Żymierskiego i komenda pułku z Berbeckim. Poza tem cała masa węgierskich rezerw, przeważnie landszturmu, trochę landwery.

Wschodnie zbocze pagórka niezalesione, spada dość stromo, do jasnozielonej łączki i sporego bagna. Na zboczu tem, brzegiem Polskiego Lasku ciągnie się II linja obronna. Ostrzał jest dość dobry i sama pozycja niezła, broniona przez bagienko, niedostateczny tylko dostęp do I linji, gdyż po jednym zaledwie mostku.

Wieczorem, gdy rozmigotana gwiazdami noc otuliła płaszczem las z szumem sosen mieszało się gwarliwe rechotanie żab, które w ciszy ciepłe drą się wniebogłosy.



Wyjście z Lasku Polskiego w kierunku Polskiej Góry.

3 maj. *Lasek Polski*. — O 5-ej rano pobudka, o 6-ej wymarsz na roboty. Dzień pogodny, niebo bez chmurki, jasne, błękitne. W prostej linji przez bagno do pozycji mamy coś około 500 kroków, lecz musimy maszerować okólną, maskowaną drogą, co wynosi przeszło 2 km. Za ziemiankami, rozrzuconemi w lesie, przechodzimy przez drogę, wzniesioną mostem na łąkach i małych bajorach.

Droga zamaskowana z jednej strony niewielkimi sosnami. Stąd przechodzimy przez kręty, zygzakowaty, głęboki ganek do Polskiej Góry, którą to przestrzeń przebywamy dwójkami w odstępach 50 krokowych, dochodząc do ganku, gdzie przekopuje się go do II linji okopów. Część pracujących zostaje przy ganku, pod moją opieką, druga z Kocem idzie kopać ogromne doły na granatniki, t. zw. „bombensichery”.

Wzgórze, owa Polska Góra — na której pracujemy — zryta jest cała gankami, okopami, dołami na granatniki. Z pośród jasných, wywalonych kup piasku wyglądają małe zaledwie płaszczyzny, jak okna, zielonej, głębnej roli.

Na wzgórzu ruch. Austriacy saperzy pracują obok granatników, które dźwięczą głośno przy wbijaniu. Są to półkuliste, ogromne żelazne nakrywki, przysypywane ziemią, którym i granat 15 cm jednym uderzeniem nic nie robi, a i wątpliwe czy dwoma. Granatnik taki pomieści około 20 — 30 ludzi. Tuż obok ciągnie się rezerwowa linja okopowa, wszystko to otoczone masą krwawych, pordzewiałych drutów kolczastych.

Poszedłem zwiedzić I linję. Przed okopami stała kiedyś, przed kilkoma miesiącami, ogromna wieś Kostjuchnowka. Dziś z niej niema śladu. Zabudowania, stodoły, płoty, chałupy — wszystko poszło na użytek okopów. Ani jedna cegła nie pozostała z kominów, nawpół spalonej wsi. O istnieniu jej możnaby się domysleć tylko z sadków owocowych, osypanych w tej chwili białym kwieciami, zaledwie wschodzącym i po dziesiątkach gniazd, które uwiły sobie na drzewach bociany, nie chcąc opuszczać rodzinnej wsi.

Okopy zato, powstałe ze zniszczonego życia Kostjuchnowki — wspinały. Głębokie, ujęte ramami sztywnych linii bali i słupów ciosanych, z grubymi daszkami szrapnelowemi, z potężnemi, szkarpowatemi trawersami. Trawersy przysadziste, napęczniałe workami z piaskiem, objęte gęstą drucianą siatką, zbite, twarde jak kamień. Gdzie niegdzie przy stanowiskach karabinów maszynowych — żelazo i beton.

Przedpole gęsto spowite zrudziałym drutem kolczastym, dalej płytkie zagajniki, olszynki, łączki i mokradła ułatwiają ogromnie podejście pod same okopy.

Przeciwna, moskiewska strona żółci się okopami na brzegu wysokiego sośniaku — celownik do nich 1000 — 1200. Na 500 kroków przed okopami — lekko wijący się dymek wskazywał miejsce rosyjskiej placówki.

Obustronna strzelanina trwa stale, przyczem Moskale biją gęściej. Ostry brzęk rykoszetu lub cierpki świst kuli drze co chwila powietrze.

Gdy wróciłem do ganku, ze zdumieniem dowiedziałem się, iż Władek Łęcki ranny. Włóczył się przy robotach górą, dostał w łapę i to dość boleśnie.

Dzień cały osłepiał słońcem, w cichem, rozedrganem powietrzu. Artylerja rosyjska milczy, natomiast nasze piętnastki szorują po niebie i z jęklwym hukiem ryją okopy rosyjskie.

Pod wieczór dwójkami schodzimy z ganków. Z rozgrzanych wód, łąk i bagien szedł gwar żabi, rozrehotany, swarliwy.

Kładziemy się wcześniej spać, bo jutro pobudka o 5-ej. Władek odjechał do szpitala, dostaliśmy natomiast do plutonu obywatela Michała-Aleksandra Sulkiewicza — do dziś prowiantowego sierżanta, a od szeregu lat jednego z najbliższych przyjaciół Komendanta.

4 maj. *Lasek Polski*. — Okopy na Polskiej Górze zajął II bataljon. Na lewo odeń wzgórze opada w nieprzebyte bagno, tworząc tu lukę, za którą ciągnie się las. Las ten zajmuje Śmigły i Fleszar, dalej na lewo łącząc z 4 i 6 pułkiem. Najważniejszym punktem okopów od nas na lewo jest reduta, wysunięta wprzód, o 100 kroków oddalona od Moskali, o czym już pisałem. Na reducie tej, którą obsadza VI bataljon, saperzy ryją kontrminę, bowiem Fleszar, który ziemiankę ma na samej reducie, meldował, iż słyszy szmery moskiewskiego podkopywania.

Sulkiewicz odrazu przyjęty został przez pluton z wielką uciechą. Będziemy mieli przez niego najświeższe wiadomości z Brygady, poza tem przypadł strasznie plutonowi do serca, a chłopcy jemu. Dostał się do Brygady, bowiem w Warszawie capnęli go Prusacy i wysłali do Krakowa, gdzie go „awstryjcy” mieli internować. Zwiął tedy do Brygady, był dwa miesiące w prowianturze, i na usilne nalegania przeniesiony został do linii. Sław go dał do naszego plutonu.

5 maj. *Lasek Polski*. — Ociężale wstajemy o świcie i marsz na roboty. Dzień taki sam pogodny, rozsloneczniony jak wczoraj. Podzieleni na grupki po sześciu, wskakiwaliśmy do olbrzymich dwumetrowych dołów, które jeszcze trza było pogłębiać.

Popołudnie przeszło nam na pogwarce z Sulkiewiczem. Narzekał na stosunki tyłowe, kłął prowianturę i inne „amty”, a chcąc dzieciom czyste nazwisko zostawić — jak powiada — „wyrwał się” do linii. De publicis naszych spraw, brygadowych, to jak powiada — Zagórski już poszedł, a miejsce jego zajął Kochański, poza tem idzie na zieloną trawkę Kittner, Grzesicki i wszystkie inne kreatury austriackie.

Wieczory mamy ciche, ciepłe, rozgwieżdżone niebo, rozrechetane melodyjnie łąki.

Na froncie spokój, tylko w nocy atakowali Moskale gdzieś na prawo, gdyż szedł stamtąd potężny ogień działowy. W najbliższym czasie spodziewamy się jakiegoś ruchu.

6 maj. *Lasek Polski*. — Roboty jak co dnia. Koc z połową plutonu siedział w granatnikach, ja z resztą przy ganku. Jest z nami Styk, który po jakimś czasie wziął wszystkich podoficerów do okopów, by zorjentować się w pozycji, którą za kilka dni mamy zająć. Obejrzelśmy tylko odcinek II bataljonu na Polskiej Górze, gdyż VI bataljon na lewo oddzielony jest bagnem bez przejścia. Tam to jest ów najważniejszy punkt naszego odcinka — reduta Piłsudskiego, która w kształcie klina, daleko wprzód wysunięta, od moskiewskich okopów zaledwie o 80 kroków jest oddalona. Poza tem front jest zachwaszczony, moskiewskie patrole buszują na przedpolach, które trzeba oczyścić jak najprędzej.

Wywiał dzisiaj z Komendy Legionów do naszego plutonu Zygmunt Rosiński¹⁾.

7 maj. *Lasek Polski*. — Był dzisiaj u nas Miatkowski²⁾ zgierzanin, z V bataljonu. Na ich odcinku — ciągły ruch. Uczzone inżynierzy austriackie stwierdziły, iż pono podkop rosyjski dochodzi do połowy reduty, aż po ziemiankę Fleszara. Spodziewano się nawet, że wczoraj Moskale zrobią fajerwerk i redutę skończą, lecz noc przeszła spokojnie — wobec czego dzisiaj wybuchnąć ma nasza kontrmina.

Wieczorem wymaszerowaliśmy na roboty nocne. Z niecierpliwością czekaliśmy godziny 10-ej, rychło rozerwie ciemności błysk ognia z kontrminy, lecz w lesie VI bataljonu cisza zupełna.

9 maj. *Lasek Polski*. — O 2.30 w nocy awizowano znów wysadzenie reduty. Deszcz ustawicznie lał, mimo to wyszliśmy na górkę, na brzeg lasu. Ciemność nieprzenikniona. Od czasu do czasu trzasnęła bliski strzał karabinowy, poza tem cisza zupełna. Czekaliśmy z pół godziny zlania deszczem, a po chwili dopiero przychodzi zawiadomienie, że wybuch odłożony na godzinę. Wracamy wściekli do ziemianki, lecz po godzinie znów wyszliśmy.

Świt już bielił pola i las, a wschodnia strona nieba jaśniała coraz bardziej. Ptactwo zlekka poświstuje, trwożnie, zcicha skowronek wydzwania swą poranną pieśń.

Ciszę przerywają częste strzały, a zielony blask rakiet rozświetla resztki nocy. Wreszcie na lewo, w zamglonym lesie łysnął snop ognia, runął grom i przeciągłe dudnienie padającej ziemi. Za chwilę drugi, trzeci.

10 maj. *Lasek Polski*. — Dziś Busse-Guzowski dostał nominację na podporucznika, co znów przerwało monotonię dni jednako słonecznych, z jednako nudnem grzebaniem się w piasku, przy saperskich robotach.

11 maj. *Lasek Polski*. — 9.30 wieczór. Przez długi korytarz ziemianki dopada grzmiący łoskot bębna orkiestrowego. Obchodzimy rocznicę przejścia Nidy, która się zbiegła jednocześnie z nominacjami oficerskimi. Robót, wykładów, apelu wobec tego niema — „national fest” — w całej pełni.

Przed południem nadciągnęło uzupełnienie do pułku, coś ze 100 ludzi.

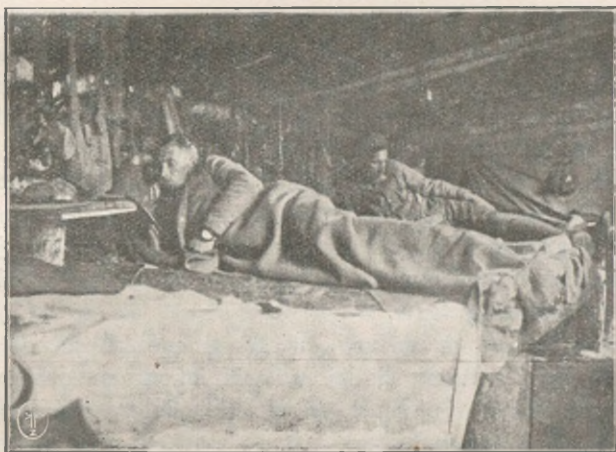
Wszystko stara wiara, pokieroszowana w różnych okazjach. Stanęli w długim dwurzędzie przed ziemianką pułku, a Berbecki — od wczoraj podpułkownik — sam oddziela każdego, po kompaniach. Obok, wiary zleciało się mnóstwo, wypatruje każdy przyjaciół i znajomych.

¹⁾ Obecnie porucznik piechoty.

²⁾ Zginął na reducie Piłsudskiego.

Po południu graliśmy w nożną z 1 kompanją, a przed chwilą nadeszły alarmujące wiadomości, jakoby Sław, Narbutt, Jagmin i inni mieli być odkomenderowani do 6 pułku i tam poobejmować funkcje.

12 maj. *Lasek Polski*. — Dziś dzień uroczysty, bo na boisku sportowem ma się spotkać nasz bataljon z bataljonem II. Od godziny już zapełniać się począł Lasek Polski wszystką wolną od zajęć żołnierską wiarą. Są i szarże — Berbecki, Wyrwa, Sław, Narbutt — wszyscy komendanci plutonów i kompanij. Gra była zazarta, nie przerywano jej ani na chwilę, choć Moskale jakby się zwiedzieli co tu się rozgrywa — bić poczęli szrapnelami. Pękały wokół boiska, lecz rozentuzjasmowana wiara i rozżarci gracze ani myśleli ustępować.



W ziemiance w Lasku Polskim.

Ustąpili też Moskale, gdyż po kilku salwach przeniósł się ogień na VI bataljon.

14 maj. *Lasek Polski*. — Dziś z racji niedzieli porozlatywał się pluton po przepustki, aby udać się na wszystkie strony. Do Legjonowa, do czwartaków, do 1 pułku.

Wieczorem zebrali się wszyscy chłopcy przy stole, przed ziemianką. Wieczór ciepły, księżyc wypłynął na jasne niebo i długie kładł blaski przez gałęzie sosen. Turski i Dolek Wojtarowicz koncertują na skrzypcach i gitarze. W cichem i ciepłym powietrzu delikatne dźwięki instrumentów, zda się, że rozpylają się — tak lekko drga melodja.

Długośmy się rozmarzali muzyką, aż nią zwabionych nadciągnęło kilku Węgrów z obok stojącej rezerwy. Nie posiadali się z radości i zachwytu i gwałtem wpychali srebrne dwukoronówki Turskiemu

do ręki, aż rozsrożony przestał grać. Uprosilimy go jednak i zagrał. Skoczne, porywiste, pełne gorącej krwi i waru „Oj kurizalo” wraz uderzyło. Węgrzy wpadli w szal. Rozpoczęli taniec, początkowo lekki, drobny, z przebieraniem nóg, coś naksztalt naszego zbójnickiego, lecz w miarę rozochocenia, jak urznięły skrzypce czardasza— dusza się w nich zerwała niby z pęt i szaleć poczęli — a krąg widzów rósł wokół nich coraz bardziej.

15 maj. *Lasek Polski*. — Pluton III objął dzisiaj ppor. Paweł Stefański¹⁾, który jest w bataljonie od kilku miesięcy, służąc w 3 kompani jako szeregowiec. Wyrwał z armii rosyjskiej, gdzie był kapitanem i dowódcą bataljonu i zgłosił się do Brygady, na prostego żołnierza. Teraz dostał Dziadkową, polską nominację i objął pluton.

Krażą pogłoski, że Komendant ma objąć również i III Brygadę.

16 maj. *Lasek Polski*. — Dziś po oddaniu służby inspekcyjnej wyrwałem się z Edkiem i poszliśmy do 4 baterji legionowej, aby się zobaczyć z Luckiem Frakowskim. Z Łasku Polskiego krętami gan kami doszliśmy do ziemianek 1 kompani, a później drogą przez las do małej łączki, za którą biła baterja. Tam nas odesłano w lewo, gdyż 4 baterja stoi za 6 pułkiem.

Ogarnął nas surowy mrok lasu, który z sosnowego i jodłowego boru przechodził w coraz bardziej mieniącą się pyszną zielonością podszyty, rozszumiany las...

Dzień był gorący, słoneczny, wiatr przeganiał lotne, pierzaste chmurki i głębokie szумы budził na wierzchołkach drzew. Rozradowany ptaszęcy świergot bił z gęstwin, dziecięcy gorliwie pracowały, raz po raz ozwała się kukulka.

Las gwarzył, szumiał, radował się, oddychał pełną piersią.

Wąziutką, niewyjeżdżoną, cywilną jeszcze ścieżką, poprzez przedziwne ostępy, nagle rozpadliny, poprzez podszyte młodą grabiną i leszczyną wzgórkę, szliśmy to wdół, to wgórę, to na miękkie zielone łączki, czerniejące rozkisie bajory, o rażącej, jasnej barwie, to przez zmurzałe tysiącletnie kłody powalonych drzew, splecionych paprocią. Z godzinę przedzieraliśmy się przez ten pyszny las. Zewsząd bił mocny zapach, przedziwnie upajający, gdy ciemne gałęzie lasu zapadały się w mrok grząskich bagien lub odbijały się w kręgu przeczystej wody.

Zwalone pnie, odziomki starczych sosen i buków w momencie pewnym spletały się rdzawymi nitkami drutów. Gdy przedarliśmy się wreszcie przez labirynt kołków, uwagę naszą zwrócił lekki pagórek, z niewielką czarną jamą pośrodku. Lisie lub wilcze legowisko.

¹⁾ Zmarł w r. 1922.

Podchodzimy bliżej, ciekawie patrząc w głąb i naraz wydajemy okrzyk zdumienia. Ta lisia jama, czarne podłużne oko — to otwór dla karabina maszynowego. Pod świetnie zamaskowanym blindażem, ciągnie się równy, mocny okop, oszalowany sośniną. Rezerwowe pozycje...

Wracaliśmy inną drogą, okopami 3 i 1 pułku. Ciągną się one lasem, dobrze kryte, takie jak nasze pod Koszyszczami. Przechodząc obok reduty ujrzelśmy Komendanta rozmawiającego ze sztabowcami austriackimi, objaśniającego im sytuację tego odcinka.

17 maj. *Lasek Polski.* — W tych dniach ma się odbyć zjazd stronnictw niepodległościowych w Lublinie, na którym ma być Biliński. Chce wymóc dalszą rekrutację do Legionów, lecz zdaje się, że mu się to nie uda. Sprawa unifikacji brygad postępuje rażno naprzód. W sobotę ma się odbyć narada Komendanta z legionowymi pułkownikami i ich zastępcami w sprawie uzupełnienia szarżami tamtych pułków.

21 maj. *Lasek Polski.* — Kompanja 1 urządza teatr, czy inny kabaret, na którym nie byłem, lecz rozbawieni chłopcy o niczem innem wieczorem nie mówią. Grano „Nikt mnie nie zna” — Fredry, a poza tem w części kabaretowej występowały leguny tak świetnie przebrane za niewiasty, że wiara się paliła w niemoralny sposób. Najbardziej bawili się ponoć Prusacy, z najbliższej baterji.

A propos ostatniej miny pod ziemianką Satyra — zreformowano przysłowie: „Kto pod kim dolki kopie, musi mieć więcej ekrazytu”.

22 maj. *Lasek Polski.* — Przyjechał dzisiaj Adek Goldenberg, który z nad Wiesiołuchy pojechał na urlop. Obejmowałem właśnie inspekcję w baonie i szykowałem się do wyjścia, gdy zmieszany gwar głosów doszedł do ziemianki. Chłop wypadł się nieprzyzwoicie, wybawił jeszcze lepiej, a co najważniejsze przyjechał obładowany jak wielbłąd paczkami i listami.

Służba na inspekcji przeszła mi spokojnie, bez żadnych nadzwyczajnych rozkazów.

Po południu pomagałem Flojarowi przy korekcie szkicu sytuacyjnego naszego odcinka i późnym wieczorem wyszliśmy na brzeg lasu, gwarząc o naszych sprawach brygadowych.

Noc była jasna, księżyc oświeślał w dole przed nami ciemną linję bagna, rzucony przezeń mostek i kładł sine blaski na porytej, skopanej granatnikami i gankami tysej górze naszych okopów.

Wpatrywaliśmy się w to grząskie, zielone bagno, w ten jeden most i w ciemny zarys Polskiej Góry. Tu będzie piekło kiedyś, gdy nastanie ruch, gdy atakować będą Moskale Polską Górę...

Gdzieś daleko, na prawo, dudnił huraganowy ogień...

23 maj. *Lasek Polski*. — Wieczorem po robotach na Górze — zaszedłem do bataljonu dowiedzieć się o zdrowie Sława. Zapadł na piersi, od kilku dni leży i każą mu jechać koniecznie do Zakopanego. Rozgadałem się z Roweckim, który adjutantuje teraz Sławowi, a że miał do roboty olbrzymi szkic na stole, zacząłem mu pomagać.

Czas na pogwarce i pracy piorunem przeleciał i anim spostrzegł, jak świt coraz bardziej poczał bielić okna ziemianki. Noc szarzała, wsiąkała w ziemię spłoszona coraz bardziej natrętnym światłem dnia. Za chwilę odezwał się jeden ptak, krzyknęła wilga, kukułka.

Wstał jasny, perłowy ranek. Dzień zapowiada się prześliczny.



Ks. biskup Bandurski
w okopach nad Styrem.

28 maj. *Lasek Polski*. — Dziś święto czwartaków, na którym nie mogłem być, gdyż miałem służbę. Wybrał się tam prawie cały pluton, który wieczorem naznosił wszelakich ploteczek. Był Komendant, biskup Bandurski, Puchalski, Grzesicki i tłumy legionowych szarż. Dwu cywilów poza tem: ks. Lubomirski i jeszcze jeden z posłów Koła Polskiego. Nastrój był ponoć bardzo miły i serdeczny. Przemaszał biskup Bandurski, lecz Roja przewyższył wszelkie oczekiwania. Mówił tylko o Niepodległej Polsce i Komendancie. Wogóle trzymał się Komendanta a c. k. legionistom czynił afronty. Ks. Bandurski przy stole siedział pośrodku, na prawo Puchalski, na lewo Komendant — po przeciwnej stronie połowa miejsc była przeznaczona dla austriackich oficerów, a więc od góry Grzesicki, Kittner i t. d.

Podobno Grzesicki zieleniał, a po mowie Roji, podszedł do niego i zagroził mu, że pociągnie go do odpowiedzialności.

Nastrój był ogromnie serdeczny dla I Brygady. Gdziekolwiek ukazał się Komendant, czyto sam, czy z Puchalskim, grzmiały za nim okrzyki: „Niech żyje, niech żyje Piłsudski!”

30 maj. *Lasek Polski*. — Przyjechał do pułku biskup Bandurski i Komendant. Świadczy o tem głęboki ton orkiestry i głuchy łoskot bębna. Wiara wyległa przed komendę pułku, by się gościom przypatrzyć. Nie poszedłem, gdyż zaczytałem się w Chmielowskim. — Po pewnej chwili uderzył w powietrze trzykrotny, ogromny okrzyk: „Niech żyje!..” Wybiegłem!

Przed kwaterą pułku zastawiony stół, obok niego Komendant, biskup w fioletowej mycce, rubaszny Wyrwa, Berbecki, Ryszard Trojanowski, Świętopełk-Jaworowski i inni. Obok gęsta ciżba żołnierskich mundurów... do których Wieniawa-Długoszowski, ogromny, dorodny ułan z nieustannemi zwraca się dowcipami.

Na cześć biskupa coraz to wznoszą okrzyki. Orkiestra gra Mazurka, kurzy się z głów i z drogi... Na pożegnanie Berbecki wznosi okrzyk: „Niech żyje Komendant Główny, Józef Piłsudski, da Bóg wielki hetman koronny!..” Runął ogromny okrzyk!.. a rozbawiony Komendant śmiał się na głos. Za chwilę zbierają się, powstają od stołu, podają konie.

Szkapy od ciągłych, rwących powietrze okrzyków, drepcą niespokojnie i szarpiają się, wzbijając tumany kurzu. Podjeżdża bryczka, siada do niej biskup i ks. Lubomirski. Na rwące konie siada różnorodna, młoda, gołowąsa świta. Kurz przesłania ich tumanami, orkiestra jeszcze raz rżnie fanfarę, huragan okrzyków bije w powietrze, kawalkada rusza z Komendantem na czele...

Przygotowania do odparcia ofensywy w toku. Przychodzą ułani i zmieniają II bataljon, my zmieniamy na prawo Węgrów na „Polenbergu”. Prowiantura wynosi się z Wołczecka, pułk wyfasował żywność na trzy dni i będzie pono nadal tak fasować.

31 maj. *Lasek Polski*. — O 5-ej pobudka. Wyszedłem przed ziemiankę do małego improwizowanego ogródka przed ziemianką, by zobaczyć jaka pogoda.

Niebo czyste, jasne i bez chmurki. Otocz światła rzuciła jasne plamy słoneczne poprzez gałęzie sosen, ptaki poświstywały wesoło i w porannem, rzeźwem powietrzu donośnie rozlegało się kukanie kukulki. Nic nie przerywało ciszy i spokoju poranka, głosów natury nie mącił żaden ton dysharmonji.

Naraz w czystem jak lazur powietrzu rozległ się delikatny warkot niby brzęk komara, powoli w metaliczne drgania przechodzący, w dzwieczny furkot, potężniejący coraz bardziej.

Obejrzałem się po wierzchołkach sosen, lecz plamki nijakiej nie było, wyszedłem więc na górę za ziemiankę.

Od strony pozycji, zawieszony w przestrzeni, z rozłożonymi skrzydłami, posuwał się z warkotem czarny punkt. Aeroplan... Przeleciał nad laskiem niskim lotem, drganiem silnika napędniając powietrze. Za chwilę, jeszcze nie zwiął austriacki „gołąb”, gdy rozległo się powtórne warczenie silnika i nad pozycją, cokolwiek wyżej — unosi się rosyjski lotnik.

W jednej chwili prysnęła cisza okopów. Huknął jeden strzał, drugi, za chwilę bezładna pukanina, grzechot karabinowy i zatrajkotał karabin maszynowy. Lotnik, nie zważając na ogień, szybował dalej, aż do naszego lasku. Zewsząd bił już weń ogień karabinowy, szarpamy i gwałtowny...

„Gołąb” rozczapierzył swe sztywne, nieruchome skrzydła i pruł powietrze dalej, z warkotem nieustannym, jak warczenie rozeżłonego psa...

Jak krótkie odszczekiwanie drugiego — poczęły nań szczekać pieski stalowe, nasze „ósemki”...

Lecz były zdaleka, z boku, nie objęte jego ostrem, szpiegowskim okiem, te zaś, na które leciał — skuliły się trwożnie i milcząc zezowały jeno ku górze przezornie.

Minęło kilkanaście minut... Ogień karabinowy już ucichał, w tem lotnik zatoczywszy ogromne koło — wraca.

Przeleciał nad milczącą drugą linją, nad zatajonemi baterjami i sunął terkocząc ku swoim, ku pozycji...

Trzasnęły raz wraz jedne za drugą baterje, podniosły w górę pyski rozeżłone i szczekać ostro, zjadliwie poczęły ósemki, chrapliwie, nisko 10-ki i 12-ki...

Czerwono-białe dymki wykwitnęły wnet wokół czarnego punktu — linja okopów znowu zatrzęsała się z oburzenia i roztrajkotała się histerycznie.

Lecz warkot w powietrzu nie milknie, bo ze strony rosyjskiej pojawiają się jeszcze dwa aeroplany i wzmocniona eskadra zawraca, a na jej spotkanie zaczerniły dwa punkty i szybko rosnąć poczęły...

Tymczasem już zbiórka na roboty. Maszerujemy szeregiem po „Polenbrücke” i wchodzimy do krytego ganku.

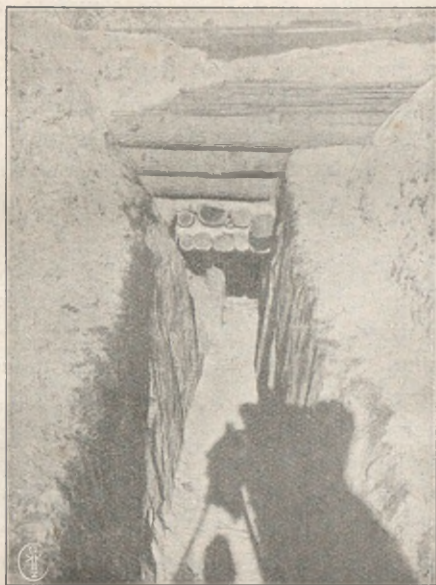
Po jasnym lazurze przewija się z pięć czy sześć aeroplanów. Baterje biją i nasze i rosyjskie, całe niebo pokryło się dziesiątkami białych i biało-czerwonych dymków szrapnelowych. Linja rozgorączkowała się na dobre i rozstrzelała się jeszcze lepiej.

Przesuwamy się szybko, a szyja aż boli od ciągłego patrzenia się w górę...

W pewnej chwili zaczął skośnie ku nam przecinać drogę wielki, szerokoskrzydły aparat, otoczony nieustannymi bukietami dymków.

Zatraskotał ostro karabin maszynowy i ekrazytówki poczęły zjadliwie pękać obok...

To aparat na tle jasnej pręgi ganku dostrzegł nasz długi szereg... Przeciął ostro, pod kątem linje ganku i w lewo, obok rozwalonej łopatami góry, obok granatników i drugiej linji wzbil się tuman kurzu i huk ogromny runął echem w las...



Budowa „lisiej jamy“ na Polskiej Górze.

Za chwilę drugi słup rozdartej ziemi, trzeci, czwarty, potężne huki rwały wokół...

To „gołąb” rzucał pigułki. Lecz walka w powietrzu trwała tymczasem dalej. Aparaty wśród ciągłej, nieustannej strzelaniny uwijały się szparko, lecz żaden gorejącą zagwiał nie spadł wdół.

Po półgodzinnej strzelaninie rozjechały się w stronę swych pozycji.

Dzień dzisiaj przepysznie gorący, prawdziwie letni. Wiatru niema zupełnie, w powietrzu rozedrganem upałem, rozlega się tylko gwar żabi z niskich łąk i roznosi się przedziwna, mocna woń traw...

Na robotach jest z nami Flojar, na czas urlopu Bussego, komendant III plutonu. Robota idzie ospale, upał bowiem jadowity. Przed 4-tą byliśmy już w „kinie”, zapełnionem wiarą po brzegi.

Przedstawienie się już kończyło. Na płótnie jakiś straszliwy rozgrywał się dramat, który wiara w najtragiczniejszych momentach

przyjmowała szelmowskimi, łajdackimi conceptami. Bawiliśmy się — trzeba przyznać — doskonale.

1 czerwiec. Lasek Polski. — Ranek wstał taki cudowny i świeży jak wczoraj, na wróżbę upalnego dnia. Na roboty idzie z nami Stefański, więc biorę książkę do czytania. Mamy poszerzać ganek, robota dobra do podziału, wyznaczyłem więc każdemu odcinek, a sam od słońca się osłoniwszy, zagłębiłem się w Chmielowskim. Dość często musiałem sobie przerywać, a o 10-ej przerwałem czytanie zupełnie.

Uwaga wszystkich skoncentrowała się na Lasku Polskim. Moskale zebrawszy widocznie wczoraj przez lotników dokładne wiadomości, ostrzeliwują intensywnie tyły, bezpośrednio za linią. A więc najpierw skierowali ogień na nasz laszek i bili szrapnelami gęsto i celnie od skrzydła prawego ku lewemu. Rozeznawaliśmy dokładnie, gdzie który szrapnel pękł i wnioskowaliśmy, którą mógł teraz ziemiankę obsypać żelazem.

Po gruntownem ostrzelaniu rezerwy, przeniósł się ogień na obserwatorja artyleryjskie, na 1 kompanję i pruskie baterje.

Ledwieśmy skończyli roboty i utonęli w rezerwowej linii i ganekach — biją szrapnele na roboty. Odezwała się milcząca dotąd nasza artylerja i walka artyleryjska rozgorzała na dobre, gdyż Moskale za szrapnelami puszczają poczęli granaty na „Polenberg”.

W rezerwie ożywienie wielkie. Wiara naznosiła palników szrapnelowych, garnków, kulek. Moskale bili świetnie, wprost przed wejścia do ziemianek. Na szczęście laszek o tej porze pusty — wszystko na robotach — więc ranny tylko jeden, Majewski, ordynans osobisty Sława.

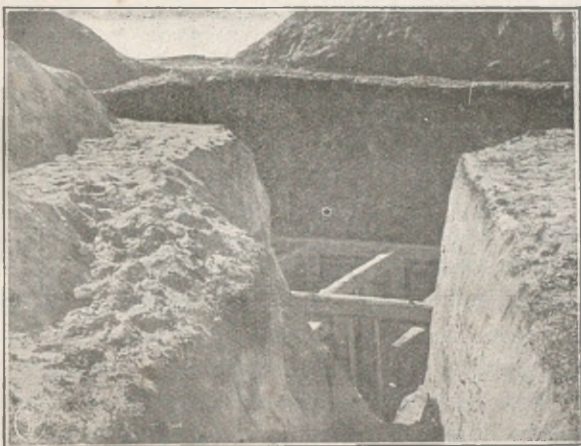
Wieczorem przed ziemianką Berbeckiego kino, pożyczone od czwartaków. Bawiliśmy się świetnie do późnej nocy.

2 czerwiec. Lasek Polski. — Odespałem dzisiaj ostatnie zaległości. Dzień upalny, rozżarzone powietrze aż dusi. Gdy chłopcy zjedzą w rezerwie obiad i rozejdą się do ziemianek, wszelki ruch w lasku zamiera. Słońce osłepiającym blaskiem zalewa odsłonięte miejsca, nasz placyk przed ziemianką z ławkami i stołem zcicha, rzadko się który znajdzie, by w rozprężonem powietrzu zabrał się do pisania listów i do czytania. A książek mamy moc. Biblioteka pułkowa dostarcza ich bez liku, wiara znosi Żeromskiego i Sienkiewicza, Weyssenhoffa i Struga — całą słowem literaturę.

3 czerwiec. Lasek Polski. — O 5-ej rano marsz na roboty. Idziemy w milczeniu, gdyż wiara niewyspana, jako że wczoraj bawiliśmy się kinem do północy.

Na żółtej pokrywie naszego wzgórza zaczynamy robotę, choć co raz to trzaśnie karabinowy strzał.

Olbrzymie dwa granatniki są już na wykończeniu. Na owalny, beczkowaty tunel z grubej blachy sypie się pokłady ziemi, poprzekładanej co pół metra potężnymi kłódami sosen. Dwa tuziny takich kłód mamy wwindować na wierzch granatników, a że upał bliski, a moskiewskie pukajła jeszcze śpią, więc wiara wzięła się szparko do pracy. Dźwigniami podważamy kłody, by je wciągnąć na nasyp, a stąd powoli, zsuwając po nasypie, zwalamy je wdół. Granatnik ten, przykryty jeszcze z wierzchu szynami, powinien wytrzymać uderzenie pocisku 18 cm.



Budowa granatnika na Polskiej Górze.

W półtorej godziny robota była skończona.

4 czerwiec. *Lasek Polski*. — Zmieniamy dzisiaj II baon. Od rana już krzątania, szykowanie rynsztunku, wyrzucanie rupieci. Przez miesiąc rezerwy w Lasku Polskim zadomowiliśmy się niezłe, nazbierało się mnóstwo drobiazgów, fatałaszków, książek, z którymi z żalem trzeba się rozstać.

A na całym froncie już ruch. Dzisiaj od 2-ej w nocy do 10-ej z rana gdzieś z pod Czartoryjska, od południa dudnił nieustanny łomot dział, jakgdyby tysiące ciężkich wozów po kamiennym przeprawiało się moście. Nieprzerwany ten grzmot przewala się monotennie, jednostajnie równo, bez nagłych, bliskich wstrząśnień piorunów i trasków wybuchu. Groźne dudnienie, niby oddech dalekiej śmierci, nie ustawało przez pół dnia.

Po południu mieliśmy już wiadomości, że pod Czartoryjskiem złamano wszystkie ataki rosyjskie. Jakoż po południu znów głucho dudnienie nadchodzi stamtąd i trwa bez przerwy do nocy.

Przed wieczorem zmieniono dyspozycje. Bataljon II zostaje na pozycji jeszcze kilka dni, w tym czasie ma zrobić wypad na placówkę rosyjską. Dobrze by to było, aby tak Moskalom zaświecić bagnetami w ślepią, gdyż zbyt pewnie się czują.

Wieczorem czytamy plutonowi Makuszyńskiego, przy chóralnej wesołości chłopców.

5 czerwiec. *Lasek Polski*. — Wstrzymano urlopy. Maniś ma pecha, gdyż za kilka dni miał jechać. Pod Czartoryjskiem i pod Stowgorem — ofensywa moskiewska w pełni, II Brygadę już poderwano z Leszniewki i rzucono tam do akcji.

Ogień huraganowy dudni z obydwu stron, z północy i południa, już bez przerwy.

6 czerwiec. *Lasek Polski*. — Wieczorem odmaszerowujemy na roboty. Dzień się już kończył, nadchodził cichy, ciepły wieczór. Na górze mamy przysypywać i wykańczać ostatecznie granatnik, lecz wiara — że to komary niemożliwie cięły — rozsiadła się przy robocie, kurząc „cienkie” i gwarząc o bliskiej ofensywie rosyjskiej.

W dole, nad zielonym bagnem i łąką, podnosiła się lekka mgła zlewając się w podłużne pasy z sinemi dymkami ziemianek. Tu bliżej — Góra wywalana żółtym piachem, poskręcana rowami, porżnięta jakby zagała zastygła po wielkim trzęsieniu. Ogromne kretowisko, splecione drutami na spiralnie skręconych, żelaznych palach. Nieco dalej, na prawo, długi pas okopów, opartych plecami o wywieżyska piachu i skrzyty rowów dobiegowych — bliżej, pod zasłoną Góry — rażąco od ciszy okopów odcięty — zgoła inny świat.

Tutaj — po zrudziałem zboczach poszarpanej ziemi — nieustanny ruch i wrzawa równo ze zmierzchem, napędzająca podejścia do okopów. Sznury wozów zajeżdżające z turkotem i brzękiem, brzękliwe łoskot zrzuconych szyn, ciepki zgrzyt zwałanego szutru, dudnienie staczanych beczek z cementem i krzyki woźniców na wyciągnięte szyje końskie, toczące wielkie kłody poleskich sosen.

Zagała, jakby kto cięciem noża przekroił Górę na dwie połowy — po przeciwnej stronie — inny znów świat. Tu — odłonięte trzewia nagiej ziemi, zdarta zielona ruń, powywalane wnętrza — tam różni się sinostalową zielonością szeroka połać owsa. Ruchliwie drgające w lekkim powiewie płaty, tuż dalej przepyszna nie ruszona sierpem łąka, po której jeno w nocy przechodzi cichy szepc i kocie stąpanie patroli. Rzędem stoją wyniosłe topole, gwarząc nad zarosłym chwastami popieliskiem wsi. Dalej, za rozrzutem topoli, szemrzająca, półsenna ściana głębokiego parku. Przed nią, jakgdyby świeże mogiły, dopiero co rozkopane w zacisznym kącie cmentarza — jasne grudki

okopów wedet. Przez owies szeleszczący, przez szmaragd łąki raz jasnym, raz ciemnym węzłem biegnie ku nim dobiegowy ganek.

Pracowaliśmy do północy przed okopami, ryjąc małe, głębokie granatniki na sekcję. Z południa ciemną otchłani nocy raz wraz rozdierają błyski artyleryjskie.



Skauci 4 komp. 5 p. p. Leg. w Lasku Polskim.
Stoją od lewej: Rosiński, Kucharski, Lipiński, Chabowski, Goldenberg,
Kowalski, Siewicz, Pfeiffer. Siedzą od lewej: Wolski, Drymer, Pacholski.

7 czerwiec. Lasek Polski. — Moskale w nocy atakowali. Pluton cały popodnosił głowy i nadśluchiwał ciekawie w ciemności, a nerwowski poczeł się nawet pakować.

Baterje były solidnie na całym odcinku. W przerwach słyhać było tłumiony grzechot karabinowy.

Ogień rosyjski rzadki, chwilami tylko gwałtowniał, lecz wszystkie kule szły do nas, na rezerwę i te jeszcze górowały. Co chwilę wewnątrz ziemianki rozświecła migotliwy blask rakiet, co szły powietrze i noc.

Rano z zadowoleniem dowiedzieliśmy się, że na roboty nie idziemy. Moskale podsunęli się bowiem o 500 kroków przed okopy II bataljonu, w pewnej nawet chwili placówka została wzięta przez Moskale, lecz natychmiast ruszyła kompanja Myszkowskiego i placówkę odbiła. Ważna jest ona z tego względu, że chroni VI bataljon od flankowego ognia. II bataljon stracił w nocy 3 rannych i 1 zabitego.

Moskale grupują się w parku i przesuują w prawo z widocznym zamiarem atakowania luki, między naszym, a V i VI bataljonami

Żymierskiego, który mogąc ich flankować nie robi tego, gdyż chce ich na spółkę z Berbeckim wciągnąć w to bagno i tam im dać dopiero po skórze. Poza tem 4 pułk i 6 odparły lekko wszystkie ataki, przyczem czwartacy wzięli 23 jeńców, czerkiesów.

Gorzej było na lewo od czwartaków. Tam 11 dywizja poczęła się już chwiać, lecz Roja posłał dwie kompanje i doprowadził sytuację do porządku.

Po południu cisza zupełna, tylko na prawo dudnił nieprzerwanie ogień artylerji. — Położyliśmy się spać dość późno i zupełnie spakowani.

O jakiejś 1-ej w nocy zbudził mię Edek i wyszliśmy na górę, do okopów II linji. Widok przepyszny. Dolinę Garbachu, rzeczki, wpadającej do Styru, łąki i bagna pokryła lekka mgła, z której wynurzały się wzgórza naszej pozycji. Na lewo las otulony mgłami. We mgle raz wraz jaskrawym błyskiem pękały szrapnele, gnał terkot i kotłowanina ognia karabinowego. Artylerja pracowała solidnie a mgłę i noc rozświećlały migotliwe rakiety, aż chwilami jasno się czyniło jak za dnia.

8 czerwiec. *Lasek Polski*. — Dzień słoneczny, gorący. Na linji spokój zupełny, dopiero po południu kilka razy zatrajkotał karabin maszynowy i zatrzaśkały strzały rosyjskie.

W kancelarji bataljonu przeglądałem meldunki telefoniczne Wyrwy do Berbeckiego i Berbeckiego do Wyrwy. Dokładnie się z tego orjentuję, gdzie obecnie są Moskale. Berbecki melduje do Brygady, że dzisiaj urządza kontratak, albo bezpośrednio po ataku rosyjskim, albo gdy takiego nie będzie — nad ranem.

Działa wokół grzmiały przez całutki dzień. Z nad Putiłowki trepy się cofnęły na Łuck, coś o 30 km wtył. Wiadomość ta zrobiła na nas pewne wrażenie, gdyż nikt nie przypuszczał, że Moskale jeszcze potrafią łamać fronty.

O 8-ej przyszła wiadomość, że maszerujemy do okopów. 1 i 3 kompanje pójda na wywiad, a my zajmiemy ich odcinek.

O 9-ej maszerujemy gankiem na pozycję. Noc dość pogodna, nie ciemna, ale i niezbyt jasna, dobra na wypad. — W okopach plutonami zajęliśmy odcinki. Adek z 1-ą i 2-gą sekcją na jeden odcinek, ja z 3-cią i 4-tą na drugi. Wystawiliśmy zaraz posterunki, gdyż II bataljon za jakieś pół godziny rusza.

Siadłem z Dolkiem Wojtarowiczem na przedpiersiu okopu. W okopach mały ruch. II bataljon wyszedł już na wyprawę, zachowuje się tak cicho, że nic nie słyszymy. Ktoś gra skocznie na harmonji, wystawiony na okopie gramofon ucieszenie trąbi...

W pewnym ułamku sekundy rozwściekł się naraz gwałtowny ogień rosyjski i ekrazytówki szaleć poczęły. Kompanje II bataljonu zaatakowały...

Ogień trwa potężny, trzaskają karabiny, donośnie zatrajkotał maszynowy. Za chwilę otrzymałem rozkaz ściągnięcia posterunków. Daję więc trzy przeraźliwe gwizdy i posterunki hyc z drutów do okopów. Po jakimś kwadransie dopiero ogień osłabł na chwilę, a już i II bataljon zaczyna wracać. Rannych sporo, wiara zdenerwowana, robi wrażenie, jakby się wyprawa nie udała. Ściągali jakieś 15 minut, gdyż przejść przez druty bardzo mało. Rannych huk, coś 12 w tem jeden został. Przelatuje Wyrwa z wiadomością, że mamy 3 jeńców i karabin maszynowy.

Byczo jest! A więc mimo rannych, wzięcie karabina maszynowego to duży sukces.

Wiara z II bataljonu już pościagała i zaczyna gorączkowo opowiadać o przebiegu wyprawy. Jeńców mało, gdyż poszczególne plutony potraciły kierunki, wobec tego akcja była niejednolita, poza tem mochy się wściekle broniły i trzeba było ich wykłuć bagnetami. Chłopaki z entuzjazmem opowiadają o ppor. Styczyńskim i Kocu Adamie (bracie naszego), którzy runęli pod lipą na okopy moskiewskie, tak wściekle, że część Moskali ledwie zdołała wywiać, a resztę wiara wykłufa.

W OKOPACH POLSKIEJ GÓRY

9 czerwiec. Na pozycji. — O 2-ej w południe kwatermistrze maszerują na pozycję, a o 4-ej zbiórka całej kompanii w pełnym rynsztunku do przeglądu. Wwaliliśmy już tornistry na plecy, nic w ziemiance nie zostawiając. Po przeglądzie — wnet kolacja i odprawa podoficerska u Koca. Na okopach służba niezbyt ciężka, podzieliśmy pluton na dwie połowy, tak że każdy z żołnierzy 24 godziny na dwie doby będzie miał zupełnie wolne.

Pod wieczór przyjechał Hirek Pacholski, a z nim przyszedł Kazik Kowalski, z wiadomością że dla nas są paczki, w tem dla mnie ponoć ogromna. Ucieszyłem się mocno, lecz zarazem i fraszunek ciężki mnie obsiadł, co zrobić z paczką, gdy mi ją teraz dadzą. Maszerujemy na pozycję, a paczka prawdopodobnie ciężka. Idziemy więc do komendy pułku, aby przekonać się. Tam zaraz Łojko za pokwitowaniem oddał nam paczki — moja rzeczywiście ogromna. Przyturgąłem ją więc do ziemianki Kazika Kowalskiego.

Poza tem wieczorem opadł nas nastrój jak najgorszy. Przyszło to, czegośmy się zupełnie nie spodziewali, to co nam się niepodobnem

wprost do wiary wydawało. Moskale przełamali front od Kólek po Galicję i poszli naprzód 40 km, tak że dziś, jutro możemy robić odwrót.

Wczoraj jeszcze przysłała wiadomość, że pod Łuckiem trepy się cofnęły, właściwie z nad Putiłowki pod Łuck. Nie przejmowaliśmy się jednak tem zbytnio, sądząc, że wpływu na cały front jednakoż to mieć nie będzie. Tymczasem Moskale Łuck zabrali i wdarli się pod Stowycorozem i Kólkami i walą w trepy jak w bęben.

Djabli nas biorą na tych dziadów. Gdy raz Austriakom tak umocniony front przełamali, to już z II i III linią raz dwa pójdzie. Jedyna pociecha to to, że korpus pruski gna tam na złamanie karku by ofensywę rosyjską powstrzymać.

Jeżeli im się nie uda, to żegnaj bracie z Wołyniem. Nad Bug pomaszuję! Br!!... nie chcę wprost o tem myśleć! Ziemię z takim trudem zdobytą, tyle krwi kosztującą opuszczać!!!

Czy może być coś gorszego! Prostu cierpię. Nie mogę znieść myśli, że my możemy im oddać taki szmat ziemi naszej. Czuję jak pod spalonymi Dzierżkowiczami, że ja tych drani rzeczywiście nie-nawidzę...

O 9-ej zbiórka. Maszerujemy zwykłą drogą, którą zawsze chodzimy na roboty. Gorąco nadzwyczajne. Powietrze parne, duszne, pot spływa strumieniami. W okopach zajęliśmy dawny odcinek 5-ej kompanii Tunguza-Zawislaka. Trzy ziemianki na pluton; nasza bardzo morowa, widna, sucha. Natomiast okopy gorsze, słabo obsadzone: przed frontem całej naszej i części 3 kompanii wznosi się martwe pole.

Na prawo mamy kompanję 3, na lewo 1 i 2.

Parno robiło się coraz bardziej. Wreszcie południowa strona nieba poczęła się zaciągać czarnymi płachtami chmur, zerwał się gwałtowny wichur, poczał tańczyć i wirować piaskiem po okopach, targać i gąć drzewa Kostjuchnowki. Głuchy pomruk szedł z czarnych chmur i rósł w miarę, jak coraz szybciej zbliżała się burza. Za chwilę oślepiająca błyskawica rozdarła oponę nocy i przeraźliwy trzask piorunu runął gromem. Całe już prawie niebo powlokło się nie-przeniknioną nocą i jasność błyskawic raz wraz oślepiła oczy.

Wreszcie zaszumiał kroplami deszcz, zrazu powoli, jakby z namysłem strącając krople, wreszcie raptownie spuścił na zeschniętą i spragnioną ziemię potoki wody.

Po pół godzinie burza ucichła. Niebo jasne, pogodne, księżyc skrzył się brylantami na kroplach deszczu, lśnił na okopach, gdzie nie padał cień.

Na prawo gdzieś pod Kołkami — tłuką się sakramencko. Nieprzerwane dudnienie dział, głuche łoskoty idą stamtąd, groźnym, potężnym pomrukiem...

10 czerwiec. Na pozycji. — Dzień mamy przepyszny. Wiatr południowo wschodni gna lekkie chmury, ustawicznie skrapiając ziemię ciepłymi kroplami. W przejrzystym powietrzu nie słychać było dudnienia dział. Ustało ono nad ranem i cisza zupełna zaległa front.

Wiadomości pocieszające. Pod Kołkami podobno Niemcy odegnali mochów i zepchnęli ich na stare pozycje, biorąc 7000 jeńców, działa i karabiny. O walkach pod Łuckiem i o korpusie pruskim, który tam pognął narazie nic nie słychać.

Dzień przeszedł nam na włóczeniu się po okopach, oglądaniu przedpola, orjentowaniu się w całej pozycji.

Wieczór ciepły, cichy, od czasu do czasu spada ciepły, rześisty, tętniący dużymi kroplami deszcz.

11 czerwiec. Na pozycji. — Po południu dostałem rozkaz zgłoszenia się u Styka. Mam z dwoma ludźmi podczołgać się zbożem do Kostjuchnowki, zbadać olszynkę na południowym skraju wsi i następnie zdjąć teren przed okopami, głównie pochyłości.

O 3-ej z Siewiczem i Talarczykiem zgłosiłem się i zaczęliśmy przeglądać teren. Wiary zważyło się moc, gdyż ciekawość ich przysięgnęła, by widzieć nasze pełzanie. Przyszedł Sław i wszyscyśmy zaczęli przez lornety i lunety obserwować Moskali nawprost, na tle lasku. Przez lunetę każdego z nich doskonale widać. Jednak że artylerja biła na placówkę rosyjską, w młynie — Styk nas wstrzymał, aż do rozkazu wyjścia. W ziemiance zastałem Wojnę-Szczepanowskiego i Bronka Grabałowskiego, obu gości bardzo mile widzianych u nas. A że mam trochę dobrych rzeczy, ex re paczki — więc siedzieli na pogwarce tem chętniej.

O 6-ej wychodzimy wreszcie na patrol z miejsca wedety 3 kompanji. Przeczekaliśmy chwilę, gdyż posterunki nie zostały jeszcze zawiadomione, i aż przestanie bić szrapnelami artylerja rosyjska na obserwatora 3-ej.

Wychodzimy wreszcie, przeczolgujemy się przez splot drutów i wnet ogarnia nas jasnozielone, młode żytko.

Żytem tem pełzając, ze sztucerkami w ręku podsuwamy się do śladów Kostjuchnowki. Granice wsi oznaczają drzewa owocowe, po większej części zeschnięte i opalone od pożarów i czworokątne popieliska, z których nawet cegły powybierano do okopów. Między temi cegłami, półkiem żyta — nie z obsiania troskliwą ręką rolników, a z rozsypanych ziaren wyrosłem — posuwamy się w stronę placówek rosyjskich. Posuwanie idzie bardzo wolno, gdyż słońce operuje niesłychanie, a pokrzywy i zielska utrudniają pracę ogromnie.

Pełzniemy wsparci na łokciach, a z Kostjuchnowki już posuwamy się w lewo, wzdłuż wsi, ciągle pod osłoną żyta, by dość do olszynki. Okopów naszych na odcinku kompanji 3 i naszej zupełnie nie widać, martwe pole sakramenckie, tylko występ karabina maszynowego groźnie wyziera na przedpole.

Do olszynki podpełzaliśmy po półtorej godzinie, zaobserwowaliśmy co należało i wracamy. Moskale biją z trzech placówek gęsto, lecz nas w zbożu nie mogli dostrzec.



Posterunek w okopie na Polskiej Górze.

W drodze powrotnej, we znaki się dają komary i miliony owadów, które chmarami unoszą się nad nami. Pogoda przepyszna, wieczór zapada bajecznie cichy, pełen muzyki owadów. Słońce w cudownych, czerwonych barwach, za siną linią chmur na widnokręgu zachodziło już, gdyśmy się wycofali na nasz odcinek do karabina maszynowego, zgrzani i spoceni. Tu czekał na nas Styk i gromada ciekawców. Zdałem więc krótki raport i wróciłem do siebie, by napisać pisemny, wraz ze szkicem. Zmęczony jestem potężnie. Całe dwie i pół godziny pełzania — mam dość. Skórę na łokciach pościerałem, a twarz od pokąsań owadów i poparzeń od pokrzyw mam rozpaloną i piekącą, jakby mi zlano ukropem.

Prusacy ponoć nie mogą sobie dać rady pod Łuckiem, takie tam wałęsy rosyjskie.

12 czerwiec. Na pozycji. — Pogoda przepyszna. Wstajemy dość wcześnie i po śniadaniu rozchodzą się sekcje, każda do swego za-

jęcia, Edek z kilkoma żołnierzami buduje za okopami oszalowanie, miejsce dla „grenadjera”, t. j. tego, który podczas szturm Moskiewskiego strzelać będzie granatami z karabina, ja zaś zająłem się zbudowaniem skrzyneczki do naboju.

Popołudnie zeszło mi na pisanie dziennika. Sekcja poszła na robotę do placówki. Oczyszczają pole ostrzału, kosząc żyto.

Sław włóczy się po okopach i bada przedpole. Ma zamiar ofensywniej się postawić i pchnąć gdzieś placówkę. Przechodząc około ziemianki, zawołał mnie i poszliśmy na występ karabina maszynowego. Tam wypytywał mnie o patrol i o zdanie, gdzie podług mnie najlepiej postawić placówkę. Motywował pytanie tem, że ja będąc na patrolu powinienem najlepiej takie miejsce spostrzec. Wskazałem na starą, potężną a odosobnioną lipę, pod którą uważałem, że można wystawić placówkę. Jest tam największe pole widzenia, poza tem góruje cokolwiek położeniem.

Powoli zapadał zmierzch. Na froncie cisza, tylko na lewo, gdzieś na odcinku 1 czy 6 pułku zrywa się od czasu do czasu żwawa strzelanina, jakby ścieranie się patroli.

Słońce już zaszło. Ciepłe powietrze ożywia brzęk owadów, od Kostjuchnowki zdołu, z łąk nad Styrem idzie rzeźwe, pełne zapachu tchnienie letniego wieczoru.

Zebrała się wiara na okopach, poroziadała się na przedpiersiach między trawersami, jakby na galerji. Dowcipy krążą, budząc wesoły, młody śmiech, a za chwilę zrywa się śpiew i rozbrzmiewa długo w noc.

Byłem dzisiaj na dwu patrolach. Przed wieczorem narysowałem Stykowi jeszcze jeden szkic. Styk mi zarzucał, że niemożliwe, żebym ja drogi nie dostrzegł, którą w nocy przecież widział i Jagmin i Koc. Poszedłem do Jagmina, który mi to samo powtórzył. A że zmrok właśnie zapadał, wzięliśmy karabiny i ładownice z 3-ej kompanji i ppor. Dunin, Nehring¹⁾, Jagmin - Sadowski i ja przeszliśmy przez placówkę 3 i drogą z cmentarza doszliśmy, kryci zbożem, do Kostjuchnowki. Posunęliśmy się jakieś 400 kroków wprzód. Droga rzeczywiście jest i ja byłem poza nią, tylko absolutnie nie wiem czemu jej nie dostrzegłem.

O 12-ej w nocy idziemy na drugi patrol. Ludzi 18-stu z I plutonu, Adek i ja. Idą z nami podpułkownik Berbecki, kapitan Sław, pporucznik Koc, porucznik Styk — wszyscy w charakterze gości.

Zebrałiśmy się przed komendą kompanji. Jest tu lekarz, Flojar — humor panuje przepyszny. Po 12-ej wychodzimy, prowadzi Adek. Ja z Mańkiem Pacholskim i Chabowskim Zygmuntem idę na szpicę,

¹⁾ Zginął 4 lipca pod Kostjuchnowką.

Berbecki w płaszczu, z obnażoną, jak zwykle na patrolach, szablą w rękę.

Noc przepyszna. Niebo czyste bez chmur, sierp księżyca rzuca lekki blask, wokół rozperlona jasność, jasność w której kontury giną o kilka kroków.

Maszerujemy cicho nawprost do lipy; do nas, do szpicy przyłączył się i Styk.

Spatrolowaliśmy teren około lipy, pełen głębokich wybojów, dołów i świeżych okopów i posunęliśmy się jeszcze wprzód pod olszynkę, gdy tymczasem patrol cały stanął na drodze.

Cisza zupełna. Za olszynką na bagnie podniósł się długi pas białej mgły i rozwlókł się szeroko. Derkacze grają na łąkach, żaby koncertują, od czasu do czasu cichym lotem przemknę niecierpliwie.

Staliśmy w życiu, które stało jak nieruchoma sinozielona, toń, bez drgnienia, bez połysku — równo i matowo.

Skręcamy teraz w prawo. Patrol maszeruje drogą, ja z przedniego ubezpieczenia zamieniłem się w lewe. Przymaszerowaliśmy Kostjuchnowkę wzdłuż naszego odcinka i doszliśmy do placówki 3 kompanji. Pluton wszedł do okopów a Berbecki, Sław, Styk i ja zatrzymaliśmy się w Kostjuchnowce. Pokazałem drogę jeszcze jedną, prostopadłą do drogi Kostjuchnowki i wyjaśniłem Stykowi nieporozumienie, przyznając się, iż byłem dzisiaj przekonany, że droga biegnie. Nie mówiłem tylko o Jagminie, gdyż nie wolno absolutnie żadnemu patrolowi wychodzić bez meldowania w komendzie bataljonu.

Sław chce postawić placówkę pod lipą i drugą na drodze z cmentarza do Kostjuchnowki. Wogóle chce ubezpieczyć pozycję, by przedpole mieć w garści.

13 czerwiec. Na pozycji. — Chmurny dzisiaj mamy dzień i mokry. Przeszedł mi bez istotnego zużycia czasu. Po południu odwiedzili nas Kazik Kowalski i Bolek Ficner. Bolek dostał srebrny medal II kl. za walki jesienne. W jakichś ciężkich okolicznościach, gdy cały pluton telefoniczny Brygady rozleciał się, on z dwoma innymi zakładał linię, nie mając przed sobą stałego frontu.

14 czerwiec. Na pozycji. — Na linii spokój. Moskale Kołki mają i stanęli widocznie, bo odgłosów artylerji nie słysząc zupełnie.

Saperzy austriacy w dwu miejscach budują „lisie jamy”, głębokie granatniki, taką samą lisią jamę budują nasi chłopcy pod kierunkiem Austriaka pod występem karabina maszynowego. Ruch tam panuje zawsze wielki. Występ jest łagodny, góruje nieco, to też wiara tam zbiera się ciągle, by obserwować punkt 311 — brzeg przeciwnego lasu i wydmy, gdzie ciągle się kręca Moskale.

W tej chwili nadjechała tam kuchnia i ponoć sporo się zebrało mochów. Nadszedł też zaraz Styk, Rowecki, podporucznik artylerji — obserwator. Ściągnęli aparat i za chwilę pękać tam poczęły szrapnele i ryć granaty z łomotem. Kąt 5 więcej, skala 51, celownik 52 — granatem, pluton ognia — podawał obserwator i odkładając słuchawkę brał zaraz lornetę, a za chwilę szorowały pociski po gładkiem niebie.

15 czerwiec. Na pozycji. — Dzień się zapowiadał chmurny i dżdżysty, po niebie wędrowały chmurki o najróżnorodniejszych odcieniach granatu i coraz to krótszym lub dłuższym deszczem skrapiały ziemię.



Drutowanie pozycji.

Rano wyszedłem z Mańkiem Pacholskim wdół, na łąkę, by się umyć. Łąka po deszczu i rosie wilgotna, świeża, oddychała zapachem kwiatów mocno i bujnie. Przez cały czas ostrzeliwał nas moch jakiś, na drzewie siedzący i bestja celnie bił. Wartoby pluton zebrać i dać salw kilka na siniejące sosny, które wznoszą się nad młodym zagajnikiem sinym pasem. Tam bowiem, na jakimś rozgałęzieniu wygodnem, ulokował się „pukajło” i puka nieustannie do naszych sylwetek.

Wiadomości o froncie na południu ciągle nadchodzą, lecz co jedna — to nieprawdopodobniejsza; faktem jednak jest, że Moskale posunęli się o 30 kilometrów na zachód od Łucka i niech się jeszcze cokolwiek zechcą posunąć, my gwałtownie będziemy musieli wyrwać na Stochód.

16 czerwiec. Na pozycji. — Przyjechał dzisiaj Romek Gertner. Całą masę listów, które wiozł ze sobą dla nas, Prusacy mu przy rewizji zabrali. Wiedzą już oni, że „awstrijcy” prowadzą ofensywę wstecz, i sądzą, że i my to robimy.

W Łodzi endecy pracują jak mogą, rozpuszczając o nas jak naj-fantastyczniejsze wieści.

Wczoraj dowiedzieliśmy się od Ficnera, że zginął Miatkowski. Dostał w brzuch na patrolu i zmarł w szpitalu dywizyjnym. Szkoda chłopca!

Noc. Godzina dwunasta. Jestem sam w „lokalu” inspekcyjnym. W bataljonie ruch — gdyż zakładają dzisiaj placówkę pod lipą. Popołudnie przeszło zupełnie spokojnie, bez żadnych awantur.

Telefonowano z pułku, że do Kowla przemaszerowały dwa pruskie korpusy i rzną na Kołki i Łuck. Podobno całe kierownictwo na froncie wołyńskim ma przejść w ręce Prusaków.

18 czerwiec. *Na pozycji.* — O świcie w kompanji kram jak sto djabłów. Wedeta — Wojtaszek z III plutonu — znikł... Natychmiast pognał Flojar z 4-ma ludźmi w stronę młyna, sądząc, że gdy Moskale go chwycili — zdąży jeszcze go odbić. Podbiegł pod same okopy moskiewskie, w biały dzień aż za młyn i krzyż na drodze — lecz było już za późno. Ostrzelany salwami wrocil — i to szczęśliwie — boć mógł ani jeden z nich nie dostać się do kompanji...

19 czerwiec. *Na pozycji.* — Jak głoszą pisma — ofensywa rosyjska została wstrzymana. Zobaczymy co będzie dalej. Tymczasem wszyscy urlopnicy, zgodnie twierdzą, że wali się moc wojska niemieckiego.

Andrassy na sejmie węgierskim znowu obszernie mówił o Polsce. Dziwił się, dlaczego do tej chwili Austro-Węgry nie wypowiedziały jeszcze szczerze linji swych poglądów, wedle których mają zamiar załatwić kwestję polską. Mówił dalej, że Polacy niepewni swych losów nie mogą stanowczo opowiedzieć się przy państwach centralnych.

Sejm węgierski już drugi raz zrzędu omawia kwestję polską, w duchu nadzwyczaj dla nas przychylnym.

20 czerwiec. *Na pozycji.* — Armaty biją głucho na południu gdzieś pod Kołkami. Dudnią przeciągle, monotonna, nieustannem biciem łączą się odgłosy w jeden przeciągły, przygłuszony grzmot.

Wieczorem poszedł cały pluton na ubezpieczanie robót przy placówce. Od okopów do lipy rezerwa kopie ganek, gęsto poprzecinany trawersami, który jest zarazem łącznikowym do placówki, jak i okopem flankującym park. Moskale mają bowiem bagno dochodzące do naszej olszynki i nie mogą się rozwijać nawprost, lecz tylko z parku. W parku się grupują i stamtąd dopiero rozwijają się w lewo, na lipę. Wskutek tego, okop łącznikowy, prowadzący z lipy do okopów głównych, będzie znakomicie flankował ich kierunek rozwijania.

Posterunki przed naszym plutonem objął pluton II. Objąłem placówkę środkową z 10 ludźmi, lewą Łodek, prawą Talarczyk.

Noc cicha, gwiazdzista, lecz chłodna. W jakimś starym, głębokim, jeszcze z jesiennych walk okopku, umieściła się placówka. Za nami wysokie żyto, przed nami ogród z drzewami owocowymi, dalej bagno. Derkacze chrapliwie grają w łąkach, w zbożu nawołuje się nieustannie przepiórka.

O 12 zaczął wschodzić rozżarzony księżyc i wznosił się do góry, blednąc coraz bardziej. Mroki nocy przesiewał lekki blask, rzucając długie, czarne cienie, od czasu do czasu wiatr powiał po drzewach, które szumiały równo i spokojnie. W lewo czerni się starodrzewem park, otulony majestatem nocy.

Ciszę przerywały miarowe stuki saperów, wbijających pale do odrutowań. Okopy milczały, od czasu do czasu odezwał się głos silniejszy, lub zabrzmiał śmiech. W pewnej chwili ktoś tam począł śpiewać swawolną piosenkę strzelecką, a potem wygrywać ją na organkach. Tony szły skoczne, nie dostrojone jednak do tej świętej ciszy nocy czerwcowej i do ciszy wyczekiwania, sunęły po rosie swawolne, lekkie, śmiejące się, uderzały w ciszy stojące kłosa żytnie, z podmuchem wiatru leciały, sunęły wdał po łące mokrej i puszystej, po wilgotnych moczarach.

Usiadłem w okopku. Tony przebrzmiały, ucichły, nie budząc echa, przysła natomiast tęsknota za tem, co już minęło, co nie wróci. Za tą ciszą wieczorów późnych, za księżycowym blaskiem, za tem bujnym, tak wspinałem i tak strasznie ciężkiem żołnierskiem życiem, krótszem co chwila, co moment.

Przerwałem marzenia... Bo oto lekki poszum drzew stał się silniejszy, choć drzewa zda się stały znieruchomiałe. Był to poszum wewnętrzny, poszum głęboki, z duszy drzew płynący.

Stały drzewa w blasku księżycowym, szum jednak szedł, szedł ciągle, więc pochylił się, dłonie ścisnęły karabiny i słowo — szept, jak umówiony, tajemny znak wionął z rozchylonych ust: „Idą”!..

Lecz to nie szum zboża deptanego liną tyraljerską, nie chrzęst kłosów targanych butami szedł... To tylko szum drzew wewnętrzny, gwar tajemniczy starego parku...

O 2-ej po północy niebo poczęło blednąć i różowieć coraz bardziej. Różany świt powoli rozjaśnia noc, rozperliły się cienie, poszarzały drzewa...

Przed 3-ą zeszliśmy z placówki...

21 czerwiec. Na pozycji. — Na dworze szaro, nudno, wietrznie. Pluton po służbie spał do 12-ej, a wiara wygnana wiatrem i zimnem z okopów, zgrupowała się w ziemiankach. Myśl leniwo się przesuwa po kartkach filozofji Jeruzalema, z trudnością toruje sobie drogę wśród hałasu i gwaru...

Edek Pfeiffer wieczorem przyniósł interesujące wiadomości. Niemcy obejmują cały front wołyński, aż do Łucka. W związku z tem zachodzi pytanie, czy my zostaniemy u Niemców, czy też pójdziemy na południe do trepów. Djabli to wiedzą — ponoć Linsingen chce koniecznie nas zatrzymać, lecz pepiki nie zgadzają się. „Uwidim“ — co będzie!

Pułk 2 bije się gdzieś na południe od Kołek. Zagarnęli kupę jeńców, oficerów, karabinów maszynowych — i musieli wszystko oddać i przebić się, gdyż 14 austriacka zawiesiła ich prawe skrzydło w powietrzu i cofnęła się. — Bydło! pułk 2 ma przez nich 300 ludzi strat, w tem 40 zabitych.

A pod Kołkami tłuką się znów, aż ziemia jęczy. Grzmot artyleryjskiego ognia nie ustaje ani na chwilę...

22 czerwiec. *Na pozycji.* — W okopach, na przedpolu, stajemy się coraz zuchwalsi. Nietylko, że włóczy się wiara nieustannie po okopach górą, lecz już i kosi żyto przed drutami, a Styk pracuje nad placówką nietylko w nocy, lecz i we dnie. Wyznacza kierunki drutów, linje ganku, krząta się, uwija, a wszystko to prawie na oczach Moskali. Mogą oni coprawda targnąć kiedy salwą na powitanie, boć celownik jest zaledwie 800 — 1000 kroków, lecz do tej pory siedzą spokojnie. Biją tylko uparcie na VI bataljon, na przechodzących po wodę i ustawili nawet na nich karabin maszynowy.

1 i 2 kompanja wystawiają placówki przed parkiem a 3 i nasza 4 narazie osłania roboty pod lipą. Dzisiaj 1 zakłada w parku miny, gdyż Moskale zaczynają coraz częściej odwiedzać naszą lewą placówkę. Zakładają pod osłoną ognia artyleryjskiego.

23 czerwiec. *Na pozycji.* — Bajecznie krótkie, pięciogodzinne noce. Posterunki nocne przy drutach wystawiamy o 10-ej, a ściągamy o 3-ej.

Noc mi przeszła jak z bicia trzaś. Ani się obejrzałem, jak świt począł bielić szyby. Bieli już... nasłuchuję; słyszę dzwonenie skowronka, choć to dopiero 2¹/₂.

Wrócił wczoraj z Brygady Sulkiewicz. Są więc nowiny: Hauera korpus i Fatta ma odejść w najbliższym czasie. Czy my pójdziemy, czy zostaniemy, to jeszcze kwestja nierozstrzygnięta. Faktem jest jednak, że Linsingen nie chce nas puścić i że Niemcy zatrzymawszy ofensywę rosyjską już pchają Moskali wolno, acz ciągle na stare pozycje. Centralnym państwom chodzi ogromnie o zatarcie złego wrażenia, jakie wywarła skuteczna ofensywa brusiłowska i sądzę, że głównie im chodzi o Rumunję.

Bądź co bądź — naprzód pójdziemy, tylko czy tu, czy gdzieś na południu, tego nie wiadomo.

Pułk 2 i ponoć 3 pod Gruziatynem miał poważne straty. W 2 pułku rannych oficerów 10, żołnierzy 120, zabitych oficerów 1, żołnierzy 40 — poza tem 100 przeszło wziętych do niewoli. Kittner pchał ludzi na śmierć i rzucał kompanjami jak pod Rokitną tak, aż zrozpaczony Januszajtis zagroził mu rewolwerem. Teraz jest źle, bo 2 pułk prowadzi jakiś młody komendant bataljonu.



Legjonista I Brygady.

„De publicis” różnie słyhać! Wpływ Komendanta rośnie coraz bardziej, coraz trwalej. Zjazd Ligi Kobiet w Piotrkowie życzenia nadesłał tylko Piłsudskiemu i komendantom pułków, wszystkie stronnictwa niepodległościowe opowiedziały się za ideologją Komendanta. Poza tem szef niedługo wróci i przywiezie sporo nowin. Komendant mówi ponoć o różnych rzeczach przy obiedzie, więc tylko to, co powie — Brygada i świat wiedzą. Poza tem nic więcej, gdyż Komendant milczy uparcie.

Świt już zupełny. Ściągnąłem posterunki i stojąc na okopie patrzę w stronę reduty, którą ostrzeliwuje równo, z przerwami, ciężka artylerja rosyjska. Błysk ogromny i za chwilę huk aż ziemia drży. Pierwszy raz widzimy u Moskali taką artylerję. Chyba więcej niż 18-ki.

Poranek chłodny niezmiernie. Wąski sierp księżycy jeszcze srebrzy się, jasny strop nieba pozaciągany gdzie niegdzie chmurami, które na

wschodniej stronie powydłużały się w zwały, pełne purpury i krwi. Jutrzienka przebija się poprzez lazur, lecz poczerwieniała, jakby ociekła krwią, chmury gromadzą się na horyzoncie. W lasku, na łąkach, już gwar — rozpoczął się dzień. Spływa jasny, w lazurze okien niebieskich i w skrwawionych kłębowiskach, groźnych i dziwnych chmur, w świergocie ptactwa...

A na reducie grom po gromie rozwala ciszę poranka, aż drży ziemia...

24 czerwiec. Na pozycji. — Upał na dworze prawdziwie czerwcowy. Powietrze spokojne, ciche, w olśniewającym blasku słońca, tchnie zarem. Po lazurze nieba przeciągają białe, leciuchne obłoczki i płyną sennie, leniwie. Powietrze rozgrzane drga na łądogach zboża, na chwiejnych, falujących lekko powierzchniach łąk. Skowronek jeno niezmordowanie nuci swą pieśń życia.

Dowiedzieliśmy się dzisiaj, że eksplozje ranne nad redutą, to nie ciężka artylerja, lecz rosyjskie miotacze min, które pękają bądź w powietrzu, bądź na ziemi. Szkody one wielkiej nie wyrządzają, lecz na psychikę żołnierza mają wpływ duży. To też tam huk były takie, że my, na kilometr oddaleni, — uczuwalismy uderzenia powietrza.

Na lewem skrzydle podobno Madziarów już zmienili Prusacy, a i Węgrów z naszego prawego skrzydła też wkrótce zmienia. Dzisiaj tam już widać było kręcących się pruskich oficerów.

O zmierzchu, po zachodzie słońca zebrani na okopach w górze, śpiewamy. Wieczór zapada cichy, bajecznie ciepły. Z parku, z Kostjuch-nówki bije zapach jaśminów, kwitnących krzewów a opary nocne z łąk roznoszą przedziwną woń.

Przelatywał dzisiaj nad naszymi pozycjami lotnik rosyjski na ogromnym aparacie, typu „Ilja Muromiec”. Ostrzeliwała go nasza artylerja i pierwszy raz widziałem takie precyzyjne bicie. Pociski wybuchły bardzo blisko, zupełnie na tej samej wysokości, a jeden tak wspaniale wybuchł, że aż wydaliśmy okrzyk. Aparat zachwiał się, skręcił gwałtownie — lecz nie spadł. Bestja lotnik-morus chłop. Nie spieszył się i jechał wprost na baterje, tak, że musiały zaprzestać ognia.

25 czerwiec. Na pozycji. — Upał jadowity... Chłopcy porozbierani z koszul wygrzewają się na słońcu, lecz rychło uciekają do ziemianek z poparzonemi, czerwonemi od słońca plecami. Upał wszystkiemi porami wciska się, wysysa siły i obezwładnia. Myśl staje się leniwa i nieruchoma jak klajster.

Mochy zraniły dzisiaj Talarczyka. Szedł z Lasku Polskiego po kładce. Moskal strzelił dwa razy i za drugim razem przeszył mu nogę tuż nad kostką. Rana lekka, Talarczyk bierze 55 koron i jazda na „hinterland”. Zbiegli się zaraz do niego oficerowie i wiara

i chłop w jednej chwili stał się bohaterem dnia i przedmiotem zazdrości. Bo też tak to każdy chciałby dostać by wypocząć trochę na tyłach.

Wieczorem pluton ze Stykiem maszeruje do lipy. Jako zadanie postawił Styk jak najbliższe podsuniecie się pod pozycje moskiewskie i podsłuchanie co Moskale tam robią. W dzień było słychać śpiewy, stukoty i orkiestrę.

Za drutami placówki pod lipą, rozrzucamy się w tyraljerę. Na szpicę idzie Styk, Adek, Banaszczak i ja. Na prawem ubezpieczeniu Edek Pfeiffer, na lewem Zygmunt Chabowski.

Noc dość jasna, pogodna. Łąki ciężkie, wilgotne, derkacze drą się wniebogłosy, żaby po bagienkach wiodą tłumne rozmowy.

Posuwamy się powoli, co chwila bacznie nadsłuchując, przez długą łączkę, miejscami mokrawą, porośłą olszynką. Dochodzimy do linii okopów rosyjskich, budowanych podczas ostatnich ataków. Pluton posuwa się wspaniale, tak cicho, że my na szpicu wysunięci o 15 kroków zupełnie go nie słyszymy.

Za okopkami przeszliśmy mokrą olszynę i weszliśmy na szerszą nieco łączkę z prawej strony ujętą krzakami, wysokości człowieka. Łączka lekko pokryta rzadką, krótką olszynką, na lewo jasny pas nieba, na którego tle widać posuwanie się lewego ubezpieczenia. Ztyłu tyraljera czernieje rzadkimi punkcikami, lecz o 15 kroków nic jej nie widać, a że słychać też jej nie było — sprawiała wrażenie czarnych duchów...

Za łączką natrafiliśmy na równoległy do linii rów, obrośnięty krótką leszczynką. O jakieś 200 kroków wznosi się raptownie rząd wysokich drzew. Popłynął cichy szep: „młyn...”

Wskazuję Stykowi na świeżą, równą ścieżkę, wydeptaną w wysokiej łące, czarną linią idącą do drzew. Prawdopodobnie ściągnięta wedeta. Pozostawiamy pluton wtyle i we czwórkę posuwamy się do onych drzew, powoli, zgięci wpool, co kilka posunięć przyklękając — bezszelestnie...

Wszystkie zmysły pracują w napięciu, oczy starają się przebić ciemności, ucho rozróżnić szczeł łopatk, lub zamku, szmer rozmowy od chrapliwego grania derkaczy i nieznośnego rozmowu żab. Lecz nic. Posuwamy się jeszcze dalej i dochodzimy do wysokich olszyn i topoli. Droga...

Droga, jedyny raz widziana w życiu... Droga jak z bajki, droga duchów... Szpalerem olch, topoli ginie wdali, pokryta zieloną runią nie wyjeżdżona, nie tknięta ludzką stopą.

Jeździły tędy wozy, wesół gwar i śmiechy szły tędy, gdy ludność z Optowej do Kołodji ściągała... Wesoło trąkotał młyn i rechotały

żaby... Teraz bajeczna, boska cisza... Droga wygląda jak w zaklętym państwie, gdzie życie ludzkie posnęło i przyroda zapanowała niepodzielnie...

Rozglądamy się w lewo i w prawo. Naraz z lewej gruchnął strzał i kula z trzaskiem poszła po drzewach... Stoimy znieruchomiali. Drugi strzał rozwalil ciszę nocy... Czekamy rychło nam runie w ślepią błyskiem salwy... Lecz cisza trwa dalej, tylko derkacze drą się nieznośnie. Na prawo wznosi się ciemny zwał drzew, czarną masą. Tam młyn... Wpatrujemy się w jego mrok nieprzenikniony, lecz cisza stamtąd idzie niezakłócona...

Gdzieś tylko zdaleka, o jakieś 300 kroków w okopach, nuca Moskale „unytyja” pieśni. Jakiś tenor wyśpiewuje górnio, a chór zgodnie podtrzymuje śpiew. Udają morowców!

Wracamy. Wtył zwrot i bezszelestnie posuwamy się w ciężkich, wilgocią przepojonych trawach. Poszeptnym ruchem warg popłynię zagnała rozkaz i zagnała linja przywrze do ziemi, przygarnie do trawy mokrej, puszystej... Domyślamy się, że ścieżka, którąśmy przedtem spostrzegli to prawdopodobnie droga dziennego posterunku „siekrjetu”, który tu do krzaków dochodzi. Gdyby to była wedeta nocna, napewno byłby okopek. — Wracamy o wiele szybciej. W pewnej chwili, już w olszynie, zaczyna naraz linja szukać czegoś nosami, węchem. Z łąki bije okropny smród; przytaił się jak wróg wszędzie obecny i kręci straszliwie w nosach... Jakiś rozwalony granatem dół, wydaje tę woń. Widocznie trafił granacik na Moskalika i wszedł z nim w bliższą konfidencję. A łączka już tutaj całkiem morowo pocharatana czarnymi dołami od granatów...

Wracając pakujemy się całą linją do okopów rosyjskich. Mimo, że był tu już na poszukiwaniach II bataljon i 3 kompanja — jeszcze sporo rzeczy pozostało. Obladowaliśmy się kociołkami, łopatkami i wracamy już dość głośno...

26 czerwiec. Na pozycji. — Wstaliśmy w południe wypoczęci morowo. Po patrolu zwykle śpimy nazabój. Dzień upalny jak i poprzednio. Wiatr wschodni, z nad łąk Styru, z pól Kołodji i Rafałówki przynosi rzeźkie, mocne zapachy... A Moskale Linsingen tłucze. Ten worek, który Moskale wbili we front austriacki stara się Linsingen zamknąć. Już ponoć Niemcy podchodzą pod Łuck.

27 czerwiec. Na pozycji. — Godzina 9.30 wieczór. Mrok już, bo dzień pod wieczór chmurny się uczynił i noc szybko zapada. II i III pluton poszedł na patrol, jak się zdaje na zasypywanie okopów moskiewskich z czasów ich szturm. Wskutek tego ubezpieczenie wystawia dla całej kompanji nasz pluton. Wieczór zapada cichy

i ciepły. Z okopów tylko bije gwar; ruch się i życie na okopach zaczyna potęgować. Z turkotem zajeżdżają wozy prowiantowe, kuchnie niektórych kompanij, wozy amunicyjne. Jutro Berbeckiego imieniny. Zebraliśmy flotę na cel filantropijny i składamy na jego ręce. Poza tem posyłamy po jednym delegacie z kompanji. Z naszej kompanji idzie Wojtarowicz. Bajeczny jest ostatni numer „Konferencji pokojowej” 1-go pułku. Wprost przepyszne. Artykuł „Nowa pozycja” — przepyszny. Kończy się następująco: „I stoimy tak



Legionista I Brygady.

w okopach, naprzeciwko siebie — ja i on brat mój, słowianin. Ja się boję i on się boi; ja chcę do mamy, — on chce do bałki — a trwamy tak w blaskach pobłażliwego słońca — pyszni, dumni i odważni, bo — stać nas na to”...

28 czerwiec. *Na pozycji.* — W lokalu inspekcyjnym, szumnie tak nazwanym, w rzeczywistości w mizernej, odrapanej, brudnej, koślawej ziemiance, przy dwu ciągle brzęczących aparatach i śpiącym telefoniście, mam przepędzić 24 godziny, do jutra do 10 rano. Inwentarz zdaje mi sierżant Doliński z 3-ej kompanji. Inspekcja nasza na pozycji ogranicza się do spraw natury gospodarczej. Od inspekcji bojowej na każdą kompanję jest dyżurny oficer, który trzy razy na

dobę, w określonych godzinach przysyła meldunek sytuacyjny z odcinka swej kompanji. Pluton nasz dzisiaj jest służbowy w kompanji i wystawia placówkę pod lipą. — Od rana zaś 10 ludzi pomaszerowało na placówkę, by tam pod komendą Rusina umacniać ją dalej. Dzień gorący, jednocześnie upalny. Mimo letniej bluzy gorąco mi szale nie. Pas i ładownice pieką, że oddychać trudno. O 12-ej poszedłem do ziemianki na obiad. Zrzuciłem z ulgą pas by nieco odetchnąć. Za chwilę przylatuje Ciechoński i komunikuje, że Aksamit ranny. Gdzie? pytam. Na placówce — dostał w bok. Po obiedzie dowiaduję się szczegółów. Pracowali na górze — patrol moskiewski widocznie się blisko podsunął — pierwszy strzał — Aksamit leży.

Idę zaraz na występ karabina maszynowego. Pod lipą spokój. Rozżarzone słońce kładzie ciemno-fioletowe refleksy cieniów. Łan zboża lśni się jak stal. Za chwilę sanitariusze wynoszą Aksamita na noszach. Niosą go górą, gdyż ganek za ciasny i za kręty. Lecz Moskałe spostrzegli ich, bo oto pierwsza kula ze świstem trzepnęła w ziemię. Przycupnęli chwilę, przeczekali a potem już szybciej podążyli do okopów. Aksamita złożono w ziemiance 4 sekcji. Jest zupełnie przytomny, tylko nieco przybladł. Za chwilę przybiegł dr. Kwaśniewski, wypytując troskliwie gdzie boli, jak kula uderzyła, co ranny czuł. — Aksamit odpowiadał spokojnie i pilnie, pilnie wpatrywał się w twarz lekarza. Lecz nic nie dojrzał.

Po wyjściu doktora Kwaśniewskiego zaczęliśmy mu prawić kawały o „hinterlandzie“, o 55 koronach, o wesołym życiu, o jego Marysi, tak że chłop trochę poweselał. Lecz biedak widocznie nie bardzo wierzył w „dobroć“ rany, gdyż po chwili zaczął mię przeproszać, za jakieś przykre słowo, które mi kiedyś ponoć powiedział. Przerwałem mu energicznie i śmiać się zacząłem, że on na taką nutę pogrzebową nastrojony — choć przyznam się — głupio mi było.

Popołudnie zeszło w bataljonie na ciągłej robocie. Rozkazów było huk, jedne dyspozycje goniły drugie. — Od d-ra Kwaśniewskiego dowiedziałem się że rana Aksamita nie jest ciężka.

Dzisiaj imieniny Berbeckiego. Rano poszła do niego delegacja żołnierska z życzeniami, podpisami i flotą na cel dobroczynny. Wieczorem zwała się do okopów orkiestra, stanęła przed ziemianką i zaczęła grać. — A że w komendzie bataljonu nikogo już nie było, poszedłem ze sztucerem na placówkę pod lipę, posłuchać jak tam u Moskali słyszeć orkiestrę.

Wieczór był zupełnie cichy. — Olbrzymia, rozłożysta lipa stała spokojnie, bez szmeru, obok pozbiegały się niskie drobne krzewy jak dzieci wokół matki. „Park czerniał zadumany, czasem lekko pogaworzył, poszumiał“.

Za olszynką nad łąkami rozciągnęły się długie, białe pasma mgieł i snuły się powoli, w rozgrzanem, pełnem zapachu powietrzu wznosiły się roje komarów z delikatnym pobrzękiem. Lipa otoczona kozłami drutów — rozłożyła swe potężne ramiona nad garstką żołnierzy, stojących przy strzelnicach. Głęboki okop zrył ziemię, zciosując skręcone korzenie drzew.

Oparłem się o koziół i słucham. Wokół łagodny szept traw, poza tem cisza, upajająca cisza letniego wieczoru. Nie razi jej, ani przerywa jednostajne granie derkacza, dolatujące z niskich łąk, ani kwilenie sennego ptactwa. W nagłym kontraście do tej słodczy wieczornej, do niewinnego oddechu natury — głośnie czernieją na horyzoncie surowe zarysy naszych strzelnic, wiję się przedpiersny wał okopów i nieruchome sylwety posterunków ostro się odcinają na horyzoncie bladego nieba.

W głębi za okopami, po zakrytej stronie Góry gwar, śmiech i życie. Stukot, ruch, turkoty jak w ludnem miasteczku, gdy po jarmarku wesoło rozjeżdża się lud. Rozdarły naraz ciszę przedpoła, zgłuszyły gwar idący z okopów dźwięki orkiestry. Zachybały się przez jedno mgnienie wierzchołki drzew, pochyliły się wysokie trawy i nad-słuchują tonów muzyki...

Rozgłośny wstrząs trąb i bębnow, puzonów i piszczałek rwał naprzód wielkimi skokami, hulał tubalnem echem, że przerażone zerwało się i bez tchu biec poczęło po gajach, polach, olszynkach, odbijać się o nie i wracać — rozdzwieczone, pełne, radosne...

Tony płynęły wdał coraz dalej, za park, za Kostjuchnowkę, aż dotarły do zdumionych uszu słowian z nad młyna, z żółtych okopów Rafałówki, Kołodji, z pobrzeża Styru, z wieścią, z nowiną, że wesoło i rażno nam na duszy...

29 czerwiec. *Na pozycji.* — Dzień dzisiaj trochę chmurny, a pod wieczór zaczął nawet mżyć deszcz. Stłukłem szkła, więc pognałem zaraz do rezerwy po nowe do dr. Kaplickiego¹⁾, naszego pułkowego lekarza.

Najkrótsza droga z okopów, z Góry Polskiej spada wprost do łączki, a stamtąd przez mostek, na szerokiem bagnie rzucony, pod żółty piach Polskiego Łasku. W bok od mostku czernią się olbrzymie leje, okrągłe wyrwy o średnicy 10 — 12 metrów, napelnione czystą wodą. To ślady po wizycie lotnika rosyjskiego, który macał bombami most. Bił nieco pukajło po drodze, lecz bez skutku.

30 czerwiec. *Na pozycji.* — Dzień chmurny i dżdżysty. W ziemiance chłodno, na dworze mokro, więc do południa objaliśmy się

¹⁾ Obecnie pułkownik rezerwy.

na pryczach, dosypiając po nocnej służbie. Deszcz przez cały dzień zalewał kołnierze posterunkom, a na dobitkę wieczorem zawiadamia nas Koc, że na 10-tą pluton ma być gotowy do patrolu. Idziemy razem z III pod młyn, by chwycić rosyjską wedetę — bowiem wiadomości koniecznie są potrzebne. Pogoda ohydna, lecz właśnie dlatego wyprawa może się udać.

Przed 10-tą zbiórka u Styka, który dokładnie nas zapoznaje z zamierzoną akcją. Pluton I ma ruszyć tyraljerą z przednimi i bocznymi ubezpieczeniami, za nami — również w rozwiniętym — pluton III, z bocznymi i tylnymi ubezpieczeniami. Przed młynem równolegle do drogi Kołodja — Optowa pół plutonu pod moją komendą ma posunąć się naprzód, wejść na drogę i tam chwycić co się da. Drugie pół plutonu pod komendą Adka uderzyć ma z prawego wprost na młyn. Który z patroli przejdzie wpierw druty, ten uderza. Odwrót moich sekcji na lewe skrzydło, Adka na prawe trzeciego plutonu.

Deszcz nie przestaje padać, wiatr szumi po gałęziach drzew, gwar taki czyniąc w górze, że podsunięcie będzie nietrudne.

Ruszamy. Maszerujemy na szpicy całą bandą: Styk, Adek, Flojar i ja — Koc został przy plutonie. Posuwamy się dość głośno, gdyż teren nierówny i śliski, po godzinie podsunęliśmy się pod placówkę rosyjską, dochodząc do samej łączki tuż przed drogą Kołodja — Optowa.

Tam stanęliśmy. Szpica z Wojtarowiczem poszła naprzód — a za chwilę plan cały zmieniony. Koc i Adek z dwiema sekcjami mają się podkraść pod druty, ja natomiast stanąć mam w schodzie, za prawem skrzydłem. Ściągnąłem ubezpieczenia, przepuściłem wpród III pluton i ciągnę z cicha z półplutonem na wyznaczone miejsce.

Rozwijamy się w niskich krzakach, w wysokiej mokrej trawie, w bagnistym grząskim terenie. Wystawiam ubezpieczenie i cierpliwie czekam rychło rozedrą ciszę gwałtowne trzaski ognia.

Lecz wokół żaden głos nie przerywa głuchej nocy. Jednostajnie tylko szemrze deszcz po olszynkach, od czasu do czasu zrywa się głośniejszy szum, gdy powieje wiatr. Za nami w tyle, nieco na prawo wskos, Madziary co chwila wypuszczają rakiety, które obrzucają zielonawem światłem przywartych na ten czas do ziemi żołnierzy i na moment krótki rysują przed nami strzeliste topole i ciemną masę szumiących drzew przy młynie. Czas wlecze się powoli. Nieustannie mżący deszcz przemoczył nas do nitki, a wiara leżąc na mokrej łące zwilgotniała docna. Wreszcie z nieprzyjemnem uczuciem zimna i dreszczów, począł siąpić deszcz z przemokłych czapek za kołnierz. Przed nami cisza, nie przerywa jej absolutnie najlżejszy odgłos życia ludzkiego...

Leżeliśmy tak z godzinę o 150 kroków przed drutami rosyjskiej placówki, wreszcie przychodzi rozkaz ściągnięcia posterunków. Nie wykonawszy zadania — wracamy. Okazuje się z opowiadania Adka i Dolka Wojnarowicza, którzy byli pod samymi drutami, że napad niema najmniejszego sensu. Trzy podwójne posterunki w bardzo bliskiej odległości, druty solidne, szerokie, splątane — żadnego dostępu. Moskaliki pozieywali, szeptali do siebie, nudzili się sakramencko — i nic nie widzieli, nic nie słyszeli.

Po ściągnięciu ubezpieczeń, wracamy dwuszeregiem, wystawiając ubezpieczenia na boki i na tył. Teren zakrzaczony, nierówny, mokry — tak że lepiej jest wracać w kolumnie. O 1.30 w nocy jesteśmy już w ziemiankach i przebieramy się zupełnie, gdyż nawet koszule poprzemieniały. Kuchnia nam natychmiast wydała gorącą herbatę, która nas bajecznie pokrzepiła.

1 lipiec. Na pozycji. — Spalimy do południa. Po patrolu mam zawsze mocny, tęgi sen. Śniło mi się, że Prusacy utworzyli armję polską 200 tysięczną. A jest ten sen w ścisłym związku z przyjazdem Szefa, na którego Brygada chciwie czekała, jako że wiadomości worek pełen miał przywieźć. To też dzisiaj jedna nowinka prześciga drugą. A więc Kołomyja wzięta, Moskale już są w Kirlibabie, poza tem Sosnkowski przywiózł moc rzeczy nowych i ważnych, lecz jakich, tego nikt nie może się dowiedzieć. Zwróciliśmy dzisiaj uwagę, że niektórzy oficerowie nie mają wężyków. Mówią, że to w związku ze sprawą wężyków Narbutta i Karasiewicza, przeniesionych do 6 pułku. Niedawno kazał im pozdejmować te odznaki Grzesicki, czego oni nie wykonali, oddając sprawę w ręce Komendanta i Puchalskiego. Zrobił się krzyk i raban, gdyż za Narbuttem i Karasiewiczem ujęli się oficerowie III Brygady i zaczynają nagwałt nakładać nasze odznaki, prosząc oficerów naszej Brygady, żeby, póki sami sobie nie sprowadzą, ci im swoich tasiemek popożyczali. Chodziło o natychmiastowe zamanifestowanie. Dlatego też nasi oficerowie, którzy nie mają zapasowych wężyków, poodejmowali je z kołnierzy i porozsyłali III Brygadzie.

Całą noc przegwarzyliśmy z Adkiem w pustej ziemiance, jako że chłopcy byli na służbie. Biały świt 2 lipca począł przeglądać przez okna, gdy przyszedł już na koniec rozmowy naszej Maniek Pacholski i przyniósł moc sensacyjnych wiadomości, a przede wszystkim rozkaz, że do jutra, do godziny 12 w południe mają być wszystkie odznaki zerwane. Wiadomości zaś następujące: Narbutt i Karasiewicz nie tylko, że nie usłuchali rozkazu Grzesickiego, by zdjąć odznaki, lecz w porozumieniu z Norwidem, komendantem 6 pułku, dali rozkaz w swych bataljonach pozakładania odznak I Brygady.

Od tego momentu zaczął się gwałtowny krok. Grzesicki zawiesił w funkcji Norwida i oddał go pod sąd polowy, natomiast pułk kazał objąć Galicy, który odrzekł, że w takich warunkach pułku objąć nie może i jeżeli jest zmuszony, w takim razie on major Galica, oddaje 6-ty pułk kapitanowi Karasiewiczowi. Tu już wyraźny bunt przeciw „awstryjcom” i Grzesickiemu. Tego dnia, t. j. po południu 1 lipca, zjechali się komendanci pułków oraz Komendant i postanowili zrzucić natychmiast odznaki we wszystkich brygadach, a gdy za kilka dni nadejdą tasiemki, — jednocześnie we wszystkich brygadach założyć odznaki nasze. Co, gdy doszło do wiadomości Puchalskiego, wywołało natychmiastowe podanie się jego do dymisji.

Wiadomości te nas zelektryzowały. Polityka ofensywna na całą parę. Co to znaczy Komendant, jego osobisty wpływ! Dwa miesiące wspólnego siedzenia i masz! Wszystkie trzy brygady za Piłsudskiego dadzą sobie głowę uciąć!...

2 lipiec. *Na pozycji.* — Głowa pęka od wieści, nowin, nowinek, plotek i ploteczek. Ruch, naprężenie umysłów niebywałe. Rozbłyśzczone, roześmiane nieraz i zacięte oczy, a z pośród tego co chwila wyrwyjący się okrzyk, okrzyk kończący każdą dysputę, każdą żywszą rozmowę, każde omawianie gorące tej chwili, okrzyk: „Niech żyje armja polska, niech żyje Komendant! Precz z Legionami! Nie chcemy już Legionów i Austrjaków! Chcemy większego czynu, większego rozmachu...”

Teraz powoli streścić muszę ten nawał wrażeń jaki zwałił się na nas dzisiaj.

Otóż po awanturze z Grzesickim i Norwidem, pułkownicy zjechali się natychmiast. Był tam również Komendant i Haller. Uradzili — bez Piłsudskiego głosu, co następuje: wysłać natychmiast kurjera do AOK¹⁾ z żądaniem tej treści: 1) Komendantem Legionów — Piłsudski, 2) natychmiastowe usunięcie z Legionów oficerów armji austriackiej 3) dowolność zatwierdzenia odznak, byle nie austriackich.

Takie punkty wysłali wślad za pierwszym kurjerem Puchalskiego, w którym ten prosi o dymisję. Jak sądzę, do tego postanowienia i wzburzenia umysłów przyczyniły się relacje polityczne, jakie przywiózł z sobą Szefer.

Mam wrażenie, że Komendant ma dość tego grania w ciuciubabkę z Austrjakami. Podobno Szefer przywiózł wiadomości, że Prusacy są bardzo dobrze usposobieni względem nas, zaczynają podobno rozmawiać z Lubomirskim w Warszawie. Austrjaków i oni mają dość. Bądź co bądź, to co pułkownicy postanowili, dowodzi naszej dużej pewności siebie.

. 1) Armee Oberkommando.

Po południu zważyło się do nas huk gości. Przyszedł Lucek Frakowski powitany z ogromną radością, jeszcze więcej zawadjacki w artyleryjskiej czapce bez daszka, Hirek Pacholski, Kazik Kowalski — jednym słowem przedstawiciele „ciuwajscy” ze wszystkich rodzajów broni. Bawiliśmy się świetnie. Napisaliśmy do skautek wspólną kartę i sfotografowaliśmy się, jednakowoż bez Adka, gdyż zawezwano go do bataljonu. Lucek zaczął karierę artyleryjską od czyszczenia koni. Ciężką ma robotę, lecz w artylerji od czyszczenia koni tak, jak w piechocie od skrobania kartofli trzeba zaczynać służbę.

3 lipiec. Na pozycji. — Dzień przeszedł zupełnie spokojnie. Czytałem trochę filozofji Jeruzalema, robiłem trochę notatek. Upał coraz bardziej zjadliwy. Moskale siedzą zupełnie cicho, dopiero rano przyszła wiadomość, że wzięto trzech jeńców na placówce. Wczoraj wieczorem poddał się placówce Nr. 3 żołnierz moskiewski, Polak z Łomżyńskiego. Jak się tylko o jeńcu dowiedziałem, pierwszą myślą było: oho, będą mochy atakowali... Dzisiejsi trzej nowi utwierdzili mnie w tem przypuszczeniu. Jeńcy zeznają, że Moskale mają tutaj atakować dużemi siłami. Nie udał im się raz atak — to teraz sprowadzą ciężką artylerję — tak mają mówić. Artylerji jest podobno bardzo dużo i to ciężkiej. Atak mają przypuścić koło 20-go, więc wedle naszego kalendarza jutro, pojutrze. No diabła zjedzą, byle tylko Madziary z „Polenbergu” nie zwiały...

Dzisiejsi trzej jeńcy powtarzają mniej więcej to samo. Placówka w młynie, wedle ich zeznania obsadzona jest 60 ludźmi i 3-rzędnym karabinem^mmaszynowym. Jest to ponoć najnowszy wynalazek. Karabin maszynowy mogący siec odrazu 3 linje.

O sprowadzeniu artylerji zeznania jeńców okazały się prawdziwe zaraz dzisiejszego dnia, przed wieczorem. Rano o świcie słychać było nieustanny turkot na pozycji rosyjskiej. Domyślaliśmy się, że to zajeżdża gdzieś bardzo blisko artylerja. Jakoż nie myliliśmy się. Słońce zachodnie, oblewało czerwienią niebo, zaróżowiając przepysznie okopy, gdy dźwiękliwie trzasnął pierwszy szrapnel przed 3 kompanją. Pękł zupełnie nieoczekiwanie, bez uprzedniego świstu, gdyż tak artylerja blisko stoi, prawdopodobnie w samych okopach. Przysztrzelowali się następnie do placówki pod lipą, na granatniki, na komendę bataljonu i rezerwę w Lasku Polskim.

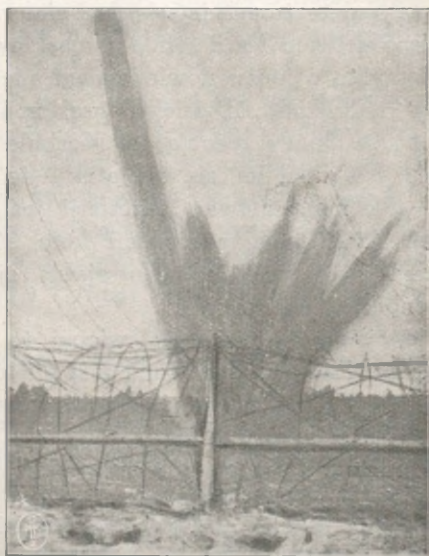
Wieczorem wrócił Sulkiewicz z Brygady. Pierwsze wiadomości okazały się zbytnio różowe. Ponoć II Brygada niezupełnie poznała odznaki i cała sprawa nie tak świetnie się przedstawia, jak opowiadano. Komendant mówił Sulkiewiczowi przy pożegnaniu, że w nocy lub jutro od rana będziemy mieli dużo ruchu. Są pewne wiadomości, że Moskale przygotowują atak na cały front legionowy i to atak na wielką skalę. A więc jutro!..

WIELKA BITWA POD KOSTJUCHNÓWKĄ

4 lipiec. — Zaczęło się!

Zaczął się przewidziany ruch, rozpoczęła się bitwa, bitwa o jakiej dotąd pojęcia nie mieliśmy, bitwa najkrwawsza z krwawych! Bledną przy niej Łowczówek, Konary, Tarłów, Kukle, blednie ofensywa jesienna na tęż samą Kostjuchnówkę zeszłego roku, na tęż samą „Polską Górę”, na słynny „Polenberg”.

O 6.30 zaczęliśmy wstawać. Ziemiankę wstrząsał raz po raz ogromny łoskot, przeraźliwy grom, co chwila szarpiący potwornym oddechem powietrze i łomotały lżejsze, gęste, wysokie huki.



Bije artylerja! Senni, przewracaliśmy się z boku na bok, chcąc usnąć, przespać ten łomot, lecz nie udawało się! Łoskot wstrząsał nie tylko ziemianką, ale i nami, sypiąc co moment piasek z dachu na posłania.

Zaciekawiony wyszedłem przed ziemiankę i aż osadziło mnie ze zdumienia. Ważył bo się właśnie w powietrzu lekko, delikatnie posuwistym warkotem ciężki pocisk i naraz runął z „Polenbergu” szalonym słupem ognia i dymu i wnet jakby trzask pękającej ziemi, rozwalonego świata, przestworza tak wyróżnął straszliwym łoskotem. Gdyby z ognistego krateru wywalili się w górę potężne kłębowiska dymu, ziemi, poszarpanej darni i zwijały się powoli olbrzymie potwory.

I tak raz po raz. Co kilka sekund rwał słup ognia i dymu z jakiegoś 6 cal., 10 cal., 15—24 cm, 30 cm granatu i wokół były bez przerwy mniejsze, małe, bez liku...

Chwilami, gdy dymy pokładły się niżej, gdy rozwlekły się dołem — Polska Góra zniknęła zupełnie. W ciężkiej kurzawie błyskały jeno raz wraz języki ognia, a dym włókł się ociężałe szary, siwy, ciągnąc za sobą olbrzymi cień przysłaniający słońce.

Zaczynamy się tedy szybko ubierać, gdyż ogień na Polską Górę zwrócony, nie słabnie ani na chwilę.

Kawa — zawiadamia dyżurny, więc menażki w garście i do kotła. Wracamy za chwilę do ziemianek.

Godzina 7.30 rano. Na nieszczęsny „Polenberg” granaty rwą z chybottliwym świstem raz po raz, a dwudziestki bezustanku wstrząsają powietrzem. W pewnej chwili stojąc w ganku, zatoczyliśmy się... Granat runął tuż obok ziemianki z takim straszhwym trzaskiem, że zaparło nam dech, że rzuciło nami, jakby kto w pierś potężną pięścią grzmotnął z całej siły. Za chwilę drugi, trzeci, czwarty, więcej, coraz więcej!!! Łomot straszhwy wokół, powietrze dra, tna, sieka, z prze-rażającym skowyttem pociski całych baterij. Raz, dwa, trzy — kilka naraz w jeden przewlekły wstrząsający zlewa się łoskot...

Powietrze staje się ciężkie, smrodliwe, dym wżera się w piersi gryzący, ostry, drażniący, oczy przestają widzieć, uszy słyszeć — wali się świat!

Gdy eksplozje na chwilę, na moment krótki milkną, powietrze napęlniają wówczas przedziwne, o różnorodnych tonach jęki, skargi, rzewliwe lamenty, jakieś buczenia, syki, świegoty lub cichy warkot spadających zewsząd odłamków stali. Jedne z nich, zataczając olbrzymią parabolę z bekiem, jakgdyby błotnego bekasa — brzękliwe spadają wdół — inne z furkotem drobnusieńkim, jakby zabawka dziecięca prują powietrze — inne przeciągły wydają śpiew niby jęk zmęczonego długą drogą wiatru...

Ano wojna! Ogień trwał przez godzinę na odcinku naszego plutonu, poczem przeniósł się na odcinek II i III oraz 1 kompanji.

Zaczynamy się pakować. Za chwilę przylatuje Koc: 1-sza sekcja do szrapnelnika, 2-ga i 4-ta do lisiej jamy, 3-cia obsadza okopy.

Do południa Koc, Adek i ja siedzieliśmy z 3-cią sekcją w okopach. Ogień snując się zwierzchu leniwie, powlekając mrokiem grubym świat, gasił promienie słońca.

Na „Polenberg” biją nieustannie, bez chwili wytchnienia. Góra stoi cała, nienaruszona, drży jeno boleśnie od ciosów straszhwych, rozrywających jej żółtą, przysadzistą kopę. Dym i kurz przesłaniał ją już bez przerwy, gęstym, nieprzeniknionym tumanem. Najcięższe granaty

wywalały z jej wnętrza najpierw ognisty słup, a potem chyżo biegnący klin dymu, który w górze rozwijał się na dwa pióropusze i potwor-nemi skrzydłami obejmował ją z dwu stron.

Ciężkimi również granatami tłuką w rezerwę, w Lasek Polski. Tam, gdy granat runie w łąkę, w bagno popod las, śmiga w górę cienką smugą, wysoka fontanna czarnej, wilgotnej ziemi. Te zaś, które biją w las, drą go olbrzymiemii słupami szarej, matowej ziemi.

W południe samo przez godzinę rozszalał się ogień na placówkę. Wrócił stamtąd Edek Pfeiffer, zmieniony do niepoznania, pokrwawiony, rozgorączkowany. Piekło! — mówi — Flojar, Lodek, wszyscy, którzy tam są, pocharatani. Lipy prawie nie widać. Od czasu do czasu odstaniał się tylko dym z nad miazgi okopów i drutów. Za chwilę olbrzymia, wspaniała lipa, podcięta granatem z trzaskiem i szumem swych rozłożystych konarów — wali na ziemię.

Na odcinku 2 kompani i nawprost komendy bataljonu roznosi się teraz istny szal ognia. Nie widać tam okopów, nie widać drutów, nie widać ludzi, nie widać nic — jeden rozwlekły dym, gęsty, czarniawy, nieprzenikniony, a w dymie tym słupy, słupy ognia!... A patrzyły na to spokojnie, z poza mgieł i morza dymów zwijających się nad okopami, patrzyły spokojnie na to straszliwie dzieło zniszczenia — dwa balony obserwacyjne, dwa rosyjskie „captive“, kierujące ogniem, baczne, czujne, uważne...

Między 12-tą a 2-gą nieco się uspokoiło. Na „Polenberg“ biją tylko nieustannie 20-ki.

Ludwik Drozdowski, choć pod strachem, na surowy rozkaz przygotował obiad, po który chyłkiem, skrycie czaimy się pod gankami, zarzuconemi odłamkami granatów, blaszkami, strzępami, wiórami najróżnorodniejszego formatu i kalibru.

Po drugiej — ogień wzmógł się. Zostałem z Adkiem przy posterunku, w okopach. Pluton już cały zebrany w lisiej jamie.

Zbieramy wiadomości. Jak dotąd bataljon poniósł minimalne wprost straty. Coś 10 ludzi zaledwie kontuzjowanych, jeden tylko ciężej ranny, bo mu rozcięło głowę. Sław — poznajemy go po tem — wśród największego ognia gra w preferka i dopytuje się tylko ciągle, czy linje telefoniczne już naprawione. — A ogień pozrywał wszystkie, choć ośm połączeń rezerwowych prowadziło do pułku. Telefoniści, Jurek, Drymer, Stebelski — zziajani, zmordowani, nieprzytomni wprost chodzą wśród największego ognia od drąga do drąga, od tyczki do tyczki i wiążą druty.

Siedzimy pod daszkiem szrapnelowym i spoglądamy na Górę, kłębiącą się bezustannie od dymów. Runął w pewnym momencie 20 cm kufer w sam szczyt i bryznął potężny słup ognia. Wtem

jakby na urągowisko, na drwinę, zjawia się w siwym dymie ciemna postać telefonisty, podnosi drąg i spokojnie zakłada drut. Widać jego powolne, ociężałe ruchy.

Atak piechoty będzie zapewne dopiero wieczorem. Prosimy Boga, aby atak szedł tylko na nas, gdyż obawiamy się strasznie, że landszturm na „Polenbergu“ puści. Sakramenckie tam dziady, jakieś obrośnięte trepy... Czerny-Szwarcenberg z 3 kompanji wystawił 10 ludzi, którzy mają ich tam pilnować i o wszystkim natychmiast meldować.

Między 3-cią a 4-ą ogień znów się rozszalał. Nie mogliśmy już rozmawiać w okopie, gdyż głowę nam zawracały raz po raz wstrząsy powietrza i łoskot walił jak młotem. Biją na odcinek naszego plutonu kilkoma baterjami. Z daszku szrapnelowego sypie się piach i odpadają całe kawały darni, za każdym wstrząsem powietrza. W dodatku zerwała się jeszcze do tego koncertu i nasza artylerja. Gwizd przeźrażliwy grał w uszach zgrzytliwą, nienawistną, orkaną nutą i łomotały bezustanku gromy, tak, że Stasiek Wolski, który właśnie stał na posterunku zaczyna coś za szybko mrugać oczyma ze zdenerwowania i nerwowo zasłaniać uszy...

W chwilach przerwy, gdy granaty waliły gdzieś dalej, Adek mi krzyczy do ucha, że go bębienki rozbolały i głowę mu rozsadza. Jesteśmy spokojni zupełnie, tylko każdy na swój sposób inaczej reaguje. Mnie zaczyna szumieć w głowie, mdlić i ból wściekły ściska skronie...

Coś w połowie między 3—4, ogień doszedł do kulminacyjnego punktu. Walił się zewsząd jeden przepotężny huragan huku oszalałmający docna.

W tej to chwili, gdy zdawało się, że koniec zupełny przychodzi, że lada chwila zwali się nam na głowy jakaś strasznie krótka śmierć, — wyjęliśmy z Adkiem fotografie łódzkich skautek i poczęliśmy je oglądać. O ile nam łoskot pozwalał, staraliśmy zabawić się nawzajem kawałami — nieco rzecz prosta naciąganiem.

O 4-ej ogień trochę zelżał. Wypadł Koc i Wojtarowicz z lisiej jamy. Haber i Broszkiewicz dostali wstrząsu nerwowego — Broszkiewicz ogłuchł całkiem i bredzi, a Haber wygląda jakby miał dość, tak go obłąd chwycił. Chłopcy, mimo że siedzą w lisiej jamie, podenerwowani są straszliwie. Ponoć od rana zważyło się już na nas 8 tysięcy pocisków z 200 dział.

O 4-ej przeniósł się znów ogień na „Polenberg“ i na odcinek 1-ej, następnie całą swą niesamowitą potęgą na rezerwy, na Lasek Polski. Między 5—6 wrócił znów do nas, a o 6-ej urwał się raptownie i bił już tylko w rezerwy.

Obsadzamy natychmiast strzelnice. Zaludniły się okopy. Moskale już są. Idą, podsuwają się, wyparli placówkę jedną i drugą...

Granaty ręczne [wpogotowiu, karabiny w strzelnicach, czekamy, bo jeszcze w drutach nie widać nic, a na przedpolu włóczą się dymy.

Zatrząsł się nagle, zachłysnął od gwałtownego ognia karabin maszynowy na lewo. Wytężamy wzrok, lecz nic jeszcze nie widać...

Biegnę na lewe skrzydło, gdzie już wiara bije zapamiętałe. Moskale rozwijają się tu o 200 kroków z olszynek Kostjuchnowki i to wprost z kolumn.

Okopy trzęsą się od ognia karabinowego. Już i kompanja 3 otwiera gwałtowny ogień, jak również i nasz pluton.

Bijemy w druty. Moskale mamy o 20—30 kroków przy kołkach, przy drutach, w trawie, w okopach wedet, jeden przy drugim, gęstą masą...

Nic już nie słyhać. Jeden nieustanny bełkot karabinów wścieka się wokół, tylko na prawo, na „Polenbergu”, karabiny maszynowe zawzięcie, rozpaczliwie milczą...

Artylerja rosyjska umilkła zupełnie, natomiast nasza tłucze teraz straszliwie. Przedpole znika nam zupełnie z oczu. Drzewa, zarośla gąszcze Kostjuchnowki ledwo że majaczą w kurzawie dymów. Wokół roznosi się pył, który osypuje wszystko jakgdyby po wybuchach wulkanu. Promienie słońca nie mogą [go przeniknąć, ogarnia nas mdły, szary cień...

Zaczyna się piekło! Przedpole rozstrzaskują błyski szrapnelowe, płomienie granatów, dym i kurz coraz bardziej przesłaniają świat a łoskot, gruchot, poryw ognia karabinowego rozpętuje się z jakąś dziwną, nieprawdopodobną wprost furją.

Latam od trawersu do trawersu, ciskając w druty granatami, a coraz to niespokojnie oglądam się na Polską Górę!

W pewnej chwili przerażenie odebrało mi mowę. Zgroza zaparła oddech! Bo oto nawprost czarnego otworu strzelnicy, nawprost karabina maszynowego, który milczy ciągle, poniżej od drutów, grzbietem góry posuwa się grupa Moskali... Zgarbieni, pochyleni, powolnym podchodzą krokiem do okopów.

Patrzę znieruchomiałą, oniemiałą. Co to jest, co to znaczy!...

Odpowiada mi w tej chwili rozpaczliwy, mrozący w żyłach krew krzyk z 3 kompanji, z trudem przedzierający się przez trzask ognia „Moskale na „Polenbergu”! Góra zajęta!!!

Ci zaś stanęli przed [otworem. Wyczekiwali z jakąś bezmyślną biernością kilka chwil, aż ręczny granat rzucony w kupę, zawrócił ich z miejsca. Zaczęli szybko zbiegać zpowrotem do drutów...

Skoczyłem górą, nad okopami do Czerneho. Krzyczę mu do ucha, by mi natychmiast dał znać o wszelkiej zmianie, jaka zajdzie na jego skrzydle.

— Posłałem na „Polenberg“ Jagmina z 10 ludźmi, by dał mi znać jak Góra będzie zajęta — krzyczy mi tak samo w trzasku ognia.

Za chwilę na „Polenberg“ dzwiga się znów ciemna grupa Moskali i jeden po drugim powoli zeskakują do okopów. Jasna cholera! gdzie ci Austriacy — toć oni wcale się nie bronią!

Naraz na prawo, obok ganku prowadzącego na górę — zrywa się krzyk i machanie czapką. To Jagmin!

Pobiegłem co sił: Słuchajcie — krzyczy mi — Moskale zajęli „Polenberg“ i ja tam idę — może się uda co zrobić, a wy zawiadomcie Sława by obsadzono rygiel, a Czerneho, by dał mi jeszcze ludzi!

Skoczyłem do Czerneho i powtarzając mu słowa Jagmina, stoję na wysokim zrębie obserwatorskim. Naraz o 20 kroków przed drutami, w okopku wedety widzę podnoszącą się jasną czapę i czerwoną twarz... Moskal w okopku! Granatem! — krzyczę w ucho pierwszemu z brzęga. Z chybotem poleciał tam granat i pękł w samym okopku.

Wracam do plutonu. Chłopcy biją, lecz że ze strzelnic nic prawie nie widać, gdyż mamy lekkie martwe pole — stanęliśmy na przedpiersiach i klęcząc, bijemy aż mdleje ramię.

A ich jest jak mrowia. W krzakach Kostjuchnowki, pod drutami, w zbożu rzadkiem, gdzie tylko okiem sięgnąć — jasno zielone bluzy i czerwone, spocone twarze. Bijemy im wprost w pyski, celnie, niezawodnie, z chłodnem okrucieństwem.

Oni zaś odpowiadają mało, rzucają natomiast granatami w okopy. I umierają — umierają bez słowa, z jakąś tępą, bezmyślną obojętnością.

Tymczasem Moskale wdarli się już zupełnie na Polską Górę, zajmują ganek, zajmują rygiel, który flankuje nasze okopy. Widać ich tam mnóstwo, zaczerniała od nich Góra, widać jak się kręcą w rozwianych płaszczach oficerowie. Za chwilę już biją stamtąd ekrazytówkami.

Czerneho niema, bo skoczył do Sława, a tu 3 kompanja zaczyna się nagwałt wycofywać, krzycząc, że Moskale zachodzą im już na tyły.

Wracać, — ryczę, jak mogę — wracać — nie było rozkazu do cofania. II bataljon zaraz kontratakuję, my mamy bronić tylko frontu! wracać..

Zawrócili do strzelnic, lecz nie na długo. Wpada zadyszany Czerny i podaje, by się cofać do ganku Nr. 5.

A więc koniec! Żołnierze z 3 cisną się już do nas, przepuszczamy ich a sami na końcu rwiemy okopem w lewo. Ledwie że przeciskamy się przez ciasną szyję coraz szybciej i gorączkowiej, gdyż ze wszystkich niemal stron wydiera się zwycięskie, tysięczne urra!..

Dopadamy do występu karabina maszynowego! Tam tłok, bo ludzie nie mogą się zmieścić wszyscy naraz w ganek. Podporucznik Stefański z podniesionym brauningiem wstrzymuje tu falę. Stać! stać! przez chwilę — woła ochrypłym głosem — aż się wycofa karabin maszynowy.

Stanęliśmy na kilkanaście sekund, a tu już nad naszymi głowami na przedpiersiach wyrastają spoceni, zgrzani Moskale. Zerwał się dziki krzyk: bić do psychynów! — i zatrząsały karabiny, w mig oczyściwszy przedpiersie.

Piorunem wiara wpada w ganek. Skoczyłem na wierzch okopu, chcąc górą się wydostać. Przy skoku uczułem nagle tępe uderzenie w tył głowy i po tornistrze.

Jasny piorun! — a to co! I odwróciłem się, stojąc już nad okopem. Przede mną o dwa kroki, po drugiej stronie trawersu, stało trzech olbrzymich drabów w jasno zielonych mundurach.

W jednej chwili szarpnąłem za cyngiel sztucera. Pierwszy z nich skulił się nagle dziwnie i przysiadł, drugi podniósł broń do oka, wrzeszcząc coś białemi zębami. Płomień, trzask, szum w głowie i błyskawica myśli, ostrej niby nóż: Idjota — nie trafił!..

Rzucam się w ganek i biegnę wdół. Obok mnie wydiera Edek Pfeiffer co sił i Stasiek Wolski. Jeden rów, drugi — zwoje drutów, granatnik i wpadliśmy na zieloną, pyszną łączkę.

Boże, co za widok! Łączka cała, całe podnóże, góry i bagno — pokryte sinemi, niebieskimi mundurami. Dobiegam do nich, mijając bokiem tuż, tuż walącą kupę Moskali.

Rwie wszystko na mostek. Jedyna droga odwrotu, jedyny cel. Wokół zielone, grząskie bagno.

Na mostku krzyk straszliwy. Tam w mig, piorunem powybijano kolbami, porozdzierano bagnetami żołdatów, co już zaszedłszy z boku zastąpili drogę. Ciśnięto w bagno wielkich ruskich chłopów, zasłano nimi most.

Lecz cofać się dalej nie można. Zatrzymać trza tłum, co wali na nas w zbitej gromadzie, w oszołomieniu, żałośnie jęcząc w trzasku ognia swoje „urra“!..

Tyraljera od mostku! Podniesione w górę rewolwery. Wyniosła postać Narbutta z błyszczącym niklowym brauningiem rzuca mi się w oczy, gdym dopadł linii. Zewsząd wołania, krzyk — stać, stać — do kontrataku!..

Kontratak! Na przedzie linja oficerów.

Ślepe na wszystko z odwagi.

Z rozkrzyżowanemi rękoma, wołaniem ostatnim prowadząc do kontrataku — pada Sław, kulą ugodzony w serce.

Walka na śmierć i życie.

Chamska, zacięta pasja.

Tam Mazur-Sękara, podporucznik, nie strzela już, lecz kolbą tłucze, butami kopie z obłędnej, wściekłej pasji, że musi się cofać, uciekać!



Granatnik.

Tam Hajec porucznik, szpicrutą na wołanie — zdajsia — siecze po twarzach chłopów.

Kolbami po łbach, po ramionach, strzałami, ogniem prosto w twarz.

Aż odepchnęliśmy tłum...

Trzy razy zrywał się nasz kontratak, trzy razy osadzaliśmy wraży tłum, że jeno z krzykiem i strzelaniem szedł ku nam, nie śmiejąc dopaść...

Zatupotał wreszcie dylami wyłożony most, przez bagno rzucony.

Cofamy się do Lasku Polskiego, odwracając się co chwila i bijąc wtył.

Powietrze napęlnia nieustanny, wysoki jazgót, trzask piekielny pękających ekrazytówek. Wokół na bagnie, na trzęsawiskach zdradnych, wyciągnięte ramiona, ostatnie, ślepe wysiłki tonących...

Na mostku trup pada gęsto. Przerażliwy trzask ognia miesza się z rozpaczliwym jękiem, wołaniem rannych.

Omdlewamy z wyczerpania. Moskale wloką się za nami w odległości 50 — 100 kroków, strzelają tylko gęsto. Co chwila też osuwa się ktoś na ziemię.

Spojrzałem w pewnej chwili wtył. Okopy na górze mrowiły się jak od robactwa. Od drutów szły kolumny czwórkowe i ciężko, niezgrabnie rozwijały się. Co za mrowie, co za mrowie!...

Stępiły się już zupełnie zmysły, lecz myśl z wysiłkiem jeszcze pracuje. Byle do Lasku dojść, byle do Lasku Polskiego...

Gdyśmy wpadli na mostek, bezładną kupą go wypełniając, gdyśmy szli, nogami ledwie włócząc, sennie gdzieś z pod świadomości wywlokła się jedna, jedyna myśl: tu nam dadzą szkołę! Wytłuką nas na mostku do jednego!

A most dłuży się w nieskończoność! Obok mnie kilku z trzeciej kompanji niesie okrwawionego, bladego jak chusta ppor. Dunina-Nehringa. Za chwilę rzucają go, gdyż krwawi coraz bardziej, a im już sił brak zupełnie.

Skończył się wreszcie mostek. Mijam leżącego trupa z rozwaloną czaszką, szukając w twarzy pilnie, czy nie który z naszych chłopców.

Za mostkiem już twardy, rozkoszny grunt, łączka pokryta krzaczkami, na której instynktownie rozwijamy się w linię szeroką, włócząc ledwie nogami. Obok mnie idzie Edzio blady straszliwie, dalej Siewicz, żalonym głosem zcicha postępując nad roztrąconą kulami nogą. Podaję mu ramię, lecz niewesoły musiałem mieć wygląd, gdyż za chwilę dziękuje mi za pomoc, że sam już dociągnie do lasku, że blisko już. Obok Styk, Stefański, przy nich Moskal obojętny na wszystko.

W pewnej chwili Stefański, idący przede mną, podskoczył dziwnie, podbiegł do Styka i otoczywszy mu szyję prawą ręką, wyrzuca z siebie szybki jęk: Oj Styk, ranny jestem! — I w tym samym momencie, rzuca się nagle na Moskala, ogromnego chłopca i skacze mu jak kot na ramiona. Doskoczyliśmy obaj ze Stykiem: — ej żołdat! niesi, nie to umriesz!

— Oj pane, panoczku, ja dwa dnia nie jeł! — jęczy Moskal...

Bez słowa przyłożyliśmy mu lufy do czoła. Nieś!...

I tak dźwigamy się dalej, do lasku, który jest tuż, tuż...



Kapitan Narbutt-
Łuczyński.

Za chwilę słyszę krzyk, wołanie Zygmunta Rosińskiego. Na prawo wskos — pochylony stoi Wolski Stach i Zygmunt. Obok ktoś leży...

Podbiegamy z Edkiem ostatkiem sił. Leży Adek Goldenberg — ranny w brzuch... Po ziemi się wije, szczęki zaciśnięte, oczy w dołach przepastnych. Obok jakiś inny strzelec ostatni już wydaje dech.

Gorączkowo się sypnęły słowa ze splekanych warg: brać go! za nogi! za ramiona! Lecz Adek nie pozwala się ruszyć. — Zostawcie, zostawcie, nie ruszajcie! — harczy przez zaciśnięte zęby.

— Wyjąć mu papiery! Wyjmują je chłopcy szybko, bo Moskale już, już wyciągają po nas ręce. Ostatni raz jeszcze rzucam spojrzenie na straszliwie zmienioną twarz Adka i znikamy mu z oczu.

Przed nami krzaki, do lasu, do okopów drugiej linii jeszcze okropnych dwieście kroków.

Tę linię zapewne obsadzimy — myślę leniwo, z wysiłkiem pracując mózgiem.

Wchodzimy wreszcie na żółty spłacheć okopów. Żołnierze ze wszystkich kompanij pomieszani ze sobą, ledwie że trzymający się na nogach. Lecz już Styk zwołuje 4-tą na lewe skrzydło.

Jako tako się rozwijamy. Z plutonu I jest nas 12-tu. Z naszej paki skautowej brak Kucharskiego, Zygmunta Chabowskiego, Maniusz Pacholski został ranny szrapnelem, jakieś pół godziny przed odwrotem, więc zdążył prawdopodobnie wyrwać. O Zygmuncie, o Kucharskim nie wiemy nic.

Kilka zaledwie minut siedzieliśmy odurzeni, znękani, bez sił w drugiej linii, gdy nagle na prawem skrzydle, pod samym Laskiem Polskim zawyło przeciągłe urra!..

Zatrzaszkały naraz karabiny i linja nasza poczęła się cofać. Wydzwignęliśmy się wtył o 100 kroków i natychmiast biegiem, z wrzaskiem okropnym zajęliśmy zpowrotem okopy.

To Moskale wdarli się niezastawionem przejściem na drogę od mostku do okopów, lecz Narbutt i Hajec ostatnim, rozpaczliwym kontratakiem wyrzucili ich z lasu, gdy dochodzili już do ziemianki Berbeckiego.

Powoli zapada wieczór. Moskale tłuką z ciężkich baterij na drugą linię, lecz ogień przenosi. Z magazynu pułkowego ściągają nagwałt do okopów skrzynki i ręczne granaty. Sytuacja narazie nie wyjaśniona i ciężka. Drugi bataljon spóźnił się z kontratakiem i zajął „Polenberg”, gdy byliśmy już na bagnie przy mostku, wobec czego musiał się cofnąć. Na lewo V i VI bataljon trzymają się ponoć jeszcze na pozycji i reducie Piłsudskiego, zagiąwszy skrzydło.

Ściemniło się już zupełnie, gdy mnie Styk wysłał z patrolem wprzód na lewo, do nawiązania łączności z VI bataljonem, który

zagiął do nas na skrzydło. Wziąłem Szczerbca, Stacha Wolskiego i Ciechońskiego i wyszliśmy cicho przed druty. W terenie się nie-bardzo orjentuję, lecz idę na los szczęścia. Posuwamy się ostrożnie, powoli, gdyż Moskale mogą być jeszcze przy drutach.

Po długich tarapatach w rozmiękłych, bagnistych łączkach dotarliśmy wreszcie na jakąś pozycję — kierując się tylko migotliwymi blaskami rakiet. Ogień karabinowy rwał tu w las jak burza. Rzuciliśmy się biegiem w tamtą stronę i trafiliśmy akurat na wycofującą się kompanię z V bataljonu. VI już się cofnął, a V się wycofuje.

Dobrze trafił. Gdybym nieco się spóźnił, albo w prawo się skierował — jużbym natrafił na Moskali w okopach.

Przyłączam się do chrzęszczącej rynsztunkiem kompanji. Idziemy śpiesznie wśród krwawego blasku i łuny palącej się reduty na miejsce zbiórki V bataljonu, gdzie informuje mnie porucznik Młot-Fijałkowski, że obydwa bataljony wycofują się na drugą linię okopów i będą łączyć się z nami.

O jakiejś 1-ej po północy wróciłem do kompanji. Styka nie było gdyż wyszedł z kompanją patrolować teren mostku, Narbutt był u Berbeckiego — więc oddałem meldunek Hajecowi.

O świcie kontratakować ma Polską Górę II bataljon i jeden bataljon 6 pułku. Teraz dopiero, gdy kompanja wróciła z patrolu — zbieram nieco wiadomości o chłopcach i o szczegółach odwrotu.

Sław zabity przy kontrataku. Dostał kulę w serce. Chwycił go Busse-Guzowski ze Stefańskim, lecz w tej chwili Busse dostał w głowę i został. Podporucznik Warski 1-ej kompanji nie zdążył się wycofać i z garścią ludzi został w okopach. Bronił się widocznie z granatników przez całą noc, gdyż charatanina trwała tam do świtu. Aż ścichła...

Porucznicy Bończa-Karwacki, Dunin-Nehring i Busse-Guzowski — wszyscy zostali na miejscu jeszcze przed mostkiem, Stefańskiego szczęśliwie Moskał wyniósł.

Sierżantów padło pięciu: Adek, Iwbull, Dołęski, Kruk i Rybak. Straty bolesne, nieodżałowane.

Rankiem wrócił Zygmunt Chabowski. Wpadł po szyję w bagno, kilka godzin się w niem grzebał trzymając się jakiegoś krzaczka, aż nocą się szczęśliwie wydostał. Pognął do taborów do Wołczecka przebrać się i dopiero co zameldował się w okopach.

Gwiazdy nie pobladły jeszcze, gdy chodząc od jednego do drugiego zbieram wiadomości o plutonie i nie mogę się doliczyć. Kucharski został w okopach ranny. Broszkiewiczowi jeszcze przed szturmem rozum się pomieszał. Rzucił się na Moskali z dzikim wrzaskiem, przed druty. Tam i został. Szmidt bez wieści, Badył-

Ostalski został w okopie. Wojtowicz ranny — został na górze. Żmijewki wpadł w bagno i tam go śmierć pochłonęła.

Gwiazdy pobladły, noc przeszła...

Wstał szary świt 5-go lipca. Szept się przenosi przez okopy, że dwie kompanie Wyrwy i dwie 6-go pułku zaraz ruszą do kontrataku. Prowadzą z II bataljonu Tunguz i Konieczny — porucznicy.

Świt już pobiełił pola i łąki — jak ruszył kontratak pod górę. Ruszył śmiało, mocno, nieustępliwie.

Ruszył, dopadł do okopów i nie wrócił.

Przyjęła tę garstkę — cztery kompanie — masa tłumu z uragliwym wołaniem. A gdy się z krzykiem wiara na nich rzuciła, otoczono ją i wybitoomal że do nogi.

Mało kto wrócił, ale ci co poumierali bili się twardo. Po dziesięć moskiewskich trupów na jednego z nich wypadło.

Został na górze Tunguz, dowódca kompani i porucznik Konieczny Włodzimierz, przez żołnierzy swych uwielbiany oficer. Został Styczyński podporucznik. Zostali inni...

Rozjaśnił się dzień. Wysoko się słońce podniosło, gdy na miąłkie, w piachu po pas zaledwie skopane okopy w Lasku Polskim — zwałąc się poczęły z gwizdem przeraźliwym 18-ki i ciężkie granaty. Rozjuszyły się wizgiem przerażającym i masztowe, wielkie sosny ponad las wysoko wyrzucać poczęły. Oblekły las obłokami potężnymi, wydmuchami wielkimi piasku, ziemi i dymu, żelazem i ogniem go zarzuciły.

Rozjęczały się w powietrzu ostre odłamki.

Na krwawą miązgę rozdzierały, nurzały się we krwi, bijąc w żywych, bijąc w umarłych, rozszarpując groby naszego cmentarzyka, gdzie chowano poległych.

Legł Hajec porucznik, poległo wielu innych, bitnych, starych, żołnierzy. A najwięcej tam kości z 1 Narbutta kompani i 2 Hajecowej...

Do 6-ej wieczór, drugi już dzień, w upale piekielnym i w ogniu — przetrwaliśmy niezłamani...

O tej godzinie zmienia nas 1 pułk. Nasz odcinek — kompania porucznika Dęba-Biernackiego.¹⁾

W nieszczęsny Lasek Polski tłuką bez przerwy granaty. Ściągaliśmy już do ganku gdy wracał stamtąd porucznik Nilski-Łapiński²⁾. Wyglądał strasznie. Miał twarz — szara maska stwardniałą oblepioną warstwą kurzu, ziemi i potu. Spękane, czarne usta, oczy w niesamowitej gorączce, munduru na nim nie znać zupełnie...

¹⁾ Obecnie generał brygady.

²⁾ Zmarł w 1923 jako podpułkownik.

Powoli dźwigamy się drugą linią do Lasku Saperskiego, gdzie stoi nasz tabor bojowy. W prostej linii jest to ze dwa kilometry, a okopami i gankami będzie pięć.

Żółty piach ganków obsadził już 1 pułk. Przechodzimy wśród nich milczący, spokojni, nieco dumni, a oni patrzą na nas z pełnym szacunkiem. Boć tyle, cośmy piątacy przeszli w tych dniach nikt jeszcze z Brygady nie przeżył.

Dłuży się droga w płytkich gankach. Gonią za nami wślad dymki szrapnelowe, gdyż „captiv” już spostrzegł nasze przesuwanie. Po 7-ej nad wieczorem zaszliśmy do Lasku Saperskiego. Ściągaliśmy grupkami zmordowani docna, wyczerpani bitwą, ogniem, spiekotą, bezsennością. Coraz to w drodze mdał któryś z żołnierzy, szczególnie z 1 i 2 kompanji, które siedziały w samym Lasku Polskim pod ciężkim ogniem, w płytkich okopach. W Saperskim Lasku jest już część bataljonu II. Spotykam Pannenkę i pytam jakie u nich straty! Chwyta się za głowę, wystękując: Tunguz, Koneczny, Styczyński!..

I mówić chciał dalej, lecz bez słowa odchodzę. Nie chcę słuchać, nie mogę!

Zbiórka. Składamy broń w kozły i przedewszystkiem zaczynamy się myć! Po jakim takim umyciu — zaraz obiad, lecz nawet nie skończyliśmy go jeść, gdy już w lasku roznosi się długi świst kuli! Z Polskiego Lasku dochodzi zapamiętałe trajkotanie maszynek i porywisty gruchot karabinowego ognia. Co chwilę zrywa się ogromne, przeciągłe uurra, uurra!!!

II bataljon i 1-y pułk cofają się — front drugiej linii przełamany; Austriacy znów na skrzydle zwiali.

Natychmiast piorunem rozwijamy się nad brzegiem lasku, wzdłuż ściany wysokich sosen. Powoli już ściągają pierwsi zwiastuni odwrotu. Spokojnie, podpierając się szablą, idzie Berbecki otoczony swoimi sierżantami, za nim w pelerynie rozwianej — Wyrwa.

Jakaś kompanja II bataljonu rozwija się od nas na prawo. Słychać donośny, lecz chrapliwy i zmieniony do niepoznania głos Wyrwy, wydającego dyspozycje.

— Rozwinęliśmy się i padli. Prawdopodobnie będziemy osłaniać odwrót.

Od drugiej linii, jak paciorki rozsypane, zbliżają się tyraljerskie linje. Ciągły ogień i krzyki „polatują” od nich. W pewnej chwili, z pod Lasku Polskiego wyrznęły w górę wysoko dwa słupy ognia i w szarzącym już dniu widać, jak stamtąd galopem pędzą artylerzyści. Wysadzili baterję i jaszczyki, gdy już waliła się na nich tyraljera moskiewska, a sami wieją na łeb na szyję ku nam, przez pola.

Z lewej strony od ciemnego tła leśnego nieustanny dochodzi ogień i nieustanne wycie moskiewskich rot!

Tam 1 pułk i III Brygada osłania odwrót...

Za chwilę znów zbiórka — inne dyspozycje. Maszerujemy wtył kompanjami w odstępach 100 kroków, na most do Nowej Rarańczy. Początkowo kolumną, lecz gdy ostre świsty kul docierają gęściej, zjadliwiej — rozwijamy się w dwurząd.

Zapada mrok. Maszerujemy pagórkowatym piaszczystym terenem, porośłym zrzadka jałowcem. Za nami goni ciągle, nieustannie rosyjskie urra!

Mrok coraz gęstniał, aż zapadła noc. Urwały się raptownie piaski, jałowce przeszły w krze wilgotne, w olszynki szelestne, pachnące rzeźwe łąki. Przez szeroką bagnistą łąkę prowadzi długi most — grobla Garbachu. Głucho dudnią pod setkami stóp brunatne okrągłaki. Zewsząd wloką się maruderzy, pozapóźniani, ranni. Świst kul już nie dochodzi, natomiast wtył za nami krwawi i zalewa niebo purpura łuny, tłucze się nieustanny gruchot karabinów i rozlewne przeciągle urra!!!

Noc jeszcze ciemniejsza zapadła, gdy ogarnął nas oddechem swym bór głęboki. Jakiś oddział 6 pułku obsadza za groblą świetnie maskowaną linię. Podoficerowie wyznaczają miejsca i strzelnice nieraz z groźbą na ustach, gdyż wiara odwrotem już zdemoralizowana.

Za tą ostatnią linią obronną, dźwigamy się ciągle przez piachy leśnej drogi. Pułk maszeruje w głuchym milczeniu i zmordowaniu docna, nad miarę ludzką utrudzony.

Miejscami, gdy droga leśna wbija się nagle w wilgotne bagna mostem wysokim, a po bokach czernią kałuże wody, wiara wypada z szeregu i rękoma, czapkami chłopce wstrętą, bagnistą wodę. Próżno sanitariusze krzyczą, grożą, klną na czem świat stoi. Nikt nie słucha...

Przechodzimy obok jakichś zabudowań, willi leśnych, zagród żołnierskich. Kierunek mamy na Nową Rarańczę — tam nocleg.

Późno już w noc rozkwaterowaliśmy się w długiej, ogromnej szopie i jak kamienie walimy się na ziemię.

6 lipiec. *Odwrót na Końskoje i Pieriekrjestje.* — Spaliśmy raptem dwie godziny. O 2-ej pobudka. Wstajemy ledwie żywi, chwiejący się na nogach.

Świt zaledwie bieleł wierzchołki drzew, gdyśmy opuścili Nową Rarańczę, kierując się na Nowy Jastków, — siedzibę czwartaków. Tam stoi kilka pułków, jest i Komenda Brygady. Oglądamy ze zdumieniem wspaniałe zabudowania czwartego pułku. Olbrzymie okna, wysokie, sklepione sale, widne i szerokie.

Dziesięciu ludzi maszeruje z Kocem wtył dla nawiązania łączności z 1 pułkiem, reszta zwala się na barłogi. Skwapliwie się wiara zaopatruje w rynsztunek, którego stopy leżą w magazynach. W przebijaniu z Góry ku Polskiemu Laskowi chłopcy porzucali wszystkie swoje rzeczy. Ja swój tornister z notatnikami przyturgalem, porozdawałem tylko trochę bielizny i konserw. Papiery oddałem Zygmuntowi Chabowskiemu, który wczoraj został odesłany do sanitarjatu, gdyż po owej kilkogodzinnej kąpieli w bagnie trzęsie nim ustawicznie febra.

W Nowym Jastkowie śpimy do 2-ej po południu. Natychmiast po obiedzie zbiórka. Nie ruszamy jeszcze, lecz pułk w pełnym pogotowiu. O jakieś 2—3 km słychać ostrą strzelaninę.

Noc z 6 na 7 lipca. Marsz na Czerewachę. — Wydostałem Reformę z 4-go lipca. Ofensywa koalicji na wszystkich frontach, na flandryjskim szalona. Z drugiej strony Niemcy poszli naprzód pod Łuckiem i stoją o 4 km od miasta. Walki tam ostre, zażarte.

Podobno na nasz odcinek legjonowy atakował cały korpus rosyjski, a na odcinek naszego bataljonu, jedna dywizja. Zupełnie to możliwe. Wszak oni nas zalewali masą, liczbą, na Polską Górę i w okopy nasze pchali się kolumnami. Co tam były za masy, co za masy!...

O 3-ej odmarsz na Legionowo. Kawalerja rosyjska musi być tuż za nami, bo ułani nasi kręcą się jak w ukropie. Coraz to dopada jakiś z pokrwawioną łapą lub pobitemi końmi.

Do Legionowa rwaliśmy gwałtownym marszem. Zawraca stamtąd pluton kawalerji prowadzony przez Bronka Wojciechowskiego¹⁾ i zanurza się w las drogą do Wołczka, na Nową Rarańczę. Nie upłynęło 10 minut a już posypały się stamtąd gęste strzały.

Moskale w Nowej Rarańczy już są.

Berbecki daje dyspozycje Narbutowi. Jeżeli się będziemy cofali na Końskoje — ubezpieczenie wystawia II bataljon, jeżeli na Pieriekriestje — I.

Za chwilę przypadają zgrzani, spoceni ułani, prowadząc za uzdy kilka rosyjskich, dragońskich koni.

Odwrót na Końskoje. Przepuszczamy obok tabory austriackie, galopem pędzące, sami zaś maszerujemy tą samą drogą, którąśmy przyszli z pod Jezierc do Kostjuchnowki.

Las pełen żywicznych tchnień, bujnych i mocnych. W Końskoje mija nas 4 i 6 pułk, jakieś oddziały okopują się na brzegu lasu. Roja żywo rozmawia z Berbeckim, wiara z 4 pułku wesola i ochocza, rażąc się odbija od naszych zmęczonych i przygnębionych twarzy.

¹⁾ Obecnie rotmistrz rezerwy.

Do wieczora owego trzeciego dnia maszerowaliśmy bez przerwy. Na polanie Pieriekriestja zbiórki wszystkich niewalczących w tej chwili oddziałów. Jest Komendant ze sztabem, pułki przeciągają z różnym śpiewem. Zarazili nas swą beztroską, więc i my ryknęliśmy „Strzelca”, na co się wiara z tamtych pułków z pod oka patrzyła, bo już sądzili, że piąty pułk jest całkiem do niczego.

O szarym zmroku, cichym, ciepłym wieczorem stajemy biwakiem na jakiejs polanie. Kompanja nasza służbowa, wystawia więc placówkę z 8 ludzi na drodze do Gałuzji. Tymczasem czekamy na kuchnię, po którą już pogalopował porucznik Borek.

Lecz nie zdążyliśmy nawet rozbić namiotów. I tej nocy spokój nie dla nas był przeznaczony. Coś o 10-ej krzyczy zdaleka, z pod dębu, Berbecki do Narbutta: kapitanie Narbutt, maszerujemy dalej!

Zwijamy się szybko, gdy zatrzęsł się nagle las od bliskiej salwy karabinowej. Natychmiast rozwija się nasza kompanja w linję, a reszta pułku śpiesznie kieruje się na drogę.

Od strony Gałuzji, tuż, tuż dochodzi gwar głosów i gęsta strzelanina. Posuwamy się nieco naprzód, oczekując aż cały bataljon i pułk wejdzie na drogę, prowadzącą do młyna na Czerewasze.

Gwiazdy poczynają już błyskać na granacie nieba, górą przez las idzie głęboki poszum. Ciszę nocy. rzadka przerywają strzały manlicherowskie i od czasu do czasu donośne rżenie koni przebijają się przez las.

Łącznik wysłany do Narbutta melduje że bataljon odmaszerował. W tył zwrot — rozwinęty do drogi — później dwurząd wtył, w prawo zwrot i dołączamy do kolumny, wystawiając tylne ubezpieczenia.

Na ubezpieczeniu jestem z sekcją Pachonńskiego Kazika, później przychodzi Styk.

Marsz w głuchej, dzwoniącej w uszach ciszy. Zda się, że słyszysz bijące tętno krwi, łomot serc tysiąca ludzi. Noc pełna, głęboka. Przed nami jednostajny chrzęst rynsztunku, głęboki oddech kolumny piechoty, za nami — cisza śmiertelna.

Chwilami kolumna tak się kołysze, tak rozpędza, że przechodzimy prawie w bieg, a przez kolumnę przechodzi wówczas coś, jak jęk, jak stękanie rannego, śmiertelnie znużonego zwierzęcia. Postoje krótkie, jakby kradzione, po 5—8 minut, a ledwie osadzi się kolumna, zwala się na ziemię żołnierz bez tchu w piersiach i w moment usypia. Lecz ciche słowo, szept podawany z ust do ust o zbiórce — porywa na nogi wszystkich. I kilometry za kilometrami zapadały się za nami w mroczny las, chrzęścił jeno piasek chybk pod nogami, tak szalony, tak wściekły, tak nieludzki był ten marsz.

W pewnej chwili stajemy. Kolumna od czoła zawraca. Na przedzie Berbecki, Wyrwa, ordynansi, konie. „Otóż, obywatele — słysząc głos Berbeckiego — mapa się skończyła i poszliśmy za daleko. Musimy kilometr zawrócić”... Zawracamy — sztab idzie na przedzie.

Maszerujemy tak jeszcze z 10 minut. Zmordowanie już takie na żołnierza przyszło ostatnie, że śpi — idąc.

Świt. Bieleją szczyty drzew, szarzeje noc. Wstaje dzień 7 lipca.

W pewnej chwili przeleciał jakby wiew przez drogę, przez kolumny... Z przodu dochodzi jakiś głos.

Ocknął się nieco żołnierz.

Nagle z szarzyzny [nocy, z głębi leśnej drogi, jak piorun nagły w twarz uderzyła salwa jedna, druga...

Rozniosły się błyski z luf na wszystkie strony, zakotłowała, stłamsiła się kolumna...

Poczęły gnać naosłep konie sztabowe, w bok na polanę...

Iskrami tłuc po kamieniach poczęły kule.

Krzyk, wrzawa, wołanie...

Krótko, jak śsen straszny trwało bezlitosne zamieszanie, lecz za moment już tyraljera jedna za drugą maszeruje wprzód.

Z krzykiem oficerowie gromadzą oddziały.

Z jęków, z krzyków — dochodził jakiś bolesny głos — wołanie:

Tam na przedzie... pułkownik ranny... major zabity...

Skoczył podporucznik Koc z Drożdżem i Papierskim. Pułkownika rannego dzwignęli już żołnierze na celcie, a do majora Wyrwy dopadł Koc.

Zastał już trupa... Z wielkiej, otwartej rany na piersi waliła krew. Serce ucichło...

Zamknął podporucznik oczy majorowi, ziemią je przysypał, ostatnie szczątki — papiery zabrał ze sobą — i za kolumną ruszył.

Kolumna już w lewo się rozwinęła i linjami tyraljerskimi maszeruje przez polanę. Prowadzi kapitan Narbutt.

Dzień już pełny. Tyraljery szły ociężale, pochylone, zrezygnowane... Znikąd nie padło słowo, znikąd nawet przekleństwo...

Po chwili Koc wziął pluton do Berbeckiego. Podpułkownik zmieniony bardzo, z opadniętymi wąsami, przybladły. Zobaczywszy nas, słabym głosem podawać zaczął przebieg zasadzki: ot szliśmy na przedzie, widzimy 5 jeźdźców, pytam kto tam, a oni mówią — swoi... I salwę dali, pięciu ludzi, głupi patrol...

Staramy się rozerwać rannego siląc się na słowa pociechy, lecz wzruszenie ściska gardziel, jak zębami.

Pułkownik mówi o Czerewasze. Żebyśmy tylko tam do młyna doszli. Czemuż ten Narbutt tak pędzi, pyta słabo dalej — bo tyraljery odsadziły się od nas i wsiąkły w las.

I wleliśmy się tak noga za nogą ze dwie godziny. Znikąd nadziei, znikąd pomocy, sami wśród szumiącego lasu, z rannym pułkownikiem...

Ciężki, okrutny żal wpił się w piersi... Bez nadziei, z zupełną rezygnacją maszeruje orszak.

Odgania żołnierz myśl natrętą.

Bo przecież został tam na polanie Wyrwa. Major Wyrwa, śmiech i radość żołnierskiego życia, pyszniąca się duma Brygady, chwała słoneczna 5 pułku.



Mjr. Wyrwa-Furgalski
dca II baonu 5 p. p. Leg.

A tu na celcie, na płótnie namiotowem komendant „zuchowatych”, zbrozczony krwią, podpułkownik Berbecki.

Nie myśleć, nie myśleć!...

Nadleciał wreszcie, w tętentie rozgłośnym szwadron z Beliną na czele. Pognali w las po ciało majora.

Wstąpiła w serca nadzieja. Dojdziemy wreszcie dokądś.

Zajechał wreszcie wóz i dr. Kaplicki. Wiara głęboko odetchnęła.

I tak doszliśmy do młyna na Czerewasze. Łąki wielkie, aleja, chałup nieco, grobla szeroka.

Stoi Komendant przed chałupą na drodze. Patrzy się, przygląda z pod wielkich brwi...

Ożyła znową kolumna, jakby prąd przez nią przeszedł.

— Równać w czwórkach, kryć — ciskają się z cicha komendy i kolumna hardo głowę podnosi, mocno znacząc krok, jak na paradzie, jak na mustrze... Nie zmęczona przecież...

Dziadek się smutnie uśmiecha. Objęły nas dobre, siwe oczy i płynnie pytanie — bardzoście chłopcy pomęczeni?...

— Ej, niebardzo! — pada odpowiedź z kolumny, i sprzeciw się zrywa, że nie, że nie!..

Na drodze otoczonej wokół ogromnymi łąkami, porośniętej ze stron obu olszynką i topolami — krótki, półgodzinny postój.

Zaczem znów marsz dalej, dalej, do Trojanówki.

Stanęliśmy tam o godzinie 8-ej rano. We wsi Austriacy, Prusacy, tabory, artylerja.

Mamy maszerować na Wielki Obzyr i tam na Stochodzie zająć odcinek. Czekają nas jeszcze 25 kilometrów marszu. Za wsią rozłożyliśmy się. Mamy postój trzygodzinny, więc wiara się myje, odświeża, a potem spać, za wszelką cenę spać!...

W południe marsz dalej, lecz nie na Obzyr, a przez Czersk na Smolary. 1 pułk, bataljony V i VI zostają w tyle.

Tuż za Trojanówką, gdyśmy zaledwie kilometr uszli po szerokiej piaszczystej drodze — ni stąd ni zowąd rozpoczął się nagle szalony popłoch, wśród ciągnącej obok długiej kolumny taborów i artylerji austriackiej. Gdzieś za Trojanówką pękł jeden i drugi szrapnel i naraz wszystkie tabory poczęły na łeb na szyję gnać przed siebie.

Bataljon II, który maszerował za nami w tyle, w jednej chwili przez „popłoch” ten został roztrącony. Dwa działa wpadły im pełnym galopem w kolumnę. Jak burza poczęły przelatywać na koniach oficerowie, wozy amunicyjne, armaty, wozy taborowe, oddziały karabinów maszynowych, przewracając się, gniotąc, tratując nawzajem.

Wnet ostra komenda Narbutta rozległa się w kolumnie: „Bagnet na broń”, wnet lufy karabinów zwrócone na oficerów austriackich i pruskich zaczęły nieco hamować ucieczkę.

Odgrodziliśmy się murem bagnetów i kolb, by za nic w świecie nie pozwolić rozbić sobie kolumny. Bagnetem i kolbą walić drani!!!

A oficerowie nasi z klątwami rzucili się ku Austriakom. Porucznik Rokita-Maksymowicz, że mu ten popłoch roztrącał poprostu całą kompanję, jak żbik rzucił się do pyska rozhukanego konia jakiegoś „rittmeistra” od artylerji, a samemu przystawił lufę do łba.

Halt, halt — do budy dziady!...

Lecz popłoch jak na chwilę uspokoił się, tak za chwilę znów zerwał się dziki, niepowstrzymany.

Widziałeś całe szwadrony kawalerzystów, huzarów, ułanów, z roz-
wianymi kożuszkami pędzących na łeb, na szyję, bez pamięci. Rozsza-
lałe konie z rozdętymi chrapami, wygwiazdkowani, świetni oficerowie,
w bezmyślnym popłochu, rzucający szable, przepyszne lornety, broń
ręczną, pistolety, teczki..

Z jaszczków artyleryjskich wylatywały skrzynki amunicji, granaty,
szrapnele, które rośli artylerzyści, stojąc na wózkach rzucali z całym
rozmachem, taboryci wywalali wózki z jęczmieniem, owsem, sucha-
rami — a wszystko to w pełnym, rozhukanym pędzie.

Wreszcie fala roztrzającą wszystko minęła — jak minie nagła
wściekła burza i gdzieś pod lasem zaczęła się uspakając. Za nią,
znow nadbiega druga, trzecia, czwarta fala...

Zaczęliśmy śpiewać.

Spokojna linja, najeżona bagnietami, śpiew tęgi, rozgłośny — robi
wreszcie swoje. Artylerzyści, kawalerja poczynają żdzierać, hamować
konie — popłoch ustaje. Do jadącego na przedzie spokojnie Narbutta,
sadząc krótkiego galopa, dopada jakiś pruski oficer. Coś mówi, coś
gratuluje, salutuje, wreszcie wyciąga dłoń.

A Narbutt powoli kładzie rękę do kieszeni.

Na drodze pobojuwisko, Tak popłoch chyba gnał ludzi z Pompei
i Herkulanum. Tylko tam na drodze nie leżały stosami mapy szta-
bowe, z pozycjami oznaczonymi na Stochodzie. aparaty telefoniczne,
Zeissy, lunety, konserwy, owies, ryż i granaty.

Doszliśmy wreszcie do Czerska. Słońce zaczęło już krwawić wierz-
chołki drzew, gdy wparliśmy nogi w piach leśnej drogi nad Sto-
chodem. Gdy się roztoczył przed nami szeroki szmat zielonych łąk
Stochodu — uczuliśmy głęboką ulgę.

Tu wreszcie staniemy.

Przyczółek mostowy, obsadzony przez pruską piechotę, okopany
na drodze 78 regiment. Przechodzimy przez most.

Dziwię się tylko, że nie widać nigdzie na zielonym tle łąk czarnej
linji okopów. Dopiero gdyśmy przeszli most okazało się, iż okopy
są i to wspaniałe. Ryte jeszcze przed zimą, zarosłe trawą, tak że
na 20 kroków niktby ich nie rozpoznał. Odrutowanie imponujące.

Smolary nie wiele się zmieniły od czasu ostatniego w nich naszego
pobytu, t. j. od jesieni. Wśród białych chałup jaskrawo się odrzynają
kiecki rusinek, dawno niewidzianych kobiet...

Stajemy biwakiem za wsią. Kawa — a później długie obgadywanie
mimo zmęczenia, przebytych wrażeń. Styk objął dziś bataljon.

Teraz dopiero dowiadujemy się o najrozmaitszych sprawach, które
w tych dniach krwawych miały miejsce. II Brygada, która 5-go była
się pod Wołczkiem, ucierpiała ponoć okropnie, głównie z winy Kit-

tnera, na którego wszyscy sobaczą, jak na ostatniego. Podobno mimo rozkazu Fatta, przetrzymał 3 pułk kilka godzin na pozycji, przez co pułk został otoczony. Kittner ma być za to oddany pod sąd, gdyż nietylko bolesne straty poniósł 3-ci pułk, ale i mnóstwo ludzi wraz z Minkiewiczem dostało się do niewoli.

8 lipiec. *Smolary nad Stochodem*. Nareszcie wypaliliśmy się. Po tylu trudach nocnych i dziennych, po tylu nocach nieprzespanych, minęła wreszcie jedna noc spokojnie.

Pierwsze, ogromne zmęczenie już przeszło. Zostało tylko wielkie osłabienie, lecz kilka dni odpoczynku, dobrego podkarmienia, a i to przejdzie. Pluton mój (Koc objął kompanję) liczy obecnie 19 ludzi, 17-tu nas zostało z ogólnej liczby 29-ciu z pod Kostjuchnowki. Wczoraj dostaliśmy dwu z oddziału wywiadowczego, w którym swego czasu był Edek: kaprała Zawartkę i szeregowca Lachura.

Kompanje nasze w bataljonie liczą przeciętnie po 50 — 60 ludzi, ubyło więc w ostatnich 3-ch dniach połowę stanu. Spora liczba jednak przypada na rozproszonych, których już dzisiaj do bataljonu, przybyło 26-ciu. Szczególnie dużo rozproszonych ma II-gi bataljon, któremu ogień huraganowy w Lasku Polskim dał dziwną szkołę. Granaty waliły tam w ziemianki, rozbiły na mięso całe plutony, a wiara nie miała gdzie uciec, gdyż schronów betonowych nie było. Wogóle straty tam są okropne i to szczególnie w oficerach. Z pułków legionowych najcięższe straty poniósł 5, po nim 2 i 3, najlepiej stosunkowo wyszli czwartacy Roji, 1 i 6 pułk.

ZNÓW NAD STOCHODEM

9 lipiec. *Las pod Smolarami*. — Wczoraj wieczorem zerwał się silny wiatr, burza i deszcz, więc kompanja nasza wypożyczywszy płótna namiotowe 3-ej sama pomaszerowała do chałup, na drugi koniec wsi. Spaliśmy tam zaledwie 2 godziny, gdy o szarzącym świetle zerwała nas pobudka. Maszerować mamy do Cerkiewki i zająć tam przed dniem, gdyż droga ze Smolar odkryta zupełnie.

Białe mgły i opary podnosiły się szerokimi tumanami z łąk i moczarów. Maszerujemy 3 kilometry do lasu na zachód od Smolar i tam stajemy. Nikomu nie wolno wychodzić poza las, gdyż widoczny jest on dla obserwatorów moskiewskich. W gęstym, podszytym lesie staje cała Brygada.

Las wilgotny, przesycony surowym chłodem od wczorajszego jeszcze deszczu i od porannych mgieł. Żołnierze krzątają się koło postąń, zbierając gałęzie, gdyż ani celt, ani płaszców nikt prawie nie ma.

Spaliśmy do południa. Brygada jest w rezerwie i wieczorem mamy odmaszerować do Czeremoszna, wsi oddalonej o 10 kilometrów, gdzie stanąć mamy jako rezerwa armji.

Zmrok zapadał, lecz o wymarszu jakoś nie słyhać, choć spakowani jesteśmy zupełnie. Pozbijana w gromadki wiara gwarzy o ostatnich walkach. I pułk, oraz V i VI bataljon, skandalicznie ponoć stłukły jedenaście szwadronów kawalerji rosyjskiej, które ławą atakowały groble na Garbachu. Wysieczono ich karabinami maszynowymi do nogi. Beliniacy też trochę oberwali, ale nie bardzo.

Berbecki będzie żył. Wczoraj krążyły niepokojące wieści o stanie jego zdrowia, a nawet że już skończył. Na szczęście okazało się to nieprawdą. Czuje się ponoć dobrze, gorączki niema, załatwia pułkowe sprawy, choć rany ma ciężkie. Płuco jedno scharatane na fest. Dzisiaj odjeżdża do szpitala z dr. Kaplickim, który otrzymał rozkaz nieodstępowania pułkownika ani na chwilę.

10 lipiec. *Las pod Smolarami — Czeremoszno.* — Rankiem opuszczamy biwak i początkowo lasem, a później polną drogą — marsz do Cerkiewki a stąd do Czeremoszna. Tam mamy stać jako rezerwa. Okrutnie słaba jest ta nadzieja spokojnej rezerwy, gdyż Hauerowi już podobno przełamali na północy front. Poszły tam dwie brygady niemieckie, lecz czy dadzą radę — niewiadomo.

W 3 godziny powolnym marszem zrobiliśmy zaledwie 10 kilometrów dzielących nas od Czeremoszna, gdzie stanęliśmy biwakiem.

Jedno pragnienie ożywia nas wszystkich! Spoczynku, spoczynku i spokoju! Wyleżeć się kilka dni, odżywić, uspokoić nerwy!

W Czeremosznie będziemy mogli wypocząć. Rozkwaterowały się tu wszystkie brygady. Komenda Legjonów, artylerja i konnica. Po raz pierwszy jak istnieją Legjony, są wszystkie trzy brygady razem.

Dostaliśmy dzisiaj gazety z 9-go lipca. W komunikacie Hoefera napisano: Dzięki atakowi Niemców pod Kołkami i pełnemu ofiarności stanowisku Legjonów, ruch odwrotowy wykonano w zupełnym porządku.

Jak ten porządek wyglądał, szczególnie na drodze z Trojanówki do Czerska, moglibyśmy coś o tem powiedzieć...

11 lipiec. *Czeremoszno.* — Wszystkie oddziały legjonowe przydzielone są do korpusu bawarskiego. Postokroć lepiej jest być w linii, niż w rezerwie austriackiej a w dodatku głębokiej.

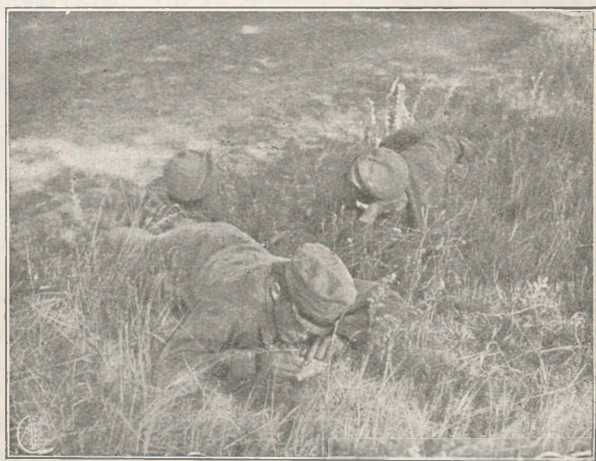
Haller objął II Brygadę po Kittnerze. Lecz Kittner nie wyleciał wskutek żądań z 1-go lipca, lecz wskutek podania się do dymisji.

Jako powód podał brak celowości w kierownictwie i użyciu bojowym jego brygady. Widocznie musieli mu strasznie nasobaczyć i wymóc na nim tę dymisję. Grzesicki jest i prawdopodobnie zostanie.

Ponoć w Kowlu i Lublinie jest sporo naszych łażików, którzy się w odwrocie rozpiechli i zagarowali jako szpica do Lublina! Morowa kolumna — szpica w Lublinie, a ubezpieczenie tylne w Kijowie...

Dzień mamy pogodny, słoneczny, wesoły. Orkiestra przygrywa przez cały dzień i to koncertowo. Zmęczenie powoli mija, humor wraca, rozbrzmiewa już wesoły śmiech.

12 lipiec. Czeremoszno. — Dziś piszę, piszę, piszę — drobnym maczkiem zasnuwam stronicę pamiętnika. Ostatnie wrażenia męczą mi ciągle w duszy. Tych kilka dni przeżyć, walk Kostjuchówki, odwrotu — widzę w oczach jakby na odbitce fotograficznej. Nie chcą mi te obrazy niknąć, żyję nimi, na nowo przeżywam. Choć



Na krótkim postoju.

na ostatnie dni poszło kilkanaście zapisanych stronic, jeszcze jednak brzmi to wszystko lakonicznie, krótko. Nie wyczerpałem ani połowy tego com widział, com przeżył. Jakże straszliwa, a jednak prosta była ta chwila, kiedy Moskal o dwa kroki z trawersu mierzył do mnie. Żadnego zdziwienia, przestachu, czy też padnięcia do ziemi... Nic — tylko gdy czarny otwór lufy ujrzałem przed oczyma machnąłem ręką w duszy i przez świadomość przemknęło mi jedno, jedyne słowo, prawie w tej chwili bezmyślne: śmierć!

Jakże mechanicznie, bezdusznie znalazłem się przy mostku. Jedynie błysk uczucia, świadomości, to sekundowy błysk radości, gdy ujrzałem — tyraljęrę...

Poza tem nic... Biłem w kupę Moskali o 20 kroków, biłem w żywą, ruchliwą masę z kompletną bezmyślnością. Jedyne prze-

błyskami świadomości były chwile, gdym myślał o ogólnej sytuacji. I tak, gdyśmy wycofali się na mostek, przebiegła szybko myśl: Tu nam dadzą łupnia!.. I wytworzył się obraz stojących kilkunastu Moskali na mostku i wybijających nas salwami! Tymczasem stało się inaczej... Moskale szli za nami mostkiem taką samą bezmyślną bandą, jaką myśmy wyczerpani, wymordowani — przebijaniem — cofali się.

Albo to pierwsze wrażenie, gdym z okopów dopadł do cofającego się bataljonu i gdym ujrzał Narbutta z białym brauningiem w rękę, zmienionego do niepoznania, z dziko natchnioną twarzą, wołającego do kontrataku. To pierwsze zdziwienie, skąd się tu Narbutt wziął, skoro miał być w 6 pułku i ten pierwszy odruch bezwzględności zaufania, który się odbił w słowach: „O Narbutt, dobrze jest!..” I klęknąłem przy nim bijąc bez słowa w kupę Moskali...

Albo ten moment, gdy po zajęciu drugiej linii w Lasku Polskim wdarli się znów Moskale. Skok wtył, skok zpowrotem do okopów — i ogień, ogień, ogień... Biłem magazynkę, za magazynkiem. W pewnej chwili, gdym chciał zarepetować, palce nagle chwycił skurcz. Ładujcie — krzyknąłem prawie z rozpaczą do Sulkiewicza, który zczerniały, bez tchu, z opadniętą twarzą, z zamkniętymi oczyma wsparł się o okop. Nie miał karabina, który gdzieś w bagnie zgubił — więc chwycił mój sztucer i trzasnął zamkiem. Tarłem palce z wściekłością, z pasją, aż życie do nich wróciło. Chwyciłem, dałem strzał — i znów skurcz. Jasna cholera! Bezsilna wściekłość! Prawa dłoń, czarna, nabrzmiała, nabita — bom bijąc na Górze przez te dwie godziny, nie chwycił gałki dłonią — jenom uderzał i rozbiłem łapę docna. I tak ta walka ze skurczem mięśni po każdym strzale trwała przez cały czas, a ja myślałem, że w ziemię się wkopię z rozpaczą co będzie, gdy staną dranie tuż, a ja mam krótki sztucerek, którym po strzale nie mogę zarepetować...

Te chwile były straszne i na nie najżywiej reagowałem. Moment rozbrojenia, moment poczucia, że ma się w rękę kawał kija, a nie karabin, był najcięższy...

Tyle wrażeń, taka moc ich, że dopiero teraz wyławiam je, rozkładałam w swej świadomości, porządkuję...

Na zbiórce odczytał Styk rozkaz dzienny Komendanta. Dziękował nam, 5-mu pułkowi za naszą obronę, I i II bataljonom, oficerom i żołnierzom. Walki te nazwał najcięższymi, jakie dotąd były w historii bojów naszej Brygady. Wiele słów poświęcił Wyrwie, natomiast o Stawie nic, co zrobiło na nas przykre, bolesne wrażenie.

Rusin, jeden na cały bataljon, dostał dziś nominację na podporucznika. Słusznie mu się to należało.

13 lipiec. Czeremoszno. — Ruch dzisiaj w Czeremosznie spory. Przybył transport uzupełnienia, coś koło 1000 chłopów, a w najbliższych dniach ma nadciągnąć drugi taki sam, czy nawet większy. Brygada nasza dostała tylko starych swoich żołnierzy, dwie kompanie rekrutów poszły do II Brygady. Pluton nasz jednak i tak jako tako się podreperował.

Mamy ponoć jutro wymaszerować do Karasina i do jakiejś wsi o 10 kilometrów na północ od Czeremoszna. Tam mamy stać jako rezerwa korpusu Hauera. Wiara zła, gdyż Hauerowi napewno mochy dziurę zrobią — pod Hulewiczami już durknęli Fatta, lecz rezerwy pruskie podbiegły w sam czas, a Fatt natychmiast poszedł w „duraki”. Wogóle rezerw niemieckich tu ściągają sporo. Młody żołnierz, który nie wahał jeszcze prochu, lecz Prusacy chcą za wszelką cenę zatrzymać linię Stochodu. I dla nas to ma ogromne znaczenie. Im dalej na zachód nas Moskale odeprą, tem sytuacja polityczna staje się gorsza, tem gra na „polskiego konia” mniej aktualna...

Komendant niezmordowanie kontynuuje ofensywę. Wpływ jego wzrasta z każdym dniem. W najbliższym czasie udać się ma deputacja z Rady Narodowej do Wiednia i Berlina, a Komendant wielkim głosem woła do wszystkich stronnictw: Żądajcie, by się państwa centralne wypowiedziały w naszej sprawie! Żądajcie!

14 lipiec. Czeremoszno. — Głowy pracują. Po ostatniej bitwie, bitwie jedynej w swoim rodzaju, zbierają w pułku, bataljonach, kompaniach wszelkie dane, by na ich podstawie mieć nowe wzory praktyczne, nowe punkty obrony. W kompanii Styk, który dużo pracuje nad wojskowością, wydał ankietę do podoficerów.

Pierwszy raz od początku wojny spotkały się wszystkie trzy brygady, i stoją w zgodzie w jednej wsi, w Czeremosznie, naonczas stolicy Polski wojującej. Stoi tu Komenda Legionów, stoją dwa pułki kawalerji, pułk artylerji polnej i ciężkie haubice — jednym słowem wedle naczelnego hasła Konferencji Pokojowej „Legioniści wszystkich krajów są złączeni”. I jak trzy brygady nie widzące się razem podczas wojny, zebrały się tutaj, tak i czterej łodzianie, bracia Plackowscy, od początku wojny pierwszy raz ujrżeli się w Czeremosznie.

15 lipiec. Czeremoszno. — O 5-ej rano pobudka. Wstajemy ociężale, powieki zwiera sen, niewyspanie srogie. O 6-ej zbiórka bataljonu w pełnym rynsztunku, przegląd przez Narbutta i dyspozycje dla oficerów. Mamy dzisiaj przegląd i defiladę przed niemieckim jenerałem Bernhardim. O 8-ej zbiera się cały pułk i marsz na wzgórze za Czeremoszno. Wśród sfalowanego, zielenią zbóż pokrytego pola, ciągną już siwe węże kolumn.

Dzień słoneczny, upalny. Lekkie chmurki żeglują po błękitie nieba, z pól dobiegają rzeźwe zapachy i chrzęstny szum maszerujących wo sk.

Wzdłuż drogi do Karasina wyciągnęły się trzy brygady, przy lewym skrzydle — kawalerja i artylerja. Linja prosta, równa, pod sznur. Na prawych skrzydłach brygad, brygadjerowie konno, przed naszą Komendant, przy II na cisawej szkapie — wyprostowany, sztywny Haller, na skrzydle III jenerał Grzesicki — czerwony, napuchnięty, z bielmem faworytów, jaskrawo odbijający swemi lampasami, gwiazdkami i świecidłem blaszek od Komendanta i Hallera, przybranych w proste, bez odznak żadnych, mundury. Wzdłuż wyciągniętego, ginącego gdzieś wdali siwego muru żołnierskich piersi, ciemnymi plamami swych koni znaczą linję bataljonów — na 30 kroków stojący przed swemi oddziałami — ich komendanci. Na prawych skrzydłach pułków — pułkownicy, adjutanci... Przed frontem raz po raz z tętentem, chrzęstem i parsaniem koni galopują oficerowie.

Wokół Komendanta kręci się na koniach rój świetnych adjutantów. Ogromny Wieniawa-Długoszowski z białemi akselbantami, w skórzanym sztywnym rękawicach, wielosłowny Kaden-Bandrowski i ściągły Stachiewicz, brat Styka. Jak wiatr na swym pysznym arabie rwie przez pole Belina.

Lecz kawalerja nie cieszy dziś oczu pychą, linją wspaniałą swych barw. Wysokie czaka gdzieś w taborach, w rezerwie, purpura wyłogów opięta guzikiem pod szyję, na głowach skromne maciejówki.

Nadjechał Puchalski. Ostro sadził na swym świetnym gniadoszu, za nim z chrzęstem i trzaskaniem szabel — rój sztabowców.

Czekamy na Prusaka. Słońce aż parzy, więc wiara porozluźniała zwarty front, obsiadła skraj szerokiej drogi. Czekaliśmy tak z godziny, aż wreszcie wydarł się krzyk komendy od prawego, niósł się ku nam w pośpiesznym szczęku broni, w łoskocie prędkim sprawnego frontu.

Bataljon w prawo patrz — za ostrym głosem Narbutta, błysnęła nagle linja daszków urwanym, krótkim zwrotem.

Wyciągniętym cwałem przeleciał ogromny sztab. Na przedzie pochylony siwy starzec — za nim w tumanach kurzu, tętniąca, połyskliwa masa adjutantów. Galopadą przenieśli się przez front trzech brygad, objechali jazdę, artylerję i w tym samym pełnym galopie — wracają na prawe skrzydło.

Bidny był Bernhardi. Puchalski* za ostro sadził, jak na sędziwe lata generalskie wypadało, więc Prusak czapkę zgubił, ledwie że trzymał się w siodle i wrzeszczał w trząsie galopu, żeby wolniej i spokojniej — bo on nie może...

Plutonowemi kolumnami zachodzimy na prawo. General, sztab, na zboczach drogi z wysokości pagórka świetny mają przegląd ciągnących równym, rytmicznym marszem siwych linii wojska.

Jutro maszerujemy na linię. Gerock przysłał z pod Verdun pozdrowienia dla legjonistów, a że dobry to żołnierz, żołnierz, który nie jedno wojsko widział w kurzu i ogniu walk — więc jesteśmy zadowoleni.

Cnota żołnierska jak sport — wzbudza szacunek u największego wroga.

16 lipiec. — Chmurnym, mglistym, wilgotnym porankiem opuściliśmy Czeremoszno. Maszerujemy na odcinek Sitowicze — Kaszówka; odcinek ponoć marny i błota na tyłach.

Marsz o 5-ej rano do południa, dość zwawy, z częstemi jednak odpoczynkami.

W Powursku pełno Prusaków. Piechota bawarska, szwoleżerowie z białemi lampasami na czapkach — rosłe, dorodne chłopcy, piechota, młody przeważnie lud, wylegli przed chałupy i w milczeniu, czasem z krótkimi uwagami z zajęciem się nam przypatrują. Maszerujemy raźnie i wesoło, niefrasobliwość bije z kolumny, uleciał gdzieś i wsiąkł w Czeremosznie, ten tak niedawny, tępy zmilk utrudzenia.

Stanęliśmy w południe w lasku na polanie i wnet posnęliśmy przy kozłach, by o 5-ej zebrać się w dalszym marszu.

Przeszliśmy nieco wilgotnych olszynek i stajemy biwakiem na leśnej, niewielkiej polanie, gdzie rozbijamy namioty.

Odcinek nad Stochodem mamy obsadzony wspaniale. Legionowa dywizja ma w rezerwie brygadę drugą, nasza brygada trzyma w rezerwie 5-ty pułk, a każdy z pułków obsadzających odcinek wystawia zaledwie po 2 kompanie w okopach. Na lewo łączymy z 42 dywizją pepików i dlatego też tak ciasno obsadzamy, by mieć gotowe rezerwy dla łatania czeskich dziur. Na prawo Prusacy.

17 lipiec. *Las pod Sitowiczami.* — Przyszedł dzisiaj list ze szpitala od podporucznika Stefańskiego z wiadomościami o śmierci Sława. Busse i on podnieśli Sława, gdy dostał w serce i nieśli go aż do kładki. Tam Busse dostał w głowę, więc Stefański sam już się tylko ratował.

Ja zaś o Sławie myśleć nie mogę. Teraz zrozumiałem jak można się przywiązać do człowieka napozór obcego. Co mię z nim łączyło — nie wiem, wiem tylko, że na ostatniej defiladzie, kiedy nie było przed frontem Sława, tłukła mnie głucha rozpacz. Staralem się nie myśleć o tem, odwrócić do czego innego myśl, lecz drobna postać Sława uparcie stała przed frontem. Zdawało się, że usłyszę za chwilę jego spokojny, niski głos, komenderujący defiladą.

Któż miał tyle ojcowskiego spojrzenia, tej miłości głębokiej, tej łagodności i szacunku, ile on miał dla swych żołnierzy. Mówił mi Władek Drymer, że w dniu śmierci Sław był dziwnie łagodny, uśmiechnięty, jeszcze spokojniejszy niż zwykle, o wiele bardziej rwący za serce. Nie narażajcie życia — mówił łagodnym głosem do telefonistów, gdy chcieli iść naprawiać linię — jeszcze sytuacja nie jest tak groźna!

I niema go, jak niema Grudzińskiego, Długosza, Wyrwy i tylu, tylu innych...

18 lipiec. *Las pod Dubniakami.* — Biwakiem stanął pułk na szaro-zielonych polanach, otoczonych wokół białymi brzoźami, czerwienią rosochatych sosen, wąskolistnym bukiem i mokrą, lepką olszyną... Teren w lesie to zniża się, tworząc mokrą olszynkę, to podnosi się suchymi piaskami, zielonemi wrzosami, rzucając ciemne plamy na jaśniejsze tło leśnego podścieliska.

Rozbiliśmy tutaj biwak rano o czwartej. Rozbiegły się zaraz leguny po chałupach wsi Dubniaki, osadzonej za lasem... Wnet ujrzałeś ich na chałupach, w piwnicach, na drzewach i strychach, przy studniach i stawach, goniących kury, zdzierających strzechy na posłania, kłócących się z Austrjakami...

Rozstawiliśmy namioty, starannie je zamaskowawszy brzoźkami i zajął się każdy przyrządzeniem strawy, której najogólniejszym wyrazem były kartofle, do gulaszu obiadowego przyrządzane.

Dzień chmurny, posępny. Deszcz smaga drzewa, wiatr targa gałęziami dębów i białych brzoź.

Wyszędłem nieco w głąb lasu, poza rejon pułku. Las wilgotny, obmokły, strzepuje krople deszczu za każdym podmuchem wiatru, jakby się otrząsał z nieprzyjemnego, zimnego prysznicu.

19 lipiec. *Las pod Dubniakami.* — Napisałem dzisiaj list do matki. Prosiłem, by była spokojna, by jak matka-Polka ze spokojem mogła znieść najgorsze ewentualności... Boć to wojna przecie i każdej chwili trzeba być gotowym na wszystko...

Dla nas to nic. Trzeba i — koniec. Nad sformułowaniem tego obowiązku nikt się nie biedzi, nikt się nie zastanawia. Chwyciły nas wielkie tryby maszyny, która się zwie losem — ani jej powstrzymać, ani zapobiec. Śnił się ten los żołnierski kiedyś w godzinach złych, więc teraz zgoda doń przystała, jak do rzeczy wiadomej, znanej i koniecznej. Czy z tego będzie Polska — tego na rozum nikt nie bierze, bo to nie jego rzecz, a Komendanta. Jego rzecz dać krew, trud, znój i karabina nie puścić z ręki. Śniłeś o wojnie — to ją masz! Śniesz o Polsce — to i ją pewnie swą krwią, a głową Komendanta wywojujesz. A śmierć?

Już teraz dla niej został cynizm. I to nie ladażaki — a taki lepszy. Zaś w świadomości — to jedno, tęgie uderzenie — i nie wiesz nic. Koniec.

Gorzej jest dla nich — tam w domu. Męka dłużących się dni i tygodni bez wieści, bez śladu, czekanie na znak, który może przyjść każdej chwili... Nadzieje, wątplenia, zetlałe w bólu matczyne serca, a potem gdy przyjdzie znak pewny, niezawodny — pytanie skrzywdzonego, wołającego w pustkę serca: dlaczego, dlaczego on?...

Na linii mały ruch karabinowy, natomiast ostre ostrzeliwanie okopów przez artylerię rosyjską. Biją ciężkimi.

20 lipiec. *Las pod Dubniakami.* — Stoję przy rozwartym, dużym oknie inspekcyjnej izby. Na słomie chrapią ordynansi, choć dzień już dawno pobielił świat — i telefonista sennym, monotonnym głosem wypowiada swoje hallo, tu 5-y — gdy zaczyna wybrzękiwać aparat.

Na dworze słońce. Deszcz mży drobny, nieustanny, nieprzerwanie szeleszczący. Wilgoć z powietrza wsysa się zewsząd wraz z melancholią idącą z pól. Droga z piaszczystej, o lotnym kurzu podczas pięknych pogodnych dni — stała się lepka, śliska, z długimi pasmami szklącej się wody w koleinach, wyłobionych przez armatnie koła...

Przed białą chałupą chwieją się barwne, czerwone i białe maki, w kwadrat symetrycznie półka ścięte. Trzęsą swemi krasnemi płatkami, strząsają perlące krople, gną się żałośnie przed wiatrem. Szklą się pulchne, tęgie grzędy, głębokie, czarne brzozy, pełne lśniącej wody. Obmokły ogródek, obwisły pod ciężarem wilgoci; olbrzymie liście łopianu nabierały deszczu na swe szorstkie powierzchnie, krwiste buraki przylgnęły do wilgotnej ziemi, jeden żółtawy koper tylko dumnie swą parasolkowatą głowę wyprostował i mówi — kpię z deszczu....

Tuż za grzędami rozciąga się zielona łąka. Zdeptana już i zmięta, porozwalana czarnemi dołami, bolesnemi ranami granatnych razów — a dalej, do ściany szumiącego lasu, pod mozną opieką dębów rosochatych, pod srebrnopienne brzozy płaczące — powtulały się żółte i siwe namioty. Rzędem stoją wózki amunicyjne, nakryte grubemi, ciężkimi płachtami, obok mokną na deszczu ze zwieszonymi łbami ogromne konie artyleryjskie, a między drzewami rozciąga się gdzieś niegdyś niebieski dym kuchni polowych i rozłazi się po lesie jak stary włóczęga, nieznośny, naprzykrzony.

Gdzieś niegdyś dmucha uparcie w ogień, z mokrego ułożony drzewa, płacze, kicha i wyciska łzy nad gryzącym dymem dębinosek z I czy II bataljonu, pracowicie gotujący kartofle dla siebie i swego „sitwesa”.

Mimo deszczu, szemrzącego nieustannie po gałęziach drzew, po płótnach namiotowych, w lesie ruch i gwar. Gwar nawołujących się

żołnierzy, gwar sprzeczek o kartofle, gwar niezadowolenia z kopącego ogniska, z dymiącego wilgotnego drzewa, gwar złorzeczeń, śmiechu i klątw.

Taki sobie obóz polskiego żołnierza...

21 lipiec. *Las pod Dubniakami.* — Na naszym odcinku mamy ponoć 150 dział. Niemcy spodziewają się tutaj albo silnego uderzenia rosyjskiego (gromadząc taką masę artylerji), albo też mają zamiar uderzyć sami...

O front baranowicki napróżno sobie rozwalają Moskale tępą swój łeb. Dziesięć dni bez przerwy szturmowali i nie uzyskali nic. Teraz awanturują się pod Rygą.



W rezerwie.

Dziwne wrażenie rozwichrzenia sprawia ofensywa rosyjska. To tu uderzą, ówdzie popchną, tam znów staną, tu się cofną, tam pójdą naprzód. Ni składu, ni ładu. Niema tu uderzeń druzgocących, łamiących od jednego ciosu odporność przeciwnika. Niema tej ostrej myśli strategicznej, przenikającej wszystko. Ofensywa rosyjska sprawia wrażenie chaosu, jakiegoś ogromnego niezrozumienia i niedopełnienia. Trwa ona już bezmała 2 miesiące a przecież tak znikomo mało przyniosła im efektów.

Niewspółmierność sił i zamiarów, niewspółmierność chęci zwyciężenia a woli wykonania — oto słabość rosyjska.

I prawdopodobnie jest to jej ostatni wysiłek. Możliwe, że wojna wobec tego w jesieni się skończy.

22 lipiec. *Las pod Dubniakami*. — 12-ta w nocy. Deszcz chłłoszcze namiot, w którym zaledwie jest nas kilku. Pluton ma dzisiaj służbę w kompanji, a kompanja w bataljonie, więc roboty moc. Pięć posturków, służba kompanijna, inspekcja w bataljonie. Dopiero co mieliśmy alarm urządzony przez Dobrodzickiego¹⁾, który adjutantuje Narbuttowi. Alarm trwał 2 minuty — bajecznie krótko — więc Gad zadowolony poszedł szukać szczęścia gdzie indziej.

25 lipiec. *Las pod Dubniakami*. — Na linii wzmożona praca wywiadowcza. Patrole rosyjskie przechodzą przez Stochód i to w sile od kompanji do bataljonu. Są to wywiady wzmocnione z zaczepnym zwykle charakterem, to też placówki nasze mają stale strzelaninę. Nasze zaś patrole, odwrotnie, chodzą w nadzwyczaj małej liczbie, maximum pluton. Ułatwia to bardzo bliższe podejście i dokładne rozpoznanie pozycji i zamiarów przeciwnika. Przeważnie jednak patrole nasze chodzą w sile sekcji, a więc 8 — 10 ludzi. Na wysyłanie takich patroli (zachowujących się nadzwyczaj ostrożnie), my jedynie możemy sobie pozwolić. Przy utarczce straty nie będą nigdy większe niż przy liczniejszych patrolach, natomiast opadnięty patrol przebije się zawsze bagnetem. A podkraść się niepostrzeżenie pod druty placówek rosyjskich, pod bagnety wedet — jest stokroć łatwiej w kilku niż całą kompanją. Dlatego też Moskale zwykle dostają się pod ogień placówek i nic nie wskórawszy — dają dęba, zostawiając straty. To też wiedząc o naszym sposobie patrolowania a nie ufając sobie w spotkaniu wręcz, urządzają zasadzki. I tak dzisiaj opadli z tyłu i z boków patrol, posuwający się na grobli. Jednego wzięli, jednego zatłukli — reszta przebiła się. Rannego naszego mochy zatłukły na rozkaz oficera.

26 lipiec. *Kolonja Dubniaki*. — Siedzimy w rezerwie już tyle dni i Bóg wie, ile jeszcze będziemy siedzieli. Mamy się tutaj zabudowywać, więc pobyt zapowiada się na dłużej.

Spokoju, monotoni pływających dni nie przerywa żadna awantura. W nocy biła nieco nasza artylerja. Tłucze dość często, wogóle okazuje dużą ruchliwość. W dyspozycjach Brygady powiedziano, by artylerja nasza natychmiast odpowiadała na ogień rosyjskiej i by nie dopuszczała do przewagi ogniowej ze strony Moskali. Widocznie prawdą jest, że mamy tutaj taką jej ilość. Zresztą sami widzimy. Jak zaczną bić czasami, ale to tak na wyścigi — jedna baterja przed drugą — to uszy puchną, gdyż baterje stoją tuż za nami. Mamy równieź jak i Moskale — captivy. Wogóle ruch na linii jest spory.

¹⁾ Obecnie major rezerwy, artysta-malarz.

28 lipiec. *Las pod Dubniakami.* — Słońce już chyli się ku zachodowi, złoci wierzcholki sosen, krwawemi smugami przeplata zielen lasu. Wokół gwar... Nad głowami warkot aeroplanu, ztyłu co chwila łajdacka salwa ósemek, od której uszy puchną — a na pozycji nierówny łomot rosyjskiego ognia.

Ogromny szum, grzmiąca muzyka echa, rwie lasem raz po raz, za każdym wystrzałem. W dziesiątkach odskoków powraca, chybotliwie, nierówno, objijając się o każdą polanę i każdą ścianę lasu — grzmiąca muzyka leśnego echa.

Chwilami cisza zupełna. Zakwili ptak, zatrzepocze i wnet ogłuszony trzaskiem, gromem niezwykłym wtula przerażoną głowę pod skrzydła.

Mieliśmy dzisiaj dzień wesoły. Od samego rana z pozycji siedł łomot huraganowy ognia rosyjskiego. Biją na Bawarczyków i na lewe skrzydło 1 pułku. Od czasu do czasu zrywają się szczekacze — pieski nasze i tną w las zajadle... Za ósemkami wlot odzywają się haubice i jak stare podwórzowe brytany pyski do góry uniósłszy, grubym głosem, wolniej z namysłem poszczekują...

Zaczęto też zaraz macać nasze baterje. Wążąc się lekko, posuwiecie, cichym lotem granaty haubic wżerały się z piekielnym łoskotem w las. Co chwila cichy szum pocisków i dwa przeraźliwe trzaski granatów.

Lecz były ciągle w lewo. Dopiero w południe, gdyśmy brali obiad — szukać poczęły ósemek, stojących za nami. Wysokie słupy czarnej ziemi szybowały z łąk do góry i z głuchym łoskotem, jakby tętentem tabunu koni opadały wdół.

Bierzemy herbatę. Przy kuchni długi wąż wesołej wiary, sierżanci dyżurni, inspekcyjni — cała zgaja szarż — by legun na porcję nie kiwnął. Żartujemy, że granat nam do kotła wleci, gdy naraz lekki, delikatny świst, rozszalał się z przeraźliwą szybkością w gwizd, ścinający w żyłach krew i rypnął w kuchnię. Zakotłowało się, runęło wszystko na dół. Gdym odpadł od jakiejś sosny, na którą mię rzuciło — ujrzałem tylko setki migających, bosych pięt. Obok mnie jęczał legun, trzymając się za głowę, a w nierozwianym jeszcze dymie przy kuchni jęk się wyrывał bolesny. Jeszcze nie zdążyłem zebrać myśli, gdy drugi wizg pocisku jeszcze wścieklejszy i straszliwy łomot. Wyrwałem więc do namiotu co sił, z krzykiem by się pakować. Wiara wywiała w las, bo granaty rwały na polanę jeden za drugim. Mignęła mi tylko wysoka postać Narbutta, który zasłoniwszy sobie „Nową Reformą” głowę, z cynowym talerzem w ręku dymał w las, za nim reszta oficerów z wieprzowiną w garści, gdyż i oni siedzieli przy obiedzie.

Zbieramy się w lesie i w prawo od biwaku — okopujemy się. W lesie łoskot nieustanny, trzask łamanych szrapnelami gałęzi, błyski i leniwo włóczące się dymy.

Paskudnie działa na żołnierzy ogień artyleryjski, o którym on wie, że mu się jako rezerwie nie „gebiruje” — nie należy. Co innego w okopach, tam mu się to należy, więc siedzi spokojnie i bez rozkazu się nie rusza.

Wieczorem odmarsz z lasu do kolonji Dubniaki.

29 lipiec. *Las na drodze Sylwestrówka - Dubniaki.* — O świcie kawa. Nie ruszono nas jednak z miejsca, choć na linii od czasu do czasu gwałt taki powstaje, jakby tam masy moskiewskie atakowały. U nas stosunkowo ogień słaby, gdyż atak rosyjski uderzał na nas tylko swem lewem skrzydłem; główny atak skierowany był na Gruszewno — Hulewicze, t. j. na odcinek przy kolei Kowel — Sarny. Atak ten został zupełnie odparty, gdyż odcinek ten obsadzają sami Bawarczycy.

Do 3-ej po południu staliśmy na miejscu, o 3-ej odmarsz. Maszerujemy na lewe skrzydło Brygady jako rezerwa 1 pułku. Marsz trwał do 8-ej wieczór, mocno uciążliwy. Upał piekielny, prócz tego nie mogąc maszerować terenem odkrytym, robimy ogromne koło, idąc ciągle lasami, w dużych dystansach. Ciężka artylerja macała las na wszystkie strony, lecz o nas jakoś nie zawadziła.

O 8-ej jesteśmy na miejscu. Śliczna polana, świeża jeszcze i nie tknięta, las wokół suchy, moc leszczyn, podszycia. Rozbijamy biwak, maskując go pięknie i po kawie kładziemy się spać.

Z komunikatu „Reformy” dowiadujemy się, iż pod Beresteczkiem Austriacy cofnęli się, tak że linja tam jest prawie na Bugu. Teraz Moskale będą się starali uderzyć na północny Wołyń, na Stochód i przy równoczesnym nacisku od Rygi zepchnąć front litewsko-kurlandzki odrazu na Niemen. Jeżeli im się uda tutaj zrobić duży „durchbruch”, to może im się to bardzo ładnie skleić. A my wtenczas nogi za pas i na Bug. Brr...

Jakoś sobie tutaj Niemcy nie mogą dać rady. Inna rzecz, że austriackie trepy są już do niczego.

Pół godziny zaledwie leżeliśmy, gdy nas poderwano. Maszerujemy na prawe, zagrożone skrzydło Brygady. Czwarta dywizja na prawo od nas, t. j. od czwartego pułku cofnęła się na drugą linję, gdyż dalej na południe, gdzieś koło Janówki czy Sokula — przełamano front. 4 pułk zajął rygiel, a II Brygada pomaszerowała na Mielnicę, latać tam dziurę. Sytuacja krytyczna. Jeżeli tam Moskale się głęboko wdarli i natychmiast kontratakiem nie zostali wyparci, to my

dęba będziem chyba na Turję kroić. Wiara wściekła na trepów jak sto djabłów.

Maszerujemy drogą Powursk - Miryn i na skrzyżowaniu dróg do Dubniak mamy stanąć.

Na linii cisza, tylko migocą rakiety. Drogą powoli wycofują się kolumny amunicyjne i artylerji. Możliwe, że będziemy mieli jeszcze o świcie conieco roboty, a gdy się będziemy cofali, to prawdopodobnie pułk nasz będzie osłaniał odwrót.

Stajemy w lesie i kładziemy się spać. Lecz, że to wojna, a my w rezerwie, więc za godzinę podrywają nas znowu i przenoszą na inne miejsce. Świt już tymczasem pobielł las, zblakły gwiazdy, tylko różowy blask rzuca na niebo pożar, prawdopodobnie Sitowicz. Ogromny słup nieruchomego dymu wznosił się w potwornych kłębach do góry i nieporuszony napozór włókł ciężkie, siwe swe cielsko.

30 lipiec. *Las na drodze Powursk - Miryn - Dubniaki.* — Sytuacja bajkowo ciężka. Tak ciężka, jak dawno już nie bywała. Tutaj na całym froncie Stochodu Moskale lada chwila mogą zrobić dziurę, wpakować w nią masy piechoty i przegnać nas nietylko na Turję, ale i na Bug... A lewe skrzydło natenczas, od Pińska po Rygę musi wiać sakramencko ile sił w nogach...

Tak potracić możemy bardzo rychło nasze „kraje zabrane”, które już w marzeniach do Niepodległej Polski przyłączaliśmy. Jednej się rzeczy tylko obawiam. Byle nie na Bug! Nie wiem czybym miał siły znów patrzeć na płonące w Królestwie wsi... Nie wiem i wątpię czybym je znalazł.

Stoimy na skrzyżowaniu dróg Powursk — Miryn — Dubniaki. Stoi tu również 5 szwadron Beliny „fussreiterów” bezkonnych, przydzielonych narazie do naszego pułku. Belina ma obecnie brygadę, 1 i 2 pułk ułanów, a w nocy osłaniał odwrót pod Wielickiem. Również na południu jest II Brygada.

My jakoś nie zmieniamy ani 1 pułku ani V bataljonu. Czyżby Komendant czekał, aż się nieco front uciszy?

31 lipiec. *Las pod Sitowiczami.* — Mamy dzisiaj całym plutonem placówkę na drodze Powursk — Miryn, tuż przed Mirynem. O 7-ej wieczór wyszliśmy z biwaku i oko z przyjemnością spoczęło na dawno niewidzianych uprawnych polach, pokrytych zbożem rozmaitem, na milej polskiej drodze, wysadzonej z obu stron topolami. Folwark w Mirynie, duże bogate gospodarstwo, wcale nie zniszczony. Stoi tam komenda III Brygady.

Przepyszna, usiana blaskami noc, co chwila srebrny łuk spadającej gwiazdy przerywa firmament. Po północy zaczęły ciągnąć

sennie kolumny taborów II Brygady, maszerując z Wielicka, a po nich piechota. II Brygada wściekła. Wyszła na rezerwie jak Zablocki na mydle, bo wodzono ją z miejsca na miejsce. Noc i dzień maszerowali ze wsi do wsi.

2 sierpień. *Las pod Sitowiczami.* — Zmarzliśmy setnie pod namiotem. Noce przeraźliwie chłodne, a koc jeden na trzech i to leciutki, podszyty wiatrem. Trzeba już będzie kombinować, by wytrzasnąć coś ciepłego pod kurtkę.

O 4-ej po południu odmarsz bataljonu. Maszerujemy ciągle lasem i stajemy trzema kompanjami w rezerwie za kompanją Bawarczyków. (250 bagnetów) rozdzielającą II bataljon od 6 pułku. 2 kompanja Jagmina Sadowskiego staje w rezerwie za II bataljonem.

Rozkładamy biwak na brzegu równej, czworokątnej polany. Las wokół szemrzący, rozgadany; dęby, buki, graby — od czasu do czasu bielą się jasne łysiny, porośłe masztowemi, prostemi sosnami. Na prawo rozrzuconych kilka linii okopów, morowo oszalonej sosnami. Tam się pakują plutony, a do jednego z nich komenda pułku.

Wiara odrazu zarządza gruntowny wywiad co się dzieje naokół. Za chwilę już przychodzą pierwsze wiadomości, że o 300 kroków wprzód jest już pierwsza linja obsadzona przez Bawarczyków. Okopy tam marne, z wodą, narzutowe, ciągną się wzdłuż lasu, z drutami w piłę. Ostrzał doskonały na 800 kroków, dalej niskie krzaczki, strumyk, stawki. Zdała ciemnieje bór po wschodniej stronie Stochodu.

3 sierpień. *Las pod Sitowiczami.* — Wojnę mamy rzetelną! Straty idą, straty w najlepszych żołnierzach. Dzisiaj granat pocharatał straszliwie Pachońskiego Kazika.

Dzień zaczął się cichy i spokojny. Nic nie wskazywało na jakiegokolwiek zamiary moskiewskie. Dopiero koło godziny 9-ej poczęły pękać pierwsze szrapnele nad lasem, a za chwilę huraganowy ogień rozhulał się, rozrzucał na prawo od 6-go pułku, na odcinku 99 i 49 p. p. austriackiej. Za małą chwilę przeniósł się na 6 i na 4, tak że nas dotykał swem prawem skrzydłem. Zaczęły też coraz częściej pękać i coraz bliżej ciężkie szrapnele, a po chwili przerażający łoskot oznajmił nam, że i granaty rosyjskie rozpoczęły swą robotę blisko nas.

Pluton nasz od rana począł pracować przy okopach, na lewo od drogi, prowadzącej na pozycję. Okopy nieregularne, poryte w lesie, należało pogłębić i oszalać od szrapneli.

Posłałem tam 1. sekcję, sam zaś z plutonem za pierwszym szrapnelem, wymierzonym w biwak, mam się przenosić do okopów.

Leżałem z Pachoniskim w namiocie i czytaliśmy rozłożoną przed nami wielką płachtę „Nowej Reformy”. Choć szrapnele trzaskały jak z ogromnego bicia po lesie i raz po raz polatywał gruchot siekanych wpobliżu gałęzi drzew — nie przerywaliśmy czytania, zobojeźniali na łoskot, który od dwu godzin nieprzerwanie rwał po lesie.

W pewnej chwili bez słowa wstałem. Uczułem się w namiocie głupio, źle, nieswojo. A już szrapnele tłukły po polanie i na skraju przy kuchni wyrznął pierwszy granat.

Pakować się — odmarsz do okopów! Nie skończyłem krzyku komendy do śpiesznie zbierających się żołnierzy, nie odszedłem piętnastu kroków, gdy zachwiałem się od pędu powietrza. Łomot straszliwy i trzask gałęzi... Zanim się odwróciłem, by skoczyć do namiotu po sztucer, dym się jeszcze nie rozwiął. Rozwlekał się z pod namiotu, powoli opadał w dół... Skoczyłem jakby mię drugi granat podsadził...

Na miejscu namiotu kupa szmat z tornistrów, płótna, kocy, mezażek. Wśród tego biały, zemdlony leżał Kazik. Roztrzaskana ręka od łokcia po ramię, rozdarte jelita...

Przytomności już nie odzyskał. Zanim nadleciały „łapiduchy”, zanim go znieśli do opatrunkowego punktu — skończył...

Zaszedłem do okopów, gdy wiara już tam siedziała z tornistrami na plecach. Wszystko klnie, wścieka się, siepie. Bo i tu spokoju nie było. Co chwila trzepotały się drzewa i trzask szedł po gałęziach. Ani gdzie wleźć, ani co!... Do cholery z taką rezerwą!...

Wojna tymczasem szła na całego. W okopach pierwszej linii piekło. Artylerja, piechota, granaty, szrapnele, ekrazytówki — co kto chciał. Atak moskiewski walił na cały regulator...

I omal że się im nie udał. Gdy tylko ogień zaporowy przerzucił się na rezerwy i tłuc bezlitośnie po nich a i po nas począł i gdy tylko masy moskiewskie (jak pod Kostjuchnowką) podsunęły się pod druty, 99 i 49 p. p. pospolicie mówiąc — skroiły dęba.

Mochom w to graj. Wdarli się w dziury, poganiiali, poganiiali i dalejże coraz głębiej w las. Ani godzina nie minęła, gdy już siedzieli w Rudce Miryńskiej.

Tam gwałt, jak pod Stowygorozem. Ciśnięto do kontrataku 30-kę, ciśnięto Prusaków. Nic nie pomogło — waliła masa...

Wówczas z prawego uderzył Belina brygadą ułanów: 1 i 2 pułkiem. Ułany wzięły na ambit i choć ze strachem — natłukłszy przedtem sporo swoich i Moskali — wleźli do Rudki.

Gorzej było na lewo, na północy, Tam się Moskale tak ostro wdarli, że zajęli drogę Miryn — Powursk, aż na tyły legionowej

artylerji. Wgnietli się tak głęboko, że sami zbaranieli, ujrzawszy nie przodki, a zadki dział przed sobą. Lecz wsiąkli morowo. Nasi chłopcy jeszcze prędzej się zorjentowawszy, odwrócili działa — i bryzg, bryzg... kartaczami.

Magiel okropny. Krzyk, rwetes, jęk — bo tłukli w kolumny. W kilka sekund śladu z kolumn nie było, a kanonierzy jazda, po jeńca...

A już Haller poderwał 3 pułk. Karpatniki ostro ruszyły, wydusiły tułające się po drodze moskiewskie oddziały, pozganiały je w tył taborytom na strach, skoczyły na odcinek 99-ki i pozycję odebrały. Tymczasem wszystkimi drogami waliły rezerwy. Z Powurska przysłała brygada niemiecka, zluźowała okrutnie sfatygowanych ułanów w Rudce i uderzyła na resztę dziur. O 6-ej po południu ten odcinek był już czysty na glans...

Dłużej trwał smród na odcinku legionowym. Jak tylko 99-ka skroiła dęba, tak bidne szóstaki, które z nią łączyły, zagięły front prawego skrzydła. Łączność była paskudna, okopy płytkie, rzadko obsadzone, docna prawie zmiecione granatami, więc czwartacy, którzy stali na lewo od 6-go, wiedząc, że z prawego idzie bieda — zagięły również skrzydło. To samo zrobił i 2 pułk...

I tak przez paskudną łączność, wyczynił się kryminal niezgorszy. Moskaliki bowiem te dziury powywachiwały — i dalejże jazda je zatykać. Ciężko coraz bardziej, bo nic nie wiadomo. Każdy pułk już ma nietylko z prawej strony, ale i z lewej monterów od dziur. Już, już miało wszystko pęknąć, bo gwałt był ogromny, harmider, strzelanina ze wszystkich stron, pułki już zerkaly wtył — ale Norwid nie puścił. Chycił za pyski, kazał czekać, aż przyjdą rezerwy. No i całe szczęście że przyszły, bo byłoby chłopakom ciepło. Wieczorem już i tu było spokojnie...

Do 8-ej wieczór tłukła się jeszcze ożywiona strzelanina, lecz atak został w całości odparty, linja załatana.

Kawalerja [nasza] nareszcie pokazała, że bez konia też potrafi strzelać, a już najbardziej cieszą się kanoniery. Wzięły kupę jeńców i nakładli Moskali po polu coniemiarą. Jak tak dalej pójdzie to i tabor główny będzie fasował Moskali.

A wogóle taborytom ofensywa rosyjska daje piekielne ciągi. Dziś granaty pocharatały coś 15, prócz tego poraniły 6 telefoniistów Brygady. Sama komenda Brygady w takiej była przez chwilę opresji, że omal nie została zafasowana. Nagwałt ściągnięto z pułku dwie kompanie dla ochrony. W nocy mamy pełne pogotowie, bez snu, pięć posterunków.

4 sierpień. *Las pod Sitowiczami.* — Ohydna mieliśmy noc... Wiatr gwał z szumem gałęzie, gwał ogromne chmury po niebie i wkrótce

lunał deszcz... Nieprzeniknione ciemności ogarnęły las. Z szumem drzew łączył się szum przelatujących pocisków a chwilami, gdy baterje milczały, zdawało się nam, że one grają ciągle, że szum, chichot pocisków otacza nas wokół. Lecz to las grał, szumiał żałośnie i jęczał...

Spać nie można, więc zbici w gromadkę gwarzymy o sprawach, byle czas przeszedł jak najprędzej. Lecz mimo deszczu i przekłętogo zimna optymizm nakazuje nam wierzyć że jak każda, [tak i ta noc koniec swój będzie miała... Około północy uciszył się wiatr, nastała cisza zupełna, ciemność jeszcze większa, tylko drobny kapuśniaczek szemrze po gałęziach. Posterunek kolbą rozpoznaje drogę, by nie wpaść do jakiego okopu i coraz to budzi swą zmianę.



Budowa ziemianek pod Sitowiczami.

Chłopcy leżąc na słomie mokną z rezygnacją i klnąc, pogrążają się w dziwny półsen, który przynosi wypoczynek, a baczny jest na każdy ruch. Od czasu do czasu zrywa się gruchotanina ognia na linii i wówczas podnoszą się głowy, pochylają ciekawie uszy i tak trwają bez ruchu — gotowi — póki ogień nie ustanie...

Świt już białł las, gdym się ocknął. Zimno trzęsło mną przeraźliwe, przemokłem doszczętnie.

Dzień nam szybko przeleciał. Na froncie spokój zupełny, na północy jednak „trommelfeuery” tłuką nieustannie. Moskale coprawda już od miesiąca atakują front Stochodu, lecz jakoś mu nie mogą

poradzić. Porzucają się jeszcze z miesiąc i jeżeli wszędzie na czas będą rezerwy pruskie, to Stochód będzie utrzymany.

5 sierpień. *Las pod Sitowiczami.* — Spokój na linii zupełny. Na północy lekka charatanina artyleryjska, lecz u nas niczem nie zamącona cisza. Zato gwałtowne wiadomości z polityki. Reforma dzisiejsza (z 4-go) donosi że 20 sierpnia zajdą nadzwyczajne zmiany w Polsce. Tego dnia ma być ogłoszone ważne zarządzenie mocarstw centralnych, powołujące państwowość polską do życia. Poza tem drogą uboczną z Brygady dowiadujemy się, iż rokowania austriacko-niemieckie w sprawie polskiej zakończone.

Wieczorem o 8-ej maszerujemy na odcinek II bataljonu, gdzie umacniamy okopy.

6 sierpień. *Las pod Sitowiczami.* — W Reformie z 5-go jest komunikat urzędowy, głoszący że dzięki kontratakowi niemieckiemu, austro-węgierskiemu i części oddziałów Legionów Polskich atak między Sitowiczami a Wielickiem został w całości odparty. Głosił to nie tylko komunikat austriacki lecz i niemiecki.

Niemcy zaczynają coraz częściej o nas mówić. Obecnie jesteśmy u Hindenburga, który ponoć jest zaciekłym naszym wrogiem i wogóle polskości, więc poważne względy, nie tylko wojskowe, musiały się przyczynić do ogłoszenia takiego komunikatu.

Jak plotka — fama mająca posłuch, bo miła — głosi, to miał powiedzieć Bernhardt, że gdy tylko tutaj spokój zapanuje, zostaniemy wycofani w tył, celem organizacji. Inni zaś wierzą we wkrótce mające nastąpić, wmaszerowanie nasze do Warszawy, jako kadry armii polskiej. Ma to być konsekwencją ogłoszenia państwa polskiego.

Sulkiewicz twierdzi, że to załatwianie nagwałt sprawy polskiej, wpływa z jednej z dwu przyczyn — albo Niemcy już, w tej chwili potrzebują armii polskiej, albo mają zamiar wycofać się z Królestwa i zostawić nas samych. Macie Polskę, brońcie jej!...

Dzisiaj rocznica wymarszu, w Brygadzie święto. Przedstawicielom po czterech z kompanji po mszy rozdano krzyże „za wierną służbę”. Gdy przyjdzie reszta krzyży — dostaną wszyscy, t. j. ci, którzy mają więcej niż rok służby bez zarzutu w Brygadzie, w linii...

Z plutonu dekorowany był Zygmunt Chabowski.

7 sierpień. *Las pod Sitowiczami.* — Ohydna, tępa nuda. Książki niema ani jednej w kompanji, gdyż wszystkie zostały dla Moskali na Polskiej Górze, na gazety czekamy jak na zbawienie — poza tem wstrętna, bezmyślna nuda. Nie warto sobie nawet książki z taboru sprowadzać, boć lada chwila złowroga cisza zamienić się może w piekielny taniec huraganowego ognia... Dziwna tępota, rezy-

gnacja bezmyślna ogarnęła nas wszystkich. Gdy nadlatuje kuferk żołnierz się czuje jak ptak, gdy nań spada jastrząb. Czuje się bezbronną jego ofiarą, kawałem żywego ścierwa, rzuconego na pastwę. Każdy wie, każdy to już dawno zrozumiał i dawno się z tem pogodził, że gdy leci taki garnek, wyróżnie gdzie obok, to go żadna siła ludzka, żaden okop od śmierci nie wyrwie.

I dlatego też na twarzach naszych od pewnego czasu znaczy się owa martwa cisza, bezmyślna prawie maska, czasem, bolesny uśmiech rezygnacji, gdy las zaczął macać ciężkie granaty. Słysząc najpierw gdzieś w sinych lasach daleki, przytłumiony huk. Z tym przytłumionym, niskim hukiem, zrywa się, sunie, leci złowrogie tchnienie pocisku... Jest coraz bliżej, bliżej, już niedaleko... Z początku miły, delikatny, subtelny szmer, jakgdyby pocisk ważył się lekko w powietrzu, później szum, poszum głęboki, niby boru czarnego oddech, poczem groźniejszy, twardszy, żelazny ton, a na ostatku wściekły szalony, mrozący krew w żyłach, dziki wizg — i... już! Najszybsza myśl, jaka tylko istnieć może w ludzkim mózgu — stawia diagnozę. Jeszcze nie!...

I znów się czeka. To głuche oczekiwanie, te chwile między oddalonym odgłosem wystrzału działowego — cichym, potem zaś coraz wścieklejszym tonem lotu a piekłem wybuchu — to chwile, które najwięcej szarpia żołnierskie nerwy. Niema nic straszniejszego, nie bardziej działającego na nerwy, na psychikę żołnierza, jak ten przybliżający się piorunowym lotem wizg, wrzask, wżeranie się pocisku...

Jest cisza zupełna. Deszcz co chwila spada ulewą, to wiatr rozgania chmury, to rozbłyskuje jasne słońce, więc siedzimy w namiotach. Myśl leniwa, ogłuszona, tępa — błądzi po plamach, kwadracikach, szwach płótna; ogarnia nas jakieś wewnętrzne, duchowe ziewanie. Byle się raz już to skończyło, ta głupia rezerwa, ta defensywa, ta niemoc... Swobody, swobody, ruchu, pędu!...

Możliwe że ten ruch wreszcie będziemy mieli, że się skończy wreszcie to wyczekiwanie pełne niemocy, że gdzieś na prawo lub na lewo przerwą Austriakom front i trzeba się będzie cofać. Na Turję!... Bug... Myśl, pełna jęku... Do tego stopnia mam myśl pustą, że zmuszam się do pisania pamiętnika, co mi się zdarza po raz pierwszy.

Leżymy w namiotach, trzęsąc się pod płaszcami z zimna. Deszcz na dworze, w namiocie wilgoć wsiąkliwa, łamiąca kości...

8 sierpień. *Las pod Sitowiczami.* — Przeraźliwe zimno! Jeszcze zimno tak nam nigdy nie dokuczało, chyba w lasu pod Krzywopłotami. I to sierpień! Zeszłego roku o tej porze uważalibyśmy się za szczęśliwych z takim ekwipunkiem jaki teraz mamy. A obecnie marzniemy w skandaliczny sposób.

OKOPY A POLITYKA

9 sierpień. Las pod Sitowiczami. — Gruchnęła dzisiaj pogłoska i krąży uporczywie, że maszerujemy na odpoczynek do Zamościa. Ponoć tak mówił Sulkiewicz. My starzy, na temat „gadać zdrów” przyjmujemy takie nowiny, lecz młodsza wiara rozmarzyła się tą wieścią po pensjonarsku.

Te majaczące od czasu do czasu plotki o spoczynku, organizacji, Warszawie czy Zamościu dowodzą tylko jak wiara okrutnie jest zmęczona. W II bataljonie tak się chłopaki pochorowały, że bataljon topnieje w oczach. Służba na linji potwornie ciężka, a ekwipunek jak na te paskudne deszcze ohydny.



Placówka nad Stawokiem.

Leżę w namiocie przez cały dzień, czytając Kukiela „Dzieje oręża”. Nie wychodzę zupełnie z pod koca, aż dopiero wieczorem. O 8-ej zbiórka, maszeruję do okopów, do redutki przy komendzie II bataljonu. Wystawiamy tam posterunek i z Kocem pociągnęliśmy na placówkę Nr. 2, by ją drutować. Z okopów do drutów ciągnie się długi most, szeroką drogą rzucony przez łąki Stawoku, niewielkiego dopływu Stochodu. Przy drutach most porozwalany zupełnie a już dalej przez Stawok i łąki sterczą tylko powbijane słupy. Obok, na czarnych, powydeptywanych mokradłach porozrzucane belki, deski

zdzieranego nagwałt mostu. Przeskakujemy przez wykroty czarne jak piekło, ze stukotem biegniemy przez deski rzucone na strumieniu i ścieżką wśród belek, desek, drągów dostajemy się na placówkę. Obsadza ją dziewięciu ludzi, przed okopkami niskie krzaczki, na pięćdziesiąt kroków za krzakami dwa podwójne posterunki, strzegące szerokiej, dużej polany.

Noc pogodna, jasna, księżycowa. Gwiazdy migocą i bledną co chwila, gdy rakiety, chyżo biegnącemi, jaskrawemi ogonami szukają wroga. Jak okiem sięgnąć na północ, południe, rozmigotanemi blaskami rakiet znaczy swą linię front. Na północy nieustanne, nieprzerwane dudnienie armat. Ostatniej nocy ogień artyleryjski dochodził tam do niebywałej wprost siły. Nigdyśmy jeszcze nie słyszeli tak gwałtownego łomotu dział, to też z zapartym oddechem natężaliśmy słuch.

Ogień nie ustawał ani na sekundę. Biła zeń potworna, dzika wprost siła — wszystko burząca. Jakgdyby wszystkie złe moce, pradawne instykty siły i gwałtu ludzkiego wzięły się ze sobą za bary...

10 sierpień. Las pod Sitowiczami. — Nie ruszam się przez cały dzień z namiotu. Na odmianę — upał nie do wytrzymania. Z przeczystego nieba leje się olśniewający żar. Pod cieniem sosen porozkładali się żołnierze i jak mogą odsypiają zaległości.

Rano i wieczorem, gdy słońce wstaje lub gdy się lekko ku zachodowi chylić pocyna — powietrze napęlnia delikatny warkot silników. Codziennie dziesiątki aparatów prują przestworza, a od czasu do czasu przelatuje hucząca eskadra. Jasnożółte aparaty sprawiają natenczas wrażenie, jakby się gdzieś wysoko w powietrzu roznosił brzęk tysiąca olbrzymich komarów.

To wspaniale zorganizowana niemiecka służba lotnicza.

Naszego odcinka jakoś Moskale nie ruszają. Z północy ciągle jeszcze dochodzi odgłos „trommelfeuerów” — lecz coraz krótszy. Na Rudkę Miryńską próbowały mochy znów szczęścia i nagle, bez przygotowania artyleryjskiego, wdarli się do okopów. Zostali jednak szybko wyparci.

12 sierpień. Las pod Sitowiczami. — Pogłoski o mającem nastąpić w najbliższym czasie wymarszu na „hinterland” — mnożą się z dnia na dzień. Krążą już nazwy miast, gdzie która brygada ma stanąć, kucharze oznaczają nawet termin odmarszu.

U nas w Brygadzie mówi się o tem mało, lecz pogłoski nabierają coraz większego prawdopodobieństwa. Ponoć artylerja i prowiantura otrzymały już rozkaz przygotowania się do odmarszu, mówią o tem głośno w innych brygadach; u nas tłumi się te wieści, by nie demoralizować żołnierzy nadziejami.

Wkroczyły jednak sprawy nasze na tor, którego kres już widać. Socjaliści polscy wystąpili z Koła Polskiego, zaznaczając swe jak najostrzejsze stanowisko i żądając nie słów, a faktów. Moraczewski jest w Brygadzie, a Komendant pono przez cały dzień odbiera przez gońców pliki papierów i ustawicznie myśli, ustawicznie knuje coś w milczeniu.

A wśród okopów rodzi się podświadoma wiara, wiara ogólna z trudów znoju i krwi zrodzona, że jeśli wyjedziemy do Królestwa to ujrzą nas znów okopy — albo jako wojsko polskie, albo nie ujrzą nas wcale.

Umysły wrą, palą się dusze. Serca czują, że dochodzimy do kresu, że cel już bliski, rozprężają się szeroko ramiona.

Jeszcze o tem głośno się nie mówi, jeszcze się nikt nie chce z tem zdradzać. Ale w tonie, w nastroju nieuchwytnym, często w słówku jednym lub spojrzeniu nagle — wyczuwa się głębię radosnego przeświadczenia, że jednak nie zginęła, że nie zostanie po nas jeno „krótki płacz kobiecy i długie nocne rodaków rozmowy”...

Z posiewu naszej krwi zrodzona przybliża się chwila radosnych zniw...

13 sierpień. *Las pod Sitowiczami.* — Gruchnął wrzask radosnych krzyków, gdy Koc po apelu zawołał — rozejść się! Pod koniec bowiem apelu oznajmił nam, kręcąc z uśmiechem bródkę, że mimo wszelkich niedowierzań, jednakowoż zdaje się być faktem bliskie nasze wymaszerowanie. Jak rozkaz wydany do komendy pułku głosi, 15-go mają nas zmienić Bawary.

Rozhulała się też wiara jak sto biesów!

Wokół huczała i trzęsła się pijana, gwarna, śmiejąca się radość! Najweselszy z wesołych Papierski Bolek fantazjował na głos. Pysk mu się nie zamykał ani na moment. Wiara się zanosila z byle głupstwa, z byle kawału, a Pepcio tworzył obrazy jak to się wiara w Kielcach będzie bawiła (jakby to tylko jedne Kielce w całej Polsce były) jak to z panienkami uch!... zarajcuje. A jak to potem obywatele kaprale i sierżanci w podporuczników zagnała się przedzierzgną, jak to szabelkami trzaskać będą, chmurzyć się, a nosić godnie i górnio!

A żołnierz, a plutony! Nie dębiny nasze, nie mikrusy zbiedzane, chuderlawe, cikliwe a płaczliwe, ale plutony z rekrutów, kompanje z chłopów jak dęby, karki bycze, piersi jak kaplice, ramiona jak kłody!

Śmieje się myśl, ponosi serce rozedrgane do tych marzeń, nadziei radosnych, wymarzonych...

A las tymczasem przyoblekł się już w szary mrok, pełznący powoli od rozpadlin ziemi, co raz bardziej gęstniejącą, aż póki srebrna poświata księżycy nie wypłynęła z za sosen, cicha i świetlista. Stał tak las niemy, szumiący, przesiany zimnemi smugami światła.

Nie mieliśmy jednak spokojnej nocy. Coś o 2-ej zerwała się nagle ostra i bliska strzelanina. Kule tak darły w las, żeśmy z namiotów dęba skroili do okopów — póki nie scichło.

14 sierpień. Las pod Sitowiczami. — Jakoś nic nie wskazuje, żebyśmy mieli jutro odmaszerować. Mówią nawet, że mamy zmienić II bataljon.

Moskale podsunęli się w nocy pod placówkę w dość dużej sile. Na starej linii okopów wystawili reduktę nawprost 1 pułku. Poszedł na nią z dwoma plutonami porucznik Dechou¹⁾ czy też podporucznik Gaładyk²⁾, lecz nie dali rady. Sam Gaładyk ranny, prócz tego czterech żołnierzy.

Po południu zaczęły tłuc na tę reduktę niemieckie haubice. Biją cicho, a pociski szorują z delikatnym szumem.

15 sierpień. Okopy pod Sitowiczami. — Czytam przez cały dzień, gdyż książki wiara znosi z dworskiej biblioteki, z Rudki Miryńskiej. Dwór zburzony, część jednak jakaś została.

O zmierzchu obsadzamy okopy.

Wieczór chłodny, chmurny, lecz noc zapowiada się ładna. Obsadzamy odcinek 5 i 8 kompanji, gdyż 5 i jedna kompanja 1 pułku atakować ma reduktę rosyjską. Atak poprzedzi huraganowy ogień szesnastu bateryj.

Koc z jedną sekcją zostaje przy 6 kompanji, ja z dwiema — ściągamy do okopów. Przed 10-tą pierwsze błyski targać zaczęły ciemne bezgwiezdne niebo. Za chwilę krwawe ognie raz po raz wybuchały za i przed reduktą, z szumem i warkotem przebiegały pociski swą drogę, z tępym trzaskiem pękając nad okopami. Gorączkowy huk dział i trzepanina eksplozji zlały się w jeden różnobrzmiący łomot. Granaty wytryskiwały w ciemności słupem ognia i krwawych iskier, szrapnele w bajecznie krótkich momentach rozprysku — jaskrawym światłem rozjaśniały noc.

Z łajdacką satysfakcją przypatrywaliśmy się temu widowisku.

Trzymali tak reduktę rosyjską ze 20 minut pod wściekłym ogniem. Gdy łomot ustał, chciwie nasłuchujemy, by pochwycić pierwszy ogień karabinowy. Jakoż trzasnął przeraźliwie strzał rosyjski i rozgruchotały się natychmiast manlichery. Po pięciu minutach zaległa cisza. Redutka w naszych rękach.

¹⁾ Obecnie pułkownik piechoty. ²⁾ Obecnie major S. G.

18 sierpień. *Okopy pod Sitowiczami.* — Nic się przez dwa dni ostatnie nie zmieniło. Służba i lekka charatanina. Stoimy przy II bataljonie. Przy kozłach ustawionych wzdłuż drogi — śpi pluton.

Upał sakramencki. Las dyszy ciężko, duszący zapach żywicy bije z rdzawych sosen, na szerokich łąkach drga w słońcu rozgrzane powietrze.

O 2-ej po południu zmieniamy II bataljon. Zajmujemy odcinek lewoskrzydłowy w sąsiedztwie z 1 pułkiem. Okopy podłe, częściowo narzutowe, a że Moskale się do nich przystrelali, świadczą dwa potworne leje. Jeden dołeczek rozcharatał druty, drugi za okopem wywalił potężną studnię.

Służba narazie niezbyt ciężka. Dwie placówki, dzienna i nocna, trochę posterunków.

W nocy mieliśmy niejaką awanturę, gdyż placówka z II bataljonu zaczęła wiać na alarm wszczęty przez świeżego rekruta. Wrzeszczał że Moskale tuż, a że wogóle żołnierz naszego pułku od czasu Kostjuchnówki wyjątkowo jest zdemoralizowany, placówka zaczęła kroić dęba. Zahamowali jednak kaprale, że skończyło się tylko na wstydzie. Swoją drogą jest to fakt, który się u nas pierwszy raz dopiero zdarzył i świadczy jak z żołnierzem jest źle. Niesłychane zmęczenie spowodowane dwuletnią służbą, wyczerpanie ostatnimi tak ciężkimi walkami, trudna sytuacja polityczna, te ciągle przeskokki od nadziei do zwątpień — wszystko to męczy i osłabia. W dodatku w naszych warunkach, gdy kompanie to rodziny, gdzie śmierć oficerów, tak wielkie wywiera wrażenie, gdzie spustoszenie po cięższej bitwie odczuwa się w plutonach jak śmierć najbliższych — wszystko to podnosi jeszcze ciężar ostatnich dni.

Komendant o tem wie i niepokoi się. Dlatego też w swym rozkazie na 6 sierpnia z widoczną troską powołuje się gorąco na niezawodny dotąd honor polskiego żołnierza.

19 sierpień. *Okopy pod Sitowiczami.* — Napisałem po południu długi list do domu, lecz czułem, że się przymuszam. Jakiś dziwny nastrój mną ogarnął; fatalizm czy też zniechęcenie i niewiara bo mówię na wszystko „naser mater“. Jeszcze mię tylko zajmuje i absorbuje służba. Byle honoru naszego nie stracić, byle honoru — powtarzam sobie i żołnierzom.

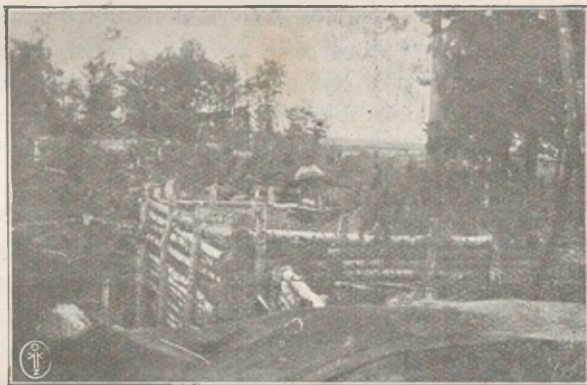
Dzisiaj całym plutonem maszerujemy na placówkę. Chcę koniecznie, by noc spokojnie przeszła, by ani jeden strzał nie został niepotrzebnie dany. Chłopcy też chcą pokazać, że morowość ich nie opuściła — i wierzę, że przekonają o tem każdego.

O 8-ej wychodzimy na placówkę. Dwieście naboí w chlebaku, ręczne granaty przy pasie. Prócz tego na placówce mamy 15 rakiet

i kilkanaście granatów karabinowych. Odchodzimy sekcjami. Na placówce jest kapral 3 kompanji Baczyński — od niego odbieramy służbę.

Placówka rosyjska wedle obserwacji poczynionych przez II bataljon ma się znajdować na prawo wskos od naszej lewoskrzydłowej wedety w odległości 300 kroków, t. j. w starych okopach, zaś posterunek rosyjski o 200 kroków. Zostałem na pewien czas przy Staśku Wolskim i Rosińskim, którzy tu pierwsi stanęli na wedecie.

Na placówce ruch. Dwudziestu ludzi z II bataljonu wkopuje drugi rząd drutów i kopie drugi okop. Nasz pluton liczy 18 karabinów, tak że gdyby Moskalom zachciało się na nas robić wyprawę, biłoby w nich 38 luf. Mieliby się zpyszna!



Okopy pod Sitowiczami.

Noc widna, cicha zupełnie. Na północnej stronie nieba przewalają się ciężkie chmury. Dochodzi stamtąd oddalony grzmot i raz wraz migają błyskawice. Wiatr południowy, gorący, suchy od czasu do czasu ciepłym oddechem muska twarze i szelestem napełnia zarośla, trzciny, oczerety Stawoku, gdzie wrzaskliwie trzepoce się wodne ptactwo.

Obszedłem obydwie placówki, Nr. 1 i 3. Trzeci numer obsadza 1 pułk — 18 ludźmi. Poza tem noc przeszła zupełnie spokojnie. Tylko między 12-tą a 1-szą Moskale rozzłoszczeni granatami, które im posyłał z karabinów 1 pułk — otworzyli wściekły ogień z Rudki Sitowickiej na ich placówkę. Łomot się zrobił piekielny, bo każdy strzał wpadał do naszych lasów, za bagienko i tam wrzaskliwie, kilkakrotnie się echem odbijał. Z powodu szybkiego ognia, jaki Moskale otworzyli, las grzmiał, huczał wielkiem, potężnem echem.

O północy, z łąk i bagien Stawoku, z niskich wądołów — podniosły się smugi białych mgieł i otoczyły placówkę nieprzeniknionym tumanem. Wedęty jednak widziały doskonale, gdyż mgły się wznosiły tylko z miejsc niskich, z łąk bagien i moczarów. Po godzinie jednak tumany powisały w blask księżyca, który zpowrotem począł rzucać ostre cienie.

Chłopcy nieco drzemia, gdyż spokój na odcinku trwał aż do świtu. Rozmawiałem przez cały czas z Kocem, który ma trochę świeżych wiadomości od Sulkiewicza. Dwie mianowicie wersje pochodzą ponoć z dobrego źródła. Wedle jednej z nich w najbliższym czasie utworzone ma zostać prowizorium rządu, składające się z trzech członków: 1-go z ramienia Niemiec, drugiego — Austrii, trzeciego — Polski. Rząd ten ogłosić ma front polityki polskiej jako antyrosyjski i zorganizować 2 polskie korpusy. A że rząd ten powołać ma natychmiast i urządzić cały polski organizm państwowy, więc jest nadzieja, że ochotnik sygnie się gęsto, tłumnie. Prócz tego Austrija do tych dwu korpusów polskich daje dwa ostatnie, najmłodsze roczniki galicyjskie i wciela je do wojska polskiego. Będzie więc to przyznawanie Galicji onemu państwu.

20 sierpień. Okopy pod Sitowiczami. — Niema teraz numeru „Reformy”, by nie było w niej coraz to nowych wiadomości o sprawie polskiej, poruszanej już w całej Europie. Ostatnio pisze wiedeńska „N. Fr. Presse” o bliskim rozstrzygnięciu sprawy polskiej, akcentując, że Polska już nigdy do Rosji nie wróci.

Moskale szykują się ponoć na koniec sierpnia do decydującego uderzenia na Kowel. Gromadzą trzy korpusy wyłącznie na ten atak. Byle Austriacy nie puscili, nie obawiamy się zbytnio tego szturm. Rezerwy mamy głębokie, artylerja morowa, okopy trochę marne, lecz zaczniemy je naprawiać. Ataków gazowych również się nie obawiamy, gdyż przed kilkoma dniami wyfasowaliśmy wszyscy doskonałe pruskie maski ochronne.

21 sierpień. Okopy pod Sitowiczami. — Sprowadziłem z taboru „Prądyńskiego”, lecz mało mam czasu do czytania. Dzisiaj z Zygmuntem Chabowskim robiłem ziemiankę i jako tako ją urządziliśmy, choć i tak marzniemy srodze. A Zygmunt coraz gorzej się czuje, kurza ślepotą nie ustępuje mu zupełnie. Wczoraj na nocnej służbie kompanijnej musiał go Banaszczak zmienić, gdyż Zygmunt nic nie widząc wpakował się do wody i zmoczył się solidnie. Biedny chłopak! Czuje się upokorzony, że pożytku z niego niema, bo na posturkach nie może stać, a nie chce linii opuścić i wyjechać do szpitala.

23 sierpień. Okopy pod Sitowiczami. — Pluton ma dzisiaj służbę w kompanji, w tem — patrol. O 1-ej w nocy zawezwano mnie do

kompanji. Wziąłem Edka, Banaszczaka, Ciechońskiego. W kompanji dostałem piętnastu beliniaków z wachmistrzem Napiórkowskim¹⁾. Mam zbadać, czy w małej redutce są Moskale. Podsunałem się w dwu skokach na 100 kroków od placówki rosyjskiej, lecz że ułany zachowywały się dość hałaśliwie, oświecili nas Moskale rakietą, która wpadła wprost na nas... Uczucie złapanego na gorącym uczynku złodzieja. Nie trza było już więcej stwierdzać ich obecności — wobec czego w ciszy zawróciłem. A ułany chodzą na patrole jak krowy. Widać że koń za nich wszystko musi robić.

24 sierpień. Okopy pod Sitowiczami. — Pod Rudką — Czerwiszczu Moskale Hauerowi przerwali front, lecz wdarcie ich zostało przez niemieckie kontrataki natychmiast odparte i umiejscowione. Atak udał się podobno dzięki gazom. Na koniec sierpnia przygotowują się Moskale do decydującego uderzenia na Kowel i Lwów. Mam wrażenie, że będziemy mieli robotę, tem bardziej, że krążą wiadomości, jakoby należało się spodziewać ataków na 25—26-y sierpnia...

25 sierpień. Okopy pod Sitowiczami. — Wieczorem o 8-ej odmarsz na placówkę. Z powodu braku ludzi kaprale i sierżanci stoją na wedetach po półtorej godziny. Ja stanąłem odrazu na prawoskrzydłowej wedecie pojedynczej.

Zmrok już ogarniał ziemię. Przede mną czyste pole, zrzadka porośłe wysokimi badyłami traw i krzaczkami. Krzaczki coraz więcej zacieśniają swe kontury, wsiąkając w mrok nocy. Gdzieś daleko pierwsza rakietą poderwała się chyżo do góry i powoli świetlista, migotliwa opada... Za nią druga, trzecia — za chwilę na południe od Bawarów już migotały jedna za drugą.

Denerwują się ci Austriacy fatalnie. U Bawarów, u nas i dalej na północ — również u Bawarów — cisza zupełna. Ani tam strzał nie gruchnie w ciszy wieczora, ni rakietą nie wystrzeli. Posterunki nic nie widząc, ani też słysząc — nie meldują fałszywie, nie alarmują niepotrzebnie.

26 sierpień. Okopy pod Sitowiczami. — Wieczór gwarny ogromnie. Przelatywały trzy eskadry lotnicze, ogółem 28 aparatów. Za każdym razem okopy rosyjskie wściekały się wprost od ognia ręcznego i karabinów maszynowych. Z dołu bił w nie nieustanny, zajadły terkot, ostra szarpanina ognia ręcznego, a w powietrzu wnet je otoczyły wiązanki ognia i białych dymków. Szrapnele jęklive poczęły pękać i gwizdem spadających czopów napępiały powietrze. A wielkie, warczące owady sunęły zwolna, w szyku patrolowym, spokojnie, pewnie, w określonym celu, ani na chwilę nie zbaczając z raz obranego kierunku.

¹⁾ Poległ w wojnie polsko-rosyjskiej w r. 1920, jako porucznik i poseł na Sejm.

27 sierpień. *Okopy pod Sitowiczami.* — Flojar dzisiaj wrócił z urlopu, który miał po zranieniu w Kostjuchnowce. A więc są wiadomości de publicis. Warszawa — według Flojara — poruszona ostatnimi naszymi sukcesami nadzwyczajnie, dumna jest z nich i szykuje się do mobilizacji. Oczekują tam z dnia na dzień ogłoszenia jakowegoś doniosłego aktu, rozwiązującego naszą sprawę.

Rozruszał nas nieco Flojar. Zmęczenie i apatia tak nas już ogarnęły, że ani pisać się nie chce, ani czytać, ani myśleć, to też gdy Flojar przyjechał, na pewną chwilę przeniósł myśl naszą gdzie indziej, rozruszał nowinami, nawiązał kontakt z tem co się w kraju dzieje... Objął też zaraz III pluton.

28 sierpień. *Okopy pod Sitowiczami.* — Ogólne zadowolenie i poruszenie wywołało dzisiaj oficjalne zawiadomienie o wojnie rumuńsko-austriackiej. Nareszcie gadzinowata Austria przyciśnięta do muru będzie musiała naszą sprawę załatwić.

Nikt się absolutnie tem nie martwi i każdy jest najlepszego ducha, tylko że przypuszczenia o rozpadnięciu się Austrii stają się coraz możliwsze a Rosja się jeszcze trzyma. Taka kolejność byłaby gorsza...

Dowiedzieliśmy się tylko jednej, nieprzyjemnej nowiny, że daje się odczuwać brak amunicji. Kończą się nieprzebrane dotąd zapasy, pułk ma zaledwie po 350 naboju na karabin. Wszystko już przemawia za tem, że wojna chyli się ku końcowi.

Wieczór zapadł chmurny, ciemny. Na linii bezwzględna cisza, najmniejszy głos jej nie przerywa. Nie słychać ani oddalonego dudnienia dział, ani gruchotu ognia ręcznego — cisza zupełna. Wiatr tylko głębokie poszumy zrywa z lasu. Zebrani w okopie zaczynamy śpiewać, z myślą, że naprzeciwko Polak jaki z „turkiestańców”, na wiecie stojący, usłyszy nas. Wzbudzi może pieśń tęsknotę w nim gwałtowną za krajem, za swoimi i może przyjdzie, może się uratuje jedno istnienie ludzkie, jedno nieszczęsne życie polskie.

29 sierpień. *Okopy pod Sitowiczami.* — Mam w ręku list rady pułkowników do N. K. N. List mocny, wyjaśniający wreszcie wszystkie ciemne nasze sprawy. Naturalnie na bieg wypadków w naszym legjonowem życiu wpłynie on bardzo mało, lecz rozejdzie się szeroko w kraju i otworzy ludziom oczy, czem jest w istocie N. K. N., jaką dla nas wartość posiada, a czem mógłby być i powinien.

Sytuacja⁸ zaś polityczna jest tego rodzaju, że Austria chce koniecznie Królestwo dla siebie, motywując to tem, że Polacy aspiracji niepodległościowych nie mają, że politykę swą opierają na gruncie austriackim (N. K. N., Liga Państw. Polskiej). Niemcy zaś twierdzą, że przeciwnie, prądy austriackie są w Królestwie bardzo słabe. Otóż list

ten ma głównie na celu otworzenie oczu Królestwu na istotę N. K. N. i jego polityki wskutek czego, gdy zajdą pewne zmiany w przekonaniach politycznych, to wówczas Austriacy i Niemcy upewnią się, że my tylko i wyłącznie za istotną walczymy niepodległość.

30 sierpień. *Okopy pod Sitowiczami.*—Po południu, gdyśmy za okopami przy stole siedzieli, przeszedł obok nas Śmigły i Kaden z czterema oficerami pruskimi. Odprowadzili ich do drogi, poczem Śmigły wrócił. Przechodząc obok nas rzucił: — No chłopcy cieszcie się — jutro zmieniają nas Prusacy. Zasypaliśmy go pytaniami. A więc zmieniają całą Brygadę, lecz dokąd idziemy — nie wie. Gdy uśmiechnięty [pułkownik odszedł, do] Sulkiwicza, który nadszedł właśnie, skoczyliśmy wnet z krzykiem i hałasem, by potwierdził tę wiadomość. Sulkiwicz rozłożył ramiona — nic nie wiem, jak Boga kocham — bronił się Michał...

Nie daliśmy się jednak przekonać, gdyż Śmigły absolutnie nie żartował. Sulkiwicz natomiast dał nam sporo innych wiadomości, mianowicie, że Puchalski wrócił, że rozkaz o utworzeniu korpusu pomocniczego już poszedł do Franz-Józefa do podpisania i że na hinterland wyciągną nas napewno. Poza tem, że na naszym odcinku spodziewają się ogromnego ataku, dlatego też sam Bernhardi oglądał przedpola, okopy, i t. d.

Dzisiaj do pułku przyszła jeszcze jedna świetna satyra na powrót Puchalskiego. Ruch teraz jak nigdy, trzęsie się cała Brygada od naprężenia.

A wiara po przeczytaniu memorjału pułkowników, w którym pułkownicy żądali stanowczo naszego wycofania, motywując przemęczeniem żołnierza — nic, tylko się nań powołuje. Dać rozkaz przy robocie — nie mogę — powiada jedna małpa za drugą — szczątki ze mnie by zostały, ostatecznie jestem przemęczony...

31 sierpień. *Okopy pod Sitowiczami.*—W komendzie pułku ruch. Za chwilę zmieniają Prusacy 1 pułk, lecz o naszej zmianie nic jeszcze nie wiadomo. Spodziewają się jednak, że dzisiaj to nastąpi. Wszyscy mówią o wyjeździe na „hinterland“, snują śmiałe plany, najjaśniejsze marzenia...

Możliwe, że ta zmiana jest w związku z tworzeniem korpusu, choć Sulkiwicz mówi, że to są czysto wojskowe zmiany, aby przygotować odparcie rosyjskich ataków. Lecz nikt wierzyć w to nie chce — wszyscy mówią o „hinterlandzie“.

Pod wieczór zawezwano mnie do kompanji. Wystawiam z plutonem placówkę, gdyż 2 i 3 kompanje zmienił 1 dywizjon k. Styk tedy specjalnie nasz pluton posyła, gdyż jak odprawa dzisiejsza

głosi, na odcinku naszym gromadzą się siły rosyjskie. W korpusie, który mamy naprzeciw — stwierdzono obecność polskiej brygady.

O 8-ej maszeruję na placówkę. Duszno tak, że pot nam zalewa oczy. Lecz po godzinie zaczęły występować już pierwsze symptomy zbliżającej się burzy. Wiatr podniósł się ciężki i szeleścić począł w krzaczach nad Stawokiem, na południu gromadzą się ciemne zwały chmur, powietrze staje się nie do zniesienia. Wkrótce rozpętała się burza szalona i deszcz, który nas zlał do nitki.

OSTATNIE DNI I BRYGADY

1 wrzesień. Okopy pod Sitowiczami. — Spałem do 4-ej, po południu. Dzień ponury, chmurny. Jeszcze się nie mogę otrząsnąć z przynębiającego wrażenia, jakie sprawiły na mnie wieści przyniesione w nocy na placówkę, przez Flojara.

Komendant podał się do dymisji. Jest to ostatni atut jakim bije w Austriaków. Jeszcze nie wiadomo, czy Austriacy dymisję przyjęli, czy nie.

Sądziłem, że w ostatniej chwili się cofną, lecz gorzej widocznie poszło, bo nas rozdzielają, 1 pułk już pono wycofali, a nasz 5 mają przyłączyć do III-ej Brygady.

2 wrzesień. — Szarpią nami na zmianę, to wieści złe, to dobre. Teraz znów nastał dla nas okres ciężki i zły, tak samo ciężki, jak rok temu nad tym samym Stochodem, gdy rozdzielano Brygadę. Poszedł wówczas 1 pułk i bataljony V i VI z Powurska na Polesie północne pod Kamieniuchę, Wielkie Miedwieżje, Kukle, Czartoryjsk i tam wilgotną ziemię Polesia krwią zraszał. Wówczas to my piątacy razem z czwartakami czekaliśmy pod Koszyszczami markotni, niepokojni o losy tamtych pułków, co nam się częstą rodziną w Brygadzie stały. Przeminęło zło. Przyszły pułki schorowane, zbite, zdziśiatkowane, kompanje po 30 bagnatów liczące — lecz Komendant dopiął swego. Brygadę [złączył, na odpoczynek wyprawił, ożywił, duchem swym przemocnym ogrzał.

Poczęły się wówczas dalsze dni naszego życia legionowego z ciągłą myślą, że chwila wreszcie przyjdzie...

I zdało nam się, że teraz chwila ta nadeszła. Moment jeszcze a rozbłyśniemy, mocą ducha, krwi potęgą zajaśniejemy...

Przeliczyliśmy się jednak. Chwila nie nadeszła, a krwawy trud żłobi głębokie bruzdy, szczerbi nasze szeregi. Mimo to mocniejsi jesteśmy niż rok temu, więcej spojeni, bardziej jednakim duchem złączeni.

I znów teraz, jak wtedy przed rokiem, przyszedł chwile ciężkie, złe, „przyszła kreska na 5 pułk” jak mówimy. I nie tylko nasz pułk jest zdziśiatkowany liczbowo, skapcianały, w takim stanie wszystkie prawie pułki się znajdują.

Więc tem bardziej nas boli, tem bardziej mściwa myśl knuje zemstę, gdy teraz w takiej chwili ta gadzinowa Austrija jeszcze nami rzuca, jeszcze gra w ciuciubabkę, mamy, grozi...

Dochodzi godzina 5 rano. Przy lampie, prawdziwej lampie z kloszem, piszę... Obok mnie dyżurny telefonista smaruje listy, a ziemiankę napełniają głębokie oddechy śpiących. Mam dyżur w kompanji, bowiem gdy pluton obejmuje służbę — komendant plutonu ma służbę oficera dyżurnego. Siedzieć więc trzeba kamieniem w kompanji.

Przed pół godziną wróciłem z patrolu. Wziąłem 7 ludzi i poszedłem zbadać czy okopy wybudowane przez Moskale zeszłej nocy, a przechodzące przez drogę do Sitowicz są obsadzone. Wyszedłem z placówki Nr. 1. Na szpicy Szczerbiec i ja, wtyle Bolek z drugą sekcją. Posuwaliśmy się około 300 kroków wzdłuż drogi na prawo, mając z boków pas czarnych zarośli a na lewo reduty. Szliśmy równolegle do redut polaną, która się wbija klinem między pas krzaków a reduty. Posuwaliśmy się dość wolno, często nasłuchując. Nawprost Moskale nie strzelali, to też nie mogłem skombinować jak są daleko. W pewnej chwili rakiety, puszczane z redutki, którą już mieliśmy wtyle — oświeciły okop, przecinający drogę. Odległość 150 kroków. Idę jednakże dalej. Gdy doszedłem do punktu, w którym się pole kończyło a zaczynała się obszerna, wysoka, szumiąca trawa — zatrzymałem ludzi, a sam ze Szczerbcem posuwamy się naprzód. Naraz nas wstrzymał silny kaszel, idący wprost od drogi, z małej odległości. Nasłuchujemy. Mimo, że wiatr wieje w stronę moskiewską, słysząc co chwila wyraźny kaszel dwu ludzi. Odległość może być 50 — 70 kroków. A więc są w okopie. Za chwilę Bolek melduje, że Łapiński i Drożdż spostrzegli światło papierosa w krzakach wtyle. A więc jesteśmy już z tyłu za moskiewskimi ubezpieczeniami. Stwierdziłem co należało i cofam się. Zadanie spełnione, Moskale okop ten obsadzają. Dopiero przy placówce, gdyśmy z hałasem poczęli przechodzić druty, usłyszeli nas mochy i poczęli gęsto strzelać.

Wogóle, mimo nieprzyjaznego wiatru — podsuwania się naszego Moskale absolutnie nie słyszeli. Chłopcy szli bajecznie cicho.

Jutro, a właściwie dzisiaj ma nastąpić reorganizacja kompanji na dwa plutony. Pluton III zostaje rozwiązany, gdyż ma tylko 12 ludzi.

Mój pluton ma 19 i niedługo będzie największym w bataljonie, gdyż ludzie ogromnie marudują. Kompanja 1 liczy 34 karabiny. Coś nie-słychanego.

3 wrzesień. *Okopy pod Sitowiczami.* — Dziadek został wezwany do AOK. Sądzą wszyscy, że dymisja zostanie tam udzielona. Już mamy dyspozycje jak należy ten fakt ogłaszać, by nie powodować upadku ducha. Odjeżdżając Komendant mówił, że Brygadą tak czy owak zawsze będzie kierował. Ostatecznie teraz Komendanta przy sobie trzymać nie możemy, należy on już do Narodu nietylko do I Brygady.

Bądź co bądź upadek ducha jest duży. Wywołało go to męczące wyczekiwanie, ten dwuletni nasz trud, który oprócz ofiar, krwi przelanej — pozytywnych wyników nie dał. A już największy czas, czas największy by położono koniec Legionom, by wreszcie je rozszerzono, gdyż takie życie jak obecne — stało się już niemożliwe.

Flojar wątpi o wygranej mocarstw centralnych. Sądzi, że przeliczyły się one w zupełności mówiąc, że „das Krieg ist vorbei”. Aż do wiosny tego roku przez całą wojskowość państw centralnych wygłaszane to przekonanie zgubiło je, wojna się nie skończyła, nieprędko się skończy, bo coraz to nowe elementy sił biorą w niej udział.

Ciężki kamień troski o najbliższą przyszłość przywala myśl. Niepokój co będzie z nami, jaki koniec wojna przybierze. Tem bardziej że Moskale zdradzają coraz więcej siły. Nowe ataki idą na Włodzimierz Wołyński i na Lwów. A z chwilą gdy na Bug się cofniemy — źle z nami będzie, zupełnie źle.

4 wrzesień. *Okopy pod Sitowiczami.* — O 8-mej odchodzę na placówkę. Kilkaście minut zaledwie minęło po wystawieniu wedet, gdy przybiegł Zygmunt Rosiński z meldunkiem z lewoskrzydłowej wedety, iż wyraźnie słychać z ganku podsuwających się Moskali. Biorę wobec tego Szczerbca-Jaworskiego, dwa karabinowe granaty i idę do lewej wedety. Tam Stasiek melduje, że słyszał wyraźnie szept rozmowy i szmery w ganku. Noc zupełnie cicha, najmniejszy nawet wiatr nie gaworzy po krzakach, więc wierzę mu zupełnie. Pod wysokim kątem puszczam zaraz do ganku granat karabinowy. Zaledwie wyrznął, gdy Szczerbiec skoczył w stronę kozła. Tam, w ganku... powiada, widziałem jak wskoczył Moskal...

Dajemy we czwórkę trzy salwy karabinowe w tym kierunku, potem jeszcze jeden granat karabinowy. Nadśluchujemy. Cisza zupełna. Wracam więc, nakazując wedetom natychmiast meldować o każdym ruchu moskiewskim. Jakoż za chwilę, gdy zmianę wystawił Wladek, zaczęły meldować każda wedeta z osobna, co słyszały. Wynika z tego, że Moskale dalej stawiają kozły przed redutami

i że wystawili ubezpieczenia, które się włączą prawie pod naszym nosem. Telefonuję o tem do kompanji i otrzymuję rozkaz przeszkadzania. Biorę więc Banaszcza, trzy ręczne granaty i podsuwamy się wzdłuż ganku, w którym ciągle słychać szmery.

Tam ciskamy granaty, które bajecznie pękają.

Lecz Moskali to zbyt nie peszy. Ucichają na chwilę — potem znowu zaczynają swą pracę. Koło 12-ej, gdy już było słychać nawet ich rozmowy, ściągnąłem wedety i dałem z placówki 10 morowych salw w kierunku robót. Tak cała noc przeszła. Artylerja tłukła granatami, patrole wychodziły co chwila ciskać granaty, placówka bije bez przerwy. Na moją placówkę po daniu salw — puścili mochy 4 pociski z miotacza min. Ognistą smugą cicho nadchodzą i pękają z potwornym hukiem, nie wyrządzając jednak najmniejszej szkody. Porównać nawet nie można do tego moralnego działania, jakie wywierają ciężkie granaty.

5 września. *Okopy pod Sitowiczami.* — W południe był Haller w okopach. Omawiał kwestję ich wzmacniania.

Obecnie pułk nasz jest pod jego komendą.

Nareszcie mamy pierwszą wiadomość od jeńców z naszego plutonu. Rodzice Wójtowicza, który na Polskiej Górze przy przebijaniu został — piszą do Bolka Papierskiego, że Wojtuś leży ranny w Kijowie. Pisał stamtąd, ranny jest w nogę. Chwała Bogu! Żeby jeszcze nadeszła jaka wiadomość o Adku i Kucharskim...

8 września. *Las pod Sitowiczami.* — Przeszliśmy dzisiaj do rezerwy. Do południa pisałem listy, które ma zawieźć Lodek Janowski, który jedzie na urlop. Poza tem marzęm, gdyż dzień chłodny, chmurny. Po południu, o 3-ej, maszeruję z plutonem do okopów, na nasz dawny odcinek, na roboty. Robota podzielona jest w ten sposób, że drugi pluton przygotowuje materiał, a ja z plutonem szaluję okopy. Bardzo szybko zrobiliśmy co do nas należało. Robimy na akord. Okopy są tu układane z darniny, szalujemy przednią ich część. Wieczorem przyszedł z wiadomościami Sulkiewicz. 14-go przyjeżdża podpułkownik, który się w Krakowie widział z Komendantem. Komendant dzisiaj jest w AOK, a więc Berbecki przywiezie już konkretne wiadomości co Komendant w AOK uzyskał. Spodziewamy się, że uzyska korpus, lecz również należy się spodziewać że „awstrijcy” dadzą korpus, ale za cenę ustąpienia Komendanta. Żeby nic nie dali — to jest mało prawdopodobne, gdyż wówczas [Komendant zgłosiłby zwolnienie [od przysięgi, a na rozwiązanie Legjonów nie mogłaby się Austrija zdecydować. Za wielkim atutem politycznym jesteśmy w jej ręku.

Poza tem Prusacy chcą zalegalizować P. O. W., lecz się Komendant na to nie godzi. Prusacy ~~bardziej~~ się będą obawali ~~nie-~~wiadomego.

9 wrzesień. *Las pod Sitowiczami.* — Styk zwołał dzisiaj wszystkich podoficerów kompanji na omówienie spraw politycznych w związku z dymisją Komendanta. Wyjaśnił stosunek Komendanta jako jedyne go rzecznika sprawy niepodległości Polski, stosunek Jego do c. k. Komendy, do N. K. N. i do Departamentu Wojskowego. W długiej pogawędce mówiliśmy o Komendancie z tem ukochaniem, z jakim może najmłodsza, żołnierska dusza polska mówić o Tym, który jej wskazuje drogę, jaką powinna ona iść. I każdy w duszy przysięgał, że temu człowiekowi, sprawie, którą on prowadzi, będzie służyć do ostatniej kropli krwi.

Aby pokazać Komendantowi, że czy to w powodzeniu czy w czas klęski jesteśmy zawsze z Nim nierozdzielni — zbieramy fundusz na P. O. W. (mianowicie na wydział prasowy) i fundusz ten składamy na Jego ręce.

10 wrzesień. *Las pod Sitowiczami.* — Słoneczny dzień... Po surowym, zasnutym mgłami poranku, nastał dzień pogodny, rozkosznie ciepły. Słońce ostatnimi blaskami letnimi grzeje i rozświeca świat. Na polanie, przetrniętej „rygłem” białych okopów, pod ciężkimi gałęziami ogromnych świerków — ołtarzyk polowy. Kapelan pułkowy odprawia cichą mszę. Garstka nas — każdy na swój sposób się modli. Czuję się lekko, swobodnie i dziwnie dobrze. Ta niedzielna świąteczna cisza, ta polana zalana blaskiem słonecznym, stukanie dzięcioła na świerku przy ołtarzu i świergot wesoły ptactwa — napawa duszę dziwnym spokojem. Biała postać księdza Żytkiewicza, na ciemnem tle ołtarza i siwej grupy żołnierzy dziwnie spokojnie się odbija. Cisza świąteczna... W powietrzu płyną bezszelestnie pasma, smugi siwe babiego lata, zapowiedzi surowej zimy... Nie przerywa nic ciszy... Ni trzask karabinów, ni rozgłosny, wiercący szum pocisków.

Po południu roboty w okopach. Robota szła żwawo i szybko, wracamy z hałasem i ze śpiewem. Wieczór cały, że to piwo było wyfasowane, więc wiara humory podreperowała nienajgorzej.

11 wrzesień. *Las pod Sitowiczami.* — Wczoraj pod Smolarami atakowali Moskale gazami trującymi, jednak atak się nie udał. Możliwość tych ataków u nas wzrosła bardzo, więc poczyniono wszelkie zarządzenia, mające na celu na czas zaalarmować okopy. Alarm odbywa się przez bicie w tam-tam i dzwonienie (dzwonki już sprowadzono).

W ataku pod Smolarami ostrzeliwano bombami gazowymi głównie stanowisko rezerw, rowy łącznikowe i artylerję.

12 wrzesień. *Las pod Sitowiczami.* — O Komendancie przyszła wiadomość, że dymisji nie otrzymał i że w tej sprawie Wiedeń z Berlinem ma się porozumieć. A więc znów zwłoka, najgorsza rzecz i najgorsza broń jaką walczą z Komendantem „awstryjcy”.

13 wrzesień. *Las pod Sitowiczami.* — Wieczorem po odprawie, na której oprócz dyspozycji służbowych, nic ciekawego poza tem nie było, czytał Styk Flojarowi i mnie, przejęte tajne depesze rosyjskie, wyjaśniające szczegóły przeprowadzenia ataku z dokładnym szkicem polowego placu broni („place d'arme'u”) przed atakiem. Schemat ten został wykończony po doświadczeniach wojska francuskiego na zachodnim froncie i przez nie podany.

Późnym już wieczorem przyszła do pułku wiadomość, że Rybak-Fordey, cały i nieranny jest w niewoli. Pisał do domu. Jak zwykle wszyscy jeńcy — pisał tylko o sobie.



Ks. Żytkiewicz, kapelan
5 p. p. Leg.

14 wrzesień. *Las pod Sitowiczami.* — Krzątania koło zabezpieczenia przed atakiem gazowym trwa. Kapitan sąsiadujących z nami Badeńczyków miał dla oficerów i sierżantów ścisły wykład o istocie ataków gazowych i o zabezpieczeniu się od nich. Będą prawdopodobnie czynione próby. Każdy mianowicie żołnierz w swojej masce będzie siedział w granatniku, wypełnionym gazem, przez przeciąg 10 minut.

15 wrzesień. *Las pod Sitowiczami.* — Nastaly znów prawie mroźne noce i przeraźliwie chłodne poranki. W nocy marzniemy, a rankami kostniejemy z zimna. W dodatku jeszcze nie wszyscy mają płaszcze. Po południu poszedłem na spacer do okopów na odcinek 6 i 2 pułku.

Na odcinku 6 porządek wzorowy, o wiele lepszy niż na odcinku 2 pułku. Okopy budowane według ostatnich doświadczeń. A więc potężne, mocne przedpiersia z wnękami dla poszczególnych strzelców. Również szerokie, grube poprzecznice. Za poprzecznicami równolegle idzie drugi rów dla ruchu, a za nim znowu ściana.

16 wrzesień. *Las pod Sitowiczami.* — Dzisiaj już drugi artykuł wstępny Srokowskiego w „Reformie” — replikuje na uchwały wiecu w Filharmonji. W artykułach swych Srokowski dowodzi, że niepodległość jest to „szych świetny i złuda”, że tylko w oparciu się o potężne mocarstwo, przy utrzymaniu tych warunków bytu jakie posiadamy, możemy dojść w obecnej wojnie do pewnych rezultatów. Za podstawę swych dowodzeń bierze Grecję, która mimo pozornej niepodległości i suwerenności jest pacholkiem koalicji, która rządzi się w niej jak chce.

Zgrzytamy zębami, czytając te artykuły, a pluton wrze, klnąc na czem świat stoi.

Przy okopach już nie pracujemy, kompanja nasza będzie dostarczała teraz tylko drzewnego materiału.

17 wrzesień. *Las pod Sitowiczami.* — Dzisiejszy wieczór po otrzymaniu poczty znów przeszedł w wzburzeniu. Kilka stronnictw politycznych, nie wyjaśniając zupełnie przyczyny, nie odsłaniając oblicza zaprotestowało przeciw uchwale wiecu w Filharmonji. Skandal!...

Odwiedził nas dzisiaj Sulkiewicz! Długośmy gwarzyli przy ognisku. Michał ma twarz zmęczoną i wygląda na chorego...

18 wrzesień. *Las pod Sitowiczami.* — Paskudny dzisiaj dzień! Ohydny wprost!... Od samego rana tłukła nasza artylerja, chwilami ogniem huraganowym. Jakaś dywersja czy coś takiego.

W południe, jedząc obiad, usłyszeliśmy niezwykle hałas koło komendy pułku. Skoczył tam Szczerbiec i za chwilę wpada z drgającą, zmienioną twarzą i od progu ziemianki ryknął z rozpaczą: Socha — Sulkiewicz zabity!...

Wlepiłem w niego zdumione, znieruchomiałe oczy... Nie może być, nie może być powtarzam zdumiony, w oszołomieniu...

Ciężki, serdeczny żal opadł na pluton. Nie mogło nam się w głowie pomieścić żeby zacnego, kochanego Sulkiewicza nie było! Taki człowiek, taki przeznacny, kryształowy czysty charakter.

Pod wieczór dopiero dowiedzieliśmy się jak zginął. Po ostrzeliwaniu artyleryjskim patrol ułański wszedł do okopów rosyjskich i do redutek, stwierdzając że Moskali tam niema. Zaraz też poszedł pluton ułanów i 10-ciu ludzi z ppor. Robakiem z II bataljonu. Tymczasem gdy ostrzeliwanie ustało, Moskale zajęli zpowrotem okopy i zbliżając się śmiało tyraljerę przyjęli ogniem. Ranny ciężko

został Koc Adam ppor. II bataljonu, zabitych 2 ułanów, 3 rannych no i Michał, który stał nad okopami, przy obserwatorjum...

Jutro maszerujemy do szpitala Brygady na pogrzeb Sulkiewicza.

19 wrzesień. Las pod Sitowiczami. — O 7 rano pobudka. Przeraził nas zimno. Las spowity we mgły, z głębi lasu bije ostry chłód. O 8-ej po przećwiczeniu kilkakrotnem salwy honorowej — maszerujemy. Pluton prowadzi sam Styk. O 9-ej byliśmy już w zakładzie sanitarnym Brygady. Zjechał sztab naszej Brygady, z drugiej Haller, moc poza tem oficerów. Gdy orkiestra 1 pułku zaczęła grać szopenowskiego marsza, żal taki okrutny ścisnął nam serca, że sprężone na baczność nogi drzeć, ugiąć się poczęły...



Cmentarz poległych pod Sitowiczami. Na pierwszym planie grób Aleksandra Sulkiewicza.

Stał jednak pluton jak mur, surowy, spokojny, skamieniały. Gdy orkiestra grać przestała, trębacz zatrąbił pobudkę — gruchnęła salwa, ostatnia, pożegnalna salwa dla Michała...

20 wrzesień. Las pod Sitowiczami. — Piszę dziś o Sulkiewiczu. Chcę zebrać w pamięci wszystkie o Michale szczegóły, oświetlić tę niezapomnianą postać, tak jak ona się młodym naszym oczom przedstawiała.

Któregoś jasnego, złotego popołudnia majowego, gdyśmy w rezerwie stali w „Lasku Polskim”, do kompanji naszej przydzielony został dotychczasowy sierżant prowiantowy Aleksander Sulkiewicz. Zameldowanego już w komendzie pułku, przydzielił Berbecki do I bataljonu, a kapitan Sław odesłał go z rozkazem zameldowania się u Styka.

Tak tedy kolejnym porządkiem rozkazów przydzielony — stanął przede mną mały, tęgi, brunatny prawie człowieczek i salutując, melduje o swoim przydziale do plutonu.

Ano dobrze!... podałem mu rękę, poprosiłem o kartę wojskową i stwierdziwszy nazwisko, szarżę, i inne właściwości żołnierskie, przeznaczyłem go do sekcji Polonusa. W plutonie przyjęliśmy Sul-kiewicza od razu z życzliwością serdeczną, gdyż już słyszeliśmy o nim jako o osobistym przyjacielu Komendanta i wogóle jako o człowieku wielkich zasług politycznych i brygadowych. W przewidywaniu więc, że będziemy mieli przez niego wprost z Brygady, od Komendanta wiadomości — których tak czujnie zawsze nasłuchiwaliliśmy — przyjął go pluton przyjaźnie wielce, z punktu „sitwesem” Dziadka nazwawszy...

Sulkiewicz wszedł od razu w zażyłe stosunki z plutonem. Znaleźli się wnet „sitwesi” troskliwi, kapral Polonus Kaziek dumny był z posiadania w sekcji swej „Michała”, którego w ziemiance i majorowie odwiedzali, a pluton rósł w wiadomości, cieszył się coraz bardziej z Dziadkowego „sitwesa” rozszerzał dzięki częstym z nim gawędkom swe horyzonty narodowe i polityczne.

Na robotach, przy granatnikach, gdy nieraz w skwarze słonecznym, pod jasnym roztopionem zda się od żaru niebem, godzinami przychodziło śmigać łopatami piach ku górze, nie pozwalali Michałowi chłopcy pracować, wyręczając jak kto mógł... Protestował wówczas, z zakłopotaniem odpowiadał, że przecież nie może być pasożytem plutonu, że „pańszczyznę” swoją żołnierską musi odrobić i imał się pracowicie łopaty, aż do zdrętwienia krzyża wyrzucając ziemię z dołów ogromnych...

Lecz chłopcy podstępem go brali, chwytając na chwilę odłożoną łopatę i nie oddawali mu, broniąc się śmiechem, gdy protestował. Mir i szacunek między plutonem rósł z każdym dniem dla Michała, gdy on wieczorami siadłszy w kole młodej wiary przed ziemianką opowiadać poczynął o ludziach, wypadkach, chwilach wielkich.

A były wówczas wieczory dziwnie piękne. „Lasek Polski” stawał cały w srebrnym, zimnym blasku księżyca... Wielkie konary sosen rzuciły ciemne plamy na jasną biel księżycowego światła, kładły się cieniami wielkimi na spływającą z lasu łakę, a z dali, z rozlewisk wielkich i bagien Styru dochodziły rozgwały żab, ptactwa błotnego żalosne kwilenia i brzęki melodyjne tysiąca owadów...

Zasłuchiwali się chłopcy losami tego człowieka, chcieli chwytali przebogata, bujną, płodną ich treść...

— Jak łódką motorową przez Bałtyk burzliwy gnał ku dalekiej ojczyźnie, jak z Komendantem na prostym, chłopskim wozie, w przebraniu bylejakim przez granicę pruską się przedostawał, jak trans-

porty przewoził przez Aleksandrów pograniczny w radosnej ochocie czynu dla Polski...

Nie chciało chłopcom przez myśl przejść, że ten pocziwy, o przeznaczenie jasnych oczach człowieczek przez tyle lat mógł bezkarnie wywodzić w pole żandarmerję aleksandrowską, nie chciało im się wierzyć, że w oczach tych, które zdawały się zwierciadłem prostoty i dobroduszości, mogły pojawiać się harde błyski zaciętości i tatarski isście spryt.

I przechodziły tak te gawędy wieczorami ciepłymi, podziw i uwielbienie budząc w młodych duszach dla tego człowieka i dumę, że takich ludzi posiada Brygada, między swą zakamieniałą w wierności sprawie, uporną liczbą tysięcy...

Z początkiem czerwca, po „gramofonowych” wypadach Wyrwy, po kontrataku na Garbach — ruszył bataljon na pozycję, długim ciągnąć się sznurem przez mostek rzucony na bagna...

W okopach tych przesiedzieć mieliśmy do końca, do kostjuchnowskiej batalji... W czasie tym chadzaliśmy często gęsto na patrole pod młyn na Garbachu, fortyfikowaliśmy lipę na placówce i wysuwaliśmy czujne podслухy daleko za szturmowe rosyjskie okopki...

W patrolach tych, choćby co noc prowadzonych, brał zawsze udział Sulkiewicz... Napierał się być na każdym i szedł z karabinem w garści, wśród zroszonych zbóż i białych kominów Kostjuchnowki, radosny — jak nam opowiadał — że był na najdalej na wschód wysuniętej granicy zbrojnej Polski.

Wysechł przez ten miesiąc, zczerniał jeszcze bardziej i do plutonu młodego coraz gorącej się przywiązywał.

Tu mi jest dobrze między wami — mawiał z uśmiechem żreńca pocziwym — i tu już będę chciał zostać do końca...

A gdy go pytano nieraz, czemu wygodną prowianturę opuszczał, gdy służby tamtejszej z racji jego wieku niktby mu za złe nie mógł wziąć — odpowiadał żartobliwie, patrząc czy aby gdzie prowiantowca nie widać, że nazwisko czyste chce dzieciom zostawić...

Nadszedł 4 lipiec; pamiętam Sulkiewicza, jak stał samotny w długim okopie, między dwoma trawersami, bo dwóch już obrońców, Maniusia Pacholskiego i Wójtowicza, zabrakło i jak niezmordowanie strzelał, nie przenosząc się za inny trawers, więcej ludny, choć dziwnie obco i źle musiał się czuć sam, oko w oko z Moskalami, walącymi w druty, tuż, tuż... o 20 kroków.

W ogniu huraganowym, w południowej godzinie, gdy nasz odcinek wzbijał się słupami rozdieranej ziemi ku górze, stał obok nas, Adka i mnie — i wysunawszy głowę nad okop obserwował uważnie, bez

przerwy, choć jęczały naokół ostre żelaziwa i tumany kurzu i ognia raz wraz przesłaniały widok...

Aż go ofuknąć musiałem, żeby chwilami tylko wypatrywał, bo głowę mu urwie niepotrzebnie, a Moskali przecież jeszcze niema.

Pod wieczór nastąpił odwrót, nasz kontratak i bezlitosne mordowanie chłopów, zastępujących drogę do mostku... Przebiliśmy się do Lasku Polskiego i w okopach dopiero co zajętych pierwszą osobą, na którą mój wzrok padł był Sulkiewicz.

Usiadł w okopie zmordowany docna, oddychając ciężko, zda się żadną siłą nie dający się z tej pozycji ruszyć, zmęczony okrutnie.

Lecz gdy za moment od ściany lasu runęło, ostatnie rozpaczliwe „hura” przy wyrzucaniu Moskali z lasu i gdy ogień wnet błyskami luf się rozniósł — porwał się Sulkiewicz i bić począł ostatnimi nabojami.

W nocy odesłał go Styk do taboru — przedstawił mu, że jutro czekają nas srozsze walki, odwrót może na kilkadziesiąt km, którego on absolutnie nie przeniesie...

Ustuchał... Karność jednak uparta w nim trwała, bo w chwili gdy pluton nie mógł się doliczyć, zjawia się Michał i z zakłopotaniem ogromnem melduje, że ma rozkaz odejść...

Uściskałem go serdecznie!... Idźcież, idźcież — powiadam — bo tu faktycznie ciężko będzie — a patrzcie co się z chłopcami silniejszymi i młodszymi od was porobiło — i ukazałem na okop...

Sulkiewicz popatrzył... Leżeli chłopcy oparci głowami o sypką ścianę okopu, bezwładem pozwalani ostatnim i wyczerpaniem bez granic... W zimnem, białem księżycowym świetle zdali się już maskami, z których dusze poulatały na wieki...

Zmęczenie okrutne i trud nad siły poniesiony przebijał z twarzy, z opuszczonych powiek żołnierzy, których jeszcze czekały dwa dni pracy bolesnej i krwawej...

Ustuchał Michał i z okrutnie ciężkiem sercem opuścił Lasek Polski.

Po tygodniu rozłożyliśmy się już nad Stochodem. Sulkiewicza nie puszczono z pułku, zatrzymano go przy komendzie jako podoficera broni.

Rozdzielony z plutonem, przychodził mimo to doń codziennie i przynosił ciągle wiadomości a i ja zachodziłem często do Michała, gdyśmy już tu nad Stawokiem stanęli. On przyjmował mię zawsze serdecznie, pogwarkom końca nie było i zawsze powstawał u niego głos żalu za plutonem, który kazali mu opuścić.

Pamiętam, gdy Pachońskiego porwał granat, bladeść i dziecinne prawie przerażenie Sulkiewicza, że on Każkowi winien był kilkanaście centów za dług z kantyny i oddać mu już teraz nie może... I obracał

w palcach halerze, z zakłopotaniem wielkiem, że on przecież był winien i nie oddał...

Przywiązały się też do niego serca chłopców jak do matki. Najmilsze uśmiechy z uśmiechów żołnierskich miano dla niego, gdy się zbliżył do ogniska, najlepsze miejsce wybierano i płaszczem okrywano, gdy jesienne tchnienia szły chłodem wilgotnym z nad rzeki sturamiennnej.

Wczoraj jeszcze do grzejącej się przy ognisku gromadki podszedł Sulkiewicz. Był cichy, jesienny wieczór... przygasły już zorze na niebie, górą po sosnach szły szumy głębokie i na potężne pnie rzucało krwawy blask wielkie ognisko.

Michał zbliżył się do ogniska. Twarz miał dziwnie zmęczoną, smutną i jakby chorą. Powitaliśmy go radośnie, jak gościa starego, a miłego wszystkim w domu — a on zaczął do chłopców, jak to, tu przy ognisku między jego chłopakami jest mu najlepiej, jak czuje on te dusze młode i jak pokochał je głęboko...

Słuchaliśmy z dziwnem wzruszeniem tego niskiego, tak łagodnego w tym bezmiarze lasów jak szum tych sosen, głosu Michała. Takim głosem przemawia człowiek, któremu chwila ciężarem nieznośnym na duszę opadła, który chciałby się otrząsnąć z bezmiernego ciężaru i odnaleźć się wśród młodych, a wiernych serc, jak serca dzieci miłych...

Przysiadł się Michał do ogniska i snuć się poczęła gawęda żołnierska o Komendancie, ludziach, rzeczach i wypadkach w tej Polsce naszej, do której dróg szukamy po bezdrożnych lasach wołyńskich, wśród ognia i krwi.

Aż wczoraj ta straszna nowina. Niema już Sulkiewicza, niema Michała...

21 wrzesień. Las pod Sitowiczami. — Wieczorem u mnie w „gabiniecie” wesoło i gwarno. Jest Koc, Chabeusz, którzy po południu przyjechali z urlopu, Flojar. I pluton prawie cały. Polityka, aż nie może się zmieścić w ciasnej ziemiance. Przed nami numer „Reformy” a w niej grubemi literami wydrukowany telegram o zmianie Legjonów na „Polski Korpus Posiłkowy”.

A więc wreszcie są koncesje. Czy Austriacy tworząc korpus zwrócić się przeciw Komendantowi i wysuwając na czoło kreatury, postarają się zgnieść Brygadę, czy też po utworzeniu korpusu pójść również po drodze ustępstw politycznych i w ten sposób wreszcie dojdą do jakiejś zasadniczej zmiany położenia? Nad tem się zastanawiamy. Nic dotąd jednak niewiadomo, niewiadomo co Komendant dotąd powiedział.

22 wrzesień. Las pod Sitowiczami. — Styk jest nieco niezdrów, zastępuje go Koc, więc ja nadal się garuję. Wprowadził się do „ga-

binetu" mego Sierosławski z kancelarją, który zastępuje teraz Lodka i przemieniliśmy nieco urządzenie ziemianki.

Wieczorem w „Reformie” i „Naprzodzie” czytamy oświecenie sprawy utworzenia korpusu. „Reforma” pisze, iż jest to dziełem N. K. N. i Departamentu Wojskowego, jednak cofa się nieco ze swojej polityki austriackiej i pisze już o niepodległości. A wogóle od ostatnich swych słynnych artykułów Srokowski milczy zupełnie. „Naprzód” zaś oświecła tę sprawę jako jedyną i wyłączną zasługę Piłsudskiego i rady pułkowników.

Bajecznie się sprawdziła piosenka Wieniawy: „Bando, bando — czego ty jeszcze chcesz”. Prorocza wprost piosenka! I pan „gie-



W ziemiance.

nerał będzie w maciejówkę łeb ubierał i sztandary dostaniemy i „więcej nie możemy, nie...”

Naturalnie w c. k. Komendzie i w II Brygadzie radość z powodu korpusu ogromna. A u nas... Kpi sobie wiara już na potęgę i z tych sztandarów i maciejówek i z widoków awansu. Psiekrwie Austriacy myślą, że nas wezmą na lep błyskotek narodowych — głupia hołota.

25 września. *Las pod Sitowiczami.* — Przeznaczył mnie Styk do wypowiedzenia oracji w imieniu I bataljonu przed Berbeckim, który dziś, jutro ma przyjechać.

26 września. *Las pod Sitowiczami.* — Nareszcie przyjechał podpułkownik. Przez dzień cały układałem moją orację, którą mam powiedzieć Berbeckiemu. O 2-ej już zatelefonowano, że pułkownik jest w Piasecznie. Zatrzymał się w Brygadzie na obiad i o 5-ej zajął. Przywitały goinnie kompanje 1 i 4 przed komendą pułku. Ustawił

się szpaler, półbataljon sprezentował broń a ja z delegatami od poszczególnych kompanij wyszedłem naprzeciw z trzaskiem i hukiem zajeżdżającej bryczki i tłumu konnych oficerów. Schodzącego z bryczki rozradowanego, rozjaśnionego podpułkownika przywitał major Burhardt-Bukacki, który na czas nieobecności Berbeckiego miał nasz pułk — poczem nasza czwórka delegatów zasalutowała i ja dość pewnie zacząłem swoje przywitanie. Berbecki stał przede mną w rozwianym płaszczu, jasnymi, radosnymi oczyma się wpatrując. Skończyłem — Berbecki wycelowawszy się z nami, odpowiedział, że mu wielką radość sprawia nasze przywitanie, lecz życzyłby sobie, byśmy na drugi raz po takich stratach witać się nie potrzebowali.

Przed prezentującym broń półbataljonem przywitał go Narbutt „Wita Cię podpułkowniku pierwszy bataljon uszczuplony w liczbie, lecz zawsze ten sam, pełen przywiązania do swego pułkownika”.

Berbecki był wzruszony do głębi. Do skamieniałego na baczność półbataljonu się zwrócił i przywitał go „nie nowinę, że Polskę wiezie, bo Austriacy obiecują nam na 15-go, lecz wiemy, że po tym 15-ym inny znów nadejdzie — lecz my choćbyśmy do 2000-go roku czekać mieli, musimy Polskę mieć. Nową sławę znów zyskamy, kończyć, lecz prosimy Boga by jej nie uzyskać za cenę takich ofiar, jakie ponieśliśmy”...

Głębokie wzruszenie ogarnęło żołnierzy. Z prawdziwym przywiązaniem patrzyli mu w oczy. A podpułkownik wyściskał wszystkich oficerów, a potem zwracając się do żołnierzy, rzekł, że radby z każdym się uściskać, lecz rady nie da, poprzestanie więc na prawoskrzydłowych — i wycelował sierżanta Miłosza i Edka, którzy stali na skrzydłach.

Zaraz po przywitaniu — odmaszerowujemy do okopów. Zmieniamy II bataljon. Odcinek ten, ulepszony nieco, zabudowany. Są dwie ziemianki, jedna skończona, druga niezupełnie. Ja mam małą ziemiankę, którą zajmuję ze Szczerbcem i Zygmuntom Chabowskim.

27 wrzesień. Okopy pod Sitowiczami. — O północy pluton maszeruje z Kocem na placówkę. Ja zostaję na dyżurze oficerskim. Noc paskudnie ciemna. Wychodził właśnie pluton na placówkę, gdy nadeszło uzupełnienie. Ze starej wiary wrócili ze szpitala ranni pod Kostjuchnowką, Maniek Pacholski i Siewicz, a wogóle do kompanji wróciło 10.

Nie zdążyli się nawet przywitać, gdy zaraz musieli pójść na placówkę. O 2-iej w nocy poszedłem na rond placówek. Zimno potężne, przez mostek na Stawoku ledwo można przejść, taki oślizgły i oszroniały. Noc tak cicha, że słyszać doskonale każdą zmianę moskiewskich wedet.

28 wrzesień. *Okopy pod Sitowiczami.* — Po nadejściu uzupełnienia nasza kompanja jest teraz najsilniejsza w pułku. Po południu próbowaliśmy maski. Siedzieliśmy 10 minut w granatniku napelnionym gazem. Dzisiaj imieniny Styka, Koca i moje — więc było trochę popijawy.

29 wrzesień. *Okopy pod Sitowiczami.* — A więc stało się. Stało się to, o czym baliśmy się myśleć! Dymisja Komendanta przyjęta, I Brygada rozwiązana...

Około 2-ej Styk po powrocie z oficerskiego zebrania zawezwał Flojara, mnie, Władka Łęckiego i Edka Pfeiffera, ogłaszając nam oficjalnie iż I Brygada nie istnieje. Została rozbita. 1 pułk z 2 włączono do brygady Januszajtisa, 3 z 4 brygada Zielińskiego, nasz 5 z 6 — brygada Hallera. Ze zgrozą słuchaliśmy co nam dalej mówił. Rozkaz Komendanta jest następujący:

od dzisiaj wszyscy królewicy podadzą się o zwolnienie z Legionów, wszyscy galicjanie o przeniesienie do c. k. armji. Motyw: ponieważ w związku z dymisją Józefa Piłsudskiego i podziałem I Brygady — Legjony przestały być formacją skierowaną w celu utworzenia armji i państwa polskiego, a zamieniają się w c. k. armję — służbę moją w Legionach uznaję za nieużyteczną dla dobra Ojczyzny.

Oprócz tych kroków wszyscy galicjanie, aby uchronić się od c. k. armji mają się zgłaszać jako chorzy. Wszyscy oficerowie podają się do dymisji. Niestety — mówił dalej Styk — ja wyjeżdżam jeden z pierwszych; idźcie ogłoście to w plutonach. Pamiętajcie jednak, że nie jest to czyn rozpaczny, jest to tylko jeden z etapów walki Komendanta z zaborcami...

Wyszliśmy. Zebrałem pluton w ziemiance. Ledwie mogłem mówić. Chłopcóm mieniły się twarze jak w gorączce.

A więc koniec! Rozpierzchnął się pluton, każdy chodzi nawpół obłąkany. Pustka przeraźliwa wieje zewsząd.

30 wrzesień. *Okopy pod Sitowiczami.* — Noc całą biłem się z myślami, które opadły mi jak kruki. Marudować! Po 24 miesiącach nieprzerwanej służby w polu jechać na tyły nie ranny — lecz jako chory, jako maruder obijać się po szpitalach. Jak tu pogodzić rozkaz z tem paskudnem, złodziejskiem uczuciem ucieczki z linii.

A jednak trzeba coś poradzić. Wątpię ażeby sześć bataljonów mogło przestać istnieć. Będzie to stan wiecznie zapalny, wiecznie rozjątrzony, a wogóle nie wydaje mi się ten sposób odpowiedni.

A tymczasem wypadki rozwijają się szybko. Styk z Pandorem-Furgalskim już odjechał. Po południu nadeszła wiadomość, że beliniacy chcą się przedrzeć do Królestwa, że 1 pułk chce złożyć broń.

Wieczorem przyszły jeszcze gorętsze wiadomości. Komendant

i Sosnkowski ponoć internowani. Roja chce uderzyć na Komendę Legionów. Tam ponoć popłoch, nieopisany zamęt.

Pod wieczór zgadałem się z Malskim, sierżantem II bataljonu i Fokiem z 3 kompanji. Również im te stawania do raportów i te wstrętne marudowania nie wystarczają. Trzeba wystąpić radykalniej i ostrzej. Narazie jednak lepiej się musimy zorjentować w wypadkach, więc idziemy do Narbutta. Prosimy go o szczegółowsze informacje, następnie zakomunikowaliśmy mu nasz sąd o dotychczasowych metodach działania. Uważamy je za mało stanowcze, za niewystarczające i wyrażamy pragnienie zastosowania środków bardziej radykalnych, Narbutt się zgodził z nami, wyjaśniając, że wczorajsze postępowanie obliczone było na metę dzisiejszego dnia. Chodziło o demonstrację, która się w zupełności udała. W najbliższym czasie przyjdą świeże dyspozycje od Komendanta — dowiemy się we właściwym czasie. Zresztą ufajcie nam — ja was nie opuszczę póki choć jeden żołnierz z bataljonu będzie na froncie. Tem nas pożegnał...

Poszliśmy jeszcze do Berbeckiego, lecz w pułku go nie było. W II bataljonie ani jeden prawie oficer nie zostaje, gdyż sami tam galileusze. Postanowiliśmy na jutro zwołać zebranie delegatów poszczególnych kompanij w celu omówienia ostatnich wypadków.

W 6 pułku podobno straszne bezhołowie. Kilku szóstaków przeszło do Moskali, tak, że wiedzą tam co się u nas dzieje. Nie daj Boże, aby teraz miał nastąpić atak rosyjski.

1 październik. Okopy pod Sitowiczami. — Przed południem w II bataljonie zebranie przedstawicieli wszystkich kompanij 5 pułku: odczytano memoriał zaproponowany przez 1 pułk. Żądają w nim zwolnienia z Legionów i odpowiedzi w ciągu 48 godzin, inaczej składają broń. O 6 wieczór ma się odbyć zebranie delegatów wszystkich pułków piechoty, dwóch pułków kawalerji i pułku artylerji. Na zebraniu stawiamy wniosek, aby delegaci żądali użycia jak najradykalniejszych środków, a mianowicie złożenia broni. Za złożeniem broni przemawiał Flojar i ja. Ja szczególnie ostro odpierałem zarzuty, skierowane przeciwko użyciu takiego kroku i wniosek przeprowadzono. Grunt nam się pod nogami pali. Wczoraj wywieźli Sosnkowskiego i Roję, dziś mogą wywieźć Berbeckiego i Śmigłego, a natenczas wszelkie stawanie do raportu, wszelkie wojskowe, żołnierskie przeprowadzenie naszej decyzji nie da się pomyśleć, gdyż raporty nasze powrzucają do kosza. Na delegatów w pułku wybrano Hempla z 1 kompanji, Wierzbickiego z 8, Flojara i mnie, więc udaliśmy się natychmiast do Berbeckiego. Przeciw użyciu jak najradykalniejszych środków niema on nic. Jutro przy raportach kompanje mogą zameldować, że w razie niewysłuchania żądań zwolnienia składają broń.

Tego nam tylko było trzeba. Wieczór już zapadał, gdy siedliśmy na furę z przedstawicielami V bataljonu, z którymi pojechaliliśmy do rezerwy 1 pułku. Tam niewiele żeśmy się dowiedzieli, tyle tylko, że generalne zebranie jutro o 2-ej. Zebranie przedstawicieli wszej broni legjonowej. Jak nas tu poinformowano pułk 4 i 6, 1 dywizjon artylerji i pułk kawalerji w zupełności się z nami solidaryzują. Poza tem jutro przyjeżdża Stachiewicz z rozkazami od Komendanta.

W nocy byłem na placówce. 1 kompanja straszyla, że ponoć Moskale usadowili się w ganku tuż za naszym kozłem. Poszedłem tam ze Szczerbcem, lecz na przedpolu za 10.000 koron ani jednego Moskala nie znajdzie.



Grupa żołnierzy kompanji 1-ej
z podporucznikiem Ulrychem.

2 październik. Okopy pod Sitowiczami. — Przyjechał Żymierski, ponoć ze wspaniałymi wieściami. Brać je jednak trzeba z zastrzeżeniem, gdyż jego pierwszego c. k. Komenda już kupiła. Wogóle tamta strona w walce z Komendantem chce kupować naszych ludzi gwiazdkami.

Do bataljonu wrócił Ulrych, Młodkowski¹⁾ i cały szereg oficerów I Brygady, którzy podali się do dymisji u Sikorskiego w Piotrkowie.

3 październik. Okopy pod Sitowiczami. — Zdaje się, że koniec już bliski. Z głosów prasy, z najróżnorodniejszych malutkich oznak, z dyplomatycznych grzeczności, ze sprytnej mowy Bethmana — coraz bardziej jasne, coraz bardziej pewne się staje, iż między

¹⁾ Obecnie kapitan rezerwy.

centralnemi państwami a Rosją targ o naszą skórę został ubity. I milczenie Bethmana i ustąpienie Stuermera i powrót Kokowcewa — wszystko przemawia za tem.

Więc to już koniec. Błąka się uparta myśl, i rzuca się jak ptak w więzi, szukając ratunku. A może w ostatniej chwili Niemcy rozrzuca karty i zwróca się w inną stronę, gdy Rosja za twarde postawi warunki?...

Jakiś dziwny smutek i cisza [ogarnęły pozycje. Leguny zmiłkły, o „hinterlandzie“ przestały mówić, nie psioczą nawet na służbę. Śpiew umilkł, nie wtórzy już szumom drzew.

Chodzę po lesie i pogwizduję. Przyglądam się białym brzozywym krzyżom, okopom czarnym na niskim grząskim gruncie budowanym, schronom potężnym, rytym na wydmach piaszczystych, przyglądam się najdrobniejszym szczegółom — żegnając okopy, front, pozycję.

4 październik. Okopy pod Sitowiczami. — Jesień. Chłodne surowe wiatry targają lasem, sypią krwawemi liśćmi.

Niewesoło na duszy. Jakoś stanęło wszystko. Mówią nieco o zmianie, o wyjeździe na tyły, ale ot tak mimochodem, odniechcenia.

Pod wieczór nieco się rozruszałem. Wicz przywiózł nowe wiadomości. O 6 po południu odbędzie się wobec tego zebranie delegatów.

W ziemiance 6 kompani aż ciemno od dymu papierosów. Rozsiadła się wiara po kątach, na pryczach i kurząc „cienkie“ gwarzy przed oficjalnem otwarciem zebrania.

Zagaja Lewin, na przewodniczącego wybieramy Płachtę, Malskiego na sekretarza. Hempel zdaje sprawozdanie z obrad delegatów pułków. Na zebraniu tem byli przedstawiciele wszystkich pułków z wyjątkiem 3. piechoty. Komenda Legjonów, podając za przyczynę akcji naszej zmęczenie żołnierza — osiągnęła wycofanie Legjonów na tyły. Tam mają nas porozdzielać, przemundurować, odkarmić, gwiazdkami kupić słabszych, opornych pozamykać. I wrócą Legjony po tygodniach na front, uszczuplone w liczbie, ale zawsze jako Legjony. A o to ponoć Austrii chodzi ogromnie. Postanowiliśmy wobec tego akcję stawiania do raportów przyspieszyć, by skończyć ją do jutra wieczorem. Wszystko to na podstawie instrukcji przywiezionej przez Wicza od Komendanta.

Ze smutkiem jednak stwierdzamy brak przedstawicieli 3 pułku. Postanowiono koniecznie z nimi nawiązać kontakt, co polecono mnie, jako że sąsiaduję z karpaciarzami.

O 9-ej szybko wracamy — gdyż na linii ruch. Bije artylerja rosyjska, nawet nam nieco granaty zagradzały drogę, lecz jakoś szczęśliwie dotarliśmy do kompanji. Moskale atakują 6 i 2 pułk.

Za chwilę dyżurny z kompanji melduje o pogotowiu. Spodziewany

jest atak na 5 pułk — tak meldują sąsiedzi, gdyż na lewym skrzydle Sitowicz zauważono ruchy Moskali.

Noc jednak przeszła spokojnie.

Moskale wdarli się tylko do okopów 2 pułku, lecz natychmiast kontratak wyrzucił ich zpowrotem.

5 października. *Okopy pod Sitowiczami.* — Nawiązałem łączność z 3 pułkiem. Pogadałem z pierwszym lepszym sierżantem z brzegu, wyjaśniając o co chodzi i już dzisiaj zjawili się delegaci ich kompanij u mnie w ziemiance, która zaroila się od karpaciarzy.

Chłopcy zielonego pojęcia nie mieli o sytuacji. Po scharakteryzowaniu całej działalności Komendanta od roku 1914, po przeczytaniu sierpniowej uchwały rady pułkowników — wyjaśniłem im szczegółowo obecną sytuację. Nie brakło naiwnych pytań — w wyniku z akcją naszą w zupełności się zsolidaryzowali i obiecali przeprowadzić stawanie do raportu.

Komendant podobno podał się do dymisji i kazał nam rozpocząć obecną akcję w tem przekonaniu, że między państwami centralnemi a Rosją stanął już układ, którego mocą nasza sprawa została już ubita. Ponoć Anglja zawarła już z Japonją traktat, w którym zawarowała sobie uderzenie Japonji na tyły Rosji, gdyby ta jeszcze przed zimą opuściła koalicję

W nocy poszedłem z plutonem na placówkę. Noc chmurna, wilgotna, lecz niezbyt chłodna. Ostatni raz na placówce, gdyż jutro nas zmieniają Austriacy. Kto wie czy to nie ostatni raz wogóle na froncie, więc całą noc przesiedziałem z plutonem właściwie pod okopami Moskali. Do świtu wystrzelaliśmy prawie wszystkie naboje, obrzuciliśmy okopy rosyjskie wszystkiemi granatami jakie mieliśmy. Na zapas!...

6 października. *Okopy pod Sitowiczami.* — Dzisiaj wieczorem zmienia nas 11 pułk austriaków. Jutro siadamy do wagonów i jazda ale dokąd, tego nawet Cybulka nie wie.

A mówią różnie. Kazamaty modlińskie, Warszawa, front włoski, Dobrudża, cylinder i laseczka. Porządek wyjazdu: kawalerja, artylerja, piechota.

Przez cały dzień pluton był zajęty porządkowaniem odcinka, który o 3-ej oddaliśmy Austriakom. Celem zorjentowania ich w pozycji zostawiamy im trzech ludzi z Mauzagenem.

O 7-ej zbiórka. Wiara trochę podśpiewuje, lecz humor jest wyraźnie sztuczny.

O 10-ej stanęliśmy w Piasecznie, gdzie nocleg.

7 października. *Piaseczno — Stebli — Brześć nad Bugiem.* Maszerujemy przez Grywiątkę do Stebli. O 5-ej odjazd. Konserwy nam wydają na 3 dni i mówią o Baranowiczach. Późnym wieczorem odjazd.

Leguny mimo wszystko poczynają śpiewać i przez całą drogę ze wszystkich wagonów z sykiem wylatywały świetlne rakiety, znacząc wśród czarnej nocy odjazd legunów z frontu. Wyobrażamy sobie wściekłość Austriaków i zdumienie Moskali, którzy musieli widzieć ów transport z iluminacją.

8 października. *Brześć nad Bugiem — Baranowicze.* — Rano znaleźliśmy się w Brześciu. Po śniadaniu jedziemy — już napewno w kierunku Baranowicz.

Pociąg mknie przez kraj płaski z rzadko rozsianymi laskami. Łąki zczerwieniałe, pożółkłe trawy, szerokie, jasne przestrzenie. Od czasu do czasu wpadamy z hukiem w gardziele lasu, w złote warkoczce brzóz, czerwone dęby, w brązowe pościeliska paproci.

Zostawiamy stację jedną po drugiej za sobą. Grzmotem kół przewalił się pociąg przez most na Szczarze i gnamy coraz dalej i dalej bez chwili przestanku. Stanęliśmy wreszcie w Baranowiczach. Tu maszerujemy do koszar rosyjskich saperów kolejowych.

10 października. *Baranowicze.* — Rozpoczęliśmy normalne, koszarowe życie. Plutony w obszernych salach, bardzo porządkie urządzonych. Flojar, Kragosz i ja mamy bardzo ładny pokój od ulicy.

Mieliśmy dzisiaj kapitalny dzień. W południe została zapowiedziana wizytacja kwater przez chwilowego komendanta Legionów pułkownika Szeptyckiego. (Puchalski wyjechał do AOK). Ruch więc w koszarach, o 12 przed wejściem stanął Narbutt, sierżant Nowina-Joniak i ja jako oficer inspekcyjny. Dość długo czekaliśmy a tymczasem zanim nadszedł Szeptycki — przybiegł do nas zadyszany dłubinosek z pułku z wiadomością, że oni wiwatowali Komendanta, co mamy uczynić i my. Dobra jest!...

Za chwilę nadchodzi Szeptycki. Pokolei mu się meldujemy i wchodzimy do pierwszej sali, gdzie staje na baczność przed Szeptyckim Wąsik. Naraz z głębi sali ostro, donośnie, zapalczywie rozległ się głos: „Niech żyje Komendant Józef Piłsudski“! Po trzykroć runęło ogromne, wściekle hura, hura, hura!...

W Szeptyckiego jakby uderzył piorun. Poczerwieniał po białka i począł trząść Narbuttem, coś mu tam w czasie krzyku hura gwałtownie mówiąc, czego Narbutt nawet nie rozumiał.

Umilkł tymczasem wrzask wiwatów. Szeptycki sztywny, wyprostowany nie mówiąc już słowa — przeglądał wszystkie sale. Po lustracji zwrócił się do Narbutta: — Pan każe zwołać wszystkich żołnierzy tu, do środkowej sali.

Zebrałiśmy się. Ścisnęło się tak zwarte koło, że ja stałem tuż pod łokciem Szeptyckiego. Pułkownik, górujący nad wszystkimi swą ogromną postawą, przyglądał się żołnierzom, wreszcie kazał Narbuttowi

postawić wszystkich na baczną i powolną uwagę, z dużymi przestankami, zaczął mówić:

— Gdy tu wchodziłem — mówił Szeptycki — powitały mnie okrzyki na cześć byłego waszego brygadiera, pana Józefa Piłsudskiego. Chcieliście w ten sposób zaznaczyć, że uważacie mnie za wroga waszego i za wroga pana Piłsudskiego. Zrobiliście tę demonstrację, boście sobie w waszych mądrych głowach umyślili, że mnie w ten sposób obrażacie. Czyż nie tak?... Była to demonstracja przeciwko mnie, tak, czy nie? Powiódł oczyma po żołnierzach. Odpowiedziało mu głuche milczenie. Po chwili zaczął dalej.

— Otóż wy myślicie, że ja jestem nieprzyjacielem pana Piłsudskiego. A czyż wiecie że ja, gdyście wy jeszcze nie znali pana Piłsudskiego ja już go swoją osobą osłaniałem. Nie wiecie, że ja jestem najlepszym przyjacielem pana Piłsudskiego i gdy on podawał się do dymisji, ja go przez dziesięć godzin prosiłem by tego nie czynił. Ale pan Piłsudski uparł się i do dymisji się podał. Nie będę tu roztrząsał czy dobrze zrobił, bo choć pan Piłsudski dla Polski wiele uczynił... tu machnął ręką i powiódł, okiem po bladych, znieruchomiałych z wściekłości twarzach żołnierskich. Zaczem mówił dalej:

I wy, adherenci pana Piłsudskiego, nawet nie wiecie, ile ja głupstw, które ta pierwsza brygada — wyraźnie to podkreślił — ciągle nad Nidą robiła, musiałem własną osobą i własną karierą osłaniać jako szef sztabu II korpusu. I wy teraz myślicie, że przez podawanie się o zwolnienie z Legionów, tak jak wasz Komendant — robicie dobrze? Nie wiecie, nie przypuszczacie, że te wasze dymisje, to rozbijanie dzieła, które przez dwa lata setki i tysiące krwią swą utrwalało, że te wasze dymisje to radość dla tych wszystkich wrogów Polski, których jest więcej niż wy macie włosów na głowie. A wy w swoich mądrych, politycznych głowach myślicie że wszystko zrobiliście, gdyście się podali do dymisji. Nie, to jeszcze koniec nie będzie. A ja żeby was przekonać, że wrogiem pana Piłsudskiego nie jestem, a naodwrot jego przyjacielem, rozkazuję wam nie trzy, a sześć razy wznieść zdrowie pana Piłsudskiego. I zwróciwszy się do Narbutta rzekł: Każ pan żołnierzom wznieść sześciokrotny okrzyk.

Narbutt powiódłszy jasnym, promiennym wzrokiem po nas, zawołał: Chłopcy, niech żyje nasz Komendant, Józef Piłsudski!.. Siedem razy runęło potężne hura.

Szeptycki stał przez cały czas wyprostowany z dłonią na daszku. Gdy okrzyki zmiękły — zwrócił się znów do kapitana.

— Pańscy żołnierze nie wiedzą, że jak się chce kogo uczcić przez okrzyk — cały czas należy salutować.

Narbutt zbladł jak ściana. Po żołnierzach przeszedł wstrząs. Oczy się rozpałyły.

Wzniesliśmy jeszcze sześciokrotny okrzyk i na tem inspekcja została zakończona.

Przez dzień cały o niczem innem nie było mowy. Poza tem Januszajtis podobno zrzekł się I Brygady, a Sikorski 3 pułku, pułk 3 ma objąć wobec tego Norwid, a 6 Galica.

11 październik. Baranowicze. — Ćwiczymy na placu cały dzień razem z czwartakami.

Z bizantyjskiej, wysokiej „kołokolni” rozlegają się od dzisiaj dźwięki hejnału, który wygrywają trębacze naszej orkiestry, o 7 rano, 12 w południe i 7 wieczór.

12 październik. Baranowicze. — Pisałem najspokojniej listy do domu, gdy wpadł nagle inspekcyjny z zawiadomieniem, że o 10 zbiórka. Był przed chwilą Szeptycki w koszarach i kazał zebrać pułki 5, 1 i 4 na placu. Bez broni, tak jak stoją..

Nie posiadam się ze zdumienia. A gdzie oficerowie?

— Niema ani jednego. Wszyscy na odprawie pułku i prawdopodobnie zostali zatrzymani — odpowiada Bolek Binder.

Gonię więc za delegatami kompanijnymi z rady żołnierskiej, uradzamy naprędce jak się zachować, zastanawiając się, co znaczy cała ta awantura.

Brygadjer przyjeżdżający do koszar i sierżantowi nakazujący zebrać trzy pułki — coś niesłychanego.

Przypuszczamy, że Szeptycki będzie się pytał poszczególnych żołnierzy o powody podania się o zwolnienie. Albo chce przekonać naszych oficerów że akcja ta jest nakazana z góry, albo też chce nas zastraszyć.

O 10 zbiórka. Prowadzimy kompanje, nadchodzą już i kompanje 1 i 4 pułku — wszystkie prowadzone przez sierżantów. Za chwilę jednak nadchodzą i oficerowie. Jest Śmigły, Berbecki, Olszyna, Narbutt — cały korpus oficerski trzech pułków. Zaraz też bataljony ustawiają się w wielki czworobok. Krzyki komendy, rumor żołnierskich kroków. Pośrodku czworoboku zdala widnieje ogromna postać Szeptyckiego.

Szeptycki rozpoczyna przemówienie, lecz silny wiatr wgniata mu zpowrotem słowa do piersi. Nie słyszymy nic. Dał więc rozkaz, aby się zbliżyć doń zupełnie, tak, że otoczyły go trzy pułki, zbita masa żołnierska, ogromnem, ciasnem kołem.

Zaczął mówić. Nie słyszałem całego przemówienia, niektóre tylko ustępy mogłem zanotować. Zaczął od tego, że zebrał nas tutaj, aby wybić nam z głowy podawanie się o zwolnienie, że musimy do

ostatka wytrwać w budowaniu tego dzieła, któreśmy rozpoczęli przed dwoma laty. Nasza legjonowa sprawa — mówił — jest jak owa łódź na wzburzonych falach, gdzie wokół łądu nie masz, a wy, którzy wiosła trzymacie, miast walczyć do ostatka chcecie z łodzi wyskakiwać.

— A bo sternika niema! — krzyknął ktoś z tłumu.

— My i tak wylądujemy, leguny sprytne — poczęli pokpiwać czwartacy.

Szeptycki dalej coś klarował, na co już nie zwracała wiara uwagi, a gdy zakończył, czy nie ma racji — wiara jednym zawyla głosem — nie, nie!...

Nastrój poczyną się robić wesoły. Jakiś doktor filozofji wyskakuje na ramiona innym i poczyną mówić, innego znów Szeptycki przywołuje do siebie, zrywa się gwar głosów, dowcipy sypią się jak z rękawa, karność — nie ujęta w twardą ścianę czworoboku — pękła w jednej chwili.

Bóg wie na czym by się skończyło, gdyby nie było naszych oficerów, którzy widząc niesłychane rozdrażnienie żołnierzy, jednym słowem „baczość” — zwolali kompanje. A za chwilę [wróciliśmy do koszar.

Przyjechał dziś Moraczewski z dobrymi nowinami. Ponoć Biliński miał przemówienie w Kole Polskiem, w którem przyznał się do zupełnego bankructwa jego polityki i polityki N.K.N. Ponoć u Komendanta był rektor Brudziński z delegacją z Warszawy, prosząc Go o przyjęcie dowództwa nad przyszłą armją polską.

A Szeptycki robi co może. Podobno jego akcja została mu nakazana przez Austriaków i to wczoraj przez specjalnego kurjera z AOK. Podobno Austria za wszelką cenę chce utrzymać Legjony przy sobie i dlatego Szeptycki otrzymawszy „befehl”, robi jak może i jak umie. Wczoraj ponoć w II Brygadzie wyraził się przed żołnierzami, że Piłsudski to obecnie najtęższa głowa polityczna, wobec czego nic II Brygadzie nie pozostało, jak zaufać najzupełniej owej najtęższej politycznej głowie. Skutek jego przemówienia był taki, że z II brygady przedstawiono 10 prośb oficerskich o dymisję. Przemówienie Szeptyckiego o Komendancie przekonało ich najzupełniej.

13 październik. Baranowicze. — Wypisałem dzisiaj w notatniku cały referat polityczny na temat obecnej sytuacji politycznej i legjonowej. Na „radzie żołnierskiej” postanowiliśmy nie podawać żadnych dobrych wiadomości żołnierzom, gdyż sytuacja zmienia się z dnia na dzień, a szarpać nerwów żołnierskich już nie można.

14 październik. Baranowicze. — Dzisiaj przez cały dzień dyskusje nad ostatnią mową Bilińskiego.

15 październik. Baranowicze. — Dowiedziałem się nieco szczegółów, które Kocowi wyjaśnił Moraczewski. Burjan stopniowo musiał zgadzać się na żądania Bethmana z powodu nieustannego skórobicia, jakie dostaje Austria.

Myslałem dzisiaj dość długo, snulem horoskopy na przyszłość, gdyby rzeczywiście państwa centralne poszły na utworzenie armji polskiej i front wschodni oddały jej do obrony. Z jakąż rozkoszą, z jaką niesłychaną dumą będzie się wówczas trzymało swój odcinek okopów, wiedząc, że za nami stoi wreszcie wolne państwo, Polska Niepodległa! Wokół własne, naprawdę własne okopy, a przed nami wróg, na którego czekamy z bronią w ręku! Przyjdź i weź!...

17 październik. Baranowicze. — Przyjechał Puchalski z AOK. Ponoć mamy jechać do Królestwa.

18 październik. Baranowicze. — Nigdy jeszcze tak nie szarpały nami najróżnorodniejsze wrażenia, jak w ostatnich tygodniach. Wiadomości nadchodzą tak różnorodne, tak często przeczące jedno drugiemu, że głowę można stracić. Najgorsze to, że nie można sobie na ich podstawie wysnuć żadnej, zbliżonej do prawdy, oceny sytuacji.

21 październik. Baranowicze. — W ciągu ostatnich dwu dni ruch był nadzwyczajny. Przysłano nam formularze, na których poddani austriaccy mają wyrazić swe motywy prośby o zwolnienie i własnoręcznie je podpisać. Przyszły później inne, bowiem tych nie chcieli chłopcy podpisywać, gdyż motywy wydrukowała Komenda Legionów gotowe. Jednem słowem urwanie głowy, bo albo chodziło w nich o przestraszenie poddanych austriackich, albo potrzebne one są w Austrii w jej walce z Niemcami. Nie bardzo się jeszcze w tem orjentujemy, w każdym razie galileusze chodzą jak struci, gdyż motywując podanie o zwolnienie, tem, że Legjony nie podlegają rządowi polskiemu — jednocześnie wypisywać musieli na nich do jakich komend uzupełniających należą.

W polityce cisza. Jednakże coś się robi, gdyż coraz to przychodzą różne pisma, podania, formularze, z których jasno wynika pytanie, na jak wielką armję mogą się zdobyć kadry legjonowego żołnierza.

25 październik. Baranowicze. — Minęło tych kilka dni bez zmian. W naszym pokoiku sierżanckim całemi dniami odchodzi pokier i preferek, wraz z polityką. Tytus Filipowicz, Hempel, Flojar, Stępiński — kartografstwo i rum.

Poza tem czekanie, czekanie z dnia na dzień.

27 październik. Baranowicze. — Coś się robi, coś się kroi. Rozkazem Komendy Legionów powołano do życia rozmaite komisje, w związku z mającą nastąpić organizacją armji polskiej. Ponoć ma ona wynosić 100 tysięcy, ponoć w grudniu już ruszymy do kraju

jako kadra tej armji. Poza tem dziś Tytus Filipowicz przyniósł wiadomości — jak powiada zupełnie pewnie — że fakt ogłoszenia Państwa Polskiego ma nastąpić bezwzględnie przed końcem listopada, że ma być ustanowiona regencja, zlikwidowane cywilne władze okupacyjne i gwałtownie organizowana armja.

4 listopad. Baranowicze. — Mój notes stał się teraz jednym referatem politycznym. Notuję w nim wszystkie pogłoski, wszystkie wiadomości, plany, projekty, decyzje i wątpliwości. Jedno z nich jasno wynika, jedno jest prawdą niewątpliwą — jak niesłychane szczęście ma Polska, mając Komendanta. Jakżeż śmiesznie, jakżeż naiwnie wyglądają te wszystkie deklaracje, programy stronnictw, partyjek i partyj, ludzi może nawet mądrych, może nawet doświadczonych, uczonych i erudytów, lecz tak niesłychanie pozbawionych tego, co zawsze wybija jednostkę ponad poziom, ponad naród, to co stanowi istotę indywidualności — zdolność do syntezy i niezłomna, żelazna wola, nakierowana na jeden, jedyny cel.

Nie minęły jeszcze dwa miesiące od podania się do dymisji Komendanta, miesiąca jeszcze niema, jak opuściliśmy okopy pod Sitowiczami wskutek akcji Komendanta — a już rezultaty są widoczne.

Dziś przed 10-tą rano pułkownicy dostali rozkaz natychmiastowego wyjazdu — jedni do Lublina, drudzy do Warszawy. Jutro ma być ogłoszony akt restytucji Państwa Polskiego.

Podnieceni jesteśmy dziwnie i wzruszeni. Przez cały dzień nie mogliśmy sobie wprost miejsca znaleźć, wieczorem zebraliśmy się naszą paką, by zapijać niepokój, który nas dławił jak zmora.

5 listopad. Baranowicze. — Dzisiaj o 3-ej po południu, wśród wietrznego, chmurnego dnia listopadowego wzniósł się przepotężny z tysiąca żołnierskich piersi wyrwany okrzyk: „Niech żyje Niepodległe Państwo Polskie“!...

I zanosły go litewskie wichry hen, daleko po kraje Polski... Zanosły go szumne bory litewskie hen, gdzie w stęp się świata krąg zamienia, gdzie łopocą na wietrze burzany i gdzie siny Dniepr granice Rzeczypospolitej wyznacza. Na wieczną chwałę, na radość i życie — okrzyk poszedł i niósł się szeroko, szeroko...

Zaczęło się po południu. Kaplicę, gdzie przed dwoma laty pop się zegnał i moskiewska skąd pieśń płynęła — zdobią świerkową zielenią. Pod szczytem łagodny amarant ze złocistym wizerunkiem Częstochowskiej, stopnie przybrane szkarłatem, by królewski tron...

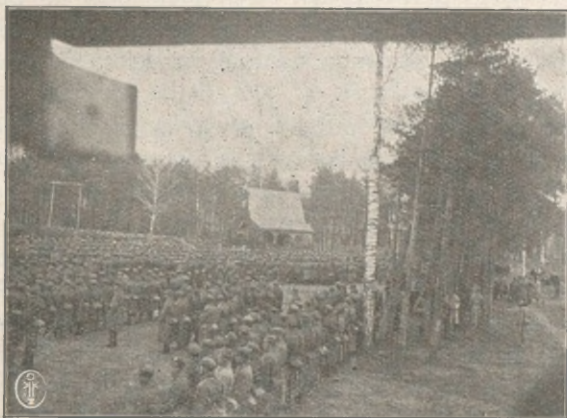
Zebrały się pułki. Wachlarzem się rozwinęły bataljonowe kolumny, czołem do kaplicy. Długo trwały krzyki komendy. Wkoło kaplicy rojno i strojno. Sztaby, złociste szwy, srebrzyste rapcie, szlify błyszczące. To dźwięknie ostroga, to szczęknie broń.

Wreszcie — baczość! Zwarła szyk komenda i do niespokojnych piersi, tętniących serc przypadła cisza... Aż wzniósł się nagle donośny, ostry głos — głos z męki pokoleń i krwi tysięcy powstały...

„Odbudowujemy Polskę Niepodległą, z własnym monarchą i ustrojem konstytucyjnym...”

Poruszyły się kości dziadów i ojców naszych w grobach, jakby jęk radości przez ziemię polską przeszedł, boć jeszcze nie na strojną radość ją stać... Od stu lat pierwsze słowa...

Aż wreszcie gdy skończył swe słowa brygadjer Haller i okrzyk wzniósł: — „Niech żyje Polska Niepodległa” — jakoby burza się rozpętała. Krzyk taki się podniósł potężny, taką radością, szaleństwem nabrzmiały — jakby to nie kilka tysięcy piersi go wyrzuciło — lecz naród cały...



Ogłoszenie aktu 5-go listopada w Baranowiczach.

Sprężyły się kolumny. Jakoby je ktoś za pierś przemocną ręką chwycił i ścisnął — tak je przygniotła radość wielka...

Więc nie na darmo, nie na darmo krwią pola broczyliście...

Orkiestry zagrały pieśń Legjonów włoskich a potem hymny narodowe niemiecki i austriacki. Pierwszy raz słuchaliśmy tych hymnów z uczuciem zadowolenia.

Po defiladzie — odmarsz do kwater. Dopiero radość!

Akurat zbiegł się ten dzień z dwuletnią rocznicą wymaszerowania naszego bataljonu w pole z Częstochowy. Z kompanji Narbutta, liczącej 180 natenczas ludzi, zebrało się nas zaledwie 30-tu. Reszta częścią w ziemi, częścią poranieni, pochorowani. Był Narbutt, Podolski, Ulrych. Napojów moc, wstawa więc morowa, mówek przytem poszło coniemiarą.

6 listopad. Baranowicze. — Uf... Paskudny katzenjammer przechodzą dzisiaj Legjony. Jak sięgnąć moję pamięcią — nigdy podobnego pijaństwa nie było, jak wczoraj. Ale też chłopcy mieli powód się wstawić. Wreszcie cel osiągnięty, po przeszło dwuletniej ciężkiej pracy — można się więc rozradować.

Już mówią szeroko o naszym piorunującym wyjeździe z Baranowicz. Wymieniają nawet dla 5 pułku Skierniewice, Płock i Zamość — czekamy teraz na wiadomości od Komendanta.

7 listopad. Baranowicze. — Mamy już dzisiaj gazety! W Warszawie szalony entuzjazm. W Lublinie mniejszy, gdyż chciano tam zaakcentować nieprzychylność do Austriaków.

9 listopad. Baranowicze. — Wreszcie wiemy jakie jest stanowisko Komendanta! Podwójna więc radość, że On ją z nami dzieli.

Przeczytał dzisiaj Berbecki list od Komendanta do pułkowników i do nas wszystkich. Cofnąć mamy dymisję, rzucić precz politykę. Nareszcie, nareszcie — stajemy się znów żołnierzami, mamy swoją wolną ojczyznę.

A Komendanta już naród wziął w swoje wyłączne posiadanie. Co za szalone owacje Kraków mu sprawił! Wyrzgnięto konie z powozu, zaciągnięto Go do teatru. Podczas obchodu 5-go niesiono Go na rękach.

10 listopad. Baranowicze. — Czekamy z niecierpliwością powrotu Szeptyckiego. Mówią o jakiejś generalnej defiladzie przed Woysrsem i królem bawarskim. Zresztą wszystko po staremu, tyle tylko, że Rosja ma przystąpić do ogłoszenia szerokiej autonomji. Rychło wczas...

14-go mamy generalną defiladę, więc od dzisiaj tłuką pułki „ein- cyki” po placach, aż ziemia dudni, a oficerowie chrypną na wilgotnem powietrzu od ciągłego krzyku komend.

14 listopad. Baranowicze. — Defilada!... Takiej defilady tośmy jeszcze nie mieli i zachowaj nas Boże od podobnej.

Rano budzimy się — na dworze deszcz, plucha. Monotonnie szmerze po szybach, aż zamienił się wreszcie w gęsty, ciężki śnieg. O 12-ej jesteśmy już na błoniu. Pola białe wokół, lecz na szerokiej drodze, po której mamy defilować błoto po kostki.

Ustawiamy się. Od prawego wszystkie sześć pułków, po drugiej stronie drogi kawalerja i bataljon Niemców.

Wiatr silny, ostry, siepie śniegiem, zacinając niekiedy kawałkami lodu. O 12-ej wreszcie krzyki „baczość” znieruchomiły front. Warkot aut urwał się nagle i orkiestra 1 pułku zaczyna grać.

Stoimy. Wiatr nam siepie prosto w twarz ostrym śniegiem. Twarze czerwone, obmokłe, ręce zgrabiałe. Broń nam się chwieje w ręku i ledwie, ledwie możemy ją utrzymać. Zagrała wreszcie nasza orkiestra...

„Baczność, bataljon w prawo patrz!” — Wypreżyły się jeszcze więcej ramiona i wraz machnął głowami bataljon. Ogromna świta. Na czele zgrzybiała, okolona siwą brodą twarz — ręka przy daszku, wzrok badawczy, uważny. Za Leopoldem ogromny Szeptycki, ruchem głowy daje znać, by jeszcze więcej się preżyć. Za nim Woysarz, hełmy, czapy huzarskie, brzęk szabel. Przeszli...

Schodzimy czwórkami na drogę i czekamy jeszcze z 15 minut na rozpoczęcie defilady. Ruszamy wreszcie. Morowo wiara szła i zdaje się defilada poszła dobrze, bidni tylko byli sztabowcy Lebpolda, którzy wyznaczali linię defilady. Gdy przeszło koło nich sześć pułków, bijąc nogami w rozchłapaną maź na drodze, z nieszczęsnych adjutantów błoto lało się strugą od czaków po kostki...

Aleśmy później wyrwali!... Rawicz objął bataljon i prawie biegiem naprzelaj poprowadził do koszar. Minęliśmy 4-ty, 3-ci pułk i w pół godziny byliśmy na miejscu.

16 listopad. Baranowicze. — Utworzono więc Radę Stanu. Ograniczone toto, poobcinane nadzwyczajnie. Bessler — Repnin niemiecki — on prócz wybieranych członków Rady Stanu mianuje innych, on jako komisarz rządzić i trząść będzie chciał Radą. Zobaczymy, jak mu się polityki warszawskie postawia?...

P. O. W. ogłasza werbunek i ujawnia się. Poza tem prasa, wszystkie prawie stronnictwa żądają rekrutacji. P. O. W., Piechur — zbierają spisy ochotników i pokazując Besslerowi, będą nęciły: Dasz regenta, damy my żołnierzy...

O Komendancie słychać tyle, że w ostatnim biuletynie C. K. N-owym jest wiadomość: Jesteśmy uprawnieni do zakomunikowania, że do tworzenia się armii polskiej będzie przypuszczony Józef Piłsudski.

24 listopad. Baranowicze. — Napewno jedziemy już do Pułtusza. Dzisiaj pojechał ppor. Trapszo z sierżantem Nowiną na kwatermistrzów. Pułk 3-ci do Warszawy, 4-ty do Modlina, 1-szy do Łomży, 2-gi do Rożan, my do Pułtusza, 6-ty do Nałęczowa.

Cały dzień dzisiaj urwanie głowy w koszarach, porządkowanie na całą parę.

25 listopad. Baranowicze — Brześć n/B. — Mińsk Mazowiecki. — O 3-ej w nocy pobudka, śniadanie i zbiórka na placu ćwiczeń. Koszary zostawiamy w idealnym porządku.

Wyjeżdżamy kolejno bataljonami, co 2 godziny, zaczynając od 1-go. Zbiórka o 5-ej. Noc jeszcze zupełna, wiatr hula po ulicach. Wiara w boskim humorze, wyśpiewywuje — wie już napewno, że na ten raz hinterland to nie bujda, a fakt, granitowy fakt. Więc radość zupełna...

Ruszamy. Runęły w ulicę dźwięki orkiestry. Gdyśmy na stację zaszli poczęło świtać.

Drgnął, szarpnął wagonami pociąg i ruszyliśmy. Wlekliśmy się jak żółwie, to też wiara klnie, bo w głuchą noc prawdopodobnie zajechdziemy do Warszawy.

Tymczasem w wagonach odgrywają się szopy, piecyków naznosiła wiara Bóg wie skąd, więc palenie i ogrzewanie wagonów na całą parę. Po wygodzie — należało pomyśleć o reprezentacji i estetyce. Znalazły się od razu chorągiewki biało-czerwone, co do których trwał spór przez cały czas jazdy jaki kolor ma być u góry, znalazła się i zieleni do przystrajania wagonów, bo wiara na jakiejś stacji cały las świerków przyturgąła.

Jazda wesoła, dzień przeszedł szybko. Do Brześcia zajechaliśmy za ledwie na 8-ą wieczór, skąd jazda dalej do Nasielska.

26 listopad. *Mińsk Mazowiecki — Zegrze — Pułtusk.* — Rano byliśmy w Mińsku. Szybko minęliśmy Warszawę przez Pragę i o 9-ej stanęliśmy już w Zegrzu, skąd marszem po przepysznej szosie fortecznej do Pułtusza. Ludność wszędzie ciekawie się nam przygląda, w Serocku tłumy żydostwa i grupki rośłych, barczystych chłopaków w maciejówkach, na których z łakomstwem patrząc, oceniamy ich karki, ramiona, ubierając już ich w mundur. Będzie z nich kiedyś armja!...

Gdy mijamy dworki, witają nas okrzyki na cześć Legionów i Komentanta, na które radośnie kolumna odpowiada.

Wieczorem stanęliśmy we wsi Gzowie. W czyściutkiej, miłej izbie sołtysa długo w noc toczyła się pogawędka z gospodarzem, który choć w głuchej wsi sołtysuje, świetnie jest jednak poinformowany o wszystkim, co się w Polsce dzieje. Ani już śladu nie zostało z oczekiwania na Moskali, pełna świadomość narodowa bije z każdego zdania. Sołtys jest przeciwny werbunkowi, jest za poborem — jako że Polski wszyscy bronić muszą.

27 listopad. *Gzowo — Pułtusk.* — O 10-ej zamajaczyły już przed nami wieże Pułtusza. Przed miastem zatrzymuje nas delegacja ze sztandarem, chlebem i solą. Kolumna staje, z przodu dolatuje tylko odgłos mów, powitań, okrzyków.

Prowadzi do miasta muzyka strażacka. Na wieczną rzeczy pamiątkę wygrywa tak straszliwą trzęsionkę, jakiegos przedpotowego walca pułtuskiego, że musimy jak najbardziej skombinowane wykonywać ruchy, by jako tako rytm marszu utrzymać.

Na rynku znów brama triumfalna, zieleni nad głowami i pod nogami, ciasno i gwarno, lecz miło i sympatycznie. Poważny, stary ratusz, sędziwa przysadzista wieża, pstrokate domy.

Po defiladzie — punkt kulminacyjny przyjęcia — bigos dla całego pułku.

Ale co za bigos! O nim chyba pisał Mickiewicz w Panu Tadeuszu. A więc istnieje jeszcze rozkosz na tym padole pęczaku i kukurydzy — myślałem zając bigos, który niechybnie przejdzie do historii Pułtuszka po wsze czasy.

Po fecie — zbiórka przy kozłach, trochę śpiewu, rota, naturalnie z krzyżakiem — i odmarsz do koszar.

4 grudzień. Pułtusk. — Zabrano się od razu ostro do legunów w garnizonowej służbie. Ćwiczymy po całych dniach aż ziemia jęczy na boisku, wieczory tylko zostają dla nas, które spędzamy w jedynej cukierce, najskrupulatniej ją objadając.

Poza tem zawiązujemy jakie takie stosunki towarzyskie, broniąc się przed plotkami, jakie tu szerokotorowo się rozprzestrzeniły. Ponoć nie jesteśmy wcale legunami, tylko Austrjakami, przebranymi w maciejówki, ponoć dawno wzięci jesteśmy już wszyscy do niewoli.

Z niemiaszkami stosunki ułożyły się niebardzo. Były przyjęcia dla oficerów po kasynach, mowy i toasty, lecz wiara pilnie patrzy Niemcom na paluszki. Wiedzieliśmy że oni sobie tutaj w kraju dużo pozwalają, lecz to cośmy zobaczyli, przeszło granice cierpliwości leguna. Codzień więc jest jakaś awantura. Dzisiaj naprzykład pociął legun Prusaka, poszatkował go okrutnie. Zaczęło się od tego, że Prusak wyróżnął chłopca w pysk, który mu niezbyt szybko zeszedł z drogi. Zoczył to legun i choć był mały i chuderlawy, skoczył jak zbór — nabił rosnącego Prusaka, a wkońcu, gdy Prusak zaczął się bronić — sięgnął dłubinosek po swój nieodłączny nóż — które fasowaliśmy nad Stochodem do walk na bagnety i skłut miękkie części pruskiego ciała w złośliwy sposób. Leguny rozżarte na Prusaków nietylko za ich stosunek do ludności, lecz za straszliwą głodówkę, jaką tu nam urządzają. Dzień w dzień śledzie, ryby, brukiew i inne tego rodzaju delikatesy.

W polityce zaś niby coś się robi, lecz z okropnem stękanem. Ogłoszenia o ukonstytuowaniu Rady Stanu już wyszły, lecz targi idą zażarte. Widać z tego, że Niemcy ustąpiwszy pod naciskiem naszego stanowiska — odwlec chcą jak najdalej polityczne decyzje.

ZŁAMANA SZPADA

14 styczeń r. 1917. Ostrów Komorowo. — Miesiąc cały nie miałem pióra w ręku. Przez cały grudzień ćwiczyliśmy zapamiętane, tłukąc „eincyki“, aż wreszcie przedświąteczny czas porozganiał nas na urlopy. Wiara się porozjeżdżała na najrozmaitsze przepustki, jam dostał czterotygodniowy urlop na zęby, podczas którego wygarowałem się za wszystkie czasy.

12-go w południe przyjechałem do Ostrowia. Koszary o wiele lepsze niż w Pułtusku, poza tem zmian niewiele. Berbeckiego niema, gdyż został szefem sztabu Legionów — pułk objął major Burhardt, broń już mamy pruską, musztrę również, poza tem 15-go rozpoczynają się szkoły oficerskie wyższe i niższe.

18 luty. *Ostrów Komorowo.* — I znów dnie płyną niezmiennie, jednak, szaro i nudno. Przez cały dzień ćwiczenia, wieczorem wykłady w szkole oficerskiej i do późnej nocy spijanie niezliczonej ilości herbat u Rebeki.

W polityce ciężko i duszno. Rada Stanu wydała manifest do Narodu, lecz prócz powinszowań, gratulacji, składania przysięg na wierność i posłuszeństwo — nie robi się prawie nic. Wojskowe sprawy stoją źle, bo Karol ciągle się upiera przy nas, nie chce nas oddać Radzie Stanu i organizacja armji stanęła na martwym punkcie. Codziennie omal że nie mobilizowano P. O. W. i codziennie odwoływano. Rzecz prosta, że póki prawne położenie Legionów się nie zmieni, nie można myśleć o armji. Chwilami ogarnia rozpacz, opadają ręce. To ciągle zwlekane i niezdecydowane wypija z nas wszystką krew i energję.

9 marzec. *Ostrów Komorowo.* — Nuda wałęsa się po koszarach. Pierwszy, tak zaciekły impet ćwiczeń, pracy, przygotowań, by jak najświetniejszą stworzyć kadrę armji — już opadł, rozwiął się w beznadziei położenia. To też każdy wieje jak może z pułku, obija się po urlopacech, by zagłuszyć w sobie udrękę niepewności, by zapomnieć, by nie myśleć.

Sytuacja zaś jest potworna. Austria zębami i pazurami trzyma się swego tryalistycznego planu, jeśli nie zgoda jakiegos innego. Coraz więcej mówią o tem, że nie wyjdzie ona cało z jej zawieruchy, mówią, że pono Karol sam już uznaje niemożliwość istnienia Austrii jako dotychczasowego zleпка i za cenę oddania Rzeszy swych krajów niemieckich, chce stanąć na czele państwa węgiersko-polskiego, złączonego ze wszystkich trzech dzielnic. Wpłątani jesteśmy w ten wielki przewrót dziejowy, sami tak mało mając wpływu na jego bieg, tak rozpaczliwie rzućani od klęsk, do zwycięstw i nadziei...

14 marzec. *Ostrów Komorowo.* — Wpadł dzisiaj do Rebeki sierżant Dobrowolski, że dzisiaj rozstrzygają się nasze losy. Pytamy się, czy może nas bierze pod swe rozkazy Liga Kobiet, lecz nie, ponoć napewno oddaje nas Karol Radzie Stanu.

19 marzec. *Ostrów Komorowo.* — Dzień dzisiaj świąteczny. Umalone, udekorowane koszary, świąteczny nastrój. Przed południem msza polowa i defilada, wspólny obiad, a wieczorem coś niby raut, coś niby wieczór uroczysty. W dzień taki optymizm wlewa się

w duszę bujną, pełną falą, bo choć tak źle i ciężko jest wokół, ratuje myśl, że przecież czuwa nad nami i Polską — Komendant...

20 marzec. *Ostrów Komorowo*. — Rada Stanu zagroziła podaniem się do dymisji, jeżeli Austriacy nie zmieniają swoich zamiarów co do nas. Armee Oberkommando wydała bowiem rozkaz, żebyśmy byli gotowi do odmarszu — popłoch więc wielki i mowy o tem niema, ażebyśmy po tem co zaszło mogli tak bez żadnych rezultatów zpowrotem iść gdzieś nad Stochód. A sytuację zmieniła już zasadniczo rewolucja rosyjska. Niemcy i Austrija znów prą do odrębnego pokoju, znów stoimy im na przeszkodzie.

27 marzec. *Ostrów Komorowo*. — Gruchnęła dziś wiadomość, że ponoć 9-ta armja rosyjska Radki-Dmitrjewa w całości się poddała, tworząc 100 km lukę.

Poza tem — cóż poza tem? Zmordowani są wszyscy, podenerwowani tak okrutnie, iż pułki sprawiają wrażenie domu warjatów.

31 marzec. *Ostrów Komorowo*. — I nadeszły znów czasy o jakich się filozofom nie śniło. Przez szare mundury przechodzą jakieś mocne drgnienia serc, pod młodemi czołami wichrzą się burze myśli. Sytuacja stała się ostatnio tak beznadziejna, stanowisko Niemiec tak aż nadto widoczne, że zkolei obrócenie na nich frontu zdało się już koniecznością zupełną. Z Rosją już koniec, burzy się tam wszystko i wali w ogień rewolucji — czas na drugiego zaborcę.

1-szy, 2-gi, 3-ci pułki zbuntowały się. Taka nadeszła telefonem wiadomość z Warszawy, z zapytaniem od Szeptyckiego, czy 5-ty pułk spokojny?

Narazie tak — odpowiedział Burhardt.

U nas podniecenie niezwykle. Niemcy w nocy wywieźli z magazynów wszystką amunicję, kompanja landszturmu w Komorowie otrzymała po 200 ostrych naboí, przemaszerowała jeszcze jedna kompanja z dwoma karabinami maszynowemi. Pogotowie u nich pełne.

Do nas nadeszły rozkazy o oddanie wszystkiej ostrej amunicji. Pułki oddały co miały — dla własnych, osobistych potrzeb zachowując po 500 sztuk na twarz. Sytuacja się w jednej chwili wyjaśniła. Opuścił nas cały niepokój, „weltsmerz”, apatja i niezdecydowanie. Jeżeli Niemcy zwlekają tylko, to pod grozą tych nastrojów w pułkach — pójda na ugodę. Jeżeli zaś mają zawrzeć pokój z Rosją i przekreślić 5-ty listopad — to idziemy wtedy na nich na całego. Niech się stanie co się ma stać, choćbyśmy mieli być ofiarą całopalenia! ...

1 kwiecień. *Ostrów Komorowo*. — Wiosna już w pełni, przeciągają górą z krzykiem klucze żorawi, pryskają w górę zielone pędy drzew.

Przygotowani jesteśmy wszyscy na ostateczny koniec. Jasne już

dzisiaj jest, że Niemcy szukają nagwałt drogi porozumienia z Rosją, a na drodze tej stoimy im my. Nie chcą więc nic ryzykować, w związku z nie dającymi się przewidzieć warunkami pokojowymi i nie tylko, że przekreślają akt 5-go listopada, ale co więcej, chcąc mieć zupełnie wolną rękę — idą na nasze rozwiązanie. Lecz pociągną niedługo. Zaczynamy wierzyć, że jak przeczekaliśmy Rosję, przeczekamy i Niemców. Zrobiliśmy wszystko, co można było zrobić. Naród się dawno już ocknął — krew nasza nie poszła na darmo, nad Państwem Polskim nie można już przejść dziś do porządku dziennego. Trzech lat nieomal trza było, by wpoić w społeczeństwo pragnienie niepodległości, pragnienie własnego państwa. Ta wielka rzecz, tak jeszcze nie do pomyślenia w 14-ym czy 15-ym roku — jest już dziś poza nami. Z Rosją rachunek skończony, nie ulega wątpliwości, że wkrótce na froncie zachodnim wystawią rachunek i Niemcom. Austria już leży i nie pomoże jej nic, a niemiaszki same nie dadzą rady. I trzasną, jak trzasnęła Rosja, a wówczas przyjdzie dzień, w którym my zabierzemy głos.

Przegadaliśmy cały dzień, włócząc się z Flojarem i Hemplem po wsi, wdychając rzeźwe, wiosenne powiewy, chcąc przeniknąć to co nas czeka, co przyjąć musi.

2 *kwiecień. Ostrów Komorowo.* — Nie mamy do tej pory kontaktu z innymi pułkami, ani nawet i z 1-ym, który stoi w Zambrowie. Były tam awantury, choć najsilniejsze w 4-tym, w których czwartacy paskudnie pobili pluton niemiecki. Są tam straty, jak również w 1-ym.

U nas spokój. Mimo oficjalnego wydania amunicji, kordegarda i wszystkie posterunki mają broń ładowaną — Niemcy w Komorowie również się pilnują, nie wychodząc z koszar mniej niż po czterech.

Po południu wymaszerowaliśmy na ćwiczenia. Idzie cały bataljon — ale jakież drobny, jakżeż mały? Gdzież ten dawny nasz bataljon, ta długa kolumna tak mocna, tak pewna siebie, tak niezłomna. Dziś ledwie stu ludzi.

Idę z Flojarem za tym bataljonem, za bataljonem 5-go pułku, który ma tyle sławy, tyle bitew, tyle krwi serdecznej za sobą, tyle krzyży porozrzucanych po całej Polsce. Patrzymy na tę starą wiarę, samych prawie podoficerów i czujemy, jak nas zalewa fala miłości do tej szarej kolumny, do tych szarych mundurów. Zdrobniały, malutki bataljon, a jakaż w nim tkwi jeszcze siła! Tacy się czujemy stwardniali w tej wiecznej walce, tak się w nas dusze zapiekły, że choćbyśmy jeszcze z tą garstką pójść mieli gdzieś na kraniec świata by do ostatka, jak te kamienie rzucone na szaniec, polec na drodze do Polski — to pójdziem wszyscy do jednego. Czujemy się jak ten legion, ginący na reducie polskiej — da Bóg nie darmo!

12 kwiecień. Ostrów Komorowo. — Wczoraj przeszliśmy na etat niemiecki. Oddał nas Karol z czułym pożegnaniem, nie Radzie Stanu, co prawda, a do rozporządzenia Besselera. Jest to znów jeden z tych idjotyzmów niemieckich, które bynajmniej stosunku naszego do nich nie zmieniają a odwrotnie — bardziej jeszcze zaogniają.

13 kwiecień. Ostrów Komorowo — Rożany. — Przymaszerowaliśmy dzisiaj do Rożan. Koszary paskudne, wilgotne, nad samą Narwią, ani się nie umywają do ostrowskich.

17 kwiecień. Rożany. — Niedługo już, niedługo, patrzeć tylko, aż się ta cała potęga niemiecka rozwali ostatecznie. Taka porządna wojna i już się kończy — mówi bolesnym głosem Ojczulek, kiwając wiecznie rozczochraną głową.

Francuzi i Anglicy piorą na zachodnim froncie aż wióry lecą, wewnątrz u Niemców kotłuje się coraz bardziej, a choć rewolucyjna Rosja wyciąga ręce do pokoju, to odwlecze się tylko ostateczny koniec. Austria ma już dość, ledwie dyszy, szuka już sama pokoju na własną rękę — lecz koalicja już nie puści...

A z tego całego bałaganu będziemy mieli Polskę. Daje nam ją już i Rosja, daje Francja, daje Wilson, Niemcy coraz bardziej trwożnie oglądają się na swój hinterland nad Wisłą — aż doczekamy się że zatraskają któregoś dnia strzały jak na froncie i z wrzaskiem leguny wypadną w jasny dzień na ulice...

19 kwiecień. Rożany. — Wiara całymi dniami włóczy się nad Narwią. Z Niemcami już dawno przestaliśmy zachowywać nawet pozory, bo coraz to któregoś opuchniętego wyławiają gdzieś przy Modlinie. Postawili podwójne posterunki na moście, więc wiara wilkiem tylko na nich patrzy, czekając kiedy nadejdzie koniec.

24 lipiec. Kraków. — Przez trzy miesiące nie miałem pamiętnika w rękę. Co się stało nie wiem, dość żem pióra nie tknął.

Przez maj, czerwiec, lipiec — do ostatnich dni — stały pułki w swych koszarach, wyczekując, czając się — rychło padnie znak, komenda.

Lecz rozkaz nie przychodził. Niemcy i Austria prac do odrębnego pokoju z Rosją, zawiedzione na próbach tworzenia z nas armji — którą chciały mieć, nie dając wzamian żadnych gwarancji politycznych — coraz jaskrawiej, coraz dobitniej zaznaczały swe wrogie dla nas stanowisko. Po kraju burzył się duch protestu, buntu — lecz palił się jeno gdzieś głęboko, nie wybuchając jeszcze krwawym płomieniem. Cekał kraj na nas — a my na rozkaz Komendanta.

Rozkaz nie przychodził. Choć gorzały serca, choć wiara nie mogła już dłużej cierpieć w udręce — Komendant nie pozwalał. Przeczekać mieliśmy Niemców...

Rozkaz został spełniony. Przeczekać mamy wynik tych zmagień potężnych, jakie tam gdzieś nad Sommą, pod Soissons, pod Ypres, się rozgrywają, przeczekać mamy aż młot koalicji rozwali pruskⁱ garnek potylekroć dziurawy i ciekący...

Nad miarę było to naszej cierpliwości, nad miarę wysiłku woli — lecz zacisnęliśmy zęby.

Od kilku tygodni siedzę na urlopie w Krakowie, zagrzebany w książkach. W mieście roi się od piłsudczyków, od legjonowych



Legjonista (rzeźba dłuta ś. p. por. Włodzimierza Koniecznego, (ofiarowana Komendantowi).

oficerów. Jest Śmigły, Stachiewicz, Roja — cały kwiat legjonowy — poddanych austriackich.

W ostatnich dniach zażądano przysięgi. Przysięgi na wierność austriacko-niemieckim towarzyszom broni, przysięgi, która by nam skuła i związała ręce...

Spełnił się ostatni akt. Pułki przysięgi nie złożyły, w rezultacie wszystkich królewaków internowano w Szczypiornie, galicjan odsyłać mają do armji austriackiej. A dwa dni temu — 22 lipca — wywieziono Komendanta i Sosnkowskiego do Niemiec.

Tak się legionowa kończy epopeja. Po trzech latach walki, trudów i przelanej krwi, po trzech latach pracy — twardej i ciężkiej.

Lecz kończy się tylko pieśń Legionów. Kończy się tylko pierwsza faza naszych walk, pewna forma, kształt. To co motorem naszych dążeń było, to co popchnęło nas przed laty by wbrew wszystkim, wbrew Polsce, wbrew całemu światu — pójść w pole i na ostrzach bagnatów nieść nowe światy — to pozostało, tak samo niezłomne, twarde i uparte.

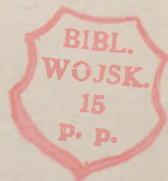
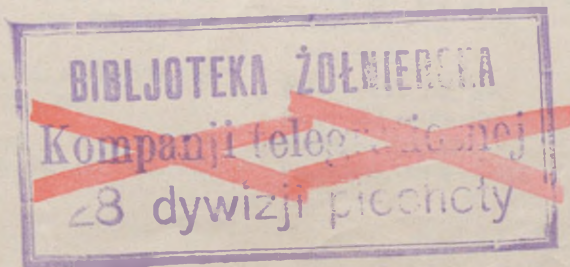
Kto mógł — starał się dostać do Krakowa czy Lublina. Przy Śmigłym, teraz zastępcy Komendanta, skupiały się zewsząd leguny. Idzie rozkaz — by ramion nie opuszczać, by sił nie marnować, by kto mógł pozostał w kraju, by dalej naszej pracy ciężki głaz się toczył, by dalej — w zmienionej formie — to samo czynić co przez ostatnie lata...

Tamci, część — poszli za druty. Poszli, cisnawszy broń, której nie wzięli do oka, nie ścisnęli w garści i z krzykiem nią nie uderzyli tylko i dlatego, że tak chciał Komendant, że nie pozwolił...

Poszli więc za druty, z pieśnią Brygady na ustach, tak samo niezłomni, tak samo niepodlegli depresji, jak wtenczas pod Kostjuchówką, gdy gonił za nami huraganowy ogień a chłopcy w Końskoje na polanie huknęli „Strzelca” Komendantowi, by okazać że dla nich to nic, że niejedno jeszcze przetrzymają...

Poszli za druty — lecz tu w kraju zostało nas coniemiarą... Zadekował się legun. Przywarł gdzieś na uboczu, przyczał się — i swoje robi uparcie, twardo, ścisnawszy zęby. Przecierpiał tyle, tyle ogni przeszedł i burz, zwątpień i nadziei, zwycięstw i klęsk — że stwardniała w nim dusza jeszcze bardziej, zwały się jeszcze mocniej ramiona. I nie znajdzie w nas nikt beznadziei, nie znajdzie opuszczenia rąk, ni giestu rozpaczliwego. Przeczekałszy wszak polski bezwład, trójlojalizm, tępotę i strach, przeoraliśmy ugory polskie, przeczekałszy Rosję — przeczekamy Austrię i Niemcy...

A wówczas, jak w pieśni naszej, strzeleckiej pieśni, po tylekroć nuconej w okopach, w siwych mgłach wieczornych, wśród mogił, krzyży i unoszącej się ciągle śmierci — jak w pieśni naszej — ziści się sen: z trudu naszego i znoju Polska powstanie by żyć...



SKOROWIDZ IMIENNY.

- Adam** — 19.
Aksamit — 137, 174, 184, 236.
Aleksandrowicz-Kostek — 70, 131, 149, 152, 166.
Andrassy — 228.
Ast — 113.
Babiński — 186.
Baczyński — 287.
Banaszczak — 59, 61, 65, 95, 128, 157, 165, 168, 233, 288, 289, 295.
Bandrowski-Kaden — 7, 167, 171, 267, 291.
Bandurski, ks. biskup — 212, 213.
Berbecki — 27, 36, 48, 51, 54, 56, 57, 66, 71, 74, 100, 102, 107, 122, 131, 143, 145, 153, 154, 157, 158, 159, 161, 162, 166, 169, 171, 186, 189, 190, 191, 194, 205, 208, 209, 213, 216, 220, 225, 226, 235, 251, 252, 254, 256, 257, 258, 259, 263, 295, 299, 304, 305, 307, 313, 318, 322.
Berlach — 2, 29, 36, 40, 41, 46, 53, 63.
Bernhardi — 266, 267, 280, 281.
Bessler — 319, 325.
Bethman-Hollweg — 308, 309, 315.
Biernacki-Dąb — 253.
Biliński — 211, 314.
Binder — 313.
Bissingen — 139.
Błeszyński-Toporczyk — 66, 74.
Boerner — 7.
Broszkiewicz — 245, 252.
Brudzyński — 314.
Brzoza-Brzezina — 15, 16, 55, 190, 236.
Burhardt-Bukacki — 166, 305, 322, 323.
Burjan — 315.
Busse-Guzowski — 65, 69, 71, 139, 178, 183, 208, 215, 252, 268.
Chabowski Zygmunt — 9, 12, 19, 40, 41, 55, 61, 63, 94, 131, 136, 137, 139, 143, 145, 163, 164, 165, 168, 185, 186, 187, 219, 225, 233, 251, 252, 276, 280, 288, 304, 305.
Chabowski Zdzisław — 9, 24, 98, 162.
Chaber — 150, 245.
Chatenfroid — 193.
Chłopik — 155.
Chrząszcz — 57, 68.
Ciechoński — 118, 236, 252, 289.
Ciesielski — 137.
Czachowski-Ojezulek — 65, 69, 93, 103, 111, 114, 126, 138, 141, 144, 158, 159, 168, 169.
Czerny-Szwarcenberg — 66, 166, 176, 177, 244, 247.
Cybulka-Cybulski — 186, 310.
Daniłowski — 6, 7.
Dankl — 86.
Dechou — 285.
Długoszowski-Wieniawa — 213, 267, 304.
Długosz-Tetera — 65, 66, 68, 69, 71, 79, 80, 82, 93, 94, 97, 101, 102, 106, 107, 109, 111, 112, 138, 167, 269.
Długoszowa — 138.
Dobrodzicki-Gad — 272.
Dobrowolski — 322.
Doliński — 235, 252.
Dreszer-Orlicz — 192.
Drozdowski — 244.
Drożek — 107.
Drożdż — 154, 258, 293.
Drymer-Dobosz — 100, 111, 137, 142, 144, 145, 175, 219, 244, 269.
Dudzieniec-Krak — 75.
Dunin — 66.
Fatt — 230, 262, 266.
Ferdynand — 98, 131.
Ficner — 226, 228.
Fijałkowski-Młot — 252.

- Filipowicz Leon — 144.
Filipowicz Tytus — 315, 316.
Fleszar - Satyr — 12, 18, 24, 25, 103, 104, 207, 208, 211.
Fok — 307.
Fordey - Rybak — 93, 100, 125, 139, 143, 145, 146, 147, 161, 164, 252, 297.
Frakowski — 169, 203, 210, 241.
Franciszek - Józef — 291.
Fröhlich - 179, 192.
Furgalski - Pandor — 4), 176, 196, 306.
Furgalski - Wyrwa — 15, 16, 40, 54, 155, 161, 162, 176, 202, 209, 213, 220, 221, 253, 254, 258, 259, 265, 269, 301.
Galica — 190, 191, 240, 313.
Gaładyk — 285.
Gerock — 186, 268.
Gertner — 9, 227.
Gibalski — 138.
Goldenberg — Burski — 9, 29, 38, 39, 40, 41, 45, 46, 48, 65, 71, 79, 82, 100, 107, 110, 125, 145, 158, 164, 165, 168, 175, 187, 198, 211, 219, 220, 225, 233, 238, 239, 243, 244, 245, 251, 252, 295, 301.
Gorzecki — 66, 67, 70, 78, 120, 145, 153.
Gotlib — 67.
Grabałowski — 36, 41, 58, 61, 71, 176, 223.
Grabowski — 5.
Gruszczyński — 9, 33, 34, 69, 71, 73, 77, 88, 90, 93, 94, 98, 111, 128, 167, 174.
Grzesicki — 143, 207, 212, 239, 240, 264, 267.
Grzęda — 135.
Hajec — 66, 175, 186, 249, 251, 252, 253.
Haller — 240, 263, 267, 278, 295, 299, 306, 317.
Hauer — 178, 192, 230, 263, 266, 289.
Hempel — 307, 309, 315, 324.
Hersztal - Borek — 39, 66, 67, 75, 122, 129, 165, 257.
Hindenburg — 51, 131, 280.
Höeffler — 263.
Hofman — 62.
Iwanicki — 48, 122.
Iwbull — 252.
Jakubiak - Jurek — 244.
Janowski - Lodek — 90, 91, 94, 111, 114, 143, 149, 150, 187, 228, 244, 295, 304.
Januszajtis — 165, 190, 191, 231, 306, 313.
Jaroński — 4.
Jaworski Leopold — 122.
Jaworski - Szerbiec — 165, 293, 294, 298, 305, 308.
Jaworowski - Światopełk — 46, 213.
Jędrzejewicz - Ordon — 159.
Joniak - Nowina — 311, 319.
Kaczmarek — 166.
Kaluskiński — 169.
Kaplicki — 237, 259, 263.
Kapuścik — 24.
Karwacki - Bończa — 151, 162, 176, 202, 252.
Kasprzak — 9.
Karol — 322, 325.
Kaucz — 169, 171, 172.
Kittner — 207, 212, 231, 262, 263.
Kmicic — 12.
Kochański — 190, 207.
Koc Wacław — 178, 193, 194, 196, 205, 207, 221, 225, 238, 243, 245, 256, 258, 262, 282, 284, 285, 288, 304, 305, 306, 315.
Koc Adam — 221, 299.
Kokowcew — 309.
Konieczny — 253, 254, 326.
Koper — 215.
Korzeniowski - Nałęcz — 201.
Kosior — 58, 115, 133, 164, 175, 177, 191, 201.
Kostroń — 63.
Kowalski — 137, 219, 221, 226, 241.
Kozaczyński — 36.
Kragosz - Gorzkowski — 311.
Kruk — 252.
Kwaśniewski — 92, 94, 111, 134, 137, 138, 139, 145, 156, 164, 175, 183, 236.
Kubacki — 150.
Kubik — 24.
Kubiak — 9, 116.
Kucharski — 219, 251, 252, 295.
Kukiel — 282.
Kukliński - Ruszczyc — 133.
Lachur — 262.
Lempruch — 198, 199.

- Lenczewski - Kosma — 158.
Leopold — 319.
Leonhardi — 188, 196, 199.
Lewin — 300.
Linsingen — 230, 234.
Lipiński - Socha — 56, 219, 298.
Lipiński Wiktor — 184.
Lubomirski — 212, 240.
Łapiński - Nilski — 253.
Łapiński — 293.
Łęcki — 5, 9, 40, 64, 91, 94, 143, 149,
150, 157, 164, 165, 168, 206, 294, 306.
Łojko — 163, 229.
Łuczynski - Narbutt — 9, 10, 14, 15, 19,
20, 21, 23, 24, 25, 26, 30, 33, 34,
35, 37, 39, 40, 52, 53, 59, 62, 66,
141, 147, 153, 158, 159, 162, 186,
209, 239, 248, 251, 252, 253, 256,
257, 258, 260, 261, 265, 266, 267,
272, 305, 307, 311, 313, 317.
Łukaszek — 186.
Mackensen — 54, 95, 131.
Majewski — 216.
Maksymowicz - Nawrot — 102, 107, 108,
111.
Maksymowicz - Rokita — 21, 39, 53, 66,
67, 108, 160, 260.
Malski — 307, 309.
Mauzagen — 310.
Medyński — 64.
Miatkowski — 208, 228.
Michałkiewicz — 63.
Miłobędzki — 2, 133.
Miłosz — 305.
Minkiewicz — 190, 191.
Mirski — Przyjałkowski — 66.
Młodkowski — 308.
Moraczewski — 314, 315.
Münnich - Żegota — 177, 178.
Myszkowski — 188, 219.
Mysłowski - Rawicz — 319.
Napiórkowski — 289.
Neugebauer - Norwid — 22, 190, 239,
240, 248, 278, 313.
Nehring - Dunin — 225, 250, 252.
Olewiński — 133.
Orliński — 136.
Ostalski - Badył — 55, 58, 61, 165, 168,
169, 252, 253.
Ostoja — 51, 57.
Ostrycharz — 203, 204.
Paczesny — 66.
Pacholski Hieronim — 9, 41, 45, 46, 48,
135, 145, 241.
Pacholski Marjan — 9, 40, 63, 151, 157,
164, 165, 168, 218, 219, 221, 225,
227, 239, 251, 301, 305.
Pachoński - Polonus — 176, 177, 257,
276, 277, 300, 302.
Pannenko — 254.
Papierski — 41, 55, 63, 176, 177, 258,
284, 293, 295.
Pasierbowicz — 35.
Pawelczyk — 162.
Pększyc - Grudziński — 23, 24, 28, 69,
167, 269.
Piestrzyński — 146.
Piłsudski — 6, 9, 13, 16, 17, 21, 28, 29,
30, 37, 42, 54, 69, 75, 87, 88, 96, 97,
103, 106, 116, 117, 120, 125, 139,
141, 143, 145, 153, 154, 159, 162,
173, 178, 194, 195, 200, 204, 206,
207, 210, 211, 212, 213, 231, 239,
240, 241, 251, 257, 259, 260, 265,
266, 267, 269, 275, 286, 292, 294,
295, 296, 297, 300, 303, 304, 306,
307, 308, 309, 310, 314, 316, 318,
319, 326.
Pfeiffer — 9, 33, 34, 35, 36, 64, 95, 100,
114, 115, 128, 174, 198, 210, 219,
220, 225, 230, 233, 244, 248, 250,
251, 262, 289, 305, 306.
Piskor — 66, 143.
Plackowski — 9.
Pliska — 185.
Plachta — 309.
Pogoń — 202.
Podolski — 13, 66, 317.
Prażmowski - Belina — 55, 86, 106, 190,
267, 275, 277.
Poincaré — 1.
Polkowski — 48, 164.
Pstrokoński - Poraj — 36.
Puchalski — 191, 194, 212, 239, 240, 267,
291, 311, 315.
Radko-Dmitrjew — 51, 323.
Radwański — 195.

- Rajchman-Flojar — 40, 69, 78, 107, 109,
116, 139, 171, 176, 184, 187, 191,
193, 198, 211, 215, 225, 228, 238,
244, 290, 292, 294, 297, 304, 306,
307, 311, 315, 324.
- Relidzyński — 165.
- Rembilas — 62.
- Robak — 298.
- Roja — 139, 140, 155, 191, 212, 220,
256, 307, 326.
- Rosiński — 208, 219, 251, 287, 294.
- Rowecki — 29, 36, 37, 38, 40, 48, 49,
50, 51, 55, 59, 116, 118, 120, 122,
166, 171, 175, 186, 188, 194, 212, 227.
- Rusin-Kmicie — 40, 71, 110, 157, 236,
265.
- Rybarski — 36, 39, 49, 56.
- Rydz-Śmigły — 22, 23, 80, 82, 83, 85,
141, 143, 163, 165, 166, 190, 191,
207, 291, 307, 313, 326, 327.
- Sadowski-Jagmin — 66, 107, 108, 209,
225, 226, 247, 276.
- Sazonow — 193.
- Sękara-Mazur — 66, 198, 249.
- Siewicz — 105, 165, 187, 219, 223, 250,
305.
- Sierosławski — 59, 63, 65, 304.
- Sieroszewski — 6, 86, 167.
- Sikorski — 308, 313.
- Serda — 182, 192, 194.
- Słomka — 14.
- Szmitt — 252.
- Sosnkowski — 53, 54, 106, 107, 141,
143, 163, 171, 173, 231, 239, 240,
307, 326.
- Stefański — 210, 248, 250, 252, 268.
- Sokolnicki — 121.
- Sokół — 94.
- Sowa — 166.
- Szletyński-Młocki — 2, 7, 29, 33, 34,
36, 38, 40, 42, 45, 49, 51, 52, 62,
63, 64, 65, 68, 71, 98, 111, 128, 167,
174.
- Szletyński Stefan — 68.
- Strug — 216.
- Stachiewicz - Styk Wacław — 36, 39,
40, 49, 50, 57, 59, 62, 63, 65,
120, 121, 122, 129, 131, 135, 136,
137, 139, 141, 142, 145, 149, 150,
157, 158, 159, 160, 162, 164, 165,
168, 169, 170, 171, 174, 175, 176,
179, 181, 182, 183, 184, 185, 187,
188, 189, 190, 191, 194, 207, 223,
224, 225, 226, 227, 230, 233, 238,
250, 251, 252, 257, 261, 265, 266,
267, 291, 296, 297, 299, 302, 304,
306, 308, 326.
- Stachiewicz-Wiecz Juljan — 267, 308, 309.
- Stuermer — 309.
- Starzyński — 138.
- Stebelski — 171, 244.
- Stępiński — 315.
- Styczyński — 66, 70, 221, 253, 254.
- Srokowski — 298, 304.
- Sulkiewicz — 205, 207, 230, 241, 265,
280, 282, 288, 291, 295, 298, 299,
300, 301, 302, 304.
- Szczepanowski-Wojno — 223.
- Szeptycki — 311, 312, 313, 314, 318,
319, 323.
- Śmitowski — 66.
- Świerszcz — 63, 66.
- Talarczyk — 102, 109, 139, 143, 144,
151, 152, 155, 164, 196, 223, 228,
232.
- Tetmajer — 6.
- Tinc — 158.
- Tokarzewski-Karasiewicz — 239, 240.
- Tokarz — 7.
- Trapszo — 39, 66, 67, 79, 109, 121, 138,
171, 202, 319.
- Trojanowski — 7, 54, 143, 213.
- Trzaska-Durski — 42, 137.
- Trzciniński — 179, 180.
- Turski — 175, 187, 209.
- Tyszkiewicz — 180, 183, 188, 189.
- Ulrych — 15, 308, 317.
- Warszawski — 135.
- Warski — 188, 198, 252.
- Wąsik — 57, 66, 311.
- Wądołkowski — 133.
- Wilczyński-Olszyna — 45, 154, 313.
- Weze — 25.
- Wilhelm — 1.
- Wilson — 325.
- Witczak — 2.
- Wierzbicki — 307.

Wielkopolan — 204.

Wolski — 133, 140, 146, 151, 157, 187,
219, 245, 248, 251, 252, 287, 294.

Wójtowicz — 109, 168, 253, 295, 301.

Wojtarowicz — 63, 209, 220, 235, 238,
239, 245.

Wojciechowski — 256.

Wojtaszek — 228.

Woyrsz — 318, 319.

Wysznacki-Brzeski — 24.

Zagórski — 207.

Zawartko — 262.

Zawiślak-Tunguz — 63, 66, 68, 70, 71, 81,
82, 94, 95, 100, 107, 110, 112, 114,
116, 118, 120, 121, 122, 250, 254.

Zieliński — 306.

Zwierzyński - Sław — 28, 32, 35, 36, 38,
39, 40, 48, 51, 54, 57, 59, 64, 66,
67, 68, 71, 74, 75, 76, 78, 79, 83,
84, 85, 90, 93, 101, 105, 106, 110,
115, 116, 120, 122, 123, 131, 138,
139, 140, 141, 145, 148, 151, 152,
153, 154, 158, 159, 161, 162, 166,
171, 175, 186, 187, 188, 194, 195,
198, 199, 200, 202, 207, 209, 211,
212, 223, 225, 226, 247, 249, 265,
268, 269, 299.

Żmijewski — 143, 253.

Zuławski — 6, 7.

Żymierski — 100, 133, 191, 205, 225, 308.

Zytkiewicz — 296.

OMYŁKI DRUKU.

<i>Str.:</i>	<i>wiersz:</i>	<i>jest:</i>	<i>powinno być:</i>
1	1 od góry	1914 — 20	1914
57	3 od dołu	by wszystek strach kulami chcieli wygarnąć. Za chwilę podrywamy	Zbliżamy się do linii austriaków, którzy biją tak jak -
65	pod rysunkiem	Na prawo las płaczkowicki	Na horyzoncie las płacz- kowicki
68	13 od dołu	Już wiedział że zginie.	Jurek wiedział że zginie
92	9 od góry	lekarza	i lekarza
157	20 od góry	ponieważ tutaj zupełnie niema	ponieważ tutaj zupełnie ich niema
175	16 od dołu	Drymer mandoli	Drymer na mandoli
177	14 od góry	3 komp 15 p.)	3 komp. 5 p. p.)
178	9 od góry	krzyknął Komendant	krzyknął: Komendant
180	19 od góry	aż przerażającą	aż przerażające
183	12 od góry	gdyśmy targali	gdyśmy turgali
192	8 od góry	dzisiaj Haucz	dzisiaj Hauer
218	8 od dołu	tam różni się	tam pyszni się
220	10 od dołu	pójdą na wywiad	pójdą na wypad
268	4 od dołu	tlukła mnie głucha rozpacz	tlukła mną głucha rozpacz

TEGOŻ AUTORA.

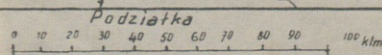
- OD WILNA PO DYNABURG (wspomnienia z ofensywy 5 p. p. Leg.)
Warszawa, 1920 —.70
- WŚRÓD LWOWSKICH ORŁĄT (wspomnienia z obrony Lwowa) War-
szawa, 1927, W druku.

Szkic marszów I Brygady Legionów Polskich.



OBJAŚNIENIE:

- szlak marszu I Brygady Legionów Polskich
- - - szlak marszu grupy Trojanowskiego z Łodzi do miast



3427



33852

2